

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.



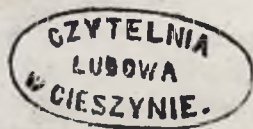
BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1870.

Tom trzeci.



WARSZAWA.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

1870.

Дозволено Цензурою.

Варшава 15 Июня 1870 года.

W drukarni Gazety Polskiej przy ulicy Daniłowiczawskiej Nr. 619.

NIE W PORĘ.

POWIEŚĆ.

PRZEZ

Teresę Prażmowską.

„Piosenki świata zaczynają się od fałszywych akordów—a kończą się gwałtowném zerwaniem strun... stłuczeniem harfy.”

J. Słowacki.

List I.

ZYGMUNT DO ANIELI.

Dnia 16 grudnia.

Droga siostró moja, dziś właśnie odebrałem od Toli list, którym mnie wzywa żebym bez zwłoki przyjeżdżał do Podzamcza, bo Jerzy ciągle jest cierpiący, a różne domowe i gospodarskie interesa wymagają obecności mężczyzny, któryby się nimi zajął, wyręczając w tém Tole i tak już znękaną ciągłą troską o zdrowie męża. Spieszę więc na wezwanie bratowej, z postanowieniem zabawienia u nich tak długo, dopóki im będę potrzebnym i użytecznym. Brak mi już nawet czasu do pożegnania ciebie, chcę wyjechać pojutrze, a jeszcze nie jedno u siebie załatwić muszę. Te poziome, powszednie obowiązki życia, to istny łańcuch niewolniczy... człowiek skuty jego ogniwami nieraz musi się wyrzec tego, co mu jest najmilszą potrzebą umysłu i serca. Taką jest dla mnie obecność twoja, Anielo, źle mi jest zawsze i smutno, ilekroć na czas długi zbraknie mi twego słowa, co przekonywające

jest i rozumne, bo ogrzane tęp ciepłem serdeczném, bez którego martwieje wszystko i obumiera. Bóg wie kiedy się zobaczymy, czekam więc niecierpliwie listu twego w Podzamczu, a o stanie zdrowia Jerzego zawiadomię cię natychmiast po przyjeździe moim do nich.

Twój całém sercem brat

Zygmunt.

List II.

ZYGMUNT DO ANIELI.

Dnia 2 stycznia.

Dzięki Bogu, obawy z któremi tu jechałem, okazały się płonne. Jerzy chociaż bardzo jest zmieniony, chociaż wycieńczony długim cierpieniem, jednak powoli zaczyna już powracać do sił, i niebezpieczeństwo które przez czas tak długi groziło, dziś już minęło bezpowrotnie. Zostało mu tylko do wysokiego stopnia posunięte rozdrażnienie nerwowe, które tego człowieka tak dotąd łatwego w pożyciu, czyni najwięcej wymagającym i najmniej zadowolonym z ludzi, bo kapryśnym. Wymaganiom chorego nikt nie jest w stanie dogodzić, nawet Tola, tak męża kochająca, tak przytém niewyczerpaną uzbrojona słodyczą; znać też na nią wielkie zmęczenie, ciągłe czuwanie przy mężu wyczerpuje jej siły fizyczne, a przebyte obawy i niepokoje złamały w niej hart moralny i wstrząsnęły do głębi całą jej istotą. Pociechą i pomocą dla obojga jest jedna z tutejszych jej sąsiadek, pani Michalina, która jak słyszę, ma szczególniejszy dar wprawienia Jerzego w dobry humor, uspakajania jego nerwów i co tydzień przyjeżdża tu na dni parę spełniać miłosierne *d'une garde malade* posłannictwo. Pani Michalina jest to młoda, bezdzietna wdowa, a ze wszystkiego, co dotąd o niej słyszałem, wnoszę, że to być musi dziwnie zajmująca kobieta. Dzisiaj właśnie spodziewają się tu jej przybycia, w pierwszym więc moim liście prześlę ci sprawozdanie z wrażenia, jakie mi przyniesie ta znajomość. Dla mnie, ciekawego badacza serc ludzkich, nieznaną osobą, to jakby zamknięta księga, na którą patrzę z ciekawym niepokojem tak długo aż dobrowolnie lub mimowolnie, księga otworzy mi swe karty.

A nie ma takiej, na której kartach nie możnaby znaleźć pouczającej treści: każda najuboższa duszyczka ma dzieje swoje, szczytne lub płaskie, niepowszednie lub pospolite; każda ma swoje ukochania i wiary, pragnienia i nadzieje, jednem słowem treść swoją, której wyjawieniem przychodzi w pomoc temu, co się sili odgadnąć ostatnie słowo tajemnic ludzkiego ducha. Dla ciebie, Anielo, którejby w podobnych studyach tak pomocną była intuicya kobieca, nie mają one tyle powabu. Ty sercem związana z rodziną, jeżeli kiedy wybiegniesz myślą poza ukochane domu granice, to po to tylko, żeby chciwy wiedzy umysł nowém zbogacić światłem i ze zdobytym skarbem w domowe powrócić zacisze. Tyś już posiadała swoją część szczęścia, ty wzięłaś swoje dziedzictwo kobiece, i pacierz twój nie jest trwożną prośbą, ale modlitwą dziękczynną: po co tobie zgłębiać tajniki ludzkiego ducha i zaprzętać problematami życia myśl, co jeszcze nie straciła dziecinnój pogody, a zyskała już mężką bystrość i siłę? Ale ja... ze mną inaczéj się dzieje. W dumie młodości mojej nie pomyślałem nigdy o tém, żeby sobie stworzyć swój własny świat miłości i szczęścia, nie kochałem dotąd nigdy, a serce moje nic nie wie o tych przelotnych miłostkach, które wywołuje krwi młodej gorączka; młodość moja przeszła w nauce i pracy niez mordowanej, chciwie piłem ze studni mądrości, myśląc że mi ta mądrość wszystko inne na świecie zastąpi, że w niej życia Alfa i Omega. Dziś, stojąc na progu dojrzałego wieku, obrachowuję com nabył, a suma moich zdobyczy da się określić cyfrą niesłychanie skromną. Podczas kiedy ty, Anielo, widzisz jasno przed sobą cel życia i idziesz doń z pokorą wspaniałą, kiedy ty wiesz z pewnością co jest prawdą a co fałszem, co trzeba czcić i miłować a co omijać z pogardą; ja tyle tylko zyskałem, że myśl moja, rozdrażniona okruciami zdobytej wiedzy, pełna jest zapytań i niepewności, nieużytkowane dotąd potęgi kochania jak senny olbrzym rzucają się w piersi mojej. Nie powiem żebym cierpiał, ale czuję brak szczęścia i namiętą za niem tęsknotę.

Myślałem dziś o tém wszystkim, słuchając Toli, która na żądanie Jerzego usiadła do fortepianu i śpiewała półgłosem tokańską piosenkę ludową, której nuta płacze i modli się gorączkowa tęsknotą, niesnokojném serca pragnieniem:

„Se io potessi aver nel mio core
 Oh! che dolcezza! un lungo sguardo d'amore!
 Se io potessi aver nel mio petto
 Oh! che dolcezza! un lungo sguardo diletto!”

(O gdybym mógł mieć w mém sercu,
 O jakaz słodycz! długie miłości spojrzenie,
 Gdybym mógł mieć w mém sercu,
 O jakaz słodycz! długie miłości spojrzenie!)

— Kto cię nauczył téj piosenki?—spytałem, widząc że gra z pamięci—nie słyszałem nigdy téj melodyi tak prostéj i rzewnéj a tak namiętnéj razem.

— To ulubiony śpiew Michaliny—odparła spytana—przywiozła go z Włoch, schwytawszy na ustach toskańskiego *contadino*: od niéj i ja się nauczyłam.

— Czy ładnie śpiewa pani Michalina?—pytałem jeszcze.

— Głos ma prześliczny, ale nie lubi śpiewać przy obcych, a jeżeli czasem znudzona prośbami zaśpiewa, to tak jakos̄ oschle i bez wyrazu, że tylko można ocenić wyrobienie i rozległą skalę jéj głosu.

„Se io potessi aver nel mio core
 Oh! che dolcezza! un lungo sguardo d'amore”

(O gdybym mógł mieć w mém sercu
 O jakaz słodycz! długie miłosne spojrzenie)

machinalnie prawie powtórzyłem słowa piosenki i tknięty ciekawością, dorzuciłem:—Więc dla wybranych tylko a raczej dla wybranego, pani Michalina prawdziwie dobrze śpiewa? bo musi już mieć w sercu *un lungo sguardo d'amore*?

— Jakiś ty ciekawy, Zyguncie!—zaśmiała się Tola i po chwili dodała poważnie:—Nie!.. chyba nie ma takiego spojrzenia w jéj sercu, a zresztą... któż wie, co ma w sercu taka jak Michalina kobieta? O sobie nigdy nie mówi, z każdego żywszego objawu uczucia, który w drugich dostrzeże, śmieje się i żartuje niemiłosiernie, a ironią swoją i chłodem trzyma na wodzy ludzką ciekawos̄ć, nie dając się nikomu ująć i wybać. Znam ją, kocham, cenię niepospolite jéj zalety, jesteśmy z sobą w bardzo przyjaznym stosunku, ale nie wiem o jéj życiu wewnętrzném i prawdziwéj treści jéj

serca. Nigdy ją o nic nie pytam, bo wiem że zbyłaby mnie żarcikami.

— A męża, czy bardzo kochała pani Michalina?—pytałem dalej, zajęty słowami Toli, które przedstawiały mojej wyobraźni jakąś oryginalną osobistość.

— I tego nie wiem—wiem tylko, że on ją kochał szalenie. Jednak wydawali się z sobą bardzo szczęśliwi i Michalina ciężko przeboleła śmierć męża.

Milczałem zamyślony, puszczając wonny dym z cygara. Tola zaspokoiwszy moją ciekawość, widząc że ją o nic więcej nie pytam, zwróciła rozmowę na inny przedmiot. Jerzy na całe lato wyjeżdża do wód i morskich kąpeli. Tola zawczasu się kłopotce, że nie potrafi poradzić sobie z gospodarstwem i widziałem że bardzo pragnie, abym w czasie długiej niebytności Jerzego, zastąpił go tutaj, a nie śmie wręcz mnie o to poprosić. Uprzedzając więc życzenie bratowej, przyrzekłem jej, że na całe lato przyjadę do Podzamcza i odebrałem za to bardzo serdeczne podziękowanie. Zabawię tu jeszcze parę tygodni, a potem pojedę do siebie, gdzie będę mógł zabawić aż do maja, bo w maju zaledwie wyjeżdża Jerzy za granicę. Dzięki więc temu układowi, zobaczymy się prędzej niż myślałem, tymczasem nie zaniedbam ci donieść wszystkiego, coby cię tu obchodzić mogło.

Zygmunt.

List III.

ZYGMUNT DO ANIELI.

D. 5 stycznia.

Jerzy ma się coraz lepiej, silniejszy, mniej rozdrażniony, a w ślad za tém polepszeniem, powraca w nasze kółko domowe spokój i swoboda, tak długo obce biednej Toli. Po części téż korzystnie wpływa na jego zdrowie powiększenie zwykłego naszego towarzystwa; od trzech dni bowiem bawi tu pani Michalina, a nazajutrz po niej przybyła ciotka Toli, pani baronowa N. z córką, śliczną panną Julią. Złotowłosa, czarnooka, pełna zachwycającego wdzięku, istnie do rusałki podobna, panna Julia jest jedną z najsympatyczniejszych istot, jakie w życiu mojem zaznałem. Natura to

par excellence kobieca, serdeczna i miękka, a gruntowne wykształcenie, nadając jej myśli trzeźwy i zdrowy kierunek, broni ją od chorobliwego marzycielstwa i śmiesznej egzaltacyi, która tylko niedowarzone głowy napada. Wpływy życia i wychowania nie wypaczyły jej moralnej istoty, nie przemieniły klejnotu darów bożych na marny szych światowych pojęć, z kobiety-człowieka nie starały się zrobić lalczki. Wyrosła prześlicznie i bujnie, rozwinęła się bogato i silnie, jak kwiat umiejętną pielęgnowany ręką i ma wspinały wdzięk lilii, której prostej łodygi sztuczne wpływy zwichnąć nie mogą. Powtarzam ci, nie spotkałem więcej sympatycznej istoty, istoty któraby spojrzeniem tyle prawdziwego przyrzekała szczęścia.

A pani Michalina?—zapytasz. Pani Michalina, którą tak ciekawie pragnąłem poznać, jest zaiste osobą wzbudzającą ciekawość. Zanim jednak opiszę ci jej powierzchowność, muszę ci pierwój powtórzyć najdrobniejsze szczegóły naszego spotkania, bo na wrażeniu pierwszej chwili wszystko często zależy.

W kilka godzin, po wyprawieniu do ciebie ostatniego mego listu, siedziałem w pokoju Jerzego zajęty czytaniem, gdy wtém turkot kół, tętniących po zmarzłej ziemi, przerwał czytanie moje. Zwabiona tym odgłosem co jej zapowiadał spodziewane przybycie Michaliny, wybiegła Tola do sieni; wyszedłem i ja za nią z wolna, trochę nierad, że przybycie gości przerwało mi czytanie zajmującej książki. W sieni zastałem już obie kobiety, witające się serdecznym uściskiem.

— Jakże się ma mąż twój?—pytała nowo-przybyła, której twarzy nie mogłem jeszcze widzieć, bo plecami obróconą była do drzwi, w których ja stałem—czy zdrowszy? pytała jeszcze, a głos jej miękki i cichy, dziwnie sympatyczny, zadzwonił mi w uchu jak muzyka.

— Dziękuję ci, znacznie jest lepij—odparła Tola, zdejmując z jej głowy aksamitny kapturek—ucieszył się przybyciem Zygmunta; wiedząc że ma wyłączenie, nie tyle się troszczy o interesa i to się znacznie przyczyniło do uspokojenia jego nerwów. Wyleczysz mi go do reszty, śliczna moja bałamutko.

— Zygmunt, brat mego męża—dodała widząc że się zbliżam, by pomódz pani Michalinie do zrzucenia otulającego ją futra.

W odpowiedzi na to przedstawienie, sztywnie skłoniła mi głową i nie patrząc prawie na mnie, wysunęła się z futra, które zostało w moich rękach. W téj chwili blisko niéj stojąc, objąłem ją wzrokiem ciekawie, ona także oczy podniosła; wejrzenie moje podziwu i zachwytu pełne, spotkało w dal patrzące jéj oczy, których wzrok mimochodem tylko spoczawszy na mojej twarzy, zatrzymał się potem na niéj, jakby z wyrazem zapytania.

Staliśmy tak przez chwilę, krótką jak mgwienie oka, oboje na siebie zapatrzeni. Kobieta otrząsnęła się pierwsza z tego mimowolnego roztargnienia.

— Znamy się nie znając—rzekła do mnie—Tola tyle razy mówiła mi o panu, tak się tu niepokojono długą niebytnością pana, że mimowoli, nieraz myśl moja zajmowała się panem.

I wymówiwszy te słowa głosem dziwnie obojętnym, nie czekając nawet na moją odpowiedź, dodała zwracając się do Toli:

— Chodźmy do twego męża; czy spodziewaliście się mnie dzisiaj?

I weszły obie do pokoju Jerzego, gdzie po chwili i ja się udałem, a podczas kiedy między niemi trojgiem toczyła się poufna rozmowa przyjazna, ja w milczeniu przyglądałem się z uwagą młodej kobiecie.

Średniego wzrostu, bardzo wątłej budowy, z rączką i nóżką jak u dziecka małą, pani Michalina ma twarz owalną, rysy delikatne ale wyraźne, wysokie czoło i nos trochę z rzymską zgarbiony; usta prześlicznego wykroju, wyraziste a uśmiechające się bardzo rzadko; oczy podłużne kształtem, osadzone głęboko, a ciemno-szafirowe aksamitne ich źrenice dziwną i ładną odbijają sprzecznością od czarnych włosów, brwi i rzęsy czarnej. Nie powiem żeby była śliczna, albo nawet ładna, bo za mało na to ma wdzięku; prędzej piękną nazwałby ją można.... ale ja wolę inny rodzaj piękności. Dla mnie, piękną jest kobieta z poza której rysów, jak z za kryształowej tafli prześwieca treść jéj ducha, treść prosta i zrozumiała, w której nic zgadywać, niczego

się domyślać nie trzeba; kobietą prawdziwie w oczach moich piękną, jest ta, która mi się wydaje promieniem wesela i szczerym uśmiechem, ujętym w kształt piękny a silny, jak starogreckich posągów kształty. „*Mens sana in corpore sano*”—mawiali starożytni, i ja to powtarzam wraz z nimi... Przestraszają mnie te wątki istoty, w których dusza albo nie dorośnie przynależnej sobie godności, albo też dorosłszy, zużywa sobą i niszczy osłonę ciała, niezaopatrzonego w odpowiednie siły fizyczne. Pani Michalina nic także niema w sobie kobiecej miękkości, nic tego, co jest wdziękiem i łagodnym urokiem kobiety, a jednak może zachwycić oryginalnym powabem swoim. W spoczynku, twarz jój jak wszystkie twarze o bardzo regularnych rysach, ma wyraz surowy, może nawet ostry; z po za długich rzęs skrzyżowanych, spojrzenie jój pada na ciebie niedbale i własnymi snąc myślami roztargnione, mija cię obojętnie; ale gdy się w rozmowie ożywi, gdy się uśmiechnąć raczy, to uśmiech jój pociągającym przymila ci się wdziękiem, a oczy jój rozumnym, bystrym i precudownie pięknym obrzuca cię spojrzeniem. Znasz ty Anielo, to ludowe podanie, które mówi że na tych miejscach gdzie leżą skarby zakłute migocze błędny ognek, co wabi ku sobie wędrowców i chciwych a nieostrożnych z bitój drogi na topiele sprowadza? Otóż są chwile, w których taką tajemniczą jasnością ognikową palą się ciemne źrenice i błyskawicami wołają cię ku sobie; może to także błędny ognek zwodniczy, co ma nieprzepartą i groźną siłę czaru? Ogólny wyraz twarzy pani Michaliny nie da się określić z łatwością. Snać życie nie poszło jój łatwo, snąc musiała się łamać z myślą, czy może z sercem własnym, bo chwilami jój czoło, lekko między brwiami ściągnięte, chmurzy się zamyśleniem surowym; w oczach maluje się znużenie, na ustach osiada wyraz gorzkiego zniechęcenia. Ale po tój chwili przelotnej jak błyskawica znowu na czoło powraca spokój; ten dumny, bez nadziejny spokój, co jest tylko cnotą z konieczności, zdobytą żelaznym wysiłkiem woli. W obejściu chłodna jest aż do szorstkości i aż do apatyj obojętna; leniwa jak kotek, i jak kotek na słońcu, tak ona się układa w fotelu, szukając dla siebie najwygodniejszej pozycyi; ale pod tą apatyją lodowatą czuć niewygasłe jeszcze, przytłumione tylko młodych uczuć pło-

mienie; pod tém miękkim rozleniwieniem czuć siłę tajoną, ukrywaną zazdrośnie—dlaczego? ja nie wiem... Burze życia przechodziły jój widać nad głową i odebrały wiarę w szczęście, zostawując zdolność odczucia go; kto wie? pragnienie jego może i razem tę obawę przyszłości, którą daje smutne doświadczenie życia. Rozmowa jój pełna jest treści; znać że ta kobieta nietylko dużo umie, ale też przemyślała poważnie i dużo; że nietylko refleksyą ale i cierpieniem także, kupiła sobie świadomość nie jednej prawdy życiowej, a mimo to zwrot jój myśli jest właśnie taki, jaki Francuzi *un esprit mordant* nazywają; niedbale, od niechcenia kąsa drwiącém słówkiem, dowcip jój kolący jest i ostry, a na tych młodych ustach taka cierpka ironia smutną razi sprzecznością. Kto wie? może i tu się powtarza bajeczka o winogronach zbyt wysoko zawieszonych; może w głębi duszy swojej, ta kobieta tak jeszcze młoda, wielu podobnym winogronom dać już musiała za wygraną i smutna a bezsilna jak zbuntowane dziecko, własnym smutkom urąga dowcipkowaniem?

Słuchałem słów jój, pieszcząc ucho precudnemi modulacyami jój głosu, patrząc w nią jak w obraz, którego barwy mieniły mi się w oczach co chwila. Strój jój poważny a wdzięczny, doskonale harmonizował z całą jój postacią. Włosy połamane w kapryśne karby, w górę podniesione, odsłaniały inteligentne czoło i malowniczo falowały nad skronią niebieskimi żyłkami porysowaną, z tyłu w wielki węzeł związane, uwydatniały foremny kształt głowy, bogate i lśniące ich zwoje przesłaniała czarna koronka, której końce lekko pod brodę związane, przezroczystym obejmowały szlakiem delikatny profil twarzy. Czarna suknia z ciężkiej materyi wełnianej, długa, powłóczysta, z gładkim, pod szyję zapiętym stanikiem, rysowała figurę mającą jeszcze wysmukłe kształty pierwszej młodości, a biała kamelia za paskiem wetknięta, odbijając od żalobnej powagi ubrania, jeszcze świeższą i piękniejszą się wydawała.

Tola wyszła, zawołana na pomoc przez matkę, bo na pani Morskiej spoczywa tu teraz cały ciężar zajęć domowych; Jerzy zmęczony długą rozmową, wpół drżemiąc leżał na łóżku, zostaliśmy sami prawie, milcząc oboje. Zmrok już zapadał, resztki jasności dziennój tonęły w blasku ko-

minkowego ognia, którego jaskrawe płomienie odbijały się w oczach kobiety i łamały się cieniem na jej twarzy. Milczała ciągle, nie zdając się prawie zwracać na mnie uwagi; jam długo ważył w myśli od czegooby zacząć rozmowę i jak to zwykle się zdarza, coraz mi trudniej było wynaleźć coś, coby wartém było powiedzenia. Tymczasem ogień kominka niczém niepodsycany, gasł i konał z wolna, czerwonym tylko pół-światłem broniąc nas od ciemności zupełnych.

— Dołóż pan drzewa na kominek — rzekła wreszcie pani Michalina, nie zwracając ku mnie oczu, uparcie wlepionych w żarzące ognisko — nie trzeba żebyśmy przez lenistwo tracili ślicznego towarzysza.

— Pani tak lubisz ogień? — pytałem, i posłuszny jej żądaniu przykląknęłam na posadzce, żeby zgrabnie i systematycznie ułożyć suche drewno.

— Bardzo — odparła — lubię go za to, że taki ładny, wesoly i pełen powabu... a parzy tych, co się doń zbyt śmiało zbliżają.

— I pokrzywa potrafi to samo.

— Ja też i ją bardzo lubię; więcej powiem, całym sercem zazdroszczę jej losu: to najszczęśliwsza pod słońcem istota. Wszem w ogóle i każdemu po szczególe wiadomo że pokrzywa jest to niepocziwe ziele, które parzy; dzięki więc złej sławie jaką się cieszy stoi sobie spokojnie i przez każdego ostrożnie jest omijana. Ciekawi, pseudo-amatorowie botaniki, zbieracze bukietów, sentymentalne dziewczynki, co się lubią stroić w leśne kwiatki, nikt ją nie zaczepia wcale. Pokrzywa robi co chce, rośnie i łamie się, usycha albo też obfitym buja liściem: nikt jej nie dotyka, nikt nie próbuje naginać ją po swojej woli... Nieraz doprawdy żałuję że nie jestem pokrzywą.

Hm! — pomyślałem w duchu — sądząc z tego co słyszę, nie ręczę czy i pani jak pokrzywa parzyć nie umiesz. Przemilczałem jednak to spostrzeżenie i podniecając ogień dopóty, aż spiętrzone drewno żywym buchnęły płomieniem, rzekłem wtedy z uśmiechem:

— Otóż i na wdzięczność pani zasłużyłem już sobie: ogień doskonale się pali.

— Bynajmniej — żywo zaprotestowała kobieta — żadna wdzięczność nie należy się panu odemnie. Rozpalając ogień,

nietylko mnie ale i sobie razem zrobięś pan wielką przyjemność, a że ta fatyga była niewielka, więc procent masz pan dostateczny i byłoby to lichwiarskiem zdzierstwem, gdybyś pan jeszcze co więcej żądał.

— Nie koniecznie—odparłem—gdyby naprzykład ten ogień taki wesoły i jasny był dla pani miłym wspomnieniem? i dlatego tylko tak lubionym od pani?

— Ja żadnych nie mam wspomnień—zwolna i cicho odrzekła—żyję z dnia na dzień, chwili wczorajszej zapominając już dzisiaj rano.

— A dziś wieczorem, nie myśliszże pani o jutrze?

— Nie, niczego nie żałuję ani też nie pragnę niczego: wystarcza mi terażniejszość.

— Daruj pani, ale nie mogę wierzyć temu dziwnemu wyznaniu wiary.

— Dlaczego? — żywo przerwała, wzrokiem i słowem rzucając mi pytanie.

— Dlatego — mówiłem — że bez pragnień i nadziei człowiek żyć nie może. To ciągłe przetrwanie pamięcią chwili minionej, ta wiecznie niezaspokojona ku *nieznanemu* aspiracya, to składowa część ducha ludzkiego. Ślady jęj działalności wykaże pani historia wszelkich zdobyczy, jakie ludzkość odniosła na polu oświaty, wiedzy i moralnego postępu, jak również i najpospolitszego żywota historia.

— Więc pan w to wierzysz, że są tacy którzy nic zupełnie nie pragną, bo wiedzą że nic nie dostaną.

Spojrzałem uważnie na kobietę, która spowiadając się z tego czarnego zniechęcenia, co jest już szczytem nędzy ludzkiej, mówiła do mnie tak obojętnym głosem, jakby o zwykłym wypadku codziennego życia. Nie mogłem dostrzedz wyrazu jęj oczu, tała go długich rzęs zasłona, na ustach był ten sam, co zwykle wyraz: na poły ironiczny, na poły zniechęcony boleśnie.

— Wiem że są tacy—rzekłem, nie spuszczać oka z jęj twarzy —ale ta beznadziejowa apatya, co już nawet nie ma siły być rozpaczą, to skarłowacenie i kalectwo moralne, to rdza co przejada i pleśń co brudzi wewnętrzną istotę człowieka. Taka apatya byłaby ostateczną zatrąwą ducha, gdyby człowiek co niczego spodziewać się już nie śmie, nie bronął się przeciw śmierci duchowej siłą wspomnień i gorącą

ich miłością. Rozwój jednej z tych władz równoważy ubytek drugiej, istota myśląca żałuje albo się spodziewa, wspomina lub pragnie, nie żyje z dnia na dzień jak twór bezduszny... a jeżeli ją do tego zła ciągnie pokusa, to walczy z pokusą jak ze zbrodnią. Obmówiłaś się pani szkaradnie.

— Pan widzę lubisz wielkie słowa i szumne frazesa— rzekła mi na to pani Michalina ze swoją uszczypliwą ironią— a dla mnie są one po większej części pustym dźwiękiem bez znaczenia. Nie zrozumiałam i dziesiątej części z tego, coś pan powiedział przed chwilą, a co zapewne musiało być niezmiernie ładnym. Ja się panu przechwalam ślimaczym, bardzo prozaicznym ale bardzo wygodnym spokojem mego życia, tym prawdziwie gospodarskim ładem, jaki w nie wprowadziłam, zostawiając miejsce na kształcenie myśli, na ciągły jej rozwój, zabraniając go na wszystko, co jest sentymentalnością i z kobiety robi mazgaja, a pan te wszystkie moje bogactwa chcesz wyrzucić za okno w imię...

— W imię prawdy, która takie bogactwo potępia. Użyję słów poetki aby pani powiedzieć, że takim było „bogactwo Izraelitów siedzących nad garnkiem czosnku w niewoli Egipskiej”.

— Doskonałe porównanie!—zawołała—tém lepsze że nie górnolotne... ale nie dałeś mi pan skończyć. W imię teorii bardzo może pięknych, idealnie pięknych, ale jak wszelki ideał niepraktycznych, zabierasz mi pan wszystko com sobie po drogach życia zebrała i wzięła na własność swoją. Zkąd pan wiesz ile mnie te nabytki kosztują? Mówisz mi pan o walce i pasowaniu się, każesz żyć całą pełnią władz duszy, każesz pamiętać, kiedy pamięć jest mi może ciężkim bólem serca; pragnąć, kiedy się może pragnienie moje nie spełni i tylko nowy ból mi przyniesie... czy pan nie wiesz że takie życie to cierpienie.

— Ale życie w całym znaczeniu tego słowa, życie walki, co jedrność ducha rozwija i hart mu nadaje stalowy, życie pełne, zupełne i wszechstronne...

— Ale i cierpienie także—z mocą i jakby rozżalona odparła mi na to kobieta—cierpienie... straszne słowo a rzecz straszniejsza jeszcze—a ja cierpieć nie chcę. Walka, powiadasz pan, hart nadaje stalowy? może... ale nie zawsze. Są duchy które ona łamie, lub też tak nieszczęśliwie wypaczy,

że życie ludzkie z myślą bożą rozbiegnie się na dwa krańce przeciwległe.

— Pani zapominasz, że wedle chrześcijańskich pojęć, cierpienie pokornie przyjęte, stanowi zasługę...

— I to być może; ale na te wszystkie piękne i wzniosłe argumenta mam ochotę odpowiedzieć panu przysłowiem, bardzo dobrze rzecz określającym, chociaż niestety bardzo prostém...

— Jakiém? — pytałem, patrząc w jej oczy, blaskami w tej chwili płonące.

— „*I kaszy ne chocz i po wodu ne pidu*” szepnęła z figlarnym uśmiechem dziecka. Przepraszam pana—dodała zaraz potem z ironiczną powagą, że z eterów, po których jak widzę przywykłeś pan spacerować, ściągnęłam go na ziemię... Bardzo przepraszam, ale chciój pan to uwzględnić że mnie biednej, małodusznej istocie daleko tu jakoś wygodnie: czuję się na swoim gruncie.

— Wolno pani jako pani—rzekłem lekko głowę przed nią skłaniając—żał mi jednak pani, żał bardzo...

— Doprawdy? — spytała zamyślona — pan mnie tak bardzo żałujesz? a ja właśnie nie lubię tego. Zresztą, to żał zmarnowany, jam najszcześniejsza istota pod słońcem.

I rzucając w ogień kamelią, którą się bawiła przez czas tej rozmowy, dodała jeszcze:

— Żałuj pan lepiej tego biednego kwiatka, który nie wiem po co zerwałam i pobawiwszy się nim chwilę, przestałam dbać o niego. A szkoda! szkoda prawdziwie! byłby kwiatek kwitł sobie spokojnie...

W tej chwili, ostrożnie, na paluszkach wbiegła mała Jadwisia, obejrzała się po pokoju, jakby kogoś szukając i zobaczywszy panią Michalinę, rzuciła się do niej z radością:

— Jak się masz Wisienko moja—mówiła biorąc ją na kolana i pieszcząc pocałunkami śliczną dziecinę, która ją rączkami objęła za szyję—jak się masz? czy grzeczna tu była dziewczynka? czy tęskniła za ciocią Misią?

Podczas gdy, Wisienka zajmując całą jej uwagę, odpowiadała jej w swoim dziecinném narzeczu, coś czego ja zrozumieć nie mogłem, patrzyłem na kwiatek, którego delikatne listeczki, objęte żarzącym uściskiem płomienia, kur-

czyły się i wędły... Pani Michalina nie patrzyła na mnie w tej chwili, pochyliłem się więc nieznacznie i pochwyciwszy za niezwegloną jeszcze łodygę, wyrwałem z płomieni ofiarę kobiecego kaprysu. Powiedz mi Anielo, czy ta dziwna kobieta, której uśmiech, wejrzenie i słowo, wzajemnie sobie zaprzeczając, splatają się w pasmo nierozwikłanych zagadek, czy ta kobieta i z cudzém sercem potrafiłaby zrobić to samo, co z kwiatkiem, który w ogień rzuciła?

Zygmunt.

List IV.

ANIELA DO ZYGMUNTA.

dnia 15 stycznia.

Mój bracie, mój Zygmuncie ukochany, o ile rada jestem dobrym wieściom o zdrowiu Jerzego i nadziei zobaczenia cię prędkiej, niż mi się tego pozwalał spodziewać twój list pierwszy, o tyle smuci mnie i niepokoi wiadomość, że całe lato przepędzisz w Podzamczu. Kto inny śmiałby się może z przyczyny mego niepokoju; ty, znający całą wielkość przywiązania jakie mam dla ciebie, nie będziesz lekce ważył kobiecego przecucia i z uwagą przeczytasz słowa moje. Słuchaj Zygmuncie, ja się dla ciebie boję tej pani Michaliny. Znam ją, widywałam ją nie raz w towarzystwach, gdzie królowała tym oryginalnym powabem, którego potęgi nikt zaprzeczyć nie może; wiem że jest piękną i niebezpieczną, że w oczach ma płomienie a w sercu chłód niczem nie rozgrzany, że jest rozumna i szyderska, że uśmiechem pociąga a ironią słowa odpycha; wiem, że siły swojej próbować lubi: ja ję się boję dla ciebie. Jakie wpływy ulepiły serce kobiety z tej dziwacznej mieszaniny chłodu i rzewności, serdecznych porywów i drwinek lodowatych, młodego zapału i apatyi wystygłej, co przeboleła, jaka była ję przeszłość sercowa? ja nie wiem. Od osoby, która na całe ję życie patrzyła (od pani Natalii bliżkiej mojej sąsiadki, a związanej z panią Michaliną stosunkami dawniej przyjaźni) wiem tyle tylko, że ta przeszłość jest czystą jak łąza, że ta kobieta ma surowe pojęcie obowiązku, zdrowe życia zasady, że nigdy nie

uchybiła im w niczém. Ale przyznam ci się Zygmuncie, że dla mnie stracone są te namiętne istoty, którym ani pochwała własnego sumienia nie może dać spokoju i uciszenia wewnętrznego, ani czyjaś miłość najgorętsza, wzajemności obudzić nie potrafi. Takie serce otchłaniać być musi i jak otchłań przeraża mnie niewymownie; co mi z tego, że na dnie jój świecą czyste kryształy, kiedy te kryształy, to ostre złomy lodu o które się roztrąci i zmiążdży wszystko, co w otchłań ową wpada? Ta kobieta nikogo nie kocha, nikomu nawet miłości nie przyrzeka, ale chce i pragnie być kochaną, bo jój do życia ta gorączka wrażeń potrzebna. Tych, którzy sile jój niemego rozkazu oprzeć się nie umieją, doprowadza do ostatnich granic rozpacz i zrozwadzonych, szalejących, rzuca z obojętnym ruszeniem ramion, nie starając się nawet wydobyć ich z téj czarnej toni, dokąd ich sama zaprowadziła swoim fatalnym urokiem. Powtarzam ci te szczegóły o jój charakterze słyszane od osoby, która ją przyjaźnie sądzi i pod każdym względem oddaje sprawiedliwość jój zaletom, muszę więc wierzyć, że są prawdziwe i dlatego powtarzam: strzeż się téj czarodziejki, Zygmuncie!

Traf, jakby rozumne zrządzenie Opatrzności, postawił ci przed oczy dwa istne kontrasty. Nie widziałam Julki odkąd wyrosła na słuszną pannę, ale znałam ją dzieckiem wyrastającym na dziewczynkę, a jeżeli sercem i umysłem dotrzymała obietnic dzieciństwa, to musi być taką błogosławioną istotą, w której władze serdeczne i umysłowe, będące z sobą w zupełnej równowadze, wzajemnie się potęgują i dopełniają. Jeżeli już z prawa konieczności przyszła na ciebie chwila taka, w której oczy kobiety mają ci być światem, a na jój słowie zależeć ma szczęście lub męczarnia życia twojego: to nie w oczy Michaliny patrzaj, Zygmuncie mój drogi, nie ją pytaj o takie słowo. Niech ci kwiat kamelii będzie przestrogą i przykładem; charakter ludzki odrysowuje się najtrafniej w codziennych uczynkach życia. Całym sercem polecam cię Bogu.

Aniela.

List V.

MICHALINA DO NATALII.

dnia 7 stycznia.

Nie gniewaj się na długie milczenie moje, Natalio kochana: z dawien dawna dobrze wiesz o tém, że wtedy tylko nie piszę, kiedy na zewnątrz lub wewnątrz braknie mi treści do pisania. Zresztą w tych ostatnich czasach byłam tak ciągle rozerwaną między domem a Podzamczem, gdzie długa choroba pana Jerzego czyniła mnie użyteczną, że nigdzie nie czując się u siebie, nie mogłam też mieć tyle swobodnej myśli, ile jój potrzeba, żeby tą swoją myślą podzielić się z kimś drugim. I teraz nawet nie z domu, ale z Podzamcza piszę do ciebie. Przyjechałam tu pozawczoraj i jeszcze dni parę zabawię; nie chcą mnie ztąd puszczać, a że nikt na mnie nie czeka w pustym domu moim, więc też nie bardzo się wyrwam do siebie. Siedzę tu, gawędzę, ząbki grzeję u kominka i wcale się nie nudzę, bo mamy bardzo przyjemne towarzystwo. Oprócz baronowej z tą idealnie piękną, do promienia słonecznego podobną Julką, przyjechał także ów gość od tak dawna oczekiwany, pan Zygmunt, o którym się tyle nasłuchiwałam od Toli. Nie raz jeden, ale z tysiąc razy przynajmniej mówiła mi Tola, że to ma być człowiek wielkiej zacności charakteru; niepospolicie wykształcony, i w towarzystwie przyjemny i nawet piękny bardzo: jedném słowem nie człowiek, ale doskonałość wcielona; ciekawa też byłam niezmiernie zobaczyć na moje własne oczy taką osobliwą istotę. Ale i pan Zygmunt zapewne także ciekawy, bo pierwsze spojrzenie jakie na mnie rzucił, było spojrzeniem tak usilnie badawczém, że zadziwiona mimo woli zatrzymałam wzrok przez chwilę na tój pięknej i rozumnej twarzy, w której rysach maluje się niezłomna potęga woli i stanowi wybitną cechę jego fizyognomii. Spojrzenie jest głębokie i jasne, pełne myśli i ognia, a uśmiech pociągająco łagodny i razem trochę smutny; całość wielce zajmująca i zupełnie niepospolita: otoż masz rysopis pana Zygmunta, który mi się podobał... nie powiem żeby *bardzo*, bom nie skłonna do tych doraźnych zachwyków, na niczém nie ugruntowanych jeszcze,

ale *więcej* niż wielu innych. Nie wiem... doprawdy nie wiem czy i ja podobałam mu się także; zdaje mi się że kobieta jaką ja jestem, musi być żywym kontrastem wszystkiego, co podobny panu Zygmuntovi człowiek lubi w kobiecie i czego od niej wymaga; a mimo to, widzę że zajmuję myśl jego, że go zaciekawiam, jak nierozwiązana zagadka, jak fenomen psychologiczny może.... Rozmawiamy z sobą dużo i rozmawiamy z mocną wolą poznania się i ocenienia wzajemnej naszej wartości, a choć się rzadko godzimy w naszych zdaniach i poglądach, to rozmowie nie przeszkadza to bynajmniej, owszem coraz nowe podsuwa jej zasoby. Lubię w nim bardzo tę surową powagę z jaką wypowiada swoje zdanie: czujesz i wierzysz że słowo tego człowieka nie jest czczym dźwiękiem, formułką schwytaną w pierwszej lepszej książce i powtarzaną potem bezmyślnie, ale wyrazem przekonania w którym on dotrwa niezłomie i dowiedzie go cynamem, jak tylko sposobność nadarzy się potemu. I to w nim także lubię, że czując się w prawdzie, ob staje przy niej otwarciem z zapałem i mocą i wiarą głęboką, że *taka* jest prawda nie *insza*, i broni nie składa przez ową tak zwaną „grzeczność dla płci pięknej” która w gruncie jest niczem innym, jak tylko grzecznym lekceważeniem władz umysłowych i wykształcenia kobiety.... Jednym słowem nie mam nic do zarzucenia panu Zygmuntovi, a na jego pochwałę dużoby się dało powiedzieć. Zdobyłabym się może na jaki wspaniały dytyramb, ale od rana do wieczora, Tola na wszystkie tony śpiewa jego pochwały, a że jednostajność zawsze w końcu znudzi, więc pragnęłabym wynaleźć w nim jakąś wadę, choćby dla różnaitości tylko. W tym chwalebnym celu wzięłam pana Zygmunta za przedmiot moich obserwacyj. Czasu na te studia mam dosyć, bo mój przedmiot choć nie długo do siebie odjeżdża, jednak całe lato przepędzi w Podzamczu. Czego się dowiem, tém zaraz podzielę się z tobą.

Michalina.

List VI.

NATALIA DO MICHALINY.

dnia 18 stycznia.

Więc poznałaś pana Zygmunta? bardzom z tego rada dla ciebie. Ja nie znam go osobiście, słyszałam o nim jednak tak dużo a wszystko tak jednozgodnie pochwalne, że utworzyłam już sobie o nim mój sąd własny i mocno wierzę, że to musi być człowiek niezaprzeczonej wyższości charakteru któremu wysokiego uznania odmówić nie mogę, chociaż przejmuję mnie on pewnym rodzajem obawy, jak wszelka siła samoistna, co przechodzi granice powszedniości. Przy namiętnej sile uczucia, musi w nim być taka wielka potęga woli, że w danym razie w imię godności swojej i dumy, we własnym sercu uczucie złamać potrafi; a jeśli miłość jego mogłaby powagą i prawdą swoją raj szczęścia otworzyć kobiecie, to chyba z lekceważenia tej miłości nie przebaczyłby on nigdy i posłuszny pierwszemu porywowi namiętności, zemściłby się za zadaną sobie obrazę tą wspaniałą zemstą ludzi gwałtownych ale szlachetnych, którzy chcąc w drugich ugodzić, samych siebie ranią śmiertelnie. Pamiętaj Michalino, na wyrazy i uśmiechy rachować się trzeba uważnie z takimi ludźmi, bo w surowej powadze swoich zasad nie pojmują oni życia na żart, i słów na wiatr rzuconych, dziś wymówionych a zapomnianych już jutro; sami dając prawdę szczerą, prawdy też nie blichtru wymagają od drugich.... Oto masz moje o nim zdanie, złożone z zestawienia sądów cudzych. Wierzę że osobistość tak wybitnie odrębna od tych zwykłych postaci, co nam się snują przed oczyma, jedna do drugiej podobne jak nawpół zatarte starych monet profile, zwrócić mogła uwagę twoją; wierzę że ci się podobał, nie „więcej od wielu innych” jak powiadasz niedbale, ale więcej niż chcesz powiedzieć. W każdym razie, dalszych szczegółów o waszej znajomości czekam z ciekawością tak silną, że z niepokojem prawie graniczy: nie każde mi długo czekać Michalino.

Natalia.

List VII.

Z Y G M U N T D O A N I E L I.

dnia 3 lutego.

Od miesiąca przeszło tu siedzę, wyjeżdżam więc jutro do siebie, wyjeżdżam tęskniąc za chwilą powrotu w te strony, gdzie zostawiam wszystko, co mi jest przyszłego szczęścia nadzieją. Nie wiem, droga moja Aniello, o ile pokążą się uzasadnionemi obawy twoje o mnie, wywołane poznanie pani Michaliny, ale widać ta siła tajemnicza która ludzi ciągnie ku sobie i jedno do drugiego przykuwa na resztę życia, musi być siłą nieprzepartą, wszechmocną, kiedy nawet obrończa potęga twojej dla mnie miłości nie zdołała mnie ustrzedz od jej wpływu. W pierwszym spojrzeniu rzucanym na tę Michalinę było już uwielbienie namiętne, pierwsze zamienione z nią słowa oddźwiękły mi w sercu, nie znaną jeszcze a przedziwnie piękną nutą. Co mi ta miłość przyniesie? czy mi da szczęście, czy męczarnie? ja nie wiem: wiem tylko, że mi nawet nie przyszło na myśl spierać się z tym uczuciem, że mu się poddał bez walki, jak się człowiek konieczności poddaje i że w niem mieści się cała przyszłość moja. Dlatego więc właśnie, nierozważnym pośpiechem nie chcę maruować przyszłości, szalone bicie serca miarkuję chłodnym rozsądkiem, a usta moje nie zapytały jeszcze Michaliny, czy rozumie gorącą wymowę mego wzroku i z jakich uczuć wyrazem oczy jej zwracają się ku mnie tak często? Nie pytałem jej o to, chociaż słowo zapytania sto razy drgało i konało mi na ustach, chociaż nawet łagodny i miękki blask jej spojrzenia przyrzeka, że zapytana, dałaby mi dobrą odpowiedź. Więc zapytasz mnie może Aniello, dlaczego milczę? Milczę, bo chcę, żeby gmach mego szczęścia stanął na podstawie trzeźwój rozwagi, nie chwilowego uniesienia; chcę, żeby słowo kochania, którym mi ona może odpowie, nie było wywołane przemocą mojej prośby namiętnej, ale wybiegło z ust jej poważne, jak wyraz przekonania; żeby w tym własnowolnym wyznaniu kobiety, była nietylko obietnica szczęścia dla mnie, ale razem i prośba o szczęście dla niej; chcę, żeby mi się oddała sama z radością i wiarą, że ze mną tylko

dobrze jój będzie, że bezemnie życia nie pojmuje, jak ja dzisiaj nie pojmuję go bez niej... dlatego czekam i milczę. Musi być cierpliwem i spokojnem wszystko, co chce być trwałem i dla przyszłości owocnem.

Wczoraj, chcąc Michalinę pożegnać, pojechałem po raz pierwszy do Książyna. Po raz pierwszy dopiero, bo chociaż zapraszając do siebie Tolę, wspomniała mimochodem: „może i pan Zygmunt zechce ci towarzyszyć w tych odwiedzinach,” że jednak Tola mimo ciągłego wybierania się do niej, jakoś nigdy wybrać się nie mogła: i ja przeto nie korzystałem dotąd z tych zaprosin tak nawiasowych, że nie wiem nawet czy można je nazwać zaprosinami. Ale wczoraj sama już grzeczność nakazywała złożyć pożegnalną wizytę. Tola także miała jechać zemną, potem jakiś kaprys Jerzego, który przywykł mieć ciągle przy sobie żonę, zatrzymał ją w domu; pojechałem więc sam, zbrojąc się w trudną odwagę milczenia.

Zajęty myślami, nie spostrzegłem, jakem ujechał ćwierć mili dzielącą Książyn od Podzamcza. Ocknąłem się dopiero z zamyślenia w chwili, kiedy zgrzane prędkim biegiem konie zatrzymały się parskając przed oszklonym gankiem domu, zbudowanego na wzór domków letnich szwajcarskich. Zanim wszedłem do środka, obejrzałem się uważnie w około siebie, bo wszystko co otacza człowieka i nosi na sobie cechę jego działalności, musi téż malować jego nawyknięcia, upodobania, jest najwierniejszém odbiciem jego osobistości, a wiedziałem już od Toli, że dom w Książynie postawiony jest świeżo; słusznie zatem wnosiłem, że gust Michaliny musiał odgrywać przeważną rolę w jego budowie i urządzeniu. Dom ten stojący na wzgórzu, opasany w około nadpowietrzną galeryą, wspartą na wysmukłych rzeźbionych słupach, cały strojny w drewnianych rzeźb koronki, wygląda zewnątrz jak cacko wykwentne; przed nim rozciąga się obszerny dziedziniec, znać utrzymywany starannie: pełno na nim krzewów i kwiatów, dziś jeszcze sterczących nagiemi gałęziami, ale w lecie ślicznie tu być musi, kwiecisto i zielono, a przez duże okna domu woń kwiatów razem z promieniami słońca wbiegać może do środka swobodnie.

Prowadzony przez starego sługę, który wyszedł na moje spotkanie, przeszedłszy sień obszerną i jakiś pierwszy po-

kój, wszedłem do saloniku, gdzie nie było w tój chwili nikogo. Wielki chart czarny z siercią jak atlas połyskliwą, drzemał wygodnie przed kominkiem i obudzony mojem wejściem podniósł się z wesołym podskokiem, żeby przybyłemu ustąpić miejsce swoje u ciepłego ogniska. Fotel stojący nie daleko kominka, a przed nim stoliczek z książką i znać nie dawno porzuconą robotką, świadczyły, że ten kątek najczęściej zajmuje pani domu. Na miękkim aksamicie poduszki leżącej na posadzce wyciśnięty był jeszcze ślad jój nóżki malutkiej, na pulpicie fortepianu leżała partycya Halki, otwarta na karcie owój ary tak precudownie pięknej, tak rozteknionój miękko: „gdyby ranném słonkiem,” na ścianach parę dobrych obrazów i sztychów starannie dobranych, w oknach pełno kwiatów, hyacyntów, róż i kamelij różnokolorowych i prześlicznych a wątlých azaleij, ozłoconych przedzachodnim, ukośnym słońca promieniem, z drzwi do oranżeryi otwartych świeże, woniami przesycone wiało powietrze, w około cisza przerywana tylko monotonnym odgłosem zegarowego chodu, a w najdrobniejszych szczegółach urządzenia przebija się jakiś ład wytworny, wrodzone zamiłowanie piękna, wraz z umiejętném jego poczuciem.

Stałem oczarowany harmonijnym wdziękiem tego cichego zakątka, w którym upływa samotne i zapewne smutne w tém osamotnieniu swoim życie kobiety, z którój ust nikt jeszcze nie słyszał skargi na samotność i smutek. I myślałem właśnie jak szczęśliwym być może ten, kto mocą swojój miłości złamie tę dumę wyniosłą, kto tak uczuciem zniewoli chłodną i hardą kobietę, że mu ona powie wzruszona „weź mnie z sobą: smutno mi samój bez ciebie”—gdy wtém drzwiemi od oranżeryi, weszła do pokoju Michalina.

— A! pan Zygmunt—rzekła z lekkim odzieniem zdziwienia w głosie i podała mi rękę na powitanie—witam pana u siebie z całą przyjemnością. Ale dlaczegoż Toli nie ma?

— Jerzy znowu czuje się więcj cierpiącym—tłumaczyłem jak mogłem bratową—i to zatrzymało Tolę w domu.

— A pana wyгнаło z Podzamcza i zmusiło szukać schronienia u mnie?

— Nie, pani—odparłem uśmiechając się mimowoli—chociaż w samój rzeczy trzeba anielskiej cierpliwości na zniesienie kaprysów mego brata, jednak nie dotyczą mnie one

tak bezpośrednio, żebym aż musiał uciekać przed niemi z domu.

— To pan musisz mieć jakiś inny powód przyjazdu?— badała mnie dalej Michalina.

— Czy pani nie przypuszczasz, że dostatecznym powodem do odwiedzin jest chęć złożenia pani mego uszanowania?

— Nie, to powód zbyt oklepany; nie mógł on tu pana sprowadzić... lepiej powiedz pan prawdę odrazu: pociągnął pan do Książyna przyjechał?

— Pozwolisz mi pani przynajmniej zauważyć, że w ustach pani domu to zapytanie jest... oryginalne...

— Tylko *oryginalne*? pan miałeś ochotę powiedzieć *niegrzeczne*—odparła—bynajmniej temu nie przeczę, ale cóż na to poradzić? Ja taką już mam naturę, że się nigdy nie zadowolam pozorami, zawsze mi potrzeba prawdy na dnie leżącej.

— I prawdę pani dajesz w zamian?

Spojrzała na mnie uważnie; oczy jej zaszyły mgłą zamyslenia, potem znowu szafirowemi rozplonęły blaskami, i po krótkiej chwili milczenia, odrzekła powoli z dumnym na czole wyrazem:

— Nie zawsze i nie każdemu.

— Dlaczego?

— Bo jedni jej nie warci i nie potrafią poznać się na niej; drudzy choć może warci, to mnie o nią nie proszą; inni znowu choć proszą, to im ona na nie niepotrzebna.

— Dlaczegożby o nią prosili?

— Dlaczego dziecko napiera się zabawki? przez kaprys.

— Cóż pani takim dajesz?

— Sypię im w oczy blichtrzem i to im doskonale wystarcza... Prawdę rzeczywistą, poważną prawdę mojej myśli chowam dla siebie jedynie.

— To egoizm lub duma.

— Nie, to tylko poczucie własnej godności—bronila się stanowczo pani Michalina—a więc duma godziwa, pozwolona, nawet potrzebna. Każdemu przecie służy prawo ocenienia własnej wartości.

— Z warunkiem, aby ją nie przeceniać.

— Surowy pan jesteś—odparła mi na to kobieta—czy to przez chęć ożywienia rozmowy sprzecznością zdań, czy jedynie przez miłość prawdy?

— Pani wiesz dobrze, że rozmowa między nami nie upada nigdy.

— Więc to przez miłość prawdy tak mnie pan strofujesz poważnie? jedynie przez miłość prawdy, czy i przez jej pragnienie także?—spytała patrząc mi w oczy z figlarnym wdziękiem, który dziwnym urokiem rozjaśnił jej rysy poważne.

— Kto kocha ten i pragnie razem—odparłem; im kto kocha poważniej i szczerzej, tém usilniej pragnąć téż musi. Jeżeli panią kiedy zapytam o prawdę... co mi pani odpowiesz?

— Powiem ją panu... powiem całą i rzeczywistą. Przyrzekam to panu i w każdym czasie pozwalam upomnieć się o dotrzymanie tego słowa, na które panu rękę podaje.

I wyciągnęła do mnie rączkę malutką, białą, wypieczoną, podobną do wykwintnego cacka, taką jak powinna być ręka kobiety. Ująłem ją z radością i wzruszony, szczęśliwy do ust poniosłem, mówiąc:

— Za powrotem upomnę się o to słowo, a tymczasem...

— Za powrotem?—żywo przerwała mi pytaniem—kiedyż pan jedziesz i kiedy powracasz?

— Czy pani co na tém zależy—spytałem nie puszczając jeszcze jej ręki i tonąc wzrokiem w jej oczach, co mi niebem przeświecały w tej chwili—czy pani tak jak ja liczyć będzieś chwile dzielące wyjazd od powrotu?

Zamyśliła się trochę i nie usuwając malutkiej dłoni, odrzekła mi na to:

— Wyglądać pana będę jak uczciwy dłużnik, co chce się uiszczyć z długu swemu wierzycielowi.

— Tylko—pytałem znowu z prośbą w głosie, nie zdejmując z jej twarzy rozkochanego wejrzenia—tylko jak wierzyciela?

Ale ona spokojnie wysunęła rękę z gorącego uścisku moich dłoni i zwykłym swoim, szyderczo-chłodnym tonem, na pytanie pytaniem mi odparła:

— Czy pan znajdujesz właściwém, żebym go czekała we łzach i tęsknocie jak bohaterka romansu?

Spuściłem głowę, dziwnie zniechęcony i smutny. Szyderstwo jój, do którego przecie powinienem już był przywyknąć, dotknęło mnie w téj chwili boleśniej niż kiedykolwiek. W obec głęboko poważnego nastroju moich myśli, to zapytanie drwiące, wydało mi się niewymownie przykrym dyssonansem: drasnęło mnie jak nuta fałszywa... Nie wiedziałem co mówić; rozmowa toczyła się obojętna, dotykając tylko obojętnych przedmiotów. W kapryśnym biegu swoim zwróciła się ku kwiatom, które Michalina hoduje z zamiłowaniem amatorki i umiejętnością znawczyni. Oprowadzała mnie po oranżeryi, pokazując mi wonne skarby swoje, i zerwawszy przepyszną, ciemno-purpurową różę, bawiła się nią, przyglądając symetrycznemu układowi jój listków.

Wniesiono światła, spóźniona pora przypomniła mi, że czas już jechać; rad nie rad powstałem z miejsca i żegnałem ją rozkochany a smutny jak ten, który od skarbu odchodzi, a nie śmie wierzyć, że go za powrotem na tém samym znowu znajdzie miejscu. Żegnając, ująłem obie jój dłonie; w tém poruszeniu upadła róża na posadzkę, schyliłem się więc po nią i oddając kwiat Michalinie, spytałem:

— Czy i ją pani rzucisz w ogień?

— Nie—odparła z niezwykłą słodyczą w spojrzeniu i głosie—nie spalę róży... w róży jest woń i życie, prawda i piękność prawdy... dam ją panu do schowania. Jedź pan z Bogiem i wracaj...

I odchodząc ku drzwiom swego pokoju, od progu jeszcze przestała mi uśmiech na pożegnanie.

Rozmarzony, szczęśliwy, wyjechałem z Kniażyna. Dziś koło południa posłaniec jój przywiózł Toli pakiecik książek, które ja wczoraj zapomniałem zabrać z sobą, a krótki dołączony do nich bilecik, który mi Tola pokazała z uśmiechem pełnym domyślności, kończył się temi słowami: „Panu Zygmuntowi zasyłam życzenia szczęśliwej podróży, prędkiego powrotu i dobrych myśli.” Tego bileciku już Toli nie oddałem i z ukradzionym skarbem moim wyjeżdżam z *dobrą myślą*.

Zygmunt.

List VIII.

MICHALINA DO NATALII.

dnia 7 lutego.

Otóż i pojechał sobie pan Zygmunt. Na dwa dni przed wyjazdem był u mnie na pożegnanie i mieliśmy z sobą bardzo subtelną rozmowę, w której wprawdzie nie powiedzieliśmy sobie nic takiego, coby nas względem siebie zobowiązywało stanowczo, nie mniej przeto jednak on mi prawie wyznał, ja mu prawie odgadnąć pozwoiliłam, że sobie wzajemnie nieobojętnymi jesteśmy. Pojechał tedy z różą, którą mu wspaniałomyślnie dać raczyłam. Wprawdzie nie prosił mnie o nią... ale miał taką mię, że najszcześliwszy będzie jak ją odemnie dostanie: cóż mi więc szkodziło zrobić *najszcześliwszego* kosztem kilku słów wymówionych i jednego poruszenia ręki? Co z tego dalej będzie? ja jeszcze nie wiem sama, Natalio... w życiu tak nie trudno o zawód! Może ten człowiek, którego spojrzenie obiecuje mi dać szczerę złoto uczucia, da mi tylko taki szych nędzny, po który nawet schylić się nie będzie warto, i obrażony, że ja szychu brać nie chcę, odchodząc ciśnie mi w oczy arcy-patetyczne przekleństwo?... i to być może. A jednak... zdziwiłoby mnie to mocno, bo ty Natalio, która mnie znasz tak dobrze i nigdy się nie mylisz w sądach swoich o mnie, ty trafnie odgadłaś, że mi się bardzo podobał pan Zygmunt. Podobał mi się tak, że ja istota, całym wysiłkiem rozumu i woli broniąca się pokusie marzenia, nie raz marzę pocichu jak szczęśliwą i dumną może być kobieta, z którą ten człowiek życie swoje podzieli... A śliczne jest marzenie takie, ponętne i słodkie dla każdej, a więc i dla mnie także... bo i ja także pod tą zewnętrzną osłoną chłodu mam w piersi ciepłe serce kobiece, biedne serce stęsknione i smutne, i kochać bardzo pragnące... Cóżem ja winna, że wpływy całego mego życia złożyły się na wyrobienie we mnie tej dumnej nieśmiałości, co woli smutki wewnętrzne pokryć lekceważeniem niż przyznać się do nich głośno, co nie umie się poskarżyć przed światem na tę serdeczną samotność, tak niewymownie ciężką? Ty jedna wiesz Natalio, że patrząc w tę moją przyszłość taką pustą,

szarą, bezcelową, nieraz ręce załamuję z rozpaczą i jak tonący szuka deski ratunku, tak ja oglądam się z gorączkowym niepokojem za kimś lub za czémś, coby mnie potrafiło wyrwać z téj toni. Niestety! muszę mieć złe oczy albo nie umiem szukać, bo nic nie widzę, a dzień za dniem ubiega zabierając mi młodość moję, co przejdzie zapewne, nie dawszy mi tego szczęścia, do którego ma prawo każde serce kobiece! Co ja mam robić? powiedz Natalio, co i kogo tak serdecznie ukochać, żeby mi się ta miłość stała celem życia? Jakim cudem zbudzić w mojej piersi to uczucie miłości, kiedy tyle już razy wyrazy jęj obijały się o moje uszy, a jam ich słuchała obojętna i roztargniona, jak się słucha znaną zwrotkę piosenki. Mojaż to wina, że oni wszyscy mówią mi jedno i to samo? nieledwie tą samą intonacją głosu? a żadnego z nich uczucie nie zabrzmiało mi tą pełną, poważną nutą prawdy, co musi być najpiękniejszym z wdzięków składających pieśń życia! Powiedz czy moja to wina? a przedewszystkiem powiedz mi, czy i pan Zygmunt do innych podobny? bo on to przecie wywołał pod moje pióro te słowa, które czytałaś już nieraz, ale czytałaś tylko ty jedna.

Zagadką jest życie, kto wie czy nie komedią, gdzie wszyscy mamy rozdane role i gramy je mniej więcej umiejętnie, z chęcią wyperswadowania sobie wzajemnie, że ta rola przez nas odgrywana, to prawda najszczerza... Tydzień już upłynął od wyjazdu pana Zygmunta, a powrotu jego zaledwie w maju spodziewa się Tola. Teraz dopiero zaczyna się luty, więc jeszcze długie trzy miesiące czekać trzeba na śliczną wiosnę bożą, co może i we mnie także rozwinie uroki wiosenne. Tymczasem w opustoszałem Podzamczu nie wesoło; wyjechała i pani baronowa i Julia, nawet pani Morska: dopiero na lato wszyscy razem zjechać się mają. U mnie jak zwykle cicho i pusto w domu, kwiaty mi tylko kwitną, czarny mój Sokół łasi się do mnie i przymila, nowych nut zapasy wzywają mnie do fortepianu, ale ta ciągła, niezmienna, spokojna jednostajność życia stała mi się już nudną i przykrą. Lepsza jest może nawałnica i burza i gromy szalone, niż takie zupełne *calme plat...*

Na urozmaicenie jednostajności żywota przybywa mi gość nieznanany prawie i obcy, choć krewny, znasz pana Rajmunda? Jakież komplikacye interesów majątkowych zmu-

szają jego matkę wyjechać na pewien przeciąg czasu ze stron, które zamieszkiwała dotąd; zaprosiłam więc panią Helenę do siebie, rada temu że przynajmniej będę miała do kogo przemówić, a naturalnie wraz z nią zaprosiłam i syna, bo ten 22-letni młodzieniec jeszcze nie rozpoczął życia na własną rękę i nieśmiało trzyma się opiekuńczego cienia „mamy”. A ta mama, to prawdziwa *hic mulier*; poszłabym w ogień, schowałabym się w mysia norę przed zmarszczeniem jęj brwi Jowiszowych. Nie wiem jeszcze dobrze, co będziemy z sobą robili, tak sami we troje przez długie parę miesięcy; nie wiem jaki to człowiek pan Rajmund. Od 6-ciu lat zupełnie straciłam go z oczu, a dawniej będąc 17-letnią panienką, nie zważałam zupełnie na dzieciaka o rok młodszego od siebie: wnoszę jednak, że syn matki tak despotycznie kochającej, musi mieć naturę wątlą, bluszczową, pozbawioną wszelkiej samoistności. W każdym razie będę mu rada, jako nowości. Do widzenia Natalio moja.

Michalina.

List IX.

NATALIA DO MICHALINY.

Dnia 15 lutego.

Michalino ostrożnie! ostrożnie! bawisz się z życiem i ludźmi, bawisz się z własnem i cudzém uczuciem, nie myśląc o tém, że tonie takiego serca są bezdenne jak Oceanu głębin, że toń taka może cię porwać z sobą i pochłonać, a miłość którą jak cackiem w paluszkach obracasz figlarnie, przemienić się może w broń groźną i wybuchem swoim ciebie zranić śmiertelnie. Daj pokój Michalino, nie baw się uczuciem pana Zygmunta, ani je lekceważ: przyjmij je albo odepchnij stanowczo. Pojmuję ja te obawy i zapytania, jakie ci stawia myśl twoja; usprawiedliwiam poniekąd to zwątpienie, co ci kładzie w usta słowa ironii, wtedy gdy serce twoje drży wzruszeniem głębokiém; rozumiem, że czujesz potrzebę wyrobienia w sobie przekonania o mocy i prawdzie tego uczucia, na którym może oprze się życie twoje: ale mimo to, powiem ci dzisiaj co powtarzałam już nieraz: —mniej licz na rozum własny, trochę więcej na Bożą Opatrność.

Nic nie ma gorszego, nic zgubniejszego dla duszy, jak ten nałóg ciągłych a chłodnych, anatomicznie-dokładnych, mikroskopowo-drobiazgowych studyów nad osobą. Jak ten, co długo patrzy przez szkło przybliżające, czuje potem zmęczenie wzroku i nie może sobie zdać sprawy o zarysach przedmiotów i stosunkowej ich między sobą odległości; tak i w świecie moralnym, przez zbyt i przesadzone natężenie uwagi na siebie samą, przez ciągłe analizowanie każdego drgnienia serca, każdego zwrotu myśli, przez suche rozumowanie, odrzucające wszystko, co nie znajdzie miejsca w łańcuchu ciasnej i dokładnej logiki: jednem słowem przez mędrkowanie sceptyczne, zatracą się zmysł prawdy, zacierają się delikatne połączenia uczuć, właśnie dlatego że je chcemy schwycić, ująć i streścić myślą w jakiś pewnik nieporuszony i jak dogmat niezmienny. Niektóre uczucia są istnie jak liście *mimozy*, co nie znosi obcego dotknięcia; skoro ich dotkniesz badawczą myślą, zwiną się w sobie i już nie śmiejąc otworzyć, powoli zmarnieją w ucisku. Ty Michalino, byłabyś najlepszą pod słońcem istotą, gdybyś trochę mniej rozumowała i nie tak uważnie badała samą siebie. Dobrze jest siebie pilnować i wiedzieć o wewnętrznej treści swojej, ale ciebie tak zaprzęta to pilnowanie, że się boję, by ci nie zbrakło czasu na to drugie zajęcie, co pierwszém być u kobiety powinno, na uczucie, uczucie gorące i rzewne, miękkie a niepokonane, co kobietę przetwarza, dopełnia i piętnem kobiecości znaczy. Znać siebie i siebie samą trzymać w karbach rozsądnej woli, dobrą jest i pożyteczną rzeczą, ale umieć ukochać serdecznie i wiernie, to także rzecz jest niemała; a Chrystusa przebaczenie łaskawe padło błogosławieństwem na czoło téj, która wiele kochała: o *miłość*, nie o *wiedzę* pytał Chrystus kobietę. Uwierz w miłość i odpłać miłością, a szczęście za którym tęsknisz i nazywasz je marzeniem, stanie się dla ciebie śliczną, jasną rzeczywistością życia. Mam w Bogu nadzieję, że nawróconą już nawracam tém kazaniem, bo znam ciebie, wiem że pod słowem wypowiedzianém kryje się zawsze treść niedopowiedziana lub przemilczana, a często sprzeczna ze słowem. Mówię to wszystko jedynie dla spokojności mego własnego sumienia, które wierzy, że usłuchasz głosu przyjaźni; ale razem im więcej się wczytuję w twój list, tém mocniej jestem przeko-

nana, że te słowa moje, jeżeli odniosą jaki skutek, to tylko taki, jaki sprawia kropla wody wpadająca w czarę już pełną po same brzegi: wszak prawda, Michalino?

Natalia.

List X.

MICHALINA DO NATALII.

Dnia 20 kwietnia.

Znowu długo nie pisałam do Ciebie, bo i cóż miałam Ci pisać? Piszac nie dość jest zdać sprawę z faktów, trzeba jeszcze zebrać myśli, obrachować się z sobą i zdać sprawę z wrażenia, jakie nam te fakta przyniosły, a ja właśnie do takiego obrachunku nie miałam najmniejszej ochoty. Dlaczego? albo ja wiem? Może się bałam, żeby cyfry tego obrachunku razem zestawione nie wydały summy znaczniejszej niż ta, którąbym znaleźć chciała;... może się bałam, żebyś ty przerażona lub zadziwiona wysokością tej summy nie powiedziała mi znowu kazania o umiarkowaniu i ostrożności w wydatkach?... bo ja Ciebie się boję, Natalio. Ty mnie znasz doskonale, wiesz nietylko *co* ja myślę, ale dlaczego *tak* a nie inaczej myślę; nietylko zgadujesz co ja chcę, ale wiesz *zawczasu* czego chcieć będę; jesteś wcielonym głosem mego sumienia, prawdomierzem moim, że się tak wyrażę. Posłuchaj co Ci powiem:

Pani Helena jest u mnie od dwóch miesięcy i kocha mnie bardzo; pan Rajmund jest także od dwóch miesięcy i kocha się we mnie.

Oto jest fakt... wrażenia jakie mi on przynosi, są niezmiernie zawikłane. Rajmund dziwnie mi się podoba, chociaż charakter jego stanowi najwybitniejszą sprzeczność z pojęciem mojem o tém, jakim być powinien prawdziwie męzki charakter. Właściwie mówiąc, nie ma on chyba charakteru żadnego; istota to nieobrachowana jeszcze i nieujęta, nie wiem czy skutkiem młodości czy moralnej jego organizacji. Natura miękka i bezwolna, a mimo to czy też może właśnie dlatego, despotyczna i aż do szorstkości kaprysami najeżona, księżycowo rozmarzona i razem gorączkowo namiętna, miłośna, niby płomienna a samolubna, więc zapewne jak wszel-

kie samolubstwo lodowato-zimna w głębi swojej—takim jest pan Rajmund, którego trochę dla tego że mi krewny, więcej jeszcze dlatego że go za dziecko uważam, *Muniem* nazywam poprostu, a spieszczone to imie tak do niego przystało, że nietylko matka, znajomi i krewni, ale nawet służba inaczej o nim i do niego nie mówi, z tą tylko różnicą że go panem *Muniem* zowie bo „*à tout seigneur, tout honneur*”

Zkąd, jak i dlaczego zebrało mu się na miłość do mnie, tego ja nie wiem doprawdy. Wiem tylko, że już w tydzień po przyjeździe czarne, duże i pełne ślicznego wyrazu oczy *Munia* towarzyszyły mi w każdej chwili, że mnie spotykały u wejścia, żegnały u wyjścia, pytały, prosiły, mówiły mnóstwo różnych rzeczy, z których z początku śmiałam się niedowierzająco... Ale powoli, ta wymowa wzroku odniosła skutek owęj kropli wody, co nieustannie w jedno upadając miejsce, w końcu kamień wyłobić sobą potrafi. Ja śmiać się przestałam, a oczy *Munia* przyzwawszy sobie usta do pomocy, mówiły mi coraz to więcej rzeczy. A w gorącym wzruszonym słowie leży wielka potęga uroku! Z początku nie słuchałam nic prawie; potem słuchałam obojętnie, potem już z pewną ciekawością; dziś? dziś słucham z zadowoleniem prawie. I słuchając, nieraz to sobie powiadam, że jeżeli jaka miłość na świecie jest prawdą, to tylko taka miłość młodzieńczego serca, co nie miało jeszcze dosyć czasu aby się wypalić, zwęglić, co nie zużyło swego ognia na płomienie co chwila wybuchające, a zawsze nową podniecane ręką.

Słowa i przysięgi, które mi szepcze *Munio*, słyszałam już nie raz... bo smutna moja wdowia swoboda, co lada dudka upoważnia do starania się o moją rękę; pozwoliła mi niestety! nabyć dużo doświadczenia w tym względzie: wszyscy oni mówią to samo... Ale ta jest między nimi różnica, że inni recytują te słowa z pamięci jak lekcya, niejednokrotnie już wydawaną, a *Munio* je wypowiada intuicyjnie i z całym młodości zapałem. Że je wypowiada w tój samėj formie, nie jego to wina, boć przecie jednakie przyczyny jednakowemi muszą się objawiać rezultatami. To pół-dziecko rozkochane, marzące, tyraucznie narzucające mi się z uczuciem swoim, bezsilne i właśnie tą wiotką, bezsilnością zwyczajnie, ma w głosie takie intonacje a w oczach takie spojżenia,

które mi umie trafić, nie do serca jeszcze, ale do przekonania mego: *wierzę* że Munio mnie kocha, a ta wiara jest już we mnie postępowaniem niemałym. A jednak, jak w poprzednim liście moim, tak i dziś znowu ci powiem, że sama jeszcze nie wiem co z tego dalej będzie. Rzadko wprawdzie marzę, ale *mea culpa* zdarza mi się to czasami: wiesz dobrze Natalio, że przez chwilę marzyłam o innem uczuciu. Czas rozwiązał tamto marzenie, chociaż ono było nieskończenie dla mnie pojętne, chociaż nawet miało wszelkie pozory rzeczywistości; czas, a więc jeszcze rozsądek i trwożne przeczucia, które mnie ostrzegały że stanęłam na drodze niebezpiecznej. Dziś, mogę ci to już powiedzieć otwarcie, byłabym kochała pana Zygmunta miłością głęboką, wyłączną, miłością coby mi całą duszę i całe życie zabrać mogła. Ale dla mnie miłość taka, to spokój i swoboda całego mojego życia stawione na kartę... zmarnowane może! Takie miłości nie dają szczęścia, nie tworzą i budują, ale pochłaniają i niszczą... więc też strach mnie ogarnął paniczny i przestraszona, nawet wspomnienie pana Zygmunta postanowiłam na czas jakiś wygnać z mojej pamięci. Wtedy dopiero pozwolę wrócić wspomnieniu, kiedy w obecności tego człowieka, nawet na jedną chwilę serce nie zabije mi żywiżej... bo się boję serca własnego... A tymczasem pozwalam Muniowi mówić mi o swojej miłości, bo choćbym się nawet zgodziła na to, by mu wzajemnością odpłacić, to wiem że tę zapłatę dam spokojnie, więc więcej dlatego, żeby mu ona radość przyniosła, niż żeby mnie samą tak bardzo wiele na tém zależało. Cóżbyś ty na to powiedziała Natalio, żeby tak jeszcze trochę poczekawszy, wypróbawwszy wzajemności tego dzieciaka niepewnością w jakiej go trzymam, dała mu wreszcie słowo przyrzeczenia i poprostu poszła za Munia? On mnie kocha, ja się powoli przywiążę do niego, w jednym go trochę opanuję, w drugim sama pozwolę się opanować i koniec końcem będę mieć w życiu cel jakiś, a nie stracę tego spokoju na który się czasem skarzę, ale który, bądź co bądź jest wygodniejszym od burzy i uraganów, jakimi przeczuwam, otoczyłby mnie pewno pan Zygmunt. Pytam się tedy raz jeszcze, cobyś ty na to powiedziała, Natalio?

Michalina.

List XI.

MICHALINA DO NATALII.

Dnia 16 maja.

List mój ostatni zakończyłam pytaniem tém usilniejszym, że po dwakroć było powtórzone i nie czekam już twojej odpowiedzi, bo prawie mimo woli mojej, tak się jakoś rzeczy złożyły i ułożyły stanowczo, że odpowiedź twoja, Natalio, jakąkolwiek byłaby, nic już zmienić nie potrafi. Od tygodnia jestem narzeczoną Munia i doprawdy są chwile w których sama tak mocno temu się dziwię, że trochę więcej zadziwienia a jużby się ono żalem nazwać mogło. Bądź jak bądź, słowo jest dane; na tak niespodziewanie szybką decyzją wpłynął trochę arcy-dramatyczny wypadek, którego ofiarą był Munio, więcej jeszcze strach, którym mnie przejmują pani Helena, w zapale swojej macierzyńskiej miłości podobna do lwicy rozgniewanej. Wypadek ów był następujący:

Będzie już temu ze trzy tygodnie, jak chcąc skorzystać z pierwszych ciepłych promieni wiosennego słońca, wyszliśmy na spacer do lasu. Ja z Muniem szłam trochę na przód, dla powagi i przyzwoitości o parę kroków za nami pani Helena, której groźne spojrzenie łagodnieje zawsze ile razy spostrzeże na mojej twarzy uśmiech do Munia zwrócony. I bylibyśmy najspokojniej zaszli i równie spokojnie wrócili, gdyby mi się nie zachciało zbierać bukietu z tych ślicznych, błękitnych pierwiosnków, których pełno jest po lasach naszych. W tém romantyczno-sielankowém zajęciu Munio dopomagał mi gorliwie, we dwoje zbieraliśmy bukiet ogromny, ale „człowiek nigdy nie syt fortuny”, to rzecz wiadoma. Staliśmy właśnie nad brzegiem ogromnego rowu, pełnego wody ściekającej z wiosennych roztopów, na przeciwnym jego brzegu rosła cała kępka pierwiosnków tak ponętnie pięknych, że nie mogłam się oprzeć pokusie pokazania ich Muniowi i poskarżenia się, że tak trudno je zdobyć. Munio jako grzeczny młodzieniec, chciał dogodzić memu żądaniu, i rozpędziwszy się w biegu, spróbował rów przeskoczyć. Na nieszczęście miał więcej dobrych chęci niż zręczności i wprawy, i zamiast skoczyć na brzeg przeciwny, skoczył prosto w zi-

mną i po szyję głęboką wodę. Pani Helena krzyknęła, z początku i ja nawet przeraziłam się trochę, ale widząc że mu nie grozi żadne niebezpieczeństwo, nie mogłam powstrzymać uśmiechu, wywołanego komiczném położeniem w jakim znajdował się Munio. Uśmiech ten był oliwą do ognia dolaną, Munio zebrawszy się na bohaterską odwagę, chociaż w wodzie po samą szyję zanurzony, wyciągnął jeszcze rękę po owe kwiatki nieszczęsne. Widząc że mimo to, i teraz nawet dostać ich nie może, przedsięwziął wydrapać się na brzeg rowu oślizły i dość stromo nad wodą wzniesiony. Zimna kąpiel użyta nie w porę, dodaje widać elastyczności członkom, bo Munio bardzo zręcznie dopiął swego zamiaru i już zerwane pierwiosnki trzymał w dłoni, kiedy wilgotna ziemia osunęła mu się pod stopami i znowu wpadł w wodę, ale na wznak tym razem i głową na dół. Rzeczywiście położenie było takie, że rada nie rada i ja przestraszyć się musiałam; w pierwszej chwili niewiedząc jak poradzić na to nieszczęście, czułam się mocno zakłopotaną. Pani Helena całą siłą głosu krzyknąć zaczęła i ten krzyk, przeraźliwie głośny, zważył ludzi rąbiących drzewo w pobliżu. Wydobyto szczęśliwie przemokłego do nitki Munia: biedak dzwonił zębami, więc pani Helena zdjęła szal z siebie, żeby nim okryć jedy-naka, ale ja widząc że ogromnego, o głowę wyższego od siebie chłopca, matka otula szalem jakby dzieciątko maleńkie, uśmiechnęłam się znowu... i Munio szala nie wziął a nikomu z nas nie przyszło na myśl, że od którego z tych ludzi może przecie pożyczyć sukmany. Szedł więc do domu przemokły i jak w febrze cały drżący, a chociaż zaraz po powrocie ogrzał się przy ogniu kominkowym, chociaż poiłyśmy go różnemi rozgrzewającymi środkami, nic to już nie pomogło, Munio się naprawdę rozchorował i jeszcze tego samego wieczora z mocną gorączką położył się w łóżko. Na drugi dzień było mu jeszcze gorzej, wezwany lekarz oświadczył nam, że gwałtowne zapalenie płuc stawia go w prawdziwém niebezpieczeństwie. Pojmujesz moje przerażenie, ponieważ ja byłam przyczyną téj choroby; pani Helena patrzyła na mnie wzrokiem iskrzącym się od gniewu i wyrzutu, mnie samój szczerze było żal biednego Munia, który nie poznawał mnie w gorączce, choć nie odstępowałam go na krok i nieprzytomny, ciągle imię moje miał na ustach. Czułam się w obo-

wiązku otoczyć go jak najserdeczniejszą troskliwością, po raz może pierwszy w życiu, konwencyonalna obojętność mego obojścia ustąpiła miejsca miękkiej, pieszczotliwej, kobiecej prawdzie charakteru, i nawet gdy Munio oprzytomniał taką samą dla niego zostałam, bo mnie lekarz przestrzegał, że życie jego wisi na włosku i że lada gwałtowniejsze wstrząśnienie może mu śmiertelnie zaszkodzić. Nie chciałam więc wyprawiać go na tamten świat, bo się bałam pani Heleny i zresztą żal mi było biednego dzieciaka, co prawdziwie jak rozpierzchnione dziecko potrzebował patrzeć na mnie i mieć mnie ciągle przy sobie, któremu ja tylko jedna dogodzić umiałam, ja tylko potrafiłam chodzić tak lekko, że go nie raził szelest mojej sukni, tak podać lekarstwo lub napój, że kapryśny i niecierpliwy chory przyjął je z mojej ręki. Tą swoją bezsilnością, kaprysami, tém dziecinném rozpierzchnieniem swoim, opanował mnie tyranicznie, przykuł do siebie, przyzwyczaiłam się być mu nieodstępna, ulegać mu, dogadzać, uprzedzać nawet jego życzenia: przywiązałam się do niego jak do istoty której czułam się niezbędnie potrzebną... A jednak, gdy niebezpieczeństwo minęło, gdy wracający już do zdrowia Munio, nieśmiało i cicho wyszeptał mi jakieś słowa, z których raczej domyśliłam się niż usłyszałam, że to mać być o rękę moją suplika... zawahałam się mocno w odpowiedzi. Zawahałam się tak, że prosiłam Munia aby mi zostawił choć jeden dzień do namysłu: on zgodził się na to i przyrzekł mi że będzie spokojnym, ale widać nie miał siły dotrzymać mi tego przyrzeczenia. Niepokoił się i burzył, niecierpliwił się i miotał, aż wreszcie wróciła gorączka a pani Helena uwiadomiona przez niego o przyczynie która wywołała to pogorszenie, wbiegła do mnie z przerażającym impetem i cisnąwszy mi w oczy tysiącem wymówek powiedziawszy między innymi, że niegodziwie bałamuciałam Munia, że to zabawa nieuczciwa i mordercza, wyciągnęła w końcu ku mnie rękę i przybrawszy pozę właściwą posągowi jakiegś Eumenidy macierzyństwa, nazwała mnie: „zabójczynią syna”. Z filozoficzną obojętnością przeniosłam tę nawałnicę, mimo to rada jednak byłam jak mi przestała huścić nad głową, ale to gwałtowne pogorszenie Munia zaniepokoiło mnie żywo, opinia lekarza bynajmniej mnie nie uspokoiła, wreszcie nie wiedząc jak z tego wybrnąć, napół-nie-

przytomnemu już Muniowi szepnęłam pocichu, żeby był spokojnym, przypomniałam, że mi to przyrzekł i dodałam, że nie ma się czego obawiać, bo prawdopodobnie wypadek mego namysłu będzie właśnie takim, jakiego on pragnie. Te słowa poskutkowały cudownie, gorączka wywołana rozdrażnieniem umysłu czy nerwów może, natychmiast minęła, skoro tylko powód rozdrażnienia ustąpił, a pani Helena chwyciła mnie w objęcia z wdzięcznością i zapałem tak gwałtownym, że tylko poprzednie jej wybuchy pod względem gwałtowności równać się z nim mogły. Od tej pory, Munio rozpromieniony radością z każdym dniem do sił powraca i dziś już prawie całkiem jest dobrze, skutkiem czego pani Helena nazywa mnie jego zbawczynią... i zapewne z tym przydomkiem zostanę już na zawsze.

Otóż widzisz Natalio moja, jakim sposobem chcąc mieć kilka kwiatków więcej, dostałam męża i gwałtowną w uczuciach matkę mężowską. Powtarzam ci, temu co się stało, nikt więcej odemnie się nie dziwi... chyba jedna Tola, która widać musiała się czegoś domyślać, bo udzielona jej przeze mnie wiadomość o zaręczynach z Muniem, była dla niej widocznie największą i o ile mi się zdaje, najmniej przyjemną z niespodzianek. Pan Jerzy wyjeżdża za kilka dni, zapewne więc niedługo przyjedzie pan Zygmunt... ciekawam naszego pierwszego spotkania. Choć zaczynając ten list, zapowiedziałam ci z góry, że słowo twoje nic nie wpłynie na fakta nieodwołalnie już spełnione, powiedzże mi jednak, co myślisz o tém wszystkim, boć przecie musisz coś myśleć, choćby dwa słowa tylko a musisz mi coś powiedzieć z powodu mego postanowienia, przyczyn które na nie wpłynęły i tego wszystkiego, o czém od godziny już rozmawiam z tobą, zawsze jednakowém uczuciem kochająca cię. *Michalina.*

List XII.

NATALIA DO MICHALINY.

Dnia 24 maja.

Cóż ja ci powiedzieć mogę i co chcesz żebym ci powiedziała Michalino? Jeżeli ty się dziwisz, to z pewnością i ja dziwię się także; jeżeli ty nie żałujesz, to ja żałować mam prawo, nietyle może tego, że idziesz za owego Munia (którego ja w prawdzie znam mało, ale którego ty sama nazywasz

dzieciakiem) jak tego, że się tak bawisz z życiem, ty kobieta zkądinąd tak poważnie na życie i obowiązki jego patrząca. Nie rozumiem ciebie... nie rozumiem zupełnie i po raz pierwszy w życiu nawet rozumić nie chcę;... bo się lękam żeby zrozumienie ciebie dokładnie, nie obniżyło tego wysokiego stanowiska, na jakim w myśli mojej i uznaniu, przywykłam cię stawiać zawsze. Wytłumacz mi po co idziesz za Munia? ty go nie kochasz. Złękłaś się, powiadasz, wyrzutów pani Heleny i cheroby Munia? ależ Michalino moja, po co dopuściłaś do tego, że matka czuła się w prawie robienia ci wyrzutów, a syn dopominania się tak namiętnie, tak despotycznie o miłość twoją? Jeżeli w samej rzeczy, poczucie uczciwości powiedziało ci, że zaszedłszy za daleko, już niemasz innego punktu wyjścia, to zapewne... trudno było zrobić inaczej; ale w nadziei mojej i pragnieniu inną drogę widziałam dla ciebie i myślałam że zechcesz poszukać szczęścia w poważnej miłości człowieka dojrzałego tak sercem jak i umysłem, nie w szalonym rozkochaniu dzieciaka. Stało się, daj Boże aby się to obróciło na dobre, abyś nie pożałowała swego kroku i *nikt* nie cierpiał na tém, a przede wszystkim niech ci Bóg odejmie tę ciekawość, do której się przyznajesz. Ze wszystkich względów, uważam ją za niedobłą. Taka ciekawość, jeżeli jej współczucie nie towarzyszy, jest niepoczciwą, tylko złą, bezserdeczna kobieta, może być obojętnie ciekawą w takim razie, ty nią przecie nie jesteś. A narzeczona Munia nie ma prawa być ciekawą i współczującą razem, nie ma prawa litować się i uważać, bo raz już się przekonała, że litość i współczucie prowadzą ją dalej niżby sama zająć pragnęła, więc zapewne raz drugi próbować już tego nie zechce. Daj już pokój tym studjom psychologicznym Michalino, ja patrzę na ciebie z trwogą matki, która widzi że malutkie jej dziecko bawi się z ostrym nożem a nie może mu go odebrać... nie dodawaj mi niepotrzebnie trwogi, nie płacz swego życia nierozważnie, bo tak się możesz uwikłać, że ci się serce rozedrze, gdy zapragniesz wydobyć się z tej gmatwaniny. Znadto cię kocham, żeby mi nawet przypuszczenie podobne mogło być obojętném, w każdym razie licz z pewnością na to, że moja przyjaźń nie zawiedzie cię nigdy.

Natalia.

List XIII.

ZYG MUNT DO TOLI.

Dnia 20 maja.

Czuję siostrę kochaną, że zaczynasz się niecierpliwić długą moją niebytnością i może mnie posądzasz o niechęć dotrzymania ci obietnicy przyjazdu. Ale wierzaj mi, stokroć więcej od ciebie ja sam się niecierpliwię na zbieg okoliczności, który mi się nie daje ruszyć z domu, a jeżeli ty pragniesz widzieć mnie w Podzamczu, to z pewnością z pragnieniem daleko gorętszém myśl moja wyrwa się do was; ale powtarzam ci, do téj pory dom mój i ten otaczający mnie świat, którego w swoim przekonaniu, każdy pan domu jest ogniskiem, krępowały mnie tak, że wola moja, pragnienia i nadzieje musiały się poddać przemocy obowiązku i umilknąć na chwilę z wołaniem swoim. Dziś jestem już wolny i za parę dni wyjeżdżam do was. Jakby na uczucie rodzonej siostry, tak liczę na twoją przyjaźń, czy nic, ze wszystkiego na co liczę, nie zastanę u was zmienném? wyjechałem z *dobrą myślą*, czy rzeczywistość jaką za powrotem zastanę, nie odbierze mi téj dobrej myśli, co mi jest nadzieją szczęścia, jak nadzieja ukochaną i świętą? *Zygmunt.*

List XIV.

ZYG MUNT DO ANIELI.

Dnia 30 maja.

Aniello, straszne są życia ironie i straszne jego zawody! Jechałem do Podzamcza rozkochany, szczęśliwy; ufny że obietnica wyczytana w oczach kobiety jest taką uczciwą obietnicą, na dotrzymanie której, mniej więcej długi przeciąg czasu nie będzie wpływać niekorzystnie. Jam się łudził nadzieją, że budzące się w sercu kobiecém uczucie, rozwinię się w kwiat trwalszy, niż owa darowana mi róża, której uszłe listeczki z miłością dotychczas chowałem... złudzenie marne, złudzenie Aniello! ja byłem śmiesznym szaleńcem. Po pierwszych słowach przywitania, nie mogłem przemódz na sobie żeby Toli natychmiast nie zapytać o panią Michalinę, stęskniony byłem za wieścią o niej, stęskniony za samym dźwiękiem jej imienia. Powiedziała mi Tola, że pani Michalina idzie za mąż, za kogo? za dalekiego krewnego, za pół-dziecko przez matkę wypieszczone, rozkochane w niej podobno

szaloną, namiętą miłością młodzieńczą. Czy ona go kocha? nie miałem już siły pytać o to, musi go kochać, musi wierzyć że jego miłość da jej szczęście, kiedy nie chciała być ufną, cierpliwą, nie chciała poczekać na chwilę w której wróciwszy do Podzamcza, rzuciłbym jej serce moje pod nogi i nie cofnął się przed żadną ofiarą aby jej stworzyć raj szczęścia. Zapóźno! czy ty pojmujesz Anielo, otchłanie rozpaczy, które to jedno słowo zawiera w sobie? Być tu, być blisko niej, móż ją spotkać lada chwila, i wiedzieć że ta upragniona chwila spotkania będzie dla niej chwilą objętą, dla mnie, męczarnią nad siły!... to rzecz okropna i gdy myślą mierzę te bezdenne przepaście boleści, otwarte przedemną, to mi się w głowie kołuje i myśl skargą wybucha szaloną! Jam ją tak kochał, tak ją kocham jeszcze Anielo! że nic w sercu nie czuję prócz żalu, nie do niej, ale żalu za nią, nie czuję nic więcej, nawet dumy obrażonej tą jej niewiarą w prawdę miłości mojej. Zapóźno! zapóźno! to jedno słowo echem żałoby rozlega mi się po myśli, zapóźno na szczęście, zapóźno na nadzieję, zapóźno na życie całe! Gmach moich nadziei, zbudowany na podstawie złudzenia, w gruzy się rozpadł na zawsze, a z gruzów nowa budowa nie wstanie! Anielo! to rzecz jest straszna!... stoję na drodze bez wyjścia, niepodobieństwem dokoła otoczony, kochający a odepchnięty wszystko co świętecznym życia orszakiem przejdzie mimo mnie samotnego mijając; zrozpaczony jestem i oszalały boleścią, która morzem bezbrzeżnym w sercu mi się rozlała. Miłość ta rozbroiła mnie ze wszystkiej siły, co mi była dotąd bezpieczną tarczą od pocisków losu, zdobycze przeszłości, jutrzejszych plonów obietnice, wszystko mi z duszy zabrała. Zubożałem, a wszystkie rzetelne wartości moje straciłem się samego i przeżyłem... zmarnowane i zniweczone jest we mnie wszystko, co bogactwem mojem było dotąd... Co ja pocznę Anielo, ja rozbitek miotany falą namiętności?

Zygmunt.

List XV.

ANIELA DO ZYGMUNTA.

Dnia 8 czerwca.

Odwagi! mój bracie ukochany, odwagi. Niespełniona nadzieja to boleść wielka, ale Bóg tak opatrnie życie urządził, że nie ma w niem nieodwołalnych wyroków rozpaczy.

Dzień po dniu, chwila do chwili nanosi do serca drobniutkie niepostrzeżone pyłki i przykrywa niemi to wszystko, co w naszym mniemaniu przez całe życie niestartém być miało. Cierpi się, płacze, pamięta, aż w końcu przecierpi, przepłacze, zapomni... i dalej pójdzie swoją drogą: to zwykła kolęd życia. Bogatsze, szlachetniejsze organizacje, co samém bogactwem swoim i siłą wyniosła, ściągają w siebie piorunowe pociski losu, cierpią dłużej, krwawszemi płaczą łzami, a jeśli nadmiar żywotnej potęgi w nich złożonej nie dozwoli im zdrętwieć zapomnieniem, to się łamią, jak dąb od piorunu.

Ale ty się nie złamiesz, Zygmuncie, ty wytrwasz i choć może nie zapomnisz, to boleść pokonasz, bo przy duchowém bogactwie i siły moralnej zasobach, masz jeszcze poczucie obowiązku, boś człowiek myśli, pracy i poświęcenia, a choć myśl bywa często trucizną, to praca i poświęcenie są zawsze lekarstwem niezawodnym. Odwagi mój Zygmuncie! Nie mówię iż przestań kochać, bo z tajemniczą potęgą miłości ludzkiej woli nie iść w zapasy; nie potępiam pani Michaliny, ani tobie powiadam, że taka kobieta nie jest godna uczucia twojego, bo nie chcę jęj sądzić aż wtedy dopiero kiedy żal, żalem twoim wywołany, uciszy się w sercu mojem; ale cię proszę kochającej i wiernej siostry prośbą: nie poddawaj się boleści Zygmuncie! nie zmarniej w niej ty, mój bracie serdeczny, coś mi był dotąd ideałem zacności i siły męskiej, ideałem takim co nigdy z wyżyn swoich nie zstąpił w tłum pospolitości naszych. Chwyć się oburącz jakiegóś nadziei, jakiegóś celu, choćbyś cel i nadzieję miał sobie zdobyć przemocą lub trudem krwawym; okaż się silniejszym od nieprzyjaznych warunków życia, silniejszym od boleści co karli nieraz olbrzymy, bądź spokojnym i mężnym, jak nim być powinien każdy kto jak ty, cele życia rozumie. O spokój i męstwo, serce moje miłością prosi Boga dla ciebie.

Aniela.

(Dalszy ciąg nastąpi).



MOJŻESZ.

Mojżesz rozdarł swe szaty, w proch uderzył czołem.

Lud jego zgrzeszył—on widzi.

On był jego prorokiem, wodzem, apostołem,

On go kochał jak ojciec, jak brat cierpiał społem:

Śmierć dlań zniósłby z rozkoszą. A dziś!... dziś się wstydzi—

On za lud swój! Dziś się brzydzi

Sam sobą, bo nienawidzi

Sam w sobie, tego, co czuje.

Bo czuje, że nie miłuje,

Że wątpi, on o swym ludul

Bo czuje, że nie wart cudu,

Nie wart, co Pan mu przeznacza.

Czuje, widzi, i rozpacza.

„Paniel wiem żeś Wszchemocny, wiem żeś Miłosierny,

Lecz wiem... żeś Ty Sprawiedliwość.

Coś obiecał, dawałeś; lecz lud ten niewierny

Zmarnował Twą szczodroblliwość.

Głupi lud, bez rozwagi i bez roztropności!

Z darów Twych rośł tylko w butę:

W karach Twoich nie uznał win swoich i złości,

Podwajał grzech, nie pokutę;

W gniewie swym, gniewu Twego chciał kruszyć narzędzia,

Zamiast go skruchą rozbrajać,

Cóż za dziw, żeś Pan i Sędzia!

Każń tylko musiał podwajać?

„A wielkie były dary, coś nań zlewał, Paniel

Jak orzeł młode orłęta,

Tyś go sam na swych skrzydłach podniósł na latanie,

Sam jego pokruszył pęta,

Sam wywiódł z domu niewoli,

Postawił między narody,

By w posłuszeństwie Twój woli

Dał wzór prawdziwej swobody.

A on!... rozwierzał się miły
Przeciw Twój władzy i właści!..
Pokruszył szranki, co były
Poręczem brzegów przepaści.
Z każdą pokusą się swatał,
Każdym prorokiem pomiatał,
Przed każdym cudzym bałwanem
Zapomniał, żeś Ty jest Panem,
Aż jak on praw Twych tablice,
Tyś go zdruzgotał na nice.

„I jemużto ma być dana
Ta ziemia Twa obiecana,
Płynąca mlekiem i miodem?
Onto ma być tym narodem,
Co jak lud z ludem nawzajem,
Ziemię miał złączyć znów z rajem?...
Tyś chciał—lecz biada mu, biada!...”

— „Stój!—głos-grom zabrzmiał z wysoka.
„Milcz, słuchaj! Pan odpowiada.

„Kto dał sąd ustom proroka?
Kto śmie chcieć sądów Mych dociec?—
Jam Pan—lecz Jam jest i Ojciec.

„Ty widzisz fale—Ja widzę
Dno mórz. Serc głębie, Ja zmiierzam.
W gniewie Mym nie nienawidzę,
Karząc—nie zemsty domierzam.
Znam lud Mój—ze Mnie wziął ducha.
Tyś o nim zwątpił, lecz nie Ja..

„Pokuta z win go oczyści,
Wiara i miłość w nim ziści
Cel mego w nim przeznaczenia.
Bo wiedział tylko dla zwątpienia,
I tylko dla nienawiści
Nie ma u Mnie przebaczenia!

„Tyś zwątpił, sługo wybrany!
Lecz przez miłość ludu twego,
Ujrzyś więc kraj obiecany,
Lecz sam nie wejdiesz do niego!”

A. E. Odyniec.



HISTORYCY POZYTYWIŚCI:

Buckle, Draper, Kolb.

STUDYUM KRYTYCZNE.

NAPISZE

Tadeusz Korzon.

Wielkie zdobycze, poczynione w dziedzinie nauk przyrodniczych, oraz wzrost młodocianych umiejętności, jakimi są: statystyka, ekonomia polityczna i geologia, muszą wywrzeć wpływ na wszystkie gałęzie wiedzy, mające do czynienia z człowiekiem. Filozof, prawnik, historyk niewątpliwie będzie musiał zmodyfikować nie jedną z dotychczasowych opinij, dodać nie jeden paragraf do swoich naukowych systematów. Filozofia pozytywna, głoszona niegdyś dla szczupłej liczby czytelników przez Augusta Comte'a, nabywa coraz więcej zwolenników i coraz odważniej dobija się wpływu na umysły wszystkich myślicieli. Spostrzegając, że myśl ludzka badała zagadnienia filozoficzne naprzód sposobem teologicznym; czyli, jak chce Mill, podmiotowym, dowolnym, potem metafizycznym czyli abstrakcyjnym, a w końcu przyjść musi do sposobu pozytywnego, to jest na doświadczeniach i badaniu zjawisk opartego; głosząc zasadę, że w świecie przyczyna każdego zjawiska nie jest nadprzyrodzoną, ale naturalną: pozytywiści usiłują ująć historią w karby nauki ścisłej i, przerzucając odważnie nagromadzony materiał dziejowy, zapowiadają wykrycie praw rozwoju ludzkości. Rezultaty dotychczas nie odpowiadały świetnym obietnicom; nie można wszakże zaprzeczyć, żeby pozytywiści nie poczynili wielu ważnych spostrzeżeń, nie rzucili wielu świeżych myśli, które dla historyka nie mogą być obojętnymi.

Z liczby ogłoszonych temi czasy publikacyj tego rodzaju największe wrażenie sprawiły: Buckle'a „Historya Cywilizacyi w Anglii” i Draper'a „Historya Umysłowego Rozwoju Europy”. Obecnie świeżo opuściła prasę: „Historya Wszelchudzkiej Cywilizacyi” Kolba, powitana uprzejmie przez publiczność, gdyż, jak powiada autor w przedmowie, liczba zamówień wzrasta z każdym nowym zeszytem; w czasie odbijania pierwszego tomu zgłaszano się już o pozwolenie przetłumaczenia dzieła na języki francuzki i angielski, przekład zaś na język hollenderski już się ukazał. Kolb, ma na celu spopularyzowanie zasad pozytywistowskich; żeby więc mieć klucz do zrozumienia głoszonych przezeń teoryj, należy poprzednio zaznaczyć wyniki z dzieł Buckle'a i Draper'a

I.

Buckle.

History of civilization in England, 3 tomy. (Cytaty podług tłumaczenia Wł. Zawadzkiego. Lwów 1865—1868 roku).

Na pierwszych kartach swojego dzieła Buckle twierdzi, że historycy dotychczas gromadzili tylko materyał surowy; że przedstawiali na samém opowiadaniu zdarzeń, ożywiając je gdzieś jakąś moralną lub polityczną uwagą, która im się wyda mniej więcej stosowną lub użyteczną; że zabierając się do pracy bez obszernych przygotowawczych studyów w zakresie innych umiejętności (szczególnie przyrodniczych) postradali pomoc analogii i wzajemnych pojaśnień; że u samych tylko historyków nie znajdujemy dość żywej wiary w istnienie praw ogólnego porządku wśród chaotycznego wiru wypadków. „Najstawniejsi historycy widocznie niżej stoją od znakomitych badaczy przyrody. Nie masz jednego z nich, który pod względem siły intelektualnej mógłby się równać z Keplerem, Newtonem i innymi (I, str. 5—6).” Następnie Buckle stawia: „obszerną kwestyą, będącą rdzeniem całego przedmiotu, czyli czynnościami człowieka a zatem i całych społeczeństw rządzą stałe prawa, lub też ażali czynności te nie są wynikiłością bądź przypadku, bądź nadnaturalnych wpływów?” (I, 6). Teolog odpowiada na to teoryą konieczną związku, przyoblekając ją w formę religijną; metafyzyk zaś, mając na uwadze głównie przypadkowość zjawisk, tworzy teoryą „wolnej woli”. Pozornie Buckle nie chce rozstrzygać tego delikatnego przedmiotu, w istocie zaś oświadcza się jasno przeciwno zasadzie wolnej woli, gdyż za punkt wyjścia obiera następujące twierdzenie: „że kiedy wykonywamy jaką czynność, wykonywamy ją skutkiem jakowéjs jednej lub kilku przyczyn czyli powodów, że te przyczyny podobnie są następstwem poprzednich, a zatem gdybyśmy znali wszystkie antecedenecy i wszy-

stkie prawa działania, moglibyśmy z nieomylną pewnością przepowiedzieć wszystkie ich bezpośrednie skutki (I, 15). Nareszcie daje nowe określenie historii: że jest wzajemnym oddziaływaniem człowieka na przyrodę a przyrody na człowieka (str. 16—17 i szczegółowy wykaz treści).

Zatrzymajmy się na chwilę. Ogarnąwszy okiem liczny poczet pracowników na polu badań dziejowych, że wymienię Guizota, Thierry'ch, Rankego, Niebuhr'a, Schlosser'a, Mommsen'a, Prescott'a, Macaulay'a, synologów, egiptologów, assyryologów—widzimy, że cała ich praca, nieraz zdumiewająca świetnością rezultatów i ogromem energii umysłowej, była skierowana ku wytworzeniu dokładnego obrazu *życia* ludzkości na rozmaitych szczeblach rozwoju, ku wyjaśnieniu początków, wzrostu i charakteru, rozmaitych cywilizacyj. Godzi się więc wątpić, żeby historycy zechcieli przyjąć zacytowaną tu definicyą Buckle'a. Miemanie ich zapewne nie wieleby go obeszło, gdyż bardzo często mówi o historykach z lekceważeniem a nawet z pogardą, ale obowiązkiem jego było określenie swoje we wszystkich częściach własnego dzieła przeprowadzić. Tego przecież nie uczynił, bo oddziaływanie sił przyrody przedstawił tylko w krajach pozaeuropejskich (Egipcie, Indyach, Meksyku, Peru); co do Europy zaś zdecydowawszy odrazu, że tu duch zwycięża przyrodę, zajął się wyłącznie badaniem ducha narodów europejskich, dotknął zlekka tylko charakterystyki przyrodniczej w Hiszpanii i Szkocji, a wcale ją pominął we Francji i Anglii. Nareszcie wyciągnięte ze wszystkich jego badań cztery główne twierdzenia, które niżej przytoczymy, są czysto intelektualnej treści, a śladu tej walki człowieka z przyrodą nie zawierają wcale.

Dalęj w sławnym ustępie, który może najwięcej przysporzył mu zwolenników, Buckle dowodzi prawidłowości w następstwie pojawów duchowych przykładami ze statystyki co do powtarzania się morderstw i zbrodni, co do samobójstw, co do liczby zawieranych corocznie małżeństw, jako też co do liczby mylnie zaadresowanych listów. Ustęp ten, napisany głównie pod wpływem dzieła Quetelet'a (*Sur l'Homme*) zawiera mnóstwo świetnych pomysłów, mnóstwo błyskotliwych frazesów, ale powiedzmy otwarcie, gruntownego dowodu nie dostarcza, nie wpaja *niezawodnego przekonania*, że czynności w ścisłym z prawami przyrody pozostają związku (I, 28). Cyfry, przytaczane przez Bucklea nie są tak wymownemi jak jego słowa; tak np. liczba samobójstw w Londynie 1846—1850 roku, zawiera się pomiędzy 266 i 213; przyznajmy że *maximum* zbyt daleko odbiega od *minimum*. Przeglądając dzieło same Quetelet'a (obecnie ukazało się nowe wydanie), któż nie zauważył wielkiej chwiejności w tablicach statystycznych, narzekań samego autora na niedokładność wielu obliczeń, lub na trudność umiejętnego gruppowania cyfr, w końcu ubóstwa materiału do usprawiedliwienia ponętnych wprawdzie, ale częstokroć zbyt śmiałych wniosków. Poprzestaniemy na jednym

tylko przykładzie *ad hoc*. Quetelet (1) powiada: „A jednak doświadczenie przekonywa, że nie tylko morderstwa ponawiają się corocznie prawie w tej samej liczbie, ale nawet narzędzia, służące do dokonania takowych, używają się w tych samych stosunkach. Na dowód przytacza tablicę, czerpaną ze sprawozdań sądownictwa karnego we Francyi z lat 1826—1831. Otóż cyfra morderstw ogólna zawiera się pomiędzy 227 (w r. 1828) a 266 (r. 1831); pozycye zaś szczególne zawierają pomiędzy innemi takie dane: fuzya i pistolet 56 (r. 1826) do 88 (r. 1831) to jest maximum przeszło o półtora raza większe od minimum; szabla, szpada, sztylet i t. d. 7 (w r. 1827) do 30 (w r. 1831) to jest przeszło 4 razy więcej; topienie i zepchnięcie od 1 (r. 1829), do 16 (r. 1827). Porównajmy te cyfry z późniejszymi, czerpanymi z takiegoż sprawozdania przedstawionego Napoleonowi III przez b. ministra sprawiedliwości Delangle'a w 1860 roku (2). Oskarżonych o morderstwo było:

w roku	1851	—	196
„	1852	—	169
„	1853	—	147
„	1854	—	87
„	1855	—	94
„	1856	—	95
„	1857	—	99
„	1858	—	114

to jest minimum 87, maximum 196, a w dodatku cyfry te po upływie lat 20 wcale nie są podobne do cytowanych poprzednio. Czyż nie zawodzą one świetnych nadziei rozbudzonych przez obu filozofów? Czyż prawidłowość wyrażona w cyfrach 87—266, lub 1—16 może iść w porównanie nie tylko np. z prawem fizycznym, że siła atrakcyi jest w odwrotnym stosunku do kwadratów odległości, ale nawet z cytowaną przez Buckle'a (1, 25) teorią parallelogramu sił, która przy zastosowaniu w mechanice podlega pewnym zboczeniom? Nie pojmujemy więc dlaczego Buckle dziwi się, że różnice te i zmiany nie są jeszcze daleko większe i z kąd mógł powziąć wyobrażenie, jak cudowną jest potęga tych rozległych praw społecznych (I, 26). Co do nas, *wierzymy* wraz z Bucklem że i w świecie moralnym i w życiu ludzkości muszą być stałe prawa; lecz obok tego sądzymy, że badacze posiadają jeszcze nader mało danych, aby te prawa określić, doniosłość i warunki działania ich poznać, żeby ułomne i niedokładne wnioski dotychczasowe poważnym mianem naukowego pewnika ochrzcić. Dokładne zbadanie tych praw należy odsunąć do odległej, nie dającej się obliczyć przy-

(1) *Physique Sociale* 1869. Tom I, str. 95, 96.

(2) *Compte général de l'administration de la justice criminale en France pendant l'année 1858, présenté a S. M. l'Empereur par le Garde des Sceaux, ministre de la Justice. Paris. 1860. Rapport p. VI.*

szłości; tymczasem mogą one stanowić tylko artykuł wiary, przecucia, ale nie wiedzy.

Rozwijając podaną powyżej tezę o wzajemnym stosunku człowieka ze światem zewnętrznym, Buckle bada w rozdziale drugim wpływ praw fizycznych na organizację społeczeństwa i analizuje działanie czterech czynników fizycznych: klimatu, żywności, gleby i ogólnych zjawisk przyrody. W dziełach historyków geografia była zaliczoną do rzędu nauk pomocniczych; dzieje szczególnie państw starożytnych zwykle bywały poprzedzane mniej więcej starannymi przeglądami fizyczno-geograficznych cech każdego kraju, dawały one wszakże zaledwo ogólne wyobrażenie o wpływie natury na człowieka. Buckle w traktowaniu tego przedmiotu zużytkował ogromny zasób wiadomości z nauk przyrodniczych i z ekonomii politycznej, rozwinął niepospolitą przenikliwość i trafność sądu. Sposstrzegając naprzód, że w strefach umiarkowanych i chłodnych człowiek musi używać do pożywienia substancyj azotowych i kosztownych, w strefach zaś gorących wystarczają tańsze pokarmy bezazotowe, krochmalowe, wnioskuje że w krajach podzwrotnikowych ludność musi wzrastać prędzej, a ztąd wynika mnogość robotnika, niska stopa zarobków, wysoka stopa procentów, nader nierówny podział bogactw, bajeczne zbytki klas wyższych i niezmierną nędza klas niższych, które też muszą popaść w ciemnotę i niewolę. Długim szeregiem faktów przekonywa, że te właśnie przyczyny klimatyczne, fizyologiczne, geograficzne i ekonomiczne wytworzyły zupełnie podobne cywilizacje w Indyach, Egipcie, Meksyku i Peru z kastami, przewagą stanu kapłańskiego, olbrzymiami a bezużytecznymi budowlami, nad którymi pracowały setki tysięcy ludzi, i nareszcie z późniejszą stagnacją umysłową. Potém dowodzi że ogólny obraz otaczającej przyrody, groźne zjawiska, a szczególnie trzęsienia ziemi działają przedewszystkiem na wyobraźnię i usposabiają do zabobonności, odwodzą zarazem umysł ludzki od dróg naukowego badania. Przez zestawienie mnóstwa faktów naukowych rzucił on nowe a bardzo silne światło na stan i pochodzenie pierwotnych historycznych społeczeństw. Każdy historyk, jestem tego pewny, przyzna mu wielką zasługę za to, że potrafił w tak świetnej formie i z tak rozległym poglądem uczynić przystępnymi i zastosowanymi owoce badań, prowadzonych w obozie naturalistów, z którymi niestety! pomimo natarczywej argumentacji Buckle'a, historycy zostają i muszą pozostać w bardzo dalekich stosunkach. Ktokolwiek zechce teraz pisać historią powszechną na większą skalę, niewątpliwie wprowadzi do swjej opowieści całą treść tego znakomitego rozdziału.

Ale musi to być niezbędnem następstwem słabości ludzkiego rozumu, że każdy prawie badacz, zapuszczający się na nowe, nieutorowane jeszcze drogi, w dziewicze lasy wiedzy, musi popaść w jednostronność i przesadę. Filozof tak rozległego i tak oryginalnego umysłu, Comte, co mógł ogarnąć i na nowo rozklasyfikować wszystkie nauki, co nakreślił plan nowej umiejtności (So-

cyologii) w dziele: „Cours de Philosophie Positive,” skończył na utopii obrażającej najprostsze zasady zdrowego rozsądku i najdroższe prawa człowieka (1). Wskazał on metody badania, rozwinął długi szereg sposobów, jakimi umysł ludzki może się posługiwać do wykrycia praw, rządzących zjawiskami i cóż wykrył przy pomocy tych sposobów? Oto—nowy plan urządzenia Ludzkości z trzema bankierami na czele rządu cywilnego, z arcykapłanem na czele kasty filozofów pozytywnych, którzy mają na rozkaz opracowywać i rozstrzygać przedłożone im kwestye naukowe; z biblioteką ułożoną przez samego Comte'a i nakazem niszczenia wszystkich innych dzieł nie objętych katalogiem jego; z „parami zasadniczymi” stanowiącemi jądro rodziny, w której kobieta ma być usuniętą od wszelkiej pracy zarobkowej, a mężczyzna po ukończeniu 63 lat wieku ma oddawać władzę synowi; z nakazem tępienia wszystkich zwierząt i roślin szkodliwych; z nowemi prawidłami poezyi i prozy, jakoto: że każdy tom naukowy ma się składać z 7 rozdziałów, każdy rozdział z 3ch części, każda część z 7 sekcyj; te znowu z 7 grupp, frazesów etc. etc. A i to jest ciekawe, że Comte oznaczył nawet czas kiedy taki plan przeobrażenia Ludzkości wejdzie w życie; potrzeba do tego ni mniej ni więcej tylko 33ch lat, podzielonych na trzy okresy: siedmioletni do przyjęcia wychowania publicznego pod władzę pozytywizmu; pięcioletni, po upływie którego cesarz Francuzów złoży władzę w ręce trzech znakomych proletaryuszów; w ostatnim zaś okresie, mającym trwać lat 21, reforma we wszystkich szczegółach przeprowadzoną zostanie.

Podobne, acz mniej silne zboczenie od bitych dróg normalnego rozumowania spostrzegamy w Buckle'u zaraz już w następnych rozdziałach. Wnioskując że metoda historyczna badania jest lepszą od metody metafizycznej powiada on: „Pozostaje nam obecnie zbadać w jaki sposób za pomocą rzeczonyj (historycznej) metody można najłatwiej wykryć prawa duchowego postępu? Gdy przedewszystkiem zapytamy: jaki jest ów postęp? Odpowiedź zdaje się bardzo prosta. Jestto dwojaki postęp: obyczajowy i umysłowy. Pierwszy odnosi się więcej do naszych powinności, drugi do naszej wiedzy (I, 147). Zaczem powstaje teraz pytanie, który z tych dwóch czynników postępu ducha ważniejszym jest? (I, 148). Owóż dosyć mieć jaką taką znajomość historyi, aby obaczyć że ta miara (obyczajów i wiedzy) podlega ciągłej zmianie i że nigdy nie jest zupełnie taką samą w najpodobniejszych nawet do siebie krajach, lub w dwóch następujących po sobie pokoleniach w jednym i tym samym kraju.... Mamy zatem podstawę na której bezpiecznie oprzeć się możemy. Wiemy że główną przyczyną czynności ludzkich jest nadzwyczaj zmienna (I, 151). Mierzac tym miernikiem

(1) Szczególnie w 4ch ostatnich traktatach 1851—1856 r. Patrz J. S. Mill, Aug. Comte et le Positivisme, tłumacz. Clemenceau. Paris. 1868. str. 133—212.

powody moralne czyli owe popędy zwane instynktem moralnym, ujrzymy odrazu jak niezmiernie mały wpływ wywarły one na postęp cywilizacji. Nic bowiem niezaprzeczenie nie znajduje się w świecie, co by tak małym uległo zmianom, jak owe wielkie dogmata, będące podstawą systemów nauki moralności. Czynień dobre innym, poświęcać dla ich dobra własne życzenia, kochać bliźniego jak samego siebie, szanować rodziców i przełożonych, te i kilka jeszcze tym podobnych przykazań stanowią całą istotę nauki moralnej; ale one były znane już przed tysiącami lat i ani jednej literki nie przysporzyły do nich kazania, homilie i księgi nabożne, ile ich tylko zdołali napisać wszyscy razem wzięci moralisci i teologowie" (I, 152).

Dowodzi następnie, że umysłowe „prawdy” zmieniają się niustannie, że zatem tylko postęp wiedzy może służyć za skalę sądu o rozwoju cywilizacji i że do wykrycia praw ducha dosyć jest badać stan wiedzy ludzkiej. Za dowód zaś, mają starczyć przykłady brane tu i owdzie z historyj rozmaitych narodów i epok, bez uwzględnienia sfery otaczającej fakt dany, przykłady czasem trafne ale niedostateczne, czasem znów sprzeczne z wygłoszoną zasadą lub rażące przesadą. Tak np. dowodząc że z postępu wiedzy wynika upadek ducha wojowniczego, sam wylicza najznakomitszych mężów stanu, poetów, historyków, filozofów greckich (pomiedzy innymi Solona, Eschyleasa, Tucydyesa, Sokratesa), którzy wszyscy byli żołnierzami w najświetniejszych chwilach greckiej cywilizacji (I, 168) lub wygłasza takie sentencje: „Olbrzymie zbrodnie Alexandra W. i Napoleona, niktą z upływem czasu bez skutku” (I, 189), lub że Wellington nie miał sobie równego na polu bitwy (I, 170), lub podobne: „Słusznie można powiedzieć o Adamie Smicie, bez obawy popadnięcia w sprzeczność, że pustelnicy ten Szkot przyczynił się więcej ogłoszeniem jednego dzieła do szczęścia ludzkości, jak wszyscy razem wzięwszy najzdolniejsi mężowie stanu i prawodawcy, o których historia dokładne zachowała nam wiadomości (I, 182).” Podobnych wykrzykników można znaleźć mnóstwo, wiele z nich możnaby zresztą poczytać *lapsus calami*: ważniejszą jest rzeczą, że, rozwodząc się obszernie nad metodami badania, zgromiwszy metodę metafizyczną i przedstawivszy w najświetniejszych barwach metodę indukcyjno-historyczną, na pierwszym kroku, za podstawę swojej teorii postępu użył idei czysto-metafizycznej, jak Kant lub Hegel. „W zwykłym sposobie mówienia nasuwa się tu na myśl, że moralne i umysłowe władze człowieka stają się z postępem cywilizacji bystrzejszemi i silniejszymi, jak były pierwotnie w stauie natury. To wszelako jakkolwiek może być prawdą, nie jest niczém zgoła udowodnione... W obecnym stanie umiejętności nie możemy przyjąć z pewnością, że zaszło istotne ulepszenie moralnych i umysłowych władz człowieka, ani téż nie mamy dostatecznych powodów utrzymywać, że zdolności te są prawdopodobnie większe u dziecka urodzonego w najucywilizowańszej stronie Europy, jak u tego, które przycho-

dzi na świat w najdzikszym zakącie barbarzyńskiego jakiego kraju" (I, 148, 150). Następnie w przypiskach zacytował wskazówki z rozmaitych badań nad dziedzicznością usposobień temperamentów, powiększeniem się czaszki i t. p.

Wykazawszy w ten sposób że kwestya wrodzonych zdolności dotychczas przez naturalistów, a zatem na drodze indukcji, rozwiązana nie została, Buckle niespodzianie stawi taki wniosek: „Jakikolwiek zatem być może moralny i umysłowy postęp ludzkości, *nie leży on* (?) w postępie wrodzonych zdolności, ale raczej iż tak rzekę w postępie sposobności, to jest w ulepszeniu okoliczności, wśród których wrodzona rozwija się zdolność. Owóż co jest kamieniem węgielnym całej rzeczy. Postęp *nie jest* spotęgowaniem władz wewnętrznych (?), lecz ulepszeniem zewnętrznych okoliczności. Dziecię urodzone w kraju ucywilizowanym, *nie jest* samo w sobie niczem wyższe od dziecka urodzonego wśród barbarzyńców" i t. d. (I, 151). Ztąd wyprowadza ów miernik (criterium) postępu, mianowicie zmienność, ztąd też wnioskuje że tylko postęp wiedzy, jako czynnika zmiennego może wykazać nam prawa duchowe ludzkości. Ale zkądże to Buckle dowiedział się na pewne, że władze umysłowe nie przeobrażają się u ludów historycznych? Jeżeli naturaliści nie dostarczyli mu tego wniosku, to zkądże odebrał to objawienie? z jakiego Synaju usłyszał rozwiązanie téj tajemnicy? A zatem jakąż wartość może mieć dalsza jego dedukcja? Uważamy nawet za potrzebne zrobić uwagę ogólną, nie popierając jęj zresztą szczegółowemi cytatami przez obawę zbytniego rozszerzenia granic niniejszego przeglądu, że metoda Buckle'a dowodzenia za pomocą przykładów nie przekonywa nas wcale. Obrócimy przeciwko niemu własne jego słowa: „na szerokiém bowiem polu badań znajduje się zawsze dostateczną ilość wypadków na pozorne poparcie zdania, które ktoś udowodnić przedsięwzięmie" (I, 150, przyp. 12). Indukcja historyczna może się opierać tylko na nieprzerwanym łańcuchu faktów, rozpoznawanych w związku z otaczającą je sferą, a zebranych na całej przestrzeni dziejowej areny.

Pomimo zaznaczonych tu błędów rozumowania i dowodzenia, Buckle tak imponuje swoją ogromną erudycją, tak olśniewa czytelnika świetnemi racjami oryginalności i talentu, że bardzo wielu nie może dostrzedz całej potworności wygłoszonej przez niego zasady, jakoby w postępie ludzkości, moralność nic nie stanowiła, i że badać nam należy tylko rozwój wiedzy. Owszem jest nie mało ludzi przyjmujących ten paradox w dobrej wierze za prawdę, a teraz np. Kolb uznał za stosowne spopularyzować go nawet za pomocą swego dzieła pisanego „dla ludu". Dla týchto wielbicieli Buckle'a przytoczymy słowa innego pozytywisty Herberta Spencera, approbowane i cytowane przez Milla (1): „idee nie rządzą światem i nie dokonywają w nim przewrotów; świat jest rzą-

(1) Auguste Comte et le Positivisme, str. 107.

dzony i przeobrażany przez uczucia, któremi idee tylko kierują. Mechanizm społeczny polega ostatecznie nie na opiniach, lecz całkowicie prawie na charakterach... Ludzie otrzymują w dziedzinie przedewszystkiem skłonności; mniemania zaś ich są rzeczą nabytą i zależną od warunków sfery; najważniejsze zaś warunki sfery zależą od stanu społecznego, wytwarzanego przez panujące usposobienia. Stan społeczny w każdej bez wyjątku epoce jest wypadkową wszystkich ambicij, wszystkich osobistych interesów, wszystkich obaw, czci, oburzeń, sympatij etc., przodków oraz żyjących spólcześnie obywateli. Idee krążące w tym stanie społecznym niezbędnie muszą być zgodnemi mniej lub więcej z uczuciami obywateli, a zatem zgodnemi mniej lub więcej ze stanem społecznym wytworzonym przez te uczucia. Idee zupełnie obce temu stanowi społecznemu nie mogą się w nim rozwinąć; jeżeli zaś są wprowadzone z zewnątrz, nie mogą się przyszczepić... W rzeczywistości tylko charakter narodowy i stan społeczny rozstrzygają jakie idee mogą zapanować, idee zaś nie mogą służyć za miarę stanu społecznego i charakteru. Przeobrażenie moralnej przyrody ludzi dokonywane drogą ciągłej uprawy społecznego życia, a w następstwie wprowadzające coraz większe uzdatnienie do społecznych stosunków, jest zatem główną i bezpośrednią przyczyną społecznego postępu”.

Jakkolwiek niektóre części tego wywodu mogą być zaakcentowane zbyt ostro, niepodobna przecież odmówić głębokiego i trafnego sądu o tym przedmiocie Spencerowi. Zresztą najbardziej oczarowany przez Buckle'a zwolennik jego powinien przypomnieć sobie, że strona umysłowa z moralną, rozum z sercem w człowieku są połączone węzłem nierozzerwalnym, że jak obie połowy ciała, obie ręce i nogi rosną jednocześnie, tak samo przy rozwoju cywilizacji jednocześnie rozwijają się nauki i kształcą obyczaje, tryb życia, wyobrażenia o godziwem i niegodziwem, o szlachetności i bezecności, łagodniejszą lub dziczejną instynkta i popędy moralne. Historia na każdej karcie świadczy o ciągłym przeobrażaniu się charakterów, obyczajów i uczuć; rycerska grzeczność i galanterya wzięła początek w takich wiekach, kiedy nikt nie wyrozumował jój potrzeby i pożyteczności, a ta znowu galanterya jeszczeby wyglądała zbyt niepocześnie przy delikatności, jaka panuje w naszych stosunkach towarzyskich. Zestawienie rzymskich pisarzy np. z Froissart'em, a potem z naszymi nawykieniami dostarczyłoby mnóstwa niezbitych argumentów; gdy wszakże ta droga jest obecnie dla nas zbyt długą, więc sprawdzimy innym probierzem ogłoszoną przez Bucklea i Mackintosh'a (I, str. 152, 153 i przyp. 15) teorią niezmienności pierwiastku moralnego.

Nauka moralności obecnie stanowi część filozofii i nosi miano etyki. Otóż posłuchajmy jój głosu, poruszając najdrażliwszą stronę serca ludzkiego, spojrzymy na stosunek społeczności do zbrodniarza, który jój złe wyrządza; jednem słowem na zastosowanie Etyki do Prawa Karnego.

Władza karania była i dotychczas jest uzasadniana przez ogromną większość kryminalistów na *uczuciu*, sprawiedliwości (dobre zasługują na nagrodę a złe na karę), na porządku „moralnym” (Rossi) i t. d. Nawet twórcy tak zwanych teoryj względnych jak np. odstraszenia, obrony, zapobieżenia i t. d. zawsze przybierają do swoich wywodów sprawiedliwość, jako czynnik regulujący. Pod kierunkiem tegoż uczucia urządza się cały system kar, bo na drodze ani dedukcyjnego, ani indukcyjnego rozumowania niepodobna wywnioskować, jaką mianowicie ilość i jakiego cierpienia należy oznaczyć za każde przestępstwo lub zbrodnię, np. za rabunek czy należy zamknąć w więzieniu, czy skazać do kopalni, czy może lepiej oćrąbać ręce rabusiowi? Jeżeli ma być trzymany w niewoli, to znów pytanie jak długo? czy przez całe życie, czy też przez 6, 12, 18 lat i t. p. A przedewszystkiēm jaki z tego wszystkiego zysk dla poszkodowanego, jeżeli zrabowanych rzeczy, jak to bywa najczęściej, nie odzyskał? Wszystko to opiera się przeważnie na uczuciu, moralnych instynktach i wskazówkach sumienia.

Owóż, zaglądając do historii Prawa Karnego, widzimy ciągle przeobrażenia, najściślej połączone ze stanem cywilizacji. Ludzie najprzód wywierają zemstę osobistą na złoczyńcy, potem zemstę rodową, potem odwet społeczny, nareszcie, nakazując milczenie uczuciom oburzenia i nienawiści, szukają sposobów zatamowania złego przez zapobieżenie, poprawę i t. p. W pewnych epokach kary bywają okrutne; zbrodniarza szarpia kleszczami, biją kołem, rozrywają końmi, krają na kawałki, potem cały system kar zmienia się i ludzie okazują poszanowanie dla godności człowieka nawet krwią splamionego. W Anglii, którą Buckle podaje za kraj wzorowy, kara śmierci była przez prawo oznaczoną za 160 przestępstw w roku 1765, wszakże od roku 1820—1826 z liczby 7656 na śmierć skazanych, stracono tylko 528 ludzi, obecnie zaś od roku 1861 tēj karze podlegają już tylko dwie zbrodnie: morderstwo i zdrada kraju. Kiedy filozofowie XVIII i pierwszej połowy XIX wieku prawie jednomyślnie twierdzili, że kara śmierci jest sprawiedliwą i konieczną, dziś jest mnóstwo prawników i publicystów wbrew przeciwnego zdania. W kilku państwach kara ta jest już zniesioną, a nie trzeba być prorokiem, żeby przewidzieć zniesienie jēj niedługo w całym ucywilizowanym świecie. Spodziewamy się że ten fakt, powszechnie znany, posłuży za dowód dostateczny przeciwko doktrynie nieruchomości moralnej. Sądzimy tēż, że na przeobrażenie tego uczucia wpłynęły nie odkrycia Keplera, Newtona, fizyologów lub geologów, lecz postęp w Etyce, a przedewszystkiēm w złagodzeniu obyczajów, w uszlachetnieniu charakterów.

Żeby nie rozszerzać zanadto ram niejszego przeglądu, porzucamy na tym jednym dowodzie. Nie myślimy nawet rozwodzić się nad zbijaniem dwóch głównych przykładów Buckle'a o Marku Aureliusz, który pomimo dobroci charakteru prześladował chrześcian, i o inkwizytorach, którzy przy najlepszym sercu palili here-

tyków na stosie. Właśnie obyczaje starożytnego Rzymu i wieków średnich najzupełniej tłumaczą ten sposób postępowania, gdy stan umysłowego rozwoju mniej te fenomena objaśnić może, boć Marek Aureliusz i sam był świątym człowiekiem i wiek jego posiadał największą sumę wiedzy, na jaką zdobyć się mógł świat starożytny.

Ale za konieczne uważamy zwrócić uwagę na tę niezmiernie ważną zasadę, że żywioł moralny, innemi słowy, że serce i sumienie reguluje i sprawdza działania rozumu, który przecież bardzo często płata brzydkie psoty w mózgach najmędrszych ludzi. Tak np. kiedy, zaszczycony pochwałami Buckle'a, Malthus wyraził w sławnej formule prawo populacji, że ludność wzrasta w postępie geometrycznym, a zasoby wyżywienia tylko w postępie arytmetycznym; kiedy zapowiadał dzieciom rodzącym się z wyż statystycznego etatu, że nie mają prawa żądać żadnej części pożywienia, że są niepotrzebni na ziemi, że dla nich „nie ma miejsca przy wielkiej uczcie życia;” (*au grand banquet de la nature il n'y a pas de couvert mis pour lui*); kiedy niezmiernie potężnymi argumentami dowodził konieczności powstrzymywania się od związków małżeńskich, przysadzania szczeniąt do piersi kobiecych i t. p.: czyż nie z serca najprzód wydarła się protestacya przeciwko takiej doktrynie? czyż nie uczucie miłości bliźniego pobudziło ekonomistów do zbijania i zwalania wniosków racjonalnego filozofa? A jednak ten sam wniosek nie przeraziłby wcale Lykurga, i Spartanie bez najmniejszego zmartwienia ciskali ułomne swe dzieci w przepaść Tajgetu. Tak samo fałszywe dedukcyje Comte'a odrzucimy pierwój sądem sumienia, zanim potrafimy przeprowadzić analizę rozumową.

A teraz podążajmy dalej za Bucklem ku ostatecznym wnioskom jego teoryi.

„Gdy więc summa czynności ludzkich uważana z tego najwyższego punktu widzenia, pozostaje w ścisłej zależności od summy wiedzy ludzkiej, która nią rządzi, zdawałoby się rzeczą całkiem prostą zebrać wszelkie téj wiedzy objawy i, uogólniając takowe stopniowo, wykazać w całości prawa, rządzące postępem cywilizacyi. I nie wątpię bynajmniej że to w istocie w końcu dokonaniem będzie. Niestety atoli historia była pisana przez ludzi tak niedorosłych przedsięwziętemu zadaniu, że nader mało potrzebnego zgromadzono dotychczas zasobu” (I, 193). Następuje szereg obelg na historyków i zarzutów co najmniej nieuzasadnionych. Dalej uskarżając się na historyków, że skutkiem braku właściwego sądu i niewiadomości w ocenianiu tego, co jest najwięcej godne wyboru, nie przygotowali dla niego żadnych materyałów, oświadczają że zaniechał pierwotnego zamiaru napisania historii cywilizacyi powszechnej i postanowił ograniczyć się na napisaniu historii cywilizacyi jednego narodu. Idzie tylko o to, żeby wynaleźć taki naród, któryby przedstawił oczom naszym najbardziej prawidłowy a wolny

rozwój ducha. Nie daleko też go szukał; znalazł co się nazywa pod bokiem. Tym szczęśliwym narodem są Anglicy.

Jakąż zasadą kierował się w tym wyborze? Oto, że badacze przyrody osiągają najznakomitsze rezultaty, wykrywają najważniejsze prawdy przez wyosobnienie zjawisk, przez wyzwolecie ich z pod wpływu obcych czynników przy swoich doświadczeniach fizykalnych. „Gdybyśmy zatem mogli znaleźć naród ucywilizowany, któryby całą cywilizację swą wyrobił sam z siebie, któryby uszedł wszelkiego obcego wpływu, i którego władcy osobistemi swemi przyniofam*ami* *ani*by mu *dopomogli*, *ani* go *tamowali* w tym jego rozwoju, historia takiego narodu byłaby największą dla badacza wagi; ona bowiem przedstawiłaby warunki prawidłowego wewnętrznego rozwoju, i wykazała prawa postępu działające w zupełnym wyosobnieniu.... Znaleźć taki naród jest widocznie niepodobieństwem,” ale do tego ideału najbardziej zbliża się Anglia (I, 195).

W tém miejscu zrobimy jedną uwagę. Czy ktokolwiek słyszał o doświadczeniu fizykalnym, żeby było dokonane na nieistniejącym przedmiocie? o chemicznej analizie jakiego minerału, który przypuszczalnie może istnieć na księżycu?

Daléj Buckle usprawiedliwia wybór historyi angielskiej przez porównanie jéj z francuską, szkocką, niemiecką i Stanów Zjednoczonych. We Francyi upatruje najsilniejszy rozwój ducha opieki, w Niemczech największe nagromadzenie wiedzy, w Ameryce największe jéj rozszerzenie, nareszcie dodaje że wpływ religii najsilniej objawił się w Szkocyi i przedewszystkiém w Hiszpanii. Otóż dla zbadania cech każdego z czynników cywilizacji, ma studyować je w tych krajach, gdzie one najsilniej działały; z tego powodu jako wstęp do historyi cywilizacji w Anglii, zamierza skreślić dzieje powyższych czynników we Francyi, Hiszpanii, Szkocyi, Niemczech i Ameryce, wynajdzie prawa ich działania postępując drogą indukcji i zastosuje je do Anglii metodą dedukcyjną. Tym sposobem ma nadzieję osiągnąć zupełną dokładność, gdyż przebieży obie drogi badania i jedną metodę sprawdzi za pomocą drugiej.

Nie myślimy już szczegółowo oceniać wartości i praktyczności tego planu, dla prostéj racyi, że nie został wykonany. Zresztą na pierwszy rzut oka łatwo spostrzedz, że nie jest podobny do wykonania nietylko dla pojedynczego człowieka, lecz dla całej szkoły. Buckle napisał tylko historią Francyi, Hiszpanii i Szkocyi. Zużywszy w wyteżonej pracy siły wątłego organizmu, umarł 29 maja 1861 roku w Syryi, w 39-ym roku życia, wołając przed zgonem głosem boleści: „o moje dzieło! moje dzieło! Już go nie skończę!”

Zaznaczymy tylko cztery główne twierdzenia, które, jak sam powiada na wstępie trzeciego tomu, starał się udowodnić w tomie drugim a które, zdaniem jego, powinny być uważane za podstawę dziejów cywilizacji. Te są:

1) „Że postęp ludzkości zależy od powodzenia w poszukiwaniu praw zjawisk i od największego rozpowszechnienia znajomości tychże praw.

2) Że przed rozpoczęciem takowego poszukiwania musi się wprzódzy zbudzić duch powątpiewania, który z razu stawszy się pobudką badań, sam następnie wzrasta za ich pomocą.

3) Że uczynione tym sposobem odkrycia podnoszą wpływ prawd umysłowych, zmniejszając stosunkowo, lecz *nie bezwzględnie* wpływ prawd moralnych; rozwój bowiem prawd moralnych jest powolniejszy i zasób ich *mnie*j się powiększa.

4) Że wielkim nieprzyjacielem tego ruchu, a zatem i wielkim nieprzyjacielem cywilizacji, jest duch opieki; pod którym rozumiem to mniemanie, iż społeczeństwo nie może pomyślnie się rozwijać inaczej, jak tylko wówczas, gdy wszystkie czynności codziennego życia pozostają nieustannie pod strażą i opieką rządu i kościoła w ten sposób, że rząd uczy ludzi co mają czynić, a kościół uczy ich w co mają wierzyć" (III, str. 1).

Buckle sam nie nazwał tych twierdzeń prawami, a nie można tego poczytać mu za skromność, gdyż nikt zapewne tak poważnego miana do nich nie zastosuje. O wszystkich razem powiedzieć można, że rewolucyi w nauce historycznej nie dokonają. Pierwsze zawiera nie dość dokładne określenie postępu; drugie jest sobie wcale niewinnym wynalazkiem rzeczy oddawna każdemu nawet nie-historykowi znaną, bo jakaż nowa instytucya, jakież przewrót w społeczeństwie lub umysłach był kiedykolwiek dokonany bez poprzedniego zwątpienia o wartości i stosowności usuwanego stanu rzeczy? Trzecie jest ciekawem jako zaprzeczenie własnej, a tak zapamiętanej dowodzonej w poprzednich tomach teoryi, o nieruchomości czynnika moralnego, owemu znakomitemu frazesowi: „ale one były znane już przed tysiącami lat i ani jednej literki nie przysporzyły do nich kazania, homilie i księgi nabożne, ile ich tylko zdołali napisać wszyscy razem wzięci moralisci i teologowie” (I, 152). Czwarte zaś twierdzenie dowodzi tylko że Buckle jest Anglikiem do szpiku kości i że niesłusznie obrzucał pogardą historyków. Od nich mógłby się dowiedzieć tego ważnego pewnika: że żadna najmędrsza nawet zasada nie może być stosowaną bezwzględnie do wszystkich narodów i do wszystkich epok, jak kuracja Pysznica lub inne panaceum do wszystkich chorób. Bywały czasy, kiedy i Anglicy nie mogli się obyć bez „opieki,” a niektóre rządy jak np. Alfreda Wgo, lub Karola Wgo z pewnością postępu ludzkości nie zatamowały. Ta czwarta „podstawa dziejów cywilizacji” szczególną musi budzić nieufność w umysłach nawet zwolenników pozytywizmu, ponieważ Comte, używający tych samych metod badania, a różniący się od Buckle'a tylko narodowością, przyszedł do wręcz przeciwnych wniosków, bo do konieczności „porządku, systematyzowania” czyli właśnie do najbardziej drobiazgowej opieki i ponieważ sam Buckle często pobija się własnymi argumentami. Tak np. w tomie III na kilku stronnicach (243—244) z entuzjazmem dowodzi: że w Szkocyi duchowieństwo (a zatem kościół, który „uczył w co mają wierzyć”) obdarzyło kraj ten „największém w świecie

dobrodziejstwem przez to, iż utrzymywało i wypielegnowało ducha wolności."

Żeby nie nadużyć uwagi czytelnika kończymy wyznaniem osobistego mniemania, że z ogromnej pracy Buckle'a, historia będzie mogła bezpośrednio użytkować tylko rozdział II tomu I i pojedyncze studia z pisarzy francuzkich, angielskich i szkockich, tych szczególnie, co uprawiali nauki przyrodnicze. I w tém jeszcze wypadnie mieć się na baczności i nie rozbrajać się ani na chwilę z krytycznego rynsztunku, gdyż Buckle jest mistrzem w uludnym oświeclaniu swoich paradoksów. Wszystkie zaś jego wysilenia na polu historyzofii wypadnie uznać za chybione całkowicie, gdyż w opracowanej części mniemanego wstępu, najprzenikliwsze oko nie dośledzi, żeby mógł dojść do wykrycia chociażby jednego prawa rozwoju ludzkości.

II.

Draper.

History of the intellectual development of Europe. New York 1864. Cytaty podług niemieckiego tłumaczenia: Geschichte der geistigen Entwicklung Europas aus dem Englischen von A. Bartels. Leipzig 1865.

Doktor medycyny i prawa, professor chemii i fizjologii na uniwersytecie w Nowym Yorku, Draper napisał dzieło historyczne w zamiarze udowodnienia dwóch tez: że postęp społeczny podlega takim samym prawom przyrody, jak wzrost ciała, i że życie pojedynczego człowieka jest życiem uarodów na mniejszą skalę. Dzieło jego, jak sam powiada w przedmowie, ma być uzupełnieniem innej jego pracy „O fizjologii człowieka,” ogłoszonej w 1856 roku.

W pierwszym rozdziale autor rozwija w rozległym i z wielu względów godnym uwagi przeglądzie zasadniczą myśl swoją, że cała przyroda zostaje pod rządem niewzruszalnych praw. Zaznaczywszy istnienie tych praw w układzie słonecznym, w zjawiskach fizycznych ziemi; w świecie organicznym, w budowie organów człowieka, pyta on: „jeżeli więc w dziedzinie indywidualnego istnienia utrzymują przewagę popędy naturalne, czyżby się one nie objawiły i w gospodarstwie społecznym? czyż niema nic spólnego pomiędzy bezleśną pustynią a zwyczajami plemion koczujących, co na niej rozbijają swoje namioty; żyzną równiną a trzodami i życiem pasterskim; łańcuchami gór a odwagą, która ich tak często broniła; morzem a usposobieniem do szukania przygód?”

„W marcu słońce przebywa równik i zaczyna obficie zlewać swoje promienie na północną półkulę. W ślad za niem rozściela się zielony kobierzec aż do bieguna... Porusza się téż i królestwo zwierzęce. Gnane lub nęczone powabem ciepłika wędrowne ptaki odbywają swoją coroczną pielgrzymkę, postępując za wegetacją, która pod nimi rozkwita. Za zbliżeniem się jesieni, ten prawidłowy postęp

świata i życia ma się ku odwrotowi i toż samo wspaniałe zjawisko ukazuje się na południowej półkuli. Raz do roku uderza puls życia na ziemi i na niej panuje to przemożna siła żywotna, to znów martwota. Ale jakaż jest tego przyczyna? Oto, czysto mechaniczna. Oś ziemską, obracając się około siebie samą, pochyla się w płaszczyźnie ekliptyki ku słońcu" (I, 5, 6). Pod wpływem warunków materialnych utrzymuje się w równowadze życie roślinne i zwierzęce, wytwarzanie się i znikanie gatunków. „Dziś nawet jeśliby średnia temperatura spadła o 6 stopni na każdym równoleżniku, zaraz znikłyby formy cieplejszych klimatów i ukazałyby się formy stref chłodniejszych.”

Od tej władzy sił fizycznych Draper nie przypuszcza żadnego wyjątku, rozciąga ją zatem i na człowieka. Jakażkolwiek opinią wyznawać będziemy co do pochodzenia rodzaju ludzkiego, czy to od jednej pary, czy też od wielu: prawo pozostaje bez zmiany. Różnice organizacyi szczególnie wpadają w oko, jeżeli się będziemy posuwali w kierunku południków, od południa na północ. Różnice te są bez porównania słabsze, skoro postępować będziemy w kierunku równoleżników od zachodu ku wschodowi. Państwo rozciągające się w tym ostatnim kierunku, musi być znacznie silniejszym od państwa ciągnącego się na południe od północy. Draper w tym geograficznym warunku, upatruje przyczynę potęgi i długowieczności starego Rzymu.

Na podstawie takich faktów i kombinacyj naukowych, Draper buduje wniosek czyli raczej hipotezę, że prawa życia pojedynczego człowieka dadzą się przenieść na całe narody. „Bieg życia jednego indywiduum przedstawia w pobieżnych zarysach bieg życia rasy i jest ich prototypem na małą skalę” (I, 11). „Formowanie się, trwanie i zużywanie organicznych cząstek (molécules) odpowiada rodzeniu się, życiu i wymieraniu ludzi w narodach” (I, 12). „Każdy typ narodowy przebiega swą fizyczną i intelektualną drogę, podlegając przeobrażeniom, przez różne fazy rozwoju, które odpowiadają przeobrażeniom człowieka pojedynczego a znane są pod mianem niemowlęstwa, wieku dzieciennego, młodości, dojrzałości, starości i śmierci” (I, 13). Prawidłowy przebieg życia narodowego bywa nieco zamażony przez wędrówki ludów oraz przez zmieszanie krwi jednego plemienia z drugim; pod wpływem wszakże otaczających fizycznych warunków jednolitość z czasem przywraca się i życie rozwija się po dawnemu, a potem przychodzi śmierć, czyli upadek na narody. Ale narody są to tylko przechodnie, przemijające formy ludzkości; muszą one wygasnąć, jak wygasają gatunki królestwa zwierzęcego. „Nieśmiertelność dla nich jest niemożliwą, tak samo jak niemożliwą jest niezmiennność zarodka wśród rozmaitych kształtów, które on w ciągu swojego rozwoju przybiera” (I, 16).

Czas istnienia ludów nie jest ściśle ograniczony, tak samo jak czas życia człowieka: zależy on od natężenia myśli i działalności.

Tę tezę Draper postanawia dowieść na historyi umysłowego rozwoju Europy, upatrując w niej pięć okresów: 1. łatwowierności, 2. badania, 3. wiary, 4. rozsądku, 5. upadku.

Nadto autor wynurza wiarę w nieustanny postęp ku lepszemu w życiu narodów, kolejno po sobie następujących i zastrzega istnienie wolnej woli w człowieku. Zasadę tę bardzo szczęśliwie kojarzy z zasadą praw niewzruszonych, których istnienia poprzednio dowodził. Ponieważ kwestya ta była przez Buckle'a traktowana bardzo dwuznacznie, a napotyamy ją jeszcze u Kolba, przeto zwróćmy na nią pilniejszą uwagę.

„Postać rzeczy, powiada Draper, zależy od punktu z jakiego zapatrujemy się. Człowiek, porwany wirem ludnego miasta, spostrzega tylko czynności pojedynczych ludzi, i jeśliby chciał utworzyć sobie opinie z własnych spostrzeżeń, byłby przyszedł do wniosku, że bieg wypadków zależy tylko od niepewnych zachceń ludzkich. Ale kto się wzniesie na dostateczną wysokość, ten traci z oka przemijające starcia, ten nie będzie wcale widział walk i zamętu. Wtedy musi zauważyć, że indywidualne czynności tracą na znaczeniu tém bardziej im bardziej rozszerza się panorama. Ktoby zaś wstąpił na punkt widzenia prawdziwie filozoficzny, uniwersalny, ktoby się wyzwolił od wszelkich ziemskich wpływów i zawiązań; ktoby się wznosił na taką wysokość, żeby całą kulę ziemską jednym rzutem oka ogarnął: ten przy najbystrzejszym wzroku nie byłby w stanie wykryć najmniejszych oznak wolnej woli i dowolnej działalności ludzi... Nie mniej wszakże jest prawdą, że wszystkie owe sprzeczne warunki, wolna wola i fatum, niepewność i przeznaczenie, istnieją obok siebie, a nad tém wszystkiém czuwa nieunężone oko Opatrzności... Trafne spostrzeżenie uczynił jeden indyjski filozof: że kto stoi nad brzegiem płynącej u stóp jego rzeki, będzie tylko widział fale dążące jedna za drugą; gdy zaś stanie na wyżynie, ta sama rzeka ukaże mu się w kształcie srebrzystej, ale nieruchomej wstęgi wijącej się po zielonym kobiercu” (I, 19). Oto jest cała teoria Drapera, bez wątpienia wielostronnie obmyślana, umiejętnie zorganizowana, na szerokich oparta podstawach. Zanim wszakże użyteczność jęj dla historyi określimy, spojrzjmy jak ją sam w historycznej części swęj pracy przeprowadził.

Sięgając do najodleglejszych objawów pracy duchowej, Draper prowadzi najprzód czytelnika na Wschód i kreśli, z niepospolitą znajomością rzeczy, obraz religijnych i filozoficznych systematów w Indyach od świętych Wed aż do Buddyjskiej Nirwany. Następnie przechodzi do Egiptu i, o ile materyałów ku temu starczyło, mówi o stanie astronomii, wyobrażeniach religijnych, wyroczniach, przypowiedniach i t. p. Nie zapomniął tēż o geografii fizycznej Egiptu i szczególny nacisk kładzie na zupełny brak deszczów oraz na pochodzącą ztąd prawidłowość prac rolniczych, które stosowały się tylko do peryodycznych wylewów Nilu. Peru i Meksyk nie znają deszczów i tam podobnie jak w Egipcie ukazują

się pierwsze zawiązki cywilizacji. Draper jest obeznany z dziełami znakomitszych Egiptologów, np. Bunsen'a i Lepsiusza; przytacza nawet jeden fakt bardzo ciekawy podług najnowszych badań, gdyż dostarcza wniosku, przewyższającego najsmielsze przypuszczenia historyków. Przy poszukiwaniach, nakazanych przez wicekróla Egiptu w 1854 roku, znaleziono lancę od obalonego posągu Ramezesa II (1394—1328), pogrążoną w warstwie mułu na 24 stóp niżej obecnej powierzchni gruntu. Przewiercono potem jeszcze głębszy otwór, do głębokości 41 stóp $4\frac{1}{2}$ cali i znaleziono kawałek garnka. Powtórzono tę próbę w 95 miejscach i wszędzie znajdowano osad Nilowy, przekładany warstwami piasku i gliny, a w nim mnóstwo wypalonych cegieł i naczyń. Ponieważ podług badań Horner'a, Nil formuje w sto lat 3,18 cala osadu, więc początki mniej więcej cywilizowanego życia w Egipcie muszą sięgać 13,500 lat, licząc od 1854 roku, kiedy badanie zarządzonem zostało. Tak odległej daty żaden z historyków nie śmiałyby przypuścić, dotychczas bowiem założenie najstarożytniejszego państwa i miasta Memfis było oznaczanem mniej więcej na 3,500 lat przed narodzeniem Chrystusa.

Po takim rzucie oka na Indye i Egipt Draper przechodzi do Grecyi. Możliwość mu zarzucić, że nie przebiegł całego szeregu państw wschodnich, że Indye oderwał od ogólnej historii plemion Aryjskich, że nie tylko pominął ludy semityckie, ale nawet o Zend-Aweście zachował zupełne milczenie i że tym sposobem pierwotny pochodź myśli ludzkiej nie jest dokładnie rozwinięty; wszakże gdy tytuł dzieła obowiązuje go tylko do badania ducha Europy, więc rozdział ten przyjąć musimy, jako numer dodatkowy, zwyż zapowiedzianego programu. Nie będziemy też wytaczali sprawy o to, że nie wskazał na Wschodzie owych epok fizyologicznych, a przecież spytać musimy: pod jakąż to fizyologiczną kategorią da się podciągnąć istnienie dzisiejszych Hindusów, kiedy myśl ich przebiegła wszystkie fazy łatwowierności badania, wiary etc. jeszcze przed narodzeniem Chrystusa? Przypuszczając nawet, że 2000 lat późniejszego istnienia aż do naszych czasów stanowi epokę upadku, czyli ostatnią fazę istnienia podług skali Drapera, toć zawsze niepodobna jest uwierzyć, żeby półtorastamilionowy lud Hindusów miał być już na śmierć skazanym. W ogólności Wschód najwięcejby mógł przyczynić kłopotu Draperowi ze swemi starożytnymi i nowożytnymi ludami, których obecne życie duchowe pozostaje w zupełnej stagnacji, a życie fizyologiczne nie tylko nie gaśnie ale owszem funkcjonuje częstokroć z wzrastającą siłą.

W Grecyi Draper przedstawia najprzód mitologią, jako zabytek okresu łatwowierności, potem daje dokładny a bardzo jasny obraz filozofii i wiedzy greckiej podług zapowiedzianych wyżej podziałów. Okres badania zaczyna się od chwili otworzenia Egiptu dla cudzoziemców za czasów Psammetrycha i oto, pod wrażeniem egipskich idei i czci dla Nilu, Tales tworzy pierwszy system filozoficzny, twierdząc że woda jest zasadniczym żywiołem świata.

Zaraz potem myśl grecka bierze polot samoiestny: Anaximenes twierdzi, że zasadniczym żywiołem jest powietrze, Heraklit, że zasadą wszechświata jest ogień. Kolejno rozwija Draper systemata Anaxymandra, Anaxagorasa, Pytagorasa z uwagą, że obecnie pytagoreizm, to jest przynajmniej stosunki liczbowe, istnieją w chemii, Ksenofanesa z uwagą, że wiele myśli jego ukazuje się u Newtona, dalej Parmenidesa, Empedoklesa i Demokryta: wszystkie te systemata podlegają krytyce sofistów.

Okres wiary ma zaczynać się od Sokratesa; rozwija się w szkołach: megaryjskiej, cyrenajskiej, cynicznej i dosięga punktu kulminacyjnego w Platonic. Jakkolwiek nauka tych filozofów jest traktowana dokładnie, nie można wszakże zrozumieć jaką to szczególną wiarę upatrzył w nich Draper, w czym leży różnica ich rozumowania i metody od poprzednich myślicieli.

Wyprawa Alexandra macedońskiego i filozofia Arystotelesa stanowią początek epoki rozsądku. Chwilę tę scharakteryzował Draper z wielką podniosłością myśli. Nie idąc za doraźnym sądem Buckle'a „o wielkich zbrodniach” Alexandra, Draper przyznaje, że jego wyprawa nosiła cechy naukowej tak dobrze jak wojennej. Macedoński wojownik zabrał z sobą mnóstwo uczonych; wyprawę do Sahary, podróż do Kaspijskiego morza przedsięwziął głównie w naukowym celu; z jego rozkazu Harpalus przesadzał europejskie rośliny do Azji, azyatyckie zaś wysyłał do Europy; ogromne summy i tysiące ludzi były dane Arystotelesowi do ułożenia „Historji Zwierząt”; nareszcie sam Alexander niewątpliwie swoim przykładem przelał cześć dla nauki w swych wodzów i dał pierwszy popęd do téj polityki, której owocem było sławne Alexandryjskie Muzeum. Podróż Nearcha z Indyów do Babilonu miała ogromną doniosłość naukową dla owoczesnego świata, a jeśliby śmierć nie zabrała tak wczesnie młodego króla, przyszedłby niewątpliwie do skutku i ekspedycja morska na około Afryki. Draper wytyka i wady a nawet zbrodnie, ale nie przeszkadza mu to ocenić zasługi Alexandra dla cywilizacji, oraz wielkie a daleko sięgające skutki jego potężnych czynów. W ogólności spokojny i rozważny sąd Drape-ra o tym genialnym człowieku, góruje nad namiętnymi wykrzyknikami pisarzy ultra-demokratycznego stronnictwa, a szczególnie Kolba, jak to niżej widzicie będziemy.

Za pierwszego przedstawiciela okresu rozsądku Draper podaje Arystotelesa. Uczeń Platona, potem jego przeciwnik, nauczyciel a następnie przyjaciel Alexandra Macedońskiego, Arystoteles jest twórcą nieznanéj przedtem metody indukcyjnej. Plato tworzy system z wyobraźni, Arystoteles polega tylko na rozumie i doświadczeniach. Plato rozkłada pierwotną swoją ideę na pojedyncze części, Arystoteles z cząstkowych spostrzeżeń dochodzi do pojęć ogólnych. Pierwszy jest idealistą, drugi materyalistą. Posiadał on ogromną masę wiadomości, wszakże nie wystarczyły mu one do prawdziwie naukowego opracowania wszystkich części systematu, pomyślanego na kolosalną skalę. To też postawił wiele

błędnych wniosków, ale jego spostrzeżenia z anatomii porównawczej, historii naturalnej i z fizjologii po większej części są trafne a pomysł o nieprzerwanym łańcuchu form organicznych od najniższych do najwyższych jest istotnie potężny i imponujący. W każdym razie trafność jego metody indukcyjnej uwydatniła się zarówno w najlepszych jak w najgorszych częściach jego filozofii, tam bowiem tylko rozum go zawodzi, gdzie materyałów do wniosku indukcyjnego brakowało.

Zaszkirowawszy jeszcze naukę Zenona i szkołę Stoików, Draper prowadzi czytelnika do Alexandryi, opisuje sławne Muzeum i tłumaczy wielkie zdobycze na polu różnych nauk, przedewszystkiem zaś matematyki, astronomii i fizyki, poczynione przez Euklida, Archimedes, Ptolemeusza, Eratostenesa, Hipparcha. W tych pracach widzi on szczyt wiedzy świata starożytnego.

Ostatni okres umysłowego upadku, cechuje się zwrotem do mystycyzmu i gadatliwością. Tu figurują: Filon z swoją teorią Słowa (Logos), które miało zawierać całą wszechmocność Boga; Apoloniusz z Tyany, asceta, cudotwórca, co chciał utworzyć nową religią z prostymi obrzędami i czystą modlitwą bez słów; Plotinus jeden z głównych założycieli neoplatońskiej szkoły z nauką o Trójcy (jedność zasadnicza, rozum i dusza), o wzniesieniu się ducha ku Bóstwu; Porphyrius i Jamblichius nekromanci i cudotwórcy; nareszcie Proklus, mianujący siebie arcykapłanem świata, a tworzący mistyczną teologią na podstawie pieśni Orfeusza i wyroczni chaldejskich.

W 529 r. po Chr. cesarz Justynian zamknął szkoły i wzbrowił wykładowców filozofom.

W zakończeniu Draper zbiera całą treść filozofii greckiej w 4-ch punktach: 1) istnienie i przymioty Bóstwa, 2) istota duszy ludzkiej, 3) pochodzenie i przeznaczenie świata, 4) poszukiwanie sprawdzianu (criterium) prawdy. Rezultaty badań greckich porównywa z wypadkami indyjskiej filozofii i upatruje pomiędzy nimi zupełne podobieństwo. Obie przyszły do panteizmu, emanacji i do jednakowych wniosków teoretycznych. Jeżeli zaś ludy europejskie nie popadły w stan nieczułości i kwietyzmu, jakiemu podlegli Hindusi, to Draper przypisuje wyłącznie wpływowi naturalnych, szczególnie zaś klimatycznych warunków, stopnia szerokości jeograficznej. Upały indyjskie usposabiają do obojętności i kwietyzmu, surowszy zaś klimat Europy podnieca swoich mieszkańców do stoickiej działalności.

Stanąwszy u kresu drogi jaką przebiegł duch grecki, Draper zapewnia że ogólne prawo zmiany opinii objawiło się wyraźnie na duchu greckim i że prawo to niczem się nie różni od fizjologicznych praw życia pojedynczego człowieka. dowiódł bowiem faktami istnienie okresów niemowlęstwa, wieku dzieciennego, młodości, wieku męzkiego i zgrzybiałej starości (I, 195).

Jestże to spostrzeżenie trafnym? Czy posiada ono cechy „prawa” t. j. dokładność, niewzruszoną siłę, usuwającą możliwość

wyjątkowych stanów i powszechność w zastosowaniu do pojedynczych fenomenów? Nie wdając się nawet w krytykę szczegółów i spoglądając na tę teorię z najogólniejszego stanowiska, musimy odpowiedzieć przecząco.

Nasamprzód nie mogliśmy wyrozumić czy cały skreślony przez Drapera obraz filozofii ma reprezentować właściwą Grecyę, czy całą rasę grecką, czy nareszcie całą starożytną Europę.

Jakkolwiek narody zdaniem Drapera, są przemijającymi kształtami w ludzkości, toć one tylko stanowią ową organiczną całość, która może być mniej więcej porównywaną z pojedynczym człowiekiem. Otóż zwracając oczy na Helladę, widzimy że od bitwy pod Cheroneą, zwaną ostatnim dniem greckiej wolności, datuje się okres upadku i bezsilności politycznej, w filozofii zaś podług Drapera zaczyna się dopiero okres rozsądku, od Arystotelesa. W 146 r. przed Chr. Grecya a nawet i Macedonia zakończyły ostatecznie swój żywot narodowy, a tymczasem Hipparch i Ptolemeusz potém już, bo około 138, 125 r. poczynili największe zdobycze umysłowe, szereg zaś przedstawicieli „rozsądku” sięga aż do znakomitej Hypatyi zamordowanej w 415 r. po nar. Chr. (I, 178—180 i 282).

Jeżeli duch grecki miał żyć nie w pewnym indywidualnym organizmie politycznym, nie w Helladzie, nie w Macedonii, nie w państwach kolonialnych; jeżeli kołatał się w mózgach i piersiach całej rasy greckiej, to znowu nie możemy zrozumieć, jakim sposobem zadał mu cios ostateczny w 529 r. po nar. Chr. Justynian cesarz grecki. Rasa grecka posiadała jeszcze państwo swoje (Byzantyńskie) przez cały ciąg wieków średnich (do 1453 r.) a i dziś jeszcze istnieje i posiada nawet polityczną formę, królestwo Nowo-Greckie.

Pozostaje więc ostatnie przypuszczenie, że grecka filozofia reprezentuje całą ludzkość starożytną. Ale w takim razie założenie Drapera całkowicie upada, miał bowiem dowodzić, że prawa fizjologicznego życia rządzą narodami (I, 11).

Przy takiej niedokładności w samém określeniu założenia nie możemy sprawdzić innych cech jego.

W dalszym pochodzie historycznym Draper napotkał jeszcze więcej trudności i nie był już w stanie rozwinąć wszystkich części swojej formuły. Tak np. ukończywszy dzieje umysłowości greckiej, odrazu upatruje wiek badania w Europie (zapewne nowożytny). Tą nazwą objęte są początki chrystyanizmu. Zwycięstwo chrystyanizmu nad pogaństwem i prace Ojców kościoła stanowią już wiek wiary, który ciągnie się przez całe wieki średnie aż do wielkich odkryć i wynalazków XV wieku. Okres ten mniej jeszcze jest zrozumiałym jak dawniejszy w Grecyi, gdyż obejmuje zarówno upadającą rzymską społeczność i prawdziwie młodzieńczą epokę historii nowożytnych ludów. Przytem jakież wspólne znamiona można upatrzeć pomiędzy Sokratesem, Platonem, mającymi repre-

zentować czasy wiary w Grecyi, a barbarzyńskimi Ostrogotami, Wizygotami, Frankami i całą rzeszą ludów wyległych z owęj fabryki narodów, officina gentium—ze Skandynawii?

Dzieje właściwie nowożytne od XVI wieku Draper chrzci mianem epoki rozsadku.

W ostatnim rozdziale noszącym powabny tytuł „Przyszłość Europy” Draper powtórnie zapewnia, iż na intelektualnym rozwoju Grecyi, która „przedstawia najlepszy i najdokładniejszy wzór życia ludzkości,” a następnie na historii naszej nowęj Europy udowodnił, jako życie dziejowe przechodzi przez te same fazy, co życie indywidualne. „Narody, tak jak indywidua, powiada on, rodzą się, dochodzą do pewnego wzrostu i umierają.. Człowiek zatem jest prototypem społeczności. Rozwój jego jest wzorem społecznego postępu” (II, 348, 349).

Otóż ani historia Grecyi, jakeśmy to wyżej zaznaczyli, ani tembardziej historia nowożytnej ludzkości, która nie przedstawia jeszcze tak zaokrąglonej całości jak świat starożytny—nie przekonały nas o dokładności i zasadności powoływanego wielokrotnie twierdzenia Drapera. Już sam proces „rodzenia się” narodów nie jest nam dobrze znany. Ludy nowożytne powstały z ogromnej mieszaniny najrozmaitszych plemion, ale pierwotne dzieje tych plemion są okryte nieprzeniknionym tajemniczym mrokiem, którego nie mógł rozproszyć ani przenikliwy umysł Cezara, ani treściwy opis Tacyta. Cóż dopiero mówić o tych plemionach aryjskich i semityckich; o tych Pelasgach, Etruskach, Sabellach, Scytach, po których doszły nas ułomne szczątki murów, naczyń lub zbroi, których pochodzenie jest po większej części zagadkowe, a zabytki mowy niezrozumiałe dla naszych filologów! Przy jakich warunkach fizjologicznych i geograficznych tworzą się rasy, dlaczego Baskowie i Izraelici posiadają niespożytą siłę rasową, a inne plemiona wyradzają i nawet wymierają, jak np. czerwone skóry w Ameryce? Jakim szczęśliwym warunkom zawdzięcza obecnie rasa anglosaxońska swój wzrost nadzwyczajny i swoją żywoność w porównaniu nawet z rasą romańską? Wdzięczni byłibyśmy Draperowi lub Darwinistom, żeby nam dali definicyę fizjologiczną rasy i narodu, ale nie spodziewamy się mieć ją nawet w XIX wieku.

Jeszcze bardziej różnią się narody od pojedynczego człowieka w tęj „uroczystęj” chwili którą Draper śmiercią nazywa. Kiedy po człowieku może pozostać tylko moralna puścizna, ciało zaś jego w proch się obraca—narody historyczne prawie nigdy nie giną do szczętu. Grecy, Baskowie, Gaelowie, Izraelici istnieją z dawném obliczem i charakterem, częstokroć nawet z dawną mową; Gallowie, Rzymianie, Tacytowski Germanie przeobrazili się skutkiem mieszaniny, wędrówek i przeróżnych wpływów, ale nie wymarli. Śmierć fizyczna dotknęła kilka plemion dzikich, jakimi są np. Indianie amerykańscy, lecz cywilizacya darzy historyczne ludy nieśmiertelnością.

O ileż trudniej jest oznaczyć prawa umysłowego rozwoju narodów, jako członków ludzkości! Zapewne, skoro naród zaczyna rozwijać swoją ideę, musi ona przejść wszystkie fazy organicznego rozwoju, ale dlaczego ta idea doszedłszy do zupełnej dojrzałości, przechodzi dla dalszych przeobrażeń do innych ludów, dlaczego dawna jej ojczyzna popada zwykle w stan umysłowej bezwładności? Indyjska filozofia służy za pokarm dla Europy, a w samych Indiach Bramini nie są w stanie dodać do niej ani jednej karty. Nauka mędrców greckich jest starannie studyowana w Nowym Yorku, a któż słyszał o nowogreckim filozofie?

Nareszcie cóż stanowi istotę ducha narodowego, lub nawet narodowości? Czy filozofia i wiedza? Czy formy polityczne? Co mamy nazywać życiem? Co śmiercią? Pierwej nim ktokolwiek zechce spróbować sił swoich na postawienie dokładnej definicji, niechże objaśni fenomen szamotania się Irlandyi z Anglią, odrodzenia się Czech po strasznych ciosach zadanych jej przez Austryą po bitwie pod Białą Górą; Serbii, po czterystoletnim ucisku zwycięzców z Kossowego pola.

Nie będziemy wytykali szczegółowych usterków w pracy Drapera, pamiętając na to, że historia nie jest jego specjalnością; owszem czujemy się w obowiązku złożyć hołd podziwieniam rozległej jego wiedzy, często nawet w najbardziej niedostępnych dla dyletanta sferach badań historycznych. Wyświadczył on nądto znakomitą historykom przysługę swoją Topografią i Etnologią Europy, gdzie w przystępnej formie, podług ostatnich wyników z nauk przyrodniczych skreślił przemiany geologiczne, warunki klimatyczne i meteorologiczne z wykazaniem wpływu ich na człowieka. Tak np. w jednym miejscu powiada: „wiele znakomitych napałów należy odnieść do przyczyn topograficznych, bardziej niż do wpływów politycznych. Zwykle przyczynę wypadków tego rodzaju upatrywano w pojawiającem się przeludnieniu Azji środkowej, lub w dumie wojowniczych wodzów... Wszakże tegoczesny dziejopis nie powinien spuszczać na chwilę z oka praw, kierujących rozszerzeniem się rodzaju ludzkiego oraz oczywistego dowodu, że kora ziemską nie jest stałą, lecz w jednym miejscu się wznosi a w drugim opada... Plemiona, parte do wędrówki posuwały się w kierunki równoleżników nie zaś południków” (I, 26). Za przykład przytacza Cymbrów, których do wkroczenia w granice rzymskie zmusił wylew Bałtyckiego morza, oderwanie wschodnich brzegów Anglii, wzniesienie się dna Adryatyku w północnej części po nad poziom morza i wiele innych podobnych fenomenów. Wznieszenie się powierzchni Azji jest znanem od najodleglejszych czasów. Pustynia Gobi była niegdyś dnem morza, połączonego z morzami Kaspijskiem i Bałtykiem. Skutki takich przeobrażeń sięgają bardzo daleko, gdyż wzniesienie się poziomu o 350 stóp sprządza obniżenie raczej temperatury o jeden stopień, czyli odpowiada posunięciu się na północ o 60 mil w kierunku poziomym. Przyczyny te działały i w czasach historycznych, działają i obe-

nie. Azya środkowa dziś jeszcze jest bezwodną pustynią, usposabiającą do wędrówek. Niektóre rzeki, jak np. Oxus i Jaxartes wysychały na czas długi. Takie przyczyny mogły sprowadzać wędrówki i napady na Europę azyatyckich nomadów (I, 25—27).

Nie mniej ważną i ciekawą dla historyka rzeczą, jest wykład, bardzo jasny i zarazem ściśle naukowy, postępu w naukach matematycznych i przyrodniczych, a w końcu ostatni zarys wiedzy ludzkiej na tém polu. Owoce badań z astronomii, fizyki, chemii, życia roślinnego i zwierzęcego, anatomii i fizjologii są przedstawione ze znakomitym talentem w pełnym życia obrazie. Szkoda tylko że autor poskąpił cytat, a przez to utrudnił profanom ocenienie stopnia wiarygodności podawanych wniosków.

Jezeli czysto-historyczną argumentacją Draper nie przekonał nas o gruntowności swego fizyologicznego poglądu na dzieje ludzkości, nie mniej przeto osiągnął cel swojej pracy, którą poleca pobłażliwości czytelnika gorącemi słowy na ostatniej karcie dzieła. Obszerny pogład na prawidłowe współdziałanie rozmaitych potęg w całej naturze i wykład najnowszych zdobyczy na polu nauk przyrodniczych robią na umyśle czytelnika potężne wrażenie, wpajają najdroższą Draperowi ideę „że narody odbywają swój pochod nie bezładnie i bezmyślnie jakby we śnie, ale że istnieje wspaniała droga po której wszystko postępować musi w nieustannym ruchu, w ciągłym, nieprzerwanym postępie” (II, 355). Idea ta, że użyjemy jego terminologii, nie dojrzała wprawdzie do fazy „rozsądku”, ale przynajmniej istnieje i żyje w okresie „wiary”.

III.

Kolb.

Culturgeschichte der Menschheit mit besonderer Beruecksichtigung von Regierungsform, Politik, Religion, Freiheitsund Wohlstandsentwickelung der Voelker. Eine allgemeine Geschichte nach den Beduerfnissen der Jetztzeit von G. Friedr. Kolb, Ehrenmitglied der Universitaet zu Charkow, d. z. Mitglied der bayerischen Abgeordneten Kammer u. des Zollparlaments. 2 tomy 1869—1870 roku.

Autor kilku dzieł statystycznych, używających znacznej wziętości (jak Handbuch der vergleichenden Statistik, der Voelkerzustands, und Staatenkunde, 5-te wydanie w 1868 roku; Grundriss der Voelkerzustands und Staatenkunde, 3-cie wydanie w 1858) i politycznych, członek niegdyś frankfurckiego parlamentu, a obecnie bawarskiej Izby deputowanych i Parlamentu Celnego, Kolb, kończy „Historią Cywilizacji Ludzkości”, z niezmiernie ponętą kartą tytułową.

Nie ma on zamiaru zapuszczać się w badania praw historycznych, pragnie tylko napisać popularny wykład dziejów, odpo-

wiadający usposobieniom i potrzebom ludu. „Potężny przewrót, który się zaczął za naszych czasów a jeszcze dalekim jest od końca, sprawił to, że zwyczajne historye powszechnie już nie wystarczają dla ludu naszego. Stosownie do swoich politycznych i społecznych dążności powinien on znaleźć w historii coś więcej, niż zestawienie rzeczy, imion i dat, które są całkiem dla niego obojętne, a przede-wszystkiem, których wiedza nie będzie miała dlań żadnej wartości. Do należytego przedstawienia historii, już nie dosyć jest pilnie wystudować pewną ilość starożytności książek lub posiwieć w gabinecie. Ten tylko, kto przez osobiste doświadczenie poznał polityczne i społeczne życie ludów, będzie w stanie wynaleźć i należyście ocenić takie momenta, które mogą obudzić wyższe, żywe zajęcie w narodzie krocącym po drodze postępu na niwie naukowej i ekonomicznej, nie zacofanym w sferze politycznej.” (Vorwort, str. V).

We wstępie, za przykładem Drapera, autor przytacza kilka wskazówek z geologii o przeobrażeniach kuli ziemskiej, o życiu organicznem na ziemi, i o starożytności rodzaju ludzkiego. W dolinie rzeki Mississipi znaleziono skamieniały kościotrup człowieka, pod warstwą osadu, której grubość podług obliczenia amerykańskich geologów wymagała 40 do 50 tysięcy lat. Na poparcie tego obliczenia przytacza jeszcze zdanie filologa Augusta Boltza (die Sprache und ihr Leben 1868), który oznacza czas istnienia pierwotnego spólnego języka Aryów, praojca wszystkich naszych indoeuropejskich języków, także na 50,000 lat. Potem dotyka kwestyi o pochodzeniu rodzaju ludzkiego i oświadcza się przeciwko konsekwencyom teoryi Darwina (których ten zresztą sam nie podawał) o pochodzeniu ludzi od małp. Zdaniem jego rodzaj ludzki pochodzić musi od rozmaitych pra-rodziców, a zdanie to uzasadnia na różnicach w budowie czaszki, fizycznych i intelektualnych usposobień; przede-wszystkiem zaś na warunkach i rozmaitym stopniu żywotności ras. Statystycznymi cyframi dowodzi że pewne rasy w pewnych tylko klimatycznych warunkach istnieć mogą; że teorya aklimatyzacyi okazała się być zupełnie fałszywą (np. przy systemacie aklimatyzacyi umierało angielskich żołnierzy w Jamajce 128,6, na wyspie św. Heleny 33 i t. d., kiedy przy systemacie zmiany wojsk tylko 39,7, 8,8 i t. d.) Obok żywotności izraelskiego plemienia stawi przykład na Indianach amerykańskich w Stanach Zjednoczonych: w r. 1850 liczono ich 388,299 głów, w 1860 było tylko 294,431; w angielskich posiadłościach w Australii fenomen wygasania ras objawia się z większą jeszcze siłą. Przy założeniu kolonii Victoria w 1835 roku liczono Australijczyków 9,000, w 1847 obliczano ich cyfrę tylko na 5,000, a 1859 już zaledwo na 1768 ludzi. W Tasmanii teraz znaleziono tylko 5 mężczyzn i 9 kobiet, gdy w chwili założenia kolonii przed 57 laty ludność tameczna składała się z 5,000 ludzi. Na wyspach Hawaj czyli Sandwich popis ludności dokonany w r. 1861 wykazał cyfrę 67,084 tubylców; w 1865 liczba ta spadła do 58,765; zatem w ciągu 3¹/₂ lat ubyło 8,319 osób, co stanowi przeszło 12⁰/₀.

Z wielu podobnych faktów, Kolb wyciąga wnioski, że rodzaj ludzi nie pochodzi od jednego pokolenia, że pierwotnie liczba ras była nawet znacznie większą niż dzisiaj, lecz że słabsze rasy wyginęły.

Daléj autor wyszczególnia działanie fizycznych i ekonomicznych warunków na pomyślność lub niedolę ludzi: klimatu, dostatku, ubóstwa i postępu cywilizacji, czerpiąc dowody ze statystyki. Następuje potém obszerny ustęp o wolności woli ludzkiej to jest: długi szereg wymownych frazesów z Quetelet'a „*De l'influence du libre arbitre sur les faits sociaux*”, o prawidłowości w wypadkach śmierci, zbrodni, samobójstw, mylnie adressowanych listów, małżeństw etc., cytata przytoczonego już wyżej na str. 48 ustępu z dzieła „genialnego” Buckle'a o niezmienności praw moralnych. Dwa razy dotykaliśmy już téj kwestyi, możemy więc ją nateraz pominąć, tém bardziéj, że nowych materyałów do rozstrzygnięcia jej nie napotykamy u Kolba. Dodaje on wszakże, iż człowiek może modyfikować działanie owych niby niewzruszonych praw, bo liczba pożarów zmniejszy się skoro miasto składające się z domów drewnianych zastąpi je murowanymi, bo jeden system górnictwa naraża na śmierć 8 ludzi z tysiąca, inny zaś tylko 4; bo nareszcie przy jednych warunkach cyfra średniego życia może dochodzić do 49 lat, przy innych zaś spada do 25 (np. w Liwerpool'u i Manchester'ze).

Z całego tego rozumowania autor wyciąga nareszcie ostateczny wniosek żywcem prawie z Buckle'a wyjęty: „Wrodzone zdolności i usposobienia człowieka nie udoskonalają się wcale (?). Moralne zasady nie zmieniły się przez ciąg całych tysięcy lat, a przeobrażenie ich z gruntu nie jest nawet przypuszczalném (?). Przeciwnie umysłowe pojmowanie nieustannego rozwoju może doskonalić się do nieskończoności. To umysłowe pojmowanie stanowi podstawę postępu (?). Ono podaje człowiekowi sposoby do polepszenia materyalnego bytu (z czém pozostaje w związku przedłużenie życia), oraz do wyższego duchowego kształcenia się. Na téj, i tylko wyłączenie na téj podstawie wytwarza się postęp, rozwój cywilizacji, coraz wyższa pomyślność naszego rodzaju (I, 22).

W następnym paragrafie, opuszczając znaną mu krainę statystyki, Kolb traktuje o pochodzeniu religii. Pierwotne ich źródło upatruje w strachu, rozwój zaś ich przypisuje instynktowi osobistego ocalenia, egoizmowi i ciemnocie. Wyjątki z Buckle'a są tu uzupełnione cytatami z Dupuis *Sur l'origine de tous les cultes* i z Feuerbacha. Z bardzo wielu ustępów niniejszego dzieła widać, że Kolb nie ma wyobrażenia o tym przedmiocie, a pod względem braku uczucia religijnego mógłby śmiało współzawodniczyć z Mongołami, jak ich przedstawia Plano Carpini. Pytanie: czemuż nie zachował w téj materyi mądrego milczenia? po co pisał aż osobny paragraf? jedyna możliwa odpowiedź kryje się podobno w kilku wierszach, wystosowanych do stronnictwa klerykałnego: „Duchowni, którzy chcą być kapłanami w ściślejszém tego wyrazu znacze-

niu, będą coraz bardziej z postępem wiedzy wpływ swój tracili. Powinni oni być nauczycielami i szukać sposobów ocalenia swego stanowiska w rozszerzaniu wiedzy, nie zaś w walce z nią" (I, 25). Na taką przecież sentencją możnaby znaleźć stosowniejsze miejsce w politycznej broszurce, nie zaś w historii cywilizacji, która potrafi moralizować faktami.

Ostatni paragraf wstępu zawiera rozprawkę o metodzie traktowania historii i kilka morałów dla historyków, ale szczegółowy rozbiór wyłożonych tu zdań nateraz byłby zbyt cennym, gdyż wartość ich okaże się jasno z przeglądu dzieła samego pana Kolba.

Naprzód znajdujemy drugi jeszcze wstęp, w którym autor daje szkic archeologii przedhistorycznej, wylicza szereg dokonanych na tém polu odkryć (jak *np.* kjoekkenmoedding czyli „resztki kuchenne”, w Danii, mieszkania jeziorne i budynki na palach w Szwajcaryi, groty: leodyjska, abbewiliska i w Aurignac i t. d.). Ogólny zarys przedhistorycznego życia tudzież obyczajów ludzi kamiennego, brązowego i żelaznego wieku; Kolb kreśli słowami przyjaciela swego Morlot'a profesora w Lozannie. Jakkolwiek niektóre hipotezy badaczy nie są jeszcze dostatecznie ugruntowane, a na posiedzeniu Brytańskiego stowarzyszenia nauk, odbytego w Norwich i na kongresie archeologicznym w Kopenhadze roku zeszłego (1869) wiele nowych wniosków poczyniono, jednak wykład Kolba w ogólnych zarysach wiernie odzwierciedla obecny stan wiedzy i ze względu na wielką wagę przedmiotu, musi dla publiczności być zajmującym.

Przystępując do historii właściwej, autor szkicuje wyobrażenia filozoficzne i religijne, stosunek klas w każdym narodzie, stan przemysłu, handlu, prawodawstwa i t. d. Pod względem treściwości i jasności wykład jego zadowalnia czytelnika, ale pod względem naukowej dokładności pozostawia wiele do życzenia. Tak *np.* niewłaściwie umieścił najstarożytniejsze z państw historycznych Egipt po Indyach, których życie dziejowe zaczyna się dopiero około 1600 r. przed Chr., w datach egipskich nie korzysta z owocu badań Lepsiusza i Rougé, historią Assyrii i Babilonu układa podług Herodota i Diodora, nie użytkując z badań Assyriologów (Hincks'a, Rawlinson'a, Oppert'a) i t. d. Nie tylko więc nie napotykamy wiadomości o języku, kalendarzu, pomnikach Niniwy ale widzimy, że Kolbowi obce są nawet imiona bogów i bogiń semityckich jak Assur, Salman-Nisroch, Samas, Sin, Merodach, Nebo, Taauth, Zarpanit i t. d. Spodziewaliśmy się téż, że dotycząc stanu ekonomicznego, Kolb poda ciekawe cyfry statystyczne; tymczasem nie znajdujemy nawet tego, co już ogłosili *Moreau do Jonnés (Elements de statistique)* lub *Napoleon III (Histoire de Jules César)* (I. str. 97—99, 126, 131).

Najwięcej zamiłowania okazał Kolb do historii Grecyi. Zna nietylko greckich autorów Herodota, Tucydysesa, Ksenofonta, Diodora, Plutarcha, ale powołuje się i na prace nowszych pisarzy Schlosser'a, Duncker'a, Grote'a. Pomimo to w wykładzie filozofii

greckiej poprzestaje wyłącznie prawie na biografjach filozofów, pomijając ich naukę o którą przecież tutaj najwięcej idzie.

Ale od bitwy pod Cheroneą, kiedy Grecya dostała się pod władzę Macedonii, Kolb wpada w najgorszy humor, kłóci się ze Schlosserem i traktuje Alexandra Macedońskiego jako zbrodniarza, szaleńca, hazardownego gracza i t. p. „Przebiegłszy szybkim pędem czyny wojenne i wytknąwszy wszystkie uniesienia, wszystkie błędy Macedończyka, taki wyrok wydaje na niego: „Spojrzyjmy na skutki jakie ludzkość odniosła z wielkich czynów mocarza. Co do współczesnego mu pokolenia, prócz pewnej liczby szczęśliwych awanturników, owocem bohaterskich czynów było zburzone szczęście ludzi, okropności i zniszczenie. Od brzegów Hellady, której wolność wydarł, aż do odległych Indyów płynęły potoki krwi, wily się dymy pożarów, grassował głód. Historycy opowiadają po większej części z uwielbieniem o niezmiernych na ówczesne stosunki summach rozrzuconych przez Alexandra pomiędzy jego ulubieńców, żołnierzy lub zmarnowanych na rozpustę i kaprysy; chwalono nawet takie marnotrawstwo, upatrując w niem cechy wspaniałomyślności i szlachetności. Obok tego najbardziej uderza jedna okoliczność, że żaden z tych chwalców nie powiada w jaki sposób zgromadzonemi zostały te niezmierne summy. Jakże musiały cierpieć te nieszczęśliwe kraje i ludy, po których przeszła macedońska zwycięzka wyprawa, jak dalece musiały być one rabowane i wysysane dla zaspokojenia tych wszystkich niedorzecznych wydatków!” (I, 193) (1). W końcu twierdzi Kolb, nie przytaczając zresztą żadnych dowodów, że Alexander wywarł najszkodliwszy wpływ na sztukę, literaturę i nauki, jednem słowem o mało nie powiedział wyraźnie, że genialny Macedończyk był zupełnie podobny do Czyngis-Hana i Tamerlana.

W historyi Rzymu autor wzmiankuje pobieżnie o nowszych badaczach: Niebuhr'ze i Schwegler'ze, gani Mommsen'a za używanie nowożytnych wyrazów w opowiadaniu o starożytném społeczeństwie (np. Hansa, namiestnicy, marszałkowie, jury i t. p.), za brak cytat w jego dziele, a najbardziej za dążność polityczną, „która usiłuje systematycznie podważać naukę dziejów o wolnym rozwoju praw ludowych, oraz poniżać lub nawet wyszydzać ubieganie się o te prawa” (I, 213). Największe nadzieje pokłada na wychodzą-

(1) Nie uważamy za potrzebne zbijać kategorycznie całą tę apokryfę, przypominamy tylko, że ludy nad którymi tak bardzo ubolewa Kolb, były obeznane z większemi jeszcze klęskami pod rządem „wielkich królów” i perskich satrapów; że bez rabunku i wysysania poddanych Alexander mógł rozrzucić ogromne summy, skoro w skarbcach królewskich Suzy, Passargady i Persepolis znalazł 180,000 talentów, czyli 1,337,000,000 franków. Co do pożarów, wiemy tylko o spaleniu pałacu w Persepolis, potoki zaś krwi od brzegów Hellady aż do Indu należy zliczyć po prostu na karb bujnej wyobraźni. Ludy wachodnie nie zbyt hojnie szafują krwią na polu bitwy, wolą ratować się ucieczką.

cém obecnie a jeszcze nieukończoném dziele Ihne'go (Römische Geschichte, I tom 1868, drugi zaś wyszedł obecnie 1870 r.) którego poglądy często przytacza w historii pierwotnej, jak np. hipotezę, że wygnanie królów Tarkwiniusza Pysznego, było właściwie zrzućeniem władzy najezdniczej Etrusków, że patryoyusze i plebejusze należeli do osobnych plemion, z których jedno było zwyciężkiém, a drugie zwyciężoném. Walkę patryocyatu z plebejuszami, Kolb opowiada dosyć dokładnie i kończy ją w ten sposób: „Zwycięztwu plebejuszów Rzym zawdzięcza swój wzrost potężny i swój stan kwitnący; jeśliby się patrycyuszom udało zgnieć upośledzoną klasę narodu, Rzym z pewnością nie przetrwałby klęski pod Kannami i nie uszedłby losu wielu innych miast” (I, 232).

Mniej zadawalniającym jest wykład wojen cywilnych, a od czasów piérwszego tryumwiratu autor czyni wszelkie możliwe a nawet niemożliwe wysilenia dla przekonania, że Rzym powinien pozostać rzeçząpospolitą. To téż oburza się na „professorów” a szczególnie na Mommsena za uwielbienie jego dla Cezara.” Charakterystyka pogromcy rzymskiej rzeçzypospolitej jest wykonana w ten sposób, że możnaby posądzić go o plagiat z opisu bożków, napisanego fanatyczną ręką jakiego bonzy. „My przecież jesteśmy przejęci wcale inném uczuciem, odrazy” (I, 287). Wyrzucając mu że używa gwałtownych wyrażeń do zaprawienia „produktów swojej politycznej kuchni” Kolb dochodzi aż do ubolewania, że lud niemiecki opłaca takich professorów, którzy szerzą zepsucie między młodzieżą. W gwałtowniejszych jeszcze wyrażeniach mówi o Cezarze i najenergiczniej występuje w obronie jego morderców: „zwoleńnicy gwałtu i despotyzmu, stary Napoleon w spółce z pewnym niemieckim professorem, usiłovali dać im krótką odprawę pogardliwém słówkiem „arystokraci”; tém wyżéj stoją w naszych oczach ci mężowie głębokiego przekonania, pełni poświęcenia, którzy dla idei życie swoje narażali” (I, 289).

Jakimże sposobem jednak, pomimo zamordowania Cezara, cezaryzm wziął w Rzymie stanowczą przewagę i sprowadził samowładne panowanie Augusta? Zdaniem Kolba całe nieszczęście pochodziło ztąd, że republikanie nie mieli gotowego planu, unosili się zanadto szlachetnością, a najbardziej, że nie zamordowali jeszcze i Antoniusza! A kiedy lud rzymski wysłuchawszy mowy Antoniusza i testamentu Cezara, rzucił się wściekle na republikanów, Kolb nazywa to „smutném zjawiskiem” i przypisuje próżniactwu, brakowi wykształcenia i zdrowego sądu o sprawach publicznych.

Protestujemy przeciwko takiej metodzie traktowania historii i przeciwko takim programmatom politycznym. Nie zbadawszy dokładnie wszystkich warunków i okoliczności, wśród których działał mąż historyczny, nie godzi się wygłaszać wyroków z trójnoga; nie złożywszy dowodów gruntownej samodzielnej pracy, nie wolno w dziele popularném podawać swoich urojeń i deklamacyj za rezultaty naukowe, za wyraz potrzeb współczesnego pokolenia, jak to Kolb na karcie tytułowej wypisał. A jeżeli chciał przysłużyć się

„ludowi” i uratować młodzież od szkodliwych poglądów Mommsena, toby może lepiej zrobił zwracając uwagę czytelnika na niezmiernie poszanowanie prawa, jakie okazali plebejusze w walce z patrycjuszami, niż występując z teorią morderstw politycznych. Za czasów francuzkiego terroryzmu w 1793 roku, trybunał rewolucyjny mordował nie tylko Cezarów i Antoniuszów, ale wszystkich nawet „podejrzanych” a przecie nie tylko rzeczypospolitęj nie ocalił, lecz owszem przyspieszył samowładztwo generała Bonaparte’go.

Łatwo przewidzieć w jaki sposób traktuje Kolb historią rzymskiego imperyum. Nie napotykamy nawet w jego pobieżnym zarysie nic godnego uwagi.

Jednym z najoryginalniejszych ustępów tak zwanęj „Historyi Cywilizacyi” jest rozdział o początkach i rozszerzeniu się Chrystyanizmu. Wspomniawszy o dziełach Hessa, Dupuis, Baura, Straussa, Arnolda Ruge i Renana, przyznaje największą wartość dziełu Straussa *Das Leben Jesu*, tylko uważa go jako człowieka nieco zacofanego, gdyż zburzywszy mistyczne podania z kolosalnym ryszunkiem uczoności, odtwarza je zaraz bezzasadnie tylko rozcieńżunkami kolorami (I, 437). Z Ewangelii wyciąga wnioski najmniej pochlebne dla osoby Chrystusa, naukę chrześciańską uważa za niższą i gorszą bez porównania od neoplatonizmu i filozofii stoickiej (I, 442), a w pierwszych chrześcianach upatruje same tylko wady charakteru i umysłu. Nie mamy odwagi w kilku lub kilkunastu frazesach dysputować o tak ważnym i skomplikowanym przewrocie dziejowym, notujemy to tylko, że z wykładu Kolba niepodobna zrozumieć, jakim sposobem to zgromadzenie „chłopców, kobiet, żebraków i niewolników” (I, 442) mogło pokonać neoplatoników i stoików, opanować cały świat rzymski i znajdować gorliwych wyznawców przez dziewiętnaście wieków?

Wieki średnie są traktowane z największą pogardą i z rzadką, jak na Niemca nieznanomością przedmiotu. Plądrując po tém obrzernem polu, na którym wytwarzało się tyle narodowości, na którym spoczywają wszystkie zarodki nowożytnęj cywilizacyi, Kolb nie zadaje sobie trudu nawet podzielić owe tysiąc lat na okresy, starannie gromadzi skandaliczne cytaty, o co naturalnie nie trudno w dziejach nawpół barbarzyńskiej społeczności i zaprawia swoje wywody frazesami wielce jaskrawemi jak np. „tak zwany Karol Wielki” (II, 51), „klasztory były zbiorowiskami najbrutalniejszej i najciemniejszej części ludności, siedliskiem najbrudniejszych zabobonów” (II, 56), krucjaty „są szczególnym pomnikiem ludzkiej głupoty” (II 139). Z poszanowaniem mówi tylko o Mahomecie, jego nauce i o Arabach. Czasem zdarza się Kolbowi popełniać błędy elementarne, tak np. że Czyngis-Han zwrócił swój oręż na Rosyją, Polskę i nawet Niemcy (II. 120) i t. p.

Cała ta wojownicza wyprawa przeciwko średniowiecznej ludzkości była przedsięwzięta, jak się dowiadujemy z konkluzyi, głównie w celu przekonania, że „nie może być ważniejszego oskarżenia przeciwko panowaniu duchowieństwa w wiekach średnich, jak

wykazanie umysłowego stanu ludów chrześcijańskich w tych czasach" (II, 243). Wniosek dziwny w ustach zwolennika pozytywizmu, boć przecie duchowieństwo wychodziło z łona téj saméj społeczności; więc zkądżeby Frank lub Wizygota, przywdziawszy suknię duchowną, miał zaczerpnąć wiedzę, mądrość, wolność od przesądów i t. p., która nie istniała w żadnym zakątku owoczesnego świata?

Nie wiele więcéj warta i historia nowożytna. Znajdujemy tu jedną tylko niespodziankę, mianowicie dokładniéj niż zwykle i nawet z pewną sympatyą opracowany ustęp o Jezuitach, ponieważ Kolb jest wielbicielem rozumu, a przytém pomiędzy najsprzeczniejszemi doktrynami uczonych pisarzy tego zakonu znalazł w dziełach Mariany „*de rege et regis institutione*” i Rajnolda (Rosseus) „*de justa reipublicae Christianae in reges impios et haereticos auctoritate*” republikańskie zasady i teorią morderstw politycznych.

Kończymy. Byłoby rzeczą bezużyteczną wdawać się w szczegółowe zbijanie twierdzeń, wykrzykników i wniosków, zostających w sprzeczności nie już z opiniami téj lub owéj szkoły historycznéj, ale po prostu z abecadłem wiedzy dziejowéj. Zresztą zabierając się do czytania książki Kolba, nie obiecywaliśmy sobie nowych zdobyczy właściwie historycznych, bo niepodobna wymagać tego od dyletanta; spodziewaliśmy się jednak znaleźć ciekawe badania i wskazówki do stanu ekonomicznego, do statystyki dawniejszych pokoleń. Doznaliśmy zupełnego zawodu. Moreau de Jonnés i Roscher w swoich statystycznych i ekonomicznych dziełach bez porównania więcéj podali materyałów dla dokompletowania historii, niż Kolb w swoim historyczném dziele, noszącém tak szumny tytuł. Nie przypuszczaliśmy téż nigdy, żeby zwolennik Buckle'a i admirator praw, rządzących ludzkością, zapomniał o wszystkich wyższych celach historycznego badania, a zapragnął dać nam próbkę wtłoczenia całej ludzkości w paragrafy politycznego programu pewnego stronnictwa w bawarskiéj izbie deputowanych. Nie żądamy od żadnego historyka tak zwanéj „bezstronności,” gdyż ta nie jest zgodną z naturą człowieka, ale za warunek konieczny uważamy sumiennność w przedstawieniu wszystkich stron danego faktu, dobrych lub złych, zgodnych z ogłoszoną teorią lub sprzecznych, przyjemnych dla autora lub wstrętnych. Kto zaś posuwa się aż do wydawania wyroku na stan, na naród, na całe stulecia, powinien tyle przynajmniej okazać oględności i dobrej woli, ile jéj okazuje sędzia zwyczajny dla zbrodniarza, to jest żeby syllogizm był oparty na największéj, o ile być może, liczbie gruntownie udowodnionych przesłanek.

Stosując teraz do Buckle'a, Drapera i Kolba metodę indukcyjną, tak energicznie przez nich zalecaną, przychodzimy do następujących wniosków.

Jako systemata historyczne i wzory wykładów dzieła ich są próbami całkowicie chybnymi. Każdy z nich przychodził do wielkiej księgi dziejów nie z czystym sercem, nie z myślą jasną a nieuprzedzoną, lecz z formułami zaczerpniętymi z innych umiejętności. Eksperymenta fizykałne Buckle'a nad pojedynczemi czynnikami cywilizacyi, ów rozkład ducha ludzkości na części składowe nie wydał i nie mógł wydać żadnych naukowych rezultatów, bo duch ten nie da się wtłoczyć do chemicznej retorty. Fizyologiczna teoria Drapera mniej odbiega od koła historycznych idei, bo naprzód ludzkość rzeczywiście składa się z indywidualów, a potem sami historycy spostrzegali w dziejach narodów cechy młodości, męzkiego rozwoju i zgrzybiałej starości. Ale inna jest rzecz użyć jakiego wyrazu pobieżnie dla wzmocnienia charakterystyki, inna znowu wymówić go z naciskiem i twierdzić, że pod nim ukryte jest prawo dziejowe. Ludzkość stanowi zapewne organizm, ale znacznie wyższego rzędu niż te nad którymi fizyologia rozciąga swoje badania. Nareszcie Kolb z swoją doktryną „*nach den Bedürfnissen der Jetztzeit*” dostarczył jednego dowodu więcej do wielu już znanych, że namiętności polityczne i programata chwilowe stronnictw mogą wywierać tylko szkodliwy wpływ na postęp badań naukowych. Pod piórem takiego pisarza, historia staje się zbiorem niepodobnych do rozwikłania zagadek, i zamiast nauczania, rozdrażnia tylko czytelnika.

A jednak historyk nie idąc za systematami i metodami pozytywistów znajdzie u nich niezmiernie ważne materiały, które wybornie może i powinien zużytkować do własnej pracy. Najwyższe zdobycze rozumu w dziedzinie nauk ścisłych i przyrodniczych są prawie niedostępnymi dla dziejopisa, trawiącego lata całe nad kronikami i piśmiennemi zabytkami przeszłości; wykład więc jasny a głęboki jaki znajdujemy szczególnie u Drapera, jest darem nieoszacowanym dla Herodotowej rzeszy. Wpływ przyrody na człowieka, znaczenie klimatu, ziemi i rasy nigdy też nie był badany i wyjaśniony w tak obszernym zakresie jak przez pozytywistów. Czyż bez ich udziału na wszystkich kongresach naukowych, bez popędu przez nich nadanego, mogliby dojść historycy do tworzącej się obecnie archeologii przedhistorycznej, która dodaje najważniejszą może, bo początkową kartę do dziejów rodu ludzkiego? W końcu nie wątpimy, iż energiczne a gorliwe nawoływanie Szkoły Pozytywnej do badania i poszukiwania praw, rządzących ludzkością, nie przebrzmia bez echa.

WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH

W PARYŻU 1870 r.

I.

Ósmdziesiąty ósmy raz z kolei Paryż otwiera publiczności podwoje swojego *Salonu*. Sama nazwa *Salon*, używana dotąd, świadczy wymownie czém była pierwotna wystawa obrazów w tój stolicy. Było to poprostu, zebranie kilkudziesięciu dzieł sztuki, w jednym z salonów królewskiego pałacu w Luwrze. Pierwsza taka wystawa odbyła się przed dwustu blisko laty w roku 1673. Panował wtedy we Francyi Ludwik XIV, panował w malarstwie pyszny Lebrun, równie jak sam król zamiłowany w pompach dworskich.

Jakaż to przepaść rozdziela wystawę tegoroczną od ówczesnej! Nie zrozumiałby majestatyczny Lebrun dzisiejszych artystów, usiłujących podnosić do ideału życie prostego kmiecia lub rzemieślnika, jakby nie rozumiał Ludwik XIV, plebiscytu napoleońskiego! I zkadże taka przepaść oddziela dwie epoki? Oto w pośrodku nich widzimy olbrzymi przewrót 1789 roku, który popchnął świat nowym torem.

Zmiana w stosunkach społecznych, musiała prędzej czy później oddziaływać i na sztuki piękne. Nie prędko to jednak nastąpiło i nie ma w tém dziwu. Rewolucya zastała najważniejsze zagadnienia społeczne, rozstrzygnięte na polu teoryi, jak to widzimy w pomysłach samego Malheshherba; sztuki piękne nie miały takich przygotowań. To też klasycyzm pogański nie przestał panować w ich dziedzinie. i owszem, wystąpił w barwach jaskrawszych niż kiedykolwiek, cechujących pobudki gorączkowe, często wzniosłe, odpowiednio potrzebom czasu.

Wybiła naostatkiem godzina odrodzenia. Wiktor Hugo podniósł sztandar romantyzmu na polu literatury. W ślad za nim wystąpił Delacrux i na polu malarstwa wyzwał do walki zapleśniały klasycyzm. Śmiały nowator nie dokonał zupełnego prze-

wrotu, ale wskazał nowy kierunek, i otworzył szeroki widnokrąg dla przyszłości.

Epoka przesilenia, epoka walki, jeszcze się nie skończyła. Wielu z artystów ogląda się nieśmiało poza siebie, znać ciężko im zerwać z rutyną. Drudzy wpadają w ostateczność, fotografując życie z całym jego realizmem. Prace tych ostatnich, mogą posłużyć dla badań etnografów i ekonomistów, ale jakże one dalekie od ideału sztuki.

W rzeczy samej nowe wystawy, przybierają coraz więcej cechy etnograficzne. Tego znać wymaga duch czasu. Idzie tylko o to, aby sztuka nie igrała z tym ludem wieśniaczym, i rzemieślniczym, którym usiłuje zastąpić dawnych półbogów i bohaterów, ale podnosiła go coraz wyżej, czerpiąc w nim samym nowe idealne pobudki.

Jeśli nie wielu wybranych zdołało pojąć i urzeczywistnić tak podniosłe zadanie, niech to nas nie dziwi i nie gorszy. Wspomnijmy tylko ile wieków składało się na utworzenie szkoły klasycznej, na odlanie tej modły do której dostrajały się genjusze mistrzów dawnych i nowoczesnych. Pamiętajmy, że sztuka dzisiejsza w nowym swoim kierunku, zaledwie oswobodzona z powiązków, zaczyna dopiero stawiać kroki o własnej mocy! Przykładajmy jej szczerze i cieszymy się z krzepkiej siły nowonarodzonego niemowlęcia, pamiętni słów naszego poety:

Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał hydrze:
Młodzieńcem zdusi centaury,
Ten piekłu ofiary wydrze,
Do nieba sięgnie po laury!

A teraz przystąpmy do szczegółowego rzutu oka na dzisiejszą wystawę. Szczegółowego! jakże ten wyraz niewłaściwy!... Oto mamy przed sobą 5500 dzieł wystawionych; z tych 3000 samych obrazów. Gdyby zatrzymać się przy każdym przedmiocie po dwie minuty, trzebaby na to 183 godzin!... że zaś w ciągu dnia niepobna dłużej nad trzy godziny przyglądać się z pożytkiem dziełom sztuki, wypada stąd że dla najpobieżniejszego ich obejrzenia należałoby poświęcić dwa miesiące, kiedy wystawa trwa tylko dni pięćdziesiąt. Zresztą sam zakres naszego sprawozdania, zmusza nas do ujęcia go w najściślejsze karby.

Wystawa tegoroczna mieści się jak zwykle w pałacu przemysłowym na Polach Elizejskich. Same obrazy olejne zajmują dwadzieścia pięć sal; akwarelle, rysunki, pastele i t. p. mieszczą się w ogromnych galeryach, rzeźby następnie rozstawione w oszklonym ogrodzie zajmującym środek wielkiego gmachu.

Przebiegając sale wystawy, oko nasze spotyka częstokroć obrazy, których widok przykre sprawia wrażenie na każdym, kto ma choć cokolwiek estetycznego poczucia. Pochodzi to z przyczyny, że sąd artystów (Jury) pomawiany o stronność w innych

latach, przyjmował w tym roku prawie wszystko cokolwiek mu nadesłano, zostawiając ocenienie utworów samejże publiczności. Rzecz prosta że w liczbie 3,000 obrazów, wykonanych w ciągu jednego roku, musi być nie mało dzieł chybionych. Krytyka jednak przyznaje, że w ogólności liczba dobrych obrazów nierównie dziś większa, niż na dwóch poprzednich wystawach.

Niektórzy sprawozdawcy żalą się że zarząd wystawy nie wybrał celniejszych dzieł i nie ozdobił niemi największej sali gmachu. My nie podzielamy tego zdania. Byłoby to niewątpliwie wygodniej dla osób zwiedzających wystawę, a wygodniej jeszcze dla krytyków. W takim razie możnaby poprzestać na dokładnem obejrzeniu jednej sali nie troszcząc się o resztę. Pojmujemy jednak żeby to wcale nie odpowiedziało widokom zarządu, który chciałby zebrać jak największą liczbę franków; żądanie to według nas tém słuszniejsze, iż owe franki płacone od wnijsia, obracane są na zakup celniejszych dzieł, z pomiędzy wystawionych. Dwojaki ztąd wynika pożytek: najprzód pomoc dla artystów; powtórne wzbogacanie prowincjonalnych galeryi do których te dzieła bywają corocznie wysyłane.

Pomieszczono więc obrazy w abecadłowym porządku według litery poczynającej imię malarza. Tym sposobem w każdej sali widzimy zarówno znakomite utwory, jak niemniej początkowe próby pędzla. Takie rozrzucenie obrazów po salach, ma tę dobrą stronę, że nie jeden młody a zarozumiały artysta, zarumieni się patrząc na niedołęzny swój utwór, gdy go porówna z dziełem wytrawnej ręki. Co do nas, nie żalimy się bynajmniej na podobny układ, mieliśmy bowiem nie małą przyjemność odkrywając prześliczne kwiaty w pośród chwastów.

Trudno to pisać o dziełach sztuki dla czytelników którzy ich nie widzieli i nie zobaczą. Inne zupełne zadanie sprawozdawców paryzkich. Tamtych obowiązkiem kierować smakiem ogółu, wytykając błędy w utworach, podnosząc dodatnią ich stronę. Do nas należy tylko wskazać w przelocie znakomitsze dzieła i uprzytomnić je o ile można w wyobraźni czytelników, nie wdając się w drobiazgowę wady i zalety.

* * *

Zaczynamy od obrazów religijnych jako stanowiących najwznioślejszy rodzaj sztuki. Dzisiejszy wiek tak materyjalny, nie poszczyci się zapewne arcydziełami jakie unieśmiertelniły wiek XV i XVI we Włoszech, a XVII we Francyi. Powódz realizmu pochłoneła dziś sztukę, przykuła ją do ziemi i wstrzymała polot jej w nieskończoność. Mylą się ci jednak, którzy patrząc na chwilowy upadek w tym kierunku, zwątpili rozpaczliwie o przyszłości. Jest to powtarzany chwila przewrotu, chwila odrodzenia. Dziecko pełza przy ziemi póki słabe; gdy wyrośnie, gdy stanie na nogach, a głowę podniesie do góry, chcąc nie chcąc musi

spojrzéć w niebiosa, musi oko w oko spotkać się z nieskończonością.

Niektórzy z dzisiejszych religijnych malarzy, znużeni trzy-wiekowym naśladownictwem mistrzów włoskich, zwrócili oczy w głęboką przeszłość, aby czerpnąć natchnienie w pierwotnych źródłach. Jeden z nich p. Pavis de Chavannes, przedstawił w tym roku dwa obrazy, w których naśladowuje bizantyjską sztukę pełną pierwotnej a naiwnej prostoty. Wyznamy szczerze iż na pierwszy rzut oka, obrazy te wydały nam się jakby umyślną parodią. Przywykli do konwencyonalnych form, nie mogliśmy zrozumieć tych sztywnych i prawie bezcielesnych postaci. Wprawdzie wiele podobnych oglądaliśmy ze czcią w mozaikach słynnej bazyliki weneckiej św. Marka; lecz powtórzone dziś, były w oczach naszych prawdziwym anachronizmem. Ponieważ jednak Pavis de Chavannes ma sławę znakomitego artysty we Francji, nie chcieliśmy poprzestać na pierwszym wrażeniu i przez kilka dni wracaliśmy do tych tak szczególnych obrazów. Otóż im głębiej wpatrywaliśmy się w płótno, témbardziej znikało uprzedzenie; aż z całą pokorą musieliśmy powstydzić się zbyt dorywczego sądu.

Większy obraz przedstawia ścięcie św. Jana. W pośrodku klęczy święty z głową sztywno wyprostowaną; obie ręce odwrócone dłońmi na zewnątrz równie ma wyprężone. Artysta poświęcił tu estetyczną formę dla wykazania głębszej prawdy. W tych wyteżonych członkach wyraził on wiarę wyteżoną do najwyższego zachwytu, który odbija w rysach oblicza, i wytryska z czoła wieńcem promienistej aureoli. Po lewej stronie stoi kat z zamierzonym mieczem; po prawej córka Herodyady z misą w rękę, czeka na głowę która spadnie w tej chwili; w twarzy jej maluje się okrucieństwo połączone z niejaką litością.

Na drugim obrazie widzimy Magdalenę pokutującą w pośród nagich skał Tebaidy. Oblicze jej wychudłe i zżółkłe jak pargamin, a przecież ożywione wewnętrznym płomieniem, świadczy o twardej pokucie, i ascetycznym podniesieniu ducha. Ciemna gruba tunika przysłania ją całą; na ramiona i plecy spadają zwoje złocistych włosów; w rękę trzyma jak zwykle trupią głowę. Postać to zupełnie oderwana od ziemi, wielka w prostocie swojej.

Oba utwory wywołały najsprzeczniejsze zdania. Wielu krytyków goniących za zewnętrznym efektem, sponiewierało je nielitościwie, obrzuciło śmiesznością. Przypadek zdarzył że te obrazy zawieszono obok innych najbłyszkośliwszych z całej wystawy; taka sprzeczność obróciła się na ich szkodę i wprowadziła w błąd nie jednego.

Oglądaliśmy owe obrazy p. Chavannes w towarzystwie dwóch zdolnych artystów. Z tych jeden zachwycał się niemi, drugi potępiał je z całą surowością. Osobiste wrażenie nasze na ich widok było tego rodzaju, jakbyśmy słyszeli pieśń religijną, wyspiewaną dziś, archaicznym rytmem Bogarodzicy św. Wojciecha!

Do pięknych obrazów religijnych należy *Rozesłanie Apostołów p. Cazes*. Utwór to na wielką skalę, wykonany zgodnie z tradycją szkoły włoskiej XVIgo wieku. Chrystus stoi w środku apostołów, daje im błogosławieństwo. Wielka powaga i prostota odpowiada wielkości przedmiotu.

Ksiądz Alexander Grellet przedstawił Chrystusa jako *pojedyncą ludzkość* z godłem: „*Ipsa est pax nostra.*” Zbawiciel kładzie ręce na ramiona dwóch ludzi: z tych jeden wyobraża bogacza, drugi ubogiego. Myśl piękna, żywotna, oddana z surową powagą i niepospolitą siłą.

Oryginalny pomysł uderza nas w obrazie p. *Nanteuil: Chrystus wtrącony do ciemnicy*. Poznać tu Zbawiciela po cierniowej koronie i płaszczu purpurowym, lecz oblicze nie dosyć idealne. Przez okienko w górze pada na ziemię promień słońca. Szczyble kraty odbite w tym promieniu, tworzą krzyż podłużny. Chrystus smutnym okiem patrzy na to prorocze zjawisko. Obraz nosi nazwę: *Ostatni promień słońca*.

Jan Paweł Laurenz przedstawił silnym pędzlem: *Wypędzenie Chrystusa z Synagogi*. Nie szukać tu wyższego ideału, ale dramat oddany ręką mistrza. Brodate i straszne twarze Faryzeuszów przejmują grozą. Koloryt ciepły, rysunek śmiały, dokładna znajomość anatomii, do tego biegłość archeologiczna w oddaniu strojów ówczesnych, wszystko to stanowi dodatnią stronę dzieła, któremu zarzucić tylko można przesadę w realizmie.

Drugi obraz tegoż pędzla *Św. Ambroży nauczający Honorjusza*, oddany w podobny sposób. Artysta trzymał się wyraźnie szkoły hiszpańskich malarzy.

Przypomina niemniej szkołę hiszpańską *Ribeiry Samarytanin p. Ribot*. Postać samego Samarytanina niknie na drugim planie; uderza tylko w oczy ciało rannego, któremu ów sprawiedliwy spieszy z pomocą w sabbat. Jestto raczej studyum akademickie niż obraz religijny. Znawcy przyznają mu pierwszorzędne zalety pod względem anatomii i zuchwałej gry światła i cienia.

Milsze wrażenie sprawia *Samarytanka p. Soula Croix*. Chrystus siedzi przy studni, lewą rękę wsparł na poręczy, prawą wskazuje niebo. Samarytanka stojąc w kornej postawie słucha pilnie słów Zbawiciela, utonęła w nich duszą całą, nie wie nawet że przewróciła wsparty o poręcz dzbanek wody. Postawa Chrystusa poważna i surowa, postać niewiasty pełna prawdy i wdzięku.

Nawrócenie św. Augustyna p. Michel, należy również do dzieł wyższej wartości. Święta Monika wskazuje synowi wpółotwarte niebios, gdzie na modrym lazurze kołyszają się roje aniołków. Na drugim planie w głębi, grono niewiast wyobraża uciechy i próżności światowe. Słowa matki przemogły nad pokusą, znać to z surowej postawy nawróconego już syna.

Szczególny pomysłem jest obraz p. *Mottez* wyobrażający *Zmartwychwstanie ciał ludzkich w dniu sądu*. Dwaj aniołowie

zagrzmieni w trąby: na to hasło zmarli powstają z mogił przyobleczeni w dawne ciała. Krewni i przyjaciele poznają się nawzajem. Matka z niewysławioną miłością pogląda na ukochane dzieci, mąż przyciska do piersi młodą żonę. Wszyscy rozradowani i szczęśliwi. Cały obraz tchnie błogiem uczuciem. Nic tu nie przypomina grozy przywiązanej do straszego dnia sądu. Artysta wziął za godło wiersz Lamartina:

„To z nas tylko zostanie cośmy ukochali!”

Mówiąc o religijnych utworach, nie godzi się pominąć *Adoracyi pastuszków* p. *Richomme*. Jestto szkice na fresk do jednego z nowych kościołów. Postać N. Panny pełna wdzięku i naiwnej prostoty, przypomina aredziela z czasów odrodzenia.

Szkice p. Bin przeznaczony do kościoła St. Sulpice niemniej zasługuje na uwagę. Wyobraża *Śmierć N. Panny*. Boga rodzica leży na łożu, u stóp klęczą dwie niewiasty pochylone; postawa ich wyraża wielką boleść. Poza łożem apostołowie tworzą piękną grupę. Święty Piotr, najwydatniejsza postać ze wszystkich podnosi ręce i oczy do modlitwy. Święty Jan pochylony u wezwłowa podtrzymuje głowę konającą. Przez roztwarte obłoki promień światła pada na oblicze Maryi. Po tym promieniu spływają dwaj aniołowie z rozpostartymi skrzydłami, gotowi unieść Rodzicielkę Bożą w niebiosa. Ugrupowanie piękne prostotą przypomina wzory wielkich mistrzów, cały utwór pełen ruchu, życia i siły; koloryt harmonijny. Oblicze tylko Maryi wydało nam się nazbyt ziemskie, za nadto złamane wiekiem i chorobą.

* * *

Tenże sam artysta przenosi nas na pole klassycznej mitologii. P. Bin przedstawił szkice sufitu przeznaczonego do szkoły w Zurich, sławnej nie tylko w Szwajcaryi i w Niemczech, ale i w całej Europie pod nazwiskiem *politechnicum*.

Szkice wyobraża *Urodzenie Minerwy*. W pośrodku siedzi Jowisz, nie z piorunem jak go zwykle malują, ale z berłem i z jabłkiem złotem, obok niego Junona i inni bogowie Olimpu. Wulkan trzyma młot którym tylko co rozbił głowę Panu. Na tej głowie stoi Minerwa w hełmie. W jednym ręku trzyma tarczę, drugą odbiera pochodnię z rąk Westy. Oprócz jakiejś bogini, która na widok Mądrości spada z obłoków obrócona do ziemi głową, wszystkie postacie harmonijnie ugrupowane.

Ale czemuż zawsze ten przestarzały i tak zużyty Olimp? wolelibyśmy stokroć widzieć w Zurichskiej szkole uosobione godła nauki i umiejętności; w podobnym rodzaju, jak zmarły niedawno Hesse, usymbolizował handel dla giełdowej lyońskiej sali. Widzimy tam i rolnika nad pługiem, i ludy różnych plemion: Chińczyka, Turka, Negra, i godła onót bez których handel ostać się nie może: sprawiedliwość, miłosierdzie, siłę i roztropność.

To połączenie rzeczywistości z ideałem, czyżby żywił nie przemówiło do nowego pokolenia, niż wszyscy bogowie Olympu?

Skończyło się panowanie greckich bogów, zrozumieli to artyści nowej szkoły. Jeden z nich przedstawił szeroko przetrzebioną w lesie drogę, wyłożoną szynami, po której toczy się lokomotywa. Hamadryady i Nimfy przestraszone pogwidem pary uciekają w komicznej postawie. Wspominamy ten małoznany obrazek, bo uwydatnia myśl żywotną.

Wielu przecież niepoślednich artystów trzyma się jeszcze uporeczywie klasycznej mitologii: łatwiej bowiem przybierać myśl w konwencyonalne kształty, niż nową stworzyć formę. Z pomiędzy tych dzieł kilku pominąć niepodobna. Do najznakomitszych należy *Frometeusz p. Cot.* Rysunek tu wyborny, muszkuły skurezone boleścią, odznaczone z siłą niepospolitą, ale ideał niknie w obec rzeczywistości. Artysta miał raczej na celu, okazać dokładną znajomość anatomii niż w blasku idealnym odтворzyć jeden z najpiękniejszych mytów greckich. Sęp z rozpostartymi skrzydły oddany z całą przerażającą prawdą.

Zwraca niemniej uwagę *Śmierć Nessusa p. Delanay.* Centaur trzymając w krzepkiem objęciu Dejanirę, brnie przez rzekę Ewenus. Ugodzony pociskiem nie wypuszcza przecież zdobyczy. Młoda kobieta wyciąga obie ręce do Herkulesa, stojącego opodal na skale, który naciąga łuk do powtórnego strzału. Obraz to bardzo efektowny. Purpurowa draperya Centaura, obok złotej sukni i błękitnej przepaski Dejaniry, tworzy całość harmonijną dla oka.

Młody artysta *Beker*, uczeń sławnego Geroma, wystąpił po raz pierwszy w tym roku z *Orestesem otoczonym furyami.* Przedmiot wzięty z tragedyi Sofoklesa. U łoża śpiącego pojawia się widmo zamordowanej przezeń matki. Klitemnestra blada, nieprzebragana jak grób, ukazuje synowi krwawą bliznę. Z poza niej wyglądają trzy furye z szeroko rozwartemi usty. Ich okrzyk zlewa się w piekielny chór. Znać to z postawy zrozpaczonego młodziana. Zdolny artysta otrzymał medal.

P. Blanc uczeń szkoły rzymskiej przysłał *Ferseusza na Pegazie*, obraz nie małej wartości. Skrzydlaty rumak cwałuje w powietrzu unosząc bohatera. Tryumfujący Perseusz trzyma w lewej ręce głowę Gorgony, prawą z mieczem wspiera na posłusznym biegunie. Z obrazu powiewa jakiś duch bohaterski.

Zasługuje też na uwagę *Calypsa p. Lehman.* Siedzi samotna po nad morzem, oparta lewą ręką o skałę; oczyma ściga smutno okręt unoszący Ulysesa. Draperya amarantowa osłania kolana nymfy, z ramion jej spada złoty bisior. Pod względem kolorytu całość przedstawia się harmonijnie.

Z obrazów mitologicznych *Prawda p. Lefebvre* najsprzeczniejsze wywołała zdania. Jedni widzą w niej arcydzieło, drudzy odmawiają wszelkich zalet. Wyobraźmy sobie kobietę wiel-

kości naturalnej, stojącą w głębi studni, z prawą nogą cokolwiek podniesioną, opartą o kamień. Twarz jej pełna wyrazu, ciało miękko i umiejętnie wymodelowane. W prawej ręce wyciągniętej w górę, trzyma okrągłe zwierciadło od którego blask rozświeca ciemną przestrzeń. Krytycy pochwycili śmieszny stronę tej wyciągniętej ręki, i przezwali prawdę kandelabrem! Mimo to Lefebvre otrzymał medal.

Sąd Midasa p. Lewy, obrazek mniejszych rozmiarów, ma w sobie stronę humorystyczną, przez co ogólnie się podoba. Król Frygii rozparty w krześle, w sukni ze wschodniego dyftyku, usniecha się z zadowoleniem. Z pod korony wyglądają mu nie wielkie osłe uszy. Przed królem stoi Apollo z lirą, w postawie wyrażającej najwyższą pogardę. W głębi ukazuje się Pan. Jest to po prostu satyra na krytyków, którzy nieprzychylnie przyjęli zeszłoroczne prace artysty. W tym roku panowie krytycy nierównie jakoś względniejsi; kto wie czy się nie ulękli osłich uszów.

Pomijamy mnóstwo Nymf, Hamadryad, Ondin, a przecho- dzimy do mytycznego obrazu, który dziwnie harmonijną przed- stawia całość. Mówimy o *Narodzinach Homera p. Curzon*. Arty- sta wziął rzecz z Plutarcha. „Kriteis, mówi historyk grecki, posłał dnia jednego prać chusty w rzece Meles. Tam nad rzeką przy- szedł na świat Homer, ztąd zwany w młodości Melesigenem.”

Na kolanach poważnej matrony greckiej, wspiera głowę w półomdlała Kriteis. W koszyku nałożonym bielizną leży ma- leńkie dzieciątko. Prześlizna Greczynka pochylona nad nim, wlepiła oczy w przyszłego wieszczą, jakby przeczuwała nieśmier- telną jego chwałę. Inna młoda kobieta leje wodę z amfory w czarę, którą matrona wyciąga do niej. Wielkie olchy ocieniają tę śliczną grupę, dalej widać rzekę wijącą się malowniczo w po- śród brzegów zarosłych w kwitnące oleandry. Pasma gór zakoń- cza krajobraz. P. Curzon znakomity pejzażysta pięknie oddał całe bogactwo greckiej przyrody.

Obok klasycznych i barbarzyńskie myty znalazły tu zdol- nych tłumaczy. P. Landelle wykonał piękną *Galską Wellede*, ów prototyp spokrewniony ściśle z Wallą Skandynawów, z Willą Serbską, a jak sądzimy i z naszą mytyczną Wandą!

Odbieramyż historyczność Wandzie polskiej? Bynajmniej!... rozszerzamy tylko jej znaczenie! Jak Piast, jak Krakus, tak i Wanda są typami wszystkich plemion aryjskich.

Kapłanka galska na obrazie to istna *żywa zorza*, według pięknego wyrażenia Deotymy, w wieńcu dębowym na jasnych włosach. Szata jej biała, przetykana złotem, napół przysłonięta szarą draperyą. W prawej dłoni trzyma zwój pergaminu, na którym skreślona zapewne tajemnicza nauka Druidów, lewą ręką wskazuje niebo.

Do tejsze kategorii należy i *Kapłanka uspiąca w świątyni p. Leroux*. Na ołtarzu dogorywa święty Znicz: stabiuchny pło- myczek ledwie że tleje. Kapłanka siedzi przed ołtarzem z głową

na piersi pochyloną, ręce jej obie opadły na kolana. Ściany świątyni pokryte napisami, które artysta skreślił z archeologiczną ścisłością. Można je odczytać przy połysku kagańca. Postać dziewicy ognia pełna prawdy i niewysłowionego uroku.

* * *

Wiele widzimy na wystawie symbolicznych obrazów. Z tych największy rozmiarem olbrzymi obraz *Iwona* przedstawiający *Stany Zjednoczone Ameryki*. Imię Iwona znane od dawna nie tylko we Francji. Ktokolwiek zwiedzał międzynarodową wystawę pamięta owe piękne obrazy, sprowadzone z Wersalu, przedstawiające krwawe bitwy z ostatniej wojny wschodniej. Widział je zapewne i p. Steward bogaty bankier z Nowego Yorku; pragnąc zatem uczcić w godny sposób szczęśliwie ukończoną wojnę domową w Ameryce, zamówił u artysty obraz długi na stóp 50, zastosowany do okoliczności. Z samych rozmiarów żądanych wiadał że bankier przywykł załatwiać interesa na wielką skalę. Sądził on że malarz który tak świetnie odtwarza bitwy, potrafi nie mniej żywo uwydatnić błogie owoce pokoju. W tym względzie omylił się pan Steward. Iwon godny następcy Horacego Werneta w bitwach, mniej szczęśliwym okazał się w rodzaju symbolicznym.

Olbrzymie dzieło nie znalazło wielkiego powodzenia na wystawie. Krytyka szukając może zalet odpowiednich rozmiarom, tak je w ogólności spotwarzyła, że gdyśmy z uprzedzeniem przystąpili do obrazu, znaleźliśmy w nim nie jedną zaletę: której sprawozdawcy nie chcieli widzieć. Kompozycya nie wątpliwie bogata, ugrupowanie umiejętne: za pierwszym rzutem oka, można rozpoznać myśl artysty, szczegóły wykończone starannie. Wprawdzie mimo jaskrawych tonów, jakiś chłód powiewa od obrazu; brak tu iskry natchnienia, brak zapału, brak tego co się nie da określić słowem ani kupić za złoto. Znać że 300,000 amerykańkama, nie były dosyć silną poduietą, aby wykrzesać twórczy płomień z piersi artysty! Te niedostatki rażące w Paryżu, znikną zapewne w zienniejszej Ameryce, a szczególnie w chłodnym salonie miliardowego bankiera.

Środek obrazu zajmują dwie kolosalne niewiasty siedzące na wozie tryumfalnym, ciągnionym dwoma lwami. Jedną z niewiast Ameryka w bieli, w czapeczce frygijskiej na głowie, z trójkątem w ręku emblematem równości; drugą osobą mądrość w tradycyjnym kasku Minerwy: obie podają sobie ręce.

Słusznie krytyka zganiała tę Minerwę, to jest nie wykonanie jej, lecz sam pomysł. Dla ziemi nowej jak Ameryka, wszelkie allegorye mitologiczne mniej właściwe jeszcze, niżeli dla stariej Europy. Na uosobienie mądrości zgodnej z pojęciami nowego świata, należało utworzyć nowy symbol.

Wkoło otaczają wóz wszystkie Stany Ameryki w postaci trzydziestu czterech niewiast. Każda niesie właściwe godła: ta

wiosło, tamta bawelnę, inna snop pszenicy, wiązkę trzciny cukrowej lub gałązkę kawowego drzewa.

Po lewej ręce widać grupę niemieckich przybyszów uzbrojonych w rolnicze narzędzia. Jedni garną się pieszo, trzymając w ręku młoty i motyki; dalej kobiety i dzieci ciągną na wozach uprzęzonych wołami. Bliżej oka, na pierwszym planie, jedna z wielkich rzek amerykańskich, w postaci starca z białą brodą, zanurza w potoku głownię wojny, i oto groby rozmykają się cudem, zmarli dźwigają z trumien głowę; witają radośnie tryumf sprawy, dla której poświęcili żywot.

Po prawej ręce znać jeszcze krwawe ślady tylko co zbiegłych czasów. Złe namiętności w postawie piekielnych Harpii roztańczają skrzydła nad ziemią i podnoszą syczące paszcze. Archanieli tymczasem spływają z góry na płomienistych biegunach, strącają potwory na dno piekieł. Na bliższym planie mąż czarno ubrany, pastor czy misjonarz, trzyma otworzoną biblią. Ku owej księdze żywota garną się ludy różnych barw i odcieni. Indianie przystrojeni w pióra ptaków, Murzyni, Metysy, Mulaci i t. d. Wszyscy wyciągają ręce z ufnością. Mąż z plemienia białych podnosi czarnego brata; niewiasta biała dźwiga upadłą murzynkę

W głębi na piedestale wznosi się posąg Washingtona. Powyżej posągu sława w postaci czterech skrzydlatych niewiast, wygłasza na wszystkie światy strony chwałę nieśmiertelnego męża.

Przed wozem tryumfalnym na kobiercu murawy, zasianym w kwiaty i owoce, igrają swobodnie skrzydlate geniuszki w postaci niemowląt. Dzieci te wyobrażają pracę i pokój. U stóp ich rozrzucone godła rolnictwa i przemysłu; w głąb rzeki tymczasem staczają się armaty, kule i oręż.

Dziwnie zaprawdę przedstawia się owa Minerwa z tarczą, obok chrześcijańskich archaniołów walczących z potworami, obok tych mężów dzisiejszych w paletotach w okrągłym kapeluszu!

Wielki ten obraz nim dojdzie na miejsce przeznaczenia, ma okrążyć wszystkie stolice Stanów Zjednoczonych: ciekawa rzecz w jakim świetle przedstawi się oczom Yankiesów.

Okazała rama za 10,000 franków, przybrana w godła amerykańskie przyczynia się nie mało do efektu.

Z pomiędzy wszystkich grup najżywiej przemawia do nas grupa biednych przybyszów niemieckich. Patrząc na nią przypomnieliśmy sobie wiersz Coppego poświęcony tym nieszczęśliwym wychodźcom, z większą zapewne prawdą malujący ich dolę, niżeli optymistyczny pędzel Iwona.

Oto małeńki wstęp:

Gdyby w oczy przyszłości mogli spojrzeć śmiało!
Gdybyż choć pomyślniejsze jutro im świtało!
Lecz ramienia tym biednym otucha nie poda ..
Ameryka, to nie ta Indyanka młoda

Co ze trzciny wyglądała z twarzą uśmiechniętą,
 W barwiste pióra ptaków strojna jak na święto.
 Taką znali ją w szkole: dziś ona inaczej
 Jawi się w obec smutnych rozbitków, oraczy;
 Inny czar przed ich checiwym roztaacza dziś wzrokiem.
 I widzą las potworny, owiany pomrokiem
 W trzęsawisku rój gadów wiję się i syczy,
 Jadowite potomstwo przyrody dziewiczej.
 Trzebaż siły do walki hartować wytrwałej,
 Walić drzewa toporem, młotem kruszyć skały,
 Przy karczunku wyziewy zatruc pierś zgniłemi
 Nim wkopią się motyką w łono żyznej ziemi.
 Przy ogniu im nad trzodą trawić noc bez dachu.
 Nie zmrzyd do snu powiek, ale mrzéc ze strachu,
 Gdy z nienacka w gęstwinie wśród nocnej pomroczy
 Płomienne jaguara zabłysną im oczy!

Smutna to a jakże prawdziwa rzeczywistość!

Mniejszy nierównie co do rozmiarów, ale nieskończenie wyższy pod względem wartości artystycznej, jest obraz symboliczny p. *Hebert*, wyobrażający *Poranek i Wieczór życia*, w postaci dwóch kobiet. W gęstym lesie w studni na omszonym kamieniu, siedzi stara, zgrzybiała niewiasta skulona od zimna i niemocy. Przy niej na pierwszym planie, stoi piętnastoletnia dziewczyna, wieśniaczka rzymska, pełna życia i niezrównanej krasoty. Całą jej odzież stanowi różowa spłowiata spódniczka, krótka do kostek, i biała koszulka roztrwarta cokolwiek na piersiach. Cera jej śniada, ciepło odbija na tle zielonych drzew stanowiących tło obrazu. Prawą ręką opiera miedziany dzbanek o poręcz studni, lewą ujęła się pod bok obyczajem wieśniaczek. Z pod białej koszulki wygląda okrągłe ramię i ogorzała szyja; nogi jej bosa jakby utoczone.

Jest to utwór wysokiego arcyzmu; powiedzielibyśmy wysokoklasycznego, gdyby wyraz klasycyzm nie wyobrażał pewnej konwencyonalnej rutyny. Ilekroć byliśmy na wystawie, a byliśmy tam wiele razy, trudno nam było oderwać się od tego arcydzieła. W dzisiejszym szczególniejszym czasie, kiedy malarze i powieściopisarze tak przywykli przedstawiać kobietę, jeśli nie jako bahantkę, to przynajmniej jako istotę chwiejną; kiedy takie pojęcie odbiło się niejako w opinii publicznej; jakże miło powitał typ kobiety prawdziwie czysty, wielki w prostocie swojej, oddany z najwyższym poczuciem idealnego piękna. Spodziewamy się że ilustrowane pisma nasze które tak znakomite wyrobiły sobie stanowisko pod względem artystycznym, zechcą upowszechnić celniejszych dzieła tegorocznej wystawy paryzkiej. Między temi zalecamy szczególniejszy arcydzieło *Heberta*.

Zasługuje niemniej na uwagę inny utwór tegoż artysty, przedstawiający *Muzę ludową ułóską*. Szczęśliwy to prawdziwie pomysł, uosobienie muzy ludowej dziś, gdy poezya zwraca się wszędzie do pierwotnego źródła, zakłętę w żywej piersi ludu.

Umiał artysta zrozumieć i oddać tę piękność, daleką od sentymentalnej eteryczności, ale pełną żywotnej siły. Głowę ma uwieńczoną, w kwitnącą gałązkę oleandru. W uszach jej świecą wielkie koleczki złote; na sniadą pierś spadają paciorki z lawy. Łagodny uśmiech igra na koralowych ustach, na czole przebiega jakas mgła, nie smutku lecz poetycznej zadumy. Zielone tło z liści uwydatnia ciepły koloryt ciała.

Te dwa obrazy należą do drogocennych pereł tegorocznej wystawy. Imię p. Hebert znane już oddawna w świecie artystycznym; jego sławna *Malaria* stanowiąca jedną z głównych ozdób luxemburskiej galeryi, przed dwudziestą już laty, dała go poznać jako znakomitego rysownika i pierwszorzędnego kolorystę. Według ogólnego przecież uznania, tegoroczne utwory artysty wykazują w nowém świetle olbrzymi jego talent. Po trzykroć już zaszczycony medalem, pan Hebert nie mógł w tym roku ubiegać się o nową nagrodę; medal zaś honorowy przyznawany zwykle bywa za kompozycyę rozleglejszych rozmiarów. Nie dała mu prawa do tego zaszczytu piękna wieśniaczka rzymska, w każdym razie jeden to z najpiękniejszych utworów tegorocznej wystawy.

Wiadomo że p. Hebert jest od trzech lat dyrektorem szkoły francuzkiej w Rzymie. Nic dziwnego że pod kierunkiem takiego mistrza, uczniowie tej szkoły kształcą się na znakomitych artystów, czego dowody widzimy na wystawie.

Z mnóstwa symbolicznych obrazów wspomnimy jeszcze jeden p. Beniamina Constant, zalecający się nie tyle wykonaniem, jak raczej oryginalną myślą. W ubogiej izbie na łożu przy zapalonych świeczce, leży człowiek tylko co umarły, przysłonięty białym prześcieradłem. Przez otwarte drzwi wchodzi młoda kobieta odziana draperyą purpurową. W ręku trzyma bogatą skrzynkę okutą w złoto, wysadzaną perłami. To fortuna, bo lewa jej noga toczy się wsparta na złotém kole. Obok niej jawi się biała skrzydlata postać sławy; ta rękę z wieniec wyciąga ku zmarłemu. Kościotrup w czarnym płaszczu wychyla szydereo ku wchodzącym trupią głowę jakby mówił: „za późno!” Wielka kosa leży na podłodze. Dziwna tu mieszanina pojęć chrześciańskich i mitologicznych; obrazek jednak mówi do wyobraźni.

* * *

Jeśli historia na tegorocznej wystawie nie przedstawia się w wielkiej liczbie dzieł, może się przecież poszczycić dwoma utworami znakomitej wartości. Jednym z nich jest obraz *Matyjski*, drugim *Ostatni dzień Koryntu*, utwór młodego artysty *Tonny Robert Fleury*, który inną również znakomitą pracą, dał się już chlubnie poznać przed kilką laty.

Ostatni dzień Koryntu zjednał artyście wielki medal honorowy, to jest najpierwszą nagrodę. Sąd uznał w tym utworze główne arcydzieło tegorocznej wystawy.

Po pierwszym wystąpieniu w roku 1866, młody artysta zniknął z widnokręgu paryzkiego. Zwiedził on Grecyą, rozpoznał na miejscu ów uroczy Korynt, którego ostatnie chwile dziejowe postanowił odtworzyć pędzlem. I długi czas nie było o nim słychać, aż oto wystąpił z cudnie pięknym obrazem, który miał ustalić sławę młodego mistrza.

Wielkie swe dzieło historyczne osnuł malarz na ustępie z historii Tytusa Liwiusza. Wypisujemy go z katalogu:

„Trzeciego dnia po bitwie pod Leukopetra, konsul Mumiusz wszedł do Koryntu, pozbawionego wszelkiej obrony.... Niewiasty i dzieci zaprzędano w niewolę. Wielu mieszkańców znalazło śmierć w płomieniach. Miasto wystawione na łup żołnierstwa, zburzone zostało przy huku trąb.”

Przedmiot ten sam przez się wysoko dramatyczny, umiał artysta przedstawić z gorącym zapalem młodzieńczym, a obok tego z całą potęgą wytrawnego już pędzla. Przed świątynią Pallady, u podnóża posągu, tułają się zrozpaczone niewiasty greckie. Kilka z nich upadło obliczem na ziemię, jakby w obec ohydny własnej, chciały się w niej zagrzebać. Trzy stoją na stopniach posągu. Jedna wlepiła oczy w zamordowane niemowlę, które trzyma na ręku, druga załamuje dłonie z wyrazem obłąkania. Trzecia w pośrodku, najpiękniejsza postawą, niewzruszona niby posąg kamienny, patrzy śmiało na zbliżających się Rzymian. W rysach jej oblicza odbija nie przestrasz, nie gniew nawet, lecz milcząca pogarda. Błagać ona nie będzie, śmierci się nie boi, czeka jej, wyzywa ją niejako. Silna, bo już zerwała z ziemią, bo duch jej utonął w wieczności.

Wspaniała ta postać góruje w obrazie. Niemniej piękna postać starca siedzącego u stóp posągu. Zimny stoicyzm odbija w rysach mędrca. Przeżył on długi żywot, stanął u kresu i wie... że wszystko na świecie czczy dymem, próżnością, próżności!

Te smutne ofiary klęski, zajmują pierwszy plan na obrazie. Zwycięzców odsunął artysta w głąb sceny. Mumiusz nieprześlągnięty wykonawca woli zwyciężki Romy, obleczony w purpurę, postępuje konno na czele kohort. Spełniony już rozkaz prokonsula; miasto złupione! Na wozach uprzężonych w woły piętroszą się marmurowe posągi bogów i zdobyte trofea. Przez czarne kłęby dymu, przez słupy płomieni, widać po prawej ręce piętroszące się na wzgórzu sławne korynckie Akropolis! Dym niby całun żalobny przysłania trupy Greków, i żywe ciała stroczone powozami.

Krwawy dramat sprzecznie odbija od szafirowych fal morskich czystych jak błękit nieba, opasanych wieńcem malowniczych skał Attyki, połyskujących na słońcu. Ten błękit, to słońce, ten harmonijny czar greckiej przyrody, ta niezrównana piękność Greczynek, wszystko to tęp silniej uwydatnia całą okropność ostatnich chwil Koryntu!

A teraz przejdźmy do obrazu Matejki. Wspaniała to, bogata kompozycyja. Rzuciwszy na nią wzrokiem, musimy pochylić głowę przed artystą, którego podczas wielkiej wystawy, nazwano twórcą i przedstawicielem szkoły polskiej.

Ostatni utwór przewyższa poprzecznie rozmiarami, a przez to samo, swobodnym ugrupowaniem osób. Każdy tu na swoim miejscu, jeden drugiemu bynajmniej nie zawadza, a co więcej każdy mówi, rusza się, żyje. Każdy oczyma, wyrazem oblicza i postawą wyraża (czy nie zbyt tylko wiernie), wszystko co mu leży na dnie duszy, ten zadowolenie ze spełnionego dzieła, tamten obawę, niepewność, żal, bodaj nawet czy i nie rozpacz!

Obraz Matejki należy bez wątpienia do najcelniejszych na wystawie. Oprócz *Koryntu* Fleurego, żaden inny w dziale historycznym, współzawodniczyć z nim nawet nie może. Krytycy tutejsi zestawiają zwykle w sprawozdaniach, te dwa znakomite utwory. „Panowie Matejko i Robert Fleury, uważa krytyk *Monitora*, zrozumieli w całym znaczeniu, że wielki utwór artystyczny, powinien stanowić jedną organiczną całość, w której wszystkie szczegóły mają podtrzymywać się wzajem, a tak złączone dążyć do ogólniej harmonii. Ich dzieła historyczne zasługują na szczególną uwagę”.

Dalej krytyk przebiega szczegółowo obraz naszego mistrza, i temi słowy zakończy sprawozdanie:

„W tej scenie tak żywotnej, tak patetycznej, tak porwującej, postawa każdej osoby właściwa, mówiąca, naturalna. Dzieło tak sumienne powinno być zbawienną nauką i przestrożą dla naszych młodych artystów, którzy zbyt często poświęcają rzeczywistość dla mrzonki, i ścieśniają coraz bardziej zakres swojego widnokregu.”

„Obraz Jana Matejki, mówi krytyk *Constitutionnella*, należy do najlepszych utworów historycznych na wystawie. Pochwalamy szczerze wzniosły i trafny pogląd artysty, wykonanie umiejętności i owo tchnienie dramatyczne, którem ożywił całość wielkiego dzieła.

Grupy umieszczone wybornie, przedstawiają akcyą w sposób jasny, prosty, dokładnie określony, łatwy do zrozumienia”.

Sprawozdawca z *France* żywiej jeszcze podnosi zalety mistrza naszego: „P. Matejko—mówi—należy do tych artystów, których możemy pozazdrościć codziomcom. Na wystawie powszechnej otrzymał on medal pierwszej klasy w dziale austriackim. Ilekroć brał udział w wystawach naszych, sąd zawsze wyróżniał i słusznie wynagradzał jego prace.

Terazniejszy obraz poważny, surowy, pełen skupienia i wzniosłego uczucia, oddany jest z wielkim poszanowaniem prawdy i natury. Kompozycyja tu umiejętniej obmyślana, koloryt spokojniejszy i prawdziwszy niż w dawniejszych utworach znakomitego artysty, świadczą o wytrwałej pracy i niezaprzeczo-nym postępie.”

„Pan Matejko, mówi wreszcie krytyk *Debatów*, ma wiele nauki i biegle włada pędzlem, rysuje wybornie, w wykonaniu śmiały, samodzielny, dramatyczny (1).”

Z radością i niejaką dumą powtarzamy te słuszne pochwały zamieszczone w czterech najpoważniejszych dziennikach francuzkich. Nie są to czcze komplementa, wywołane przyjaźnią i światowemi względami, ale szczere uznanie znakomitego talentu. Obok tych pochwał widzimy też i drobne zarzuty; bo jestże słońce bez plam? Zresztą wzrok olśniony blaskiem, łatwo je dopatruje tam nawet gdzie ich nie ma.

Tuż przy obrazie Matejki, widzimy historyczny obraz pana Didier, przedstawiający *Wyprawę morską drużyny Normandzkiej*; kto się w czytał w dzieje Normandów czy Waregów, tych królów morza, co na kruchych łodziach przebywali ogromne wód przestrzenie, co przez trzy wieki byli postrachem ludów, budowniczymi państw, grozą i podziwem Europy, ten spojrz z upodobaniem na scenę, silnie odtwarzającą jedną z takich wypraw normandzkich. Energiczny pędzel młodego artysty, przedstawia nam typy owych zdobywców.

Łódź pełna zbrojnych druchów zbliża się do wybrzeża. Młody wódz w żelaznej kołczudze, w żelaznym szyszaku, ośmiela drużynę ukazując toporem blizką ziemię, nagrodę ciężkich trudów. Bo też ciężkie życie Normanda! Burza napędza czarne chmury; spiętrzone bałwany porywają łódź w odmęt. Drużyna walczy śmiało z oceanem i zawieruchą. Wszyscy wlepili oczy w cel wskazany ręką wodza. Spieszno im do brzegu! pochyleni wiosłują na gwałt... każdy z nich uzbrojony toporem lub maczugą, znał gotowi do krwawych zapasów.

Na tle wydatnych żagli, rysuje się postać niewieścia. Nie drżąca to gołąbka pochwycona w szpony jastrzębi, ale młoda orlica, szczęśliwa że orzeł nie zostawił ją w pustem gnieździe!

Piękny to obraz; w wykonaniu snadnoby dopatrzeć nie jeden błąd, dowód niedoświadczonej ręki; ale całość technie życiem, technie wiarą. Ta łódź kołysana wichrami, mówi nam że zwyciężko dopłynię do brzegu!

(1) W dzienniku *Parlament* krytyk pochwałami oddawanemi Matejce, wyzywa wszystkich malarzy francuzkich; przytaczamy w przypisku jego słowa, przechodzące wszelkie granice przyzwoitości. „Obraz Matejki, mówi on, ma sam w sobie więcej zalet, niż wszystkie pretensjonalne, pyszne, bezwstydne, niedołęzne, głupie, niezdrowe i haniebne dzieła, tych zuchwałych, bezczelnych i zarozumiałych pyszałków, którzy tworzą dzisiejszą szkołę francuzką”.

O ile miłe nam pochwały oddawane naszemu artyście, o tyle oburza nas sponiewieranie tylu znakomitych talentów, któremi dziś słusznie zaszczyca się Francya.

(Dokończenie nastąpi.)



KRONIKA WŁOSKA.

Florenccya, maj 1870 r.

.....Zwyczaj, obrzędy, uroczystości sięgające dawno upłynionych wieków, znikają dzień po dniu coraz widoczniej; do niedawnych czasów jeszcze wielkie processye nabożeństwa, urozmaicały monotoność życia; ale odkąd processyi zakazano, odkąd nad wszystkiem co wiąże się z pamiątkami religijnymi ciążył ciężar nienawiści stronnictw, jedna więcej ze słuz jakimi na zewnątrz wydobywa się entuzjazm ludu została zamkniętą i kraj przybiera fizyognomię zbiorowiska istot bezbarwnych, słowo w słowo tak samo, jak mniej więcej w całej Europie. Przed kilką laty jeszcze we Florencyi uroczyste obchodzono dzień jej patrona św. Jana Chrzciciela, który po pogańskim Marsie zajął świątynię (1), w jego się ruinach rozwielmożył, w jego jakby to powiedzieć prawa weszedł. W dniu tym jak za czasów Marsa, lud florencki gromadził się cały na placu Santa Maria Nuova, na widowisko wyścigów na bigach; olbrzymi amfiteatr zapełniał się, ożywał; woźnice przybywali na złoconych wozach, witani oklaskami ludu, a kiedy rozpoczęto kursa w około obelisku i kurz pomiotł się za wozami, zdawało się że na chwilę powraca ów wielki świat bogów i bohaterów, i tak zwyczaj stawał się środkiem przechowywania ginących podań i tradycyj; przeszłość wiązała się z obecnością, podnosiła ducha, kształciła i wyrabiała popędy wyższe nad poziome zabiegi w sercach ludu. W Pizie na pamiątkę wojen Gwelfów i Gibelinów urządzano rodzaj bitew udanych; toż samo po innych miastach. W Prato odbywała się co trzy lata processya w nocy przy pochodniach, przedstawiająca pogrzeb Chrystusa; przyczem szły całe oddziały konnych i pieszych Rzymian w strojach starożytnych, na które lud oglądając przypominał legiony rzymskie, co niegdyś paowanie miasta po krańcach świata rozniosły; dziś źle zrozumiana cywilizacya obala

(1) Kościół Baptistarium św. Jana Chrzciciela wzniesiony został na ruinach świątyni Marsa.

wszystkie te zwyczaje, na których miejsce nie wprowadza nic nowego i ludy stają się podobne zatartej, wygładzonej tablicy, na której chyba sam Bóg nowe wypisze prawa, jak niegdyś na szczytach Synai.

Zwyczaje giną; teatr w upadku a panami sytuacji w sztuce stają się lichy śpiewaczki, mimy i baletnice—oto gdzie jesteśmy, nuda ogarnia całe społeczeństwo; żadnej inwencji, żadnej twórczości w niczem i nigdzie, a gdyby na przekór temu przezuwającemu światu pokazała się gdzie, musiałaby być zaduszoną, spoiniewieraną, podeptaną; każda chwila w historii ma swoje zadanie, owóż dzisiejsza zdaje się próbować czy człowiek zdolny jest najzupełniej w zwierzę się zamienić i próbuje najdoskonalej.

Ekluzywność kierunku materialnego zabija poezję życia, wytępia wszystko co w rubrykę dochodów i wydatków nie wchodzi; fatalne to jak każda wyłączość, i gdyby nie jedyna pewność, że i ten szłał ma także zakreślone granice, przysłoby zwątpić o wartości życia, która to wątpliwość tak coraz widoczniej ogarnia umysły, a mianowicie tu we Włoszech, że na dziesięć samobójstw, ośm następuje z przyczyny obrzydzenia sobie życia; młodzieńcy, dziewczęta 20-letnie rzucają się w Arno,—a jeśli które obecni wyratują, zagadniona nieszczęśliwa istota o przyczynę samobójstwa odpowiada: *sono stanca di vita* (zmęczona jestem życiem)—tak to nowy kościół bursa, pomimo wszechmocy swojej do życia przywiązać nie może; ale dajmy pokój tym ogólnym spostrzeżeniom, a przejdźmy do szczegółów, a mianowicie do słowa o teatrze we Włoszech, które w poprzednim liście zapowiedziałem.

O teatrze włoskim chciawszy pisać obszerniej, należałoby przedmiotowi temu jak osobnej nauce całe życie poświęcić, katalogi bowiem sztuk teatralnych zaznaczają sześć tysięcy komedyj większych, a do kilkuset tragedyj. Gdzieindziej komedia powtarzana jest sto, dwieście i więcej razy, ale we Włoszech zaszczytu podobnego nie dostępuje. Professorowie literatury wspominają i oceniają dzieła sceniczne Aryosta, Tassa, Giordano Bruno, Ugo Foscolo, Gozzi, di Sasca, de l'Ambrà, Machiavella i t. p. ale w teatrze żadne towarzystwo artystów nie powazyłoby się wyciągać z repertoaru te przebrzmiałe kreacje; Monti rzadko się już kiedy pokazuje; jeden Alfieri i Goldoni którzy od czasu do czasu jeszcze się pojawiają; nowości i nowości przedewszystkiem.

Wyborowa publiczność florencka wygwizdała tu kiedyś Wesele Figara, a myliłby się ktoby mniemał iż dla jej niemoralności, gdzież tam, dlatego że stare; w połowie sztuki podniosły się krzyki, gwizdania, kurtyna zapadła, znakomity artysta dramatyczny Billoti zapowiedział że graną będzie farsa bardzo śmieszna i zarazem objaśnił słuchaczy: że komedia którą taka niełaska spotkała, o czem może nie wie szanowne zgromadzenie, należy do arcydzieł literatury francuzkiej, a po takiej lekcji okryty oklaskami wystąpił w roli Hauswurszta i podobał się bardzo. Każdy czas ma swoje upodobania.

Co do wartości rzeczywistej komedyi włoskiej podzielone są zdania; krytycy odmawiają Włochom daru do tego rodzaju produkcyi, w XV-tym wieku który był także złotym dla sztuki i literatury na półwyspie, jednocześnie z Orlandem pojawiła się komedia. Kardynał Hippolit d'Este i Leon X miłośnicy widowisk teatralnych sprowadzili ze Sienny sławnego Rozzo, który przybywszy do Rzymu przedstawiał w owym aroyoświeconym wieku bezwstydne komedye, kardynał Bibienna dedykował damom wielkiego świata swoją Calandrę, ramotę najnieobyczajniejszą jak sobie wyobrazić można. W tym także czasie przedstawiane w Rzymie sławna Mandragora Macchiawela, Casaria naśladowana podług starożytniej komedyi Heantontimoroumenos i Cliwia naśladowana z Plauta, wielce się podobały. Suppositi Ariosta wnoszono pod niebiosą, któreto dzieła dziś czytając, zadziwiać się przychodzi jak mogły być przedstawiane na scenie, cynizm, bezwstyd, bez żadnych artystycznych obsłonek i w tém téż znajdujemy wytłumaczenie czemu nie przeżyły epoki swojej. Wszystkie utwory powstające ku zadowoleniu dniowych wymagań spotyka zapamięnienie; przezuwają się z czasem i tylko to ma prawo wiecznego życia, co jest wiecznie prawdziwém, bohaterstwo, piękność, albo odwrotnie zło doprowadzone do potęgi, kłamstwo które już w tragedye wchodzi; poniżenie natury ludzkiej skutkiem przewag złych skłonności, żywiły takie poruszające genialnie przez Eschyla, Szekspira czy Kalderona, Moliera czy Scribego, przetrwają swój czas i w każdym wieku budzić będą ciekawość widzów; inaczej się ma z przedmiotami jakie podnosili autorowie włoscy, z farsą, z gminném rozuzdaniem poziomych passyi.

Własnością geniuszu włoskiego jest seryo w sztuce, mogą oni wydać Danta, Alfierego, ale obok Moliera żaden z Włochów stanąć się nie poważy, nawet Goldoni, ów przechwalony Goldoni, którego cała wartość w zręcznym prowadzeniu dyalogów, nigdy zaś w sytuacji komicznej, nigdy w przeprowadzeniu charakterów w całej sztuce.

Tak więc czemuż jest owe sześć tysięcy komedyi? oto zbiorem fars, dowcipów do czasu mających zastosowanie i niczém więcej.

Gozzego Księżniczka Chińska, Król duchów, Potwór błękitny, Turandot i Pitocchi fortunati, są to wszystko farsy, i Włochy lekce je sobie wazą, jak lekcewazą wszystkich komedyopisarzy uważając ich za rodzaj bufonów i obraziłby uczucie piękności we Włochu ktoby obok Danta albo Alfierego komedyopisarza stawiał: jest i dla Goldoniego miejsce w świątyni sławy, ale w przedsionku, nie zaś w wielkiej sali laurowanych, kiedy we Francyi Molier podobno pierwsze zajmuje miejsce, a Corneille, Rasin, Crebillon i t. p. niższe zasiedli schody.

W ostatnich czasach fałszywe jak we wszystkim zapatrywanie się na sztukę, stworzyło konkursy publiczne i nagrody

pieniężne za pracę osądzoną za najlepszą; pomysł mający przypominać olimpiady greckie, na których autorowie czytali swoje dzieła, a nietylko z dziedziny sztuki ale nawet takie jak Herodota historia którą pod iuwokacją 9 muz publicznie odczytywał, z tą tylko różnicą: że na olimpiadach autorowie ubiegali się o wieńce przed wielkiem zgromadzeniem mędrców i ludu najcywilizowanego w świecie, kiedy dzisiejsi ubiegają się o... *worek*. Premia rządowe i prywatne przyzywają do ubiegania się ilość autorów i komedye sypią się jak z rogu Amaltei, we Włoszech wychodzi do trzydziestu przeglądów miesięcznych, a każda nowa luna przynosi obok innych ciekawości komedye nową, świeżuteńką; myliliby się wszakże bardzo ktoby w nich atyckiej soli chciał się doszukać, sztuka jest, tylko rzeczy i dowcipu nie ma.

Komedyi wyższej Włochy nie posiadają, trzebaż ją zakląć na imię bursy, niech się ukáže; ale wszechwładna ta pani w stosunkach codziennego życia, pomimo potęgi swojej pomiędzy muzy olimpijskie, żadną miarą nawet po pyramidach złota wędzróż się nie może, a nie panując na Olympie, nie może za sobą i swoich czcicieli pociągnąć.

Autorowie tragiczni nie mają pola w czasie obecnym; usposobienie ogółu przeciwne jest silnym wzruszeniom. W Anglii weszło w modę śmiać się od początku do końca na przedstawieniach Szekspirowskiej tragedyi, we Włoszech dyrektorowie kompanii wiedząc z jaką publicznością mają do czynienia, oszczędzają sobie pracy i nieboszczykom wstydu. Salvini, Rossi i Ristori po Ameryce i Australii, obwożą ten towar, na który u swoich amatorów wielu nie znajdują: taka to epoka. Przed wielką rewolucyą francuzką usposobienie ogólne było sielankowe, publiczność miała pociąg do Gesnera, Rousseau i t. p.; dziś nawet i sielankarz się nie pożywi, a *basso le muse!* Precz z tą czeredą sentymentalną, niech się święci Merkury, ów bożek handlujących i konduktor do piekła starożytnych i nowożytnych bohaterów.

Ale wracając do komedyi jaka jest, zobaczymy jakie żywioły grają główną rolę w myślach autorów.

W wieku XV satyra obleczona w formę komedyi pokazuje się wyłącnie prawie anti monachalną w Macchiawellim, Ariosoie, Castellanim, Aretinie, hipokryzya księży, celem jest wycieczek satyrycznych, polemika to na scenie, a nie tylko z jednej ale i z drugiej strony, bo jeśli Castellani wyszydza Savonarollę, to znowu Araldo w dyalogu *Vita e morte di S. Giovanni*, Battista apoteozuje nieprzyjaciela Alexandra VI. Leon X w Mandragorze niedopatrzył rzeczywistej intencji autora traktatu o Tytusie Liwiuszu, obsceny były tam tylko przynętą dla dam wielkiego świata, ale w głębi kryła się idea ważniejsza obalenia powagi duchownych, tego wybitnego celu ani żadnego innego nie posiadają autorowie dzisiejsi piszący na premia, a to z przyczyny że już samo premium zaciąga ich w służbę strony dającej, i komedya nie powstaje spontanicznie z indywidualnością autora, z jego sym-

patyi czy antypatyi, ale jak teza ku zadowoleniu sędziów mających rozstrzygać o wypłacie przeznaczonej sumy. Jeśli się zaś zdarzy coś nowego a nie przypada do myśli sędziom, otrzymuje odprawę i stare lisy kierujące się podług wiatru, grosze do kieszeni i laury na zasłużone głowy zabierają.

W mnóstwie piszących, Torelli autor komedyi „Mężowie i Płochosc”, wyższym wyroźnia się talentem, krytyka wszakże zarzuca mu najprzód niepoprawność stylu, a powtórę brak związku i obmyślenia charakterów, brak jedności rysunku który zbierając rozmaite części w jedność zupełną, daje im wartość skończonego dzieła; zgadzamy się mówi jeden z krytyków Torellego na tkankę jaka wyszła z fantazyi Goldoniego albo Marivaud na wymysł rzeczy prostej, wesołej czy łzawej, ale żądamy aby wszystko było na swoim miejscu i poezya wymaga logiki i każda komedya właściwej sobie architektury.

Przychylnie także przyjmowany bywa Bersezio autor *Galki mydlanej* i *Travetb*. Cicconi autor osiemdziesięciu przeszło komedyj Gherardi del Testa, Duca Ventignano, Ferrari, Sunner, de Renzis i inni, a chociaż żaden z tych autorów nie odznaczył się do tyła oryginalnością, żeby go obok Goldoniego, po jego własnej fizynomii, rozpoznać można było. Są to cienie weneckiego pisarza, szkoła nie mistrzowie.

Szkolarstwo we Włoszech w sztukach plastycznych ma swoje zasługi, ale w literaturze zabija talenta, Tasso, Ariost, Goldoni stworzyli pewne typy; dalejże w ich ślady, a entuzjazm wielki, a w ogniu entuzjazmu naśladowany, tak się ma z komedya, tak z romansem i poezya, wyższą. Dante i Petrarcka wciąż są naśladowani przez tysiące poetów, Manzoni przez setki powieściopisarzy i t. d.

Bydź sobą, oto czego nie rozumieją, a brak criterium własnej siły, sprowadza ową maskaradę autorów dość monotonna, kiedy się zważy, że kilka masek zaledwie całą tę populacją piszących pokrywa.

Najlepszym dowodem tego co powiedziałem wyżej, jest nieobecność zupełna prócz Alfierego dram i komedyj włoskich na teatrach europejskich; gdyby język Italów był tak zupełnie nieznan u ludów zachodnich jak języki np. słowiańskie, rzecz byłaby wytłumaczoną, ale tu inaczej się ma: w Europie uczą się, studyują język włoski. Niemieccy uczeni niech tylko pojawi się jakiś nabytek starożytności, zbiegają się tłumami rozpatrywać w tych skarbach, jak to np. miało miejsce w Palermo w r. 1860, po wyjściu dzieła *Arg anuscritti Palatini ordinati ed esposti*, studyują, krytykują, ale nie przyswajają sobie; i czemuże się to dzieje, czemu komedya i romans francuzki czy angielski staje się od razu europejską własnością? Oto czemuś żywem, jakąś prawdą zachwyconą w życiu, w akcji, w działaniu nie z trzeciej ręki ale własnymi oczami spostrzeżoną i naznaczoną wydatnym rysunkiem, oto że autorowie francuzcy, angielscy czy niemieccy, odrazu stawiają

nam przed oczy równie człowieka jak i społeczeństwo całe na tle którego się odzywa; kiedy u Włochów jeżeli się znajdzie malowidło epoki, to indywiduum znika, jeśli człowiek, to nie wiadomo do jakiego czasu i społeczeństwa należy. Włochy celują w malarstwie, rzeźbie, architekturze, muzyce, w poezyi liczą wielkie imiona Danta, Petrarcki, Alfierogo, Tassa, Ariosta, w romansie Manzonięgo, a kto posiada taki zbiór w swojej bibliotece, temu już znany cały Parnas włoski. Autorowie dzisiejsi zdają się niemieć zadania wpływu na społeczeństwo, nie czują się siłą poważną jak gdzie indziej, nie działają na massy i nie przeprowadzają myśli swojego czasu.

Do tego dodać należy iż lud włoski nie czyta książek jak francuzki albo niemiecki; na 21 milionów mieszkańców, 18 milionów czytać ani pisać nie umie, produkcye literackie, wydawnictwa egzystują z miłosierdzia pewnych stowarzyszeń popierających literaturę narodową, koterye wydają książki, a rozpowszechniają tylko te, które ich celom służą, potępiając przeciwnie i literatura cała obraca się w drobnych kołach; jakaś partya cię słucha, jakaś druga cię wyśmiewa, a lud a społeczeństwo najmniejszego o piśmach twoich wyobrażenia nie ma (1).

Na Europę Włochy dzisiejsze wpływają sztuką plastyczną, nie romansem, nie poezją, nie dramatem.

Pisanie dramatów dla aktorów czy aktorek poniża także talent poetyczny, taki Giacometti mógłby wyrobić się na współzawodnika Alfierogo, gdyby nie owa mania pisania dla jednej figury, dla tak zwanego protagonisty w dramacie; kto pisze dla jednego aktora zaniedbuje inne charaktery, przesuwą się po nich *à la hâte*, i tak się dzieje z dramatami Giacometego; francuzki Legouvé ze tego rodzaju pisał utwory, niewielka szkoda, ale Giacometi to inna miara talentu, cóż kiedy i ten poszedł w służbę i jest jakby nadwornym poetą pani Ristori.

Na dworach książąt przebywali niegdyś poeci i talent ich nie cierpiał na tęp, inspirowało ich albowiem wojactwo jeśli nie bohaterstwo i owa legendowość wprowadzona w życie społeczne, ale dzisiejsi dworacy bursistów i aktorek, w jakichże falach kąpać

(1) Stosunki najściślejsze zaufania i przyjaźni, korespondencyi i towarzystwa usiłowań i prac dla postępu literatury i filozofii w Niemczech, powiada Felix Frank autor przedmowy do dzieła Kotzebuego, zawiązały się między uczonymi i znakomitymi literatami tego kraju. Lessing był pierwszym założycielem, Goethe następnie stał się środkowym punktem; do tych przyłączyli się Herder, Musaens, Bahrtdt, Szyller, dwaj Szleglowie i t. d. a dziennik literatury ogólnej był składem ich prac dla celu, który przeprowadzić sobie założyli; takie towarzystwo we Włoszech byłoby niepodobne, niemożliwe, każdy tu nosi się z wielkością swoją i jeden nad drugiego stawia, nie uważają oni za poniżenie służyć możnym, ale łączą się jeden z drugim, mniejszy z większym, poczytują za ubliżenie sobie.

mają swoją fantazyę poetyczną, we wznoszeniu się czy opadaniu bursy, w szumie teatralnego brava i w znużeniu po wyrzuconych słowach na deskach scenicznych.

Teatrów we Włoszech tyle ile miast, życia mieszkańców półwyspu bez teatru wyobrazić sobie niemożna, to circenses starożymskie w całej pełni się przechowało, połowa życia upływa im na cyrku t. j. w arenach teatralnych: arena to pierwsza szkoła we Włoszech. Z wrodzonym talentem do gestykulacji, do buffonady, albo pathos, Włochy w obejściu, w wyrażeniach, na polu bitwy i w parlamencie, mają coś aktorskiego; hipokryzja którego to wyrazu właściwe znaczenie jest aktorstwo, najwyższą tu rozwinęła działalność i wyrobiła maskaradę w życiu, weszła w pedagogią narodową. Książę Machiawella, Dworzaniu Castigliona, i Obywatel Guicciardiniego to wychowawcy sceniczni, to owoc szkół autorskich. Pedagogika grecka miała za podstawę w domowym życiu kształcenie młodzieży wedle systemu piękna, w gimnaziach słowa, muzyki i akcji wyłamywała ducha, czyniła go swobodnym, a razem pięknym, zanim młodzieniec zawód obywatelski rozpoczął. Pedagogika włoska teatrów, to szkoła udawania, a raczej przedrzeźniania człowieka; czasami ta szkoła podnosi się do ważności politycznej, czasami schronieniem jest żywiołów burzących, bardzo rzadko krytyką słuszną zepsucia, ale najczęściej domem rozpusty.

Teatra budują towarzystwa które przybierają sobie szumny tytuł akademii, a wystawione budynki wynajmują wędrującym aktorom; z kąd nie wpływa na kierunek sztuki, nie ma także żadnego areopagu uczonych albo doświadczonej prawości mężów którzyby produkcye mające się przedstawiać oceniali pod względem wpływu na obyczaje, i ta to wolność nieograniczona zostawiona ludziom bez zasad moralnych, po największej części wprowadza zepsucie, bezwstyd publiczny, lekceważenie wszystkiego i wszystkich, jakiego pozwalają sobie autorowie fars, tuzinkowi pisarze schlebiający nieszlachetnym popędem.

Sąd powyższy że nie wynika z pesymistycznego zapatrywania się na rzeczy piszącego, dowodem artykuły pism peryodycznych, które nierównie surowiej społeczność swoją traktują, a z których pierwszy lepszy posłuchajmy co też powiada.

„Czuję obowiązek dopełnienia mojego zadania (list naczelnika partyi która przez lat 40 wstrząsała całym społeczeństwem włoskiem). Zimno, sucho, bezcieleśnie, bez poezyi, bez nagrody, oprócz kilku dusz wybranych niemasz żadnego szacunku dla generacyi z którą pracuje; pojmujesz przyjacielu smutek tego wyznania, generacya z którą, idziemy, ma poczucia wsteczne, natchnienia fatalne, nienawiść i kłótnie nieustające. Współczuę z nią niemożna, cieszyć się, ani boleć; niemożna uścisnąć ręki współtowarzysza boju, młodzież ta w miejscu wiary ma opinie, zaprzecza boga, nieśmiertelności, miłości, obietnic wiecznych, przyszłości tego o co walczy, wiary w prawa przedwieczne, rozumu, wszy-

stkiego co jest dobrém, piękném i świetném w świecie, wszystkich heroicznych podań wielkich myślicieli religijnych od Prometeusza poczynając do Chrystusa, od Sokratesa do Keplera, i gnie kolana przed Buchnerem.

„Zgłębia fenomena przechodnie, przecząc pryncypiom które je powodują, przyjmuje prawa też prawodawców formy bez treści, środki bez celu. Jest ona w następstwie logiczném lawirującą, wyrafinowaną, pozbawioną sensu moralnego, bez poszanowania przysięgi, bez sumienia świętości prac swoich i potęgi prawdy.

Takie są zdania obywateli włoskich o ich dzisiejszém młodém pokoleniu wykształconém w braku innych szkół, w teatrach o których na zakończenie mówiąc dodać jeszcze należy już co do samej egzekucyi, że takowa wiele do życzenia pozostawia; nigdy tu widziéć nie można sztuki, którejby role równie podrzędne jak i pierwszorzędne powierzone były artystom mniej więcej jednej wysokości talentu. Artysta entrepreneur jak Rossi, Salvini, Ristori i t. p. stara się żeby wszystkie oklaski na jego tylko spadały głowę, i do odegrania sztuki dobiera sobie nie artystów ale komparsów. Pani Ristori nigdy grać nie będzie z Salvinim: Rossi wynajdzie sobie najniefortunniejszą Desdemont, nie idzie im bowiem o całość sztuki, ale o ich jedną rolę, reszta może być grana jak się podoba. W czasie nieobecności pierwszego aktora czy prima donny, publiczność może nie patrzeć na scenę.

Aktorowie pierwszego rzędu ozdabiani tu bywają orderami jakie gdzieindziej dawane bywają wyłączenie ludziom wielkiej w narodzie zasługi, dziwno ale razem dające wyobrazenie o duchu społeczeństwa. Gdybyz przynajmniej aktor taki był razem autorem, ale i tego niepodobna; order jaki gdzieindziej po długiej pracy, po odebranych bliznach na polach bitew przy końcu życia ozdabia pierś posiwiąłego wodza, tu się dostaje aktorowi, i na afiszu teatralnym publiczność czyta: dziś Kommandor orderu takiego to a takiego, artysta NN. przedstawią komedję. Wieniec złote, puhary, biusta a nawet monumenta w salach teatralnych dla znakomitych aktorów rzeczyto wszędzie praktykowane, ale ordery jakie udzielają się wojskowym i senatorom, tylko we Włoszech ozdabiają deklamatorów dzieł nie swoich; deklamacya tym sposobem i zdolności mimiczne porównana tu jest z twórczością umysłową, z odwagą bohaterką, z pracą wielką i poważną najzasłużeńszych mężów, rzecz ta próbuje płytkości pojęcia o zasłudze i obowiązkach społecznych.

Od teatru przechodząc do części najpoważniejszej literatury *filozofii* posłuchajmy co sami o sobie Włochy mówią. Professor Uniwersytetu G. Trezza z powodu dzieła Ludwika Ferri: *Essai sur la Philosophie en Italie au XIX Siecle*, oto jak się wyraża: „Pomiędzy systematami filozofii włoskiej trudno dopatrzeć związku, czuó brak téj logiki wewnętrznej koniecznej, która rodzi jedno z drugiego i dlatego wykład wypada więcej sporadycznie jak organicznie; nie jest to winą pana Ferri ale przedmiotu który opowiada,

ile że filozofia włoska tego wieku nie daje żadnego systemu organicznego, któryby odpowiadał sobie w rozmaitych swoich częściach, ale jest raczej adoptowaniem systemów przychodzących z zewnątrz. Żadna siła genialna nie mogłaby uporządkować systemów filozofii włoskiej, nie dopatrzysz w niej żadnego węzła pomiędzy idealizmem pierwszego peryodu a Hegelizmem drugiego. Pomiedzy ideaą Giobertego i ideaą Hegla, i pomimo wszystkich analogii jakie pozornie umysł mogą uwodzić, niepołobna znaleźć pokrewieństwa pomiędzy dwoma systematami, z których jeden ześrodkowuje się w kreacyi a drugi jej zaprzecza. Jest to największy błąd filozofii włoskiej, że nie posiada własnego principium pochodnego, rodzimego, i dlategogo Ferri mając w ręku materią sprzecznych żywiołów oponujących się wszelkiej jakiejś bądź jedności, nie mógł złożyć księgi przedstawiającej pochodół ducha konsekwentny, mocą wewnętrznej logiki idealnej jaką posiadają systema Kanta i Hegla, i daremnie sili się na stopienie tych metali w jedno, a to co rozumie być nicia wiazącą, prawem historycznym, nie jest niczym innym jak formułą nieodpowiadającą naturze zadania włoskiego. Jakoz kiedy mówi że filozofia włoska wyszła z sensualizmu i przez powolną gradacyą form doszła do idealizmu, nie naucza niczego; jest to konsekwencya abstrakcyjna principiów abstrakcyjnych i kiedyś się dowiedział że myśl włoska faluje ciągle około dwóch biegunów sensualizmu i idealizmu, rzecz zostaje niezdeterminowaną, i formuła przyjęta niczego nie dowiodła."

Myśliciele włoscy wszyscy mniej więcej starają się stawiając problema filozoficzne rozwiązać problema religijne. Gioberti więcej niż którykolwiek inny przedstawiający prawdziwą naturę myślenia Italów, postawił formułę idealną połączenia filozofii z religią i usiłował pogodzić tę dwoistość fizyognomii myśli nowoczesnej węzłem wewnętrznym a nieodzownym nauki z wiarą: naturalizmu z nadnaturalizmem, formuła ta wszakże w obec nauki, krytyki nie wytrzymuje, co bądź ma ona swoją ważność historyczną jako wskazówka sposobu w jaki filozofowie włoscy traktowali zagadnienia religijne. Gioberti rozpoczyna teorią o nadprzyrodzonym a kończy filozofią rewolucyi. Rosnaini stworzył antropologią mistyczną i teodyceę. Mammianni pokrewieństwo wzajemne dwóch problemów i rozwija na swój sposób teodyceę; tak więc problema teologiczne było zadaniem filozofów półwyspu, pragnienie odnowienia na podstawach starożytnych nauki, unikając podstaw niemieckich racjonalnych jakie im dał Kant i inni; Gioberti z filozofii zrobił nie tyle system abstrakcyjny i scientificzny, jak rodzaj postulatu psychologicznego rasy włoskiej.

W obec pojęć filozoficznych ostatniego stulecia Gioberti pomimo wysiłków swojego geniuszu, upierając się przy zasadzie więcej semityckiej jak aryjskiej, więcej teologicznej jak filozoficznej, nie zdołał ani odnowić pierwszeństwa włoskiego ani nauki, ani idealnego katolicyzmu, bacząc że z jednej strony niewzruszo-

ność dogmatu, a z drugiej nauki fizyczne i historyczne znalazły się ze sobą w takiej sprzeczności, że węzeł zadania prędkiej mógłby się przeciąć jak rozwiązać. Jakoż przyszło do tego, że tenże sam Gioberti z drugiej epoki stanął w sprzeczności z Giobertim pierwszją, autor il Rinovamento filozofii objawienia, z autorem Teorica della Sovranaturale, l'Introduzione e il Primato, zbliżył się i prawie połączył z panteizmem niemieckim.

Po Giobertim rozwinęła się we Włoszech szkoła heglowska wolnych myślicieli jak Vera, Spaventa, Fiorentino, Frauchi Ausonio i Ferrari, wykazują oni bezsilność dogmatyzmu w rozwiązywaniu zagadnienia rzeczy, żaden z nich wszakże nie posiada krytycznego geniuszu współprzeniknienia się w fenomenach, co w umyśle Ferrarego tonącego często w mglistych paradoxach życie historyczne zamienia się w pewien rodzaj geometrii siły i formy posłusznej fatalności, która je pęłzi i też same wady spostrzegamy w Ausonio Franchi; ztąd szkoła sceptyczna zagłębiając się zbyt w psychologię, a nazbyt mało w krytykę, znajduje się jednocześnie w sprzeczności z metafizyką i pozytywizmem.

Taki jest moment obecny filozofii włoskiej, a raczej niemiecko-włoskiej od czasu Giobertego, z którego ażeby dalej rzecz prowadzić nie pozostaje jak chyba zmienić studia filozoficzne i porzucić, na zawsze starą metafizykę, ile że jak mówi Trezza: pokąd nie przemieni się filozofia w krytykę historyczną, pokąd szukać będziemy praw wszechrzeczy myślenia, będzie to zawsze robota w próżni, włożymy systema na systema, nie stawiając nic prawdziwie naukowego.

Owe *a priori* o którym tak wiele się mówi, gdyby lepiej było studyowane, rozłożyłoby się na jedną seryę momentów historycznych, którą my środkami abstrakcyjnymi wiążemy w fałszywą jedność, i jeżeli nauki nowożytne wzięły rozbrat z metafizyką, jeżeli pomimo usiłowań pogrobowców téj szkoły, aby ją wprowadzić w nauki pozytywne, wszyscy nią gardzą, to dowodzi że wiek nasz zrozumiał nareszcie, że nie ma jak tylko dwie rzeczywistości, natura i historia, że prawa historyczne i fizyczne nie pochodzą z inwestygacji porównawczej fenomenów, i że duch ludzki jest także fenomenem największym i najtajemniejszym, którego praw niemożna odkryć inaczej, jak idąc za nim w ślad przez rozmaite momenta jego historycznego życia.

Takie tu szerzą się wyobrażenia o nauce która pomimo pogardy jaką dla niej a mianowicie dla filozofii niemieckiej okazują umysły praktyczne, jedna zastępuje miejsce proroków u plemion Indo-Germańskich, nie przepowiadaniem przyszłości, ale jej dedukcją z faktów dokonanych, nikt bowiem nie zaprzeczy że wypadki r. 1789 przyniosły zapowiedzie zmiany społecznej Jana Jakuba Rousseau i całej szkoły owoczesnej deistów. Nikt nie zaprzeczy że dzisiejsza idea szukania wiecznego pokoju znajduje się w dziełach Kanta, nikt wreszcie że idea Hegłowska w Niemczech

najwidoczniej się manifestuje, w których dążności preponderancy logicznie za pomocą wszystkich możebnych środków chyba ten nie dopatrzy, kto sobie oczy zasłania. Niemcy starają się dowieść że bóstwo świata w nich zamieszkało i udaje im się to, i Hegel przeto był prorokiem; niepokieszające to dla naszej rasy, ale trudno kwestyonować fakta, albowż z naszych filozofów słowiańskich rewelacye sprawdzą się kiedy?

Do filozofów rewelatorów we Włoszech liczy się Tereuzio Mamiani, którego konkluzye oto jak się dadzą zsumować, pod względem moralnym i rozwijania się umysłu ludzkiego.

Tak Mamiani jak Vico, przyjmując wpływ Opatrzności na historję, dowodzi razem, że taż nie prowadzi wprost ludzi do ich kresu, ale że ich popycha za pomocą ich własnych potrzeb pomiędzy narodami; podług tego filozofa panuje polarność, oraz prawo tożsamości i różnicy; każdy z narodów otrzymał od Opatrzności urząd do dopełnienia, który też wypełniają nieustający bezwiednie, temu to drogi Opatrzności nie wyjawiają się aż po dopełnieniu faktów, i wtedy dopiero w całej jasności idea boża się wyswieca, której człowiek w pozornym nieporządku nie mógł zrozumieć, i tak cały pochód ludzkości oraz praw nią rządzących nazywa *preordinazioni di Dio* (przeporządkowaniami Bożymi).

Końcem tych przeporządkowań jest najwyższa doskonałość rodu ludzkiego, największe jego ubłogosławienie (beatitudine). Ludzkość przed dobieżeniem zakresłonej sobie mety, powiada Mamiani, ma do przejścia cztery epoki, cztery studia wyraźne; pierwsza skończyła się na Konstantynie Wielkim, którą nazywa składową, ona albowiem stworzyła i sformowała żywioły potrzebne, integralne do życia społecznego, a zarazem zapłodziła zarodami i principiami wszelki ruch ku doskonałości rodzaju ludzkiego; druga trwała aż do dni naszych i miała za zadanie przemianę i zgodę żywiołów społecznych, wyrabianych częściowo, a zebranych razem w epoce pierwszej; ta epoka dopełniła się odnowieniem dzisiejszém Włoch (?) które pociągnąć musi za sobą wielkie korzyści dla świata i narodów, a mianowicie odrodzenie prawdziwej religii katolickiej, co nastąpić ma w krótkim czasie z upadkiem władzy doczesnej papieży; a dalej powołanie do życia narodów wschodnich i południowych za pomocą wielkich ruchów na morzu Śródziemném i popędów ogólnego postępu; trzecia epoka w którą wchodzimy, będzie miała za zadanie rozlanie cywilizacyi i wcielenie w nią świata barbarzyńskiego. Nie możemy odgadnąć form jakie przybierze ludzkość w ostatniej swojej epoce to jest czwartej, ale z pewnością przewidzieć możemy, że będzie ona zespoleniem, zlaniem się wszystkich narodowości, które zachowując swój charakter utworzą jedną wielką rodzinę, w której ustanie najzupełniej przewaga sił dotychczasowo rządzących, a które posłużą jedynie do podbijania potęg natury, kiedy narodom panować będą idee, jako najwyższe rządczynie.

Następnie glob nasz podlegnie przemianom fizycznym, a w takim razie i jestestwa po nas przyjsć mające z powodu odmiennych warunków egzystencji, odmienne od naszych przybiorą formy.

Przyjdzie więc czas że rodzaj nasz zaginie, koniecznością, albowiem będzie już nie jednostki uwolnić od ciężaru ciała, ale cały rodzaj po przebyciu niezliczonych kombinacji, rozwiązanie się naturalne ale nie normalne, albowiem czasowe w swojej naturze, *gwałtowne*.

Dobra duchowe wszakże nie zostaną stracone, i trwać będą nietylko pomiędzy duchami, ale i pomiędzy jestestwami zamieszkującymi inne globy, od których jeżeli dziś jesteśmy oddaleni, to kiedy dostąpimy życia racjonalnego, doskonałego, czyli nieśmiertelnego, wejdziemy w związki ze wszystkimi duchami znajdującymi się w tej samej sferze, i utworzymy świat w którym każdy weźmie udział w dobru ogólnym.

Każdy duch doskonałości zupełnej, piękności i nauki zmartwychpowstanie jaśniejący i skazoności niepodległy, jako część ostatecznego udoskonalenia stworzeń, i utworzą atmosferę niebieską w porządku najwyższym, ostatecznym.

Kierunek dzisiejszy i odkrycia na polu nauk zdobytych, pobudziły w Europie umysły prawe, marzące, do utworzenia systemów, do siebie zbliżonych, i one to wśród dysharmonij rozkładających się pryncypiów, tworzą jakby jakieś głosy czyste nad otchłanią zawieszane.

W Niemczech, we Francyi i Włoszech, idea progressu tłumaczona w sposób jak ją rozumie Mamiani a nierzadko się napatyka, u Niemców Lotze, u Francuzów Edgard Quinet w La Creation, do tychże samych doprowadza rezultatów. Quinet jak i Mamiani po szczeblach obserwacyj naukowych do jednego i tegoż samego doszedł rozwiązania, i oto co na zakończeniu dzieła swego powiada francuzki uczoney.

„Geologowie najściślej zamknięci w obserwacyach ronią słowa będące przedmiotem niespodzianek wciąż wzrastających. Gdyby poezya pozwoliła sobie na podobne wnioski, oskarżonoby ją o użycie napoju z puharu Menadów. Uczeni jak najmniej o nią podejrzani rzucają nam na pastwę słowa, dziwne że stworzenie świata nie jest skończone, że takowe nie zatrzyma się na człowieku, że spodziewać się można w przyszłości nowych kwiatów, nowych drzew i świata wyższego nad dotychczasowy ludzkości, i na tém zdaniu zamykają księgi, jakby tu szło o coś najprostszego w świecie.

Ale z nami inaczej się rzecz ma, myśmy ich obrali za przewodników od skał do skał, nad brzegiem przepaści w której świat dzisiejszy przepada; czemuż więc zostawiają nas bezbronnych w obec otchłani, gdzie najsilniejszy duch od zamętu, od szaleństwa bronić się musi.

Weźmyż text całej dzisiejszej nauki i zobaczymy co zawiera.

Dziwne proroctwo naturalisci rzucają nam bawiąc się jakoby. Jeśli się dobrze rozmyślili? wiedząż oni że proroctwo to przechodzi prorokowania Izajasza i Ezechiela, tym szło o biedne państwo Egiptu, Medyi czy Babilonu skazanych na zagładę, kiedy dziś nie o państwo idzie, ale o cały rodzaj ludzki.

Zagłada jego oto zapowiedziana, naznaczają jej dzień niedzielnie, godzina przyjdzie w której nie ujrzy ludzi, a pomimo to ziemia będzie zamieszkałą, i ten punkt ostatni najwięcej nam cięży.

Człowiek wiedział że musi umrzeć, ale jak dotąd był przekonany że jeśli ma umierać wszystko co żyje zaginie z nim razem. Wyobrażał sobie, że tak silnie objął w posiadanie ziemię, iż takowa nie może do innego jak tylko do niego należeć. Idea więc następców w myśl ludzkiej pomieścić się nie mogła. Gdyby człowieka zabrakło, próżni po nim nieby nie zastąpiło, tak dalece wierzył, że zapełnia sobą ziemię i niebo.

Wyobrażał on sobie: że jest tak nieodzownym dla wszechświata, że z jego zniknięciem z kolei cały świat zaginie; w początku wszechrzeczy zrozumiał że jego upadek pociągnął upadek całej natury. Cóżby się więc stało gdyby miał zaginąć? bez wątpienia całe stworzenie z nimby razem się pogrzebało, a ostatni dzień jego, byłby ostatnim wszechświata.

Bez niego ani życia ani postępu. Ziemia pusta, zniszczona, osierocona, nosząca na sobie przez wieki żalobę po zniknięciu człowieka, glob ziemski zamieniony w grób, milczenie i chłód ziemi pustej. Niebo i ziemia opłakują jego stratę.

Otóż jak owe półbogi pocieszali się śmiercią wszystkiego co żyje obecnie w świecie po zgonie swoim. Jakizby kwiat ośmielił się rozwinąć? jaki ptak zaśpiewać czasu owego wdowienstwa ziemi? gwiazdy powinny odrywać się i odpadać z firmamentu.

Otóż z myślą przeciwną potrzeba nam się oswoić, że i człowiek przejdzie jak przeszły amonity (mięczaki) i trzciny pierwotne, i że inne życia zupełniejsze lepsze miejsce jego obejmą.

A z tego hałasu jaki czyni w przejściu swoim i co zostanie? to co zostało z brzęczenia owadów w lasach węglonych.

Jakto podobnoż jest, żeby jestestwa wyższe wystąpiły pewnego dnia rządzić człowiekiem, jak on dziś rządzi światem zwierząt, i to jestestwo wyższe wypędzi w lasy czy na wyspy, nasz rodzaj ludzki jak my wypędzamy tury i łosie, w takiż sposób przeznaczono nam zginąć.

Duma człowieka ma także swoją potęgę, wie on że jest królem przyrody i to mu pomaga do utrzymania się na wysokości swojej; ale gdyby na raz ta jego dostojność była mu zaprzeczona, gdyby gdzieś w ukryciach skał napotkał mistrza swojego, czyliby nie stracił zmysłów, ile że nie należy on do rzędu tych władców którzy przeżyć mogą stratę swojego tronu; pan globu jakzeby mógł wyobrazić sobie że mu przychodzi być zwierzem domowym swego następcy, taka hańba przyniotłaby go, a osłupienie doko-

nało reszty, duch jego musiałby go opuścić, niemogąc bowiem zgodzić się na rolę podrzędną ani utrzymać w pierwszej, zeszedłby ze sceny.

A teraz przypuśmy na ziemi następcę człowieka takiego jakiego zapowiadają geologowie, podobnie jest żeby on nie podziwiał naszych sztuk i poezji, Venus, Homera i Rafaela?

W przeczuciu nieśmiertelności, jeśli nie ma czegoś co odpowiada prorocctwom nauk, za śmiercią i grobem wyobrażamy sobie świat lepszy, życie wyśsze i formy więcej skończone, wiary tej nikt nie wydrze z serca ludzkości, ani ja też nie chcę jej ograniczać do widzenia rozwijania się życia w pochodzie przyszłych wieków geologicznych, to pewno że w instynkcie tym, świata doskonalszego znajduje się prawo dziś objawione i dowodzone za pomocą nauk przyrodzonych”.

Pomiędzy Mamianim a Quinetem zachodzi analogia pojęć: obaj oni stanowią pryncypium moralności w rewolucjach swoich filozoficznych, wyciągniętych z obserwacji naukowych. Mamiani wszakże wyraźniej się wypowiada pod względem kwestyi nieśmiertelności, którą Quinet pozostawia niezdecydowaną. Filozof włoski wyraźnie mówi o indywidualności duchowej i duszy ludzkiej przejęty żywo całym ciągiem myślenia filozofów od św. Tomasza z Aquinu, do Giobertego, i Rosminiego, rozlewa na system swój pewne ciepło twórcze, którego w Quinecie widocznie niedostaje, idea Mamianiego cobąd przeciwko niej powiedziećby można, jest więcej zapładniającą; kiedy Quinet daje nam tylko konsekwencye obserwacji naukowych bez przyłożenia wagi do principium, na którém opiera się tryumf, dobrego w społeczeństwie ludzkim, uważa on za naturalne i konieczne rozwijanie się zarodu ludzkiego, negująco niejako środkiem opatrnościowym do otrzymania tego celu, wyobrażenia zasługi, kary i nagrody w Quinecie nie dopatry. I z kąd to ta niejasność w kwestyi zaziemskiego żywota, kiedy Włoch podnosi się wyżej do miłości pierwiastku, przez który wszystko się stało, Quinet odrzuca Ewangelią i materyalizm, a na ich miejsce wprowadza prawo natury dowolnie wykładane, idea prawa nie jest zapładniającą, jest to element utrzymujący, zachowawczy, ale nie twórczy, kiedy miłość ma jedną moc tworzenia dzieł wielkich, równie w życiu społeczném jak w organiczném.

T. Lenartowicz.



KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Historya Francyi opowiadana wnukom przez Guizota.—Zwrot ku Gallom.—Zawód professorski i prace literackie s. p. Villemain'a.—Pierwiastki Celtyckie przez Dr. Michałowskiego.—Słowianizm i Celtyzm.—Przyjęcie do Akademii p. Barbier.—Retoryzm p. Sacy.—Poezye p. Barbier.—Maurycy Saski, dramat p. Amigues.—Areny Paryzkie.—Wspomnienia młodości Mickiewicza, z listu Domejki rektora uniwersytetu w San Jago.—Karol Dickens.—Rozmaitości.

Dawno zapowiedziana historia Francyi Guizota, zaczęła wychodzić poszytami. Tytuł jęj mówi że jest prostém opowiadaniem przeznaczoném dla nauki wnucząt. Gdyśmy jednak otworzyli pierwsze stronnice, spostrzegliśmy odrazu, iż znakomity historyk-filozof, ma na widoku nie same tylko dzieci. W rzeczy samęj, jest to summaryusz badań autora, na polu dziejów ojczystych. Taki summaryusz Guizota, ważnem jest zjawiskiem. Należy go uważać, jako dopełnienie Historji cywilizacji Francuzkięj.

Zobaczmy najprzód, jak sam autor ocenia znaczenie historyi i jak określa ramy swojej pracy. Oto list jego do wydawców:

„Dowiedzieliście się panowie, że od kilku lat z ojcowskiem zamiłowaniem opowiadam historję Francyi moim wnukom. Zapytaliście mnie czy nie mam zamiaru ogłosić drukiem tych opowieści domowych, o wielkiem życiu ojczyzny naszej. Zrazu nie miałem tego na myśli, zajęty wyłącznie wnukami pragnąłem z serca, dać im poznać naszą historję w prawdziwém świetle; zatrzymać ich uwagę zadawalniając razem umysł i wyobraźnię młodą, ukazując im wypadki w sposób jasny i żywy. Każda historia a szczególnięj Francyi, jest obszernym dramatem. Tu wypadki wiążą się w łańcuch według praw określonych; aktorowie odgrywają w tym dramacie role nie wyuczone naprzód, ale wynikające z ich położenia, a co więcj z własnej myśli i woli. Są w historii ludów dwie serje przyczyn, różnych, a przecię ściśle złączonych z sobą: przyczyny naturalne, rządzące ogólnym biegiem wypadków i przyczyny

wynikające z wolnej woli człowieka. Ludzie nie tworzą całej historii, ma ona prawa dane z góry; ale w historii ludzie występują jako istoty wolne, działają w niej, wywierają wpływ, za który są odpowiedzialni. Na wierném oddaniu tych dwóch żywiołów polega prawda i moralność tych opowiadań.

Aby osiągnąć cel zamierzony, starałem się zawsze snuć wątek moich uwag i opowieści, wkoło wielkich wypadków i wielkich postaci historycznych. Kto chce zbadać i opisać naukowo dany kraj, musi go przebiec wzdłuż i wszerz, zwiedzić w nim góry i płaszczyzny, wioski i miasta, ciemne zakąty i miejsca wstawione. Tak postępuje geolog, botanik, archeolog, statysta, erudyta. Ale kiedy pragniemy poznać główne zarysy okolicy, jej stałe granice, jej ogólne kształty, jej gościńce i ścieżki, wtedy wchodzimy na wyżyny, zkąd najlepiej ogarnąć okiem całość i fizyognomią kraju. Tak mamy postępować z historią, gdy nie chcemy sprowadzać jej do form suchego szkieletu, ani też rozwijać jej do wielkich rozmiarów pracy erudycyjnej. Wielkie wypadki, wielcy ludzie, stoją jak niewzruszone olbrzymy na wyżynach historii. Z owych tylko wyżyn można ogarnąć jej całość, i rozpoznać jej drogi."

Musimy przyznać że wyżyny z których dziś p. Guizot zapatruje się na dzieje Francyi, wznioślejsze są niż te, z których patrzył przed czterdziestą laty, gdy oceniał cywilizacyą kraju swego. Ten zwrot myśli, w tak późnych latach, jest dowodem potężnego i pełnego żywotności talentu.

Stary Guizot dopatrzył dziś Gallów, których nie widział przed czterdziestu laty! było ich przecież z górą 6,000,000 na kilka wieków przed Chrystusem, jak to sam teraz przyznaje. Od nich to zaczyna historią dzisiejszych Francuzów. Nie wypowiada on tak jasno jak Henri Martin i Emil Chasles, iż żywioł galski jest kamieniem węgielnym cywilizacyi francuzkiej. Kto wie czy nie bojaźń wykazania słabej strony pierwszych dzieł, którym zawdzięcza taką sławę, wstrzymuje ośmdziesięcio-trzyletniego starca, od jawnego zaparcia się dawnych błędów. Poszanujmy jednak i ten śmiały zwrot na nową drogę, uitorowaną przez młodszych niegdys uczniów, dziś przewodników starego mistrza.

Nowe prace historyczne pp. Guizota, Henri Martin i Emila Chasles, są nam pobudką do zapytania: dlaczegoto Francuzi tak późno zajęli się historią Gallów, kiedy tyle erudycyi wyczerpali w badaniu historii, tak nielicznych zdobywców swoich Rzymian i Germanów? dlaczego my, przy całym niedostatku krytyki historycznej, stoimy wyżej od Francuzów pod względem zapatrywania się na dzieje nasze? Oto dlatego, że nasze dzieje prostszém płynęły korytem: Dynastia Piasta wyszła z łona narodu, państwo utworzyło się z własnych żywiołów, wpływy obce grały tu rolę podrzędną. Przeciwnie rzecz się ma we Francyi. Tu idea państwa, uformowała się pod naciskiem Rzymian, potem Germanów. Nic też dziwnego że pierwsi pisarze francuzcy rodem Rzymianie albo Germany, zostawiali na boku podbitych Gallów, a opisywali

dzieje własne na ziemi galskiej. Następni pisarze kompilowali pierwszych; tak było w ciągu wieków. Pod takimto wpływem wychowany był i sam Guizot i jego współczesni. Nic też dziwnego że autor cywilizacji francuskiej, do żywiołów składających też cywilizacją, liczy tylko żywioł romańsko-pogański, germański i chrześcijański, z przepomnieniem rodzimego galskiego.

Jeżeli porównamy ostatnie prace historyczne pp. Guizota, H. Martin i Chasla, musimy oddać pierwszeństwo H. Martin. Uczony ten zaczął historią Gallów, od przypomnienia jedności ich plemienną i cywilizacyjną, śladami germańskimi, romańskimi i słowiańskimi w Azji. Nie rozszerza się on nad tą prawdą, ale samo to, że ją stawia jako kryterium w ocenieniu rozwoju historycznego tych plemion, aż do dni naszych, jest rzeczą nadzwyczaj wielkiej wagi. Samolubstwo narodowe i niechęć ku Germanom, nie zaślepiły znakomitego historyka.

H. Martin i E. Chasles zgadzają się z sobą, co do ważności mytów i tradycji narodowych, pierwszy z nich wskazał *ducha ofiary*, jako typ charakteru narodowego Gallów. Drugi widzi tenże typ w symbolu Herkulesa Ongiusza, to jest w *sile wymowy*. Obaj czerpali swoje poszukiwania w świadectwach greckich, pierwszym szło o znaczenie typu w życiu społecznym, drugiemu w literaturze, jak o tém pisaliśmy w dwóch poprzednich korespondencyach.

P. Guizot nie szuka u kolebki dziejów, tego ideału który ma na wieki przyświecać narodom i wskazywać im drogę przyszłości: przytacza on wprawdzie mytyczne podanie o założeniu Marsylii, lecz to podanie samo z siebie, acz ciekawe i piękne, nie ma takiej doniosłości, jak tradycje podjęte przez dwóch poprzednich badaczy. Oto podanie jak je opowiada p. Guizot.

„Euxen Grek z Focei, miasta Jońskiego w Azji Mniejszej puścił się na przygody po świecie, przybył aż do ujścia Rodanu. Gallowie Segoborgi zajmowali sąsiednią okolicę. Nann ich wódz przyjął cudzoziemców z właściwą Gallom gościnnością, i zaprowadził ich do domu swego na ucztę, którą wyprawiał z powodu weselnych godów córki imieniem Giptis. Zwyczaj dziś jeszcze istniejący u Basków, a nawet Bretonów w Morwanie, wymagał aby dziewczyna ukazała się gościom dopiero w końcu uczy, z pełną w rękę czaszą, i aby ten komu ją poda, stał się małżonkiem jej wyboru.

I otóż młoda Giptis, zatrzymała się przed Euxenem, i podała mu czaszę. Wielki był podziw Gallów, wielkie ich niezadowolenie. Ale stary Nann, widząc w tém wyraźną wolę bogów swoich, przyjął Focejczyka na zięcia i dał mu w posagu wybrzeże na którym wylądował, z okręgiem okolicznej ziemi. Wdzięczny Euxen nazwał młodą żonę imieniem greckim Arystoxeny, to jest najlepszej gospodyni. I wyprawił okręt swój do Focei, po nowych kolonistów, a zanim ci przybyli położył nad zatoką węgielny kamień miasta które nazwał Massalją”.

Guizot jest przykładem niezmordowanej pracy, przed kilką laty wydał swoje pamiętniki, jakoby ostatni testament, powtarzano

że się oddawna przeżył, że już w roku 1848 dał tego smutne dowody. Tymczasem oto po latach dwudziestu dwóch, widzimy znów Guizota jak pracuje w rozmaitym kierunku: to jako prezes towarzystwa historycznego, to znów jako prezes commissyji reform po szkołach, to jako czynny członek konsystorza ewangelickiego i jako niemniej czynny członek akademii francuzkiej. Mnóstwo ma jeszcze zajęć publicznych i domowych, nie opuści nigdy lekcji syna w *Collège de France*, uczy małe wnuczęta, a obok tego wydaje i historią Francyi! Oczywisty to dowód że umysł ludzki odradza się, i że praca umysłowa wielkim jest bodźcem do podobnego odrodzenia.

Od Guizota przejdźmy do jego współpracownika na polu tak politycznym jak i literackim, do niedawno zmarłego Villemaina. Donieśliśmy o śmierci jego, dziś czujemy się w obowiązku przypomnieć liczne a znakomite jego zasługi w literaturze. Jako profesor Sorbony, minister oświecenia, nakoniec jako członek akademii francuzkiej w ciągu blisko pół wieku, a stały jej sekretarz przez lat blisko czterdzieści, ośmdziesięcioletni Villemain miał i szerokie pole i długi czas do różnostronnego rozwinięcia wielkiej swój działalności i do zostawienia niezatartych śladów swego przejścia na ziemi. Godności jakie piastował, winien był jedynie niezmqdowanej pracy.

Urodzony w Paryżu 1790 roku, był dzieckiem czasów wielkiej rewolucyi, ale z tych czasów otrzymał tylko w spadku wychowanie wysoko klassyczne. Jego umysł skierowany z młodu ku literaturze, pozostał jój wiernym aż do ostatniej chwili. Sama nawet ułomność fizyczna, wpływała zapewne w wielkiej części na tak wyłączone zatopienie się w księgach.

W szkołach już Villemain odznaczał się zdolnością między towarzyszami. Mając lat dwanaście, umiał na pamięć Sofoklesa; uczniowie bowiem obyczajem tych czasów, odgrywali tragedye klassyczne między sobą. Ale jak się to niekiedy zdarza wyższym talentom, nie błyszczał on na popisach szkolnych. Znać należał do tych specjalistów, co od dzieciństwa skoncentrowane w jednej gałęzi nie umieją odpowiedzieć wymaganiom szkolnych programatów. W dwudziestym roku życia został już profesorem *versyfikacyi łacińskiej i literatury francuzkiej* w normalnej szkole. We dwa lata potem, akademia ukoronowała pierwszą jego pracę literacką: *pochwałę Montrigna*.

Rozprawa ta odznaczająca się wytwornym językiem rozświetliła wkrótce imię młodego laureata. Uczeni i opiekunowie nauk poczęli przygarniać go do siebie; hrabia Narbonne, sekretarz cesarski szczególni otoczył go względami. Wkrótce potem w roku 1813 cesarz Napoleon polecił mu napisanie pochwały pogrzebowej, na cześć poległego generała Duroc. Zaczem ją wygotował upadło cesarstwo.

Czasy restauracyi najświetniejsze były dla Villemaina i zapewne najszczęśliwsze w jego życiu. Mieszkał z matką którą czcił i kochał gorąco, a która nawzajem chlubiła się synem i najtkliwszą otaczała go opieką. Miłość ta rodzinna szczególny rzucała urok na domowe ich progi.

Nowe dwie prace literackie *O znaczeniu krytyki* i *pochwała Montesquieu'go*, zjednały młodemu professorowi nowe nagrody i wieńce; imię jego coraz świetniejszą połyaska aureolą.

Po tylu latach przewrotów społecznych i politycznych, literatura, na długo płoszona hukiem dział, przyduszana kurzawą bitew poczęła nareszcie powstawać z czasowego omdlenia. Na widnokręgu paryzkim zabłyśły dawne gwiazdy: Chateaubriand, pani de Staël, Benjamin Constant; przy nich pojawiły się nowe, a między temi najświetniej zajaśniał Villemain. Porwany w wir literackich salonów, nie zaniedbał on przecież pracy. Atmosfera salonowa tak zabójcza dla wielu młodych talentów, korzystnie nawet oddziaływała na umysł wykarminiony silną nauką, oswobodziła go bowiem z pedantyzmu i rozwinęła w nim wrodzony dar wymowy.

Niebawem szersze pole otwiera się dla Villemaina. W roku 1816 otrzymuje katedrę w Sorbonie, najprzód jako pomocnik Guizota w wykładzie historyi, nieco później na własną rękę katedrę literatury francuzkiej. Tu rozpoczyna się chlubny okres dziesięcioletnich prac professorskich, któremi Villemain dobrze zasłużył się krajowi, rozszerzając koło krytycznych poglądów, torując niejako nowe drogi bliskiej odrodzenia literaturze.

Posłuchajmy co mówi jeden z uczniów profesora, znany krytyk Pommartin o tych świetnych kursach Sorbońskich:

„Villemain w swój katedrze, w owym kursie literatury stenografowanym z żywego słowa, a następnie publikowanym, ukazuje się w prawdziwym blasku stokroć wyżej niż jako pisarz. Tu występuje jako mówca oryginalny, wszechstronny, pełen barwy i ognia, porywający słuchaczy. Ci którzy mieli szczęście widzieć go i słyszeć, dziś jeszcze po czterdziestu latach przywołując na pamięć doznane wtedy wrażenia, czują w piersi mimowolny dreszcz zachwytu, i powtarzają z westchnieniem: „Dobre to były czasy!”

„Wyobraźmy sobie wielką salę Sorbony, pełną młodych chciwych wiedzy słuchaczy; pierwsze ławy zajmują najzdolniejsi uczniowie, wówczas jeszcze nie znani światu: Sainte Beuve, Alfred de Musset, Jouffroy, Merymeé, Nizard i tylu innych.

„Wchodzi mistrz. Mały, niekształtny, zaniedbany w odzieży, wstępuje na katedrę nierównym krokiem z pękiem książek i papierów pod pachą; głowa jego wychyla się niezgrabnie z pod wystających ramion, oko połyскуje z pod gęstych rzęsów; usta składają się lekko do uśmiechu jak łuk z którego wnet posypną się strzały. Siada, zaczyna mówić! I oto nagle ta postać bezkształtna i szpetna pięknieje w oczach naszych. To czary! istne czary! Magnetyczna nić łączy mowę z audytorjum. Mówi. Głos jego na przemian słodki i śpiewny, to znów ostry i przenikliwy jak sztylet, odpowiada

harmonijnie znaczeniu wyrzuconych słów. Jakaż w nich rozmaitość, jakaż to giętkość niesłychana! jaka sztuka ukryta pod osłoną prostoty! Jak zręczne cieniowanie! myśli migoczą jak błyskawice: perspektywa ogarnia coraz szerszy widnokrąg! Widzimy się nad brzegiem oceanu, podniesieni na szczyt opoki, z kądem oko nasze jednym rzutem ogarnia Francją i Anglią. Pociski czarodzieja furkoczą niby strzały, chwytamy je w przelocie, dopełniamy w duszy to co ledwie napomknął, zgadujemy to co przemilczał. Szczypta soli wystarczała naszemu podniebieniu, pieprz byłby nam wstrętny; Villemain téż nie używał go wcale: dość mu było soli attyckiej."

W ciągu dziesięcioletnich kursów, znakomity professor przestoczył do gruntu wykład literatury. Dotąd na wzór La Harpa, wykazywano dogmatycznie zalety i wady ocenianych utworów, Villemain tymczasem ukazywał nasamprzód autora, wnikał głęboko w jego myśl, przedstawiał go zawsze na tle wieku, rozbiegając utwory w śmiałych rzutach kreślił zyciorys pisarza, co więcéj kreślił dzieje epoki pod której wpływem żył i pisał. Tę metodę dziś ogólnie przyjętą upowszechnił Villemain we Francyi, to stanowi główną jego zastługę.

Akademia oceniła profesora, powołała go w progi swoje w r. 1821: miał wtedy lat dwadzieścia dziewięć. Obok wykładów literatury i licznych rozpraw akademickich, niez mordowany pracownik tworzył obszerne dzieła. Napisał *Historję Kromwela* w dwóch tomach, wkrótce po tém *Laskarisa*. Ostatnie szczególniej dzieło, napisane w czasach walki Greków o niepodległość, zajmowało żywo umysły. Przygody Laskarisa, tego młodego Greka który w XV wieku szukał przytułku w zachodniej Europie, przynosząc z sobą arcydzieła cywilizacyi z upadłej swéj ojczyzny, przygody te musiały gorąco zajmować społeczność, przyklaskującą wysileniom Helenów. Rozrywano téż dzieło Villemaina, równie jak Messenienny Delavigna, nazwano ją nietylko dobrą książką, co więcéj zacnym czynem.

Do uczonych prac autora z czasów Restauracyi, należy także przekład *Republiki Cycerona*, według rękopismu odkrytego wówczas właśnie we Włoszech przez Angelo Mai; pełna erudycyi rozprawa, pomieszczona w początku i uczone komentarze, wzbogacają ten znakomity przekład.

Rok 1830 rozpoczyna nową epokę w życiu Villemaina. Zastługi położone dla kraju, dały mu prawo do wysokich dostojenstw. Po gwałtownym przewrocie, nowi ludzie występują na widownię: obok Thiersa i Guizota pojawia się Villemain, godności sypią się gradem na uczonego męża; widzimy go najprzód deputowanym, wkrótce potem parem Francyi, prezesem rady wychowania publicznego, nakoniec ministrem oświecenia. Akademia ze swéj strony mianuje go stałym sekretarzem.

Wyrwany z koła literackich prac, Villemain na drodze nowych zaszczytów znalazł nieznanne mu troski i gorycze; podczas

jego powtórnego ministerstwa (1840—1844) wszczęły się zacięte spory pomiędzy duchowieństwem a uniwersytetem o wolność nauczania. Gwałtowna ta burza silnie oddziaływała na spokojny umysł uczonego. Villemain zachorował, w napadzie gorączki wyskoczył oknem; obawiano się pomieszenia, szczęściem obawy okazały się płonne. Potężny ten umysł po chwilowym szale gorączkowym przyszedł wkrótce do równowagi,

Oprócz wstrząśnień zewnętrznych, zgryzoty domowe zamąciły też bieg życia tak dotąd spokojny i szczęśliwy: młoda żona z którą Villemain żył zaledwie od lat kilku, dostała gwałtownego pomieszenia zmysłów. Zmuszony oddać ją do domu obłąkanych, osierocony w tymże czasie po drogiej sercu matce, pozostał sam jeden z trzema maleńkimi córkami.

W kilka lat nowym ciosem dla niego był upadek monarchii lipcowej. Odtąd odgrodził się niejako od świata stosami ksiąg i pargaminów z którymi przeżył ostatnie dni, od których nigdy bolesnego nie doznał zawodu. Jedynem jeszcze polem jego wystąpień bywały posiedzenia akademii. W długim dwudziestoletniem przeszło osamotnieniu, praca wytrwała codzienna, stała się dla niego tym drogocennym balsamem, co leczy krwawe rany, kołysze myśl nadzieją, wytrawia gorycz z serca, zaprawia życie słodyczą i spokojem.

Liczne też były plony tej pracy. Dość tu wspomnieć: *Badania nad literaturą starożytną*, *Obraz wymowy chrześcijańskiej w IV wieku*, *Studia nad historią nowożytną*, *Wspomnienia współczesne historyczno-literackie*, *Uwagi nad współczesną literaturą*, *Trybuna współczesna: Chateaubriand*, *Badania nad geniuszem Pindara i liryczną jego poezją*, że pominiemy mnóstwo raportów i rozpraw akademickich. Za koronę tych wszystkich prac można uważać *Rozprawę nad językiem francuzkim*, zamieszczoną na czele słownika akademickiego.

W takichto pracach upływały ostatnie lata starca. Barki jego coraz to bardziej pochylały się do ziemi, cera jego coraz wydatniej przybierała ową barwę pargaminową, podobną do żółtkłej stronnicy starego foliału. Takim widzieliśmy go nieraz przyzdującego publicznym zebraniom akademii. Ale w oku jego spostrzegaliśmy jeszcze tę iskrę błyskającą z pod ciemnej rzęsy, o której mówi jego uczeń; uważaliśmy ten uśmiech zaokrąglający półłukiem usta, lubo strzały nie miały już wybiedz z tego łuku. Na kilka tygodni przed śmiercią Villemain przydował jeszcze za stołem akademickim w mundurze z zielonemi palmami.

Kilku zaledwie starych przyjaciół, miało przywilej odwiedzać go niekiedy. Do rzędu ich należał zasłużony Eichhoff członek Instytutu. Z jegoto ust słyszeliśmy niektóre szczegóły z ostatnich lat życia zasłużonego starca. Cały pokój w którym pracował założony był stosami ksiąg i papierów; mnóstwo ich leżało na stolach, na krzesłach, nawet na ziemi. Rad jednak przybyciu miłych gości, Villemain usuwał je co żywo i z całą swobodą oddawał się przyjacielskiej pogadance.

Razu jednego Eichhoff przyszedłszy do Villemaina zszedł go na rozmowie z dawnym kolegą szkolnym, niegdyś jak on jednym z wzorowych uczniów, dziś jak on starcem ośmdziesięcioletnim. Był nim Firmin Didot, uczony księgarz i wydawca. Villemain wyrzucał Didotowi, że w wydanym niedawno Słowniku biograficznym napisał o nim iż umie na pamięć całego Sofoklesa. Didot upierał się przy swoim; po długich sporach przyszło wreszcie do próby. Na usilną prośbę, począł Villemain powtarzać rolę Ullissea z tragedji Filoktety. W miejscach gdzie nowa osoba występuje na scenę przerywał mu Didot i tak w dwóch powtórzyli całą tragedję, nie pomyliwszy się ani razu. Eichhoff był zachwycony.

— Nie oddałbym tego widowiska mówić do nas, za wszystkie dzisiejsze dramata i komedye.

— Teatr godzien widza, a widz teatru—odrzekliśmy.

Czynny do ostatniej prawie chwili, a jednak przez lat kilka trawiony ciężką chorobą Villemain doznał téj wielkiej pociechy, że miał przy sobie nieodstępną córkę. Dwie młodsze poszły za mąż, najstarsza tylko poświęcona wyłącznie ojcu, czuwała nad nim jak anioł opiekuńczy. Wzorowy syn odebrał w niej zapłatę za tę gorącą miłość, jaką niegdyś miał dla własnej matki. Na czas krótki przed śmiercią, zupełnie prawie ociemniały znalazł w niej nową Antygonę, stokroć wyższą od starożytniej. Kiedy tamta kierowała krokami ślepego Edypa, wspierając go krzepkiem ramieniem, ta sprowadzała w duszę ociemniałego ojca, żywy promień wiary i nadziei, sięgający po zakres ziemskich walk i zawodów. Słodkim jej wpływem uspokojony w duchu, skonał dnia 8 maja r. b. Nazajutrz po jego skonie, panna Villemain wstąpiła do zakonu sióstr miłośierdzia.

Szczególny wypadek zrządził, że Villemain urodzony wśród przewrotów społecznych roku 1790, zamknął oczy w sam dzień plebiscytu. Kiedy konał pośród ksiąg swoich, przy modlitwie córki, w pokoju wychodzącym na drugi dziedziniec pałacu akademickiego, w pierwszym dziedzińcu tymczasem w pośród zgietku i wrzawy, odbywały się burzliwe głosowania: dziwnaż to sprzeczność! ten syn czasów rewolucyjnych był przecież człowiekiem cichej pracy, miłośnikiem spokoju, pióro i słowo ściśle naukowe oto jedyny jego oręż.

Dr Felix Michałowski, oddawna zamieszkały we Francji, zyskał tu piękne imię, jak tego dowodzą godności: prezesa lekarzy i vice-prezesa towarzystwa rolniczego, departamentu Loary. Ważne stanowisko zajął także i między lingwistami. Ostatnia broszura jaką świeżo wydał: *Fierwiastki Celtyckie (Origines Celtiques)*, charakteryzuje dokładnie prace jego w dziedzinie lingwistyki. Rzecz o stosunkach starożytnych Słowian z Celtami, stanowiąca główną podstawę tych prac tak mało w ogólności znana, że każde ziarnko zebrane na tém polu, same nawet hipotezy stawiane przez ludzi nauki, do których należy Dr Michałowski, są prawdziwą zdobyczą.

Na poparcie swoich wniosków, p. Michałowski przytacza dowody, które powinny zwrócić uwagę wszystkich zajmujących się starożytną historią naszą. Dziś szczególnie, kiedy i my w starożytnościach szukamy odpowiedzi na liczne pytania, dotyczące historii nowszych czasów i rozwoju języka, spodziewamy się, że bliższe poznanie prac naszego lingwisty nie będzie obojętnym czytelnikom Biblioteki.

Posłuchajmy oto samego autora:

„Moim rodzinnym językiem—mówi p. M.—jest język Mickiewicza i Zaleskiego, lecz oddawna przebywam we Francyi. Najżywsza radość jakiej doznałem w mojej nowej ojczyźnie, była ta, kiedy w ludowym narzeczu w Forez, gdzie osiadłem w młodości, posłyszałem wyrazy znane mi od dzieciństwa.

Niektóre z nich cytuję jako przykład:

Ser zowią *siru* w departamencie Loary. Ponieważ ten ser po zeschnięciu staje się bardzo twardy, człowieka upartego z twarłą głową, przezwano tu *seran*.

Rzeszoto zowią *rejotta*.

Socha, *pług*, w narzeczu tutejszém *sochia*.

Tralew, belka, *tral*.

Siewier w języku słowiańskim oznacza północ; w Forez drobny śnieg zowią *sebera*, szron *sióra sibera*, wiatr północny *sibere*.

Dornia, znaczy tu człowieka ograniczonego, po polsku *dureń*.

Climpe po forezku dziewczyna niechlujna; toż samo i w gminnej naszej mowie.

Drigna po forezku skakać, po polsku *drygać*.

Dryndula wstrząsać, po polsku *dryndać*.

Ebaudi znaczy *obudzić*.

Radissi rodzaj ciasta, *Radomiri* dziewczyna wesoła, jedno i drugie przypomina *radość*.

„Wybrałem z umysłu wyrazy proste gminne, nie używane w literaturze ani w handlu, a których fizyognomia słowiańska, nie ulega przecież zaprzeczeniu. Jaką drogą przywędrowały one z nad Wisły do Francyi. Nie mogły mnie przekonać uwagi jakie czyniono mi z uśmiechem powątpiewania, że te wyrazy są wpływem wspólnego początku wszystkich języków, lub że w czasach późniejszych przechodziły od sąsiednich do sąsiednich plemion. Niemcy przecież którzy nas oddzielają od Francyi, nie przedstawiają w języku takich podobieństw. Nie znalazłem raczj w tych chłopkach z nad Loary jakich krewnych nieznanych, jakich braci zatraconych od dwudziestu albo trzydziestu wieków. Ileżby to rzeczy można tém wytłumaczyć!

„Skłaniałem pilnie ucho, szukałem jak mogłem, i oto we wszystkich stronach Francyi, z północy i z południa, od wschodu i zachodu, znajdowałem wszędzie w ludowych *gwarach* (patois), wyraźne ślady Słowianizmu, tém widoczniejsze tam, gdzie mniej sięgały wpływy łaciny. To właśnie ostatnie spostrzeżenie wska-

zało mi drogę, gdzie mam skierować głównie moje badania. Potrzeba było sięgnąć w czasy które poprzedziły podbój rzymski, ponieważ Armoryka zachowuje dotąd starożytny język galski, powinienem być, jeśli słuszne są moje wnioski, znaleźć w Bretanii więcej wyrazów słowiańskich, niż w innych okolicach Francji.

Odczytałem od początku do końca słownik bretoński Legonideka, porównyując zawarte w nim wyrazy, z wyrazami wszystkich słowników tak słowiańskich jak innych, jakie mogłem znaleźć pod ręką. Po długich badaniach, przyszedłem do wniosku, że jeżeli oddzielimy w języku bretońskim żywioły nowe, to co zostaje, nie może być uważane za język pierwotny (jak dziś uczą zarozumiałe), jest to po prostu mieszanina słowiańskiego i cudzkiego języka”.

Oddawna już p. Michałowski zajmuje publiczność francuską, swemi pracami lingwistycznymi. Przed dwunastą laty przedstawił pierwszą swoją rozprawę Towarzystwu Naukowemu w St. Etienne. W r. 1861 ogłosił w rocznikach tegoż Towarzystwa, inną rozprawę p. t. *Le Slave et le Breton*, do której dołączył przekład litery B ze słownika Legonideka. W r. 1862, na kongresie naukowym francuskim czytał trzecią rozprawę p. t. *Uwagi nad najstarożytniejszym językiem we Francji*. Do wydanej obecnie dołączył przekład z Legonideka litery L.

Praca ta mała co do objętości, bardzo jest zajmującą. Owoc to długoletnich i wytrwałych badań. Przeczytać i porównać słowniki chociażby dziesięciu języków! na to potrzeba szczególnego zamięłowania, Benedyktyńskiej cierpliwości! Dodajmy że prace tego rodzaju, tém niewdzięczniejsze, iż mało kto potrafi je ocenić. Pan Michałowski pracuje sam jeden na polu jakie obrał.

Porównania naszego lingwisty, nie oparte są tylko na słownikarskiem podobieństwie wyrazów; porównywa on także języki podług ich składni. Mała próbka jaką udzielił publiczności, jest podług nas ważniejszą jeszcze, od poszukiwań tyczących się tylko pojedynczych wyrazów. Jeśliby głos nasz doszedł do autora, prosilibyśmy go aby szerzej rozwinął przekłady dotyczące składni gramatycznej porównywanych języków; same bowiem wyrazy oddzielnie wzięte, mogą wprowadzić w wielki błąd. Pan Michałowski naprzykład utrzymuje że język Gallów był mieszaniną słowiańskiego i cudzkiego. Już Lelewel tłumaczył językiem cudzkim niektóre nazwy miejscowości północnej Europy, zapisane u starożytnych. Antropologia udowodniła, że przed przybyciem Aryów czyli rolników, Europa była zaludnioną przez nieliczne pokolenia cudzkie lub ogólnie mówiąc turańskie. Dowody tego pokazują lingwiści z swojej strony. Trudno przecież utrzymywać, jakoby ten wpływ cudzki miał się równoważyć z wpływem aryjskim, w rozwoju dzisiejszej cywilizacji europejskiej. Składnia języka celtyckiego jest czysto aryjską.

Niektóre spostrzeżenia p. Michałowskiego, mogą rzucić nowe światło na historję ludów Europy, w niezmiernie odległej staro-

zytności. Wiadomo że nasz wyraz *olbrzym*, przypomina plemie galskie Ombronów, którzy z Bojami, Batonami i innymi pokoleniami, rzucili się na Rzym, na Illyryą, i na kraje przykarpackie.

P. Michałowski ciekawo podaje szczegół, że w Bourbonnais, mianowicie w okolicach Palisse i Donjon, istnieją mogiły podobne ukraińskim. Lud miejscowy powtarza tradycją, że te mogiły sypali jacyś przybysze zwani *Polakrs*. Tu, końcowa litera r, jest wtrętem podług p. Michałowskiego. Czemużby nie przypuścić napadu Lechów polanów na Galię, kiedy mamy dowody że Lechici przepawali się aż do Anglii w II i IV wieku ery naszej? jak o tém mówi obszernie Szafarzyk w drugiej części swych starożytności słowiańskich, w historii Lechów, Wellesów, czyli Wilków.

Rzecz godna uwagi, że w głębi Francji znajdują się wyrazy przypominające Tatarów, którzy przecież nie postali tam w czasach pamiętnego wylewu ich na Europę. Tak np. Auverniacy zwołując trzodę chlewną powtarzają *Tatar! Tatar!* Choroba prosiąg, wyrzuty na dziąsłach, zowie się *Tut*, robactwo *Tutareiza* i t. p. Zkąd tu owo przypomnienie Tatarów? Zkąd u nas w Prawdzie Ruskiej wyraz *Tut* znaczy złodziej, kiedy Tatarzy pokazali się dopiero w wieku XIII? Pan Michałowski słuszną robi uwagę, że nawet wyraz *Tartar* w znaczeniu piekła u Greków, jest przypomnieniem Tatarów. Są to niezawodnie echa z czasów przedhistorycznej starożytności, kiedy Gallowie, Germanie, Grecy i Słowianie, połączeni jeszcze w Azji walczyli przeciw turańskim nomadom. Dziś badania lingwistyczne połączone z etnograficznymi i historycznymi, pozwalają wyprowadzać podobne wnioski, zostawiając czasowi dokładniejsze ich wyjaśnienie. Ale z jakąż ostrożnością przystępować należy do tych badań!

Aby uniknąć błędów, w oznaczeniu pokrewieństwa między ludami na prawie wyrazów, potrzeba oceniać je pod pięcioma względami: materji wyrazów, składni, eufonii, charakteru cywilizacyi, i tradycyj historycznych. Przepomnienie téj zasady, uważanie języka pod jednym tylko względem, jest bardzo niebezpieczne. Oceniacze języków słowiańskich, Dobrowski, Szafarzyk i ich uczniowie, dopuścili się właśnie wielkich zboczeń opierając stopnie pokrewieństwa, na materji wyrazów i na składni, kiedy opuścili trzy inne działacze nierównie ważniejsze.

W rzeczy samej w rozróżnieniu plemion, eufonia większe ma znaczenie niż materja wyrazów i składnia. P. Michałowski wie najlepiej, iż wszyscy Gallowie z wyjątkiem Bretonów, przyjęli język łaciński. Wiele na to potrzeba było wieków. Na ziniang zaś organów mowuych i wieki nie wystarczą, zwłaszcza gdy naród zostaje w miejscu. Zapewne, trudno określić tę harmonią dźwięków, którą zowiemy eufonią, ale lingwista nie powinien pomijać tego żywiołu krytycznego. Jeżeli zaś nie ma dosyć danych, aby z dźwięków mowy oznaczyć plemienność, to przynajmniej nie ma prawa wyrokować o niej, z samej materji wyrazów, a nawet i ze składni.

Co do języków uważanych pod względem charakteru cywilizacji, jest to punkt krytyczny nadzwyczaj wielkiej wagi, tak wielkiej jak i sama cywilizacja, w oznaczeniu pokrewieństw między narodami. W miarę rozwoju cywilizacji urabiają się i wyrazy, odpowiednie jej potrzebom. Narody mogą zmieniać języki, przyjmować obcą mowę, ale z tej mowy przyswojonej, wyrzucają wyrazy nie odpowiednie ich pojęciom, a najczęściej przekształcają znaczenie przyjętych wyrazów, i nadają językowi nowy ton.

A cóż dopiero powiedzieć o znaczeniu podań historycznych, w ocenieniu pokrewieństw między narodami, podań których język jest drogą skarbnicą! Szafarzyk w początku pierwszego tomu swych *Starożytności* uczy, że tradycje historyczne są najwyższym prawdomierzem w ocenieniu stopni tychże pokrewieństw. Nie zastosował on swojej teorii jak należało, i ztąd popełnił wielkie błędy; ale przed laty trzydziestą, lingwistyka nie była tak różnostronnie jak dziś uprawiana.

Porównywania wyrazów, nawet składni, na takie narażają niebezpieczeństwa, że p. Michałowski nie weźmie nam za złe powyższych uwag. Jego to poważna praca, zwróciła bacność naszą na ogólny stan lingwistyki polskiej i na jej potrzeby.

Przyjęcie każdego członka do akademii francuskiej, stanowi tu bardzo ważną chwilę. Wszystkie warstwy społeczeństwa, wszyscy uczeni specjaliści w różnych gałęziach nauk, spieszą przyjąć udział w uroczystości. Nie ma w tém nic dziwnego: akademie z obowiązku zajmuje się językiem i literaturą. Wprawdzie niektórzy uczeni po za jej obrębem, więcej uczynili dla języka francuskiego, aniżeli to ciało uprzywilejowane; wielu z pisarzy nie akademików, daleko więcej wpłynęło na literaturę, aniżeli nie jeden z czterdziestu nieśmiertelnych. To przecież pewna, że akademie przechowuje tradycję piękną w literaturze, iż strzeże pewnych praw, które jeśli z jednej strony ograniczają wolność, z drugiej znowu bronią od zbyt śmiałego nowatorstwa.

Przy każdym przyjęciu, akademie w imieniu intelligencji narodowej, odbywa niejako spowiedź z długiej epoki obejmującej prace zmarłego i nowo wprowadzonego członka. Ponieważ mówcami są tu ludzie wysokiej nauki, miłujący literaturę, ztąd pogląd ich na rzeczy i na osoby, jest różnostronny, podniosły, nauczający.

Nie mówimy wcale aby akademie francuska wolną była od przesądów i ducha stronniczego. Wiadomo wszystkim, że odtrąciła nieraz od progów swoich, mężów prawdziwej zasługi i talentu, dla przyjęcia mniej zasłużonych i mniej utalentowanych. Polityka ważną w tém odgrywa rolę. Nie przeszkadza to jednak głównej zasadzie, bo takie nadużycia nie mogą się zawsze powtarzać; zresztą akademie musi się liczyć także i z opinią publiczną, tak silną we Francji.

Ta opinia dziś objawia się w sposób bardzo nieprzychylny dla uczonego zgromadzenia, a to z powodu że przeważała w nim jedna partya polityczna, co daje się czuć szczególniej przy wyborach. Ogół zarzuca i słusznie, że zamiast pilnować wydawnictwa Słownika, akademja mięsza się na zewnątrz w walki stronnictw, a wewnątrz zabawia się często częzą dyalektyką, przypominającą czasy alexandryjskich retorów. Łatwo pojąć że taka dyalektyka musi wywoływać odrazę, w obec życia tak silnie bijącego we Francyi.

W ciągu upłynionego miesiąca odbyło się przyjęcie znanego poety p. Barbier; charakter tego przyjęcia wywołał właśnie powyższe uwagi. Wprowadzał nowego członka p. Saçy dyrektor akademii. P. Barbier zajął krzesło zmarłego akademika Empis. W zręcznej mowie podniósł zasługi poprzednika na polu dramatycznym. Empis był przedewszystkiem pisarzem surowej moralności. Nie szukać w nim ani wyborowej krasy języka, ani uroczych kwiatów poezyi. Zacięty wróg zasady: *sztuka dla sztuki*, gonił zawsze za wzniosłym celem, śledził niejako pulsacyę społeczeństwa, i na każde dopatrzone zło, podawał gorzkie lecz skuteczne lekarstwo. Ażeby zrozumieć doniosłość prac Empisa, potrzeba przypomnieć sobie czasy Ludwika Filipa. W skutek poprzednich wstrząśnień, czasy to były bardzo smutne! Materyalizm opanował literaturę kryjąc się płaszczem wolności i romantyzmu! Ludzie wyższych pojęć rozpaczliwem okiem poglądali na ten prąd rozsadzający społeczne podwaliny. Akademja przyjęła Empisa, chcąc tém samém zaprotestować przeciw skrzywionym dążnościom wielu wyższych talentów.

Z téj to strony ocenił p. Barbier zasługi poprzednika swego. Odpowiedź p. Saçy, w formie więcjéj akademicka, przykre na słuchaczach sprawiła wrażenie. Trzeba wiedzieć, że poeta ciernistą drogą wchodził do akademii. Współzawodnik jego Teofil Gautier otrzymał tylko kilka głosów mniej, liczni stronnicy tego ostatniego niechętnem okiem patrzyli na tryumf przeciwnika. Skutkiem ich tajemnych zabiegów, p. Barbier, lubo wybrany, musiał długo czekać na krzesło. W rok dopiéro po nominacyi, akademja przyjęła go uroczyście. Dzienniki szydziły nielitościwie z takiej zwłoki.

Nie dosyć jeszcze na tém. P. Saçy jak widać niechętny nowemu przybyszowi, dał to dotkliwie uczuć w mowie swojej... Nasadził ją mnóstwem delikatnych śpileczek, bolesnych zapewne dla tego, przeciw komu były wymierzone, a i niemniej przykre dla ogółu słuchaczów.

Subtelny retor tak naostrzył swoje śpileczki, że kłół niemi nie samego tylko poetę, ale i zmarłego poprzednika. Podnosząc nibyto dramatyczne utwory p. Empis, wyznaje że nie był nigdy na przedstawieniu żadnej jego sztuki. Czytał wprawdzie z obowiązku owe komedye i dramata, ale, jak mówi, czytanie tego rodzaju utworów, nie podniesione grą artysty, niebezpieczną jest próbą dla au-

tora, jeśli nie jest Kornelem, Rasynem lub Molierem. Ubliżyłbym, dodaje, pamięci skromnego p. Empis, gdybym stawiał jego imię, *po imionach tych wielkich mistrzów.*

Głębiej p. Saçy zapuszczał swoje żądzelka w miłość własną akademika, którego zmuszony był przyjmować. Powtarzamy kilka ustępów z téj mowy, aby dać próbkę dyalektyki nowoczesnych retorów.

„Akademia—mówi on—potrzebowała poety, któryby zastąpił p. Empis i wybrała pana. Jedno słowo usprawiedliwia ten wybór: jesteś pan autorem Jambów, dość na tém. Szczególnym trafem losu, tytuł pierwszej i najznakomitszej z twych produkcji poetycznych, zastąpił twe imię osobiste. Mało kto wie o p. Barbier,—autora Jambów wszyscy znają. Tak zniknęły nazwiska naszych dawnych marszałków pod nowemi, jakie im nadano od miejsca ich zwycięstw i chwały.

Czterdzieści lat ubiegło od dnia, w którym pojawił się pierwszy z twych utworów satyryczno-politycznych, sławna *Curée* (Żerowisko). Było to nazajutrz po rewolucyi lipcowej, w téj smutnej chwili, kiedy massy podniecone widokiem łupu, rzucają się nań z zjadłością. Na widok tych wyciągniętych rąk, po większej części nie uczernionych w prochu, młodzieńcze twoje oburzenie wybuchnęło gwałtownym wierszem, który został w pamięci wszystkich. Słońce lipcowe nie tak paliło jak twe słowa. Naiwne serce twoje szukało w tłumach poświęcenia i zapału. Byłeś Tyrteuszem r. 1830, jak Andrzej Chenier był nim w 1789 roku. Jak on, potraciłeś o ciężkie zawody, dzięki Bogu mniej przecież okrutne niż te, jakie on spotkał. Mogłeś opiewać twoje do woli, i dodać nie jedną Jambę, do pierwszego wykrzyku uniesienia i grozy. Andrzej Chenier tymczasem, ledwie że mógł wyśpiewać kilka nieśmiertelnych zwrotek u stóp gilotyny, zaczęła ta upadła mu na głowę.

Jakkolwiekbyś, jednym pióra zamachem stworzył pan nowy rodzaj poezyi: satyrę ludową czyli demokratyczną, a zarazem stworzył język jakiego ten rodzaj wymagał, język prawdziwie nowy, nie pod względem słów, ale raczej pod względem silnego i zuchwałego zastosowania wyrazów wydobytych żywcem z *ust gminu.* W miarę jak wzbierał prąd rozhukanych namiętności, jak znikały twoje młodzieńcze złudzenia, w obec powodzi skażonych doktryn, w obec idei podkopujących społeczeństwo, i rozprzegających obyczaje tego ludu tak wielkiego w oczach twoich, gniew zakopiał w twój duszy. Wyrzucałeś z niej gorycz w coraz to nowych Jambach. Nie przebaczałeś złemu, biczem satyry chłostałeś wszelki skandal, tak skandal uliczny jak niemniej salonowy i przedpokojowy. Nie szczydziłeś nikogo, nawet tego ludu niedawno apoteozowanego przez ciebie. Mściwa twoja muza poniosła lirę na te zapowietrzzone wybrzeża, których sam widok odstraszyłby muzę delikatniejszą. Twoja muza i maluje i opiewa. Kto się nie czytał,

ten może i nie wie w jak ohydny steku namiętności, geniusz ztego staczał tę biedną ludzkość naznaczoną na czołe piętnem Bożem!

Czytano cię jednak! sypano ci poklaski. Czytano cię tak pilnie, a słowa twoje tak głęboko wryły się w pamięć, że dziś jeszcze ogół został przy twoich Jambach, a ciebie panie uważa jako człowieka dawno umarłego dla poezyi. „Tak już dawno nic nie utworzył!” powtarzano przy nominacji. Zacięci i uporczywi wielbiciel Jamb, za nic mają późniejsze pieśni twoje, nacechowane delikatniejszym smakiem, które ukazują w nowym świetle twój talent poetyczny. Niczem dla nich owe *ulotne rymy*, najmilsze z publikacyj twoich, przedstawiające cię *nie spodziewanie w postaci przyjemnego i czulego epikurejczyka*.

Dwa poemata przecież ogłoszone po Jambach, *Il pianto* i *Lazare*, wypłynęły zwycięzko z powodzi tyłu niedopatrzonych utworów. Są to owoce dwóch podróży. *Il pianto*, jestto jęk nad dolą tych Włoch, tak uprzywilejowanych pod względem klimatu i słońca, tak sławnych w historii sztuki i imionami Rafaelów i Buonarotich!

Obraz nędzy ludu angielskiego, to przedmiot drugiego poematu. Ktoby nie poznał autora Jamb w tych wierszach, jakby tryskających z pod gorącego młota?

Charakter pisarza a szczególnie poety, maluje się zawsze w jego dziełach. W Jambach uderza mnie otwartość i niepodległość ducha. Otwartość widzę w tém, że nie poprawiasz nowym wierszem tych, które wyrwały się same z pod pióra, pod wpływem gorączkowej podnieci, choćby te wiersze przechodziły nawet miarę uczuć twoich. Znalazłbym w twych dziełach liczne dowody téj otwartości. Jaka szkoda, że niepodobna mi odczytać na głos w obec takiego jak to zgromadzenia, o wch liczących urywków, które z mimowolnym pociąganiem czyta się pocichu, sam na sam.

Wiersz mój szorstki i gruby uczciwym jest w gruncie!

Temi to słowy, zakończyłeś panie prolog do twoich Jambów. Forma, któż nie wie o tém, pozwala na wiele: czy *grunt* rzeczy ma ten przywilej? zobaczymy!... zdobądźmy się tylko na odwagę!...

Wolność, mówisz pan w pierwszej satyrze twojej: *Curée...*

Wolność, to nie hrabina dostojnego rodu,
Jak te panie z przedmieścia świętego Germana,
Co słabnie i omdlewa z błałego powodu,
Na licach wybielona i poróżowana:
Ha, to krzepka niewiasta!...

Tu pan dyrektor przerwał nagle, spuścił oczy jakby ze wstydu, i jak z procy przeskoczył do ostatniego wiersza:

Lica jój śniade, krok przyśpieszony,
Płomieniem oko błyska z pod brwi,

Da się uściskać tylko ramiony,
Gdy ubroczone w czerwonej krwi!

„Taka wolność—zawołał p. Saćy—nie jest moją ani też twoją paniel! Przez omyłkę łatwą do wytłumaczenia w czasie kiedy pisałeś, w myśli twojej była rewolucya, gdy z pod pióra wybiegła wolność!

„A teraz wykażę dowód niepodległości ducha twego. Podo-
bało ci się—było to w r. 1831—uderzyć gromem klątwy w postać
wielkiego olbrzyma czasów nowoczesnych, w postać opiewaną przez
najpopularniejszych poetów, w postać Napoleona! Satyra twoja
Bożyszcze (Idole) więcej może porywa niż inne; w żadnej nie
okazałeś tyle poetycznej werwy: rzekłby kto, że słowa buchają
same z duszy twojej, jak gorąca lawa wulkanu. A więc muszę ci
oddać słusność, tę słusność której serce poety nie powinno było
odmawiać wygnańcowi z św. Heleny, gdyby nawet serce obywatela
wyłamało się z praw wdzięczności dla bohatera Austerlitz, Wagram
i Marengo! Tak jest, oddaję ci słusność! Byłeś okrutny i gwał-
towny w namiętnych pociskach twoich, lecz okazałeś odwagę i nie-
podległość, rzucając wbrew ziomkom opinią, raniącą wtedy uczu-
cia narodowe w sposób najdotkliwszy. Francya wiele przebaczy
w obec chwały,—wszystko przebaczy w obec nieszczęścia! Szla-
chetna *Klacz*, że użyję poetycznego twego porównania, widząc
powalonym na ziemię tego, który ją wiódł do tyłu zwycięstw,
stała ze spuszczoną smutno głową, i niepamiętna stoczonej krwi
i stoczonego potu, roniła nad pokonanym bohaterem te wielkie
łzy, które Wirgili tak wybornie odmalował:”

Opuszczamy wiele innych kolących ustępów z mowy p. Saćy,
przytaczamy tylko jej zakończenie, jako próbkę owęj retorycznej
dyalektyki co chwilę cukrującej gorzką pigułkę.

„Podajmy sobie rękę; sprawa między nami skończona. Miłość
literatury usposabia serca do jedności i zgody. Żywo ja oceniam
twoją poetyczną zdolność. Należysz do rodu Juvenalisów, Gilbertów
i nieśmiertelnych Chenierów. Nikt zapewne szukając w wiejskiej
ciszy spokojnego wytchnienia, nie zabierze z sobą Jambów twoich,
jak zabiera Horacego i Lamartina. Nikt nie będzie ich czytał
w kole rodziny przy ognisku, nie czerpnie z nich pociechy w dniu
boleści. Ludzie czytać je będą aby utwierdzić się w dobrém, bu-
dząc w sobie odrazę ku złemu. Książek tego rodzaju nie wiele
nam potrzeba; choć i te potrzebne w małej liczbie. Twoja, po-
trzebną była w czasie kiedy ją ogłosiłeś. Ona to od dawnych
lat natchnęła mi dla ciebie panie wysoki szacunek. W nowych
stosunkach koleżeństwa, do szacunku przyłączyło się prawdziwe
uczucie; a dzień w którym mam zaszczyt przyjmować cię w imieniu
akademii, zostanie bezwątpienia w mojej pamięci jako jeden z naj-
milszych w życiu!”

Te słowa ostatnie prawdziwém są urągawiskiem: przez taki
to ogień czyscowy wszedł poeta w grono nieśmiertelnych!

Dlaczego to pan Dyrektor cytując z taką ironią wiersze, których dokończyć nie śmie w obec świetnego zgromadzenia, dlaczego to pytamy nie uwydatnił według ich wartości tych poematów Barbiera, które tchną duchem wysoko chrześcijańskim, rodzinnym i obywatelskim, jak: *Pieśni cywilne i religijne*, *Ody*, *Syhoj* i t. p. Złatwo to odgadnąć. P. Barbier nie jest wprawdzie Napoleonistą, ale pomiędzy panem Saćy a autorem Jambów, stoi *pot de vin*, satyra wymierzona przeciw rządowi Ludwika Filipa. Ta to satyra sprawiła, że Barbier stał przeszło rok u zawartych bram akademii, które nie chciały się przed nim otworzyć, lubo już był zaproszonym do uczonego grona, dzięki zabiegom dwóch przyjaciół: Laprada i Légououega.

Barbier jest niewątpliwie jednym z pierwszych żyjących dziś poetów we Francji. Wiersz jego niesłychaną ma siłę. Mnóstwo ustępów z Jamb, i innych poematów, Francuzi umieją napamięć. W tym roku wyszły *Jamby i poemata*, w dwudziestym pierwszym wydaniu, co samo przez się przemawia już o ich popularności. Pod nazwą Jamb podciągnął poeta wszystkie utwory satyryczne, w których przemaga liryzm. W tém odstąpił od klasycznej formy greckiej, która wymaga w Jambach wierszy 12 i 8 zgłoskowych, przeplatanych naprzemian.

Dołączamy w przekładzie trzy ustępy z pomatu *Lazare*. Poeta podejmuje w nim sprawę ludu angielskiego, pogrążonego w nędzy i ciemnocie, gnębiętego pracą nad siłą. Każdy ustęp tworzy osobną całość.

L O N D Y N.

Niezmierzona to przestrzeń, skrzydełby nie stało
 Jaskółce, by przez dobę przelecieć ją całą.
 Zdaleka, niby opok granitowe złomy,
 Widzisz gmachy, pałace, pomniki i domy:
 Znać wieki je bez ładu naniosły w stolicę.
 Górą sterczą kominy, przemysłu dzwonnice,
 Z paszczą wiecznie rozwartą... szeroko, przez którą
 Z gorącego kadłuba dym wali się chmurą.
 Widzisz strzały gotyckie jak w niebo wybiegły
 Przez tumany mgły szarój po nad góry z cegły;
 I tę rzekę falistą co swe brudne męty
 Przetacza wśród pagórków bystremi zakrętą:
 Straszna, jak Styx piekielny; czy widzisz, brzeg z brzegiem
 Łączą mosty na palach olbrzymim szeregiem,
 Jak Rodyjskie kolosy; pod łuk ich w swobodzie
 Wpływają lasem masztów okręty i łodzie.
 W świat roznosi szeroki ta fala cuchnąca
 Płody pracy wytrwałej narodów tysiąca.
 Widzisz one warsztaty i sklepy, co chłoną
 Wszystkie ziemi bogactwa w swe potworne łono;

Widzisz, jak na tém niebie kłęby chmur się kupią,
 Jak słońce na świat patrzy ztąd źrenicą trupią,
 Lub strutemi wyziewy zasnułe w około
 Wychyla z pod całuna chorobliwe czoło.
 Widzisz, jak w tym szalonym ziemskich brudów steku,
 Zwolna iskra płomienna zagasa w człowieku,
 Tłum zanurzony w ciemnocie złych popędów słucho,
 Garścią chwyta za złoto, a zatracza ducha!

GÓRNICY Z NEWCASTLE.

Niech drudzy swobodnie na jasnym gór szczycie
 Powiewy czystymi pierś poją w zachwycie,
 Niech czoło im słodkim spokojem tchnie;
 Niech wiatr im pomyślnie dmie w żagiel wydęty,
 I niesie ich lekko przez gorzkie odmęty,
 I błogo w uroczym kołysze śnie.

Niech drudzy porankiem wesoło zbudzeni
 Napoją wzrok blaskiem złocistych promieni,
 Gdy słońce oblicze otrząśnie z chmur;
 Niech drudzy pod cieniem domowej zagrody
 Swobodnie pracują na łonie przyrody,
 Gdy śpiewny skowronków gwarzy im chór.

Oh! lekko szczęśliwym snuć wątek żywota,
 Gdy gwiazda z kołyski przyświeca im złota,
 Pod stopą gdy wonny rośnie im kwiat!
 Snać z ręki ojcowskiej co ziemię obdziela
 W całuny żałoby i wieńce wesela,
 Puścizną wybranym dział dobry padł.

Nam brodzić przypadło w ciemnościach bez końca,
 I nigdy promyczek nie padnie nam słońca,
 I wleczm dni smętne w śród ciężkich prób;
 Bo ledwieśmy stopą stanęli na ziemi
 Ztroczyła nas nędza powróśli twardemi
 I żywcem w ohydny wtrąciła grób.

Wielkiego narodu górnicy niestety!
 Po norach wilgotnych my żyjemy jak krety,
 Żelaznej motyki nie puścim z rąk,
 I wiecznie gdy węgiel kruszymy nią czarny,
 Niesyta śmierć łupu jak puszczyk cmentarny
 Nad głowy naszemi ulata w krąg.

O! biada młodemu, gdy ufny jak dziecko
 O kamień się wesprze, a kamień zdradziecko
 Poniesie go w czarne przepaści dno;
 O! biada starcowi z niepewnym już krokiem,
 Gdy woda gwałtownym wybuchnie potokiem
 I powódź na wieki pochłonie go!

O! biada śmiałkowi co w żywym tym grobie
 Zbawczego kagańca nie znajdzie przy sobie,
 By duchów nieczystych zażegnać gniew;
 Bo nie śpi tam szatan w téj strasznej pomroczy,
 Wnet siną mu parą zaświeci przed oczy
 I w żyłach kipiącą zamrozi krew.

O! biada nam wszystkim w tym czarnym odmiecie,
 Choć człowiek wypełnia powinność swą święcie,
 Godziny on jednej nie pewien tu!
 Stańło mu w myśli dzieciątko i żona,
 Wtém młotu odgłosem opoka strącona
 Znienacka na głowę runęła mu!

My przecież to biędni, my cienie milczące,
 Wzruszamy tajemnie tych sprężyn tysiące,
 Co ludzkość niebawem pchną w nowy tór;
 Potężny przemysł! w postępu to imię
 Wprawiamy w ruch twoje ramiona olbrzymie,
 Tym skarbem z podziemnych dobytym nór.

Nasz węgiel w kotliskach porusza te wary,
 Nim party parowóz w dalekie obszary
 Po szynach jak lotny pomyka ptak;
 Nasz węgiel twe statki po morzach tak pędzi,
 Że rychło Albionie na świata krawędzi,
 Ukażą się barwy twych pysznych flag.

Nie naszém-że dziełem on blask twój korony,
 Że przed nią świat czołem uderza zdumiony,
 Nie nasz-że to z ziemi wydobył trud,
 On węgiel, co hojnie tnie złote pokosy
 Tym lordom zuchwałym, gdy nagi i bosi
 Robotnik bez chleba mrze u ich wrót.

Do sądu Twojego wołamy téż Paniel
 Nie o to byś rozwarł bezrzędu otchłanie
 I szlaki krwawemi pchnął stary świat;
 Z wielkimi do rady nie zasiąść nam społem,
 Niech oni ten ciężar dźwigają z mozołem
 Jaki im z Twój woli na barki padł.

Błagamy Cię tylko my syny niedoli,
 Ty łaski Twój cudem, zmiękcż Panie powoli
 Te serca nie ludzkie, twarde jak gład;
 Niech prawda im błysnie przez tuman mgły bladój:
 Ze skoro zbutwieją świątyni posady,
 Gmach runie, wszystkich przytłoczy wraz!

WZGÓRZA ERYNU

W dniu gdym pożegnał moich ojców ziemię,
 Wzgórków Erynu czarodziejski cień,
 Na pierś tęsknoty upadło mi brzemię,
 Gdzież tych ożywczych zaczerpnąć już tchnień?
 Wszystko tam cudne i on strumyk wązki
 Co skrapia łękę przez szczeliny skał,
 Rosa, co srebrzy rankiem drzew gałązki
 Tychżebym czarów ja przepomnieć miał!

Przecież my biedni półnago i boso
 Na pomost hurmem tłoczemy się wraz,
 Niech okręt fale daleko poniosą,
 Tam lepsza dola może spotka nas.
 Nędza tu nasze opustosza ściany,
 Tu głód nas morzy w pośród własnych pól,
 W mróz nam odzieżą dziurawe łachmany
 Których angielski nie doniszczył mól.

Czemuż to drudzy plon jedzą bogaty
 Z posiewów naszych gdy my cierpim głód?
 Dlaczego drudzy tkają miękkie szaty
 Z bieluchnej wełny naszych licznych trzód.
 Ziemiaż-li matka mlekiem nie wyżywi
 Dziatwy zrodzonej z krwi jej własnych żył?
 Z obcego łona czemu nieszczęśliwi
 Musim do życia czerpnąć nowych sił?

Dawno wiatr zbudzon pod złowrogą gwiazdą,
 Pcha nasze łodzie wśród bezbrzeżnych mórz,
 Dawno grom bije w nasze stare gniazdo
 Czyniąc tę ziemię krajem wiecznych burz!
 Gniew i pogarda niby grad szalony
 W te żyzne pola wiecznie tną a tną,
 Miałżeby w końcu nasz Eryn zielony
 Stoczyć się w chłodne oceanu dno?

Szczęśliwe trzody! dla was koniczyny
 Kwitną w rozdołach u stóp naszych gór,

W cienistych lasach szczęśliwe ptaszyny,
 O rannój rosie wam zawodzić chór!
 Z łąki skoszonej woń siana tam bucha
 Z trawą kryniczny pogwarza tam zdroj,
 Nad wodą kwitnie szczawik i rzeżucha:
 Jak cię zapomnieć ach Erynie mój!

Rok ten pomyślny był dla Teatru francuzkiego. Po świetném wystąpieniu Manuela z dramacikiem *Robotnicy*, który przyjmowany z gorącym zawsze poklaskiem, doczekał się jakich sta przedstawień, rozległy się w tych dniach o ściany tegoż teatru, imiona dwóch nieznanuych dotąd autorów: pp. Amiques i Desboutin. Wystąpili oni z wielkim historycznym dramatem w pięciu aktach, osnutym na romantycznych przygodach marszałka Francyi Maurycego Saskiego.

Jeden z autorów p. Amiques ceniony jako dziennikarz, nie dał się dotąd wcale poznać jako poeta. Drugi p. Desboutin, zamieszkały od kilku lat we Florencyi, pracuje na polu artystyczném, zajmując się na przemian pędzlem albo rylcem. Sądzimy że ten ostatni jest rzeczywistym autorem dramatu. P. Amiques lepiej może obznajmiony z tajemnicami dzieł teatralnych, dopomógł mu zapewne w układzie scen, i ztąd położył imię swoje przy imieniu poety. Jest to nasz domysł; opieramy go na tém, że utwór nosi wyraźną cechę jedności, pod względem pomysłu i wykonania. W prozie taka spółka prędjéj musi się udać; wiersz tymczasem, zwłaszcza wiersz tak silny i oryginalny jak w powyższym utworze, musiał koniecznie wypłynąć z jednéj myśli i z pod jednego pióra.

Nie pierwszy to raz, owa rycerska postać Maurycego pojawia się w dramacie. Scribe podniósł ją przed trzydziestą kilku laty; następnie Lègouvè nadał jéj większy jeszcze rozgłos, w *Adryannie Lècouvreur*, wsparty talentem Racheli i Ristori. Dzisiejsi autorowie, korzystając z nowych szczegółów biograficznych, wydobytych z pomroku przez uczonego René Taillandier, wprowadzili do dramatu ciekawe szczegóły tyczące się ostatnich chwil bohatera.

Postać marszałka samodzielnie występuje na tle XVIII wieku. Syn Augusta II króla polskiego, i Aurory Königsmark, należy do rzędu owych awanturnicznych bohaterów, których przeszłość przedstawia śmiałe typy w Wallensteinie, don Juanie z Austrii, a których niejako odbiciem byli nasi Beniowski i Dzierżanowski.

Dumny i dzielny Maurycy, zrodzony u podnóża tronu, a jednak pozbawiony wszelkich praw, postanowił zdobyć je ostrzem zwyciężkiéj szabli. Całe życie zbiegło mu na zuchwałych przedsięwzięciach, i śmiałych zamysłach, których przyszłość w rzeczy urzeczywistnić nie miała. Jak orzeł za łupem, on gonił za koroną. Przebiegając z jednego pola bitwy na drugie, sądził nie raz, że pochwy-

cił w dłoń przedmiot gorących pragnień; korona przecież, istna *fata morgana*, wymykała się z rąk dumnego zapaśnika. Napróżno gonił za nią w Kurlandyi, daremnie kołatał o godność wice króla Flandryi: bezskutecznie. W późniejszych latach darł się na tron w Tabago. Z niezliczonych przygód i zwycięstw, pozostała mu tylko aureola sławy, której wieki nie zgaszą, nad czołem bohatera Pragi, Rancour i Fontenoy.

Strącony ze szczytu dumnych marzeń, Maurycy Saski w pięćdziesiątym roku życia zamieszkał nad Loarą, w zamku Chambord. Odwieczne to gniazdo Walezuszów, otoczył działami, zabraniami pod Fontenoy, przystroił w chorągwie zdobyte pod Laufeld. Trzymał przy boku straż prawdziwie monarszą, złożoną z pułku ułanów i dragonów. Jego dwór składało liczne rycerstwo; w braku wojny uganiał jelenie i odyńce po lasach. Wieczory rad spędzał w teatrze, który utrzymywał w zamku. Słowem żył jak król, bawił się jak król, a zalotny jak Henryk IV, zatapiał nieraz orle szpony w sercu bezbronnych ofiar.

Przez długi czas mniemano że Maurycy umarł spokojną śmiercią, w onym zamku Chambord, kędy przeżył lat kilka po królewsku, ostatnie dopiero badania Taillandiera, oparte na pośmiertnych pamiątkach Grimma, a bardziej jeszcze na żywej tradycji miejscowej, wykazały że marszałek zginął w pojedynku z ręką księcia Conti. Skon podobny w rzeczy samej w większej jest harmonii z życiem rycerskiego męża, niżeli zwyczajna śmierć na łożu. PP. Amiques i Desbautin, stosownie do tej wersji przecinają pojedykiem dni bohatera swego.

Pierwszy akt zaczyna się w obozie pod Rancour, ostatni kończy w Chambord. Dramat obejmuje więc cztery lata, (1746—1750). Maurycy poległ w 54-tym roku życia, w chwili gdy sława jego najżywszym zapromieniowała blaskiem.

Do licznych ofiar zalotnego rycerza, historia stawia obok Adryanny Lecouvreur, inną aktorkę, równie młodą, równie piękną, Justynę Favart, żonę aktora-poety, słynnego w swoim czasie.

Pieśni Favart'a przetrwały do dziś dnia w pamięci Francuzów. Był on niejako poprzednikiem Berenger'a. Postać to równie awanturniczka w szczupłym zakresie swoich działań, jak nią był marszałek saski na wielką skalę Favart dyrygował operą komiczną w Paryżu; wówczasto poślubił primadonnę swojej opery piękną pannę Chantilly; ta mimo sypanych jej wieńców, mimo zdobytego rozgłosu, oddała wraz z ręką serce czyste i niewinne temu, któremu poślubiła wiare przed ołtarzem.

W skutek współzawodnictwa i intryg dyrektorów opery włoskiej, odebrano Favart'owi zarząd jego teatru. Zmuszony opuścić Paryż, obiegał kraj z garstką wędrownych aktorów. Maurycy Saski wezwał go do obozu pod Rancour, chcąc wesołą rozrywką podtrzymać ducha w wojsku swoim.

Akt pierwszy, powtarzamy, rozpoczyna się w Rancour o brzaśku dziennym. Słońce wschodzące jasno, oświeci jeden z najchl-

bniejszych dni w życiu sławnego wodza. Nienawistny mu książę Conti przyciąga z wojskiem z po nad Renu. Gniew jego wybucha z całą gwałtownością.

Favart tymczasem mieści się w młynie z garstką wędrownych aktorów, piękna Justyna wpada w oko Maurycemu; ale nieugięta w poprzysiężonej wierze, odtrąca jego miłość. Wprawdzie urok sławy marszałka saskiego, działa mimowoli na sercu kobiety, porywa silnie jęj wyobraźnię. Im większe niebezpieczeństwo, tém zaciętsza walka, tém wytrwalszy jęj opór. Nie widząc innego sposobu, ścigana gołąbka zdobywa się na odwagę: bądź co bądź uciecze przed jastrzębiem.

Gdy się to dzieje, książę Conti, otoczony gronem stronników, spotyka niemniej licznych stronników marszałka. Wśród przyjaciół Maurycego, wiedzie rej hrabia Froulay, obok występują markiz Valfons, hrabia Frixe i Beauvaux. Przy księciu Conti ukazują się: książę Clairmont, Lafare i Beaujon, intryganci dworscy. Sam Conti cierpki, gorzki, nie umie trzymać języka za zębami; szydzi z rodu marszałka, zowie go kondotierem, dowódcą niemieckim na żołdzie Francyi.

Stary Rejtar ze straży Maurycego, Babusch marszczy brwi, odtrąca kufel, ociera z piwa długie wąsy, i śmiało ujmuje się za nieobecny panem.

BABUSCH.

Książę! jako żywo
Dwadzieścia cztery godzin ja pić mogę piwo,
Lecz nie tracę pamięci; i bić się téż mogę
Dwadzieścia cztery godzin! a gdy pora w drogę,
Maszeruję czterdzieści tam, gdzie iść potrzeba.
Ale już od kwandrana, niech mi świadczą nieba
Miara méj cierpliwości przebrała się całkiem
Na tych, co się tu ważą pomiatać marszałkiem.

CONTI.

Błazen!

BABUSCH.

Nie trwóż się panie, znam polor światowy,
Szklenica mi rozumu nie wybiła z głowy;
Jasno jeszcze dostrzegam, okiem niezamgloném
Ten kapelusz potrójnym opasan galonem
I z twych panie tytułów uznaję w téj dobie
Cześć, jaką twęj książęcęj winienem osobie.

CONTI.

Czego chcesz?

BABUSCH.

Chcę powiedzieć że boli mnie serce
 Gdy drwią z mojego pana francuzcy szyderce:
 Syn hrabiny Königsmark, gdyby też nic więcéj!
 Nie zgasnąć mu przy Contich koronie książęcój.
 Bo imie Königsmarków lśni chwałą nie lada,
 Nie śmi go blask purpury twojego naddziada.
 W tysiąc sześćset czterdziestym piątym roku, oto
 W Wormancyi wasz Turen ległby ze sromotą.
 Kto ocalił Turena? ha! Königsmark stary
 Co Gustawa Adolfa wiódł niegdys sztandary.
 A inny Otto-Wilhelm świecił blaskiem nowym,
 Przy Turenie marszałkiem wszak był obozowym,
 I pułkiem cudzoziemskim on dowodził z chwałą,
 A król szpadą rycerza uczył okazał.
 Potém na Turecczyźnie gdy za sławą goni,
 Poległ skone m walecznych z bisurmańskiéj dłoni.
 A Jan-Karol Königsmark wart lepszego losu
 Padł trupem pod murami starego Argosu,
 Olbrzym jak te Homera sławne bohaterzy,
 W sprawie Rzymu, acz Lutra wyznawca tak szczery,
 Z wiernymi katoliki wytoczył krew społem:
 Przed ostatnim z Krzyżowców uderzył wam czołem!

Waleczny Maurycy szczep dzielnego rodu,
 W ślady wielkich naddziadów szedł wiernie od młodu;
 W nowe blaski przyodział ich przesławne imię:
 Poczcijcież wy umarłych w tym żywym olbrzymiel!

CONTI *z gniewem.*

Dość już tego! ta mowa zuchwała co znaczy?
 Mnie z innym a nie z tobą rozprawić się raczój!

I książę Conti szuka rozprawy z Maurycym; ale zagrzmiąły trąby, słyhać bojowe hasła. Marszałek zawiesza rozprawę, czuje bowiem całą odpowiedzialność jaka ciąży na jego głowie. On tu naczelnym wodzem! Wtém odbiera wieść o nagłej ucieczce Justyny. Uniesiony gniewem, zapomina się chwilę. W obec nieprzyjaciela, nie widzimy już marszałka Francyi, ale zropaczzonego kochanka. Chce w lot pospieszyć za nią. Nagle ryknęły działa. Wrzawa wojenna wytrzeźwia go z obłądu. Krew kipi w dzielnej piersi: uderza na armaty!...

Cały ten akt, pełen życia i ruchu, przypomina szyllerowskiego Wallensteina: akcja rysuje się, charakterzy silnie występują.

Następny akt odbywa się w Paryżu, podczas opery. Scena przedstawia łożę Justyny. Conti i inni panowie dworscy szydzą

uszczypliwie z Maurycego; powtarzają złośliwe wiersze wymierzone przeciwko niemu. Tryumf zwycięzcy budzi powszechną zawiść. Oburzona Justyna wyprawia wszystkich z łoży. Ledwie wyszli jawi się Favart.

Biedny Favart uciekł z Bruxelli. Ścigany za długi tułał się po różnych miejscach. Nie widząc innego środka ratunku, żąda usilnie od żony, aby korzystając z wpływu swojego nad marszałkiem, prosiła go o zaspokojenie tych strasznych długów które nie dają mu odetchnąć. Żądanie to tém słuszniejsze, iż Maurycy winien mu jeszcze kwotę za owe przedstawienia w Rancour. Justyna szarpana na wszystkie strony sama nie wie co czynić.

Wtém dowiaduje się Favart że marszałek postanowił porwać Justynę, po skończoném widowisku. Wszystko już obmyślono w tym celu, słudzy porozstawiani, karetą czeka... Favart uniesiony gniewem i rozpaczą, zamierza śmiały krok. Przy pomocy przyjaciół, urządza naprędce owacyą na cześć zwycięzcy z Rancour.

Skoro marszałek wskoczył do karety, zaczęm słudzy zdążyli przyprowadzić Justynę, podniecony lud wyprzęga konie, tłum wlece tryumfatora w progi jego pałacu. Justyna tymczasem korzystając z zamieszania, ucieka po raz drugi. Favart ucieka także.

Schodzą się razem w domu plebana wiejskiego Briffant, gdzie się rozpoczyna akt trzeci. Favart przybywa najprzód z towarzyszem, wkrótce nadbiega Justyna z drugą aktorką. Pocziwy pleban nie śmie odmówić im przytułku, pomimo skrupułów sumienia. Dawny to znajomy Favart'a, niegdyś towarzysz szkolny.

Marszałek wysyła w pogoń za zbiegami, swoich zbrojnych Rejtarów; poruszył on wszystkie sprężyny: zaledwie że Justyna schroniła się do plebanii, urzędnik sądowy wzywa ją w imię prawa. Favart wybucha szalonym gniewem. Odwołuje się do kapłana, wzywa sprawiedliwości Bożej przeciwko gwałtom.

FAVART DO BRIFFAUT.

O tak! ta Nessusa szata,
 Śmiech i szal, zwodną maską kryje w obec świata
 Krzyk rozpaczy, co pieśnią wybiega nam z duszy.
 Brzydzisz się mną!... wszak prawda?... mój los cię nie wzruszy!
 Wypchnij mnie... kopnij nogą... pluń mi w oczy śmiało!
 Zwij błaznem, arlekinem. ludzkości zakałą,
 A gdy pójdę z tych progów... Ojczel! na kolana!
 Przed Chrystusem na krzyżu, błagaj za nas Pana,
 Módl się za świat on teatr, co we krwi i pyle,
 Gra na seryo jarmarczne nasze krotochwile!

BRIFFAUT.

Zostań ze mną!

FAVART.

Nie mogę!

BRIFFAUT.

Mój synu kochany!

Zdrój współczucia wytryska z téj piersi wezbranéj
 Ku tym biédnym, co śmiechem słońią łyż boleści,
 Których kościół potępia, których świat bezcześci.

z głębokiém poruszeniem.

Przed chwilą kiedy rozpacz przebodła twe łono,
 Nie pewien czy pod moją czaszką postrzyżoną
 Nie dopatrzysz się trupa, pytałeś czy jeszcze
 Krzywda biédnych w méj piersi budzi gniewu dreszcze.

podając mu rękę.

Weź tę rękę, mój synu, weź tę rękę ciepłą,
 Co leczy serca chore, budzi wiarę skrzepłą,
 I w imieniu Chrystusa tarczą łaski słońi.
 Czujesz-li jak ta ręka zadrżała w twéj dłoni?

(wskazując Favart'a i aktorów)

O! smętni słudzy bożka swawoli i szalu!
 Nienawidzę ja siłą waszego zapału
 Onéj dworskiéj gawiedzi, co się butnie waży
 Kraść żony wam biedakom od stopni ołtarzy.
 Ja kapłan, przepowiadam, że chwila już bliska,
 A słaby przeciw mocnym swe prawa odzyska.
 Tak, już kiełkuje ziarno téj szalonej burzy,
 Grom wzbiera, w krwi powodzi wnet świat się zanurzy,
 Ugięci pod brzemieniem niedoli wiekówéj,
 Podniosą biedni z prochu potarżane głowy,
 Wykołysan w marzenia ciszy tajemniczéj
 Lwim porykiem brzmi zdala straszny hymn goryczy,
 Słusznego gniewu niebios miara dopełniona!
 Bóg ich skazał.

FAVART.

Bóg zacznie—lud reszty dokona!

Dwa ostatnie akta przenoszą nas do Chambord. Maurycy Saski przepychem dworskim, ucztami, szalonym wirem zabaw usiłuje zabić nudotę, i srodze ciężącą mu bezczynność. Dręczy go pycha zawiedziona, wspomnienie Justyny zakrwawia mu serce. Złowrogie przeczucia, niby czarne sępy, krążą nad głową smętnego bohatera.

Posłuchajmy jego monologu, na chwilę przed zjawieniem się nieprzebląganéj Nemezis, w postaci księcia Conti.

MAURYCY.

Tak, chwila już bliska.
 Pod tym ponurym dachem starego zamczyska
 Czekam gościa, i ucztę gotuję tu nową
 Dla nas dwóch... wielką ucztę—

(Po chwili milczenia)

Po nad moją głową
 Kołyszą się wspomnienia, jak ptaki cmentarne,
 Czasy ubiegłe w przeszłość, dni zgryzoty czarne,
 Dni nudów, zniechęcenia, dumy zawiedzionej,
 Jednodniowych miłości, zawiści szalonej.
 Wkrąg ponurych widziadeł horowód się tłoczy,
 Widma, z lat mojej nawet młodości uroczeń!
 Z różnych stron, z różnych krajów, w miarę jak je liczę
 Poznają na ich czole piętna tajemnicze;
 Piętna bólu i sromu; dążą ku mnie prosto.
 Wódz ich, los niezblągany, napędza je chłostą,
 Stańcież wkoło szeregiem wy, mary złowieszcze!
 Ha! niechże oko w oko spojrzę wam raz jeszcze,
 Ostatnim mnie pokłonem uczcijcież na wieki,
 Świadki dni pogrzebanych w przeszłości dalekie!

(z niespokojnością)

Zkąd ten robak tak krwawo wżarł się w łono moje?
 Nieraz, gdy mnie duch czarny wyzywał na boje,
 Kiedy wichry w przelocie jego skrzydła siekły,
 Ledwie hasło posłyszał, rwałem się jak wściekły.
 Zkąd ta płonna obawa nie znana mi z młodu?
 Przecz serce mi stężało—istna bryła lodu?
 Czemu? ha! kto odgadnie tajniki żywota!
 Bo u kresu dni naszych są żelazne wrota,
 Co widnokrąg przed nami zamykają nagle.
 Gdy myśl po nim rozwija lotnych pragnień żagle.
 Czemu? Ha! bo spustoszał dla mnie świat szeroki:
 Wnet go rzucę, a nie wiem kędy zwrócić kroki,
 Czemu? bo ten co rychło stanie przed mym progiem,
 Nie jest-li ślepych losów narzędziem złowrogiem?
 Prostym ich wykonawcą, mieczem co uderza
 Konieczną party siłą bez woli szermierza,
 Żywot mój dopełniony, kres już niedaleko,
 Cóż losy dać mi mogą? chyba trumny wieko!

W tej chwili daje się słyszeć turkot na dziedzińcu zamkowym. Przybywa Conti... syn dawnego wroga, który po ojcu odziedziczył nienawiść ku Maurycemu. Nienawiść tę podniecał Favart. On to wygrzebał z prochu zapomnienia dawną miłość marszałka do jego matki; on kierował ramieniem księcia, on użył go za narzędzie własnej pomsty.

Justyna pochwyciła sieć intryg. Przybiegła uwiadomić Maurycyego o grożącym mu niebezpieczeństwie. Ocalić go, nie było w jój mocy.

Dwaj zapaśnicy występują do walki. Maurycy pada ugodzony śmiertelnie. Justyna przybiega bez tchu. Widząc go we krwi pada u głów konającego. Rozpacz wyrwa z jój ust pierwsze i ostatnie wyznanie.

Tu pojawia się Favart.

Polegli!—woła patrząc na trupa.— Jam go zabił! sam tego chciał.

I podnosi z ziemi pół omdlałą Justynę.

Chodźmy ztąd co prędzej.

Musim poddać oboje kark pod jarzmo nędzy.

Cień tego umarłego serca nam rozdziela....

Hal by świat bawić pieśnią, potrzebaż wesela?

Dramat przyjęty był z zapalem. Świetna wystawa i wyborna gra artystów przyczyniły się nie mało do powodzenia sztuki.

Ciż sami autorowie wykończają nowy dramat wierszem w pięciu aktach p. t. *Ali Pasza*.

Świat naukowy paryzki żywo zajmuje się odkrytymi arenami, o których wspominaliśmy niedawno. Towarzystwo Numizmatyczne i archeologiczne, w dniu 1 czerwca wyprawilo wielki bankiet na cześć tego, tyle ważnego dla historii odkrycia.

Na wezwanie p. Ponton d'Amecour prezesa Towarzystwa, zebrali się członkowie Instytutu, Eichhoff, Renan i inni uczeni archeologowie, jak Henri Martin, księża: Moigno i Michon; przedstawiciele dziennikarstwa: Mauselet, Fournier, Ulbach, Ulryk i Wilfryd Touvielle. Ciało prawodawcze przedstawiał Glaise Bisoin.

O pół do siódmej wieczorem, ośmdziesiąt zaproszonych osób zgromadziło się w arenach, gdzie ksiądz Michon, z zapalem uczonego antykwaryusza, przedstawiał im nowe spostrzeżenia swoje o ważności tych wykopalisk.

Łoże gdzie trzymano dzikie zwierzęta, przetrwały dotąd nietknięte, zarówno jak mur opasujący areny. Dwie trzecie części tego muru pokryte jeszcze ziemią. Aby je wydobyć, trzeba zburzyć klasztor zakonnic zbudowany na wzgórzu.

Muzeum urządzone przy arenach staraniem Towarzystwa Numizmatycznego, zapełnia się coraz to większą liczbą ciekawych przedmiotów: widzimy tam kosztowne ozdoby niewieście i ważne zabytki ceramiki gallo-rzymskiej. Największą osobliwość tego zaimprovizowanego muzeum, stanowi olbrzymi szkielet ludzki, wysoki na siedem stóp. Jedni widzą w nim gladyatora rzymskiego, może Dała lub Słowianina, drudzy chcą dopatrzeć w nim Galla,

inni wreszcie mienia go Frankiem. Ci ostatni opierają się na tém, że przy głowie wykopanego olbrzyma znaleziono urnę, którą biegli ceramicy odnoszą do wieku IV. Henri Martin utrzymuje, że mógł to być jeden z towarzyszków Klowisa. Wódz ten, pan Soissonu, w częstych napadach na Lutecyą, zatrzymał się zapewne w arenach, które jako położone opodal od grodu, nie mogły być bronione przez obleżonych.

Oprócz tego olbrzyma jest tam kilka innych szkieletów. Uderzają w nich członki powykrzywiane, jak gdyby pomarli w okropnych katuszach, niektórzy widzą w nich szczątki chrześcijańskich męczenników.

Areny zasypane były ziemią, naprzód za czasów Chilperyka, a następnie w kolei wieków, narzucane nowemi pokładami, z czego urosł dość wysoki pagórek.

Uczta odbyła się w pobliskim ogrodzie, ofiarowanym na ten cel przez właścicielkę pannę Savard. W czasie uczty prezes otrzymał depeszę telegraficzną z Londynu. Sir Good Stuff, uczony archeolog i członek parlamentu, pięknym wierszem wyraził życzenie, aby areny mogły być zachowane. Wierszem téż zaimprovizowanym naprędce odpowiedział mu obecny Edward Fournier. I wiersze i mowy przy toastach, krążyły około tematu *Arenae servandae!*

Do najznakomitszych należało przemówienie księdza Michon, który udowadniał, że areny nie były pomnikiem rzymskim, ale że je zbudowali starożytni Gallowie, praojcie dzisiejszych Paryżan.

Po bankiecie, towarzystwo przeszło znów do aren, oświetlonych ogniem elektrycznym i bengalskim. Szkielety i całe ruiny dziwnie fantastyczny przedstawiały obraz. Tłumy przyglądały się ze wzgórza i pełnym zapału okrzykiem, objawiały współczucie dla uczonych. Była to manifestacya ogółu na rzecz zachowania aren. Potrzebny to objaw, gdyż stronnictwo *ludzi praktycznych*, żartuje sobie ze starych murów, nie przywiązując do nich żadnej wagi. Opozycya ich tym większa, że tu idzie o znaczny wydatek na zakupienie ziemi i utrzymanie odwiecznego pomnika.

Dwadzieścia sześć towarzystw naukowych z prowincjonalnych miast, podało do Izby prawodawczej prośbę podtrzymującą myśl Towarzystwa numizmatyczno-archeologicznego. Areny jak się zdaje zostaną ocalone.

W jednym naukowym Towarzystwie, Bohdan Zaleski czytał list Domejki obejmujący bardzo ciekawe szczegóły z młodych lat Mickiewicza. Domejko oddawna rektor uniwersytetu w Chili jest siostrzeńcem pani Wereszczakowej, matki owój Marylli wspomianej z takim zapałem przez naszego poetę. Marylla, jak wiadomo, poszła za Putkamera; oboje już nie żyją.

Ów odczytany list Domejki będzie ogłoszony drukiem wraz z następnemi jego listami. Ze szczegółów jakie obejmuje, do najciekawszych i najmniej znanych należy ocenienie osobistości Ma-

rylli. Ze strony fizycznój nie odznaczała się wielką urodą, oczy tylko nadwyzczaj miała piękne i wymowne. Była w jednym wieku z Adamem, lub może o rok młodsza. Różnica majątku bardzo wielka, stała się główną przeszkodą w ich połączeniu. Marylla była panną posażną, gdy tymczasem Mickiewicz nie miał nic oprócz nauki i poetycznego geniuszu. Domejko dodaje uwagę, że z pomiędzy licznych znajomych Adama, ona tylko jedna potrafiła ocenić jego podniosły umysł. Ilekroć mówiła o nim, wynosiła go jako najpierwszy geniusz wieku, wtedy, kiedy ludzie wyższych nawet pojęć, żyjąc w jego towarzystwie, widzieli w nim tylko młodego, pełnego zdolności akademika.

Matka i bracia nie przypuszczali nawet, aby Marylla mogła być zajętą Adamem. Kiedy więc młody, bogaty Putkamer, zaczął uczęszczać do domu i oświadczył się formalnie o jój rękę, wielkiem było zdziwienie wszystkich widząc wahanie się panny. Związki te bowiem, uważane ze zwyczajnego stanowiska, zdawały im się stosowne, a nawet bardzo świetne.

Przez lat dwa po zamąż pójściu, Marylla była wprawdzie wzorową żoną, wszyscy stawiali ją jako przykład; mąż tylko czuł że nie posiada jój duszy. Był to człowiek bardzo światły, najszlachetniejszych uczuć; czekał cierpliwie zmiany. Jakoż kiedy Marylla została matką, oddała się zupełnie mężowi i rodzinie. Nie ukrywała ona wysokiego szacunku dla Adama, rozgłos wzmagającej się jego sławy, bynajmniej ją nie dziwił, przeczuwała ją bowiem od lat dawnych.

Domejko opowiada w tymże liście. pierwsze poznanie Mickiewicza z Zanem. Obaj młodzi naówczas chłopcy, znaleźli się razem w przedpokoju u dziekana Mickiewicza, do którego mieli polecające listy. Za pierwszym poznaniem pokochali się szczerze. Mickiewicz przyjechawszy do Wilna, miał piętnaście rubli całego majątku. Niewiadomo czy dziekan krewnym był naszego poety. Adam utrzymywał że między nimi nie zachodziło bliskie przynajmniej pokrewieństwo. Główną protektorkę znalazł w krewnój dziekana. Weszła ona do przedpokoju w którym czekali obaj chłopcy na audyencyą, zapytała ich o nazwiska, i od téj chwili zajęła się gorliwie młodym Mickiewiczem.

Przed odczytaniem listu, Bogdan mówił o samymże Domejce. Ciekawa to i nadwyzczaj sympatyczna postać, pozyskał on piękne imię we Francyi, gdzie odbył nauki w szkole górniczej, poświęcając się wyłącznie geologii. Godność rektora jaką od lat dawnych piastuje w San Jago, z wielu względów więcej tam znaczy, niż u nas w Europie.

Domejko pracuje obecnie nad geologią Polski. Przysłał tu niektóre spostrzeżenia swoje w tym względzie. Ważne to spostrzeżenia. nie tylko dla geologów; sięgają niemniej w dziedzinę etnografii i historii. Należy on do tych uczonych, którzy tłumaczą dzieje walką wolnej woli człowieka z prawami miejscowej przyrody. Imię jego często daje się spotykać w buletynach akademii nauk.

Śmierć Dickensa jest prawdziwą klęską dla literatury angielskiej. Przez lat zgorą trzydzieści był on tém zwierciadłem, w którym przeglądały się wszystkie warstwy narodu, które powtarzało wiernie ich oblicza, nie schlebiało nikomu, ani wielkim ani też małym; nie przepuszczało żadnej zdrożności, i owszem, uwydatniało wszelkie chorobliwe narośle na ciele społeczeństwa.

Rzecz napozór dziwna, że tak nieprześlągany anatom serc ludzkich, jakim był Karol Dickens, nie obudził jednakże nienawiści, w tych nawet, w których myśli czytał jakby w otwartej książce, których chłostał biczem dowcipu swego, na których czoło przywoływał rumieniec wstydu. Zastanowiwszy się łatwo to wytłumaczyć. Dickens jeśli krajał serca skalpelem, czynił to na pożytek ułomnych braci, pragnąc gorąco uleczyć ich z zastarzałych narowów. Serce jego biło nienawiścią ku złemu, a obok tego uderzało prawdziwą miłością ku ludziom. Nie dostrzedz w nim owę drażliwą osobistość, tak dotkliwą na wszelką obrazę, tak gotowej do pomszczenia urojonych zniewag. Słowa jego siekły jak różgi, lecz nie bluzgały jadem ani żółcią.

Nie szukał on nigdy sztucznych środków do działania na nerwy i zmysły, do zaostrzania czczój ciekawości czytelnika. Jemu szło przedewszystkiem o moralny pożytek. Jeśli przedstawiał złe w całej ohydzie, to nie dlatego aby się lubować w obrazach ludzkiego skażenia, ale żeby wykazać jego szkarady, i obrazem smutnych owoców zepsucia, pociągnąć ku prawdzie, ku dobremu.

Dickens może jedyny pisarz dzisiejszych czasów, zachował ten śmiech szczerzy, serdeczny, głośny, ten swobodny wybryk dobrego humoru, co się mimowoli udziela czytelnikom. Śmiał się Dickens z głębokości serca, a tym śmiechem poruszał zarówno głębie serc ludzkich, aby tém silniej wstrząsnąć niemi, i wyrwać je z obłądu. Dickens jak Szekspir, był pisarzem czysto angielskim, lecz równie jak on, badał przedewszystkiem serce człowieka, ztąd tak wielka popularność ich w Europie.

Któż i u nas nie zna powieści Dickensa? szkoda tylko że tłumaczyć takich jak on pisarzy bardzo trudno. Nie znamy ostatnich przekładów jakie mogły wyjść w kraju, ale pierwsze jak *Nikleby*, zbyt wiele zostawiają do życzenia. Trudno zapewne tłumaczyć pisarza tak ściśle narodowego jak Dickens; nie chodzi tu tylko o dokładną znajomość języka angielskiego, potrzeba obok tego znać do gruntu miejscowe obyczaje, aby nie sparodyować autora. Nie na tém jednakże polega najgłówniejsza trudność. Potrzeba aby tłumacz dostroił nie same tylko wyrazy do znaczenia wyrazów; potrzeba aby dostroił ducha swego, i wydobył z siebie ton odpowiadający harmonijnie duchowi autora którego tłumaczy. W tém leży tajemnica dobrych przekładów.

Francuzi nie przeszli nas w tym względzie. Mają oni w tłumaczeniu wszystkie powieści Dickensa, lecz z tych jeden tylko *Dawid Copperfield*, przekładu A. Pichot, i *Mała Doritt* przekładu

Wiliama Huques, odtwarzają wiernie oryginał: inne są po prostu księgarską spekulacją.

Dickens urodził się prawie w ubóstwie. Pierwsze jego zajęcia wpłynęły znakomicie na charakter prac literackich. W młodych latach był przy adwokacie, i tu badawczy jego umysł, miał szerokie pole do poznania serca ludzkiego. Później pracował przy dzienniku radykalnym *True Sun*, następnie przy *Zwierciedle parlamentu*, gdzie poznał tajemnice polityki dziennikarskiej. Tak usposobiony wszedł do redakcji *Morning Chronicle* jako stenograf. W tym to dzienniku zaczął drukować humorystyczne obrazki swoje, które w krótkim czasie zjednały mu niestłuchany rozgłos.

Zachęcony powodzeniem jał wydawać pod pseudonimem Boza, sławny *Pickwick Club*. Jest to komiczny obraz mniemanego towarzystwa amatorów, którzy wzięli za cel badać obyczaje miejscowe, a szczególnie obyczaje ludu. Wyborne karykatury Browna bardziej jeszcze ożywiły, tę humorystyczną publikacją.

Dwie powieści: *Nicholas Nkleby* i *Olivier Twist*, wykazujące w dramatyczny sposób nędze i śmieszności społeczeństwa angielskiego, dały poznać w Dickensie genialnego pisarza. Wystąpił on jako twórca nowego rodzaju w powieściopisarstwie, jako nieporównany malarz rzeczywistego życia. Miał wtedy lat dwadzieścia pięć. Odtąd pojawiały się bez przerwy, coraz nowe utwory mistrza, przekładane w oka mgnieniu na wszystkie języki europejskie, jak: *Barnaby Rudge*, *Dombey*, *Copperfield*, *Blake House*, *Ciężkie czasy*, *Małż Doritt*, że pominiemy wiele innych. Z tych *David Copperfield*, o tyle więcej zajmujący, że jest w pewnym względzie autobiografią. Dickens przypomina tu swoje lata dziecięce, próby i prace, nadzieje i zawody młodości. Dzieło to porwało serca czytelników i w szczególny sposób spopularyzowało imię autora. U nas *David Copperfield* znany w skróconym a wybornym przekładzie F. S. Dmochowskiego.

Otoczony całym blaskiem chwały pisarskiej, Dickens odwiedził Amerykę. Z tej podróży przywiózł mnóstwo notat zestenografowanych na gorąco, pod wpływem pierwszego wrażenia. Owe notaty posłużyły mu do ułożenia wybornej powieści *Marcin Chuslewit*, wiernego obrazu amerykańskich obyczajów. Chłoczcze w nim ostro wady młodego społeczeństwa, nie przebacza nikomu, szczególnie dziennikarzom, których przedstawia jako najbezwstydniejszych szarlatanów. Mimo ostrych prawd jakie rzucał w oczy Amerykanom, nie postradał bynajmniej miru pomiędzy nimi.

Znakomity autor obok sławy, zebrał też ogromny majątek. Oprócz złota, którym wydawcy obsypywali każdy utwór jego pióra, znalazł on inne jeszcze źródło dochodu. Od kilkunastu lat urządzał odczyty swoich własnych powieści. Za seryą złożoną ze stu czytań przedsiębiorca płacił mu po 250,000 franków. Umiał on wyborne stosować mimikę do słów, a tém samém podnosił ich znaczenie. Takie odczyty budziły niezrównany zapal i w Stanach Zjednoczonych i w Anglii.

W ostatnich latach poprobował sił na polu dramatycznym i równego doznał powodzenia. W r. 1868, w paryzkim Wodewillu odgrywano jego dramat *Abyme*. Na pierwsze przedstawienie przyjechał Dickens do Paryża, lecz nie miał odwagi przyjść do loży; przez cały czas widowiska przesiedział w kawiarni drżący jak liść, z mocno bijącym sercem. Dramat ten przecież doczekał się stu przedstawień i nie małe ściągnął oklaski.

Amedée Pichot tłumacz *Copperfielda*, chcąc poprzedzić przekład dokładnym życiorysem, pisał do Dickensa z prośbą o notatki; odebrał na to dziwnie lakoniczną odpowiedź:

„Urodziłem się w Portsmouth, w hrabstwie Hampshire, 7 lutego 1812. Radbym dał panu szczegóły mego życia, ale postanowiłem sam je kiedyś opisać. Rozśmiejesz się zapewne gdy ci powiem, że nieraz czytałem moją biografią, i znalazłem w niej jedną nową, nieznane mi całkiem przygodę. Najciekawsze wyszły z pod pióra Francuzów.”

W kilka lat potem Pichot będąc w Londynie, przedstawił się sam Dickensowi. Sławny autor przyjął go z serdeczną gościnnością. W rozmowie nadzwyczaj prostej, chętniej mówił o żonie i dzieciach, niż o swoich pracach literackich. Słowa jego pełne życia przeplatane zawsze dowcipnym żartem, wyraz twarzy wesoły i szczery, budziły ufność i chwyciły za serce. Pichot doświadczył tego wpływu.

Należał Dickens do tych pierwszorzędných umysłów, które na obliczu wieku wyciskają niezatarte piętno. Dowiódł on, czém się stać może pióro w ręku powieściopisarza, który miłość sztuki umie połączyć z miłością prawdy i ludzkości.

Dickens umarł uderzony apopleksyą, 9 czerwca, w letniej willi swojej Gards' Hill, w hrabstwie Cumberland. Rodzina znając jego wstręt do przepychu i częściej okazałości, pragnęła pochować go cicho w kościele katedralnym w Rochester. W końcu jednak zmuszoną była uleść powszechnym naleganiom. Kraj żądał aby tak zasłużony pisarz spoczywał w Westminsterze, tym Pantheonie angielskim.

Na wyraźne zastrzeżenie pozostałych, pogrzeb odbył się w formie najprostszej, nawet bez poprzedniego ogłoszenia w dziennikach. Zwłoki sprowadzone umyślnym pociągami na stacją drogi żelaznej, z kądem karawanem bez żadnych ozdób przewieziono je do Westminsteru. Za trumną jechało czworo dorosłych dzieci zmarłego, i najbliżsi krewni. Po odbytej ceremonii kościelnej, pogrzebano zwłoki w kaplicy zwanéj *Kacikiem poetów*. W téj kaplicy spoczywają sławni uczeni i artyści: Scheridan, Macalay, Addison, Johnson, Garrick, Haendel, Goldsmith, a nakoniec Thackeray; nieco dalej widać popiersie Szekspira.

Ciekawi poczęli się tłoczyć, ale zamknięto na klucz drzwi kościelne. Nabożeństwo odbyło się bez śpiewu i muzyki, odgłos tylko organów potraçał głucho sklepienia. Na trumnie dębowéj

wyryto nazwisko, datę urodzenia i śmierci; u głowy leżał wieniec róż białych.


O 10-tój z rana skończył się cały obrzęd. 'Otworzono wtedy kościół. W ciągu dnia przeszło 100,000 osób przybiegło uczcić zwłoki wielkiego pisarza, którego postać od lat trzydziestu, blaskiem najczyściejszej sławy świeciła nad Anglią.

Akademia Francuzka wybrała w tych czasach dwóch nowych członków: fotel po księciu Broglie otrzymał znany publicysta Duvergier de Hauranne; miejsce zmarłego Pongervilla, zajął X. Marmier powieściopisarz i podróżnik. Ten ostatni zajmował się i historią Polski w dziele o Pomorzu Nadbałtyckim. Do ostatnich utworów jego należy powieść: *Podróże Nilsa*. Sprawozdanie z niej damy w następnej kronice.

Stosownie do raportu Guizota, taż akademia przeznaczyła pierwszą nagrodę *Gaubert* za rok 1870, p. Mortimer-Ternaux, za *Historję Terroryzmu*, której wyszedł tom siódmy.

Konkurs ufundowany przez Dra Beunèche de la Corbière został też rozstrzygnięty. Przedmiotem rozprawy: *Małżeństwo uważane pod względem moralnym, religijnym, prawnym i społecznym*. Nagroda przyznana p. Legrand adwokatowi z Valenciennes.

Hrabina de Caen przekazała testamentem, oddziałowi malarstwa w Akademii Sztuk Pięknych, 200,000 franków, z zastrzeżeniem, że procent od téj summy w ilości 10,000. ma być użyty na pomoc młodym artystom.



PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Rozwój społeczeństwa rzymskiego, napisał Romuald Świerzbieński. 1870. Warszawa. Str. 526.

Dzieje i instytucje Rzymu będą zapewne długo niewyczerpanym źródłem do postrzeżeń, badań i wniosków dla miłośników historii. Rzym był to kraj który zakończył i uosobił epokę dziejów dawnych, i w którym ludzkość z całą siłą fantazyi młodej postawiła swe pierwsze kroki w próbach urządzeń i ustaw krajowych, rodzinnych i towarzyskich. Jak sztuka grecka tak prawo rzymskie będą miały zawsze do podania ludzkości, dopóki ludzkość, coś do podziwu, coś do przejęcia, a zwłaszcza coś do studyów z swych ideałów. Jakoż we wszystkich wiekach i krajach żywiej myślących, nie brakło nigdy piór i pisarzy do zajmowania się tym przedmiotem. W literaturze naszej z wieku XVI-go zajmowano się nim dla celów miejscowych praktycznych, i nie jedno w tej rzeczy było wydane pismo głośności europejskiej; wszakże i w czasie obecnym, lubo z powodów innych i w celu innym spotykamy także gorliwych i szczególnie wytrwałych miłośników tegoż przedmiotu. Jednym z takich jest właśnie autor obecnej książki. P. Romuald Świerzbieński; już w roku 1847, jeżeli się nie mylimy, drukował swą pierwszą pracę w *Przeglądzie Naukowym* p. n. *Charakter podań rzymskich*, a od owego roku do obecnego t. j. w przeciągu w którym każdy prawie z naszych pisarzy za przedmiot swych prac obierał najróżniejsze gałęzie albo w jednej gałęzi najróżniejsze przedmioty, zgłębiał i opracowywał wyłącznie ten przedmiot jeden; w r. 1849 pod napisem: *Historja cywilizacyi rzymskiej czyli rozwój społeczeństwa rzymskiego*, wydał obraz historii rzymskiej z epoki królów, obecnie zaś w dziele którego napis właśnie przywiedliśmy, dał nam tęż pracę znacznie przemienioną, pomnożoną, i do epoki pierwszych chrześcijańskich cesarzy doprowadzoną.

Te tak przeciągłe i wyłączne oddawanie się jednemu przedmiotowi a przedmiotowi takiej dawności, obok tak żywych ruchów społecznej myśli, nie jest może dowodem szczególnej żywości pierwiastku poetycznego w umyśle badacza, może nawet przez natłok szczegółów odjęło kreślonym przezeń obrazom jasność i efekt; wypada jednak uprzedzić z góry iż nie jest bynajmniej dowodem, jakby się mogło zdawać, jakiejś monomanii czyli oderwanego zasklepienia się w jednym przedmiocie, i owszem myśl autora pomimo zatopienia się w danej szczegółowości, zatopienie się to łączyła i łączy z najobszerniejszym nawet możliwym zakresem ludzkim. Autor, jak sam to twierdzi, tyle czasu na badanie cywilizacji rzymskiej poświęcił dlatego, ażeby dociec jakie są ogólne prawa cywilizacji, i czego rozwijająca się ludzkość w dalszém tém rozwinięciu się swoim ma prawo i musi wyglądać? i owoc docieczeń tych łącznie z przedmiotem głównym wyraził. Treść książki p. Świerzbieńskiego stała się więc z pewnej strony podobną do téj o której w ostatnim zeszycie mówiliśmy, jakkolwiek szczegóły wykonania obu są z gruntu różne. *Badania filozoficzne życia* p. Niemiryca zajmowały się, widzieliśmy, także ramami dziejów powszechnych, ale przebieg ich i przebieg idei szczególnych, oznaczały tylko teoretycznie, w zupełném oderwaniu od faktów, książka obecna przeciwnie jest ze sfery głównie praktycznej, i mówiąc o ramach dziejowych mówi o oznaczonych wiekach, o oznaczonych krajach i historycznych szczegółach ich. O dziele tém stosownie do zakresu miejsca powiemy też tylko tyle, ile o poprzedniém t. j. przytoczymy tu tylko treść jego w najogólniejszych ramach, i dołączymy słów kilka ogólnej charakterystyki.

Treść obecnego dzieła p. Świerzbieńskiego dzieli się na dwie części: część ogólną i część szczegółową. Część ogólna (str. 1—30) jest wstępem do głównej pracy i ma na celu kreślenie momentów głównych cywilizacji. Część szczegółowa (str. 30—526) jest rozwinięciem właśnie tego przedmiotu, który oznacza napis książki, t. j. dziejów cywilizacji rzymskiej od początku państwa do cesarza Juliana czyli do połowy wieku IV-go.

Część ogólna bada i opowiada prawa ogólnego biegu ludzkości. Autor jako historyk nie sięga tu po za czasy historyi, ocenia dzieje od czasu jak są znane i wyznaje się stronnikiem zdania iż źródłem i najogólniejszą charakterystyką dziejów powszechnych jest: stopniowe wyswabdzanie się jednostek ludzkich z ram fatalizmu, czyli iż według wyrażenia autora „Dzieje uspołecznienia są pochodem rozwikłania woli w działaczach dziejowych”. Co do szczegółów tego przebiegu, autor tak w kreśleniu tych epok ogólnych jak niegdyś w kreśleniu epoki rzymskiej z czasu królów, oparł się na momentach loiki tak zwanéj narodowéj, czyli skreślonéj niegdyś przez Trentowskiego. Wiadomo iż według téj, historyi i osnową idei każdéj muszą być trzy momenta: *treść, forma i istota* czyli *twierdzenie, przeczenie i kojarzenie* czyli *zewnętrność, wewnętrność i rzeczywistość*, iż władze duchowe które odpowiadają

tym momentom są *rozum*, *umysł* i *mysł*, że przeto pierwszy wydaje empiryą, drugi idealizm, trzeci zaś owo kojarzenie, byt *rzeczywisty*. Podzieliwszy więc autor ogół dziejów na trzy epoki, t. j. na epokę *starożytną* (do Konstantyna), wieków *średnich*, do naszych czasów i trzecią mającą nadzieję, ocenia je podług powyższych momentów. Epoka pierwsza twierdząca, była to tylko epoka empiryczna, cielesna, zbierała ona plemiona i kraje w jedną zewnętrzną treść, jedno państwo; reprezentantem tej epoki był właśnie Rzym i jego cywilizacja. Epoka druga była to przeciwnie epoka duchowa, przecząca; z państwa potworzyła ona oddzielne narodowości i zowie ją autor (od ludów które rozebrały państwo rzymskie) Germańską, ostrzega jednak iż główną reprezentantką tej epoki nie jest Germania lecz Francja, kraj który się ukształcił z Franków i Gallów i stał się w ten sposób połączeniem plemion romańskich i plemion germańskich, jak Rzym był połączeniem plemion Zachodu i Wschodu. „Jak Rzym *realnie*, tak Francja *idealnie* przedstawiają wszech-człowieczeństwo”. Jakież wreszcie cechy odznaczy i jakie plemiona wydadzą okres III-ci? Okres I-szy wydał cywilizację zewnętrzną, II-gi wewnętrzną, III-ci zaś wydać ma kojarzącą, *istotną*. I-szą zrodził był *rozum*, II-gą *umysł*, III-cią zrodzić ma *mysł*. Co do krajów które przedstawią ją, autor uważa iż mylnie niektórzy sądzą, że okres ten to jest cywilizację nową ma wydać Ameryka, Ameryka bowiem jest tylko odrosłą germańską, cywilizację tę wydać muszą plemiona historyczności świeżej i uowej, to jest *Słowiańskie*.

Przedstawiając rozwój w tych ramach a będąc stronnikiem uznania coraz kształcącej się woli, autor w odwrot temu uznaniu, iż jednostki tworzą kraje a te bieg ludzkości, oznacza przeciwnie że ludzkość ogólna, czyli *ogół* wydaje dopiero z siebie *szczegóły* czyli kraje, a te w końcu rzetelne jednostki czyli *osobników*, którzy zawracają bieg ludzkości do losów dalszych; („rozwój dziejowy dopełnia się przez *plemiona*, w tych rozwikłania (dopełniają się) przez *narodowości*, w końcu wielcy mężowie przenoszą rozwój od zwrotu do zwrotu”). Określiwszy w ten sposób w części I jak pojmuje ogólny rozwój ludzkości i w jakim stosunku do ogólnej zostaje cywilizacja Rzymska, w części II przystępuje autor do kreślenia tej ostatniej w jej szczegółach. Część ta stanowiąca (jak to objaśnia samo nazwisko książki) główną treść dzieła, dzieli się na *Wstęp* i 3 *okresy*.

We *Wstępie* określa autor miejscowość, pierwiastki i te plemiona które złożyły pierwotny Rzym. Trzy okresy które różnią odpowiadają, według autora, owym trzem dobom loicznym: twierdzenia przeczenia i kojarzenia, a według momentów pierwiastku którym zajmuje się głównie (woli) *konieczności*, *przypadkowości* i samowoli czyli *wszewoli*, i następnie je rozdziela.

Okres I od początku władzy królewskiej do jej upadku, okres który według autora powinien mieć nazwisko okresu *rodów* iż źródłem faktów jego były emulacje różnych pokoleń (*Razarów*, *Sabinów*, *Quirinów* i t. p.).

Okres II od upadku władzy królewskiej do Grakchów nazwany okresem *stanów*, iż wyobrażała go głównie walka stanów (plebejów i patrycyuszów).

Okres III od Grakchów do Juliana odstępcy, okres kojarzący, czyli *istoty*, w którym z połączenia walki rodów i stanów potworzyli się *osobnicy*, (Auguści, zwani od nas, nadmienia autor, niewłaściwie cesarze) czyli *rzeczywiste jednostki* kierujące się już nie interesem i wolą rodów lub stanów, lecz swoją własną. Ujemnością w tych osobnikach było to iż byli oni reprezentantami epoki stariej, cielesnej, ale stroną dodatnią we względzie kraju było to, iż pokonali oni możnowładztwo które uciskało kraj, a stroną dodatnią we względzie ludzkości było to: iż doprowadziwszy do krańców cielesności, zwrócili ją do duchowości.

Każdy z tych okresów kreśli autor w ten sposób, iż rozważa je pod względem *treści i formy* (czyli jak nazywa obłoczy) oraz *istoty*, a nadto i treść i obłocz rozróżnia na *podmiotową i przedmiotową* i każdą z tych pięciu kategorii oznacza faktami, czyli szczegółami ze źródłowych pism i pisarzy Rzymskich przytaczanemi.

Takie są główne ramy książki p. Świerzbiewskiego. Jakie jest wykonanie pod względem praktycznym? a także: czyli? oraz dla czego? może się albo nie może czytelnik zgodzić na jego założenia i wnioski, dołączamy tu parę uwag.

Myliłby się ktoby z napisu wnosil iż z książki obecnej może nauczyć się historii państwa Rzymskiego, a chociażby nawet nabyć jasnego wyobrażenia o rozwijaniu się jego cywilizacyi; jasność i obrazowość, a nawet szyk loiczny w wywodach, nie są wcale stroną silną książki autora. Historia p. Świerzbiewskiego jest nader pracowicie ułożoną, jest to obszerna i szczegółowa mozaika, ustaw, urządzeń, anegdot i wszelkich słowem szczegółów już z zakresu dziejów zewnętrznych, już zakresu dziejów wewnętrznych dawnego Rzymu, z historyków, zbiorów praw, prawników i wreszcie wszelkiego rodzaju dawnych pisarzy Rzymskich poczerpnięta, czytelnik który zna tylko potocznie dzieje Rzymu, spotkać się łatwo tu może z niejednym szczegółem nowym i sobie nieznanym,—kto jednak nie znał pierwój tych dziejów potocznych, z książki obecnej nie pozna ich. Powiedzieliśmy iż kreślenie historyczne polega tu na tém, iż autor rozdzieliwszy okres na 5 kategorii, do każdej z tych kategorii odnosi mające charakteryzować ją fakta; tymczasem te pięć kategorii (treści podmiotowej, treści przedmiotowej obłoczy podmiotowej, obłoczy przedmiotowej i istoty) są właściwie wszystkie nader podobne sobie i prawie jednoznaczne, albowiem jak sam autor wyraża na stronie 194: „nie ma treści bez obłoczy, a obłoczy bez treści, i przeto mówiąc bezwzględnie treść jest obłoczczą, obłocz zaś jest treścią,” staje się więc iż w kreśleniu przedmiotu już to powtarzają się jedne szczegóły, już przedstawiają się rysy bez swego początku i końca, już wzmiankują się fakta bez rysów, tak iż w téj rzymskiej historii którą kreśli autor nie widzimy ani historycznych obrazów, ani dziejów jednostek, ani nawet właściwie

charakteru i kolei rozwoju instytucji, a spotyka nas tylko natłok i zamęt szczegółów bez ruchu i życia.

Okres I jest zbiorem tylko hipotez (1). Okres II, okres głównego znaczenia pod względem właściwej cywilizacji Rzymskiej, przedstawia nam co chwila pomieszane szczegóły ze szczegółami epoki następniej, a z biegu jego, (t. j. obrazu walki patrycjuszów i plebejuszów o przywileje) nie poznajemy tej nawet głównej jego charakterystyki, iż cechą jego było stopniowe i harmonijne wygrywanie i przemaganie plebejan. Okres III podobnie obrazem jest nieskończonych i zanadbyt szczegółowych anegdot z życia niektórych Augustów, lecz nie obrazem dziejów państwa.

Kiedy więc celem książki autora było nie kreślenie obrazu dziejów, ale tylko wykład pomysłów co do głównych momentów Rzymskiej cywilizacji i sprawdzanie uczynionych założeń; zostawiając więc większemu miłośnikowi przedmiotu sprawdzenie (jeśli kto za korzystne to uzna dla naukowości), pełności i sposobu użycia źródeł przez autora, o owym tylko głównym celu jego powiemy tu słowo.

Oglądanie powodu dziejów w skutku stopniowego oddalania się woli od fatalizmu, lubo od *Schellinga* do *Micheleta* i *Quinet*

(1) Chociaż autor w polemikach swych nie wspomina najnowszych pracowników na jednym polu, walczy jednak co chwila co do faktów zewnętrznych i wewnętrznych z twierdzeniami *Niebuhra*, *Hegla*, *Rotecka* i t. p. i w ogóle wykład swój rozwija krytycznie. W kreśleniu zewnętrznego obrazu epoki I-jej t. j. początków miasta i państwa, ucieka się nadto (i opiera się następnie na tém jako na twierdzeniu) do hipotezy własnej. Według autora *Razeni* (Etruskowie) zawładnąwszy grodem nad Tybrem, gdzie mieszkańcy czcili bogów w postaci lasek (*quiris*), mieszkańców tych nazwali *Quirites* a gród ich od Trybu *Ramnes* Romą czyli Rzymem; końcem epoki był upadek króleskości to jest *Razenów*, wśród których ojciec mniemanego *Sexta* nie był wcale ostatnim. Od czasu jak za hasłem *Beauforta* *Niebuhr* naruszył krytycznie wiarę w tradycyjne dzieje Rzymu z epoki królów, każdy prawie historyk tego przedmiotu kreśli od siebie hipotezę nową (mówimy iż każdy nową, ogół bowiem zawsze ma więcej ufności do tych jakie wyrazili pisarze wśród miejscowych i żywych tradycyji żyjący, to jest Rzymscy, niż do tych które czynione są przez pisarzy blisko o 3,000 lat późniejszych od wypadków); każdy do tego ma prawo równe, ma je i p. Świerzbieński, dziwimy się jednak iż lubo p. Świerzbieński (jak i nie jeden z poprzedników jego) nie wierzy ani jednemu słowu historyków Rzymskich np. *Liwusza* co do dziejów zewnętrznych z epoki królów, dla tego że wszelkie źródła do epoki tej spłonęły w pożarze za *Gallów*, nie wątpi jednak o żadnej z tradycyji i od względem dziejów wewnętrznych, kreśli okres z obrazem nawet pięciu kategorii i na tych jako już niemyślnych wspiera rozumowania i wnioski. Czyliż np. instytucje *Gaja*, wzmianki u *Arnobjusza*, *Arjana* i t. p., przez to iż są to źródła o parę wieków późniejsze od *Liwusza*, więcej przez to zasługują na wiarę?

(których teorye były rzec można kwiatem tego uznawania) miało wielu stronników, a miewa ich jeszcze i teraz, polega jednak wyraźnie na jakimś niejasnym rozróżnianiu szczegółów bytu. Wola jest to jeden z tych ducha pierwiastków który nie podlega rozwijaniu się; wola w dziecku i chłopcu, równiej jest siły jak w mężu, może się zmieniać stopień oceniania i pojmowania tego pierwiastku, ale nie sam ten pierwiastek i stosunek woli człowieka do woli Stwórcy zawsze jest jeden. Jeżeli istniało fatum za wieków dawnych istnieje i teraz, jeżeli wola ludzka jest dziś wyższą nad fatum, była i dawniej. Kiedy więc autor objaśniając teoryę swą o trzech epokach cywilizacji Rzymskiej, mówi np. o I-jej: Rzymem tym rodowym władał fatalizm, albo: „jakież było uspołecznienie Rzymu, gdy osiągnęło fatalizm,” i t. p. są to twierdzenia na których oprzeć się nie możemy, bo ich nie rozumiemy.

Okres II kreślił autor dla wykazania iż był on pod względem pierwiastku woli wyrazem *przeczenia*, wyrazem *przypadkowości*; lecz z natłoczonych faktów wyobrazenie to czyliż może się w umyśle czytelnika ukształcić, kiedy sam autor w ogólnej charakterystyce tego okresu zmuszonym był tak ją wyrazić: „Treść i obłoczek Rzymu tego okresu odznaczają się szczegółowością i przypadkowością, ale *wyższe one nad ten rozwój zgoła przypadkowy*, albowiem przypadkowość ta wsparta wpływem *konieczności* okresu I.”

Co się zaś dotyczy wreszcie wniosku głównego, wniosku do którego zmierza i około którego obraca się całe dzieło, to jest że epoka III była wyrazem i obrazem tryumfu woli, tedy twierdzenie to raczej za ironią jakąś poczytujemy. Epoka w której nie tylko jednostki i stany, ale ledwie nie cały świat straciły były swą wolę w obec kilku tylko jednostek, czyliż być może nazwaną tryumfem woli? A autor twierdzi iż jednostki Rzymskie epoki trzeciej, to jest od czasu Grachów stawały się już reprezentantami woli swój własnej, nie zaś zawisłej od stanów, jak to było w poprzedniej. Lecz twierdzenie to mylne jest z gruntu. Czyż np. *Cezar*, *Pompejusz*. w swych ruchach, w swych ustawach i charakterze, mniej byli niewolnikami swych stanów niż np. *Koryolan* którego woli żadne przełożenia stanów złamać nie mogły? Dlaczego Grachusowie mniej byli reprezentantami woli swych stanów jak *Stolon*, *Licynius*? i t. p. W znaczeniu następców Augusta, autor widzi wpływ wielkiego ruchu kilkowiekowego i wielkie dobro dla dalszego bytu ludzkości, i wyraża to między innymi takimi słowami: „Wojny domowe popchnęły gród Kwiryna ku barbarzyństwu. Rodził on coraz straszniejszych osobników. Oktawiusz co się nie cofał przed żadną zbrodnią, tak wytepił całe pokolenie Rzymian i Włochów, że Tacyt woła: „Któż się pozostał coby pamiętał świętyny byt pospólny”? Ztąd to najgorszy zwyciężył byt stanów. Czyż nie jest to zakałą dla Opatrzności? (zapytuje autor i odpowiada): Bynajmniej, bowiem z tego zła wynikło dobro, Chrześcijaństwo i byt średniowieczny (czyli przeczenie postępnego). I dalej, rozwijając też myśl: „Jakiby to był świat bez Rzymu? jaki Rzym

bez zaborów i bez Augustów rzymskich ludzkość? Spałby jak Chiny za swym parawanem. Jest więc, dodaje autor, wszechmocna Opatrzność, co z klęsk dobro wywodzi. Tedy nie traćmy wiary w Opatrzność i ludzkość czytając tę niebieską komedię dawnego świata". Autor rozpatrując się w okropnych szczegółach czynów dziejowych Sylli i Oktawiana i widząc ich powodzenie, stara się powściągnąć czytającego od zwątpienia w istnienie sprawiedliwości; jesteśmy co do nas jak najdalsi od wątpienia w Sprawiedliwość istną, lecz wiemy także iż aby czynić bezbłędne wnioski z *cząstek* dziejów o drogach *wszechdziejów*, trzeba by czynić te wnioski nie ułomnym ludzkim pojęciem lecz *wszechpojęciem*; dla tego też wypadaloby nam jak najmniej szafować wyrazem Opatrzność i jej drogi wykładać. Że po epoce trzeciej Rzymu nastąpiło Chrześcijaństwo, jest to faktem, lecz jest to faktem także, że np. kwiatki wiosenne następują po zimie, czyliż jednak wpływa ztąd wniosek, że mrozy i wiatry stycznia były żywotnym źródłem poczęcia się i rozwinięcia się kwiatków? Bez Rzymu, powiada autor, świat spałby jak Chiny, lecz Chiny (jak sąsiedni im Wschód starożytny) zaczęły były właśnie od takich osobników na jakich Rzym skończył, a jednak jak wyraża autor: „spią za parawanem”. Sami królowie Rzymscy epoki I chociażby tylko *Numa i Tullius Hostilius*, czemże różnili się pod względem stopnia woli od szeregu Augustów?

Te zasady i wnioski rozszerza autor do biegu cywilizacji świata, i wykłada je w *Części Ogólnej*, która jakkolwiek jest tylko wstępem, jest jednak żywszego interesu dla czytelnika i samemu przedmiotowi głównemu daje żywszą barwę. Część ta I różną jest naturalnie w sposobie wykładu od części II; jeżeli w tej ostatniej jasność treści zaćmioną została natłoczeniem faktów, część ogólna zostaje nie jasną dla braku faktów; mówiąc wprawdzie o cywilizacji dawnego Wschodu umieścił autor wiele przytoczeń z ksiąg religijnych wschodnich, lecz za jedyne źródło, jak się zdaje obrawszy *Livres Sacrés de l'Orient* wydania *Pauthier* z r. 1841 mówi tylko o Indyi i Chinach i mówi nader ułomnie, Chiny bowiem np. ten kraj który był typem czci rządu i czci rodziny, nazywa krajem „w którym nie było jeszcze ani pojęcia rządu, ani pojęcia rodziny.” Brak faktów zastąpiony tu jednak rozumowaniem. Na wzór *Vico* który postęp pojmował nie wstępnie ale zstępnie i widział w biegu dziejów ogólnych najprzód wiek *bogów*, potem wiek *bohaterów* i w końcu *ludzi*; autor stosownie do pojmowanej przez siebie teoryj woli, przypuszcza iż najprzód uformowała się *ludzkość*, potem *kraje* a w końcu *jednostki*, teoryja ta w swym ogóle mylna musiała się rozpaść i na szczególne wnioski, twierdzenia *mylne*.

Autor np. przez *ludzkość*, pojmuje nie zbiór ludzi, lecz coś innego i mówi: „W zaraniu rozwoju *nie ma ludzkości* a zastępują one rodziny, rządy i pokolenia”. Autor chciał chyba rzec że w zaraniu *ludzkości* nie ma rozwoju, cóż bowiem we wszystkich wiekach i epokach składało i składa *ludzkość*, jeżeli nie rodziny, pokolenia i kraje (rządy)?

„*Narodowość*, mówi autor, są nabytkiem uspołecznienia wieków średnich, świat stary nie miał ich” 28. Czyż za wojen Medycznych lub Kartagińskich, mniej była w grze narodowość jak za wojen krzyżowych? Narodowość nigdy owszem tak silnie odróżnione nie były jak za owęj epoki I; każdy kraj miał nie tylko oddzielne instytucje, rząd, język, granice, ale nawet oddzielnych bogów, oddzielną religią,—na cóż się zda wyrażać i utrzymywać tak jawne fałsze, zwłaszcza jeżeli te mają być szczeblem do dalszych wniosków.

Na tym jednak pewniku o narodowościach wspiera się grunt rozumowania autora o wiekach średnich, a następnie i wniosek o epoce przyszłej. Charakterem wieków średnich było poczęte Chrześcijaństwo i poksztalcone kraje w miejsce kraju, więc (według autora) wewnętrzność, szczegółowość i przypadkowość, czyli treść (duchowa) bez formy,—jest to kontrast z epoką I. „Pogodzenie, wnioskuje autor, treści z obłoczą i wydanie społeczeństw z treścią i obłoczą *rzeczywistą* będzie zadaniem świtających wieków nowych. Widocznie obłocz społeczna Romańska (czasy Augustów) nie była obłoczą *rzeczywistą*, bo nie miała treści, podobnie treść społeczna germańska (wieków od Konstantyna) nie jest istotną, gdyż nie posiada odpowiedniej obłoczy. Nowe dzieje zniosą tę jednostronność”. Cywilizację nową mają więc wydać formy społeczne epoki III Rzymskiej i Duch Chrześcijański. Lecz w jakim sposobie zgodzi się ta nauka z nauką o osobnikach? Czy autor epoce III ludzkiej prorokuje nowy szereg Augustów? czy też może ma to być epoka z silną wolą jednostek Chrześcijańskich, których osobnicy epoki Rzymskiej cielesnej byli tylko figurą? Być to może; lecz znowu Chrześcijaństwo według autora jest to przeczenie, z czasów Augustów za ideał jednostki niepodaną jest żadna jednostka Chrześcijańska, podani tylko za takie *Tytus* i *Juhan Odstępca* (który według autora nie był właściwie Odstępcą). W którymś znowu miejscu swój książki autor wyraża iż studjum jego przekonało go o wielkiem znaczeniu miasta którem się zajmował, i że przeto wnosić należy że *Urbs aeterna* powtórzy w epoce nowój tę rolę jaką miało w I ale w znaczeniu duchowém. Wnioski praktyczne autora są więc nader sprzeczne i ciemne, a jasnym to tylko jest, iż jakiebykolwiek być miały prowadzi nas do nich przez drogi omylne.

Idąc za dyalektyką loiki Trentowskiego objaśnia nam autor że jak twórcą epoki I ludzkości był *rozum*, II *umysł*, tak III będzie *mysł*; lecz objaśnienie takie, czyliż objaśnia? Jedną z wad praktycznego wykładu p. Świerzbiewskiego jest iż używa co chwila wyrazów nowych, o których znaczeniu nie uprzedził (takimi np. są: *stanek*, *obłocz*, *rodowiacy*, *pospólność*, *zwoznia*, *okrętnia*, *przedśmierтник* i t. p.) i sam sobie winę przypisać musi jeżeli nie raz nie jest zrozumiany przez czytelnika; ale jeżeli wadą jest używanie wyrazów niejasnych, tém większą jest używanie wyrazów jasnych ale w odmienném znaczeniu od powszechnego; to jednak, wtrąćmy tu uwagę, byłoby wadą tak świetnego zakądinąd umysłu filozoficznego i tak znako-

mitego pisarza jakim był *Trentowski*. Loika jego którą nazwał był narodową z téj mianowicie strony była nader nienarodową iż każdy prawie użyty termin loiczny brał on w odmienném od narodowego znaczeniu, i dyalektyką tak nie narodową w zasadzie, prowadził wykłady. *Trentowski* mówił np.: „Twierdzić że Bóg ma *istnienie*, że *dusza* ludzka jest nieśmiertelną, są to bezsensa”, i aby zrozumieć właściwą myśl autora, należało wtedy przypomnieć że według dyalektyki jego: Bóg ma *stnienie* a nie *istnienie*, iż w człowieku nieśmiertelną jest *jaźń* nie zaś *dusza* (która jest tylko zbiorem władz umysłowych i t. p.) Z takich pofałszowanych terminów składa się jednak ledwo nie cała loika *Trentowskiego*; według loiki téj *rozum* oznacza właściwie tylko *nierozum* (pojęcia wyłączenie zmysłowe), umysł, wiedza, są to przeczenia a za kojarzenie twierdzenia z przeczeniem, za arcywładzę istnącą w nas położony jest *myśl*, to jest wyraz równie nieznanym Słownikom jak psychologii.

Zasad jednak i nomenklatury loiki *Trentowskiego* nie jeden u nas próbował używać pisarz, a najgorliwszym ich zwolennikiem jest właśnie p. *Świerzbieński*. Ale stosowanie się gwałtowne do momentów loiki téj, dało nam właśnie i niefortunność formy i ujemność w wywodach loicznych wśród jego pisma. Objaśnianie epoki III przez jój pierwiastek *myśl* niczego więc nam nie objaśnia.

Twierdzenie autora wreszcie iż po odegraniu ról przez pokolenia romańskie i pokolenia germańskie, bohaterami w epoce nowój, mają być słowiańskie, jakkolwiek nie nowe, jest zapewne nader pochlebne dla nas Słowian, ale nie jest poparte żadną bliższą wskazówką i wyjaśnieniem.

Książce p. *Świerzbieńskiego* jednem słowem więc nie możemy odmówić i spotykanych w niej nie raz poglądów wyższych, i żywotniejszych nie raz zaprzątnień myśli i erudycyi przedmiotu; dodajmy jednak że żałujemy téj erudycyi. Jeżeli autorowi szło nie o wykład obrazów historii Rzymskiej lecz tylko o sprawdzenie pewnych pomysłów, założeń, co do biegu cywilizacyi Rzymskiej, skutek ten mógł być równie dopiętym i z połową tego trudu i pracy. Nagromadzenie i skupienie szczegółów zaćmiło tylko obrazy ale nie usprawiedliwiło pomysłów. Wtłoczenie szeregu faktów w ramy formalistyki próżnej, wnioski ciemne, a zdobywanie tych wniosków przez niemające niejednokrotnie zasad twierdzenia i drogi, to jest najogólniejsza charakterystyka pracy pana *Świerzbieńskiego*.

Król Don Juan, komedia w 5-ciu aktach przez Ad. Belcikowskiego.

Chcąc dać wyobrażenie o bohaterze komedyi p. Belcikowskiego przytoczymy kilka słów z własnej jego przedmowy:

„Ludwik XIV był słońcem epoki XVIII wieku. Do przymiotów Ludwika XIV należała galanterya i zdobycze serc; zaczęły poszły także na dworze królewskim intrygi i rządy kobiece. Jeżeli w innych względach August II, nie dorastał nawet do kolan swego wzoru, to w tym o którym teraz mówimy, nie było drugiego równie doskonalszej kopii nie ustępującej w niczem oryginałowi. Natura zkądną skąpa dla Augusta II, udzieliła mu szczerze zalet które zapewniają szczęście u kobiet. Niemcy nad którymi panował, dali mu przydomek: silny; łamał on podkowy jak trzaski, a gwałcił talary jakby wosk. Również był on i piękny. Jego twarz duża i otwarta, z pogodnym, uśmiechniętym wzrokiem, z różanemi wargami, zdolnemi smakować rozkosz, i podnosić się wspaniałą dumą—magnetyczny wpływ wywierała na kobiety. Być pięknym jak pogański bożek i być królem, to dwa tytuły do powodzenia u nich.”

Zapewne naśladowca August II, dobiwszy się pomnikowego rozgłosu w sprawach i intrygach miłosnych, szedł nie mało i za własnym usposobieniem, uzdolniającem go mistrzowsko, na zdobywcę serc i burzyciela spokoju kobiet. Istotnie, rozdawnictwo serca tak szczerze, uczyniło Augusta człowiekiem bez serca, porzucającym z pogardą to, co niedawno jako gorącą objawiał miłość. Nie było w tym ognistej choć chwilowej namiętności Ludwika XIV, ani wyuzdaniej i wyrafinowanej rozpusty Ludwika XV, lecz płytko tylko, zmysłowa a lekkomyślna igraszka. Dość opowiedzieć kilka jego romansów, ażeby poznać, że maluje się w nich cały człowiek. Królem był tylko z majestatycznej i okazałej postawy; nie z czynów, nie z godności przywiązanej do tak wysokiego powołania, nie ze zdolności wodza lub prawodawcy. Niestaly, miękki, goniący za rozkoszami, te za cel jedyny mając, łamał słowo dane czy to poufnie, czy zaprzysiężone traktatem.

Zobaczmy jak się obchodził z kochankami, które zawierzyły otwartej jego fizyognomii, przysięgom miłosnym, lub urokowi królewskiego majestatu.

Jeszcze gdy był elektorem saskim, a podczas pobytu swego w Wiedniu u przyjaciela swego króla Józefa, poznał na jednym z dworskich balów, piękną żonę hrabiego Esterle. Hrabina trzymała się zrazu zdaleka, zimno przyjmując oświadczenia rozognionego elektora, ale po otrzymaniu czułego listu wraz z kolczykami wartości 40,000 guldenów, czuła się tak wzruszoną, że zezwoliła na schadzkę. Mąż srożył się i groził, ale przystał wreszcie na roczną pensję 20,000 guldenów. Targi takie były naówczas we zwyczaj.

Elektor zabrał faworytę ze sobą do Drezna, gdzie jej księżna matka przyjęć nie chciała; elektorowa zaś i niedawna faworyta hrabina Kenigsmark przyjęły ją uprzejmie, pierwsza słuchając wrodzonej łagodności, druga dyplomacyi.

Jako nowo obrany król polski, pojechał na koronację do Krakowa, gdzie mu towarzyszyła hrabina. Podczas uroczystości koronacyi, urządzone było osobne miejsce dla niej, a król zbliżając się do ołtarza, miał „spojrzeć na nią w taki sposób, jakby chciał powiedzieć, że to jej właśnie, serce swe ofiaruje. Wielu z obecnych dojrawszy skinienia, oburzyło się na króla, biorąc go za złego katolika”.

Niedługo, zapragnął król zerwać wiążący go stosunek. Posłał przeto oficera swój gwardyi z żądaniem, ażeby jej w jego imieniu odebrał kasetkę z drogiemi kamieniami. Ludwik XIV zapewne, nie żądałby zwrotu darowanych prezentów. Hrabina dobrze znając swego kochanka, zapieczętowaną i zaadresowaną oficerowi oddała, sama zaś uciekła czemprowadź do Wrocławia. Lecz król nie znalazł w kasetce brylantów, i miał tyle sprytu że obrócił to w żart, wstrzymał jej jednak wypłatę pensyi.

Król ten, zrywał zawsze wtedy, gdy już był iuniej pewny. Tym razem była nią turczynka, którą generał Schoening przy zdobyciu Budy w r. 1685, jako pięcioletnią dziecinę uprowadził. Generał kazał ją kształcić, i podrosłą darował żonie Przebędowskiego, podskarbięgo koronnego. Król wydał ją za męża, za swego kamerdynera, którego uszlachcił. Uszlachconą Fatyma, nazwana panią de Spiegel, porodziła królowi syna, który jako hrabia Rutowski wstąpił w służbę saską, dosłużywszy się stopnia feldmarszałka i gubernatora Drezna. Córka jej poszła za hrabię Bielińskiego, a później za posła saskiego w Paryżu, hrabię Bellegarde.

Dłużej trwały króla związki z księżną Urszulą Katarzyną Lubomirską, siostrzenicą kardynała prymasa Radziejowskiego. Król przybywszy do Polski, chciał przez nią pozyskać sobie wpływowego wuja, niespodziewając się, że i tak już stał się przedmiotem szczeręgo jej afektu. Przekonał się o tém raz pewnego, gdy dosiadając dzikiego tureckiego bachmata, zleciał zeń uderzywszy się mocno w nogę, co ujrawszy księżna zemdlała. Mąż księżnej rychło się opatrzył, skutkiem czego przyjść musiało do rozwodu. Szlachetua i łagodna, wywierała wielki wpływ na słabego króla, któremu wszędzie towarzyszyła w podróżach. Przybywszy na dwór saski już jako księżna Cieszyńska, zetknęła się na jednym z balów z królową, która ją zapytała szyderczo: „od jak dawna bawi w Saksonii?” na co ta, nie tracąc przytomności odrzekła: „Przybyłam z królem i niedługo z nim razem odjadę”. Królowej łzy stanęły w oczach.

Tu przypada uporeczywa wojna szwedzka z Karolem XII, którego przy wstąpieniu na tron, uważano jako nieporadnego dzieciucha. August II, z początku lekceważący go pogardliwie, zmuszony był niedługo udać się w pomoc do dyplomacyi kobiecej. Znaném jest poselstwo nadaremne hrabiny Aurory Kenigsmarck.

Mimo klęsk i niepowodzeń, August nie zaprzestał na chwilę rozrywek i przyjemności. Zapoznał się w tym czasie, za pośrednictwem adjutanta swego Randzaua z córką winiarza francuza, Henryetą Duval, którą przebrany w winiarni odwiedzał. Piękna i lekka Henryeta zachwycona hołdem króla, porzuciła bez namysłu narzeczonego swego oficera z gwardyi królewskiej, który pewnej nocy, nieprzeczuwając w oficerze osoby królewskiej, rzucił się nań z dobytą szpadą. Król wynagrodził zdradzonego stoma dukatami, a sam zabrał ze sobą do obozu pod Kliszowem Henryetę, gdzie mu powiła córkę, późniejszą słynną hrabinę Orzelską. Być może że się znajdowała w bitwie pod Kliszowem razem z 500 innymi damami, chroniącemi się w popłochu w lasy, a które nieprzyjaciel kobiet Karol XII, Augustowi miał napowrót odesłać. Bądź co bądź, była to tylko przelotna miłośćka, rozegrana pozaplecami stałej faworyty, księżnej Cieszyńskiej.

Niedługo wyrugowała księżnę, nowa ulubienica, żona hrabiego Hoym, dygnitarza dworu saskiego. Tenże p. Hoym wybrał sobie pannę w Brunszwiku, bojąc się lekkiej saxonki, i żył z nią szczęśliwie w swoich dobrach, dopóki raz podpity, nie założył się z królem o 1000 dukatów, że najpiękniejszą kobietą jest jego żona. Król albowiem urzawszy ją, rozgorzał namiętnie i zgodził się na warunki jakichby tylko zażądała. Naturalnie że ugody ofiarą paść musiała pierwsza księżna Cieszyńska, poczem król własnoręcznym pismem, przyrzekł jej uświęcenie ślubem prawnym związku, po śmierci królowej. Małżonek zaś, był odtąd wiernym przyjacielem owjej niegdys żony. Nowa faworyta, znana jako pani Kozel, kochała króla szczerze, w wielkiej będąc ustawicznie o niego zazdrości.

Zakończymy, opisując pokrótce w jaki sposób pozbył się jej król, dla zrobienia miejsca następczyni: pani Denhoff. Zwykł był obchodzić się w takich razach bez ceremonii, brutalnie i z zapomnieniem najczulszych zapewnień. Pani Kozel znajdowała się naówczas w Windawie, małym polskim granicznym miasteczku, i zaraz na wieść o knujących się przeciw niej intrygach w Warszawie, tamże zamyślała jechać. Król uprzedzając jej zamysł, posłał oficera swjej gwardyi p. La Haye z rozkazem, ażeby ją do powrotu do Drezna nakłonił. Zastał ją w Windawie, i długimi omówieniami i radami, usiłował ją przekonać o potrzebie zrezygnowania z osoby króla. Gdy rady nie pomagały, zaczął grozić wykonaniem rozkazu, lecz wtedy gwałtowna hrabina porwała za pistolet. Skłoniona nareszcie wróciła do Drezna, lecz i tu prześladowana nienawiścią Denhofowej i niechęcią króla, pragnącego od niej odebrać skrypt którym się zobowiązał ją poślubić, uciekła do Berlina. Mieszkała tutaj półtora roku, aż na skutek negocyacyj Augusta, wydana przez Prusaków (1716) zamkniętą została w fortecy Stolpen. Kilkakrotnie chciała uciec z ponurego więzienia, ale nadaremnie. Król odebrał jej cały poprzednio darowany majątek, wyznaczając skromną zaledwie pensyjkę. W témże mieście w r. 1781 umarła.

Rzecz komedyi dzieje się w Warszawie w r. 1701, a rozpoczyna w sali zamkowej.

Oficerowie służbowi w wesołej pogawędce wyśmiewają jednego ze swych kolegów Wilhelma, który ponury i milczący usiadł na boku. Robert kamrat jego najbliższy, wydaje go z sekretu, tego mianowicie że się kocha ogniście, w nadzwyczajnie pięknej Henryecie Duval. Wszyscy zazdroszczą Wilhelmowi, który w najwyższym uniesieniu powiada: „Jakże żałuję że nie ma jój teraz na miejscu! Jednym spojrzaniem ukarałaby waszą zuchwałość, jak piorunem poraziłaby was swoją pięknością!... Czémże w porównaniu z nią będzie owa pani Kozel?...” Ani się biedak spodziewa, że go podsłuchał król jegomość, właśnie przechodzący przez galeryę. Było to to samo, co powierzyć owieczkę wilkowi. Król wypytuje oficerów o pannę Duval, a pod wieczór chcąc się zabawić, zapytuje Randzaua swego adjutanta i zauszniaka, czy nie zna Duwałówny córki winiarza. Randzau unosi się nad jój pięknością; postanawiają więc wybrać się tam na wieczór przebrani, gdy wtém wchodzi pani Kozel faworyta królewska a siostra Randzaua. Obaj boją się jój przenikliwości i obaj chcą ją podejść. Król opowiada swe zmartwienie polityczne i kłopoty, z których najświeższy właśnie, wymaga jego porozumienia się nocną porą z siostrzeńcem prymasa. Kozela nie dowierza, niepokoi się, nie chce pozwolić królowi narażać swą szacowną osobę, a nareszcie sama ofiaruje się mu towarzyszyć. Ale tego się właśnie obaj bali najwięcej. Udało się im jednak wymknąć, lecz podejrzliwa faworyta przebrawszy się w mundur oficerski, puściła się za nimi w tropy.

W winiarni francuza Duwala, zasiedli król z Randzauem przy stole, liczny tłum oficerów przeszkadza im w ułożonym planie. Piśsze przeto król na kartce rozkaz alarmu, z którym Randzau wychodzi, a sam tymczasem przypatruje się nadzwyczajnej piękności, która i na nim niezwykle sprawia wrażenie. Alarm wypłoszył oficerów, ale nadchodzący ront zmusza Randzaua i króla do schronienia się w alkwie bocznej winiarza. Ront ten przyprowadza młodego oficera, który się nie umie wytłumaczyć gdzie służy, a który żądał aby go tu zaprowadzono do Randzaua, dobrego swego znajomego. Młodym oficerem nie jest kto inny tylko pani Kozel, która wysłodziła wchodzącego króla do winiarni, a z zostawionego pugilaresu Randzaua na stole, nabiera pewności że się nie omyliła, iż się tu znajdować muszą. Chciałaby koniecznie pozostać, ale sierżant nie pozwala, zaledwie udaje się jój ujrzyć Henryetę i przestraszyć się potęgą jój wdzięków. Tak, przestraszyć bo zna płochosć i zapalność niestałego Augusta. Nareszcie wyszła z wielkim swoim żalem, a król może teraz prawić słodkie słowa dziewczynie, która i tak zachwycona jest obejściem i urodą oficera, wielce przypominającego jój nadobną postać króla. Oświadczenie tóż miłosne idzie jak z płatka, Henryetta unosi się nad osobą króla, mówiąc że byłby zdolny zawładnąć jój duszą, i to nie koroną ani bogactwy ale swą osobą; na co naturalnie wzruszony król odpowiada zrzuceniem peruki i pla-

szcza, i odsłonięciem się w całej swój majestatycznej królewskości. Wprawdzie niewiadomo czy król *dopóki był incognito*, powinien się być z tego cieszyć, boć przecie Henryeta zwracała swój afekt do niego o tyle tylko, o ile przypomniał ósobę królewską. Gdyby więc na nieszczęście nie był królem, nie byłby zapewne posiadał serca rozmarzonej panienki. Zdaje nam się, że autor nieszczęśliwie poprowadził to wyznanie miłosne. Lepiej byłoby, iżby Henryeta zakochała się wprost w osobie nieznanego sobie oficera, albo też wprost w blasku bijącym od królewskiej purpury. Niechby ją ujęła osobistość albo olśnił blask, naturalniej przeto rozwinąłby się charakter. Bądź co bądź, pannę Duwal przekrada Raudzau do apartamentów królewskich, ale Wilhelm ów cichy kochanek czatujący na każde jej skinienie, dostrzegł jak z nimi wyszła przebrana z winiarni, i w podwojach zamkowych zniknęła. Wraz z przyjacielem swym Robertem, postanawia pomścić jej honor. Przez mur spuszcza ją się do ogrodu zamkowego. Widzi to pani Kozel, czujna i baczna ze swój strony. Wysłuchuje całego zwierzenia, wychodzi z ukrycia i obiecuje pomoc w zemście, tymczasem zaś wskazuje miejsce, któredy będzie powracał Raudzau. Nie długo zjawia się król z Henryetą i z Raudzauem na przodzie. Dwaj przyjaciele nacierają, król dobywa szpady i rozbraja Wilhelma, popłoch się wzmaga, a wтім wpada pani Kozel, za nią służba z pochodniami. Oficerowie poznają króla, faworyta ostre czyni wyrzuty królowi za niewierność, ale Henryety która zdołała umknąć, już nie znajduje. Niecierpliw jednak królewskiego don Żuana to usiłowanie, postanawia zrzucić maskę, i Duwałównę otwarcie i jawnie przedstawić u dworu. Posyła przeto po nią Raudzaua, zostawiwszy zaczęty list do niej na stole. Pani Kozel która w ciągłym niepokoju, śledzi króla nieustannie, znajduje list przypadkiem. Przeczytawszy zawrzała zemstą, i łączy się w tym celu z właśnie przybyłą panią Teschen. Obie każda z innój pobudki, chcą Henryetę wydrzeć z objęć króla. W owych burzliwych czasach zmiennój polityki, gdzie horyzont zaciemniał się i wyjaśniał co chwila, łatwo było oplatać intrygami i zastraszyć słabego króla, obawiającego się utraty dziedzicznego nawet tronu Saxonii. Karol XII nie żartował. Pogroziły Augustowi zręczne kobiety, a przerażony król daje się im powodować, i ucieka do Saxonii pozostawiając w rozpacz i łatwowierną Henryetę.

Taka jest treść komedyi, której maszynerya sceniczna, zapłatanie intrygi nasuwa mimowoli myśl, że się autor cokolwiek zanadto przejął fakturą komedyi tego rodzaju Scribego. P. Bełcikowski stawiał mylnie po boku króla, jako stałą faworytę panią Kozel, która była nią później nieco, i panią Feschen, zapewne księżnę Cieszyńską. (Teschen). Fabułę zresztą wziął mniéj więcej ściśle-historycznie, choć charakter pozmieniał, mianowicie charakter bohaterki i jej admiratora, oficera gwardyi Wilhelma.

Henryetta jest w komedyi, dziewczicą marzącą o przeznaczonym jej wola zapewne wyższą, ideale. Odrzuca oświadczenia wielu odwieczających winiarnią jej ojca, wielu nawet dygnitarzy, bo przeczuwa że zjawi się ktoś otoczony niezwyčajnym blaskiem, ulepiony

nie z codziennj gliny. Więc kiedy przebrany król wyjawia dziewczynie kim jest, ona, bez wahania, odrazu, jakby urzeczywistniając długo pieszczono marzenie, oddaje mu serce swe i osobę. Czyni to bez rozwagi, bez zastanowienia się nad różnicą stanowisk, spragniona jedynie miłości wielkiego pana. Nic dziwnego, że nieświadoma intryg dworskich, zbyt słaba i niedoświadczona, ażeby przeciwważyć przebiegłość dwóch faworyt (które autor wprowadza) upaść musi, nie upamiętnwszy nawet niczém wybitném, opuszczonego stanowiska. Król poświęca ją bez żalu, dla upozorowanych intrygą faworyt przyczyn stanu, rzeczywiscie zaś dla tego, że nie umiał kochać stale, a Duwałównę kochał krócej od innych. Może mu się i nie dziwimy (w komedyi), że jój bardzo nie kochał, bo jak na bohaterkę zbyt jest bezbarwną, zbyt bladą i bezkrwisto narysowaną. Nie znać w niej siły uczucia, ani moralnego przekonania że poświęcając swój honor, czyni to z serca. A takie właśnie szczegóły psychologiczne, należą do dramaturga. Podniesieniem tój strony, oświeciłby żywym blaskiem kontrast intrygujących pospolicie, dla ambicyj lub materialnego interesu, i wtedy upadła Henryetta w walce ze światem zewnętrznym, nie wyglądałaby upadłą moralnie, ofiarą bez znaczenia, której nawet nie bardzo żałować można. Niepotrzebnie też autor sili się na dowód w przedmowie, że mu chodziło o wykazanie sensu moralnego; co mu się udało, i na dewód iż mimo że król pokochał szczerze Duwałę, rozsądek wziąć musiał górę, co mu się nie udało... w komedyi... Nie uwydatniona bowiem ani nie wskazana niczem, walka uczucia jego z rozsądkiem. A przecież dramaturgowi wolno przynajmniej w obec absolutnych zasad piękna—przekształcić charakter historyczny, wolno go rozszerzyć i podnieść. Król przeciwnie, z całą pokorą i skruchą, zwracając się do pani Kozel i do pani Teschen, ratujących go niby od ostatecznego upadku, mówi (Akt V, scena VI): „Przebaczcie mi moją *lekkomyślność*. W chwili, kiedy należało pamiętać o losach korony, *oddalem się nierozmyślnie uczuciom serca...*”

Gdzież tu była walka? Ani jednej sytuacji, wskazującej prawdziwe jego uczucie dla Henryetty; łatwo więc mógł się dać na nowo opanować okolicznościom i zęczności ex-kochanek, czego „rozsądkiem” nazwać nie można. Żal nam że autor nie chciałby „za żadną cenę wyrzec się najwyższej ze swoich pretensyi, to jest: sensu moralnego” w tój komedyi, boć żarliwość taka o moralność w komedyi historycznej, niekoniecznie się wydaje niezbędną. Raczej mógł się słuszniej pochwalić, że wprawwszy postacie w ruch, przeprowadził je konsekwentnie. Konsekwencya taka, dająca naturalne rozwiązanie, najlepszym zwać się może sensem moralnym. Przyznać też trzeba, że autor traktując dramatycznie, mniej ważny epizod życia dworskiego Sasów (a Duwałówna też liczyła się do przelotnych miłostek, żadnej większej nie odgrywając roli), nie miał szerokiego pola na rozwinięcie twórczości czy to inwencyjnej, czy nawet obrazowej w dyalogach. Pani Aurora Kenigsmarek lub szlachetna i szczerze kochająca księżna Cieszyńska, mogły silniej osnuć węzeł dramatyczny.

Oficer gwardyi, ten o którym kronika wspomina, że pocieszył się po zdradzie kochanki seciną dukatów, nazwany Wilhelmem w komedyi, zajmującą jest postacią tak ze względu energii szlachetnych przekonań, jak i idealnego pokroju rycerskiej miłości. Nie mogąc wyrzucić, a potem wyratować ukochanej, ginie w dalekiej wojnie, śląc przez druha ostatnie pożegnanie.

Pani Kozel żywo też trzymana. Zazdrosna o miłość króla odbierającą jej wszechwładne panowanie, rzuca się w wir intryg, zawiązuje je, gmatwa, i na tryumf własnej sprawy rozwiązuje. Prawdziwe przeciwieństwo tworząc z panią Teschen, dbającą jedynie o pozyskanie napowrót, utraconego serca Augusta, przyczynia się niemało do ożywienia ruchu scenicznego, który jest jednym z rzetelnych przymiotów p. Belcikowskiego.

Randzau adjutant króla, ułatwiający mu przyjemności, *maitre des plaisirs*, stający często w poprzek własnej siostrze, trafnie jest podpatrzony. Tacy ludzie tylko u dworu są w swoim żywiole, przypominając ową niewidoczną nitkę, zadzierzgującą tysiączne związki, któreby inaczej nie przysły do skutku. August II lubił się takimi otaczać, i miał ich zawsze pełno na usługi, gdy trzeba było mniej honorowo postąpić, co mu się dość często zdarzało.

Zbierając w jedno nasze uwagi, powtarzamy pochwałę należną konsekwencyi charakterów, żywości scenicznej i kolorytowi historycznemu, który mniej więcej udało się autorowi wprowadzić. Wszystko to ważne zalety w komedyi historycznej. Zarzucilibyśmy tylko ów brak wewnętrznego ciepła, ową powściągliwość z najlżejszym choćby wybuchem ognistej namiętności, stanowiącej przeciw tak często, indywidualną zasługę tworzącego poety. W ślad za tém idzie: niebarwistość języka i mała jego potęga, przechodząca nadto czasem w trywialność, np. w jednej ze scen bardzo ważnych (Akt IV, scena 9) między królem, Henryetą Duval a panią Kozel i panią Feschen. Scena ta, będąca wybuchem hamowanych namiętności, a zarazem zdemaskowaniem króla, jest niezawodnie kulminacyjną. Jako taka, powinna wyrzucić silne wrażenie i wryć się niejako w pamięć. Tymczasem, w czytaniu przynajmniej,—bo czytanie a przedstawienie na scenie to niezmierna różnica—zwraca uwagę zaledwie ważnością intrygi, dochodzącej do końca.

Na polu wszakże historycznej komedyi mało mamy dotąd pracowników; p. Belcikowski oddany sumiennym studjom, obdarzony zarazem trafnością ocenienia epok, mógłby w tym zakresie oddać usługi, czego mu serdecznie życzyć możemy.

Edward Lubowski.



WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Czerwiec 1870 r.—Donosiliśmy już w naszym piśmie o uczynionym wspaniałym darze przez barona Edwarda Rastawickiego drogocennego zbioru archeologicznego dla Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Pozostała ogromna biblioteka do 14,000 tomów wynosząca, oraz bogaty zbiór obrazów olejnych i sztychów, pomiędzy którymi znajdował się rzadki wielce bo kompletny zbiór sztychów sławnego Falka. Seweryn hr. Mielżyński nabył tak bibliotekę jak obrazy i ryociny, i ofiarował na rzecz Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Pozuanu. Tym sposobem wszystkie szacowne zbiory autora *Słownika malarzów polskich*, nieposzły w rozsypkę, ale pozostały w całości dla użytku nauki.

— Nakładem Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych wyszedł: „*Pamiętnik Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych z roku szkolnego 1869 i 1870. Rok pierwszy* (w 8-ce str. 183).

— W tych dniach wyszedł w Poznaniu nakładem księgarni J. K. Zupańskiego poemat Danta pod tytułem: *Dante Alighieri — Boska Komedia, przekład Ant. Stanisławskiego* w jednym obszernym tomie w 8-ce stronnic 840, drukiem wyraźnym i pięknym, na papierze prawie welinowym, wydanie wzorowe. Trzy części poematu: *Piekiełło, Czyściec i Raj* w stu pieśniach zawarte, rozwijają cudowną wędrówkę poety za granicami ziemskiego świata. Poemat Danta przed pięćmi wiekami utworzony przynosi ówczesną wiarę, filozofią, politykę, moralność, dzieje, namiętności, cały świat, całe życie ówczesne, a natchnieniem prawdziwem i potęgą słowa dotąd podbija umysły i serca. Boską Komedją posiadają w przekładach prawie wszystkie literatury europejskie. U nas od dawna zjawily się po pismach peryodycznych cząstkowe tłumaczenia Boskiej Komedyi jak Teofila Lenartowicza, W. Kulozyckiego, Feliksa Wicherskiego (Bibl. War. 1856, Sierpień) i innych. Pomiedzy wszystkimi jaśnieje dotąd wyjątek z 32 i 33 pieśni *Piekiełła*: *Ugolino*—przekład A. Mickiewicza. J. I. Kraszewski napisał studia o Dantym i ukończył przekład całego poematu, z którego trzy ostatnie pieśni drukowane są w Bibl. War. r. 1866, za marzec. Przekład miarowy bez rymu dotąd ukrywa tłumacz w swęj tece. Ludwik Kamiński tłumacz *Popego, Jerolimy wyzwolonej* i innych dzieł przełożył na język polski w tercjach z zachowaniem formy oryginału, i wierszem rymowym całą część pierwszą Danta; wyjątki tego przekładu drukowane są w Bibl. War. a mianowicie (w r. 1867, Luty). Ustęp z Boskiej Komedyi *Hrabia Ugolino*.

Reszta przekładu pozostaje w rękopiśmie. Pierwszy Juljan Korzak przetłumaczył wierszem miarowym cały poemat Danta i ten wyszedł z druku w Warszawie nakładem S. Orgelbranda w r. 1860. ozdobiony 16 rycinami. Teraz zjawia się nowy przekład p. Ant. Stanisławskiego wprawdzie bez rymu, wierszem miarowym, lecz za to styl pełen poezji i siły, a czystością swoją przypomina dawniejszą piękną mowę naszą. Do każdej pieśni dołączone są objaśnienia. Główny skład tego wydania w Warszawie jest w księgarni Gebethnera i Wolffa.

— W roku bieżącym wyszły oddzielnie powieści: — *Podróże naokoło księżycy* przez Juliusza Verne, nakład księgarni Gebethnera i Wolffa. *W klatce* powieść napisała Eliza Orzeszko, skład główny w księgarni J. J. Okońskiego. *Praca uszlachetnia* powieść z życia rzeczywistego przez M. Z. z Birathów Szwartz, przekład ze Szwedzkiego przez Sulickiego, wydanie Redakcyi Zorzy, która ciągle z szczególném poświęceniem i wytrwałością pracuje dla dobra ludu i klass pracujących i stosowne dla nich powieści i inne książki wydaje. Prócz powieści powyższych wyszły na widok publiczny następujące książki: *O uprawie roli* streszczenie dzieła p. Rosenberg-Lipińskiego (der praktische Ackerbau) i do użytku praktycznych rolników zwłaszcza dla rządców i ekonomów zastosowane. Nakład księgarni Gebethnera i Wolffa.

— *Projekt założenia w Warszawie fabryki nawozów płynnych tak zwanych flamandzkich i węgla uwierzęconego* przez Adama Bućkiewicza, w drukarni Aleksandra Lewińskiego.

— *Buchalterya pojedyncza i podwójna* nakład księgarni Centnerszvera. *O stowarzyszeniach zaliczkowych, a w ogólności o kassie pożyczkowej Warszawskich przemysłowców* napisał Józef Kirsztot. Skład w księgarni Gebethnera i Wolffa. *O Prawie stron do pojednania się w przestępstwach prywatno-publicznych* przez Feliksa Jeziorańskiego (oddruk z Przeglądu Sądowego).

— Z drukarni Rządowej przy Okręgu Naukowym Warszawskim wyszedł: „*Rocznik Sądowy na rok 1870.*“ (w 16-ce str. 288—11.) od str. 159: mieści się część ważna i zajmująca prawników p. n. *Jurisprudencja Senatu.*

— Z drukarni Gazety Polskiej wyszedł przedruk *Prawa o procentach ze stanowiska historycznego, prawnego i Ekonomicznego.* Opracował Józef Kirsztot *Magister Prawa i Administracyi!!* (w 8-ce str. 114).

— Eustachy hr. Tyszkiewicz, rozpoczął druk nowej pracy: „*Źródła do dziejów Kurlandi i Semigalii*“ z czasów Karola Krolewica P. i Księcia Saskiego a syna Augusta III. Materiały po temu bogate znalazł w kraju i zagranicą, razem zebrane dadzą nam dokładny obraz płochości charakteru męża Franciszki Krasieńskiej której pamięć tak uroczo odżywiła Klementyna Tańska w ślicznej swjej powieści, ogłoszonej w *Rozrywkach dla dzieci* p. n. *Dziennik Franciszki Krasieńskiej.* Zarazem zyskamy niemało szczegółów do tła tamtych czasów, i osób przeważnie na niem występujących.

— *Kaliszanin*, Gazeta miasta Kalisza i jego okolic wychodząca dwa razy na tydzień, zaczęła swe życie od 1 stycznia r. b. pierwotnie pod redakcją p. Ad. Chodyńskiego, a następnie Jana Tańskiego. Jest to jedno z najlepszych pism prowincjonalnych. Oprócz wiadomości ważniejszych urzędowych i miejscowych, podaje *Dzieje i opis Kalisza i kronikę miasta*, Adama Chodyńskiego; teraz zaś: p. n. *Dzieje i opis Kalisza*; znany badacz dziejowy, i archiwista miejscowy, Józef Szaniawski drukuje: *Archiwum akt dawnych*. W odcinku umieszczane są krótkie powiastki udatne i artykuły lżejsze. Od objęcia redakcyi przez p. J. Tańskiego, widziimy od czasu do czasu w dodatku wprowadzone trzy figury *Przypinałskiego*, *Docinałskiego* i *Jamsia Cwieczka*, wiodące z sobą rozmowę, satyryczną i epigramatyczną treści, nieraz z prawdziwym dowcipem i humorem. Nierzadko spotykamy się z prawdziwymi utworami poetycznymi wysokiej wartości, jak Deotymy, Odyńca i Jana E...ly Stożka. Ostatni urodzony w Kaliszu, napisał śliczny wiersz poświęcony temu grodowi p. n. *Rodzinnemu miastu*; wydrukowany w N-rze 14 *Kaliszanina*. Jest to utwór pełen prostoty i rzewnego uczucia, z namaszczeniem skreślony. Nie możemy pominąć *Wesołej piosenki* A. E. Odyńca, napisanej dla *Kaliszanina*, która była oddeklamowaną na tle polki hulaszczej na drugim koncercie Alexandra Chodeckiego w Kaliszu, w pierwszej połowie kwietnia r. b.

Caca, dziecieczki, caca!
 Hulajcie, skaczcie śmiało;
 Precz wkąt rozwaga, pracaj!
 Na co się to wam zdało?

Pal tam dyabeł każdego,
 Co was ku nim nawraca,
 Głupiec! Co mu do tego?
 Caca, dziecieczki, caca!

Mamże nad tém myśl nużyć,
 Jak się świat ten obraca?
 Dość wam umieć go użyć!
 Caca, dziecieczki, caca!

Ten grunt, co życie nasze
 Rozwesela, nie skraca,
 Suszcież nie mózg, lecz flaszel!
 Caca, dziecieczki, caca!

Jasne oczko, a złoto,
 To świat słońcem ozłaca!
 Dbajcież tylko więc o to!
 Caca, dziecieczki, caca!

Grosz, co który dostanie,
Niech wnet rozkosz opłaca!
Kąpcie Wenus w szampanie;
Caca, dziecieczki, caca!

Mniejsza co będzie potém,
Kto tam przyszłość namaca?
Życie, nie myśląc o tém!
Caca, dziecieczki, caca!

Wiecie, jaką cyrk wrzawą
Grzmi na widok pajaca,
Tak i wam świat da brawol
Caca, dziecieczki, caca!

— W Berlinie u L. Oehmigka, wyszedł znany poemat satyryczny Krasickiego *Monachomachia*, w przekładzie Dr. Alexandra Winklewskiego. Krytyka miejscowa, mówiąc że co do języka tłumacz „mógłby niejednemu pocie niemieckiemu za wzór służyć”, dodaje: „przekład p. Winklewskiego jest miarowy a mistrzowski, co musi dziwić każdego, komu znane są niezmierne trudności przekładu utworów poetyckich, z języków innych na niemiecki. W tłumaczeniu wszystko brzmi wybornie, myśli i zwroty oryginału są oddane naturalnie i bez przymusu”.

— W Kijowie, za upoważnieniem władzy, jak donosi Gazeta Polska w Nrze 94, staraniem Ignacego Trusiewicza, ma być wkrótce wydane dzieło zbiorowe p. n. *Kwiaty i owoce*. Ma się tu mieścić dramat Alexandra Grozy, *Mistrz Twardowski*, i artykuły znanego z talentu i pracy pisarza A. Nowosielskiego (Marcinkowskiego).

— W połowie maja r. b. w Toruniu, komitet wybrany na ostatnim sejmiku toruńskim odbył przedwstępne posiedzenie, celem przygotowania obchodu, przypadającej w roku 1873 czterechsetnej rocznicy urodzin Kopernika. Komitet zaprosiwszy do grona swego różne znakomitości, zwołał na dzień 11 czerwca, powtórne zebranie w szerszym komplecie.

— W Krakowie zawiązała się komisyja historyczna na wniosek Karola Estrejchera, do wydawania materyałów historycznych. Przewodnictwem naukowe objął Józef Szujski. Fundusz na pierwsze wydatki przenosi tysiąc reńskich. Wydawnictwo rozpocznie się od dokumentów do epoki Zygmunta Augusta, najobfitszej w wielkie wypadki dziejowe.

— We Lwowie wyszła niedawno rozprawa p. n. *Stanisław Orzechowski i wpływ jego na Rzeczpospolitą w obec reformacji XVI wieku. Rzecz historyczna. Napisał L. Kubala Dr. filozofii*” (w 8ce str. 120). Znakomite to studyum, przez wyższość poglądu i krytykę, zarówno dające dokładny życiorys Orzechowskiego, jak wyborną ocenę pism jego, zasługuje ze wszech względów na ob-

szerne sprawozdanie, ażeby okazać całą wartość tej szacownej pracy i niepośledni talent młodego pisarza.

— W drukarni E. Winiarza wyszła z pod prasy powieść współczesna: „Hazardy” przez Władysława Łozińskiego.

— Ze Lwowa z drukarni E. Winiarza otrzymaliśmy broszurkę ze 4ch kartek złożoną, w maju r. b. wydaną, p. n: „Błędy w Herbarzu Kacpra Niesieckiego poprawne przez wielmożną pannę Teodozyę Paparównę autorkę pism literackich i utworów muzycznych, wynalazicielkę trzech klawiatur dla ułatwienia gry na fortepianie, wyłącznie uprzywilejowanych w roku 1855 przez N. Cesarza Austryackiego Franciszka Józefa I, tudzież szkoły fortepianu również uprzywilejowanej w roku 1859.”

Błędy Kacpra Niesieckiego ograniczają się głównie na tén, że wydrukował rok 1685, kiedy Jerzy Papara został za zasługi wojenne w komput rycerstwa polskiego policzony, a powinien być rok 1658, i sama panna Paparówna dopuszcza, że to mogła być myłka druku. Po krótkim wstępie jest ten przywilej cały w przekładzie z łacińskiego oryginału wydrukowany.

— We Lwowie od początku 1869 roku, ukazało się czasopismo p. n. „*Wiadomości z dziedziny stenografii i kaligrafii*” jestto organ „Dyrekcji polsko-ruskiego towarzystwa we Lwowie” i wychodzi ciągle. W Warszawie przedpłata roczna wynosi rs. 1 kop. 80. Na prowincyi rs. 2 kop. 50 z opłatą pocztową.

— Z powodu zamieszania jakie się w pisowni naszej okazało po porzuceniu zasad położonych przez b. Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk, Towarzystwo Naukowe Poznańskie postanowiło odbyć zjazd w Poznaniu w kwestyi ustalenia pisowni, i zawezwało do współdziałania literatów i profesorów. Towarzystwo Pedagogiczne Lwowskie w dniu 14 kwietnia r. b. uchwaliło wybrać komisyję ortograficzną z trzech profesorów, trzech literatów i trzech publicystów. Do komisyji ortograficznej lwowskiej wybrani zostali z grona profesorów Dr. Euzebiusz Czerkawski, Adam Kulickowski i Bronisław Trzaskowski; z grona literatów: Dr. Antoni Małcki, Henryk Szmitt i Dr. Władysław Wisłocki; z grona publicystów Jan Dobrzański, Władysław Łoziński, i Karol Widman. Zjazd ten w sprawie językowej, już się odbył dnia 7 czerwca r. b. w Poznaniu.

— Najnowsze prace artysty Walerego Eliasza są na Wystawie Krakowskiej. Jeden obraz przedstawia Twardowskiego czarodzieja, gdy mu się djabeł ukazuje w kieliszku wódki. Drugi wyobraża chrześcijańską męczennicę, rozpiętą na krzyżu, zostawioną w pustkowiu, na pastwę żarłocznych zwierząt. Promyk nadziei z nieba, ku któremu zwraca wzrok niewiasta, oświeca postać jej w bieli, a okryciem szkarłatnym. W dali widać odchodzących siepaczy: z drugiej strony gromada wilków wietrzy nową zdobycz. Tenże artysta, otrzymał w Wiedniu premium, za szkic: „Stanisław Żółkiewski pod Cecorą. (Wspominaliśmy o tym obrazie w przeszłym zeszycie naszego pisma). Dyrekcya Au-

stryackiego Kunstwercjnu, właśnie prowadzi z nim umowę, o wykonanie tej kompozycyi na większe rozmiary. P. Eliasz posłał szkic swój do *Kompozycyjnego Konkursu*, tym większy zaszczyt dla niego, że nagroda przysądzoną mu została, pomimo licznie ubiegających się o nią artystów rozmaitej narodowości.

— Pod redakcją księdza Hermana Koelinga zaczyna wychodzić na Szlązku Pruskim czasopismo w języku polskim p. n. *Hasło Ewangeliczne*. Obecnie wychodzą na Szlązku dwa pisma peryodyczne kościelne polskie: *Zwiastun Górno-Szlązki*, i *Katolik*.

— W Prusach Zachodnich w *Peplinie* wychodzi już rok drugi, tygodnik ilustrowany rolniczy przemysłowy i prawniczy p. n. *Rolnik*. Przedpłata roczna w Warszawie wynosi rsr. 1 kop. 80. Na prowincyi rsr. 2 kop. 50.

— Starożytne cmentarzyska przedchrześcijańskie i mogiły oddawna zwracały uwagę naszych badaczy. Przeszło od wieku, wydobyte z łona ziemi zabytki, rozrzucone po prywatnych zbiorach, w większej części nie będąc otoczone odpowiednią troskliwością, marniały bez użytku dla nauki, a ślad nawet wielu miejscowości, zaginął w pamięci. Od pół wieku dopiero zaczęto skrzętniej w tym przedmiocie się zajmować, opisywać szczegółowo przedmioty w wykopaliskach znalezione i w rysunkach przedstawiać. Najwięcej w tej rzeczy położyło zasługi Towarzystwo Naukowe Krakowskie, a głównie w łonie jego utworzony wydział archeologiczny. Przed kilkunastu laty wydał on wskazówki i objaśnienia jak postępować należy, przy rozkopywaniu mogił i cmentarzysk, ażeby przechowane w nich pamiątki, bez szkody wydobywać można. Równocześnie powzięto myśl, narysowania mapy dawnej Polski, i na niej oznaczenia miejscowości, w których okazały się tego rodzaju zabytki, z objaśnieniem szczegółowym wykopalisk. Na posiedzeniu oddziału Archeologii i Sztuk Pięknych w Towarzystwie Krakowskim odbytém dnia 26 marca r. b., professor Dr. Józef Łepkowski zdał sprawę z czynności komisyi co do pomienionej mapy archeologicznej, i przedstawił znaki przyjęte dla epoki przedchrześcijańskiej, prof. Łuszczkiewicz zaś znaki dla epoki chrześcijańskiej, a głównie dla mapp historyi sztuki krajowej. Znaki powyższe z małemi odcieniami przyjęto: odnoszące się do epoki przedchrześcijańskiej uchwalono, stosownie do wniosku komisyi, przedstawić jako sprawę między narodową zjazdowi archeologów w Bolonii, za pośrednictwem Alexandra hr. Przezdzieckiego.

— W Krakowie wyszły: „Listy z czasów Jana III i Augusta II, wydane przez G. B. W. i Władysława Skrzydyłkę” (w 8ce, str. 135). W dziele tém są listy Krzysztofa Grzymułtowskiego wojewody poznańskiego, Marcyana Ogińskiego wojewody trockiego, najliczniejszy zbiór Kaczanowskiego z lat 1683 do 1684 i list Chryzostoma Załuskiego z r. 1709. Wydane te zabytki, dodają nie mało szczegółów i wyjaśnień, tak do traktowania z Moskwą o pokój, jakoteż malują zajmujące sprawy na dworze królewskim,

i stosunki jego z przemożnym domem Sapienhów; wreszcie inne, odnoszą się do wojny szwedzkiej z czasów Augusta II. Ażeby czytanie listów uczynić przystępniejszem i dogodniejszem, przełożono na język polski wyrazy i zdania łacińskie; łacinę zaś pomieszczono w przypiskach. Wydawca prócz tego załączył alfabetycznie uporządkowany spis osób i miejsc wspomnianych w listach i sporządził z niemałą pracą dla łatwiejszego dat dochodzenia kalendarzyk od 1683 do 1684 roku. Wydanie okazałe i staranne.

— Dwóch nieznanych dotąd literatów, pisze po francuzku i drukuje. P. Bolesław Łopaciński, zamieszkały w Wilnie ogłosił w Paryżu ważne studyum do dziejów naszych „*Charles de Saxe, duc de Curlande, sa vie, sa correspondance*: (Karol Saski książę Kurlandzki, jego życie i korespondencya). P. Ksawery Gnoiński wydał także w Paryżu zajmującą monografią historyczną: „*Dixsept mois de lutte à Venise*.“ (Siedmnaście miesięcy walki w Wenecyi). P. Łopaciński do swój pracy, oprócz źródeł drukowanych korzystał z rękopismów, ukrywających się po prywatnych zbiorach, a nadto z licznych i obszernych listów pisywanych przez księcia Karola do jednego z przodków autora. Syn Augusta III króla polskiego i saskiego książę Karol, krótko zajmujący tron księstwa Kurlandzkiego, już nieraz występował w utworach naszych literackich. Mamy tu na myśli, jedną z najpiękniejszych powieści historycznych: „Dziennik Franciszki Krasieńskiej.“ Klementyny Tańskiej (późniejszej Hoffmanowej). P. Gnoiński syn b. doktora powiatowego w Nowogrodku, od lat wielu zamieszkały na Południu z powodu choroby piersiowej, zebrał na miejscu szacowne dokumenta i szczegóły bohaterkich usiłowań Wenecyi w nieszczęsnej walce 1848 roku o niepodległość półwyspu Apenińskiego. Pracę w poważnym tonie historycznym, wytworną francuzczyzną napisaną, autor przypisał: „pierwszemu żołnierzowi włoskiemu.“ Królowi Wiktorowi Emmanuelowi.

— Dnia 8 października r. b. ma się odbyć w Bolonii zjazd archeologów. Professor Uniwersytetu Jagiellońskiego Dr. Józef Łepkowski i Alexander hr. Przeddziecki powołani zostali na członków komitetu pomienionego zjazdu.

— Bibliotekę po zmarłym A. Z. Helclu kupiła hrabina Adamowa Potocka za 8000 reńskich. Kupno to nastąpiło za życia jeszcze jego, ale pozostawała w ręku pierwszego właściciela, aż do jego zgonu. Juliusz Kossak sprzedał swego Mohorta za 800 reńskich, i otrzymał zaraz zamówienie na obraz tegoż rozmiaru z *Pacholecia hetmańskiego* W. Pola.

† Dnia 5 marca r. b. w Zurich zakończył życie znakomity malarz Jan Moraoczyński rodem z Wołynia, mając lat sześćdziesiąt kilka. Ukształcił się w sztuce malarskiej w akademiach Wiedeńskiej i Mnichowskiej, pod sławnymi mistrzami Amerlingu i Kaulbachu; następnie udał się do Florencyi, Wenecyi i Rzymu, gdzie na niepożytych wzorach wielkich mistrzów, Rafaela, Michała Anioła, Rubensa, Leonarda da Vinci, Corregia i innych, talent swój do wysokiego stopnia rozwinął. Poświęciwszy się wyłącznie religijno-historycznemu malarstwu, w roku 1841 wymalował w dużych rozmiarach obraz, przedstawiający Ś-go Romualda. Papież Grzegorz XVI, zachwycony tém dziełem, które dziś zdobi Watykan, po udzieleniu mu, na osobnem posłuchaniu błogosławieństwa apostolskiego udzielił zarazem medal wielki złoty pierwszej klasy. Po kilkunastu latach wróciwszy na Litwę wykonał obraz Ś-go Iwona, w wielkich rozmiarach, zdobiący dotąd kościół Ś-go Jana (były uniwersytecki) w Wilnie. Malował i portrety odznaczające się wyborném wykończeniem artystycznym i podobieństwem. Pracował i piórem. W Zurichu wyszły *Psalmy* w polskim języku. Dzieło obszerne filozoficzne po niemiecku p. n. *Ein wort an der Zeit!!* jest w Zurich pod prasą na ukończeniu.

† Dnia 3 czerwca r. b. zmarła w Warszawie *Zofia z Chłopińskich Klimañska*, znana pisarka pod pseudonimem *Zofii z Brzozówki*. W *Pamiętniku literackim* R. Podberezkiego, i w *Gwiazdzie* Dołęgi, były jej pierwsze utwory literackie jak: *Samojedy salonowe* i *Kapelusz cudowny*, odznaczające się tak talentem, jak silnym nieraz dowcipnym duchem satyrycznym, chłoszczącym śmiało grzechy naszej społeczności. *Kapelusz cudowny* wyszedł i w oddzielnej książce. Żyła lat 58. Pochowana została na Cmentarzu powązkowskim. W ostatnich latach mieszkała w powiecie nowo-alexandrowskim.

† Dnia 7 czerwca r. b. w Krakowie zakończył życie w rodzinném swoim mieście Jan Kanty Turski literat, współpracownik wielu pism czasowych; za przybyciem do Warszawy, objął redakcyę tygodnika *Bazar* wydawanego nakładem J. Kaufmanna. Ale za pojawieniem się *Bluszczu*, Bazar musiał ustąpić z pola. Turski ogłosił powieści: *Ocalona*, *Życie bez jutra*, *Dalecy krewni* i kilka utworów wierszem. Wróciwszy do Galicyi, otrzymał miejsce nauczyciela gimnazyalnego w Kołomyi. Zmarł młodo, urodził się bowiem w r. 1833.

† Dnia 10 czerwca r. b. zakończył życie w Warszawie po długiej i ciężkiej chorobie Stanisław Bogusławski, syn twórcy teatru polskiego, a komedyo-pisarz niepośledniego talentu i dowcipu. Zapisujemy tu tylko datę śmierci zgasłego meża, który nietylko jako literat zasługuje na chlubne wspomnienie—bo talentowi jego odpowiadała prawość i szlachetność charakteru; życiorysy bowiem ś. p. Bogusławskiego podała *Encyklopedia Powszechna* a więcej szczegółowo *Kłosa* w Nrze 88 z r. 1867.



Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca Józef Berger.

W drukarni Gazety Polskiej (J. Bergera), ulica Daniłowiczowska, Nr. 619.

Дозволено Цензурою, 15 Іюня 1870 г .

NIE W PORĘ.

POWIEŚĆ.

PRZEZ

Teresę Prażmowską.

(Ciąg dalszy).

List XVI.

MICHALINA DO NATALII.

Dnia 10 czerwca.

Pan Zygmunt przyjechał, Natalio, najniespodziewaniej spotkaliśmy się w Podzamczu. Nic nie wiedziałam o jego przyjeździe i gdy wchodząc we drzwi domu, oko w oko spotkałam jego spojrzenie, przyznaję... zakłopotalam się trochę i nie bardzo wiedziałam, jakim słowem go przywitać, bo już téż, prawdę powiedziawszy, rozstając się, nie przypuszczaliśmy oboje, że się powitamy jak ludzie, z których każde osobno pójdzie przez życie. Ale człowiek zamierza, Bóg rozrządza, czy może to człowiek samowolą swoją wikła czasem logiczny układ Bożych rozrządzeń?... ja nie wiem... dość że pierwsza chwila była nam zobopólnie bardzo przykrą, bo czuliśmy oboje, że stosunek w jakim względem siebie stoimy, nie jest tak ściśle i stanowczo oznaczony, jak nim być powinien każdy stosunek towarzyski. Jeszcze się więcej zakłopotalam, gdy może w godzinę po mojem przybyciu i Munio przyjechał do Podzamcza. Zazdrośną i wyłączną miłością swoją oświecony, odgadł on prawie intui-

cyjnie, że pan Zygmunt uczynił był na mnie głębsze wrażenie, niż zwykli czynić inni ludzie; zwyciężona upornością i goryczą jego badań opowiedziałam wszystko Muniowi, więc téż Munio wchodząc do salonu zachmurzył się i pobladł gniewném wzruszeniem, spojrział na mnie z wymówką, z niechęcią prawie, a panu Zygmuntowi skłonił się tak sztywnie, że widoczném było jak małą miał ochotę oddać mu ten ukłon, którego wymagały po nim przepisy towarzyskiej grzeczności. W tém położeniu tak nie miłém dla nas trojga, chwyciłam się Munia jak deski zbawienia i korzystając z przywilejów jakie mi nadaje oficjalny tytuł jego narzeczonej, byłam z nim taką serdeczną i tak nim wyłącznie zajęta, że sam ten mój sposób postawił już pomiędzy mną a panem Zygmuntem raz na zawsze taki mur nieprzebyty, co przeszłość odgradza od terażniejszości potęgą spełnionego faktu. Powiedz sama Natalio, czy mogłam zrobić inaczej? Muniowi z którym związana jest moja przyszłość, należy się przecie odemnie spokój i szczęścia trochę, należy się nawet miłość moja, a życie tak jakoś fatalnie jest urządzone, że datek jednemu udzielony, pociąga zawsze za sobą krzywdę drugiego: doprawdy nie moja w tém вина.

Michalina.

List XVII.

NATALIA DO MICHALINY.

Dnia 16 czerwca.

Nie twoja вина Michalino? a ja powiadam że twoja. Kto jednemu tylko, jednemu wyłącznie przyrzeka, obietnicą słowa, czy téż spojżenia i uśmiechu, ten nigdy nie staje w położeniu takim, że dotrzymując słowa jednemu, drugiego krzywdzi boleśnie... Życie urządzone jest dobrze, opatrnie i rozumnie, a jeżeli w kolejach jego nie zawsze jest widne miłosierdzie Ojcowskie, to sprawiedliwość Pańska widna wszędzie i zapłata tylko w miarę zasługi dawana bywa... Na życie Michalino, skarżą się tacy tylko, którzy go pojąć nie umieją, lub zaślepieni chwilowym obłudem pojąć nie chcą; wszelka myśl poważna, prawdę miłująca, ilości prawdy w sobie świadoma, *pyta* czasem gdy dróg my-

śli Bożej dośledzić nie umie; ale nie *skarży się*, nie powiada z buntowniczą lekkomyślnością: „złe urządzone jest życie” a jeżeli złe widzi i czuje, to w siebie wnika i samą siebie bada uważnie, sumiennie, żeby dojść z jakiej przyczyny powstało złe istniejące? A wypadkiem do którego prowadzi takie sumienne badanie, będzie zawsze świadomość prawdy... Czy próbowałaś tego Michalino? i co ci odpowiedziało twoje sumienie? Nie wiem... nie wiem już doprawdy jakim słowem odezwać się do ciebie i jak ci powiedzieć myśl moją; tyś dobra w gruncie, serdeczna, kochająca, a przytem silna wolą i poważna myśli kierunkiem, poważna pojęciami twojemi, dlaczegóż ty kłamiesz sama sobie i głównie zdajesz się na to pracować, żeby skryć wszystkie rzeczywiste zalety twojego charakteru, zasłonić je konwencyonalną naturą i ukazywać tylko strony ujemne, powiększając części u ciebie przez ciebie samą wmówione. Ileżto ludzi zrażonych twoją szorstkością, chłodem i drwinkami, odchodzi mówiąc: ta kobieta nie ma serca, ileż innych z tém samem słowem odchodzi, takich którym długo pozwoliłaś patrzeć w swoje oczy, aż im się zawróciła głowa i rozmarzeni poszli do ciebie z prośbą, żebyś słowem potwierdziła ich nadzieje. A tyś wtedy odpowiadała zdziwiona: „ależ ja pana nie kocham” i zdziwiona pytałaś się naiwnie zkąd im przyjść mogła do głowy myśl podobna? Michalino.. jeżeli to zabawa kobiety znającej siłę swoich uroków, to zabawa taka ciebie nie godna; jeżeli poszukiwanie i próba która ci ma dać znajomość serca ludzkiego, wiarę w ludzką uczucie i tą wiarą wzajemność obudzić w tobie, to próba ta jest samolubna, poszukiwanie niemiłosierne a doświadczeń psychologicznych nie godzi się odbywać *in anima nobili*. Jeżeli takie postępowanie jest wynikiem serdecznego ubóstwa i moralnego kalectwa, co ci nie dozwala ukochać, a każe pragnąć kochania, to mi żal ciebie, żal bardzo a jeszcze więcej żal mi tych co cię kochają i kładą w tobie swoje nadzieje. Żal mi nawet tego Munia którego miłość dziś przyjęłaś i pozwalasz mu wierzyć że za nią bierze od ciebie prawdziwą wzajemność. O panu Zyguncie nic już nie mówię, w mojem przekonaniu ten człowiek stoi tak wysoko, że czołem góruje po nad chaosem życiowym; jeżeli mu burze serc serce zranią, to na czole mieć będzie pogodę: sam siebie zwycięzko pokona nie skarżąc się ani téż powtórnie prosząc o to, czego pierwszą pro-

sbą nie zyskał. Dziwię się tylko że myśl twoja i znajomość ludzi nie potrafiły dać ci przeczucia i uznania téj siły bohaterkiej, tego orlego polotu ducha... dziwię się żeś nie zapragnęła wlecieć za orłem ku jasnościom ideału. A jednak z tą samą co dawniej przyjaźnią, powiadam ci Michalino: Bóg z tobą, dziś więcej niż kiedykolwiek.

Natalia.

List XVIII.

ZYGMUNT DO ANIELI.

Dnia 20 czerwca.

Masz słuszność, siostró moja, ja nie chcę zmarnieć w boleści, nie chcę by wszystka siła na którą całe życie pracowałem, złamała się w starciu... z kaprysem kobiecym po prostu. Powiedziałem sobie i sam sobie słowem niezłomnym przyrzekłem że się opanuję, powściągnę, pokonam a jeżeli boleść będzie mi palić i szarpać serce rozkochane, to tego bólu i miłości nie zdradzę niczem, nietylko słowem, ale nawet spojrzeniem, i oboje zabiję milczeniem. Ale tobie jednej, Aniello, tobie powiedzieć mogę jeszcze, że miłość moja istnieje, że ona jest mi myślą każdéj chwili taką stałą, nieodpartą myślą, co może w końcu złamać najtwardszą nawet wolę i walką wyczerpać jéj zasoby. Bo nie myśl siostró ukochana, żebym nie walczył zawzięcie; w duchu moim dwie wrogie potęgi poszły z sobą w zapasy: trzeźwa potęga woli z miłości mocą szaloną, nie wiem która zwycięży... wiem że cierpię potępieńców męki, zem znużony i rozbolały i wreszcie gniewny prawie na siebie, bom się dotąd mniemał być silniejszym.

We dwa dni po mojem przybyciu do Podzamcza, przyjechała tu pani Michalina. Tola była w ogrodzie, ja więc sam wyszedłem powitać przybyłych, niewiedząc jeszcze kogo witać będę. Ona także nie spodziewała się zapewne mnie widzieć, więc zadziwiona, nie umiała ukryć zadziwienia i jakieś przykre wrażenie, nie wiem: niechęci-li, obawy, czy żalu, rumieńcem na twarz jéj wybiegło, jam milczał, bo i cóż miałem mówić? o co ją pytać? Ona milczała także, aż wreszcie po długiej chwili pierwsza przysła do siebie i zapytała o Tolę. Potem pytała od jak dawna tu jestem,

czy z wyjazdem Jerzego spadło mi na głowę dużo zajęć i kłopotów gospodarskich; pytała obojętnie, bez żadnego zakłopotania, i zręczna a niemiłosiernie chłodna kobieta prowadziła już rozmowę tak swobodnie i łatwo, jakby między nami dwojgiem nie zostało wymówionem żadne słowo które przyszłość dopowiedzieć miała. Daremnie z natężeniem rozpaczem śledziłem w jej oczach jednego błysku, coby mi przypomniał wyraz przeszłych spojrzeń; daremnie blagając o litość, pytałem ją wzrokiem czy zapomniała przeszłości i prosiłem by przeszłość z terażniejszością uśmiechem związać raczyła: daremnie... na pytanie i prośbę odpowiedzi dla mnie nie było. Znać blaski oczu, nęcące obietnice uśmiechu narzeczonemu chowa wiernie, bo gdy przyjechał pan Rajmund, od razu inną się stała. Nie żądam odepnie Anielo, żebym ci opowiadał szczegółowo, jakimi jasnościami rajskiego szczęścia migąła mi przed oczyma niemiłosiernie, jak była dla niego przymilną i wdzięku pełną, kochającą i słodką; nie żądam bym mówił ci o tém... to już siły moje przechodzi. Miara boleści jaką serce ludzkie pomieścić może, pełna jest we mnie po brzegi, słowa, wspomnienia nawet dodać już do niej nie mogę... dość żem cierpiał rozpacznie i krwawo, cierpiałem milcząc spokojny i obojętny napozór, a w okóło świat Boży wdzięczny się wiosennym weselem, choć w grób się kładły niepowrotnie najpiękniejsze marzenia moje i promieniał miłością wszech stworów, choć miłości mojej nadzieje konały.

Niedługo po jej przybyciu pan Rajmund przyjechał do Podzamcza. Z namiętą, gorączkową ciekawością patrzyłem w oczy człowieka co ma w rękę jej szczęście i będzie towarzyszem jej przyszłości...

I Bóg mi świadkiem Anielo, patrzyłem na niego bez zazdrości niepoczciwej, bez zawistnej niechęci, jedynie z pragnieniem zbadania jego treści wewnętrznej, wejrzenia w głąb jego ducha... I zobaczyłem tyle tylko, że on kocha Michalinę szaloną, gwałtowną, pół-dziecka jeszcze miłością, że siebie w niej i ją tylko dla siebie kocha, bo natura to samolubna i bez hartu, niewyrobiona życiem, niewypróbowana cierpieniem, zero które trudem czynu i pracy nie doszło do wysokości cyfry, i w rachunku społecznym nie ma jeszcze cyfry znaczenia. Takim wydał mi się pan Rajmund w pier-

wszęd chwili poznania, gdy gniewny i niespokojny niespokojem człowieka któremu brak granitowego przeświadczenia o własnej wartości, zasiadł obok Michaliny jak stróż zazdrością nieodstępny i już ani na chwilę nie zostawił jej samęj. Oboje sobą zajęci, mało się mięszali do ogólnej rozmowy, ożywionej przybyciem kilku osób z sąsiedztwa... jam także milczał mocując się z sobą i milcząc patrzyłem na nich oboje, nie zdejmowałem wzroku z jej twarzy, która grą uczuć mieniając się co chwila, piękniejszą niż kiedykolwiek wydawała mi się jeszcze, o! jak precudownie piękną! Czy ty mękę takiej chwili pojmujesz Anielo? czy ty wyobrażasz sobie co cierpi człowiek ze szczytu nadziei strącony w przepaść rozpacz, pchnięciem drobnej dłoni koblécój? tój samęj dłoni, co drugiemu niebo otwiera!

Przy schyłku już dnia nadjechała baronowa z panną Julią. Zmordowany pasowaniem się całodzienném czułem potrzebę uciec od własnej myśli, żeby nią owładnięty nie oszaleć na wieki i zbliżywszy się do wesołego grona rozmawiających, usiadłem obok panny Julii, którój łagodny uśmiech pociąga mnie ku sobie niezwalczonym urokiem słodocy. Mówiłem z nią długo, z początku obojętny i machinalnie tylko podtrzymujący rozmowę, zająłem się wkrótce tą śliczną istotą, co tak poważnie i zacie, przez pryzmat kochającego serca, spogląda na ludzi i życie. Odszedłem, olśniony tym Bożym blaskiem prawdy co duszę kobiecą opromienia i stroi ją w piękność ideału, odszedłem, marząc jakim skarbem w rodzinie, jakiem błogosławieństwem w życiu stać się może łagodna i mądra istota, która uśmiechem nikomu zawodnych nie rzuca przyrzeczeń, a słowem całą myśl swoją wypowiada otwarcie. I po tém marzeniu jeszcze mi smutniej Anielo, bo przyszła na mnie chwila w którój ciche szczęście domowe, własne ognisko i rodzinne kółko ukochane, stały się jedynym celem moich pragnień. Znać duch męzki doszedłszy do najwyższego stopnia swego rozwoju, potrzebuje pomocy koblécój duszy żeby nie ustawać w pochodzie swoim, i stać się godnym majestatu człowieczeństwa. Samotny i bezmiłosny karleje dumą lub samolubstwem kamienieje, wystyga niewiarą i zwolna zapada w takie strefy gdzie nie świeci słońce zaświatowych nadziei, tylko promień ludzkiego rozumu blade połyska. Miłości chryzmatem na-

maszczony, siłę swoją zdwaja słodyczą, pracę uzacnia ofiarą, bieg swój uskrzydla jasnym zrozumieniem prawd życiowych i pokorą zwycięzki u celu staje nareszcie... Dlaczegoż ta którą chciałem wezwać do współdziałania w pracy życia, zdeptała uczciwą i poważną miłość moją? dlaczego zraniła mi serce zawodem mało o to dbając że przez tę ranę ujdzie najczystsza krew mego serca? Choćbym przeboleł i zapomniał, już raz drugi z taką mocą ukochać nie potrafię... zmarnowane potęgi kochania nie wrócą się więcéj, jak nie znajdują się perły na morską falę rzucone. Więc żal mi, żal mi, Anielo, nie szczęścia mojego, ale klejnotu darów bożych, smutno mi żem zubożał i że rozbrojony z najlepszych sił moich, zniechęceniem śmiertelnie chory staję do walki życia.

Zygmunt.

List XIX.

MICHALINA DO NATALII.

Dnia 1 lipca.

Dobrze ktoś powiedział, że wszelka miłość jest niewolą; ale widać niewola niewoli nie równa, a ta w którą ja popadłam jest najcięższą ze wszystkich na jakie się skarżą jednostki, pokolenia i narody. Munio jest despotyczny, wymagający, zazdrosny, chciałby żeby nie tylko słowa moje i uśmiechy, ale nawet myśli i wrażenia, jego jedynie za cel miały; chciałby mi odebrać mnie samą i w miejsce mego ja, które myśli, pamięta, porównywa i przewiduje, postawić siebie jednego: tak być żadną miarą nie może. Przecież każda najmocniej kochająca kobieta, najwierniej przywiązana żona, ma prawo oddzielić siebie-człowieka od siebie-żony i chociaż przez miłość staje się podległą, to jednak w głębi ducha swojego czuje się samoistną, w sobie skończoną jednostką. Dać się zaabsorbować i pochłonąć drugiej jednostce, to rzecz niemożliwa, ani nawet zbawienna i zasługę niosąca. Kto przywykł stać w życiu o własnej sile i czuje w sobie zasoby samodzielności, ten nie potrzebuje podpory, nie przyjmuje kierownika, ale wybiera towarzysza. Dziecko tylko może się poddać ulegle opiece i zwierzchnictwu: ja dzieckiem przestałam być oddawna, własną pracą zdobyłam sobie niezale-

żność i rozwój myśli; nie jednym smutkiem dobiłam się dojrzałości kobiecój, to téż kobieca myśl moja nie znosi nad sobą żadnej kontroli, nie lubi, nie pozwoli, by ktokolwiek kierunek jój samowolnie w tę lub ową stronę naginał. Powtarzam, tego nie zniosę i w razie potrzeby z hardym stanę odporem. Miłością, słodyczą i prośbą można mnie owładnąć i powieść za sobą, despotyczny rozkaz i narzucane mi przekonania wywołują we mnie bunt i niechęć, a uczucie jakie mieć mogę w sercu, zużywa się w tych ciągłych starciach i walce o niepodległość moją.

To wszystko co ci napisałam Natalio, wywołane zostało sprzeczką z Muniem, którój rezultat jest taki, że ja wyszłam do swego pokoju, wzbraniając mu iść za mną, a on kazał podać sobie konia i wyjechał nie mówiąc nikomu gdzie jedzie. Szczęśliwój podróży! niech nie wraca póki ja nie ochłonę z gniewu i rozżalenia a on nie spokojnieje tęsknotą za mną....

Od kilku tygodni byłam czegoś nie swoja... rozdrażniona i w złym humorze, widać muszę być chora na nerwy. Wszystko mnie gniewało i niecierpliwiło a nawięcej Munio który przeproszał mnie za to, że jestem w złym humorze, bo trzeba ci wiedzieć Natalio, że on sobie wyobraża, że cały świat moich myśli i uczuć ześrodkowuje się w nim jednym, że po za nim powinny już być dla mnie same pustki i ciemności. A tak nie jest dla dwóch powodów: pierwsze że taka miłość romansowa co dwie dusze nierozłącznie zaślubia wydaje mi się niemożliwą i nieprawdopodobną, powtóre: że choćby nawet była możliwą, to ja go nie kocham taką miłością, i śmieszném, nierozsądném, nieznośném znajduję, żeby jój odemnie wymagał.

Tak mnie wreszcie znudził swoją sentymentalną czułością, tak mnie zniercierpliwił i zmęczył powtarzając mi od rana do wieczora że jestem najśliczniejsza, najmędrsza, najdoskonalsza, że go w końcu prosiłam aby chciał być trochę mniej czułym i mniej trochę mnie kochać, a część téj miłości dzisiaj zaoszczędzoną zostawić na późniejsze czasy. Wyobraź sobie Natalio, to moje arcy-rozsądne zadanie obraziło go mocno i powiedział mi że nie umiem cenić cudzej miłości.

— Owszem, przeceniam ją, jak myślę—odparłam mu na to—bom dotąd wierzyła w twoją, a pokazuje się że ona jest tylko kaprysem i egoizmem.

— Mniejsza o to, czém sądzisz być miłość moją—odpowiedział mi Munio porywczo—nie wiele ci pewno zależy boś przywykła marnować cudzą miłość, co dowodzi że nie umiesz się poznać na jej wartości.

— Rzeczywiście nie wiele mi na tém zależy, czy mnie kochasz lub nie—odciągam się Muniowi natychmiast—ale tłumacz się jaśniej i popieraj oskarżenie dowodami; na czyjéjże to miłości ja nie umiałam się poznać? powtarzam, chyba tylko na twojej, którą dotąd mniemałam prawdziwą.

— Zapytaj się o to pana Zygmunta—odparł złośliwie i gniewnie jak skarcone dziecko co się chce zemścić na karzącym—zapytaj Michalino, on jako kompetentny, lepiej ci to odemnie wytłumaczy własném doświadczeniem swoim.

— Jeżeli chcesz koniecznie, to mogę się go zapytać, choćby dla tego tylko żeby ci dać dowód przyjaźni,—rzekłam na to szyderczo, obrażona już na tego dzieciaka co mi śmiał robić wyrzuty—ale strzeż się, bo pan Zygmunt zapytany zapewne mi da długą odpowiedź...

I powstawszy z miejsca poszłam ku drzwiom mego pokoju. Munio szedł za mną szarpiąc trzymane w ręku rękawiczki. Stałam już we drzwiach uchylonych, gdy zapytał mnie jeszcze:

— Zajmie cię odpowiedź pana Zygmunta?

— Bardzo—odpowiedziałam trzymając rękę na klamce—tém więcej im dłuższą będzie. Mogę się tak zasłuchać, że mi nie stanie czasu na inną rozmowę....

I cisnąwszy za sobą ten ostatni frazes jak uciekający Part strzałę, zamknęłam drzwi na klucz i przez drzwi rzekłam jeszcze:

— Nie wchodź do mnie, chcę być samą.

— Wcale nie miałem téj myśli—mruknął Munio pode-drzwiami, i poszedł sobie, a w kilka chwil potem koń i jeździec mignęli tylko przed otwartém oknem mego pokoju. Powtarzam: szczęśliwej podróży! Ale powiedz mi Natalio, co z tego będzie i jaką nam przyszłość wróżyć może to gwałtowne, na ostro starcie dzisiejsze? Zły początek już zro-

biony i jak każdy początek dalszym ciągiem dopełniać się musi: powiedz jaki będzie koniec? Tak żyć w ciągłym szamotaniu się i kwasach ludziom, którym obowiązek każe żyć w miłości i zgodzie, to nie możebna. A jak żyć w miłości i zgodzie obok człowieka, który jest wcielonym despotyzmem, który nie ma téj siły łagodnej ani téj mądrej pobłażliwości jaką daje dojrzałość moralna? Rozwiązanie tego problematu męczy mnie i niepokoi więcej niż ci to wypowiedzieć potrafię; dzięki Bogu przynajmniej że ta burza wybuchnęła w nieobecności pani Heleny, która od tygodnia pojechała do siebie żeby przysposobić dom na moje przyjęcie. Gdyby tu była, rozpieszczony Munio poszedłby na skargę do mamy, a mama gotowaby mi zadać pokutę że tak niegrzecznie obeszłam się z jój pieśczochem: myśl że mnie to niebezpieczeństwo ominęło jest moją jedyną pociechą. Mimo to jednak jestem niespokojną i prawie smutną, trwoży mnie przecucie przyszłych burz, a nie widzę sposobu któryby nie dozwolił ich uniknąć i skutecznie zabezpieczył mnie przed niemi....

Kochaj mnie Natalio, kochaj mnie tą samą serdeczną a surową w serdeczności swojej przyjaźnią, na którą tak liczyć przywykła kochająca Cię niewdzięcznica.

Michalina.

List XX.

ZYGMUNT DO ANIELI.

Dnia 3 lipca.

Nieprzebraną jest miara cierpienia w duchu ludzkim, jedno po drugiem bije w serce, jak bije o skałę wzburzona fala oceanu, a to serce pozbawione obojętności skały, ma jednak jój wytrzymałość niespożyta: nie rozpada się chociaż cierpi, i cierpi zawsze, chociaż z boleścią już obeznana...

Wczoraj czy pozawczoraj, nie pamiętam już kiedy, bo myśl moja znużona nie umie sobie dokładnie zdać sprawy z upłynionego czasu, siedziałem samotny w ganku na ogród wychodzącym, bezmyślnie patrząc na ten piękny świat zewnętrzny co mi był dotąd najzdrowszym dla myśli żywiołem, nieprzebraną skarbnicą pojęć i uwag. Dziś wstrząśnienie

które przeszedłem, odebrało mi równowagę moralną, rozstrojony jestem w duchu, myślami chwiejny i sam sobie obcy prawie.

Byłem sam w domu. Jerzy od kilku dni wyruszył w podróż, Tola z baronową i panną Julią wyjechała w sąsiedztwo, pani Morska dzieci na spacer powiodła. Żadne z nich nie próbowało nawet mnie namawiać, żebym im towarzyszył w odwiedzinach lub przechadzce, znać z chmurnej twarzy mojej odgadły kobiety, że mi samotność najpożądanejszym dobrem, najzbawienniejszym lekarstwem. Wdzięczny im za to, po raz pierwszy oddawna poczułem się swobodniejszym, prawie szczęśliwy byłem myślą, że przez kilka godzin nie będą na mnie ciążyły więzy przymusowego spokoju. Samotny, samotnością odwagi nabrawszy, po raz pierwszy wywołałem pamięcią widmo przeszłości i zmierzyłem się z niemi oko w oko i zapytałem sam siebie jaką będzie przyszłość człowieka, który taką przeszłość zostawił poza sobą i taką boleść i miłość taką w sercu swoim pogrzebał?

Niespodzianie wyrwał mnie z zamyślenia tentent konia biegnącego szalonym pędem. Brama wjazdowa musiała być zamkniętą, bo jeździec okrążył dziedziniec i spiąwszy wierzchowca przeskoczył przez niski parkan ogrodu. Zdziwiony, zaniepokojony prawie gościem, którego gnał taki pośpiech szalony, powstałem z miejsca zmierzając naprzeciw niemu. Na chwilę załom ulicy skrył mi go po za drzew gęstwiną, słyszałem tylko głos tłumiony zmęczeniem pośpiechu, a głos ten obcy mi, drżący, pytał pracującego tam ogrodnika:

— Czy jest pan Zygmunt w domu?

— Jest—odparł sługa — może pan z konia zsiądzie i każe go przeprowadzić bo biedak aż bokami robi.

Słyszałem że przybyły z konia zeskoczył i ciągle idąc naprzeciw niemu, na zakręcie ulicy którą szedłem, spotkałem się oko w oko z panem Rajmundem. Młodzieńcze rysy jego miały w sobie wyraz gniewu i bólu strasznego, oczy gorączką płonęły, twarz blada od zmęczenia tak dziwnie była zmienioną wzruszeniem, tak skrzywiona jakąś gorzką szaloną rozpaczą, że o wszystkiemi innymi zapomniał i cały jak on wzruszony i drżący, prawie mimowoli mojej rzuciłem mu pytanie niespokojne:

— Co się stało w Książynie?—i gdy milczał głosu wydobyć nie mogąc zapytałem go znowu: co się stało w Książynie? mów pan na miłość Boga!

I musiałem być zmieniony obawą, co mi piersi szarpała, bo coś jakby wyraz politowania i żalu przemknął po bladej twarzy Rajmunda, ale wnet usta szyderczym zacisnął uśmiechem i przez zęby wycedził tylko:

— To pana tak mocno obchodzi? nie ma czego winszować...

— Ja też nie powinszowań wymagam, ale odpowiedzi—domagałem się znowu—odpowiedz mi pan co się stało?

— Wymagasz pan tego koniecznie?—pytał Rajmund tryumfując na widok wzruszenia, którego ukryć nie umiałem. Głosem i wejrzeniem tak widocznie szydził ze mnie złośliwie, że oburzeniem i gniewem wszystka krew we mnie zawrzała, odparłem jednak zwięźle:

— Wymagam.

Spojrzał mi w oczy, jakby chcąc mierzyć się ze mną na siłę i po małej chwili milczenia rzekł niedbale:

— Zdrowiśmy i żywi na pana pociechę.

Nie zważałem już nawet na to złośliwe użycie liczby mnogiej; uspokojony w pierwszej mojej obawie, sam sobie zadałem pytanie po co Rajmund przyjechał do Podzamcza i właśnie miałem go o to zapytać, gdy uprzedzając mój zamiar odezwał się znowu:

— Pragniesz pan zatem wiedzieć po co przyjechałem do pana, bo ja wyłącznie do pana przybyłem—powtórzył z naciskiem.

Po gwałtowném wzruszeniu pierwszej chwili byłem już teraz panem siebie, więc ze sztywną i chłodną grzecznością odparłem na zapytanie:

— Wdzięczny panu będę za to objaśnienie.

— A jeżeli mi się nie podoba udzielić go panu?

Ten dzieciak widocznie mnie wyzywał i drażnił, a nie wiedziałem w jakim celu to czyni, postanowiłem więc trzymać się na wodzy i hamując gniew wołą, mówiłem powoli, patrząc mu prosto w oczy:

— To go będę wymagał i wymaganiem zmuszę pana do mówienia.

— Pan tego pewnym jesteś?—zapytał nawpół drwiąco.

— Najzupełniej—odrzekłem spokojnie, z równą jak przedtém grzecznością—zamiast czas tracić na nieużyteczną słów szermierkę, mów pan co pana tu sprowadza?

Milczał chwilę i szliśmy tak obok siebie w milczeniu. Ja paliłem cygaro, Rajmund trzymaną w ręku szpicrutą ścinał wonne główki kwiatów. Tym razem pierwszy przerwałem milczenie:

— Miałem honor pytać pana przed chwilą co pana tu sprowadza?—powtórzyłem i znowu okiem rzuciłem na Rajmunda, niepewny czy widok jego wyzywającego uśmiechu nie wyprowadzi mnie z ostatnich granic cierpliwości. Ale na ładnej, w pół-dziecinnnej jeszcze jego twarzyczce, był już tylko smutku wyraz, a usta mu drgały łkaniem rozszlochanego dziecka.

— Więc i on także cierpi odkąd kocha—pomyślałem—więc i dla niego zaczęła się już także najstraszniejsza ze strasznych walk życia—i litość mnie zdjęła nad tą wiotką, bezsilną istotą, co nie umiała ukryć bezsilności swojej, przedemną... więcej jeszcze niż obcym. Złagodzony litością zapomniałem prawie że stoi przedemną wróg mego szczęścia i z prawdziwem zapytałem współczuciem:

— Czy panu mogę być w czém użytecznym?

Rajmund podniósł oczy łzami zamglone i podając mi rękę powiedział:

— Wybacz mi pan sposób w jaki do pana przemawiałem... są chwile w których człowiek traci zupełnie moc i władzę nad sobą... ja cierpię, okropnie cierpię... mimowoli może pana obraziłem.

— Nic niemam panu do wybaczenia—odparłem przyjmując podaną sobie rękę—a to co w samej rzeczy mogłem uważać za niewłaściwe, usprawiedliwiam cierpieniem, które aż nadto jest w panu widoczne. W czém potrzebujesz pan mojej pomocy?

— Przrzekasz mi ją pan i słowem zaręczasz przyrzeczenie?

— Przrzekam ją, o ile ona będzie w mojej możności, i w miarę możności zobowiązuję się do niej słowem.

Rajmund znowu zamilkł, jakby bijąc się z myślami w końcu zapytał mnie nagle:

— Pan kochasz Michalinę?

Ugodzony z nienacka tém zapytaniem, uczułem że wszystka krew zbiegła mi się do serca i rzuciła niem gwałtownie, w oczach mi ściemniało i głosu zabrakło mi w piersiach.

— Nie zobowiązywałem się wcale do wyznań dotyczących mnie osobiście—zauważyłem wreszcie, lękając się zwrócić na siebie uwagę Rajmunda tą długą zwłoką w odpowiedzi. Ale Rajmund ponowił pytanie z bezlitośnym uporem dziecka, a w głosie jego była taka prośba usilna takie błaganie rzewne, że nawpół zwyciężony dodałem:

— Co panu zależy na tém wyznaniu które mnie może wiele kosztować? dość panu wiedzieć że pani Michalina nie mnie ale pana kocha.

Ale na te słowa moje, wymówione z nietajoną goryczą Rajmund potrząsł głową ze smutném jakimś zwątpieniem:

— Kto wie?—cicho sam do siebie szepnął, ale te ciche wyrazy, pochwyciło zazdrośnie ucho moje i padły mi one w serce, budząc dźwiękiem swoim samolubne instynkta, złe żądze śpiące w każdej piersi ludzkiej. W tej chwili cała przyszłość szczęścia stanęła mi w oczach jak rajskie widzenie.

— Może mnie ona nie kocha... ja nie wiem... ja nie rozumiem Michaliny.—mówił znów Rajmund smutnie skarżącym się głosem. Ale ona musi mnie kochać—dodał po chwili i pod nabrzmiałą od łez powieką ogniem błysnęły mu oczy—ona musi być moją... ja mam jój słowo, ja nie dam jój sobie wydrzec...

— Więc pan chcesz przemocą zatrzymać serce kobiety i przymusem wymódcz na niój wzajemność?—spytałem surowo i szorstko

— Nie wiem—rzekł Rajmund posepnie—ja nie dam jój sobie wydrzec... słowo które mi dała, zobowiązało ją nieodwołalnie, kaprysem zmieniona może je odwołać, ale tylko nieuczciwy człowiek chciałby z kaprysu korzystać, tylko szaleniec ośmieliłby się gruntować swoje szczęście na chwilowym kaprysie.

Zgrzytnąłem zębami z bólu, bo człowiek ten niemiłosiernie dotykał ran mego serca, a mówił prawdę i nie mogłem z aprzeczyć jego słowom.

— Nikt panu nie myśli odbierać narzeczonej przemocą albo podstępem—rzekłem mu na to, rachując się z każdym słowem ostrożnie—ale jeżeli pani Michalina zwróci panu słowo....

— Panie Zygmuncie—przerwał mi Rajmund porywcz—mówmy otwarcie i bez ogródek. Pan kochałeś Michalinę, pan ją dotąd kochasz i cierpisz nad jej utratą.

— Kto panu daje prawo wglądania w serce moje?—odparłem wyniośle—wiedz pan tylko że pani Michalina nie przyrzekała mi być moją, bo i ja także nie dałbym jej sobie wydrzeć... nie przyrzekała mi nic zupełnie...

— Ale pozwoliła panu mieć nadzieję—podchwycił—i byłaby ją może spełniła, gdybyś pan był przyjechał wcześniej. Jam pana ubiegł—mówił dalej—podejściem prawie zdobyłem jej serce, trafiając w najślabsze jego strony, korzystając z chwili w której rozkołysane nadzieją nie umiało się oprzeć miękkiej pokusie słów miłosnych. Osidliłem jej serce tak, że nie mogło mi ująć bez wzajemności.

— Kto tak dobrze umie osidlać, zapewne jeszcze lepiej zachować potrafi—wtrąciłem rozdrażniony tą przechwałką tak nikiemnie samolubną—nie widzę w tém wszystkiém nic, w czémby moja pomoc mogła być panu użyteczną.

Ale Rajmund nawet nie zważał na moje słowa i za własną tylko idąc myślą, mówił dalej z łagodną prośbą:

— Dzisiaj po przybyciu pana ja się lękam o jej miłość, bo czuję że nie mogę nawet mierzyć się z panem... nie mogę... lękam się; kto wie? może pod wpływem chwilowego kaprysu serce jej znowu się zwróci do pana?...

— Sam przecie pan wyrzekłeś—odparłem poważnie—że tylko człowiek nieuczciwy albo szalenięć sięgałby po szczęście będące darem kaprysu—ja przecie nie jestem jedynym ani drugim.

— Tak, ja wiem żeś pan zacny i silny taką siłą co każdą pokusę odeprze... Więc też dlatego że wiem to wszystko odzywam się do pana z prośbą.

I zamilkł wzruszony, ja milczałem także: scena ta wyczerpywała ostatnie moje siły, brakło mi słów i głosu.

— Nie bierz mi pan jej miłości—kończył po chwili błagalnie—dla pana byłaby ona tylko jednym skarbem więcej, dla mnie jest skarbem jedynym. Jabym nie przeniósł

jój utraty, ja niemam męztwa i hartu... pan z boleścią łamiesz się odważnie...

— Czegoż pan chcesz odemnie?—spytałem nie tając już wstrętnego politowania, jakie budził we mnie ten człowiek, samolub bez dumy i godności: czego pan chcesz odemnie? czy słowa że panu na drodze nie stanę?...

Oczy jego zabłyśły szczęściem, uśmiechnął się prawie z radością, uszczęśliwiony trafnością mego domysłu. Nie potrzebowałem już słownych objaśnień, odpowiedź acz niema, była do zbytku wymową. Człowiek ten lękając się jak mówił, mierzyć ze mną, nie stawał na placu bitwy, ale bezwstydnie prosił żeby go nie wyzywać do walki, prosił żeby mu jak jałmużnę zostawić miłość kobiety.... kobiety, której serce jeżeli na jedną chwilę zabiło żywiej dla takiej istoty ślimaczęj, to już przez to samo dowiodło żebraczego ubóstwa swojego i takiego skarlenia, którego mierze najpowszedniejsza popolitość dorówna. Anielo, com ja cierpiał w chwili kiedy ostatnie moje złudzenie konało, rozczarowaniem zabite, tego ci opowiedzieć nie potrafię. Dziwnie gorzko zrobiło mi się w duszy, świat skarłał mi w oczach i zmałał a myśl moja tak zhardziała pogardą, że mi się przed samym sobą zawstydził téj łzy, co mi powieki paliła.

— I pan dałbyś mi słowo takie?—pytał Rajmund—pan mi przyrzekasz że nie będziesz się dobijać o serce Michaliny? że mi nie odbierzesz jój miłości?

— Bądź pan o to spokojnym—zapewniałem go poważnie—przez szacunek dla samego siebie nie sięgnę po cudzą własność.

— Nigdy?

— Nigdy: nawet choćby jaki kaprys sam mi w ręce narzucił tę własność.

— O! dziękuję panu! dziękuję!—zawołał Rajmund, tak zaślepiony radością, że nie umiał się poznać na gorzkiej ironii słów moich. Pan mi wracasz życie... gdybyś pan wiedział z jaką ja tu gorzką rozpaczą jechałem. Michalina od pewnego czasu, mówił dalej tonem poufnym, jak człowiek który pragnie zwierzyć się przyjacielowi, stała się dziwnie drażliwą i kapryśną, każde słowo moje wywołuje niepojęte burze... Dziś ukłuła mnie w serce takimi niemiłosiernymi słowami, tak złośliwie je wymierzyła na zadanie mi przykrości, że mi

napół oszalał z rozpaczy i trwogi. Wyjechałem z Książyna prawie nieprzytomny, niepewny czy wrócę tam jeszcze, czy będę miał po co wracać po takiej rozmowie. Niebezpieczeństwo wydawało mi się tém groźniejsze, że wszystkiego lękać się mogłem a nie byłem pewny niczego. Kto serce kobiece odgadnąć może?

Niesmakiem zdjęty niewypowiedzianym, powtórzyłem mu raz jeszcze moje przyrzeczenie i tém się zakończyła długa nasza rozmowa. Rajmund chwilę jeszcze zabawił i wnet pospieszył do Książyna, zostałem sam, z nowym bolem pogardy w sercu, z nową żalobą za jedną więcęj utraconą wiarą moją. Bom ja odtąd wierzył, Anielo, że Michalina kocha Rajmunda, i choć wiedziałem że ta miłość jedynie na mocy analogii kontrastów istnieć może, to jednak wierzyłem że tylko egoizmem miłości uwiedziona, mogła mi zadać taki ból straszny. Dziś... i w to nawet wierzyć nie mogę, dziś wierzę w kaprys, w lekkomyślność i w chwilową zachciankę znudzonej a wrażeń chciwej kobiety... a jednak ja ją kocham, kocham szalenie Anielo! Fatalizmem znać urzeczzone serce moje, mocuje się z niém i szarpie, bo myśl moja i duma protestują przeciw takiemu urokowi, i cierpię... cierpię bardzo, a cierpieniem mojem dzielę się z tobą jedną. Ty jedna wiesz i rozumiesz, że ciężka skarga moja nie jest dowodem słabości i miękkiego poddania się boleści, ale krzykiem co z rozbolełego serca się wyrывa, ty wiesz że brat twój pójdzie w zapasy z cierpieniem, chociaż ogrom jego wyczerpałby siły olbrzyma.... współczuciem i modlitwą przyjdź mi w pomoc Anielo.

Zygmunt.

List XXI.

MICHALINA DO NATALII.

Dnia 10 lipca.

Pogodziłam się z Muniem Natalio i tym razem zgoda nasza nie uległa już żadnej zmianie. W kilka godzin po owym tajemniczym wyjeździe powrócił do Książyna, ja byłam wtenczas na dziedzińcu, chciałam się schronić do swego

pokoju, żeby uniknąć spotkania z nim i rozmowy, ale zaszedł mi drogę i odbyła się bardzo patetyczna scena przeprosin, którą jaknajspieszniej zakończyłam, mówiąc mu że się wcale nie gniewam, ale że na przyszłość nie zniosę żadnego kontrolowania moich myśli, bo nie mam w naturze miękkiej uległości, naginać się do cudzego kaprysu nie mogę, nie chcę i nie będę. Munio wysłuchał wszystkiego z zadziwiającą mnie słodyczą, wszystko mi przyrzekł, przeprosił mnie, ułagodził i zupełnie uspokoił, ale ta scena zrobiła mi niezatar-te wrażenie i pamięć jój została mi w sercu przykrém wspomnieniem. Niewypowiedzianie ciężki przymus zastąpił miejsce tego swobodnego zaufania jakie dawniej cechowało stosunki nasze, spokojna słodycz Munia wydawała się nienaturalną mnie, przywykłej do burzliwych objawów jego tyranicznej miłości... ciężko nam było wytrwać z sobą dłużej i znosić się wzajemnie. To też gdy kilka dni temu list matki odwołał go z Kniażyna do domu, prawie rada byłam że trochę sobie wypocznę w samotności i sama siebie odnajdę, i nie zatrzymywałam go wcale, chociaż na upartego mógł być nie jechać... Pojechał, nie wiem nawet kiedy wróci, bo go może dłużej zatrzyma matka, zazdrośna o miłość syna jak wszystkie matki, a Munio nie ma w sobie tyle energii, żeby się potrafił skutecznie oprzeć parcia cudzej woli, on tylko umie narzucać drugim nie *wolę* swoją, ale kapryśne wymagania i dąsać się jak dziecko na tych, co się nie chcą stosować do jego kaprysów. Od dwóch dni znowu jestem samotna, a samotność ta i cisza od której odwykłam przez kilka miesięcy, są mi niezmiernie przyjemne i dają mi możność zebrania myśli dziwnie jakoś po świecie rozpierzchłych. Stojąc na progu nowego życia, czuję potrzebę skupienia się i obrachowania z sobą, wien jakie było wczoraj, dnia dzisiejszego o tyle o ile jestem pewną... nie wiem jaka będzie przyszłość, jakie dziwne niespodzianki może mi przynieść z sobą. Wszystko to razem zebrane, nie pomału mnie niepokoi; może to ten niepokój tak źle oddziaływał na moje nerwy i czynił mnie tak drażliwą; dziś kiedy nie ma komu drażnić mnie zapytaniami, czuję się trochę swobodniejszą... Od pewnego czasu jakoś się przerwały moje stosunki z Podzamczem. Niedawno wprowadzie była u mnie Tola, przyjechała sama na króciutką chwilę, ja nie zebrałam się jeszcze

na odwiedzenie jej. Wiem że nie jest samą, liczne towarzystwo rodzinne jakie ma w domu swoim, czyni mniej potrzebą moją obecność... nie chce mi się tam jechać... nawet nie wiem dlaczego... Ty Natalio, zapewne lepiej to wiesz odemnie, więc zamiast długo gawędzić, muszę już list ten zakończyć.

Michalina.

List XXII.

ZYGMUNT DO ANIELI.

Dnia 15 lipca.

Ile razy nowe wrażenie falą smutku uderzy mi w serce, tylekroć tym przybytkiem boleści dzielę się z tobą wiernie ukochana siostrzo moja, bo wiara w twoją serdeczną przyjaźń, pozostała we mnie jedyną rzeczą, której zamęt życia osłabić i zachwiać nie zdołał. Aniello, ty znasz mnie dobrze, wiesz że nie zwykłem miękko poddawać się wrażeniu, że uważam za obowiązek opanowywać je wolą i zbroić się przeciwko niemu chłodem rozwagi. Ale są wrażenia co budzą pamięć, jątrzą świeże rany serca i palą je bólem beznadziei... takich nie pokonywa wola, za ledwo tylko potrafi umiarkować ich siłę i powstrzymać od wybuchu. Życie nie oszczędza mi żadnej boleści, jedna po drugiej biją we mnie jak rozszalałej nawałnicy gromy; żadna kropla gorczy oszczędzoną mi nie jest, i do dna spełniając kielich, truję się życia napojem... Gdybym chociaż mógł ucieść z Podzamcza! ale i tego mi nie wolno związany przyrzeczeniem danym dobrowolnie, na długich kilka miesięcy przykuty jestem tutaj jak niewolnik ostatni. Gdybym mógł uciec! i uciekłszy nie tęsknić smutną, niezapomnianą tęsknotą za wszystkim co tu zostawiam, za tą męczarnią co tak się splotła z moim życiem, że zwikłane to pasmo chyba tylko Bóg jeden cudem jakim rozplątać zdoła. Bo choćbyś się miała zadziwić i ulitować słabości mojej, to ci przecie wyznam Aniello, że ja który nie mam, nie mogę mieć żadnej nadziei, żyję tylko nadzieją że dziś, jutro... pojutrze może zobaczę Michalinę, że spojrzę w te głębokie i ciemne szafirowe oczy, co mi przez chwilę nadzieją nieba świeciły, że rozkochany, chociaż

z pozoru obojętny, słuchać będę śpiewnych dźwięków jęj głosu i słuchając upajać się marzeniem... tylko o przeszłości marzeniem.

To cała moja nadzieja, jedyna która mnie nie zawiodła i spełnieniem swoim na nowo rozdarła mi serce.

Przyjechała tu wczoraj, konno, w pierwszych godzinach poranku, jakby chciała do jasnych promieni rannego słońca dorzucić tajemnicze blaski swoich spojrzeń. Jakaś wążutka polna dróżyna, dla pieszych tylko i jeźdźców przystępna wije się po pod ogrodem prowadząc z Kniażyna do Podzamcza. Tędy jechała, dojrzałem ją, odgadłem raczej; zdaleka jeszcze odgadłem i temu jednemu zawdzięczam że miałem czas przygotować się na jęj spotkanie i powitać ją z przyjazną ale chłodną grzecznością. Jechała z wolna, puściwszy prawie cugle koniowi, na przezroczytym tle oddali rysowała się jęj postać szykowna, wysmukła i giętka, balsamiczny wiatr poranny rumienił twarz jęj pocałunkiem i rozwiewał długie fałdy czarnej sukni. Przeprowadzałem ją wzrokiem, dopóki nie znikła mi z oczu na zakręcie drogi i wyszedłem na ganek leżący z przeciwnej strony domu żeby jęj pomódz zsiąść z konia! Wjeżdżała właśnie w pół uchyloną bramę, gdy koń jęj spłoszony niespodziewanem szczeknięciem psa, rzucił się w bok gwałtownie i strzygąc pszami cofał się i kręcił, nieposłuszny jęj woli. Chciałem jęj iść na pomoc i wzięwszy konia za cugle, zmusić go do przestąpienia bramy, ale widać siła woli dodaje siły malutkiej ręczce kobiety, bo koń umiejętnie zażyty, choć chrapał i niepokoił się, usłuchał wreszcie rozkazu, tylko wszedłszy już w obręb dziedzińca, jakby chcąc się odemścić za przymus sobie zadany, uniósł ją w szalonym podskoku. Pochamowała go wszakże i rwącego się wierzchowca przyprowadziwszy stępo pod ganek, zeskoczyła z niego lekko bez żadnej trwogi, prawie z uśmiechem na ustach.

— Za żywy jest wierzchowiec pani—mówiłem witając ją podaniem ręki—to niebezpieczne dla kobiety: pani się narażasz niepotrzebnie.

— A jeżeli ja lubię niebezpieczeństwo?—spytała pieszczotliwie głaszcząc szyję wierzchowca, który zarżał pod dotknięciem jęj ręki.

— Nie pojmuję takiego zamiłowania — odparłem — istnieć ono może tylko w istocie, której pojęcia tak są wypaczone, że zamiast się zadowalać rzeczywistością życia, goni za wrażeniami i chwyta je tém chciwiej im gwałtowniejsze.

— Ja właśnie taką jestem — odrzekła śledząc wzrokiem wrażenie jakie na mnie uczyni to śmiałe wyznanie wiary — znajduję życie mdłym i nudnym, szukam wrażeń i upajam się niemi.

— Czy wypełnianie obowiązków życia nie zajmuje pani dostatecznie czasu, że pani jeszcze znajdujesz czas na nudy?

— Obowiązków mam mało, w przyszłości może jeszcze mniej będę ich miała — odparła, dziwny kładąc nacisk na te słowa ostatnie — a nudy są dwojakięj natury: jedne, *próżniacze*, którym ulega osoba nieumiejąca zająć rąk ani myśli niczém pożytecznym; drugie: nudy *znudzenia*, które za sobą wiedzie życie z powierzchni czynne i w miarę położenia pracowite, a w gruncie bezcelowe, czcze i puste jak bańka mydlana.

— Cel można sobie stworzyć — zauważyłem — przy dobrej woli da się on zawsze wynaleźć, pani zapewne nie wątpisz o tém?

Nie odpowiadając na moje pytanie, spytała patrząc mi w oczy jakimś smutnie zamgloném spojrzeniem:

— A jeżeli ów cel wynaleziony już i za cel życia uznany okaże się za niskim, niegodnym tego by mu całe życie swoje poświęcić? co wtedy robić panie Zygmuncie? czy przyjąć następstwa własnej pomyłki, czy zejść z téj drogi i znowu szukać innego celu? co robić wtedy potrzeba?

I gwałtownym a bezwiednym ruchem gnąc w palcach szpicrutę spytała raz jeszcze: co robić?

— Ja myślę, pani — odrzekłem poważnie i zwolna a z sercem gwałtownie bijącym, bo zagadkowość jęj słów niepokoiła mnie więcej niż na to zezwolić chciałem — ja myślę że pomyłkę, jeżeli zaszła, można tylko okupić rozumnym a razem łagodnym przyjęciem jęj konsekwencyi, można czynu własnego żałować, ale zapierać go się nie wolno.

Słuchając mnie grzyzła usta niecierpliwie i zrywając z rąk rękawiczki, roześmiała się dziwnie przykrym śmiechem:

— Teoretyk z pana — odparła — czy pan zawsze stosujesz teorye w praktyce?

— Dotąd o ile możności starałem się godzić zasadę z życiem....

— A w przyszłości? — przerwała mi pytaniem.

— I w przyszłości uczynię to samo, jeżeli mnie walka życia nie złamie i zostawi mi potrzebne na to siły.

— A jeżeli nie zostawi, to pan dasz za wygraną tym mrzonkom o logice życia? — szyderczo pytała mnie znowu.

— W każdym razie nie nazwę ich mrzonkami *qui vivra verra* — wyzywająco przysłowiem odparła mi na to, i z gniewnym brwi ściąganiem weszła do pokoju zostawiając mnie w ganku samego.

W parę chwil potem i ja za nią poszedłem. Nie zastałem jęj w salonie, poszedłem więc do jadalnego pokoju, gdzie zastawione śniadanie gromadziło zwolna całe towarzystwo domowe. Drzwi prowadzące ztąd do pokoju Michaliny która właśnie kończyła się ubierać były zamknięte, doleciał mnie z za nich srebrny, wesoły dźwięk śmiechu Michaliny i jakby gorącym żalem dotknięty, zacisnąłem usta żeby głośno z bólu nie krzyknąć.

Śmiejąca się jeszcze i swobodna jak ptaszek przysłała wraz z Tolą do śniadania. Nie mogłem się powstrzymać żeby jęj nie powinszować wesołego humoru.

— A czegożbym się miała smucić? — rzekła mi na to — mało komu tak dobrze jak mnie na świecie.

— Zupełnie ci dobrze, Michalino? — spytała ją panna Julia — nigdy nie masz chwili tęsknoty, niepokoju ani smutku, co chociaż przychodzi bez przyczyny, to jednak cięży jak nieszcześnie?

— Dziecko z ciebie, egzaltowane dziecko, moja śliczna Julko — zaśmiała się z szyderczą wesołością kobieta — czy ty myślisz że jabym pozwoliła chodzić po mojej głowie takim niepotrzebnym mrzonkom jak te, co widać mieszkają w twojej głowie.

— Panna Julia ma słuszość — wtrąciłem — są chwile, w których najtrzeźwiejsza myśl wyłamuje się z karbów woli, i sercu posłuszna z niem i dla niego marzy.

— Ja nie mam chwil takich, nie marzę wcale; być może, że nie mam serca. Jak pan myślisz? — spytała zwracając się ku mnie.

— Pani—odparłem chłodno—ja zupełnie nic nie myślę.

— Jakto? zawsze? czy tylko o mnie nic pan nie myślisz?

— Strzeż się Michalino—rzekła znowu panna Julia z lekkim uśmiechem—może pan Zygmunt zechce spróbować téj trudnej sztuki żeby być razem grzecznym i prawdomównym.

— Pani odgadłaś mój zamiar.

— Doprowadźże go pan do skutku — dumnie wyzwała mnie pani Michalina — chcę widziéć czy się to panu uda?

— Czy pani znajdujesz że odpowiedź jaką przed chwilą dałem panie Julii nie jest dostateczną?

— Nie, na pytanie przezemnie zadane, mnie powinna być dana odpowiedź.

— Na mocy jakiego prawa?—pytałem rozdrażniony już tą walką na słowa.

— Na mocy grzeczności, którą każdy mężczyzna winien kobiecie.

— Czasem przemilczenie lub połowiczne wypowiedzenie myśli jest grzeczniejszém, niż otwarte wyznanie.

— Pan więc chciałeś być *grzeczniejszym*?—zapytała z przyciskiem.

— Chcę nim być zawsze i będę—odparłem kończąc tę rozmowę, której pytania i odpowiedzi krzyżowały się między nami jak ostrza wydobytych szabli.

— To najmiłsza nadzieja jaką pan możesz mi uczynić — odcięła się jeszcze i powstała z miejsca, przysiadając się do pani Morskiej, o kilka krzeseł od nas oddalonej.

— I pan więc wierzysz także że są chwile w których nie można oprzeć się marzeniu?—spytała mnie panna Julia wracając do pierwotnego przedmiotu rozmowy, czy tę niemożebność uważasz pan za złe?

— Nie, pani — odrzekłem z trudnością zbierając myśli — prędjéj uważałbym za złe niemożebność marzenia: dowodzi ono serdecznego ubóstwa i niższości serca w stosunku z rozumem. Stosunek ten nie powinien być poddańczy, ale braterski — ciągnąłem dalej nie zważając na cierpki, ironiczny uśmiech który się błąkał po ustach pani Michaliny—powinien się opierać nie na despotycznój przewadze jednego, ale na obustronnych, kolejnych ustępstwach.

— Ja dotąd myślałam, że kto słabszy, ten powinien częściej ustępować—wtrąciła pani Michalina.

Nie odpowiedziałem ani słowa, panna Julia spytała:

— Któż słabszy w twojem mniemaniu, Michalino?

— Julko moja—odparła ze smutną powagą—tylko ośmnastoletnie usta mogą pytać w dobrej wierze o takie rzeczy. Kto głębiej zajrzał w życie, wie dobrze że słuchając popędu serca, źle na tém wyjdzie.

— Jeżeli pani przejściowy kaprys nazywasz pierwszym popędem serca, to zgadzam się z panią na to, że on pociąga za sobą nie dobre skutki—rzekłem jęj na to—ale w takim braterskim stosunku serca z rozumem, o jakim mówiłem przed chwilą, głos serca nie myli nigdy, bo do prawdy, a zatem do szczęścia prowadzi.

Mówiłem jęj to spokojnie i widziałem że twarz jęj przed chwilą ożywiona gniewem łagodniała teraz i piętnowała się wyrazem cichego smutku. Ten smutek łagodny i cichy rozbroił mnie z oburzenia i żalu, rozbroił prawie z postanowień moich, byłbym chciał przed nią uklęknąć z miłością i słowa miłości póty jęj szeptać jak prośbę, ażby się może zarumieniła szczęściem i rozjaśniła uśmiechem. Ale ona hardo podniosła czoło przed chwilą rzewnem zamyśleniem schylone i ze złośliwym spytała przycinkiem:

— Gdzie pana ten głos doprowadził?

Ta kobieta widocznie bawiła się ze mną i przebierała po strunach mego serca niemiłosiernie twardem dotknięciem, kropla po kropli poiła mnie gorzką trucizną, szydząc z męczarni mojęj, którą przecież widzieć musiała. Więc na złośliwe jęj pytanie, odparłem bez namysłu:

— Tam gdzie prowadzi zawsze: do odkrycia prawdy.

— I przez to dał panu szczęście?

— Dał mi przynajmniej umiejętność odróżnienia serdecznęj prawdy od samolubnego kaprysu: to przecież nie-małe szczęście.

— I pan zamierzasz na zawsze zadowolnić się tém szczęściem? czy ono panu zupełnie wystarczy?

— Na tę chwilę wystarcza mi doskonale—odparłem nie spuszczaćc oczu przed pytaniem jakie mi wzrok jęj rzucał: to dla mnie dosyć.

Tola która dotąd w milczeniu słuchała téj całej rozmowy, odgadła widać że cierpię i litując się krwawej męki mojej, przerwała nam rozmowę, zadawszy pani Michalinie jakieś pytanie. Jeszcze chwil kilka odważnie wytrzymałem na placu, ale mąciło mi się w głowie, kołowały mi w oczach przedmioty i dziwnie być musiałem zmieniony, bo mała Wisienka z naiwnością dziecka zauważyła:

— Co tobie wujaszku? czyś chory?

— W saméj rzeczy mizernie wygląda Zygmunt—potwierdziła jég słowa pani Morska;— czy chorem się czujesz Zyguncie?—spytała z troskliwością i serdeczném a nie-natrętném współczuciem matki.

— Głowa mnie trochę boli—półgłosem odparłem na pytanie i widząc że pani Morska powstaje z miejsca powstałem i ja także, wyszedłem za nią z pokoju. Zamknąwszy drzwi za sobą, bezwładny, nieprzytomny prawie padłem na krzesło, cisnąc w dłoniach rozpaloną głowę. W piersiach moich miotała się burza straszna, myśli mi wrzały zamętem, czułem że krok jeszcze dalej, jeszcze chwila tylko a wpadnę w bezdenną otchłań szaleństwa. Nie wiem ile czasu tak przepędziłem, nie wiem czy kto przez ten pokój przechodził, czy mówiono co do mnie... nie wiem... byłem jak w gorączce. Nagle, śpiew zadzwonił mi nad uchem, śpiew pełen pieszczoty i prośby, łagodny i miękki i jakby od smutnych łez drżący; podniosłem oczy zadziwiony, Michalina usiadłszy przy fortepianie, półgłosem śpiewała:

Se io potessi avere nel mio core
 Oh! che dolcezza! un lungo sguardo d'amore!
 Se io potessi avere nel mio petto
 Oh! che dolcezza! un lungo sguardo diletto!

Prześpiewawszy tę strofkę umilkła, pod palcami jég akkorda akompaniamentu rozwinęły się w waryację harmonijnymi brzmiącą tonami, rozdźwięczały pieśnią melodyjną i zwolna, stopniowo do pierwotnej wróciły prostoty, a głos jég towarzyszył im znowu i znowu te słowa pragnienia i tęsknoty dźwięczną nutą obiły mi się o uszy.

Co ten śpiew miał znaczyć, Aniolo?... ja nie wiem. Wiem tylko że słuchałbym go przez wieczność całą, zazdrośnie

łowiąc uchem rozplywające się w powietrzu jego drgania. Po chwili walc się odezwał, zrazu marzący i tęskny jak dziecko bladéj północy, potém jak syn południa namiętny, gorący uścisk; splecione tony leciały szalonym taktem, i znowu potém miękko, prosząco, włoska zabrzmiała piosnka, a dźwięki jéj coraz to słabsze, coraz lżejsze i mniej wyraźne, skończyły wreszcie w pół-szeptcie.

Tłumiąc oddech, słuchołem oczarowany, szczęśliwy prawie, słuchołem choć grać już i śpiewać przestała.

— Pan lubisz muzykę?—spytała nagle zwracając się ku mnie wejrzeniem.

— Namiętnie — odparłem, bynajmniej nie myśląc o ukryciu doznanego wrażenia.

— Czy pan każdą muzykę lubisz?

— Każdą: każda jest piękna, skoro tylko dobrze pojęta i wykonana nietylko z mechaniczną wprawą ale z głębiokiem i wierném zrozumieniem treści.

— Więc podług pana każdą treścią trzeba się przejąć i oddać ją dokładnie? Ale jeżeli ten lub ów rodzaj muzyki nie pasuje z nastrojem ducha grającego, to już wykonanie nie może być zupełnie dobrém.

— To téż muzyka — rzekłem — jest najwierniejszém odbiciem myśli, wrażeń i usposobień wykonawcy, czasem dźwiękiem wyraźniej niż słowem można się wypowiedzieć mimowolnie, a przeto samo z nieporównaną szczerością.

— Tak pan myślisz?—spytała — muzykę uważasz pan za spowiedź?

— Jest nią prawie zawsze; im uczucie głębsze i silniejsze, tém doskonalszą formą oblec się daje.

— Dlaczego? czasem właśnie przeciwnie się dzieje: moc uczucia odejmuje mu zdolność objawienia się na zewnątrz.

— Nie, pani — zaprzeczyłem — takie usposobienie jest nienormalném, jest chorobliwym objawem. Uczucie zdrowe, silne, logicznie i naturalnie rozwinięte, ulega powszechnemu prawu...

— Jakiemu? — przerwała — czy potrzebę spowiedzi zamienioną w stan chroniczny nazywasz pan prawem powszechném?

Uśmiechnąłem się mimowoli na tę oryginalną defini-
cją i znowu dalej mówiłem:

— Wszelka siła przekonana o rzeczywistości swego istnienia, potrzebuje koniecznie sprządz się granicami formy, objawić czynem, przejść z mglistych krain abstrakcyi w dziedzinę realności: to prawo powszechne. Co jest potęgą i prawdą, stwierdza samo siebie, i daje miarę swojej wartości, nie czém inném tylko formą jaką przybiera.

— A zatem pan jesteś zdania że prawda myśli prześwieca zawsze z poza zewnętrznych jęj kształtów?

— Nietylko prześwieca, ale przepromienia je sobą i do siebie stosuje posługując się i wyrażając niemi.

— W takim razie spróbuję panu dowieść że ze wszechmiar podzielam zdanie pana, spróbuję formą treść wypowiedzieć przed panem.

I uderzywszy w klawisze przegrywką *conbrío* zaśpiewała podłożone pod muzykę wierszyki Syrokomli, parafrazujące znajomą powszechnie piosenkę: „włazł kotek na płotek”. Nie wiem czy ty je pamiętasz Anielo? jest tam między innymi strofka:

„A kiedy kotkowym zwyczajem
Zawiedziem i zdradzim się wzajem,
Niech żadne się na to nie zali,
Bo myśmy oboje mrugali”.

Tę strofkę powtórzyła dwa razy z figlarnie szyderską intonacją głosu, którego miękkie tony ustąpiły teraz miejsca jakiegóś oschłój precyzyi akcentu. Prześpiewawszy to po raz drugi, nagle urwała i zapytała mnie znowu, a wzrok jęj iskrzył się złośliwością:

— Prawda, jakie to ładne?

— Prześliczne — odparłem — muzyka lekka i płocha a pani to śpiewasz z doskonałością prawdziwie podziwienia godną.

— Ja właśnie taką muzykę najlepiej lubię; znać ta forma najlepiej pasuje do moich upodobań: wszak prawda? zapytała mnie takim tonem jakby chciała wywołać zaprzeczenie.

— Pani sama siebie najlepiej znać musisz: zaprzeczć pani byłoby to niegrzecznością, której nie dopuszczę się nigdy.

— Jesteś pan wzorem dobrze wychowanych ludzi— odparła z ironiczną grzecznością, i tę samą piosenkę nucąc jeszcze półgłosem wyszła z pokoju żeby się do reszty towarzystwa przyłączyć.

Dlaczego mnie ona tak męczy, Anielo? Czy to zalotność kobiety chcącój bądź co bądź zwrócić na siebie uwagę, czy rozdrażnienie kobiecój miłości własnej, czy po prostu zabawka która jój uprzyjemnia czas spędzony w Podzamczu? Nie wiem, wiem tylko że zamało jestem obojętny a znowu za nadto dumny, żeby wraz z nią bawić się swobodnie lub służyć jój za przedmiot zabawki, a ta igraszka nielitośna oburza mnie i gniewa jak niepoczciwe z cudzego cierpienia szyderstwo. Straszna to rzecz, patrzeć jak serce kobiety wypaczone mędrkowaniem, odbiedz może daleko od ideału niewieściej prawdy; straszna rzecz i bolesna, dla tych szczególniej co na tém sercu chcieli oprzeć całą przyszłość serdeczną!

Do wieczora prawie bawiła pani Michalina. Rozmowna, swobodna, wesoła, ożywiała całe towarzystwo, ale ja się już mało mięszałem do rozmowy, unikając nowego starcia na słowa. Nie czyniłem tego w celu by sobie oszczędzić nowój boleści, nie... dla niój samój jedynie, przedewszystkiém dla niój nie chciałem, żeby coraz nowemi dowodami stwierdzała brak serca; żal mi jój było, téj lekkomyślnój niewolnicy kaprysu, co przez chwilę wzbudziła we mnie taką wiarę, że słowo jój wzajemności gotów byłem zapłacić ofiarą całego życia. Dziś potrzebuję do ciebie zwrócić się myślą Anielo, żeby uwierzyć jeszcze że uczucie kobiety nie jest czczém słowem i dźwiękiem przelotnym, co bez echa rozplywa się w powietrzu. Zygmunt.

List XXIII.

MUNIO DO MICHALINY.

Dnia 12 lipca.

Michalino moja, czy ty mnie jeszcze kochasz? czy ty myślisz o nieobecny'm z uczuciem, żeby choć w setnej części dorównywało mojej miłości? Pamiętaj Michalino, ja mam prawo być kochanym, ja się o to prawo upomnę jak o moją

własność i nie ścierpię tego, żeby ona, póki ja żyję, miała przechodzić w cudze ręce... Dałaś mi słowo, wziąłem je i zachowam, a jeżeli mi je zechcesz odebrać przemocą, to wierzaj mi, Michalino, sama na tém źle wyjdiesz i mojem cierpieniem nie kupisz dla siebie szczęścia. A tak ci łatwo uczynić mnie szczęśliwym! upojonym radością jak nim byłem wtedy kiedy same miękkie słowa serdeczne i uśmiechy promienne miałaś dla mnie. Tyś mnie wtedy kochała Michalino i byłaś dla mnie dobrą jak Anioł Boży, dlaczego zmieniałaś się tak prędko? Burzliwe zajścia ostatnich dni które spędziliśmy z sobą, stoją mi dotąd w pamięci gorzkim, bolesnym wspomnieniem; ja byłem ten sam co zwykle, namiętnie, szalenie cię kochający, zazdrośny o najprzelotniejszą myśl twoją, o każde oczu twoich spojrzenie; takim znałaś mnie pierwój: takim cierpiałas mnie przy sobie. Dlaczego Michalino, kilka tygodni czasu odebrały ci tę słodycz uległą co jest największą siłą kobiety, bo daje miarę o potędze i prawdzie kobiecego uczucia? dlaczego stałaś się dla mnie tak niemiłosiernie chłodną i szorstką? Nie bierz mi twojej miłości Michalino, ja wiem że jestem nieznośnym szaleńcem, dzieckiem rozkapryszonem, że nas oboje dręczą, że moja miłość jest męką i burzą twego życia; ale cóżem ja winien że się lękam ciebie utracić, i że mi ta obawa odbiera wszelką moc panowania nad sobą? bądź dla mnie dobrą, cierpliwą jak dla chorego, jak dla dziecka, choć sama silna, zechciej w drugim brak siły uwzględnić. Ty nie masz pojęcia Michalino, co to jest czuć w sercu swoim buchające ogniem uczucie, czuć że tylko przez nie wyrosło się z dziecka na mężczyznę, że ta miłość jest ci klejnotem moralnego szlachectwa, godnością twoją i szczęściem, terażniejszością i nadzieją, że poza nią i przed nią, nic w życiu swoim ani w myśli nie posiadasz takiego, coby mogło być wiarą i celem i obawiać się co chwila, że tę wielką świętość twoją ktoś znieważy pogardą, tę wielką wiarę zabije zawodem! Trzeba być olbrzymem, archaniołem, bohaterem, żeby odważnie spojrzeć oko w oko takiej obawie; ja nim nie jestem, brak mi na to hartu i męstwa... ja nic nie umiem, tylko ciebie kochać Michalino. To wyznanie mojej bezsilności powinno cię zmiękczyć i przez litość obudzić wzajemność... szlachetna, nie potrafisz się pastwić nad bezbronnym, miło-

sierna, zebrzącemu nie odmówisz datku. Pamiętaj Michalino, różni są ludzie na świecie, o co jeden prosi jak o jałmużnę, tegoby może drugi nie przyjął, choćby go na kłęczkach proszono o przyjęcie datku. Nie wszyscy są mnie podobni i pozbawieni téj hardéj dumy, co wzdryga się próśby jak upodlenia, a jeżeli na nich rachujesz, to się możesz zawieść bolesnie. Ja duchem nie hartowny, a z charakteru słaby, nie zawiodę cię jednak moją miłością; wytrwała i wierna, zawsze stać będzie przy tobie, choćby ją miała zwać natrętną; o! nie odpychaj mnie Michalino, nie bierz mi téj obiecanéj nadziei szczęścia... i wybac mi ten list szalony, który niech ci będzie najwymowniejszym dowodem zamętu moich uczuć; wybac mi wszystko, co przykrego przyjść na ciebie może z mojej winy: wybac mi na tę myśl jedną, że takiéj jak moja nieograniczonej miłości, rozsądek i spokój nie mogą ująć w swoje karby.

Rajmund.

List XXIV.

MICHALINA DORAJMUNDA.

Dnia 20 lipca.

Źle, bardzo źle robisz Rajmundzie, że nie dowierzasz memu słowu, że wymówki twoje i podejrzenia budzą we mnie myśli, których bez tego, nie miałabym może wcale. Przyjęłam twoją miłość i wzajemnie przyrzekłam ci moją, bo mi się zdawało że ta obietnica stawszy się dla mnie obowiązkiem, choć jeden cel wytknie w bezcelowém mojem życiu; dałam ci słowo i póty go nie zerwę, póki tak mnie nie znużą gwałtowne i burzliwe objawy twego uczucia, że znużona sił już nie znajdę na wypełnienie obowiązku. Od ciebie więc samego zależy przyszłość Rajmundzie. Bądź spokojny i ufny, bądź mężczyzną nie dzieckiem, i nie powtarzaj mi tego, że miłość jest jedyną godnością twoją i szlachectwem jedyném, nie powtarzaj, bo tak być nie może. Miłość powinna być w człowieku taką siłą wspaniałą, co powstaje ze zgodnego innych sił rozwoju, powinna być życia koroną, najpiękniejszą jego ozdobą i blaskiem najczystszy; ale podstawą życia, jego treścią i celem jest praca poważna, co

w czyn wciela ideały, wiadome wszelkiej myśli dojrzałej. Groźby twoje, Rajmundzie, mogłyby mnie obrazić lub co gorzej rozśmieszyć i śmiesznością zabić cię w mojej pamięci; ale nie do śmiechu mi dzisiaj: wolę więc zadość uczynić twój prośbie i litując się nad tobą jakby nad dzieckiem chorém, prosić cię nawzajem, żebyś się przestał daremnie niepokoić i nie wyżywał życia które już samo z siebie tyle niepokojów przynosi. Do widzenia, Rajmundzie, bądź pewny, że im więcej dasz mi dowodów szlachetnej i spokojnej we mnie ufności, tém mniej cię ona zawiedzie, tém pewniej zjedna ci moje poszanowanie i skłoni mnie wreszcie do tego, że jak z silnym i z dojrzałym duchem, sumiennie i uczciwie będę się z tobą liczyć o życie.

Michalina.

List XXV.

RAJMUND DO MICHALINY.

Dnia 25 lipca.

Michalino, nie masz serca i litości! Jak ja mam ci ufać, jak ja mogę być spokojnym? Na wszystkie moje zakłęcia, błagania i prośby, odpowiedziałaś mi morałami wygłoszonymi z mentorską powagą, odpowiedziałaś mi chłódno, ważąc każde słowo na szali rozsądku, a jam tylko o jedno cię prosił: powiedz mi że mnie kochasz jeszcze! Ja nie chcę być tylko obowiązkiem albo ozdobą twego życia, ja chcę być jego szatem i koniecznie chcę tego Michalino! Ja wiem... ty może kochasz Zygmunta? i myślisz już o tém jakby słowem mnie odebraném, z nim związać się znowu... A ja ci powiadam, że ta myśl jest szaloném marzeniem, bo między Zygmuntem a tobą stać będzie *dane słowo*, to jest rzecz, która dla uczciwego jak Zygmunt człowieka, jest rzeczą nietykalną i świętą. Komu dane? przez kogo? nie pytaj, moja w tém tajemnica, a że w niej leży ta trocha siły jaką mam w stosunku z tobą, więc ci jój nie wydam. Dzięki téj tajemnicy, ty musisz zostać moją, bo sama przyznałaś że potrzebujesz celu w życiu, a gdzież znajdziesz inny, jeżeli odepchniesz mnie, który ci powinien być celem? może inny sam się z drogi twojej usunie, Michalino, ty mnie mę-

czysz i katem moim jesteś; strzeż się, żeby Mojżeszowe prawo odwetu i ciebie na tortury nie wzięło!... Czy ty nie widzisz, że ja z bólu szaleję? że z poza tych gorzkich wyrzutów, słowo: *kocham!* jak piersi namiętnej zwrotka, rwie się z serca do ciebie?

Rajmund.

List XXVI.

MICHALINA DO RAJMUNDA.

Jak to źle mieć domyślności nie w miarę i nie tyle ile jój właśnie na obecną chwilę potrzeba! Że szalejesz, to odgadłam zaraz po przeczytaniu pierwszych wyrazów twego listu; że mnie kochasz, tego nawet po odczytaniu ostatnich, domyślić się nie mogę. Zresztą, ten brak serca o który mnie obwiniasz, odejmuje mi zapewne zdolność ocenienia zalet patetycznego stylu jakim odzywasz się do mnie; nie dobrze rozumiem te szumne a tajemnicze frazesa podobne do słów delfickiej wyroczni. Nie wiem także co w tém wszystkim robi pan Zygmunt? chciałeś chyba postawić obok siebie jego wspomnienie: rozumem i siłą, uwydatniającą bezsensowne miotanie się twoje, które tylko dowodzi, jak mało musisz czuć w sobie prawdziwej zasługi i wartości, kiedy nie zasługą ale wolą, chcesz zdobyć uczucie moje. Ale nie znasz mnie widzę, Rajmundzie, przemocą i rozkazem nikt jeszcze nie otworzył mego serca i nie otworzy go z pewnością... raczej uchylone już trochę, zamknie napowrót, zamknie tak dobrze, że już nie znajdzie klucza, którymby je otworzyć potrafił. *Chcesz* żebym cię kochała? to zabawne, tém zabawniejsze, że ja słowa *chcę* do siebie zwróconego nie rozumiem i pogardliwym uśmiechem odpowiadam na nie. Jeżeli uznasz za stosowne przedłużać tę rozkosz jaką nam wzajemnie sprawia pełna słodczy korespondencya nasza, to bogaty swój dykcyonarz, zbogać jeszcze słowem: *rozkazuję*. Wtedy już zamiast odpowiedzi postaram się zebrać wszystkie listy nasze i ogłosić je drukiem, żeby jako ideał i zadatek przyszłego szczęścia w domowym pożyciu, przedstawiły światu tę przedślubną korespondencyą, którą dzisiaj z prawdziwem zadowoleniem kończy

Michalina.

List XXVII.

RAJMUND DO MICHALINY.

Dnia 4 sierpnia.

Michalino, ja już nic więcej wiedzieć nie potrzebuję, ty kochasz pana Zygmunta! Musisz go kochać, kiedy serce twoje tak się odwróciło odemnie, że poza dźwiękiem słów moich, nie dojrzałaś ich myśli prawdziwej, kiedy pisząc szydercze wyrazy odpowiedzi, nie zadrżała ci ręka na myśl bólu, który mi one sprawią! A jednak... ja cię kocham Michalino! Chłoszczesz mnie szyderstwem, urąganiem, obelgą prawie, jak niewolnik uginam się pod razami i całując dłoń twoją, proszę cię całym sercem: wybac mi, bo cię kocham bez miary! I tak wierzę w moc mojej miłości, że nie tracę nadziei prześlągania cię. Zobaczysz... ty będziesz mnie kochać Michalino, a po chmurach dzisiejszych, wspólne pożyacie zaświeci nam tém pogodniejszym słońcem szczęścia. Bo to być nie może, żebyś ty już innego kochała? prawda Michalino moja, to przecie być nie może, żeby ten człowiek obcy ci prawie, zajął w twojem sercu to miejsce, które do mnie jednego należy? Zresztą, cóżby ci z tego przyszło? On cię już dzisiaj nie kocha, sama zabiłaś miłość jego a zabici nie zmartwychwstają; nie wierz temu Michalino! Mojemu tylko wierz uczuciu, ono jedno jest prawdą, w niem tylko znajdziesz szczęście, bo całą jego siłę obrócę na to, żebyś nigdy nie pożałowała danego mi słowa. Michalino, nie rzucaj mnie na pastwę cierpieniu, bo ci ten postępek jak zbrodnia na sumieniu zacięży, jak zbrodnia karanym będzie przez sprawiedliwość Bożą!... karanym być musi! Dlaczegożbyś ty miała być szczęśliwą, jeżeli ja cierpieć będę i cierpieć z twojej winy? Miłość moja, chociaż może samolubna, jest jednak prawdziwą, i jako prawda przez ciebie przyjętą; ty nie masz prawa jej odrzucać, albo nazywać ją kłamstwem dlatego, że zobaczyłaś coś innego, co ci się dzisiaj wydaje, być prawdą nie masz prawa Michalino. To słowo będę ci powtarzał do nieskończoności, aż pokonana niem, uznasz jego słusność.

Rajmund.

List XXVIII.

MICHALINA DO NATALII.

Dnia 2 października.

Sama nie wiem, droga moja Natalio, z jakim uczuciem przyjmiesz zawartą w tym liście wiadomość... Czy się ucieszysz moją odwagą, czy zasmucisz zmiennością myśli? czy pochwalisz że kłamać nie chcę dłużej; czy zganisz, że przez poszanowanie dla słowa dobrowolnie danego, nie popracowałam nad tém, aby kłamstwo zamienić w szczerą prawdę?.. Co ty mi na to powiesz, Natalio, że ja zerwałam z Muniem? Jak się to stało? opowiem ci wiernie, dlaczego się stało? postaram się wytłumaczyć ci jasno: słuchaj mnie ukochana moja.

W czasie kilku-tygodniowej nieobecności Munia, odbierałam od niego listy, pełne zapytań, wymówek, podejrzeń, groźb i różnych tym podobnych patetyczności. Biorąc na uwagę że to wszystko pochodzi z wielkiego zakochania. na list pierwszy odpowiedziałam bardzo łagodnie, chociaż z niewielką serdecznością, ale gdy odebrałam drugi, trzeci i szósty podobnej treści, znudziły mi się te peryodyczne, w kopertach spadające na mnie burze; odpisywałam też na nie z pewnym złośliwym rozdrażnieniem i na kilka ostatnich, jeszcze gwałtowniejszych, już wcale nie odpisałam. To milczenie wywarło inny skutek, niż ten, którego się spodziewałam: zaniepokojony niem Munio, zjechał nagle do Kniażyna i to w chwili kiedy go oczekiwałam tak mało i tak mało widzieć pragnęłam, że przybycie jego było mi prawie niemiłym. Wrażenie to nie zdołało się ukryć przed jego okiem; zrobił mi za nie scenę tak gwałtowną, że aż przestąpiła granice téj grzeczności jaką winien kobiecie, każdy dobrze wychowany mężczyzna. Powiedźże sama, czy mogłam to dalej znosić? Podobny wybuch może tylko znieść kobieta, która tak kocha serdecznie, że przez miłość swoją każdy postępek ukochanego opromienia światłem ideału—ale ja tak Munia nie kochałam. Był mi nie obojętny, sympatyczny, podobał mi się, miałam dla niego jakąś życzliwość pełną macierzyńskiego uzalenia się nad jego słabością i ko-

biecego nad serdeczném cierpieniem współczucia: to wszystko nie było miłością. Słowa *kocham* nie powiedziałam mu nigdy, chociaż mówiłam mu dużo rzeczy takich co wedle wyrażenia poety:

„We wspomnieniach jego złane, dały dźwięki
Podobne do miłości zeznanéj wyrazu.”

Zostawszy jego żoną, byłabym mu żoną uczciwą i wierną, troskliwą o jego szczęście, choć może sama nie całkiem szczęśliwą, spełniałabym obowiązki swoje sumiennie... i szłoby jakoś życie, z dnia na dzień do końca ostatniego. Tymczasem po tém co zaszło, niemamy już wspólnej przyszłości. Munio stał mi się dzisiaj obcym, a stosunku naszego nie zwiąże już żadna siła ludzka, bo rozgniewana jego niesprawiedliwością, uniósłszy się trochę, powiedziałam mu rzeczy takie, których nie zapomni i nie wybaczy mężczyzna, mający w sobie choć jedną iskierkę godności. Ale proszę cię, jak nie miałam mu ich powiedzieć, kiedy na samym wstępie, widząc, że zamiast biedz ku niemu uradowana, podaję mu rękę z dość kwaśną miną, powitał mnie złośliwym przycinkiem, pytając:

— Czy pani Michalina spodziewała się kogo innego? jak widzę przybyłem nie w porę.

— W saméj rzeczy, nie w porę—odparłam—trzeba było przynajmniej zostawić mi tyle czasu, abym mogła zapomnieć słodkich wrażeń, których mi udzielały listy pana.

— Może od tych wrażeń *inne* były silniejszymi?—zapytał znowu, głosem kładąc nacisk na słowa.

— I to być może—zwięzle odpowiedziałam.

Munio zbladł, i zęby zacisnął, ja robiłam robotę z zimną krwią niezachwianą. Przez długi czas milczeliśmy oboje, Munio piérwszy przerwał milczenie pytaniem:

— Jakiegoż rodzaju były te wrażenia tak silne i pamiętne?

— Nie widzę potrzeby zdawania z nich komukolwiek sprawy.

— Ale ja... ja sprawozdania żądam.

— Doprawdy? pan żąda?—zaśmiałam się Muniowi w oczy.—Jakiém prawem, jeżeli zapytać wolno?

— Prawem, jakie mi tytuł narzeczonego nadaje.

— A jeżeli ten tytuł przestał już istnieć w mojej myśli, jeżeli ja nie mam zamiaru potwierdzać go dłużej?—spytalam spokojnym tonem, wpatrując się w niego uważnie. W tej chwili przysięgam ci Natalio, rzuciłam to pytanie tylko jako groźbę, której spełnienie nie było jeszcze stanowczym moim zamiarem. Chciałam tylko opamiętać szaleńca i ostrzedz go, że się zbytecznie zapomina. Ale Munio-wi dzikim gniewem zaiskrzyły się oczy, chwycił mnie za ręce i zawołał porywczo:

— Nie zrobisz tego Michalino, nie możesz zrobić... powiedz mi że nie zrobisz... powiedz...

I gwałtownie cisnął obie ręce moje, które daremnie usiłowałam wyzwolić.

— Dlaczegożbym zrobić nie miała? wyprawiasz mi takie sceny że mi się stałeś z miłego obojętnym, z obojętnego nieznośnym. Gdyby taki stan rzeczy potrwał dłużej, stałbyś mi się nienawistnym.

— A ja? czy ty myślisz Michalino, że ja cię mogę kochać za te wszystkie udręczenia, któremi mnie karmisz?

— Jeżeli się już wzajemnie nie kochamy, nie widzę tém bardziej powodu, dla którego byśmy nie mieli się rozejść —mówiłam nie tracąc mojej zimnej krwi, która była oliwą, dolaną na ogień jego złości. Dziś jeszcze, możemy sobie zwrócić słowo, podać rękę na pożegnanie; jam do tego gotowa... a pan?

Munio zamiast mi odpowiedzieć, zerwał się z miejsca i zaczął chodzić po pokoju; ja widząc że nie mam odpowiedzi, spuściłam oczy na robotę i przez chwilę mogłam była pozować malarzowi jako model pracowitej robotnicy. Trwało to z dobre pół godziny. Znudzona, wstałam, chcąc wyjść z pokoju; ale Munio drzwi mi zastąpił i drżąc cały z gniewu zapytał:

— Do czego nas ta scena doprowadzi? nie wyjdiesz stąd póki mi nie powiesz, Michalino...

Z kolei i mnie gorąco się z gniewu zrobiło, ale rzekłam tylko:

— Puść mnie.

— Nie puszczę, póki mi nie powiesz, za co tak dręczysz mnie dzisiaj? czego ty chcesz odemnie.

— Chcę, żebyś nie stał mi na drodze; puść mnie—powtórzyłam jeszcze.

— Czy pójdziesz pisać do pana Zygmunta z prośbą żeby ci przybył na pomoc?

— Warto by to uczynić, boś szaleniec i brutal, a brutalstwo swoje posuwasz aż do uchybienia kobiecie; ale nie zrobię tego, bo za dużo szacuję pana Zygmunta, abym go miała stawiać na równi z tobą.

— Czy go stawiasz w niedostępnych sferach ideału? —zapytał drżąco.

— W każdym razie wyżej od ciebie.

— O ile wyżej?

— O całą wyższość szlachetności, której tobie zupełnie brakuje.

— Tak późno spostrzegłaś to dopiero?

— Lepiej późno jak nigdy, i dlatego właśnie że to spostrzegłam znajduję, że na zerwaniu z tobą wyjdę bardzo dobrze... i chcę to uczynić — dodałam stanowczo.

— Twoja wola nic nie znaczy, jeżeli nie zgodzi się z moją.

— O tyle przynajmniej znaczy, że ci mogę zwrócić pierścionek poręczający zamienione słowo—mówiłam zsuwając z palca zaręczynową obrączkę—weź ją sobie, odbierz i daj mi pokój raz na zawsze.

I chciałam mu w rękę wcisnąć pierścionek, ale Munio się usunął.

— Michalino —zawołał blednąc jeszcze, — Michalino, przez litość!

I wyciągnął ku mnie ręce już z pokornym błaganiem, ale oburzona i cała drżąca ze wzruszenia, odskoczyłam na bok i stanęłam w otwartym oknie, chcąc w piersi zaczerpnąć świeżego powietrza.

— Michalino — mówił Munio idąc za mną, a ton jego głosu miękkł prośbą i łagodniał obawą—ty mi tego pierścionka nie oddasz?

— Owszem, najmocniej postanowiłam to zrobić i zrobić z pewnością — rzekłam, całkiem już uspokojona — ja dłużej nie zniosę takich burzliwych zajęć, ani też nie myślę patrzeć na dramatyczne sceny, które w oczach moich odgry-

wasz. Od dziś... pamiętaj Rajmundzie... jestem wolną... jesteśmy sobie obcy.

I położyłam pierścionek na oknie, nawet nie patrząc na Munia.

Przybycie pani Morskiej i Julii przerwało tę całą historję. Munio wyszedł z pokoju i już nie pokazał się więcej; ja z początku nie bardzo byłam rada gościom, ale potem rozgadałam się i otrząsnęłam z wrażenia. Po niejakićj chwili przyjechała Tola z panem Zygmuntem, który dopiero po raz drugi nawiedza Książyn. Rozmowa szła jeżeli nie całkiem swobodnie, to przynajmniej z jaką taką łatwością, gdy wtém Tola, która oglądała stojące w oknie kwiaty, rzekła zwracając się do mnie:

— Patrz, Michalino, twój pierścionek tu leży.

— Jaki pierścionek?—spytałam obojętnie.

— Twój zaręczynowy: ten z rubinem który masz zawsze na palcu.

— A! ten!—odparłam nie zmieniając głosu, choć mi serce drżało trwogą nieopisaną—ależ to nie mój, to pierścionek pana Rajmunda.

Tola pytając na mnie spojrzała.

— Zapomniał zabrać ztąd swoją własność—dodałam.

Tola nie mogąc powstrzymać ciekawości, szepnęła mi w ucho:

— Czy doprawdy to jego własność nie twoja?

— Chwilowo tylko była moją—odpowiedziałam półgłosem, ale tak wyraźnie że obok siedzący mogli usłyszeć te wyrazy—chwilowo, już ją zwróciłam na zawsze.

I mówiąc te słowa, nieśmiałam spojrzeć na pana Zygmunta, ale przypadkiem jakoś wzrok mój padł na twarz Julki i ze zdziwieniem tak nagle że aż nie miłém się stało, ujrzałam że drgnęła, jakby niespodzianą dotknięta boleścią i jakby przerażona pobladła. Powiedz mi Natalio, co znaczy ta bladeść i przerażenie? czy ona kocha może pana Zygmunta i lęka się o nadzieje swojej przyszłości? Ale na czémże ona opiera te nadzieje? czy ma do nich jaką podstawę? czy on ją może kochać zaczyna?... powiedz mi Natalio, proszę cię, powiedz mi to koniecznie...

Tak mi te pytania dziwnie myśl zaprzątęły, że po odjeździe moich gości, długich parę godzin chodziłam po

ogrodowej alei, starannie dobadując się prawdy. Zmęczona usiadłam na darniowej ławeczce.

— Michalino — jęknął mi nagle nad uchem głos Munia—przebacz mi! czy przebaczasz Michalino?

I chciał ująć mnie za rękę, ale ja spytałam zdziwiona:

— Co chcesz żebym ci przebaczyła?... Co ci jest—dodałam widząc że drży jak w febrze a oczy ma nabrzmiąle jak zapłakane dziecko—co ci jest? czyś chory?

— Michalino, mnie twoje słowa zabiły... odwołaj je, przez litość odwołaj, bo ci u nóg skonam z rozpaczy.

I głośnym wybuchając szlochaniem, przykląkł u kolan moich.

Żal mi go było, żal bardzo, cierpienie widoczne w nim było i wielkie. Łzy takich młodych istot, nie kłamią, a łzy jego czułam na rękach moich, które do ust cisnął namiętnie.

Ale nie w mojej mocy było odwołać wymówione słowo. Wyrzekłam je, potem je potwierdziłam powtarzając to samo w obec innych, oswoiłam się z myślą że one są faktem. Łzy i prośby Munia rozrzewniały mnie prawie, smuciły, byłabym rada utulić go w macierzyńskim objęciu; współczuciem siostry pocieszyć zbolełego, alem ja temu nie winna, że dla niego nie ma w mojem sercu ani jednego z tych wyrazów co składają pieśń miłości i muszą mieć dźwięki anielskie.

— Rajmundzie—rzekłam po chwili—uspokój się, proszę cię, uspokój się trochę.

— Kochasz mnie Michalino?—przez łzy zapytał Rajmund. Wstrząsnęłam głową w milczeniu, on znowu zapytanie powtórzył:

— Nie—odpowiedziałam tym razem—ja ciebie nie kocham, nie kochałam cię nigdy Rajmundzie. Przypomnij sobie, ja ci nawet nigdy nie powiedziałam tego słowa.

— Nie kochasz mnie!—przerwał ze skargą—dlaczegoż pozwoliłaś mi wierzyć w miłość twoją?

— Myślałam że cię ukochać potrafię... nie w mojej mocy nakazać sercu uczucie... Powiedz sam, jakie byłoby nasze pożycie? Ty masz ciągle na ustach wymówki i słowa zazdrości, mnie to gniewa i niecierpliwi; powiedz czy byłoby to szczęściem?

Munio słów tych nie słuchał, on tylko na pierwszych moich wyrazach zatrzymał się myślą.

— Nie w twojej mocy nakazać sercu uczucie? a zabronić go sobie? zabronić jeżeli się obowiązкови sprzeciwia? czyż to także nie w twojej mocy Michalino?

— Zapominasz — odparłam — że ja nie mam żadnych krępujących mnie obowiązków. Serce moje i ręka są wolne, słowo tobie dane musisz mi zwrócić, bo ja go nie mogę dotrzymać.

— Michalino! miej litość! — szepnął Munio błagalnie — kochaj mnie, choć trochę mnie kochaj, Michalino!

Cóż było odpowiedzieć na taką prośbę, która tylko mogła wyjść z ust samoluba, z ust dziecka nieznanego życia? Co było odpowiedzieć istocie cierpiącej boleśnie, a tak na boleść bezsilnej, że nie wiadomo czy cierpienie jej koić, czy od bezsilności z litosną odwrócić się pogardą? Munio u nóg mi klęczał, rozplakany, a wśród łkań usta jego, bezwiednie już tę samą szeptały prośbę:

— Kochaj mnie Michalino, ja nie przeżyję twojej utraty.

Uśmiechnęłam się mimowoli słysząc człowieka, który w dobrej wierze zapewniał, że jest rzecz lub osoba którejby utraty przenieść nie można.

— Nie przeżyję — powtarzał Munio — kochaj mnie Michalino!

Kręciliśmy się w błędném kole, na te same słowa ta sama odpowiedź być musiała. Wreszcie Munio zdobył się na tyle energii że groźbą wybuchnął:

— Ty może Zygmunta kochasz Michalino? strzeż się: na złe ci to wyjdzie!

— Co ci do serca mego? — odparłam — co tobie do mojej przyszłości, Rajmundzie?

Munio milczał przez chwilę, potem z kolan powstając rzekł zwolna:

— Michalino, za boleść moją i zawód, ty także weźmiesz zawód bolesny... pamiętaj o tém: cofnij się póki pora...

I z groźby w błaganie przechodząc, znowu tą samą zakończył zwrotką:

— Kochaj mnie, przebac Michalino!

Nie pamiętam już co mu odpowiedziałam, ale wiem że ta scena nużyła mnie nad wszelki wyraz. Powstawszy z miejsca rzekłam:

— Dajmy już temu pokój; słowo moje jest stanowcze, a zerwanie nasze konieczne w mojem przekonaniu. Jeżeli ci zawiniła i zawiodła, przepraszam cię Rajmundzie, przepraszam cię, że cierpisz z mojej przyczyny... to wszystko co uczynić mogę.

I podałam mu rękę na pożegnanie, ale Rajmund ukrył twarz w dłonie; stałam tak nad nim chwilę, patrząc na niego ze smutnym politowaniem.

— Nie chcesz mnie pożegnać Rajmundzie?— spytałam wreszcie, ale widząc, że znowu żadnej nie odbieram odpowiedzi, odeszłam z wolna do siebie, parę razy jeszcze oglądając się na biednego chłopca, który nieruchomy pozostał na miejscu.

Cały wieczór i pierwszą połowę nocy przepędziłam samotnie w zamyśleniu, zaledwie koło drugiej usnęłam. Nagle szmer jakiś przed domem obudził mnie ze snu. Zadzwo niłam zdziwiona.

— Co to za hałas?— spytałam wchodzącej sługi— kto tam chodzi po pokoju?

— To pan Rajmund odjeżdża, odparła dziewczyna ciekawie patrząc mi w oczy, i szuka pierścionka, który zostawił w salonie. Konie już zaprzężone... Czy pani nie będzie się widzieć z panem Rajmundem?

— Widzisz przecie, że jestem w łóżku, pożegnałam się już z panem Rajmundem... wieczorem. Idź spać.

I wyprawiłam ją od siebie, a w kwadrans może potem usłyszałam pod mojem oknem turkot odjeżdżającej jego bryczki. *E finita la comedia!* Czy teraz dramat się zacznie Natalio? A jednak żal mi biednego chłopca!

Michałina.

(Ciąg dalszy nastąpi).



WSPÓLNY DÓŁ.

Był dzień fortunny dla omentarnej ciszy,
Przybyło naraz aż trzech towarzyszy;
Naraz trzy trumny wrzucono pospołu,
Do wspólnego dołu.

Sypnęli piaskiem i zrównali ziemię,
Kędy ciążyło trojgu życia brzemię,
I pył ludzkiego zamieciony śladu,
A na mogile nie ma nawet krzyża;
Za to się uczta gotowała świeża,
Dla podziemnego robactwa i gadu.
Trumna o trumnę otarła się głucho,
Potém szmer jakiś przerwał ciemną głuszcę,
Jak gdyby zmarli, albo zmarłych dusze,
Coś sobie z trumny szeptali na ucho;
Jak gdyby pamięć, śród martwego ciała,
Ostatnim życia tchem się kotysała,
I tlejącego ducha w mdłej iskierce,
Nie docisnęły śmierci upowicia,
Piers biła jeszcze, a zboleła serce
Nie dopłakało wszystkich łez za życia.

Robak znęcony świeżym śmierci łupem,
Pod jednej trumny przedarł się już wieko,
Pełzał po ciele i siadł nad powieką,
A rozmyślając przed ucztą nad trupem,
—Ktoś ty? zapytał.—Biedak, trup odrzecze:
„Nędza wygryzła krwawe na mnie ślady,
Skóra a kości zostały człowiecze,
Nie będziesz sutój miał ze mnie biesiady.
Z prostej Bóg uplotł dołę moją przedzy,
Wyszedłem z gminu i żyłem wciąż w nędzy,
Bo próżno biedak dróg przed sobą szuka,
Nie wyjdzie z cienia, a droga omyli;
Ludzie mnie czytać z ksiąg nie nauczyli,
Spała więc głowa twardym snem nieuka;

Zostały ręce: duch wrzał niespokojnie,
 Za młodu żołnierz, kaleka po wojnie,
 Więc niedołączną ręką było trzeba,
 Na kęs suchego zapracować chleba.
 I w pocie czoła tak pobiegły lata,
 O resztę nawet nie warto i pytać;
 Potém mnie biada nauczyła czytać
 W otwartej książce przyrody i świata—
 Ale tém większy żal za serce chwytą,
 Gdy się człek ze snu twardego oobudzi,
 I w każdym miejscu tej książki wyczyta,
 Wszechmocność Boga—a niedolę ludzi!
 Pchałem więc ciężką życia mego taczkę,
 A gdy do pracy brakło już sił w ciele,
 Dalój w świat z torbą na podłgą zebraczkę,
 I śmierć zastała dziadem przy kościele.”

Robak choć nierad trupa się wyrzecze,
 Nie dotknął tego—i odpelzł daleko,
 Miał widać serce—i to nie człowiecze,
 Bo uczył litość—i pod drugiej wieko
 Wsunął się trumny. Siadł na trupiej głowie,
 A głodnym zębem nim wziął się do czynu,
 „A ty kto? spytał. Głos z trumny odpowie:
 „Młoda dziewczyna, proste dziecię z gminu,
 Zeszłam na ziemi jak kwiatek wśród pola,
 A wykarmiła mnie matka-niedola.
 Nie wiem, za karę czy może w nagrodę,
 Bóg dał sierocie i kwiatka urodę.
 Więc na twarz wdzięczną świat nastawiał siadła,
 Lecz mój stróż-anioł brał mnie pod swe skrzydła,
 Ilekroć chwiejne kroki szły do zguby,
 I wyszłam czysta jak iza z ziemskiej próby.
 Chleb ciężkiej pracy gryzłam od powicia,
 Losem ubóstwo, przytułkiem poddasze,
 A młode serce rwało się do życia,

Jak do słońca ptasze.

Patrząc na niebo gdzie tyle gwiazd jasnych,
 Patrząc na ziemię, gdzie taka moc kwiatków,
 Pletłam wianeczek z myśli moich własnych,
 Z myśli podobnych do róż i bławatków,
 I tym wianeczkiem zdobiąc młode czoło,
 Z ptaszkami piosnkę śpiewałam wesoło.
 Lecz idąc dalej a dalej żywotem,
 Wszystko się jadem stawało zatrute,
 Rozplotł się wianek, a potém — a potém
 Brakło i piosnki—chyba na łożu nutę.
 To nie że praca do ziemi mnie gniołła,
 Nie praca z duszy wesołość wymiotła,

Ale źli ludzie, którzy wciąż niebodze
 Stali ze śmiechem na sierocój drodze,
 I mdłą gołąbkę gnali niepokojeu;
 Jak żołnierz w boju, szłam w życiu przebojeu,
 A jak dziewczyna w przestrachu i trwodze.
 Świat patrząc na mnie osądził jak inne,
 Ludzie patrzyli, nie wierząc w obłudzie,
 Że biedne dziewcze może być niewinne,
 Że jest niewinność gdzie są tylko ludzie.
 A gdy dzień przyszedł i na mnie sierotę,
 I serce—dotąd we łzach w poniewierce,
 Padło na drugie, zgodne sobie serce,
 Dlatego właśnie uwierzyła w cnotę
 Tego, co rajem przerwał dni mych głuszę,
 Że był ubogim, że miał prostą duszę.
 To Ty wiesz tylko, Ty wiesz Boże! co to,
 Gdy na samotném pustkowiu żywota,
 Zakwitnie miłość—i biedna sierota
 Powiedzieć może: jużem nie sierotą,
 Już świat nie pustką, życie nie bezdroże,
 To Ty wiesz tylko, Ty sam mocny Boże!
 Ale nie długo trwał słodki sen serca,
 Wyjrzał z pod maski zradny przeniewierca,
 A gdy mych uczuć nie przeinaczy,
 Brakło już dalej na życie oddechu,
 Chciałam ból zamknąć w pogardy uśmiechu,
 I pękło serce z bólu i rozpaczy....
 Duch wyszedł z ciała i dążył ku niebu,
 A zmarłej nawet nie dali pogrzebu,
 Tylko uniosłszy śmiertelne ostatki,
 Cisnęli na stół, jak mięso na jatki,
 Wyjęli serce, rozdarli na sztuki,
 Na jakąś próbę, dla jakiejś nauki;
 Potem zebrane w czterech deskach szczątki,
 Przeszłe przez wszystkie bóle ziemskij nędzy,
 Bez czci dla zmarłej i życia pamiętki,
 Do tego dołu rzucili czémprędzej.”
 Robak zrozumiał, snąc go żal ucisnął,
 I skarg sierocych poruszyło brzemię,
 Bo popęzł dalej, głębiej zarył ziemię,
 I w środek trzeciej trumny się przecisnął.
 Już wietrząc złobycz, marzył o biesiadzie,
 Polazł po trupie i siadł mu na czole,
 Gdy się głos ozwał: — „Dokończ ziemny gadzie,
 Co świat nie dogryzł, nie dojadły bóle;
 Póki trup nie skrzepł i krew nie ochłodła,
 Z ostatnim jękiem życie nie wyciekło,

Wgryź się do mózgu, napij się ze źródła,
Zkąd raj uniesień i męczarni piękło.
Grmin był mym ojcem a ubóstwo stanem,
A nad kolebką, okrytą łachmanem,
Bóg—jak na gorzką igraszkę ubóstwa,
Zawiesił jasny promień swego bóstwa.
Ale stan nędzy, to przekleństwa znamie,
Łza go nie zetrze, ni skarga rozkruszy,
A gdy męzkiego hart ducha go złamię,
Zostanie jeszcze taka gorycz w duszy.
Zostanie jeszcze jęk tak rzownej nuty,
Ze je i wyższe myśli nie ukoją;
To płacz dziecięcia, skarga i wyrzuty,
Co się o krzywdę upomina swoją.
Biegł rok za rokiem jak w potoku woda,
A z każdą chwilą biegła i myśl młoda,
Siadła na kwiatku, myła się w pól rosie,
Grzała przy słońcu—zasłuchać się rada,
Co mówi strumyk, co ptak rozpowiada,
Przy barwach tęczy i blasku jutrzeńki—
I w tym zmieszanych harmonij chaosie,
Szukała nuty i słów do piosenki,
Co w niej już drgała ukrytych tętn ruchem,
Jako dymiący wulkan przed wybuchem.
I słonko, strumyk i śpiewacy leśni,
Dali natchnienie, dali nutę pieśni.
Lecz gdy przed okiem i duszą prostaczą,
Stańło życie jak widmo w przezroczu,
Ach! Łza pociekła z zacienionych oczu,
Łza bolejąca i niewypłakana,
Jaką anieli tylko Pańscy płaczą,
Gdy spojrzą w ziemię—i nagle obaczą
Na boskiem dziele, straszną dłoń szatana.
Szedłem w świat duchem—szło życie przedemną,
I rozwijało losów ludzkich prądę.
Uwite jakąś ręką potajemną:
Tu śmiech wśród płaczu, dostatki i nędze,
Tu pierś bijąca obok trupiej czaszki,
Skupione razem, jakby dla igraszki
Wszzechmocnej siły—przeciwiństw bez końca!
W dole kir smutku, u góry blask słońca,
Przeciągający po niebios przezroczu,
W pogodzie, w ciszy—jakby pod tém niebem,
Nie było nędzy i spłakanych oczu,
I nie szedł co krok pogrzeb za pogrzebem
Jakiegoś szczęścia—i nie było grzechu
Obojętności, serc ukutych z spiżu,

I nad to wszystko straszniejszego — śmiechu
 Z łez rozpiętego na męczeńskim krzyżu...
 I ból rozlany po sercu prostaczóm,
 Zmienił się w jeden hymn obłany płaczem,
 A hymn bez słowa, z nieruchomą wargą,
 Płynął do góry skrzydłem ptaka żyżem,
 Darł się w obłoki, biegł do gwiazd ze skargą,
 I ustóp Boga rozścielał się krzyżem.
 Tak gdy samotna a bólem natchniona,
 Pieśń puste wkoło echa tylko budzi,
 Zdjęła tęsknota do świata i ludzi;
 Lecz próżnom bratnie wyciągał ramiona,
 Chciał do serc sercem zbliżyć się wylaném,
 Świat mnie odepchnął, bo świat pod łachmanem
 Nie dojrzał człeka... Więc z sercem zwątpiałem,
 Sam pośród tłumu, chętny śród niechętnych,
 Czulem za wszystkich w świecie obojętnych,
 Za wszystkie szczęścia na ziemi — cierpiałem.
 Potém, duch taką wziął nademną władzę,
 Żem nie stał myślą z ludźmi w równowadze,
 Wybiegłem z ziemi, a wzniosłszy lot w górę,
 Łachman — w gwiazd jasnych odziałem purpurę,
 Śpiewając w nędzy, na życia popiołach,
 Tylko o szczęściu, tylko o aniołach.
 Świat z wyschłych oczów nie zdjął ziemskiej chmury,
 Patrzył na łachman — nie dojrzał purpury,
 Więc siłę ducha, co się ukrył w żalu,
 Zimnego zmierzył rozsądku poziomem,
 Nie wyrozumiał — więc uderzył gromem —
 I w obłąkanych skończyłem szpitalu...
 Potém — cóż potém? Czas poleciał żyży,
 Wyczute bolem, pękły życia struny,
 Pieśń wicher rozwiął, może poniósł wyżej,
 A ciało — w śmierci owiane całuny,
 Wspólny dół zamknął bez śladu i wieści...
 Resztę ty dokończ!"

Robak się nie ruszył,

Tak go słów potok oblał i ogłuszył;
 Bez tchu bolesnej wysłuchał powieści,
 A wysłuchawszy cierpliwie do końca,
 Zśliznął się z oiała i popęzł czómpędzej,
 W głąb ciemnych mogił i podziemnych dołów,
 By tchem zaszygłych odetchnąć popiołów,
 Nie słysząc żywych, i uciec od słońca,
 Pod którym tyle łez, bólu i nędzy.

I w głębi ciemnej ucichło mogiły,
Domilkły usta i serca dobiły,
A czucia, myśli i piosnki i zale,
Głuchój wieczności upowły fale,
Na sen bez mary, na spoczynek wieczny,
Z którego chyba ockną się i wstaną,
Gdy po śnie wieków, zejdzie Boże rano,
Budzące wszystkich na sąd ostateczny.

Henryk Cieszkowski.



SAMOBÓJSTWO

W STOSUNKU DO CYWILIZACYI.

(Wyjątek ze studyów *E. Caro*).

I.

Są kraje i wieki, mające ten smutny przywilej, że się w nich samobójstwo mnoży w zastraszającym stosunku. Są przeciwnie znowu takie strony i czasy, w których śmierć dobrowolna staje się zbrodnią rzadką i potworną. Zkąd ta różnica?

Cierpienie jest wszędzie; nie ma ani takich stopni szerokości geograficznej, ani takich epok, któreby od niego wolne były. Wszędzie prawie jest ono jednakiem, zmieniając tylko wyraz i pozory, ale nie rozległość, i w serce ludzkie bije nieustannie. Namietności, będące źródłem wszelkiego cierpienia, nie zmieniają się wcale: miłość ze swemi szalami, duma ze swą egzaltacją zawiedzioną, zazdrość ze swemi męczarniami. Czemże się to zatem dzieje, że te same przyczyny wieczne, niezmienne, nie sprowadzają zawsze tych samych skutków?

Kwestyę tę całą chciano zredukować do kwestyi klimatu. Mówiono np. że jeżeli Anglia jest ziemią klasyczną samobójstwa, to przypisać to należy mgłom, które wyradzają melancholiję; jak znowu, iż samobójstwo u ludów południowych jest rzadkością z przyczyny powietrza, którym oddychając, czuje się miłość życia. Jestto przyczyna złudna, boby nie zdołała wytłumaczyć owych całopaleń ludzkości, których brzegi Gangesu tak często były widowiskiem. Nie wiem również, czy samobójstwo jest zaszczytem u ludów zaciśniętych w lody bieguna północnego, gdzie klimat najsurowszy winienby usposabiać do najczarniejszych smutków.

Trudno zaprzeczyć wpływów natury— wiadomo, w jakiej bezpośredniej zażyłości człowiek zostaje ze słońcem, niebem i morzem swojego kraju; nie można więc nie uznać tego tajemniczego

powinowactwa, jakie zachodzi między człowiekiem a klimatem w którym żyje.

Ale jest przyczyna więcej wpływowa, która przenika głębiej człowieka i która prawdopodobniej tłumaczy te różnice; przyczyną tą jest cywilizacya. Rozumie się tu przez nią owo centrum moralne idei, pragnień, potrzeb i interesów ogólnych, wśród których rodzimy się i żyjemy; tę atmosferę zasad i wyobrażeń, którą dusza nasza oddycha i która utrzymuje w nas życie duchowe, odświeżając je niewidzialnie. Nie uniknie nikt owych żywotnych nieujętych wpływów, któremi od urodzenia nasiąkamy zewsząd, a które idą z wychowania, rozmów, czytania i koniecznego udziału każdego człowieka w życiu powszechném ludzkości. Jest się bezwarunkowo człowiekiem swego czasu i swego kraju; nie wszyscy w równej mierze podlegają działaniu pojęć panujących, ale choć nierówno, wszyscy im podlegają jednak.

Jeżeli ta atmosfera jest zdrową i czystą, oddycha się zdrowo; jeżeli jest złą i zepsutą, wdychamy w siebie gorączkę, a choć nie wszyscy umieramy, choć nie wszyscy ciężko chorujemy, wszyscy jednakże koniecznie cierpimy. Jest to prawem, i nie sarkajmy na nie, bo ono to właśnie jest owém prawem fizycznym i moralnym razem, które uświęca że tak powiem, dotykalnie świętą solidarność ludzi, i zmusza ich nawet wśród osamotnienia, które wyradza samolubstwo lub pycha, uznawać się braćmi, przynajmniej w braterstwie cierpienia.

Łatwo by nam przyszło wykazać rzeczywistość tego wielkiego prawa przez spostrzeżenia ogólne, ale się śpieszymy do faktów, które w oczach wielu są zawsze wymowniejszymi od rozumowania.

Więc fakta same powiedzą za nas i wyłożą to, co moglibyśmy nazwać filozofią przedmiotu. Powiedzą, że o ile cywilizacya jest spokojną, o tyle życie indywidualne jest ciche, jednakowe, powolne i płynne błogo wpośród widnokregu zakreślonego bez żadnych wstrząśnień, bez wielkiego szczęścia, lecz bez nadzwyczajnych wydarzeń. Człowiek zrodzony na zagonie uważa granicę swego pola za granicę swych nadziei; nie oddaje serca pragnieniom urojonym, i umiera na łożu, gdzie umarł jego pradziad.

Wśród bytu tak nieruchomego, samobójstwo jest rzeczą rzadką, prawie nieznaną. Przeciwnie, ile razy cywilizacya jest wstrząśniętą, gorączkową, wtedy zawsze życie każdego odczuwa w sobie głęboko te wstrząśnienia i gorączki; zapala się wyobrażenia, egzaltuje żądza, otwiera się widnokrąg niezmierny, nieznan; nadzieje szalone wzbudzają duszę zbalamuconych generacyj, działalność, która tehu złapać nie może, pchają na wszystkie strony wielkie ambicje, olbrzymie współzawodnictwa wytwarzają rozpaczliwe współ-ubiegania się. Wtedy to fortuny bajeczne, improwizowane przez grę hazardów i wypadki niesłychane lecą na dno przepaści marzeń niedorzecznych.

W starciu tém pragnień i rozczarowań niezmiernych, samobójstwo przybiera rolę owego bożka starych tragedyj, który się zjawia na samo rozwiązanie. Nie każdy wygrywa w téj szalonej mieszance życia; kto przegra, zostaje mu jeszcze... umrzeć!

Otóż to nam powiedzą, świadki nieskazitelne—fakta.

Powiedzą nam także, jaki wpływ bezpośredni pojęcia panujące wieku wywierają na pokusy samobójstwa. Śmierć ta nie jest wyłącznie skutkiem koniecznym wstrząśnień gorączkowych społeczeństwa wyrabiającego się, ale może być jeszcze owocem pewnego dogmatu religijnego lub systematu filozoficznego, albo jeszcze pewnej mody literackiej lub poetyckiej.

Różne te wpływy składają, rzeczywiście część cywilizacji; i oto druga strona téj samej kwestyi. To także jest prawem, że samobójstwo zwiększa się lub zmniejsza stosownie do pojęć i przekonań wieku; to również jest prawem, że przybiera ściśle kształt i barwę idei panujących i odbija w sobie z zadziwiającą wiernością stan ducha głównych epok dziejowych.

Prawo to widzieć się daje w smutnej historii samobójstwa, przechodząc różne wieki ludzkości od mistycznych ofiar Brahmina *Nieskończonemu*, co go unosi w swe głębie tajemnicze, aż do szkoły stoików, która otwarła duchowi rzymskiemu ów wylot ku wolności; od wiary Druidów, która Galla wesoło rozstającego się z życiem wysyłała w lepsze światy, aż do samobójstwa literackiego synów—marzycieli Werthera i Renego.

Trudno wyczerpnąć pod tym względem wszystkiego—wybierzemy więc kilka punktów w dziejach ludzkości, do których zastosujemy nasze badanie; resztę musimy pominąć w naszym przeglądzie, który jest tylko szkicem moralnym.

Najprzód otwiera się przed nami Wschód, a na Wschodzie Indye, ta kolebka ludów. Pomińmy chronologię téj bajecznej starożytności, i naukowe ciemności wiszące nad początkami tych wielkich religijnych filozofij, jak niemniej dziwaczne pomysły owych theogonij utkane z tajemnic, olbrzymie odszczepieństwa, dzielące przez tyle wieków ludności Indusa i Gangesu, a idźmy prosto do przedmiotu.

Samobójstwo wśród tych ludności fanatycznych, było nieustającą tradycją.

Spotkanie się Alexandra Wgo w głębokim Wschodzie, w Taxili, z owemi filozofami żyjącymi nago na brzegach Gangesu, których Grecy nazywali *gymnosophistoi*, nie było jedną z owych awanturniczych i cudownych jego wypraw zbrojnych i cywilizatorskich. To Grecya stanęła oko w oko z Brahminami. Rysy tego dziwnego zjawiska, które tak żywo uderzyło wyobraźnię Greków, zostawione w dziełach Plutarcha i Strabona, pokazują, że gimnosofiści byli sektą Brahmy, i że pierwszym objawem

nauki, którą udarowali zwycięzcę i jego armię było... samobójstwo. Przywódca tych filozofów *Mandanis* nie chciał iść z Alexandrem. *Calanus* zgodził się na to, ale tylko, aby móżdż umrzeć z większą okazałością wobec armii cudzoziemskiej, której dał dziwne widowisko swęj śmierci, wśród wspaniałej wystawy przygotowanej staraniem króla.

Wstrzymał się Alexander przed końcem tego krwawego obrzędu, który był wstrętnym i dla wyższej duszy i raził obyczaje cywilizacyi greckiej.

Plutarch mniema, że Cezar miał także swego gymnosofistę, który się spalił jak ów Alexandra Wgo.

Przez owe to straszne całopalenia, objawiła się Grekom i Rzymianom filozofia indyjska. Szalony ten fanatyzm sięga dawnych czasów w obyczajach Indyj, i wiadomo, że pod nierozumnem natchnieniem tych samych doktryn, Brahmini dzisiejsi zabijają się z tą samą pochopnością, jak za czasów Alexandra Wgo. Na setki i tysiące, a nie jak u nas na jednostki, przychodzi rachować samobójstwa na tęj mistycznej ziemi.

Nie są to już samobójstwa indywidualne, ale hekatombę ludzkie, których woła człekobójczy zabobon, a które stanowią zarazem postrach i rozkosze tych ludów.

Czyż trzeba mówić o owych potwornych uroczystościach, podczas których bałwana Dżganatu (*Jaganaat*) obwozą na podruzgotanych ciałach jego wyznawców, albo o owych dewocyach boleśnie dziwacznych, gdzie całe sekty pokutników skazują się na straszne i powolne męczarnie. Umrzec, to nie wszystko; trzeba jeszcze swe ciało zabijać mądrze na ofiarę, trzeba je poświęcić na nowe kaźnie. I takto temu fanatycznemu smakowi śmierci oddaje się na usługi imaginacya! Wiadomo, że Buddyzm przedzierając się do Japonii, przeniósł tam te same obyczaje i szaleństwa, które od lat niepamiętnych panują na świętej ziemi Indyj.

Zjakaż egzaltacyą, ci nieszczęśliwi sekiarze nieludzkiego obrzędu cisną się na łodzie pchnięte w przestwór morza i toną, śpiewając hymny, albo grzebiąc się żywcem w jaskiniach, umierają, błogosławiając losy. Fanatyzm rozwija siły nadludzkie i nie ubłagany nadaje hart tym odwagom gwałtownym, a zimnym. I w témto leży tajemnica owęj dzielności trwonionej na to, by cierpieć i umierać. Nie wchodząc w rozbiór nauk, rozdzielających Wschód Indyjski na dwa przeciwległe światy: świat Brahizmu i Buddyzmu, pomówmy o tэм, co stanowi grunt tych religij, liczących na sta i tysiące wyznawców. Gruntem tym jest nieokreślone uczucie nieskończoności, otchłań bezdena, która po przejściu stopniowém dróg metempsykozy pochłania każdy kształt przechodni, każdą duszę jednostkową. Każdy z tych obszernych systematów (co stanowi wspólną ich cechę) obiecuje człowiekowi jako najwyższy cel jego pragnień, zupełną, doskonałą szczęśliwość, wyzwolenie i oswobodzenie; mało jednak na tэм zależy, aby wiedzieć, jakiego to rodzaju będzie owa idealna szczęśliwość: czy

to będzie ostateczne zlanie się z Duchem Najwyższym, jak obiecują Brahmiści, czy przeciwnie jak chcą Buddyści, będzie to spoczynek *Nirwany*, obojętne zupelne, byt wolny od wszelkich własności cielesnych, uważany za najwyższą szczęśliwość, ustanie wszelkiego ruchu, negacya wszelkiego rodzaju bycia i czucia, spoczynek bezwzględny, do snu nicestwa podobny?

Doktryna *oswobodzenia*, to jest śmierci ostatecznej indywidualum, pochłoniętego w wielkiem *Wszystko* (universum), jest podwaliną każdej theogonii i moralności indyjskiej, rozlaną od brzegów Gangesu na niezliczone ludności Azji. Teraz się zrozumie lepiej, że samobójstwo jest rozegraniem tej walki pierwiastku indywidualnego, bytu złudnego, z pierwiastkiem powszechnym, który skupia w swém wielkiem łonie wszystkie istności rozrzucone i dusze błędzące. Kiedy się objaśni, że śmierć dla Indyjczyka nie jest tém, czém dla nas: niespokojném zaciekaniem się w to, co jest niezuanóm i niepewnością względem *Sądu* ostatecznego, pozna się tajemnicę wszystkich samobójstw, dokonanych z najwyższym spokojem pod wpływem podniesienia wewnętrznego. Dla Indyjczyka znużonego życiem, bytem lub nicestwem boskiem, śmierć jest tylko miłą ofiarą osobistości słabiej i cierpiącej, omdleniem mistycyzm i rokosznie porwaniem w nieskończoność.

Teraz przenieśmy się z brzegów starego Indusa na drugą kończynę świata znanego starożytnym, w siedziby Gallów wyznawców Druidyzmu (1). Niezrównane męstwo, spokój niesłychany wobec niebezpieczeństwa, obojętne zupelne na śmierć, oto rysy charakterystyczne, które uderzały historyków starożytności.

„Szczęśliwe ludy Północy, powiedział Lukan, szczęśliwe w swych błędach, nie znają one największej z obaw... strachu śmierci. Ządto te serca gotowe iść na żelazo, dusze zdolne umierać; ządto owa idea, że nie trzeba oszczędzać życia, które powróci”.

Dla nich śmierć była prostym wypadkiem. Wierząc w przechodzenie w owe jasne krainy firmamentu, zaludnione już przez praocjów i przyjacioł, z męznóm sercem rzucali się w to nowe życie, które było tylko dalszym ciągiem doczesnego; udzielano z łatwością pożyczki, których wyplaty następowały na tym świecie!

(1) Należy tu objaśnić, że druidyzm był wyznawany nie tylko w Gallii, ale w ogóle u ludów *celtyckich*. Lubo zaś Grecy pod tą nazwą rozumieli tylko Bretonów, Gallów i Germanów, ludy celtyckie jednak miały kolonie na północy, zachodzie i w środku Europy tak, że oprócz Francji, Anglii i Niemiec, obejmowały Hiszpanów, Traków, Getów, Daków, Illiryjczyków, niektóre narody Scytyjskie i prawie całą północ oraz część ludów starożytniej Italii (Ap. Buonafede).

Dogmat nieśmiertelności u Druidów nie był jak u Indyan wiarą w spoczynek wieczny, w nicestwo, lub w apoteozę *ducha powszechnego*; owszem był to ten sam świat przedłużony, osobistość człowieka przeniesiona na inne światy niebieskie. Umrzecć przy takich nadziejach było prostą zabawką, śmierć dobrowolna u Gallów była tradycją głęboko narodową. Umierało, aby odprowadzić przyjaciela na brzegi rzek dalekich, umierało, aby go wybawić z choroby, i te zastępy dobrowolne wielkiej armii śmierci, bez zalu wyruszały na łono ojczyzny tajemniczej.

Inny początek samobójstwa spotykamy w Grecyi i Rzymie. Pojęcie to rozlewało się w świecie starożytnym więcej jako zasada filozoficzna, aniżeli jako dogmat religijny. Wzrostem słowa Platon przemawiał przeciw samobójstwu. Onto pierwszy porównywał człowieka z żołnierzem, któremu nie wolno schodzić ze stanowiska, na jakim go wola bogów postawiła. W innych miejscach jednak, mianowicie w jego *prawach* surowość ta zdaje się mięknąć; dopuszcza on tyle okoliczności łagodzących, że się zdaje cofać w imię filozofii, swój zakaz co do samobójstwa, w imię woli bogów na inném miejscu głoszony. Po Platonie, po Arystotelesie nastąpiło jakieś zwolnienie pojęć, dogmatowi samobójstwa sprzyjające. Powściągliwe zwątpienie akademików, bezwzględne Pyrrona i jego szkoły, zanadto otwarcie prowadziły do zubożenia w moralności i do niepewności życia przyszłego; uwięściło więc hart woli ludzkiej, i dusza zmęczona sama sobą, pragnęła spoczynku nicości. Zwierzęca i nieokrzęsana matka stoicyzmu, szkoła cyników, zrodziła Dyogenesa, tego Sokratesa obłąkanego, jak go nazywał Platon, który swe życie pełne dumnego dziwactwa zakończył samobójstwem.

Znaną jest historia Peregrynusa cynika, owego ucznia Dyogenesowego, który w II wieku ery chrześcijańskiej wobec całej Grecyi zebranej na igrzyska Olimpijskie wstąpił tak uroczyście na stos, w sposób sobie właściwy, przedrzeźniając męczenników Chrystusowych, nie znając ani ich pokory, ani ich wiary. Widok to smutny i bezbożny szaleńca chełpliwego. Systematyczne i naukowe uświęcenie samobójstwa wprowadzili Cyrenejczycy, sekta wymownych wyznawców *rozkośzy myślowej*. Znany apologista i mistrz tej szkoły Hegezyasz uznając szczęście człowieka za jedyny cel jego, szukał drogi do osiągnięcia go, i przyszedł do zdania, które głosił z tak rzadką zręcznością, że szczęście jest rzeczą imaginacyi, wymyka się wszelkim naszym wysiłkom, złe jest mocniejsze od dobrego; dobro zaś samo, nie ma w sobie nic rzeczywistego ani stałego, bo je użycie przytępia, a ludzie mogą nam je odebrać. Życie może się zdawać dobrem tylko szaloniemu, mędrzec jest nań obojętnym; śmierć staje mu się uprawioną.

Z takimto rozpaczliwym sceptycyzmem przechodzi on wszystkie dobre strony życia: cnoty, uczucia, rozkośze serca, przyjemności ciała i dary fortuny.

Chciał mędrca zwyczajnie do pogardzania wdzięcznością, przyjaźnią, dobrami czynami i szacunkiem innych, nawet własną wolnością, jako dobrem złudnym, którego przemijająca przyjemność może upoić tylko umysły zwyczajne i zużyte. Miał talent malować życie ludzkie tak smutnymi farbami, że wielu słuchaczy, porwanych niesmakiem życia, zabijało się przy wyjściu z jego dramatycznych prelekcji, z kąd otrzymał przydomek *Pistinate* (to jest doradca śmierci). Wpływ tego apostoła śmierci stał się rzeczywiście niebezpieczeństwem, tak dalece, że przerażony zarażliwością jego słowa król Ptelomeusz kazał zamknąć szkołę, która była szkołą publiczną samobójstwa.

Stoicyzm, nauka daleko wyższa poddała wolność człowieka pod opiekę śmierci. Szkołę tę spotykamy w Rzymie i zobaczymy, jakie tam owoce wydała. Tu tylko zaznaczymy, że założyciel jej Zenon, starzec złamany wiekiem, zadał sobie śmierć, przekazując swoim uczniom przykład, który znalazł niezliczonych naśladowców.

Co do Rzymu nie będziemy opowiadać o samobójstwach mających źródło w pobudkach wyjątkowych, jak np. w poświęceniu się za ojczyznę, które widzimy w zgonie Decyusza, albo w dumie miłości małżeńskiej, która z taką mocą i odwagą wybuchła w Porcyi, żonie Brutusa, Aryi małżonce Petusa i Paulinie żonie Seneki, albo nakoniec w obrazie czystości dziewiczej, jaką widzimy w bohaterskiej śmierci Lukrecyi; ale zajmiemy się samobójstwem filozoficznym i politycznym, mającym źródło w doktrynach i przedstawieniem pewnych pryncypiów. Istotnie, w Rzymie samobójstwo stało się filozofią, polityką, zupełnym systemem.

Doktryna ta nie była bez uroku; uciekały się do niej dusze niezdolne walczyć zwycięzko, ale też i nie zdolne się poddawać. Dochodzenie mniemanego prawa człowieka nad samym sobą, głosił przed innymi Seneka, usiłując przekonać, że człowiekowi wolno umierać, kiedy mu się żyć nie podoba. Samobójstwo jest aktem dzielności, przez który człowiek odzyskuje posiadanie samego siebie, wyzwala się z niewolnictwa i wobec ludzkości, która się gnie pod jarzmem losu, głosi swą niepodległość. Mędrzec nigdy nie będzie niewolnikiem, wolność jego złożona w jego rękę; umie on zrobić wysilenie, aby utrzymać swą niezawisłość, i wie, kiedy trzeba i gdzie znaleźć *asylum*, do którego żadna tyrania nie dochodzi. Tym sposobem zachowuje on niewzruszoną szczęśliwość, i wznosząc się przez swe męztwo ponad bogów, gotów śmierć ponieść za jej nietykalność; gdyż szczęście bogów jest przywilejem ich natury, szczęśliwość zaś mędrca, zdobyczą jego wolności.

Chętna ta doktryna miała w Rzymie podwójny urok: urok opozycji republikańskiej i blask wielkich imion, które się z nią wiązały. To mniemane prawo człowieka nad samym sobą Katon wymierzył sobie w Uttyce, Brutus w Filipbach, a Trazeasz i Seneka w Rzymie. Pod godłem tych uświęconych imion roz-

szerzało się ono, aż się stało hasłem ulubioném owój mniejszości przez senat rzymski zagrożonej, która przez śmierć pełną świetności potrafiła przynajmniej z godnością przechować tradycyę dogorywającej republiki.

Republikanie ci ostatniej godziny bronili wprawdzie tylko cienia, sławę swą pokrywali zasadę oderwaną; lecz czyż to nie było umieć umierać za wielkie wspomnienie, lub za piękne urojenie?

Stoicyzm rzymski lubił wystawność teatralną, lubił deklamować, ale chociaż nie chcemy go tu bronić od oskarżeń przechodzących wszelką miarę, ta jednak jego charakterystyka nie upoważnia do wyprowadzania przeciwko niemu zarzutów.

Zawsze to zostanie prawdą, że więcej jest warte życie, które się umie stać użytecznym dla innych, aniżeli życie, które się usiłuje uświetnić ofiarą jakąś bezcelową i chełpliwą.

Jednakże w śmierciach tych, które były więcej protestacyą niż samobójstwem, przy braku nauki szlachetniejszej, któraby ludzkość nauczyła poświęcenia wyższego, było coś wielkiego. Była to doktryna błędna, lecz do błędów podobnych nie byłyby zdolnemi ani serca zwyczajne, ani dusze znikczemnione.

Nie tylko to ten stoicki dogmat wolności uzbierał dłonie Rzymian przeciwko samym sobie, ale sprawiał to również i dogmat rozkoszy zmysłowej.

Szkoła epikurejska nie frymarczyła swemi ofiarami. Powtarzając, że śmierć jest dobrą wtedy, kiedy już nic w życiu do użycia nie zostaje, uderzała w osoby najświetniejszych swych mistrzów. Co lepsze, czy czekać na śmierć, czy ją uprzędzić?

Na co odraczać godzinę fatalną, na co wytargowywać kilka dni znikomych, które się tylko na troski i cierpienia liczą?

Kiedy szkoła stoików uczyła swych adeptów: „może cię zgnieść przemoc, ale nikt nie jest władcą ciebie samego; ty wolność swoją trzymasz we własnem ręku”—doktryna epikurejska poddmuchiwała swym wyznawcom upojenie śmierci, głosząc:

„Wyczerpnąłeś życie do dna, tylko więc dolegliwości, bólów i starości możesz się od niego spodziewać. Jeszcze ostatnia libacya, na ten raz umiej doń dolać kilka kropel trucizny; pij śmierć, czyż spoczynek nie jest również szczęściem?”

Oto ostatnie słowo i wyższa mądrość starożytniej zmysłowości. Tym sposobem dwie najślawniejsze szkoły pogańskiej moralności schodziły się u jednego celu, u śmierci, tego jedyne lekarstwa albo na życie przeżyte w sobie, albo na męstwo zużyte w walce. I umierano tak bez nadziei i żalu! Zapewne samobójstwo Antoniusza nie należało do rzędu epikurejskich; lecz choć zgonu jego przyczyna była zupełnie politycznej natury, formę jednak miało śmierci epikurejskiej, przygotowanej w ustroniu, z przewidzeniem wszystkiego, aby cierpienie usunąć, i przyjętą z rezygnacyą fatalizmu zmysłowego. Wiadomo, że Antoniusz i Kleopatra założyli akademię śmierci (współumierający), której

wszyscy członkowie, jak Plutarch świadczy, poprzysięgli razem umrzeć, przemyślając tylko o wyszukaniu sposobów, jakby najweselej z życiem się rozstawać.

Kleopatra jednak nie dotrzymała tego grobowego *rendez-vous*, przybyła dopiero później, kiedy ją zmuszono. Lukrecyusz, ten wielki poeta, który w tak gorących rytmach umiał opiewać samolubny dogmat Epikura, smutnym samobójstwem, otoczonym największą tajemnicą odebrał sobie życie.

Malarz orgii rzymskiej Petroniusz (faworyt Nerona, prokonsul Bitynii) bawił się do ostatniej chwili; kazał sobie stopniowo otwierać i zamykać żyły, by się dłużej napawać cierpką śmierci rozkoszą.

Z postępem czasów mnożyły się bez miary samobójstwa. Dziwne zjawisko, z którym nas musi oswoić historia wszystkich cywilizacyj zużytych nadużyciem. W łonie zmysłowości wyradzał się dziwny, rozwiązły smak śmierci. Na końcu wszystkich orgij zawsze się krew spotyka. Po wyczerpnięciu już wszystkich sensacyj życia, budziło się pragnienie najwyższej, która się stawała ostatnią. Samobójstwo bywało często ostatnim snem rozpusty, bo patrzeć na cierpienia, albo nawet tak cierpieć, było chobliwą rozkoszą dla dusz plugawych.

Rzymianie z czasów upadku wycieńczeni rozkoszami zmysłowemi, zmęczeni tém, iż u celu żądz swoich spotykali wiecznie te same rozkosze, rzucali życie na pastwę ostatniego bankietu, i nurzali się z pewną gorączkowością w tę otchłań śmierci, którą za nicestwo uważali (1).

Pogarda życia stanowi zjawisko, jakie nam wszystkie wieki upadku przedstawiają. Zdaje się, że egzystencya traci wszelką wartość, gdy nie widzi nigdzie dla siebie celu szlachetnego, i znużona sama sobą, zmęczona namiętnościami, ludzkość pozwala życiu upływać razem z krwią z żył wycieńczonych.

Nie mając siły żyć, umierała chętnie. Czas więc już było, aby nauka równie surowa, ale więcej ludzka, wstrzymała dłoń ludzkości zwróconą przeciwko niej samej; czas już było, aby chrześcijaństwo przeciął ową obojętność na śmierć, powrócił życiu najwyższe jego zadanie, bo poświęcenie, swobodzie ludzkiej jój cel, bo obowiązek, a duszy utraconą tajemnicę jój nieśmiertelnego przeznaczenia.

Święty Augustyn pierwszy wystąpił przeciw stoicyzmowi i w wymownych argumentach potępił samobójstwo. Nikt nie ma

(1) Za czasów Tyberyusza i jego następców, skazanych na śmierć włóczono po mieście, wrzucano w Tyber i konfiskowano ich majątki; przeciwnie tym, którzy uprzedzając karę, odbierali sobie sami życie, oddawano część pośmiertną, a majątki oszczędzano jako nagrodę odwagi okazanej przez zadanie sobie śmierci. Większa więc część więźniów i skazanych odbierała sobie życie, unikając skutków takiego prawa.

prawa, wołał on, odbierać sobie życia dla nędz doczesnych, bo może popaść w nędzę wieczności, ani dlatego, by je zamienić na lepsze, bo nie ma szczęścia dla tych, którzy się stali sprawcami swej śmierci.

Zasadę potępiającą samobójstwo Koncylia przenieśli do prawodawstwa kanonicznego.

Ztąd przeszła ona do prawodawstwa cywilnego średnich wieków, które ściagało zbrodnię samobójstwa w czci i fortunach całych rodzin tak, że kara przeżywała winowajcę.

Podług nauki Chrystusowej pojęcie zbrodni wiązało się bezwarunkowo z ideą śmierci dobrowolnej, i wyobrazenie to wsiąkło w sumienie nowożytne. Chrześcianizm więc przywrócił życiu poczucie godności, które się zupełnie było zatraciło, nauczył człowieka szanować w samym sobie ów tajemny pierwiastek bytu, który mu był dany, nie jako narzędzie rozkoszy lub dumy, lecz jako narzędzie walki zbawiennej.

Odtąd życie odzyskało cel swój wielki, doskonalenia ducha, a duch ten rzucony przez zepsucie rzymskie na łup szalonym marzeniem rozpusty, w obliczu rozumu chrześcijańskiego odzyskał również swą wartość nieocenioną, odkupiony jak tamten przez cierpienia i śmierć Boga. Taką była nauka kościoła, której było potrzeba, aby wstrzymać pokusę powszechną samobójstwa, jaką się zdawał świat cały być opętany. Potrzeba było prawodawstwa surowego, aby nagle przerobić obyczaje pogańskie, a to zniewolenie duszy do szanowania życia, to poskromienie szału człekobójstwa osobistego, które było jedną z form pogardy człowieka, stanowiło jedno więcej zwycięstwo nowego dogmatu.

Surowe te jednak przepisy kościoła, nie wytepiły zupełnie tej choroby moralnej, tylko ją obuzdały. Choroba ta zostawia swe ślady po świecie, bo jest grą nadmierzą namiętności, a dopóki te, t. j. ludzie istnieć będą, i gwałtowne rozpacze i szalony gniew przeciw życiu z niemi pozostaną.

Otóż to samobójstwa polityczne, żołnierskie i świeckie, jeśli je tak nazwać wolno. Ale przedzierały się one i do wnętrza przybytków świętych. Życie zakonne nie ustrzegło pewnych dusz niespokojnych i chorobliwych, od tej pokusy szatana smutku. Chorobę tę pisarze kościoła nazwali z grecka *acedia*, zbytek znudzenia chorobliwego, które prowadziło do samobójstwa.

Jednakże naprzekór tej chorobie, i tym szatańskim hallucynacyom średnich wieków, które tyle ofiar pochłoneły, trzeba przyznać, że pod prawem Chrystusowem w ogólnym rachunku samobójstwo staje się rzadszém, mianowicie w czasach, kiedy wiara była szczerą i mocną, życie pracowitem, cierpienie rzeczywistém, walka przeciwko głodowi, zarazie morowej i klęskom wojen, codzienną. Rodzaj postrachu tajemniczego padł na wyobraźnię ówczesną. Każde samobójstwo podług kronikarzy było zbrodnią Judasza, nigdy nieodpokutowaną. Dlatego śmiało rze-

można, że wieki średnie były w dziejach punktem zatrzymania się samobójstwa.

Przez ciąg tej całej epoki, w której dogmat chrześcijański panował nad sumieniami ludzkimi, śmierć samowolna zjawia się od czasu do czasu, ale już teraz nie jako doktryna, lecz jako bunt przeciwko zasadzie uświęconej. Protestantyzm przyniósł z sobą nowe potępienie samobójstwa. Luter głosił, że tylko Bóg jest panem bezwzględny życia i śmierci. Równie jasnymi pod tym względem byli Kalwin i Teodor Beze. Znanym jest list Joanny Grej pisany w przeddzień jej śmierci do doktora Aylmers, gdzie ta nieszczęśliwa królowa dziewięciu dni, ta kobieta prawie dziecko, opisuje, z jakim świętym uporem odrzucała pokusy wiernego sługi, który jej doradzał, aby się przez truciznę wydarła sromocie ostatniej katuszy, i na wzór starożytnych odebrała sobie sama życie.

„Starożytni, mówi ona, wychowywali duszę w obliczu sił własnych, chrześcijanie mają świadka, w obec którego żyć i umierać winni—tęci chcieli wielbić naturę ludzką i w rzędzie pierwszych zasług kładli śmierć, która ich wyrwała z pod przemocy ciemności, ci dają pierwszeństwo poświęceniu, które nas poddaje pod wolę Opatrzności.”

Tak mówiła i tak umarła owa królowa, pełna współczucia i słodyczy, która umiała wzruszyć serca potomności przez to, co jest najbardziej wzruszającym w świecie, bo przez wdzięk nieszczęścia!

Lecz wobec katolicyzmu, który ponawia swe zakazy, wobec protestantyzmu, który głosi, że tylko Bóg jest panem życia i śmierci, przychodzi *Odrodzenie* (Renaissance) i dochodzi dawnych przywilejów stoicyzmu, wskrzeszając nazad szkołę filozoficzną samobójstwa.

Przebudzenie się nauk i sztuk pięknych, podziw mądrości starożytnej, popęd do naśladownictwa, urok wielkich imion i sławnych nieboszczyków, odradzający się smak do pogaństwa, wstrząśnienie przekonań zmodyfikowały pojęcia średniowieczne o samobójstwie. Posypały się zewsząd apologie filozoficzne. Tomasz Morus w Anglii, Montaigne we Francji występują jako zapaleni wyznawcy śmierci stoickiej. Ten ostatni był prawdziwym Seneką zmartwychwstałym, z najżywszemi tradycjami jego stoickiej szkoły. Zaraz też pojawiły się liczne samobójstwa na sposób starożytny. Filip Strozzi, ten dumny Rzymianin zabłąkany w czasy XVI wieku, zadając sobie śmierć samowolną, napisał między innymi w swym testamencie:

„polecam duszę moją miłosierdziu Boga, i błagam Go jako o najwyższą łaskę, aby ją umieścił tam, gdzie mieszka dusza Katona Uttyckiego i wszystkich tych, którzy jak on pomarli!”

W tych słowach odbija się cały duch XVI wieku (1).

Wiek XVII jest epoką względnie spokojną, gdzie życie przybiera pewien ład i uśmierzają się gorączkowe wstrząśnienia poprzedniego stulecia.

W żadnej może epoce nie zajmowano się więcej życiem wewnętrznym, jego warunkami i obowiązkami, jak w wieku XVII.

Żyjemy zwykle dla siebie przez innych; tymczasem zasada wyższa uczy żyć w sobie dla innych. Ciągła praca około doskonalenia się moralnego i wyrabiania w sobie miłości chrześcijańskiej, to najwyższa treść moralności ewangelicznej. Wiek XVII nie był wprawdzie jej ideałem, zanadto jeszcze były żywe namiętności, zanadto gorące ambicje, zanadto wolne obyczaje. Ale była już pewna karność pod tym względem, zaczął się obyczaj życia wewnętrznego. Wśród burz i płochości epoki, przychodziły już chwile ciszy i samotności, w których zaczynało zastanawiać się nad sobą.

Powierzchnia ducha była mało chrześcijańską, ale dno jego było nióm w ogólności. Życie wewnętrzne długo męczone, wybijane gwałtownie ze swych kolei, zaciskane aż do swego źródła odzyskiwało bieg właściwy. Na dnie każdej prawie duszy leżała wiara cicha, jakaś iskra ukryta chrześcijaństwa, które czekały tylko chwili wybuchu.

Zwyczaj wchodzenia wé własne sumienie nadawał spokojny ruch temu prądowi życia wewnętrznego, kołł dusze znużone ambicją, które los zdradził, lub zubożył nadmiar nadziei. To wglądanie w samych siebie, badanie gruntu własnej istoty, czuwanie nad rozwojem naszych skłonności, ta zażyłość z samemi sobą, poczucie własnej siły, a częściej jeszcze owych zbawiennych trosk i szlachetnego wstydu, jakie rodzi odkrycie własnych ułomności, i upokorzenie, jakiego się doznaje, gdy się widzi dalekim swój cel upragniony, owa w końcu determinacja przygotowywania przyszłości, z potępieniem przeszłości, były prawdziwą hy-

(1) Do apologetów śmierci samowolnej, Buonafede w swojej *Historji krytycznej i filozoficznej samobójstwa*, zalicza Hugo Grotiusza, Samuela Puffendorfa i Monteskiusza. Co do pierwszego jednak winniśmy zaprotestować, odsyłając do jego dzieła: *De jure belli et pacis* L. II. C. 19, gdzie najwyraźniej walczy przeciwko szkole stoików i innych, uświęcających zasadę śmierci dobrowolnej. Co do Puffendorfa należy przypomnieć, że on wykładając z całą siłą zasadę samobójstwa, ostatecznej konkluzji sam nie czyni, ale zostawia to uznaniu czytelnika (*De jure nat. et gent.* L. II. IV. § 19). Wreszcie co do Monteskiusza dodajem, że surowość ówczesnych praw przeciwko samobójcom, wywołała z jego strony (*List. Pers.* Nr. 64) protestacyą, w której wytłumaczył pobudki samobójstwa, a którą uważano za owoc żywości jego młodzieńczej i przemijającą chwilę upojenia (Sabatier).

gienia duszy i najczystsza moralnością filozoficzną. Nikt nie tracił chwili, utrzymywała się mądrość, a płochość myślała; życie wewnętrzne (duchowe) stawało się nie już zwyczajem, ale prawie sztuką.

Do nadziei, którą daje wiara, filozofia spirytualistyczna dodaje wiarę rozumu. Cichną niespokoję XVI wieku; jest to milczenie organiczne, i te wyjątkowe zwroty dziejów mają charakter jednolitej wielkości i żywotnego pokoju, który się nie mógł zgodzić z owymi chorobami moralnymi, jakie się samobójstwem kończyły.

Dopiero w wieku XVIII, i to ku jego końcowi budzą się znowu niespokoję, przebiegają Europę przecucia wstrząsające, a sumienie ludzkie dotknięte jakąś niemocą, rzuca się wśród drgań i omdleń napadu gorączkowego. Choroba ta bez nazwy, która była ocknięciem się bezładnym ducha nowożytnego, zrodziła nową szkołę samobójców. Zaczął się wiek Wertheryzmu.

(Dokończenia nastąpi).



O ŻYCIU I PISMACH

KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO.

I.

Pamięć Kazimierza Brodzińskiego, poety i prozaika z pierwszych trzydziestu lat naszego wieku, jest i będzie otoczona do lat najpóźniejszych uwielbieniem i czcią, jak Jana Kochanowskiego i Karpińskiego, których, pod względem pojmowania i oddania uczuć i myśli wspólnych całej rodzinnej społeczności naszej, był bezpośrednim następcą. W pismach jego znajdujemy piętno gruntownego rozsądku, szlachetnego serca, czystego przywiązania do ziemi rodzinnej, do jej obyczajów i pamiątek. Brodziński był poprzednikiem i zwiastunem nowego kierunku poezji naszej, a chwała kilku jego znakomitych następców jednoczy się z jego zasługami i na ich podwyższenie wpływa. Ale, czyliż pisma tego autora są tak znane i upowszechnione jak być powinny? Czy należycie oceniono jego stanowisko w naszej literaturze? Czy zebrano w jedną porządną, systematyczną całość wszystkie jego prace? Czy należycie wybadano, jak umysł jego kształcił się i rozwijał, co winien sobie samemu i wrażeniom w dzieciństwie powziętym, co wzorom poprzedników swoich, co przykładowi współczesnych? Takiego zupełnego badania o życiu i pismach Kazimierza Brodzińskiego nie posiadamy. Nie ma dotąd dokładnego życiorysu; nie ma wyliczenia, a cóż dopiero zupełnego wydania dzieł jego. Zapytaj się młodego pokolenia, powie ci: że zna i to po większej części w wyjątkach, sielski poemat Brodzińskiego o Wiesławie; bardziej czytani wiedzą, że tłumaczył niektóre poezye Szyllera i Goethego; że napisał rozprawę o klassycznosci i romantycznosci, że był professorem literatury polskiej w b. Uniwersytecie Warszawskim. Czyliż na tém można poprzestad?

Upłynęło trzydzieści pięć lat od śmierci Kazimierza Brodzińskiego; dwadzieścia pięć od czasu jak wyszły jego dzieła w Wilnie, w dziesięciu tomikach, nakładem Teofila Glücksberga.

który nabywszy od ś. p. doktora Wilhelma Malcza, opiekuna nieletniej córki Brodzińskiego, pisma jej ojca jakie były pod ręką, ogłosił wydanie swoje jako zbiór zupełny.

Wówczas, żaden z literatów i redaktorów nie zwrócił uwagi na niedokładność i na braki tego wydania. Nie ma w niém wielu rozpraw i artykułów, które Brodziński w pismach peryodycznych, w programmatach uniwersyteckich, albo w osobnych broszurach drukował; opuszczono tłumaczenie kilku sztuk dramatycznych i co dziwniejsza, nie objęto wiele poezyi wydanych w dwóch tomach r. 1821. O kursach literatury i estetyki, czytanych w b. Uniwersytecie Warszawskim od 1822 do 1830 r., było powszechne mniemanie, że niewiadomym sposobem zatracone zostały.

Widząc, że nikt z terażniejszych pisarzy nie myśli zająć się pismami Brodzińskiego, wzięłem się do téj pracy; przejrzałem dawne literackie pisma peryodyczne, gazety i programmata; zająrzałem do biblioteki teatru warszawskiego; zapytywałem się tych, którzy o lat kilkanaście od Brodzińskiego młodsi, mogli żywą o nim pamięć zachować, jako jego dawni uczniowie i znajomi. Wynałazłem notaty dwóch uczniów uniwersytetu, którzy spisali treść jego prelekcij z 1825, 1828, 1829 i 1830 r. W bibliotece hrabiego Ordynata Zamojskiego, znalazło się kilka ułomków własnoręcznych prelekcij uniwersyteckich, które dostały się tam razem z całym księgozbiorem Brodzińskiego zakupionym przez Ordynata. Nareszcie, poszukiwania te doprowadziły mię do odkrycia kufra zapełnionego własnoręcznemi papierami Brodzińskiego, który długi czas zostawał zapomniany. Były tam na wierzchu notatki gospodarskie i familijne, a w głębi pomieszczone i odrębne kartki, i to właśnie stało się powodem, że przez długi czas nie zwrócono na nie uwagi. W tych papierach znalazły się bruliony Kursów uniwersyteckich literatury i estetyki; wykład Nauki o stylu i o wymowie, brulion Synonimów, wiele poezyi, a mianowicie pieśni ludów słowiańskich; przygotowane notaty do różnych prac literackich; zapiski z lat młodocianych r. 1805—1813 i 1814; i pierwsze próby poezyi także z 1809—1810 i 1812 r.

Po należytem uporządkowaniu tychże papierów, pokazało się, że kurs estetyki i literatury jest prawie zupełny; jest on głównie z roku 1822 i 1823. Są przytém liczne do niego dopełnienia, w późniejszych latach pisane. Użyłem wyrażenia *prawie zupełny*, są bowiem w niektórych miejscach braki, które z zapisów dwóch jego dawnych uczniów dopełnić można. Ze spisu chronologicznego, który Brodziński własnoręcznie ułożył na krótki czas przed zgonem swoim, okazuje się że zamysłał drukować w Krakowie wszystkie swoje pisma, że kursa literatury i estetyki przepisał albo kazał przepisać, tak jak je za najwłaściwsze uznał i ten to właśnie zbiór z dwóch wielkich tomów złożony, zaginął. Uporządkowane przezemnie bruliony, w znacznej części wynagrodzą tę stratę.

Oto jest spis prac Brodzińskiego, ułożony przez niego samego na kilka miesięcy przed śmiercią. Artykuły oznaczone gwiazdkami, są te, których dotąd nie można było odszukać.

Rok 1815.

- *1. Szkodliwe zwierzenie się, opera Nicolo.
- *2. Lord zmyślony, komedia.
- 3. Rozprawa Fonkla o muzyce.
- 4. O życiu i pismach Reklewskiego.

Rok 1816.

- 5. Wieś w Górach, opera z niemieckiego, Wejgla.
- *6. Milton, opera z włoskiego, Spontiniego.
- 7. Listy do Dafny wierszem, o poezyi.

Rok 1817.

- 8. Don Juan, opera z włoskiego, Mozarta.
- 9. Abufar, tragedia tłumaczona z Ducis'a.
- 10. Kwadrans milczenia, opera z francuzkiego, z Gavaux.
- 11. Wydanie z Elsnerem dzieła, O rytmiczności języka polskiego.
- 12. Sztuki piękne, scena do Rocznika Teatru narodowego.
- 13. Pieśni Madagaskaru podług Parniego.

Rok 1818.

- 14. Kurs wymowy i poezyi dla szkół Żoliborskich.
- 15. Wolny mularz, komedia z Kotzebuego (wierszem).
- 16. Rozprawa o klasyczności i romantyczności z uwagami nad duchem poezyi polskiej.

Rok 1819.

- 17. Tankred, opera Rossiniego.
- 18. Templaryusze, tragedia tłumaczona z Raynouard'a. Wiadomości o zakonie Templaryuszów.
- 19. Safo, tragedia Grillparcera, prozą.
- 20. Napoleon sam przez siebie odmalowany, przekład.
- 21. O poetycznej literaturze niemieckiej.
- 22. O wychowaniu kobiet i o autorce Pamiątki po dobrej matce.
- *23. Estery Rasyna, dwa akty.

Rok 1820.

- *24. Mowa o celu nauk pięknych.
- 25. Włoszka w Algierze, opera z włoskiego, Rossiniego.
- 26. Szczęśliwe oszukanie, opera Rossiniego.
- 27. Do pustelnika z Kr. Przedmieścia o sztuce dramatycznej.
- 28. Różne myśli.

- *29. O dążeniu polskiej literatury, rozprawa.
- 30. Obyczaje Morlachów z dzieł p. Toutis.
- *31. Rys historyi Wschodu w Polsce.
- 32. O wpływie nauk na rządy.
- 33. O teatrze pod względem moralnym, z Szyllera.
- 34. O opinii publicznej z Garwego, rozprawa.
- *35. List o styczności nauk ścisłych z pięknymi.
- 36. O literaturze Słowian.
- *37. O filozofii praktycznej.
- 38. O narodowości.
- 39. Wydanie Dziewicy Orleańskiej tłumaczenie Andrzeja Brodzińskiego.

Rok 1821.

- 40. O Dziewicy Orleańskiej, tragedia Szyllera.
- 41. Dwa tomy różnych poezyi.
- 42. O Barbarze Felińskiego.
- *43. O dykcyonarzu poetów polskich przez Juszyńskiego.
- 44. Pieśń ostatniego Barda, Walter Skota, poemat prozą.
- 45. Obyczaje Francuzów, z dzieł pani Morgan.
- 46. Sfinx, historya ziemi i ludzi z Herdera.
- 47. Cierpienia Wertera z Goetego.
- 48. Myśli o kobietach.
- *49. Recenzya tragedyi Medycyusze.
- *50. Wiadomość o wolném mularstwie.
- *51. Zdanie Francuzów o Byronie.
- *52. Dwa akta tragedyi Safo, Grylparcene wierszem.

Rok 1822.

- 53. Rozprawa o elegii.
- 54. Dwa akty Maryi Stuart Szyllera (jest tylko jeden).
- *55. Krótki rys literatury polskiej dla szkół.
- 56. Projekt wydania pieśni religijnych i narodowych.
- 57. Kalmora, opera oryginalna z muzyką Kurpińskiego.
- *58. O potrzebie wydania dykcyonarza pisarzy narodowych.
- 59. Dwa listy Sieciecha i Zelisława o literaturze.
- 60. O Fauscie i Twardowskim.
- 61. O poezyi ludu Litewskiego.
- *62. O dumach rycerskich, Lubomirskiego.
- 63. Pieśni do mszy.

Rok 1823.

- 64. Kurs historyi krytycznej literatury polskiej i kurs estetyki.
- 65. Rozprawa o satyrze.
- 66. List o twardości i miękkości języka polskiego.
- 67. O poezyi angielskiej.
- *68. O Towarzystwie moralności w Paryżu.

Rok 1824.

- 69. Kurs o stylu polskim.
- 70. O Idylli pod względem moralnym.
- *71. Parable.

Rok 1825.

- 72. O Powołaniu i obowiązkach młodzieży akademickiej.
- 73. Piękność i wzniosłość, tłumaczenie z Kanta.
- 74. O charakterze wieku XVIII, z Ancillona.

Rok 1826.

- *75. O sonetach Mickiewicza.
- 76. Elegie Jana Kochanowskiego, tłumaczenie z łacińskiego.
- 77. List o pieśniach słowiańskich.
- 78. Przekłady pieśni słowiańskich.

Rok 1827.

- 79. Pochwała Karpińskiego.
- 80. Job, według Pisma S.

Rok 1828.

- 81. Rozprawa o łagodzeniu języka polskiego.
- 82. Synonimy polskie.
- 83. Pochwała Lipińskiego.
- *84. O romansach historycznych.
- 85. O tańcach.
- 86. O muzeum narodowem czeskiem.

Rok 1829.

- *87. Wiadomość o polskiej literaturze dla Francuzów.
- 88. O życiu i pismach Birkowskiego.

Rok 1830.

- 89. O krytyce.
- 90. O egzaltacyi i entuzyazmie.
- 91. Sulamitka, z pieśni Salomona.

Rok 1831.

- 92. O narodowości Polaków.

Rok 1832.

- 93. Sawitry.
- 94. Treny Jeremiasza.
- *95. Europa.
- *96. Życie generała Sowińskiego

Rok 1833.

- 97. Obyczaje dawniej Polski.
- 98. Zesłanie Mojżesza.

Rok 1834.

99. Fraszki.
 100. Magazyn powszechny.
 101. Historia Starego i Nowego Testamentu.
 Do tego zbioru pism Brodzińskiego należą, jeszcze podług jego własnoręcznego spisu.

Różne poezye w rękopiśmie zebrane.

z Prozy.

1. O literaturze Słowian.
- *2. O dążeniu literatury polskiej.
3. O wymowie dawnych Polaków, w rękopiśmie.
- *4. Dwie rewolucye.
5. Uwagi.
6. Napomknienia o naukowém dążeniu Polaków.
7. Niektóre żywoty wybrane z pisanych do Magaz. Pow.
8. Niektóre parable.
9. Dwadzieścia kilka mów wolno mularskich, których większa część została w papierach generała Chodkiewicza.
10. Mowa na popisie uczniów konwiktu Żoliborskiego.

Różne Przekłady.

1. O teatrze pod względem moralnym.
2. List Wielanda do młodego poety.
3. O opinii publicznej, artykuł oryginalny.
4. Wspomnienia młodości, ułomek.
- *5. Rozprawa o stanie literatury polskiej od r. 1795 do 1825, w aktach Tow. Prz. Nauk.

* * *

Po tej bibliograficznej wiadomości, przystępuję do skreślenia obrazu życia i pism Kazimierza Brodzińskiego. Młodszy od niego o lat jedenaście, poznałem go w roku 1820, kiedym ogłosił pierwsze próby moich wierszy w Tygodniku Polskim wydawanym przez Brunona hr. Kicińskiego i Józefa Brykczyńskiego, z którymi, a mianowicie z Brykczyńskim, ten poeta był połączony ścisłą przyjaźnią. Od tego czasu, aż do jego wyjazdu za granicę w r. 1835 widywałem się z nim na wieczorach literacko-wistowych u literatów i professorów: Bentkowskiego, Gołębiowskiego, Lewokiego, Kruszyńskiego, ks. Szwejkowskiego i ks. Szaniawskiego. Bywałem u niego i on bywał w moim domu, od czasu gdy zawarł związki małżeńskie, o czém napisałem obszerniej w moich wspomnieniach wydanych w r. 1859. Zasilił wydaną przezemnie w r. 1825 Bibliotekę Polską: poezyą p. t. „Wiersz pisany na Alpach” i listami z podróży do Szwajcaryi, a do mego wydania dzieł Książnina, użytych uwag swoich nad tym autorem, wyję-

tych z uniwersyteckiego kursu literatury. Mogę zatem więcej niż ktokolwiek z tegoczesnych autorów, powiedzieć o nim, zwłaszcza że w poglądzie na ducha i kierunek naszej literatury zupełnie zdanie jego podzielałem.

Przed laty trzydziestu, umieszczono w jednym z owoczesnych pism literackich część *Wspomnień młodości* przez samego Brodzińskiego napisanych. Ułomek ten powiększony został kilkoma wynalezionemi kartkami. Zamieszczam z niego nie wielki wyjątek, o dziecinnych latach naszego poety, prawie nieznanemu terażniejszemu pokoleniu. Czytelnicy lepiej z niego, niżeli ze słów moich, poznają serce i ducha autora.

„Urodziłem się roku 1791, z ojca Jacka Brodzińskiego, a z matki Franciszki Radzikowskiej. Od urodzenia tak byłem szczupły i słabowity, iż doktor przepowiedział rodzicom że więcej nad tydzień na tej ziemi bawić nie mogę. Umarł on na kilka tygodni po tej wróżbie, a pamiętam iż dziecku jeszcze pokazywano mi grób jego, po którym, mszcząc się za tę wyrocznję, skakałem. Jak później od ciotek i służących słyszałem, nie byłem od matki lubiony, szczególnie dla mojej słabowitej postaci, i najwięcej staraniem wiejskich kobiet winien jestem moje początkowe wychowanie.

„Wkrótce po śmierci mojej matki, ojciec mój pojął drugą żonę. Annę Fischhauzern, najuboższą z licznej i dość majątnej familii w Galioyi. Młoda i żywa, brunetka, skromna i pokorna z początku, stała się wnet pysznym aniołem i cały dom w piekło zmieniała. Nie mogę i niktby mi zapewne nie uwierzył gdybym opisał wszystko, do czego kobieta ze starym i z natury powolnym mężem, dojść może. W przeciągu kilkunastu lat stała się postrachem nie tylko domu, ale całej wsi i okólnych sąsiadów. Pijaństwo, obok najgwałtowniejszych passyj—brak wszelkiej znajomości świata, obok wielomówności—chciwość robienia majątku niegodziwemi sposoby, obok chęci okazałości—duma ze swego rodu, od którego była nienawidzoną, są to jeszcze lekkie jej niedoskonałości. Mój ojciec, powolny, skąpy, ale jak najmniej gospodarny, ceniący spokojność, choćby z ofiarą wszelkiego dobra, w domu nic nie znaczący, łagodny i względny dla każdego, z natury najcierpliwszy, gorszą niż Sokrates szkołę przebył u swojej Xantypy. Umiała ona wszelką intratę na swoją tylko korzyść obracać i z majątku męża osobny zbierać dla siebie. Processa z gromadą, z plebanem, z sąsiadami, z każdym o kogo można było zahaczyć, prowadziła najzapamiętałiej. Dom stawał się zbiorem owych nikczemnych dawnych prawników, którzy ją swojej sztuki tak wyuczili, że ich znowu w łapki prawnicze chwytiała. Peryody jej wściekłości, które często nadchodziły, wystawiały obraz furji piekielnej; nikt wtedy, winny czy niewinny, gość czy parobek, dzieci czy mąż, w żadnym zakątku domu nie był bezpiecznym. Umiała równie głosem jak rękami wojować. Sę-

dziwy ojciec uchodził wtenczas w pole, śpiewając łacińskie psalmy; myśmy się pod niego tulili. Kryzys takową zakończyła boleńie serca, w którym jej krzyk na całą wieś się rozlegał. Plagi, bicie wieśniaków i służących, rzucanie sprzętów za mężem, pakowanie rzeczy do pojazdów w celu porzucenia niby na zawsze ojca, lub najmnień przenoszenie jej pościeli od łoża małżeńskiego, były to zwykłe dzienne i wieczorne zabawy.

Łatwo sobie wystawić, jakie wychowanie ta druga matka mogła dać swoim pasierbom. Siostrę moją najstarszą wysłał ojciec do krewnych, my czworo mali chłopcy, musieliśmy w domu pozostać. Mało znaleźmy, co to jest być w pokoju rodziców. Izba czeladnia i chaty wieśniacze. to był najczęstszy nasz pobyt. Chodząc na krosty, leżeliśmy wszyscy w małej izdebce kuchenną, nikt ze służących bywających w pokoju, nie mógł się do nas przybliżyć, aby nie zaraził siostry z powtórnej żony. Umarł starszy mój brat, my wyzdrowieliśmy staraniem wieśniaczek, które żaląc się sierot, same nas przybywały ratować i opatrywać. W ubogiej historii mojego życia, zasługuje na wspomnienie jedna z najpoczciwszych kobiet, którą tylko pod nazwiskiem Róży pamiętam. Jakżebym rad lepiej ją nagrodzić! Była to stara kobieta wieśniaczka, można powiedzieć nasza jedyna matka, która za życia matki wszystkich nas wypiastrowała. Ta znosiła od macochy mojej tysiączne łajania, kułaki i służbę najprzykrzejszą, jedynie z przywiązania do nas, gdyż jak mówiła, matka prosiła ją w ostatniej swojej chorobie, żeby nad nami miała opiekę. Czyniła ona wszystko co mogła na swój stan i rozum. Pokój cięniom twoim zacna kobieto, godna czci u zacnych ludzi! Ona w ukryciu zastępowała nam matkę, jej jedynie winienem co wiem o niej, gdyż to była jej najmiłsza z nami rozmowa.

Cierpiałem wszelkiego rodzaju niegodziwości macochy i nie znałem prawie co to jest mówić z ojcem; gdyż chociaż nie surowy, ale zawsze był mało mówiący, i daleki od dzieci. Nie miałem żadnego bliższego dozoru, gdyż nadto byłem w wychowaniu zaniedbany, abym się do kogoś ośmielił, lub stał się powabnym; byłem mogę powiedzieć dzieckiem natury do jedenastego roku. Przecież jeżeli wspomnienie chwil tego wieku jest każdemu przyjemne, dla mnie jest najmiłsze. Zostawiony zupełnie sobie samemu, w wieku, w którym ta wolność mniej szkodzi, używałem świata, w prawdziwem tego słowa znaczeniu, świata jaki mnie otaczał. Wtenczas, o niczém lepszem nie wiedziałem i dlatego zdaje mi się, że potem nigdy nic lepszego nie użyłem. Używałem życia wiejskiego w prawdziwem tego słowa znaczeniu. Byłem wolny w używaniu mego czasu, gdyż prawie nikt o mnie nie pamiętał, a cenę tej wolności znałem, gdyż ona była skutkiem i ucieczką od srogości macochy. Jakkolwiekbyś muszę tę sielankę życia mojego opisać. Miała ona wielki wpływ na mój los i na mój charakter.

Lipnica Murowana, jak wszystkie okolice w górach, ma nader piękne położenie. Dworek w którym ojciec mój mieszkał leżał w dolinie otoczonej rzeczką, która z góry spadając za każdym deszczem wzbierała, a po kamienistém łożu z podnóża gór i skał płynąc, szum wielki wydawała. Chaty rozrzucone na górach między sadami, czarujący dawały widok. Ku wschodowi od dworku, była za podwórzem i stawem rozległa łąka, na której mała krynica zarosnięta krzewem i wzniosłemi ziołami różnej barwy, była siedliskiem ptastwa i motylów. Młyn wodny za tą łąką, napełniał łoskotem tę cichą dolinę, a rozległe za nim trawniki rzędami wierzb wysadzone, napełniały się mnóstwem dzieci wiejskich, których piszczałki i śpiewanie rozweselały powabną ciszę owego miejsca. Po boku rozciągały się pasma gór coraz wyższych, a w pogodny ranek, wzniesione ku niebu Karpaty, zdawały się dla mnie być granicą ziemi. Droga grzbietem gór idąca piękny czyniła widok przeciągających wozów. Za polami był las jodłowy, który się w nizinie gubił. Po drugiej stronie dworu, dwa dęby nadzwyczajnej wielkości panowały całej osadzie. O kilkanaście staj widać było na wzgórzu miasteczko Murowaną Lipnicę, z trzema starożytnemi kościołami, ku któremu droga wierzbami wysadzona i ścieżka przez piękną łąkę i cmentarz prowadziła. Widok tego miasta miał dla mnie zawsze jakąś odrazę. Była tam szkołka elementarna, do którejśmy z bratem uczęszczać musieli. Ulewy, zasypy śniegu, nie mogły nas od przykrój podróży uchronić; w zimie była to wyprawa na cały dzień, z kawałkiem chleba, w którego środek włożono kawałek masła. Nie znam straszniejszego nauczyciela nad naszego; miał włosy pudrowane, wystrzyżone zupełnie z przodu, ogromny warkocz i długie fryzowane loki, które mu uszy zasłaniały, co przy spiczastém czole szczególną figurę czyniło i różniło tego człowieka od wszystkich ludzi jakich widziałem. Długa wyszywana kamizelka i surdut z klapami po kostki u boku, a od ogromnego warkocza cały w tyle zbielony, przy powolnym i pedanckim chodzie jednał mu od nas dziwne uszanowanie. Ogromne oczy i wargi niezmiernie wypukłe, panowały nad nosem szerokim. Żona jego mogła być śmierci wyobrażeniem; nosiła zawsze białą suknię ze stanem jak najdłuższym, który jej ciekłą figurę dziwnie wydatną czynił. Okropny był widok, gdy często w dzień pogodny na progu siedząc, obcinała brzezinę, a długie różgi w cebrzyk wodą napełniony składała. Tę brzezinę sam pan professor zwykł był ze spaceru przynosić. Brzezina była u niego najważniejszym punktem pedagogiki. Umieblowanie szkoły miało widok okropny. W środku wisiał wielki drewniany krucyfik; za ręce i za nogi Chrystusa zatknięte były na goździach świeże różgi, kilka pretów i dyscyplina. Był to wizerunek szkolnej passyi. Pan professor wszedłszy do szkoły, zawsze z groźną miną wprzód do owego składu różg przystępował; wprawne próbowanie różg wydawało świsł przerażający, poczem uzbrojony tém berłem, zaczynał

z nami modlitwę. Można się domyslać, że takowa modlitwa z największą odbywała się skrucą i z prośbą o oddalenie niebezpieczeństwa. Pan professor miał często dziwny humor do bicia dzieci, bicie różgą za każde zająknięcie, za każdą omyłkę w pisaniu, były wiernie każdemu wyrachowane. Pokładanie na środku zabierało dużo nudnego czasu, kara ta chłopców odbywała się w obecności płci obojęd, dziewczęta prowadzone były do osobnej komórki. Pan professor będąc razem pisarzem magistratu, często w czasie lekcyi był odrywany; był to czas najwyższej swawoli bez różnicy płci obojęd. Młodzież składała się z miejskich i z wiejskich dzieci. Partya mieszczan była najgorsza i najsilniejsza; wiejskie dzieci musiały być skromne, a my najwięcej, gdyż nas jako szlachciców prześladowano. Dniem najokropniejszym była sobota. Na ten dzień przeznaczony był zawsze katechizm dawany po niemiecku, w którym ani treści rzeczy, ani języka nie rozumieliśmy wcale. Mało kto, a często nikt za katechizm chłosty ująć zdołał. Trwogi, cichości i roztargnienia jakie w ten dzień panowały trudno opisać. Każdy zapytany, po pierwszym zająknięciu występował na środek klęczyć, a tak całe ławki się wypróżniały; wszystko klęczało, czekając w największej trwodze ostatniego ucznia, który ma być na to miejsce egzekucyi wskazanym; poczem następował jeneralny płacz i prośby, wśród których każdy według wieku odbierał przeznaczoną mu ilość. Zamykano wtenczas okna, płakać głośno broniono, gdyż często zdarzało się że matki przechodzące lub blisko mieszkające, tę egzekucyę mieszały. W tój kochanej szkole, przez trzy lub cztery lata będąc, prócz pisania i czytania po polsku i po niemiecku, nic więcej się nie nauczyłem. Należąc do partyi chłopców wiejskich, zabrałem z niektórymi prawdziwą przyjaźń i im winienem szczęśliwe wiejskie zabawy. Co to za rozkosz była, po ukończonej szkole puścić się z nimi między góry i sady, dostać się po kilkogodzinnym głodzie i nudach, na drzewo wiśniami lub gruszkami ciężące, pojeździć na onych maleńkich konikach, prowadzonych na paszę na dalekie dąbrowy, kąpać się lub iść do lasu bosą nogą środkiem piaszczystej krynicy! W tych najmiłszych zabawach z prostemi wieśniakami, byłem najszczęśliwszym. W domu nikt się o mnie nie troszczył i nie miano mi téż za złe choć się najdłużej bawiłem. Życie takowe zrobiło mnie nieśmiałym do ludzi wyższego stańtu nad wieśniaczy, ale wiele mu dobrego winienem. Ono rzeźwiło moje słabe z urodzenia zdrowie, przez nie nabrałem przywiązania do cnotliwych naszych rolników. Z jakąż rozkoszą przypominam sobie te chwile, gdy te chłopcy nau czali mnie konia dosiadać, iść za broną i umieć konia na inny zagon nawracać. Podczas mglistej jesieni trawiłem późne wieczory przy kopaniu kartofli lub przy pasterzach, gdy przy ognisku kopiąc kartofle kolejno bajki opowiadano, które wówczas składały dla mnie jedyną literaturę i dziś może wdziękby miały, gdybym je równie słyszał opowiadane. Przez zabranie szczegóół-

nój przyjaźni z synem jednego garncarza, nabrałem wiele chęci do tego rzemiosła; dozwolono mi często téj zabawy, a cnotliwy wieśniak ojciec mojego kolegi, widząc we mnie niepospolitą ochotę i zdolność, troskliwie mnie do swojego stanu zachęcał, mówiąc iż lepiej swobodnie pracować, niż być sierotą u macochy, która mnie dziś zupełnie zaniedbuje, a po śmierci ojca z domu wypędzi. Wieśniacy tych okolic, obok naturalnego rozumu i dobroci, więcej mają oświecenia, są porządniejsi i trzeźwiejsi niż w innych prowincjach Polski. W górach mniej podpadają klęskom wojny, nie doznają kwaterunków niszczących moralność i prostotę obyczajów; handel fruktami, chmielem i płótnem, a najwięcej czynszowe tylko opłacanie gruntów czyni ich zamożnemi, tak, że majątniejsi liczą do kilkunastu tysięcy złotych. Ojciec mój mało zasiewał gruntu; ubogim wyrobnikom i oddalonym ze służby żołnierzom, przeznaczał na swoim wójtostwie pola i chaty z małemi bardzo obowiązkami. Wdzięczność tych ludzi i przywiązanie ich do ojca i do nas było bez granic. Żadna wieśniaczka ani chłop nie przyszedł do dworu, żeby nam tajemnie przed macochą, owoców lub kukiełek z jarmarku nie przyniósł. Żniwiarki pieściły nas i obsypywały jabłkami. Dla sierot i dzieci opuszczonych, w tém wielkie jest szczęście, że interes innych osób wzbudzają. Ta opieka i troskliwość acz prostych ludzi, budziła zawsze we mnie chęć podobania się każdemu, być zawsze uprzedzającym i wdzięcznym, a nawet próżność, żeby przez swój los wzbudzić na siebie uwagę i być jój godnym.

W lecie była naszym mieszkaniem stodoła; obok mieszkał staruszek ze swoją żoną zwany gospodarzem, do którego grunta dworskie i wszelkie gospodarstwo należały. Mała ich izdebka była naszym zwykłym mieszkaniem zimowém. Ciepła izdebka, zawsze na kominie palący się ogień, przy którym ci staruszkowie siedzieli, stawiają dziś w moich oczach mieszkanie Filemona i Baucis. On był starym żołnierzem, ona kobietą która służywała po dworach. Przyjemne to były wieczory, kiedy przy pieczeniu kartofli opowiadał o krajach włoskich i francuzkich, w których biały chleb jadał i wino pijał, a ona rozwijała niewyczerpany zapas różnych powieści i tak zwanych gadek. Temu człowiekowi winienem iż dotąd czułem zawsze tęsknotę do ziemi nieznanój, do podróży, do której biedny stan mój wiele dodawał ochoty.

(Dalszy ciąg nastąpi).



WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH W PARYŻU 1870 r.

(Dokończenie)

Odnacza się także wyborném wykonaniem obraz historyczny Uhlmana: *Wjazd reagenta do Paryża 1358 roku*. Ów regent, późniejszy Karol V, wjeżdża w tryumfie w ciasne i kręte uliczki średniowiecznego grodu. Na małym placu przed kościołem św. Katarzyny, leżą trupy trzech sławnych obywateli miasta. Zdradziecki poplecznik Maillard wskazuje pomordowanych regentowi, który z radością pogląda na ofiary swęj zemsty; w tém bowiem miejscu niedawno tarzały się we krwi, ciała jego zasłużonych wodzów. Lud garnie się tłumnie; widzowie zalegli okna, ganki i dachy. Obraz oddany z wielką siłą i nie małym efektem dramatycznym.

Francuzi chwając wykonanie, żalą się w ogólności, że malarz wybrał przedmiot tak dawny i zapomniany; poważni nawet krytycy nie wypierają się niewiadomości swęj w tym względzie. Podziwiamy doprawdy ich naiwność. Ktoby z nas śmiał się przyznać, że nie zna ważniejszych ustępów z czasów Kazimierza Wgo, współczesnego owemu regentowi.

W dawniejsze czasy przenosi nas obraz Belgijczyka p. Vanden Bussen. Rzecz dzieje się w Rzymie, w chwili, kiedy młode pokolenie Rzymian już nie myśli o nowych zdobyczach, już się zrzekło nowych tryumfów, a tonie w swawoli i rozpuście. Artysta przedstawia stan rzeczy w trzech osobach panujących śród obrazu. Ojciec, stary nieodrodny Rzymianin przebił się, by nie patrzeć na niechybną już klęskę. Matka tylko co weszła, nie bieży jednak do trupa, ale oburącz zasłania twarz ze sromu. Przyczyną samobójstwa ojca, rozpaczliwego wstydu matki—to ów młodziwiec pijany, otoczony kołem jak on pijanych kobiet! To ich syn! Rozpusztą znieważa progi zgrzybiałych rodziców,

i to w chwili, kiedy wpadają wrogi Rzymu. Barbarzyńcy tłoczą się już w wybite drzwi komnaty.

Bezmyślne twarze kobiet i pijanego młodziana, tworzą dramatyczną sprzeczność z postawą zrozpaczonej matrony rzymskiej. Pod względem kolorytu, wiele można zarzucić obrazowi, ale rzuty pędzla energiczne odpowiadają dramatycznej treści obrazu.

Silnie też oddana w obrazie p. Philippoteau, boleść matrony galskiej nad ciałem zabitej czy zemdlonej dziewczyny. Stara matka z siwym rozwianym włosom, z wzrokiem obłąkanym boleścią, siedzi na zgliszczach spalonego domu; rękę przyłożyła do serca córki, jakby zapytując, czy jeszcze bije? Wkoło ziemia zasłana trupami. Dalej barbarzyńskie hordy Germanów-aryowista zaganiają bydło i pobocznych jeńców.

Z wieków odległej starożytności do najciekawszych należy obraz przedstawiający pogrzeb nad brzegami Sekwany. Pobudkę do niego dały wykopaliska w okolicach Argenteuil z r. 1868. Widzimy tu Gallów siedzących wkoło wielkiego ogniska, na którym płonie ciało umarłego. Niektórzy zajęci wyrabianiem narzędzi z kości i kamienia. Obraz ten uderzający oryginalnością pomysłu, odpowiada dzisiejszym pojęciom. Francuzi, jak wiadomo, zwrócili baczną uwagę w najdawniejsze czasy dziejowego bytu swego, aby tam zaczerpnąć nowych sił do dalszego rozwoju myśli narodowej.

Sami nie wiemy, do jakiej kategorii zaliczyć obraz pana Regnault, przedstawiający *Salomę córkę Herodyady*, obraz, który na wystawie tegorocznej był powodem nie małego hałasu. Ma on wprawdzie podstawę historyczną, ale przemaga w nim fantazja; ztąd nie można go liczyć do ściśle historycznych utworów.

Salomę Regnaulta śmiało nazwiemy *twicą* tegorocznej wystawy, tak samo, jak portret generała Prim tegoż pędzla był *lwem* zeszłorocznej. Żaden obraz nie ściąga do siebie takich tłumów, żaden nie bije tak silnie w oczy, żaden nie wywołuje tak sprzecznych sądów, jak owa *Salomé*. Dlaczego artysta nazwał ją *Salomé*? czém uwydatnił jej osobistość? Oto wielką misą złocistą, na kolanach siedzącej Bachantki, a w tej misie ogromnym nożem, pod którym miała spaść głowa św. Jana. Ta misa, ten nóż, zresztą napis w katalogu, mówią, że to owa czarodziejka, której wdzięki w tańcu tak porywały starego Heroda, że nie odmówił jej nie był w stanie.

Powiedzmy teraz jak wygląda owa sławna *Salomé*.

— Cóż to za czupieradło? zawołaliśmy, stanąwszy w progu sali, w której zawieszony obraz.

— Prawda że dziwoląg — powtórzyli nasi towarzysze.

Poszliśmy jednak naprzód, mimowolną porwani siłą. Trudno było odwrócić oczu na bok, trudno też przepchnąć się przez tłumy nagromadzone w sali. Wyobraźmy sobie obraz kwadratowy, wielki na stóp siedm lub ośm, oprawny w szeroką ramę

hebanową. Tło obrazu cytrynowe, pokój znać wybity miękko połyskującym atlasem, wysłany kobiercem perskim jaskrawej barwy, na który porzucone jeszcze tygrysie futro. Na bogatej skrzydli indyjskiej, okutej w srebro, siedzi Salomé z czarnym zjezonym włosom, podobniejszym do lwiej grzywy, niżli do dziewiczych kędziarów. Pod tym lasem włosów, znikło zupełnie czoło, znikły brwie, lica nawet znikły w połowie. Połyskuje tylko dwoje oczu, niby dwa węgle rozżarzone; blask jakiś dziki bije z wnętrza tych źrenic na odkrytą część twarzy, to jest na zgrabny nosek i na usta śmiejące się tak, że zpoza nich widać rząd białych perłowych żąbków.

Ubranie bachantki równie excentryczne, jak i cała jej postać. Draperya także żółta, lecz odmienna od tła obrazu, napół osłania jej piersi i ramiona. Tunika z siatki złotej, przetykana srebrnymi blaszkami pokrywa resztę ciała, lekką, przezroczystą zasłoną. Z pod trzewiczków aksamitnych fioletkowych, wyglądają nóżki białe jak utoczone.

W tej dziwnej postaci trudnoby szukać wzniosłego ideału, lecz urok ziemski wyrażony tu prawdziwie ręką mistrza. Życie wytryska okiem, uśmiechem, słowem całą postawą. Zbliżywszy się do czarodziejki, niepodobna oderwać od niej wzroku.

Wstyd nam było sądu zbyt pośpiesznego; godziło się nazwać czupieradłem tę nadzwyczajną, acz ziemską tylko piękność? Albo bo ta grzywa czarna jak kruk, najeżona w skutek szalonych płasów, tak dziwnie razi oko; to cytrynowe tło oprawne w czarne ramy, tak jaskrawo wygląda. Artysta nagromadził z umysłu tysiączne trudności, chcąc je zwyczajko pokonać.

Dalecy jesteśmy od myśli, aby pokonanie trudności miało być najwyższem zadaniem sztuki, aby podniesienie materji do ideału było ostatecznym jej celem. Wystarczało to dla Greków, lecz dla nas wystarczyć już nie może. Zostawiając na boku ten przedmiot, musimy jednak przyznać że Regnault jest znakomitym mistrzem w zakresie, jaki sobie nazaczył. Młody ten artysta, pierwszy z pomiędzy uczniów szkoły francuskiej w Rzymie, zaszczycony podwakoń nagrodą konkursową rzymską i medalem złotym na zeszłorocznej wystawie, ma bezwątpienia wielką przyszłość przed sobą. Dotychczasowe jego prace należy uważać za próby, ale są to próby, nacechowane piętnem geniuszu. Nie naśladuje on nikogo, sam sobie toruje nowe drogi.

Krytyka paryzka różnostronnie oceniła ów obraz. Jedni nazwali go pierwszorzednym arcydziełem, drudzy odmówili mu wszelkich zalet, mieniąc go niedowarzoną plodem zgorączkowanej wyobraźni i zuchwałej zarozumiałości młodego nowatora. Ci wynoszą utwór pod niebiosa, tamci bluzgają nań jadem, widząc w nim istną zniechęcę sztuki. Jest to przecież niepospolite dzieło; tłumy garną się do niego z zapalem, a ogół wita w młodym mistrzu przyszlą gwiazdę szkoły francuskiej.

Przy zwykłym popędzie do naśladownictwa, ani wątpić nam, że na przyszłej wystawie ujrzemy setki nastroszonych grzyw, ujrzemy je nawet, tylko patrzeć, na głowie bulwarowych elegan-tek. To, co w artyście było wyskokiem humoru, stanie się modą dla gawiedzi, która owczym pędem rzuca się we wszelką excentryczność. Śmiesznym będzie artysta, który zechce naśladować Regnaulta, jak będzie śmieszną kobieta, która spiętrzy fryzurę jak Salomé. *Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas.* Młody mistrz umiał właśnie zatrzymać się w miejscu, gdzie cudowność graniczy z cudacznością, naśladowca nie będzie miał tego taktul

* * *

Oprócz obrazów ściśle historycznych, widzimy inne, do których przedmiotu malarzom dostarczyła wyobraźnia poetów, a które, jako znane powszechnie, stały się niemal historycznymi. Do tych zaliczamy naprzód *Śmierć Franceski z Rimini i Paola Molatesty*, przedmiot z poematu Danta, oddany pędzlem p. Cabanel. Artysta obrał chwilę, kiedy Lanciotto, znieważony mąż, tylko co ugodził w dwie ofiary. Franceska leży na sofie, z głową wtył przechyloną, z ręką przyciśniętą do ugodzonej piersi, z której życie już uleciało. Znać to z trupiiej białości lica, z oczu zagaśłych pod przymkniętą ledwie powieką. Rysy jęj spokojne, uśmiech igra na pół otwartych ustach.

Konający Paolo wije się w śmiertelnój boleści u wezglowia ukochanęj. Rękę przycisnął do serca, głowę zbliżył do głowy Franceski, jakby ją zegnał ostatniem spojrzeniem. Z poza morderowęj firanki zagląda Lanciotto z mieczem nieociekłym jeszcze z krwi ofiar. Powraca napaść oczy, krwawo spełnioną zemstą.

Piękny to i dziwnie przejmujący obraz; układ osób, drape-rye oddane po mistrzowsku, gra kolorów umiejętnie obmyślana. Ze jednak od takiego mistrza jak Cabanel, krytyka wiele wymagać ma prawo, zarzucają i słusznie koloryt przymglony, zbyteczne wypieszczenie, brak męzkiej siły; słowem zowią dzieło raczej elegią, anizeli dramatem.

Do kategorii poetyczno-historycznych należy śliczna *Gretchen z Fausta Goethego*, oddana pędzlem p. Bertrand. W ciemnym więzieniu, na ławie kamiennęj, leży biedna ofiara Mefistofelesa. Objęta oburącz głowę dręczoną wyrzutem i niepokojem. Przy niej widać dzban wody i kawałek czarnego chleba. W rysach twarzy odbija wielka bolesć, tém wymowniejsza, że połączona z naiwną prostotą i słodyczą. Tak zapewne Goethe wymarzył swoją Gretchen!

Autobiografia Lamartina podała myśl p. Sellier do odtworzenia pięknej *Gracieli*, tęj wieśniaczki neapolitańskięj, tak zakochanej w młodym pocie, że przyplaciła życiem tkliwą miłość, nie mogąc przeżyć oddalenia. Biedna opuszczona, siedzi nad morzem; wrzecziono wypadło z jęj ręki. Łzawem okiem patrzy

na smug ognisty, ostatni promień słońca, które zaszło dla niej na zawsze, w chwili, gdy okręt unoszący poetę, zniknął wśród nieskończonej wód przestrzeni; postać to prawdziwie poetyczna, oddana z niewymownym urokiem.

Znana wreszcie bajka Lafontaine: *Świerszczyk polny i mrówka*, posłużyła p. Voilemot za treść do ładnego obrazu. Świerszczyk polny, który jak bajka mówi, prześpiewał lato wpośród złocistych kłosów, znalazł się w przykrym stanie, gdy nadeszły jesienne zamiecie, a zboże ścięto i zwieziono do stodoł. Artysta dał mu postać młodej kobiety: przysłonięta leciuchną gazą, drżąca od chłodu, puka do chaty wieśniaka, który wyobraza tu skrętną mrówkę. Utwór to pełen wdzięku, wykonany lekką i zręczną ręką. Voilemot słynie dziś w Paryżu jako niezrównany dekorator. Freski jego przepłacane złotem. Nie ma palacu milionowego bankiera lub magnata, w którymby nie było salonu albo buduaru, ozdobionego jego wytwornym pędzlem.

* * *

Obrazy bitew nie liczne na tegorocznej wystawie. Największy co do rozmiarów, pędzla p. Meister, przedstawia epizod z krwawej *bitwy pod Sadową*. Jedenasty pułk ułanów pruskich, uderza na kirassierów, którzy zasłaniają odwrót piechoty austriackiej na Koenigsgraetz. Artysta, uczeń szkoły Düsseldorfskiej, usiłuje naśladować Werneta; zamieszkła nawet w Wersalu, aby mieć pod okiem wzory słynnego mistrza francuzkiego. Wyznamy z całą prostotą, że nie czujemy się na siłach do sądzenia tego rodzaju dzieł sztuki. Konie na pierwszym planie wydały nam się piękne, pełne ognia i życia. Całość może zbyt mocno zapchać, alez trudno było uniknąć tych tłumów, malując bitwę pod Sadową! Sąd artystów nagroził ten utwór medalem, krytyka jednak zaledwie o nim wspomina. Laury zwycięzców Sadowskich, kołają jakos w oczy Francuzów, pruskie tryumfy nie budzą w nich zapalu!

Chętniej widzowie zatrzymują się przed małymi obrazkami p. Protais. Jeden z nich przedstawia wojsko w pochodzie *En marche*. Żołnierze tylko co przyszli do lasu; jedni składają tornisty i broń, drudzy rozpalają ognisko, inni już pokładli się na murawie.

Drugi obrazek nierównie smutniejszy, oddaje wiernie noc po bitwie pod Solferino. Księżyc w pełni oświeca masy trupów na pobojowisku. Wśród poległych są jeszcze i żywi, podnoszą głowy jakby błagali o ratunek—przejmujący to dziwnie obraz.

Z dawniejszych wojen za pierwszego cesarstwa, widzimy ustęp z bitwy pod Wagram. Generał Lauriston na czele baterii złożonej ze stu dział, uderza na nieprzyjaciela. Śmiały ten krok zapewnił zwycięstwo Francuzom.

Inny maleńki obrazek p. Detaille, nagrodzony medalem przedstawia: *Spotkanie gwardyi z kozakami w r. 1814*. Młody

artysta uczeń Maissouiera, w małych rozmiarach potrafił żywo uwydatnić akcyę. Szczegóły zalecają się miniaturowem wykończeniem.

* * *

Jeżeli Franceska Cabanela wywołała niejakie zarzuty ze strony krytyki, za to *portret księżnej Valombrozo*, wykonany biegłą ręką tegoż mistrza, obudził jednobrzmiący chór pochwał. Wszyscy przyznali mu pierwszeństwo i to wśród wielu innych portretów, odznaczających się niemniej doskonałością pędzla.

Postać księżnej powiewna, eteryczna, wybornym była wzorem dla artysty, który ze szczególnym wdziękiem umie malować owe nadpowietrzne, bezcielesne prawie zjawiska, jakich arystokratyczne przedmieście St. Germain przechowuje podziś dzień chorobliwo-sentymentalne typy. Potrzeba w rzeczy samej być takim mistrzem jak p. Cabanel, aby z tej cery przezroczysto bladej, z tych jasno płowych włosów, z tych oczu błękitno zielonkowatych wydobyć taki efekt. Tło ciepłe, barwy ciemno morderowej, tłumi jeszcze jakby umyślnie błady koloryt ciała. Suknia czarna atłasowa, i czarna koronka zarzucona z wdziękiem na ramię, harmonijnie przystrajają tę napół ziemską postać.

Obok tych upowietrzionych portretów, którym Cabanel w wielkiej części zawdzięcza swoją wziętość, jakże energicznie występują postacie, oddane pędzlem panny Nolie Jaquemart! Niepotrzeba zaprawdę otwierać katalogu, aby w portrecie *Marszałka Canrobert* odgadnąć męża czynu i wojskowej energii, lubo ubiór cywilny nie okazuje w nim żołnierza. Ciekawi jesteśmy, jakby wyglądał taki typ zidealizowany pędzlem Cabanela? Przypominałyśmy sobie na wystawie międzynarodowej w r. 1867, wielki portret Napoleona III, tegoż mistrza. Otóż i na obliczu cesarskiem, któremu nie brak przecież męskiej siły, przebijają ta trejbauszowa eteryczność! Pewni jesteśmy, że i Canrobert pod tym pędzlem wystąpiłby jako nowy Alcynous; ale wówczas Paryżanie przechodząc około portretu Marszałka, nie powtarzaliby sławnego *rrrran!*, jak to dziś powtarzają.

Nie wiemy, czy Warszawa wtajemniczoną jest w owo *rrrran!* Canroberta. Oto podczas ulicznych burd ubiegłej zimy, marszałek poruszony zawołał z przyciskiem w jednym z wielkich salonów: „Niech krzyknę: *serrez les rrrrangs!* (scisnąć szeregi). a wszystko wróci do porządku!”. Z salonu słowo wybiegło na ulicę, i w mgnieniu oka cały Paryż chórem powtórzył *rrrran!*

Zdaje się, jakby panna Jaquemart wybrała właśnie ową chwilę, kiedy Canrobert wykrzyknął swoje hasło. Ilekroć byliśmy w sali gdzie zawieszony portret, słyszeliśmy zawsze owo *rrrran!* powtarzane na wszystkie tony. Najpiękniejsza to pochwała dla dzielnej artystki, miłsza jej może nad złoty medal, jaki otrzymała za swój utwór.

Druga z kobiet medalionowanych p. Laura Chatillon, winna zaszczyt, który ją spotkał, *portretowi księdza Bauer*. Ten kapłan jest według opinii powszechnej, jednym z najślawniejszych, a według nas, najślawniejszym dziś kaznodzieją francuzkim. Pani Chatillon nie potrzebowała idealizować sztucznie tej poważnej a słodkiej postaci; oddała ją tylko z całą prawdą, śmiałym i wprawnym pędzlem. Portret księdza Bauera należy do najpiękniejszych na wystawie.

Pani Henryetta Brown, wykonała *portret ojca Hyacynta*. Utwór to pierwszorzędny, bo też i artystka zyskała już od lat wielu europejską sławę. Odznaczyła się szczególnie na wystawie powszechnej, ślicznym obrazem *Chorób dziecięcy na ręku siostry miłosierdzia*. Kto widział ten obraz, nigdy go nie zapomni. Pani Brown nie otrzymała w tym roku medalu, gdyż prace jej trzykrotnie były już nagradzane, a tém samém wyłączone z konkursu.

Mówiąc o malarkach dodamy tu, że w katalogu naliczyliśmy około dwieście imion kobiet, które w tym roku wystawiły swe prace. Z pomiędzy żyjących artystów zaszczyconych medalami w rozmaitych czasach, Francya liczy do siedmdziesiąt kobiet. Jakaż to wymowna odpowiedź tym, dla których kobieta francuzka jest tylko typem lekkomyślności i życia próżniaczego!

W ogólności tegoroczna wystawa odznacza się wielką liczbą dobrych portretów. Z tych przytoczymy tylko najcenniejsze. Należy do nich *portret W. Ks. Maryi Leichtenbergskiej*, pędzla sławnego Jalaberta; pominąwszy stronę wysoko artystyczną w oddaniu rysów twarzy i rąk, uderza jeszcze nadzwyczajna prostota w stroju i w całym układzie. Biała jedwabna suknia, z błękitną obwódką skromnie i poważnie wygląda, mimo zdobiących ją pereł i koronek.

Przeciwny zupełnie temu *portret młodej francuzki pani Feydeau*, za który p. Durand otrzymał złoty medal. Tu postać kobiety niknie zupełnie, w połyskujących draperyach różowo-lilla sukni, objętej tuniką, podpinanej sztucznie według mody dzisiejszej. Suknia to zapewne uderzyła w oczy sędziów, bo też w rzeczy samej oddana po mistrzowsku. Nie jedna modniarka może z niej brać wzór dopóki moda się nie zmieni.

Wspomnimy nakoniec znakomity *portret Emila Girardin* pędzla p. Perignon. Postać publicysty wybornie zcharakteryzowana. Z oczu wytryska rozum, na ustach igra jakby szyderczy uśmiech.

Uważaliśmy kilka dobrych portretów, wykonanych przez ziomków naszych, powiemy o nich osobno w końcu sprawozdania, wyszczególniając wszystkie prace polskich artystów.

Przejdźmy teraz do obrazów rodzajowych: tych najwięcej daje się widzieć na wystawie. Sądzimy, że gdyby je ściśle obliczyć, zajęłyby trzy czwarte wystawionych utworów. Niektórzy krytycy powstają surowo na taką, jak mówią, profanację sztuki. Inni przyklaskują szczerze nowemu kierunkowi, widząc w nim niejako apoteozę człowieka. Co do nas, przekonani jesteśmy, że prawda nie leży nigdy w krańcowej ostateczności, ale w harmonijnej równowadze. Biada literaturze, któraby wydawała same tylko powieści z życia, z zaniedbaniem dzieł religijnych, historycznych i naukowych. Biada sztuce malarskiej, gdyby wszystkie talenta zwróciły się wyłącznie do rodzajowych utworów, które są tępem w malarstwie, czem jest powieść w literaturze.

Nie lękamy się tego we Francyi. Długi szereg dzieł, z których częśćkę zaledwie przytoczyliśmy powyżej, wymownie świadczą o różnorodnych pracach artystów, goniących za wzniosłym ideałem. Jeżeli zaś liczebnie, obrazy życia tak bardzo dziś przeważają, możnaż się temu dziwić? Pod względem twórczego wynalazku, łatwiej nierównie oddać dziewczynę przy kądzieli, albo kowala w kuźni, niż odtworzyć wielki dziejowy przedmiot, jakiegoś Matejki lub Fleurego.

Mielizbyśmy zresztą naganiać rodzaj sztuki, tak zgodny z duchem czasu, rodzaj który tak podnosi jednostkę, tak wnika w tajemnicę ludzkiego serca, dobywając zeń żywe źródła poezyi i polityki prawd filozoficznych? Nie naganiamy go wcale, przeciwnie nawet przeczuwamy dla niego wielką przyszłość. „Miej serce i patrz w serce!” wyrzekł poeta. Z tego to ogniska wybieży na świat ideał w nowej formie, odrodzony jak Feniks ze swych popiołów!

Tak jest, przyklaskujemy szczerze idei postępu, świtającą w pracach malarzy rodzajowych. Ubolewamy tylko nad grubym realizmem, któremu wielu z nich hołduje; szczęściem, że liczba tych zmniejsza się stosunkowo.

Na czele wszystkich obrazów rodzajowych, stawiamy utwór młodego Madziara p. Munkaesy, ucznia szkoły dysseldorfskiej: *Ostatni dzień na śmierć skazanego*. Utwór to nadzwyczaj przejmujący i dramatyczny; rzecz osnuta na obyczajach miejscowych.

W Węgrzech, na trzy dni przed egzekucją skazanego, otwierają się drzwi więzienia. Każdy, kto chce, może odwiedzić więźnia w jego celi. Na stoliku pokrytym białą, płoną dwie świece z obu stron krucyfiksu; na ziemi leży tacka, w którą przychodzący składają drobny datek. Pieniądze te przeznaczone na mszę, za duszę nieszczęśliwego.

P. Munkaesy z wielkim talentem oddał tę smutną scenę. Nie szuka artysta sztucznych efektów, rzecz sama z siebie tak tu wymowna, że dosyć odtworzyć ją w całej prawdzie, aby wstrząsnąć sercem do głębi. Niepodobna też zimnym okiem patrzeć na ten obraz, tak napozór spokojny, a tak rozdzierający.

Nagie i ciemne ściany więziennj celi, oświeca podwójne światło: płomień świec zapalonych przy krzyżu i drobny promyk słońca wciskający się z góry przez okienko.

Skazany siedzi przy stoliku, z głową smutno na piersi pochyloną. O kilka kroków, żona przyparła głowę rozpaczliwie do ściany. Nie widać jej rysów nawet z profilu, łatwo przecież odgadnąć, że biedna zanosi się od płaczu. Naprzeciw ojca stoi trzyletnia dziewczynka z jasnymi, mocno zjeżonymi kędziorkami. Biedne dziecko nie rozumie nią, nie zgaduje, że wnet będzie sierotą, nie wie nawet co to sieroctwo, gryzie też obojętnie suchy kawałek chleba. Drugą stronę celki napełnił tłum ludu: każda twarz wyraża na swój sposób uczucie grozy, żalu i głębokiej litości. Kobiety płaczą, mężczyźni patrzą z milczącym a tak wymownym bólem, chłopcy z przerażeniem i ciekawością. Wszystkich oczy zwrócone ku temu, co wkrótce żyć przestanie; żołnierzy nawet stojący z karabinem na czatach, nie może się oprzeć mimowolnemu wzruszeniu. Nie wiadomo, czy artysta miał na myśli jaką rzeczywistą postać, czy też malował po prostu ideę. W każdym razie jest to, powtarzamy, jeden z najdramatyczniejszych obrazów całej wystawy. Artysta otrzymał złoty medal.

Mniejsze formą, słabsze może wykonaniem, ale równie przejmujące pod względem myśli, są dwa obrazki: jeden p. Cavarro, drugi Belgijczyka Hammana, przedstawiające jednakowy przedmiot: *Pożegnanie protestanckich wychodźców z krajem, po odwołaniu edyktu nantejskiego*.

Na pierwszym widzimy słup z napisem: granica Francji. Mężczyzna i kobieta trzeźwią omdlałą towarzyszkę. Inny wygnaniec, z kijem tułaczym w rękę, wyciąga ramiona ku ziemi, która była mu kołyską, gdzie próchnieją kości naddziadów. Na obliczu jego niewysłowiona boleść, wiatr igra z siewiejącym już włosem. Opodal inny starzec patrzy spokojnie w niebo, ręce jego złożone do modlitwy.

P. Hamman przedstawił ten przedmiot, w odmienny nieco sposób. Tułacze nad morzem oczekują na statek. Jeden z nich trzyma w rękę biblię. Kobieta z dzieckiem na rękę, obraca głowę, ściga okiem miejsca, gdzie ubiegła jej uroczą młodość, gdzie pozostawia najdroższe wspomnienia. Mała dziewczynka widząc ogólny smutek, płacze rzewnie przy boku matki.

Niemniej głęboko wraza się w pamięć obraz p. Sautai: *Pielgrzymi przed kaplicą św. Piotra in Carcere*. Artysta nie szuka w nim efektu, nie przemawia do oka, ale raczej do serca widzów. Czwooro pobożnych wieśniaków rzymskich, przyszło uczcić pokłonem św. Apostoła, który niegdyś obecnością swoją uświęcił te straszne pieczary mamertyńskie, sławne w historii Rzymu, odzielone kratą żelazną od kaplicy. Stary wieśniak na widok tych miejscu padł na ziemię obliczem, w religijném skupieniu ducha. Obok niego klęczy stara niewiasta, zatopiona w gorącej modlitwie. Dwie młode wieśniaczki przyłożyły oczy do kraty, trwożliwie

poglądają w czarną przestrzeń. Słabo kaganiec oświeca wnętrze murów, co powiększa jeszcze tajemniczy urok miejsca. Trzeba się dobrze wpatrzeć w obraz, aby ocenić całą jego piękność. Wielu widzów mija go obojętnie, lecz sąd sprawiedliwie nagrodził artystę medalem.

Tłumy widzów przyciąga rodzajowy obrazek młodego Hiszpana p. Zamakois: *Wychowanie księcia*. Rzecz dzieje się w Madrycie. W sali królewskiego pałacu bawi się w wojnę trzyletni infant w koronkowej sukience na błękitnej materyi. Zbija pomarańczą rozstawionych szeregiem żołnierzy. Dostojny ojciec, podobno Karol VI, ogląda z królewskim zadowoleniem na zabawę domniemanego następcy. Dworzanie w papuzich, różowych i błękitnych frakach, z piersią wyzłoconą orderami, podziwiają zdolności strategiczne przyszłego pana. „Zdobędzie świat!”— mówią jedni do drugich. Stary otyły szambelan, zgięty przez pól, podnosi z ziemi pomarańczę, drugi, przybiega podpierając się laską. Wszyscy wlepili oczy w królewskie dziecko z wyrazem nieudanego zachwytu. W gronie panów widać dwóch dostojników kościoła: jednego w fiolecie, drugiego w kardynalskiej purpurze. Nad dzieckiem stoi młoda piastunka, przybrana malowniczo w ubiór andaluzyjski. Wyborny ten obrazek, pełen dowcipu, zjednał artyście medal i uznanie powszechne. P. Zamakois, Bask z Bilbao, uczeń sławnego Mesoniera, przejął się zupełnie jego metodą. Wierne to powtórzenie owych małych arcydzieł, które Anglicy zakupywali na wagę złota, podczas wielkiej wystawy 1867 roku. Przypominamy sobie scenę u Diderota w bibliotece, obrazek nie większy nad dwie stopy w kwadrat, kupiony przez bogatego lorda za 80,000 franków.

Mniej wykończony, ale nie mniej dowcipnie obmyślany obrazek p. Brilboin, wyobraża podobny przedmiot, to jest wychowanie dziecka, które ma kiedyś wazyć na szali losy ludów. Książątko tu wyrosło już na dziesięcioletnie pacholę. Siedzi w wielkiem krześle z poręczami. Przy niem na stole już nie drewniane cacka, ale księgi i globy. Na ziemi drżemie wyżeł. I książątku kleją się do snu oczy, usta roztwierają się do ziewania. Mentor tymczasem, stojąc z książką w ręku przed uczniem, prawi z zapalem swoje, nie domyślając się, że mądre słowa rozlegają się głucho o puste ściany sali.

Równie dowcipny obrazek p. Vibert, przyciąga do siebie tłumy ciekawych. Wyobraża *Przybycie Guliwera na wyspę Lili-putów*. Rozbitek zasnął; ludność przerażona kolosalnymi rozmiarami jego osoby, skrępować go we śnie. Całe miasto wyległo przyjrzyć się dziwowisku. Król stanął na boku, otoczony orszakiem dworzan, przystrojonych według mody chińskiej. Uczeni w doktoratkach patrzą ciekawie na nowy dla nich widok; inżynierowie tymczasem zakładają maszyny do nóg olbrzyma, aby dźwignąć go w górę. Rycerstwo przybiega pod chorągwie. Tłum

gawiedzi ogląda ogromny kapelusz, drudzy cisną się wkoło zegarka. Kronikarz zapisuje pilnie każdy szczegół. Całość szczęśliwie pomyślana, wyraz małych twarzyczek pełen życia i wyrazu; w wielu z nich, jak się zdaje, rozpoznać można rysy znanych osób.

Od Guliwera, widzowie przenoszą się zwykle do innego obrazu, umieszczonego w téjże sali, niemniej ciekawego dla Paryżan. Obraz ten p. Elwen, przedstawia *Maskaradę wenecką, w domu Arsena Houssaye*, znanego francuzkiego literata. Widzimy tu półtora tysiąca osób, ugrupowanych zręcznie; każda figurka przedstawia żywy typ wzięty ze świata literackiego, bankierskiego, artystycznego, z teatru, z arystokracji, u dworu i t. p.; salon bowiem p. Houssaye otwarty zarówno dla wszystkich. Kobiety w gazach i kwiatach snują się wpośród tłumu, ożywiając go właściwym sobie wdziękiem.

Inne zebranie, innego całkiem świata, przedstawił p. Girand na ogromnym płótnie, w osobach naturalnej wielkości. Jest to salon w Lima, a może w Quito, w dalekiej gdzieś strefie podrównikowej. Wszystko tu jaskrawe i połyskujące: i oczy pięknych pań, siedzących na sofach, przybranych w purpurę i klejnoty; cera ich ozłocona ciepłym promieniem słońca, i krucze splety ich warokoczy przetykane perłami, i ogromne wazony, pełne olbrzymich kwiatów właściwych owój słonecznej krainie. Na podwyższeniu stoi młody sztukmistrz (*charmeur*), popisuje się z wielką uciechą widzów. Posłuszne mu synogarlice i sroki, ulatują po nad głowami świetnych Peruwianek. Jaskrawy koloryt obrazu wywołał surową krytykę, sąd przecież nagroził medalem artystę, zdolnego ucznia szkoły rzymskiej.

Ciekawy niemniej *Pierwszy pojedynek*, pędzla p. Glaize, przedstawiający zaciętą walkę dwóch atletów, z wieków barbarzyńskiej starożytności. Walczą obaj u stóp olbrzymiej skały ponad przepaścią: żyłasta pięść jedynym ich orężem. Powyżej nich kobieta, jak się zdaje, główna przyczyna sporu, wsparta o krawędź skały, przygląda się strasznym zapasom. Ruchy ciała oddane wybornie. Obraz ten należy do najlepszych studyów akademickich na wystawie.

W inny sposób uderza oczy nasze *Pojedynek dzisiejszy*, pędzla p. Beaulieu. Tu rzecz odbywa się według prawideł sztuki szermierskiej, przyjętej w świecie ucywilizowanym. Dwaj zapasnicy walczą zapamiętale. Stoją o kilka kroków, z nogą naprzód, z ciałem wyprężonem; szpady ich spotykają się z sobą. Krew wytryska z pod cięcia, ślady jej widoczne na zszarpanych rękawach koszul; ale walka trwa jeszcze, żaden nie składa broni. Świadkowie chciwem okiem śledzą każdy ruch i trwożliwie czekają końca. Wschodzący blask zorzy oświeca wątpliwie krwawy dramat.

Nie brakło artyście pobudek i wzorów do obrazu. Oddawna już, bo chyba od czasu muszkietarów, opisanych tak żywo

piórem Dumasa, nie odbyło się we Francyi tyle pojedynków, jak w dwóch ostatnich latach; przyczyną tego rozgorączkowanie polityczne, a częstokroć kobieta.

Zajrzyjmy oto w oczy tym czarodziejkom w atłasach, koronkach, aksamitach. Są między nimi piękne i bardzo piękne, oddane wytwornym pędzlem Toulmoncha i jego szkoły, czyli tak zwanych Toulmonchistów. Na kilkudziesięciu obrazkach widzimy „tę wietrzną istotę, której postaci zazdroszczą anieli, ten puch marny”, nad którym cięży kłątwa naszego wieszca:

Bodaj czego się dotkniesz, przemieni się w złoto.
Do czego skłonisz i serce i usta,
Całuj, ściskaj zimne złoto!

Wszystkie dramatyczne fazy życia światowej kobiety, oddane z dowcipem, a nieraz z bolesną ironią. Tu na obrazku Toulmoncha, młoda panienka zakradła się do biblioteki; istna Ewa pożera zakazany owoc, podobno romans George Sand. Tam młoda kobieta w kapeluszu i rękawiczkach trzyma już kłamkę, bo oto wybiła godzina *rendez-vous*. Iść, czy nie iść? *To be or not to be!* Twarz jój blada, wyrzut, przestrasz, zdaje się walczyć z nieprzepartym pociągami. Nie puszcza jednak kłamki, pobiegnie jak motyl do świecy i opali skrzydełka. Pójdzie, bo to ta sama, snadno odgadnąć z rysów, co wzrosła wykarmiona zakazanym owocem, w bibliotece zbyt nieprzezornej matki!

Na ładnym obrazku p. Bontibolle, dwie młode kobiety radzą nad ważną sprawą. Jedna w eleganckiej żałobie trzyma w ręku list... ktoś błaga ją o rękę. Co tu odpisać?—prawda, smutno żyć saméj; ale w co się obróci złota wolność? francuzki kodeks względny tylko dla wdowy!.. przyjaciółka nalega... młoda wdowa wyciąga rękę po pióro. Odpisze „tak”, ani wątpić o tém, już na jój czole połyska nadzieja, niby złoty promyk z poza chmury.

Wyborny znów obrazek p. Conte-Calix: *Biedna miłość*, przenosi nas wstecz o jakie lat sto, w czasy Ludwika XV. Jesień, niebo pochmurne, ziemia zasłana żółtym liściem. W okazałym parku, przy ostatnim połysku bladego słońca, przechadza się podżyła para małżonków, a może dawnych odkochanych kochanków. Kobieta w ciemno amarantowym aksamicie, w przypudrowanych loczkach, i czarnej na głowie koronkowej mantyli, zwraca cały wzrok na Amora, stojącego na piedestale w cieniu drzew. Oko jój łzawe, tęsknota powlokła rysy twarzy. Tenże to Amor, który niegdyś wypuszczał strzały, posłuszny jój skinieniu? Czemuż on tak zimny, jak ten powiew listopadowy, co strąca z drzew ostatnie listki?—czemu psotnik pogląda na nią z tak szyderyczym uśmiechem? Postać towarzysza, który niechętnie podaje rękę damie, bardziej jeszcze zakłopotana. Ten nie patrzy nawet na Amora, zanadto go znać poznać, nie chce już wiedzieć o nim. Odwrócił głowę i trzcinką rozgarnia na ziemi zwiędłe listki. Wyborny obrazek,

ale dlaczego *biedny Amor*?—alboż nie biedniejsze jego ofiary? Właściwiejby powiedzieć: Zdrajca, ladaco Amor!

Do salonowo-rodzajowych, zaliczamy jeszcze prześliczny obraz Chapelina. Młodziuchna matka, ubrana biało, z niebieską wstążeczką w jasnych włosach, trzyma na ręku śpiące niemowlę. Dzieciatko urocze jak aniołek. Złociste włoski przylgnęły mu do spotniałego czoła. Z półotwartych usteczek wyglądają bieluchne ząbki. Policzki okrągłe, jak jabłuszka lekko zarumienione. Dwie rączki tłuste, okrągłe, jak wałki założyło jedną na drugą. W prawej trzyma sznurek, z którego spadają papierowe arlekiny. Matka patrzy na dziecinę z niewymowną miłością. Za dewizę wziął artysta znany wierszyk Wiktora Hugo:

Śpij-że mi dziecino,
 Śpij moje ty złoto;
 Gdzie twoje dni płyną,
 Nie troszczysz się o to.
 Jak listek na fali
 Płyn dalej a dalej,
 Gdzie wody zapłyną,
 Nie pytaj dziecino!

Ale porzućmy te złoczone pałace, przenieśmy się pod ubogą strzechę kmiecia lub rzemieślnika. Cała Francya przyniosła bogate plony do tego etnograficzno-rodzajowego wydziału. Sztuka stała się owym czarnoksiężnikiem, który za dotknięciem laski cudownej, odsłonił przed nami wnętrza chat i stawił nam przed oczy ten lud tak różnorodny, tak odmienny, twarzą, strojem i obyczajem, lud rozsiany jak mrowiska po wielkiej przestrzeni, od podnóża Pirenejów, po falezę normandzkie, od wybrzeży bretońskich po wyżyny Sabaudyi. Widzimy go przy pługu, widzimy w chacie u ogniska, widzimy na odpuszcie, na procesyi, na jarmarku i na weselnych godach.

Ze szczególném upodobaniem przypatrywaliśmy się owym bretońskim *Wenedom*, którzy pieśnią, strojem i postawą tak przypominają naszych kmieci. Ta najbarakterystyczniejsza część narodu francuzkiego, najwięcej dała pobudek artystom nowęj szkoły; tu bowiem zachowały się w pełni odwieczne tradycye, tu wieśniak oderwany od zewnętrznych wpływów, żyje tęp samém życiem, jakim przed stu laty żyły jego pradziady. Nie mogliśmy też oderwać oczu od obrazków Emila Bretona. Jeden z nich wyobraża niewiasty bretońskie, jak zebrane nad rzeczką, biją chusty drewnianemi kijonkami. Na drugim widzimy wiejską dziewczynę śpiącą przy kołowrotku; kądziel wypadła z jęj czerwonej spracowanej ręki, ognisko dogasa na kominie.

Więcej jeszcze zachwycił nas śliczny obraz p. Bogueureau: *Wotum do sw. Anny*. Artysta przedstawia dwie dziewczeczki kłęzące przed ołtarzem; każda z nich trzyma w ręku zapaloną świecę;

postawa ich pokorna, oko promienieje wiarą. Pani Amelia Taxon, z niewieścim prawdziwie urokiem ukazuje nam *bretońskie dziewczątka, zbierające w lesie jagody*; istne to nasze Kujawianki! Pani Conte-Calix przedstawia *chorą dziewczę*, jak wsparta o poduszkę, przesuwając w ręku ziarenka różańca, ufna w opiekę Maryi.

P. Hadamart przenosi nas do chaty lotaryńskiego kmiotka. Na obrazku zwanym *Pokusa*, widzimy w izbie kilka wiejskich dziewczeczek. Wędrowny kramarz rozkłada przed niemi krasne chustki. Wyborna gra fizyognomii, tak kusiciela, jak i dziewcząt. Prawdziwy to dramat.

Nie mniej dramatyczna *Pokusa* p. Latouche. Przekupka zasnęła nad straganem. Na straganie leżą pierniki, obwarzanki, jabłka. Dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, przechodzą tuż koło straganu, widzą uspioną przekupkę; dość im wyciągnąć rękę aby porwać owoc zakazany. Ale głos wewnętrzny poszepnął im: „nie kradnij;” sumienie zwalczyło pokusę!

Uboga wdowa z dziećmi p. Casta, należy do najrzewniejszych obrazków z życia ludu. W nędznej izdebce śpi w kołysce śliczne niemowlętko. Matka z dziesięcioletnim synem powraca do domu prosto z pogrzebu męża; staje nad kołyską, ukazuje dziecicę synowi. „W tobie cała otucha moja!” zdają się mówić łzawie oczy kobiety. „Nie zawiodę cię matko,” mówi chłopiec, a uroczysty wyraz dziecięcych rysów, świadczy wymownie, że dotrzyma danego słowa.

Weselszy dramat rozwija się w obrazku p. Guillemin. Rzecz dzieje się w Franche-Comte, w rodzinie pół-francuzkiej, pół-niemieckiej, jak to widoczna z ubioru i z postawy osób. Nowo zaślubiona para żegna starych rodziców przed progiem chaty. Młodzian trzyma rękę dorodnej żony, snać nalega o pośpiech. Matka w wysokim tradycyjnym czepcu wpatruje się w córkę łzawym okiem. Stary ojciec uśmiecha się smutno. Córka żegna z żalem rodziców, ale radaby ulecieć na skrzydłach do własnego gniazdeczka. Gra sprzecznych uczuć oddana tu wybornie.

Nie ustępuje temu obrazek: *Opuszczona*, p. Laporte. Na łące w oddaleniu kosarze tną siano. Młoda dziewczyna usiadła nad strugą pod wierzbami. Na twarzy jej widoczna boleść. Z poza drzew spostrzega młodą parę, przebiegającą w płasach. Któżby nie zgadł, że ten swobodny chłopiec, to dawny kochanek opuszczonój!

Niektóre z tych obrazków wyrażają myśl prawdziwie budującą. Do ich rzędu należą dwa p. Duverger: jeden przedstawia *Nędzę i ubóstwo*, drugi *Pracę i szczęście*. Tu robotnik siedzi u stole, hojnie raczy się winem. W izdebce pusto, wszystkie sprzęty zastawione albo sprzedane. Na garści barłogu siedzi wynędzniała kobieta, z niemowlęciem u piersi, drugie dziecko płacząc, dopomina się chleba. W twarzy kobiety boleść złączona z gniewem i rozpaczą.

Drugi obrazek przedstawia takąż samą izdebkę, ale jakże inna dola mieszkańców! Ojciec powraca od roboty. Dziewczynka

bieży ku uiemu z wiązką kwiatków, dwuletni chłopaczek ozogła się na bałyku. Za ojcem idzie chłopczyk z wiązką siana dla krowy. Matka wyjmuje z pieca chleb, posłyszawszy głos męża, odwraca głowę; twarz jój promienieje od radości.

Takie obrazki należałoby rozpowszechniać w tysiącnych odbiciach; wymowniej one przekonywają lud, niż całe foliały zapisane teoretycznemi radami!

*
*
*

W krótkości powiemy o pejzażach, lubo te stanowią rzeczywiste bogactwo tegorocznej wystawy; bo i jakże tu oddać słowem, bez unużenia czytelnika, tę nadzwyczajną rozmaitość przyrody, którą malarze francuzcy tak mistrzowsko odtworzyć umieją. Z pomiędzy trzechset krajobrazów, po większej części dobrych, wspomnimy ledwie kilka, które nas szczególnie uderzyły.

Do najznakomitszych należy *Droga w lesie w okolicach Finister*, p. Bernier, obraz znacznych rozmiarów. Jesień powlekła drzewa złotą barwą; wiatr zdaje się poruszać miękkie gałązki brzoź i krzewistej leszczyny. Środkiem krętej drogi jedzie na osielku stary Breton, wlokąc na sznurku uwiązane dwie owce. Drzewa malowane szerokimi planami, śmiałym pędzlem, a jednak wykończone starannie; perspektywa wyborna. P. Bernier powielekroć otrzymał już nagrodę za piękne krajobrazy. Mistrzowskie jego dzieło nie należało do konkursu.

Ślawny pejzażysta Daubigny odtworzył z nieporównaną siłą wybrzeże normandzkie: *Pré des Graves*. Na pierwszym planie widzimy skały malowniczo pozarpane i ogromne drzewa z powyręcanemi potwornie konarami, pod stuletnim pociskiem wicherów morskich; dalej ocean rozciąga szeroko wzdęte fale, stykające się z pochmurnym niebem. Niepodobna oddać wierniej ponurych, a tak majestatycznych brzegów Normandyi.

Obok ojca świetnie wystąpił młody Karol Daubigny z *Pobrzeżem morskiem w Trouville*. Mnóstwo łodzi rybackich z rozpiętymi żaglami kołysze się na falach. Wicher dmie, burza grozi, rybacy pospieszają do lądu. Pełno życia i myśli w tym niewielkim, a tyle mówiącym obrazie.

Śliczna także łąka pana Chintreuil, powleczona mgłą ranną. Promień słońca przedziera się przez obłok, i z poza mgły wątpliwym blaskiem oświeca zieloną murawę.

W naturze chyba widzieliśmy tak przezroczystą wodę, jak na obrazie p. Appian, przedstawiającym *Zródła Albariny*. Brzeg nagi, gdzieśgdzie porosły karłowatym drzewem, oddany z całą prawdą. Koloryt ciepły przypomina dzieła włoskich mistrzów.

Dwa piękne obrazki ukazują nam malownicze brzegi *Sekwany*. Na jednym droga wije się między dwoma rzędami wierzb. Białe obłoczki pobiegają po niebie, powietrze skwarne, duszne, jak w porudnie przed burzą.

Na drugim obrazku *L'Ecluse de Bongival*, rzeka rozciąga szeroko wody wśród brzegów zarosłych tatarakiem. Na łące czerwone maczki przeplatają jednostajną zieloność trawy.

Między pejzażystami wystąpiła utalentowana Belgijka pani Collard. Dwa jej obrazy nagrodzone medalem należą do pierwszorzędných na wystawie. Jeden z nich wyobraża *Sad wiejski o wieczornym pomroku*. Ostatni odblask zachodzącego słońca złoci wierzchołki grusz i jabłoni. Wśród wysokiej i bujnej trawy pasą się dwie małe krowy czarne. Z ziemi paruje rosa.

Drugi obrazek przedstawia *Poranek w niedzielę*. W sadzie podobnym do pierwszego, w bliskości domu, z którego dym wybiega kominem, skubie trawę chudy koń włościański, znużony całotygodniową pracą. Szara mgła jesienna lekko przystania drzewa i murawę. Widok tego biednego konia przypomniiał nam inny obraz skreślony przed dwustu laty piórem naszego Klonowicza, i mimowoli pomyśleliśmy:

O wzgardzonym koniu,
Co go pasą dziewczanną i piaskiem na błoniu,
Co koło Bożej-męki, na pustym przyłogu,
Blizko domu łbem kiwa, ledwie że nie w progu.

Tamten jednak szczęśliwszy od konia naszego Acerna, karmi się nie piaskiem i dziewczanną, ale żywną trawą oddaną bogatym pędzlem pani Collard.

Sławny rysownik Gustaw Dore, tak niewyczerpany w pomysłach, którego winiety zdobią najpiękniejsze wydawnictwa dzisiejsze, przysłał na wystawę krajobraz znacznych rozmiarów: *Wspomnienia Sabaudyi*. Jest to głęboki jar u stóp olbrzymich gór pokrytych śniegiem. Cały jar zarosły drzewami, przez ich konary oko ogarnia daleki widnokrąg. Trzech biednych Sabaudczyków podejmuje suche gałązki z ziemi. Obraz to efektowy, oddany śmiałym pędzlem.

Wspomnienie Włoch p. Schützenberger przedstawia inną scenę. W skwarny dzień, gnuśni robotnicy włoscy spoczywają na miękkiej murawie. Podczas gdy śpią w malowniczych postawach, kobiety wyręczając mężów, dźwigają z wysileniem olbrzymie kamienie na budowę.

Patryarcha pejzażystów francuzkich, zasłużony i wielokrotnie nagrodzony p. Corot, wystąpił w tym roku z dwoma krajobrazami, które nie ubliżają w niczem młodzieńczym utworom jego pędzla. Zacięty nieprzyjaciel realizmu, wierny klasycznym tradycjom dawnych mistrzów, Corot ostatni z malarzy napotyka jeszcze najady nad Sekwaną, nymfy i hamadryady w lasach Meudonu i Fontainebleau. Oddał też wiernie te czarodziejki, z rozwianym na wiatr włosiem, płasające z całą swobodą. Stary klasyk kocha gorąco przyrodę, i wbrew pojęciom dzisiejszych realistów usiłuje zawsze przedstawiać ją ze strony uroczej i powabnej.

Należy on do tych malarzy, co zimny klasycyzm musieli ogrzać nowoczesnym romansem, trzymając się jednak wiernie w granicach dawniej szkoły.

Odmienną drogą poszedł p. Courbet, śmiały nowator, zacięty wróg klasycznego konwencyonalizmu. Na jego sztandarze czytamy znane godła kramowych romantyków: *Le laid, c'est le beau*. (Brzydota pięknem). W dwóch obrazach, które przedstawił w tym roku: *Morzu wzburzonym* i *Falezach Edredat*, widzimy tę szaloną, prawie rozhukaną zuchwałość pędzla, która tak rozgłosiła imię artysty. Jedni pod obłoki wynoszą oba utwory, drudzy wzruszają na nie ramionami, i wzrok od nich odwracają ze wstrętem. Co do nas, bez wstrętu, a raczej ze zdumieniem poglądaliśmy na te spiętrzone bałwany, oddane z taką przerażającą prawdą. Słyszeliśmy mówiących, że piana nie malowana tu farbą, lecz prosto naklapana gipsem! Co nam wchodzić w środki, jakich użył artysta, jeśli tylko cel osiągnięty? Gips, czy farba olejna, mniejsza o to, lecz te bałwany kipią, huczą, ruszają się i żyją!

* * *

Oprócz obrazu Matejki, opuściliśmy z umysłu prace ziomków naszych, aby wspomnieć o nich razem w końcu sprawozdania. Nie wielka wprowadzie ich liczba, wszystkich razem dwudziestu pięciu; z tych dwudziestu jeden malarzy. O czterech rzeźbiarzach powiemy przy rzeźbach.

Spis malarzy naszych podajemy tu alfabetycznym porządkiem, wskazując zarazem ich utwory.

Bakałowicz Władysław rodem z Krakowa, uczeń warszawskiej Szkoły sztuk pięknych, przedstawił dwa rodzajowe obrazki, pierwszy: *Wolne chwile kardynała Richelieu*, to jest zabawę z kotką i kociętami; drugi: *Wyjazd do kościoła świetnego towarzystwa w strojach XVI wieku*. Aksamity, koronki, oddane wybornie, z drobiazgowym wykończeniem.

J. K. Bończa dał na wystawę obraz znacznych rozmiarów. Przedmiot wzięty z dziejów Francji: *Ludwik XI przed żelazną klnatką*, w której siedzi zamknięty kardynał Baluc.

Hr. K. E. Boratyński uczeń Delarocha i Korneliusza, wystąpił z portretem generała S... oficera na służbie u księcia Józefa Poniatowskiego, w bitwie pod Lipskiem.

Brandt Józef rodem z Warszawy, uczeń Adama przysłał z Monachium śliczny obraz: *Jarmark w okolicach Krakowa*. Typy ludu wybornie pochwycone. Malowniczy strój Proszowiaków i hożych dziewoi pięknie ożywia scenę. Imię Brandta znane chlubnie w Paryżu, Francuzi pamiętają dotąd *Bitwę pod Chocimem*, która w roku 1867 zdobyła bawarską wystawę.

Gąsowski Artur przedstawił *portret* i *krajobraz*.

Kapliński Leon dał dwa *portrety*: jeden *księcia Wł. Cz.*, drugi p. *Zborowskiego*. Ostatni portret należy do utworów wysokiej wartości artystycznej.

Kossowicz Józef uczeń Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, wykonał *portret Dra Wrotnowskiego*, zalecający się wielkiem podobieństwem.

Krajewski Marceli dał dwa bardzo dobre portrety: *M. Paszkowskiego*, i *Dra Laskowskiego*.

Maliszewski Tytus, uczeń Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych a następnie Cognet'a, wykonał *olejny portret*, przedstawiający poważne rysy jednego z najznakomitszych wieszczów naszych, *Bohdana Zaleskiego*. Jakże on tu podobny! Jak piękny tym głębokim spokojem, co promienieje na obliczu posiwiatego starca, z długą do pasa białą brodą. Tak, to on, przesławny lirnik ukraiński, co przed trzydziestu laty wyśpiewał nam tę cudną dumkę, której nikt zapewne nie zapomniat:

Tam na górze świta dzionek,
A w dolinie srebrzy rosa,
I ja lecę jak skowronek,
I ja płynę pod niebiosą.
Lecę, gonię wspomnień marę,
Z kwiatów życia wianek plotę,
Miłość, wiarę
Na ogniwa spajam złote.

Tak, to on, ależ innym żarem połyskało oko Bohdana, gdy ronił z duszy owe zakłète dźwiękil Z tych ust łagodnych, uśmiechających się tak smętnie a tak słodko, wybiega dziś raczój owa dumka stęsknionego lirnika:

Ku niój tęsknię z wieczora,
We dnie tęsknię i płacze,
Bom pożegnał nie wczora,
I nie jutro zobaczę!

Pan Maliszewski oprócz portretu Bohdana, dał jeszcze na wystawę *portret pastelowy Markizy de Caux* (Patti). Przez długi czas, ten portret jak się zdaje własność słynnej śpiewaczki, wystawiony był w Foyer opery włoskiej.

Marszewski Józef, uczeń akademii Petersburgskiej dał widok miasta Meuton, u podnóża Alp nadmorskich.

Matejko Jan. O tym mówiliśmy powyżej.

Mikulska Izydora uczennica Cognet'a i Chaplin'a, dała *portret kobiety* i *obraz młodej matki*, obmyślany z fantazyi.

Mioduszewski Jan, uczeń akademii petersburskiej, przedstawił *Widok części ratusza paryzkiego i kościoła katedralnego Panny Maryi*.

Piotruszyński Antoni ze Lwowa dał *Krajobraz sabaudzki z okolic Nicei*.

Przepiórski Lucyan, urodzony w Wilnie, wykonał *Wnętrze galerii Apollina w Luwrze*, i śliczny obrazek rodzajowy, przedstawiający *Slepego grajka*. Siwy starzec z wyrazem głębokiego żalu, trzyma w ręku złamane skrzypki, jedyną swoją chudość. Pies smutno spogląda w oczy panu, jakby zgadywał i dzielił jego boleść.

Roszczewski Henryk urodzony we Francji, przedstawił *Zwierciadło królowej*.

Saulson Leontyna rodem z Warszawy, uczennica Bretona, dała obrazek rodzajowy *Dziewczynę niosącą wodę ze studni*.

Sieradzki Alfons urodzony w Boulonge, uczeń Cabanela, dwa portrety.

Skirmunt uczeń petersburskiej akademii, przysłał z Rzymu obraz, przedstawiający *Uczelnię w pałacu Colonna w XVI wieku*.

Szermentowski Józef uczeń warszawskiej Szkoły wykonał ładny obrazek rodzajowy, dosyć dużych rozmiarów: *Poranek niedzielnny przed wiejskim kościołkiem*. Zdaje się, że artysta obrał okolicę u podnóża Tatrów. Pobożny lud ciągnie w świątecznym stroju w progi ubożego kościołka. Ubożiz on bardzo, ściany zapadłe, strach bierze, aby ten dach dziurawy jak rzeszoto, nie runął pobożnym na głowy. Malowniczo zapewne wygląda ta ruina, ale wyznamy szczerze, iż wstyd nam było, kiedy Francuz artysta towarzyszący nam na wystawie zapytał z podziwieniem i niejaką litością: „Takież to kościoły w waszym kraju?” wyznaliśmy z całą prawdą, iż podobny nie wpadł nam nigdy w oczy. Pan Szermentowski szukał także, jak widać, efektu dramatycznego. Nie domyślał się zapewne, że jego utwór takie pytanie wywoła z ust cudzoziemca.

Wspomnimy tu jeszcze z przyjemnością obraz pana Valent przedstawiający *Hożę krakowską dziewczętkę z drewnianą konewką u studni*. Zaleca się do niej rażny młodzian, w czerwonej czapeczce, w granatowej sukmance krakowskiej. Myśl dobrze oddana, typy schwycone wiernie, słowem obrazek mile wraża się w pamięć. Pan Valent przebywa w Galicyi, jak się dowiadujemy z katalogu.

* * *

Przejdźmy teraz do rzeźby. Ten oddział tworzy dla oka dziwnie piękną całość, bo też miejscowość sama przyczynia się do tego. Wspomnieliśmy z początku, iż rzeźby zajmują ogród pod szklanym dachem, otoczony skrzydłami pałacu. Widok z galerii na ten ogród prawdziwie czarujący, szczególnie w czasie kilkodniowej wystawy kwiatów, którą tu jak zwykle urządzono w końcu maja. Nic piękniejszego, jak te marmurowe grupy i posągi otoczone kłębami róż, azaleów i tych przepysznych begonii z różnobarwnym liściem, których sztuczne odmiany stanowią dziś prawdziwy tryumf przemysłu ogrodniczego.

Powiemy tu nawiasem, że ta wystawa kwiatów zupełnie jest na miejscu przy wystawie sztuk pięknych. Kwiaty bowiem, jakie tu widzimy i podziwiamy, są w wielkiej części dziełem woli i ręki człowieka. Jakże te stulistne róże daleko odbiegły od prostej różyczki polnej, co swobodnie rośnie sobie na miedzy!—jakże te olbrzymie ranonkuły nie podobne krojem i barwą do skromnych jaskrów, co złocą łąki nasze!—te piramidalne eryki, tak bogatym przeciążone kwiatem, jak mało przypominają nasz wrzos leśny, z którego wzięły przecież początek!

W postępie uprawy kwiatów i sztuk pięknych wielka jednak zachodzi różnica. Kiedy dziś artyści nowej szkoły usiłują sprowadzić sztukę do realizmu, ogrodnicy tymczasem silą się na ujęcie kwiatów w klasyczne formy, tworząc w myśli ideał, nie istniejący w ziemskiej rzeczywistości. Celem ich poprawiać naturę, jak to czynili Mignard, Lebrun i inni artyści dwóch ostatnich wieków.

Lękamy się, aby miłość kwiatów i ogrodnictwa nie odprowadziła nas zbyt daleko od głównego przedmiotu; powrócmy więc do rzeźby.

Widzimy oto sześćset ośmdziesiąt wystawionych przedmiotów, z tych blisko pięćdziesiąt wykonanych ręką niewieścią. Znać, że dłuto nie więcej nad pędzel, ciąży dłoni pracowitych Francuzek.

Rzeźba w ogólności mniej niż malarstwo, daleko mniej niż literatura weszła na drogę nowoczesnego romantyzmu. Przypisać to temu, że kiedy w literaturze Wiktor Hugo podjął śmiało nową chorągiew, kiedy w malarstwie Delacroix otrząsnął się z form przestarzałych i ukazał nieznaną dotąd szlaki, w rzeźbie tymczasem najpierwszy nawet z mistrzów nowoczesnych Dawid z Angers przeczuwał zaledwie przedświt nowego porządku. Dotąd jeszcze rzeźbiarstwo oczekuje na genialnego reformatora, który utworzy nową szkołę, odpowiednią dzisiejszym pojęciom. Kiedy, i w jaki sposób taki przewrót objawi się w rzeźbiarstwie, trudno jeszcze przewidzieć, to jednak pewna, że sztuczne wysilenia nie dokonają tego, co twórczy geniusz spełnić jedynie zdoła.

Na dzisiejszej wystawie, najpiękniejszym dziełem jest *Oryon* przysłany z Rzymu przez p. Hiolle. Sąd przysięgłych przyznał mu medal honorowy, najwyższą nagrodę. Piękny w rzeczy samej ten *Oryon*, unoszony wśród fal na grzbiecie delfina. Linie cudnie zaokrąglone, zlewają się w harmonijną całość; anatomia wyborna, modelowanie miękkie. Na czole poety, w pół otwartych ustach widoczny zachwyty. Upojony dźwiękiem własnej pieśni, sam nie wie gdzie jest, płynie na potworze spokojnie jak na łodzi. *Oryon* ten, lubo doskonałością formy przypomina arcydzieła mistrzów greckich, nie jest przecież utworem czysto szkolarskim. Technienie romantyzmu powiewa z tego zadumanego czoła; życie wytryska z tych muszkułów, oddanych śmiałym dłutem.

Z bardzo wielu religijnych rzeźb, przeznaczonych do ozdoby nowych kościołów, tak w Paryżu jak i po innych miastach, odznacza się znakomitą wykonaniem *Św. Sebastyan*, wielka figura

z gipsu p. Gautherin, nagrodzona medalem, oraz *Matka Boska Bolesna* p. Carpeaux dyrektora akademii sztuk pięknych w Paryżu. Zwrócił niemniej uwagę naszą *Chrystus w grobie* p. Vasselet, podobieństwem postawy z pięknym utworem Sosnowskiego, znanym dobrze wszystkim Warszawianom. Nagrodzone też słusznie medalami dwa posągi z tematu biblijnego: *Izmael na puszczy*, małe pachole trawione głodem i pragnieniem, p. Bequet, i *Ewa po spełnionym grzechu* smętna i zawstydzona, dłuta p. Delaplanche.

Słynny rzeźbiarz Aimè Millet, przedstawił w odlewie gipsowym część kolosalnej *grupy Apollina*, zdobiący fronton nowej opery. Grupa cała już dziś odsłonięta na wykończonym gmachu, należy do najpiękniejszych rzeźb monumentalnych, jakimi dziś Paryż ma prawo się pochlubić.

Uderza także oko ogromem i majestatyczną postawą, kolosalna statua spiżowa, wyobrażająca *Rzeczpospolitą Peru*. Jest to część monumentu, który miasto Lima wznosi na uczczenie zwycięstwa w r. 1866. Wykonanie powierzono p. Cugnot.

Środek ogrodu zajmują dwa kolosalne posągi konne, oddane z wielką siłą i z wielkim życiem. Jeden p. Fremiet, przedstawia *Ludwika z Orleanu*, rycerza wieku XV, założyciela zamku Pierrefond koło Compiègne. Posąg ma zdobić podwórzec tegoż zamku, odnowionego przez cesarza Napoleona. Drugi wyobraża *Wercingetoryza*, powołującego Gallów do obrony przeciw kohortom rzymskim.

Wspomnienia galskie, jak mówiliśmy, bardzo dziś drogie Francuzom. Liczne posągi odżywiają pamięć tych zapomnianych długo praojców. Wymienimy z nich dwa; nagrodzone medalami: jeden p. Delhome wyobraża *Rannego Galla*; drugi p. Baujault *Zbrojnego rycerza galskiego*.

Z utworów rodzajowych zaszczycony medalem posąg *Drzemiącej kobiety* (*Somnolence*) p. Leroux, jak niemniej posąg *Haftarki* siedzącej w krześle i pilnie zajętej robotą. Obadwa utwory bardzo piękne.

Sławny *Chłopiec z kogutem w ręku* p. Falguières przyciąga tłumy widzów. Ten znakomity utwór po trzeci raz występuje na wystawie; pierwszy raz w odlewie gipsowym, powtóre spiżowym, nakoniec wykuty z marmuru. Francya w p. Falguières, najzdolniejszym z uczniów szkoły rzymskiej, przeczuwa pierwszorzędną gwiazdę na widnokręgu sztuki.

Z pomiędzy licznego grona kobiet rzeźbiarek, wiele jest bardzo zdolnych. Wspomnimy tylko jedną z nich księżną Colonna de Castellone, szwajcarce z rodu. Ta trzydziestoletnia dziś kobieta, owdowiawszy w kilka miesięcy po zamążpójściu, oddała się z zapałem sztuce rzeźbiarskiej. Od r. 1863 przysyła z Rzymu na każdą niemal wystawę paryżką znakomite utwory, pod pseudonimem *Marcello*. Podziwiano już w zeszytych latach jéj *Biankę Capello* i *Gorgonę*. W tym roku przysłała bardzo piękne popiersie *Wodza Abissynskiego* z marmuru i bronzu, i posąg *Wyroczeni* (bronz)

antique). Ten ostatni utwór oddany z niepospolitym talentem, w sposób śmiały i oryginalny, porównywią do Salomé Regnault'a, o której mówiliśmy powyżej. Obecnie księżna Colonna pracuje nad kolosalnym pomnikiem Wilb. Tella dla miasta Altorf w Szwajcaryi.

Zwróciły też uwagę naszą bardzo piękne popiersia rozmaitych znakomitości w świecie politycznym, naukowym i literackim, wykonane przez pierwszych mistrzów. Z tych wspomnimy biust *Alexandra Walewskiego*, przeznaczony dla historycznej galerji wersalskiej.

Czterech ziomków naszych wzięło udział w wystawie rzeźby: Boryczewski Klemens uczeń Jelskiego wystawił *Popiersie* p. *Glais-Bisoin* członka Izby Prawodawczej, i posązek z gipsu *Fiat Lux!*

Gujski Marcelli uczeń Zaleskiego, dał biust kobiety.

Kamiński Stanisław uczeń akademii florenckiej, wystąpił również z biustem.

Święcki Wojciech uczeń warszawskiej Szkoły sztuk pięknych, wykonał w medalionie rzekę Wilgę, w postaci kobiety, jak się rzuca w objęcia miłego oblubieńca Niemna.

Na tém kończymy pobieżne sprawozdanie nasze. Mielśmy głównie na celu obznajmć czytelników Biblioteki z imionami i utworami dzisiejszych koryfuszów pędzla i dłuta. W inném miejscu wspomnimy jeszcze o rysownikach i architektach, którzy dali się chlubnie poznać na tegorocznej wystawie paryzkiej.

S. z Ż. D.



KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Wydanie pomnikowe płaskorzeźb kolumny Trajana, z objaśnieniami p. Wilhelma Fröhner, konserwatora pomników w muzeum Luwru. — Ostateczne pytania, położone przez organizatorów kongresu jeograficzno-etnograficznego i statystycznego w Antwerpii. — Konkluzya dzieła p. Quatrefages, co do Darwinizmu i Transformizmu. — Młodość Robespiera, dzieło p. Paris, uwieńczone przez akademię w Douai. — Stan literatury hiszpańskiej w Hiszpanii i w Ameryce Południowej. Błędny sąd publicystów francuzkich w tytu przedmiocie. — Pamiętniki Berliosa. — Kilka słów dopełniających zdanie sprawy z Wystawy Sztuk Pięknych w Paryżu. — Konferencya p. Feyrret: Charakterystyka osób zwiedzających wystawę. — Szyller: sprawa o plagiat. Prelekcya Max Müllera. — Uroczystość odkrycia pomnika dla Ponsarda w Vienne.

Z wielkich współczesnych, że tak powiemy, pomnikowych publikacyj francuzkich, na największą uwagę zasługuje dzieło, wychodzące arkuszowemi zeszytami pod nazwą: *Kolumna Trajana* (*La Colonne de Trajan*). Czekaliśmy z uwiadomieniem o tój publikacyi do czasu, aż będziemy mieć przed oczyma choć kilka początkowych jój zeszytów. Obejrzawszy je, możemy śmiało powiedzieć, że to jest znakomity bardzo przyczynek i do naszych dziejów ojczystych. Któż u nas nie wie, że szczegóły przedstawione na sławnej kolumnie Trajana, są częścią naszą własną historji; mają bowiem na celu wojny cesarza Trajana z Dakami i ostatnie ich przerzucenie za Karpaty.

Lelewel widzi w historii Daków historję prawdziwych Słowian; on to u nas upowszechnił wiadomość o kolumnie Trajana, której wzór sam własną ręką odrytował i wydał w dziele: *Narody na ziemiach słowiańskich*. Prace Lelewela w tym wydziale, zgadzają się z poszukiwaniami Augusta Bielowskiego o Lechach Illiryjskich, które ogłosił w dziele *Wstęp krytyczny do dziejów Polski*.

Wiemy, że sytem Bielowskiego ma przeciwników. Świeżo ogłoszona rozprawa w rocznikach krakowskich najlepšíj to udo-

wadnia. Sądzymy jednak, że jeśli można zaprzeczyć temu lub owemu ustępowi pracy Bielowskiego, trudno odmówić wielkiej wartości głównym jego zasadom. Zastęga jego leży w tém, że utworował zupełnie nową drogę do zbadania naszych podań narodowych, że okazał wysoki pogład krytyczny, słowem, że nam dał zakosztować owocu głębszej pracy ducha, pracy, o którą u nas tak trudno. Gdy mowa o tak odległej starożytności, można nie zgadzać się z Bielowskim, należałoby jednak w każdym razie poszanować jego wytrwałość i naukę, szczególnie, kiedy się ocenia dzieło w lat dwadzieścia po jego wyjściu! Przepomniał znać o tém krytyk krakowski.

Co do nas powiedzielibyśmy tylko, że tak Lelewel jak i Bielowski, zanadto wiele przypisują ważności żywiolowi dackiemu w utworzeniu społeczeństwa polskiego. Czytając ich, możnaby wnosić, że kraje przywiślańskie były puste do czasu zaludnienia ich przez Daków, czyli ogólnie mówiąc Illyrów. Tymczasem nie ulega wątpliwości, że w czasie kwitnienia tego ludu nad Dunajem, kraje zakarpackie, a nawet przydniepzańskie nie były puste ani bezludne; że tu mieszkali także Słowianie, właściwi Lechici, że Illyrowie gdy przeszli za Karpaty, znaleźli tu lud bratni i zleli się z nim ostatecznie w początkach drugiego wieku ery naszój, w skutek wojen Trajana.

Kolumna rzymska znana pod imieniem tego cesarza, przedstawia właśnie emigrację całego ludu. Gdzie emigrowali Dakowie?—za Karpaty. Zresztą można przeczyć słowiańskiemu pochodzeniu Daków, ale temu przeczyć nie można, że massy emigrantów dackich zmieszały się z nadwiślanami i krwią i duchem. Dla nas dowody, jeżeli nie czysto-słowiańskiego rodu, to blizkiego pokrewieństwa Daków ze Słowianami, nie leżą w pojedynczych wyrazach, jakie pokazuje Lelewel, nie leżałyby nawet i w mowie uważanej pod względem materji wyrazów, bo narody zmieniają języki; dla nas dowody owego pokrewieństwa z krwi i z ducha Daków ze Słowianami zakarpackimi, są w tém, że ani podania nasze ludowe, ani świadectwa cudzoziemskie nie zachowały śladu walk, pomiędzy przybyszami a tubylcami w kraju naszym. Przeciwnie mamy dowód łatwego ich zlania się w wspólne wystąpienie przeciw Germanom. Od czasu przybycia Daków, ludy germańskie (Goci i t. p.) zmuszeni są uciekać od ujścia Wisły za Dunaj i tam pod koniec II wieku ery naszój pokazują się jako zbiegi, wołając do Rzymian: „albo chleba albo śmierci!” jak świadczą pisarze rzymscy. Znają oni przyczynę tego napadu Gotów, zapisali bowiem i to, że ludy germańskie cisną się ku granicom Rzymu, bo ich samych naciskają „*barbarzyńcy północni.*”

Tak jest, pod nazwą barbarzyńców północnych uciskających Germanów, pokazują się Rzymianom ojcowie nasi w II w. t.j. w sześćdziesiąt lat po przerzuceniu Daków za Karpaty. Odtąd, mianowicie od końca II wieku aż do VII, Lechici opanowali kraje między Odrą a Labą, zajęli Bohemię i inne kraje na południe Karpat, nie

jako cisi i pokorni rolnicy, ale jako zdobywcy według wyrażenia J. Szafarzyka. Taki początek historii naszej zawdzięczamy Rzymianom, to jest wojnom Rzymian, które zmusiły Daków do ucieczki poza Karpaty. To nam przypomina kolumna Trajana.

W rysunku Lelewela trudno rozpoznać charakterystykę plemion. Skala teraźniejszej publikacji pozwala na takie badania. Jakoż widoczne rysy Słowian w wielu figurach na kolumnie Trajana, szczególnie na arkuszu ryciny pod Nrem 98.

Publikacja francuzka bardzo kosztowna, wynosi bowiem 600 franków, ale można nabywać dzieło zeszytami. Przytaczamy krótką przemowę wydawców. Z czasem podamy wyciągi i z ciekawszych wyjaśnień dodawanych do rycin. Autorem tych uczonych wyjaśnień jest p. Wilhelm Fröhner konserwator pomników w wydziale starożytności w muzeum Luwru.

„Kolumna Trajana, mówią wydawcy, ten największy pomnik rzeźby starożytnej, dotąd znany jest bardzo niedokładnie. Różne tego powody. Nie łatwo ogarnąć całość i zrozumieć szczegóły długiego szeregu płaskorzeźb, pokrywających powierzchnię sześciuset blisko metrów. Co więc, ryciny, jakie dotąd służyły do badań, tak pełne są błędów, że zaledwie dają pojęcie przedmiotu. Pod względem zaś sztuki, stylu, wykonania, a wreszcie pod względem tysiąca szczegółów dotyczących życia domowego starożytnych, jakie tam znajdujemy, musimy wyznać, że dotychczasowe publikacje nic nas prawie nie nauczyły.

Płaskorzeźby kolumny utworzone były po trzykroć: w wieku XVI przez Gerolamo Muziano (1576), później przez Piotra Santes Bartoli (1672), nakoniec przez Andrzeja Morell (1752). Jedyne rytowniki, zdolne doprowadzić godnie do końca podobne przedsięwzięcie Piranezi, wykonał tylko sam piedestał i zarys ogólnej całości, (1770 roku). Ale dziś wszystkie te publikacje niedostateczne są do gruntownych badań. Sztuka rysowania w duchu starożytnych, nie dawnych sięga czasów. Niegdyś tłumaczono raczej niż kopiowano pomniki, a to do takiego stopnia, że z owych wymiarowanych rycin, trudno nam odgadnąć oryginał. Brak im tej ścisłości matematycznej, tej prawdy, jakiej dziś wymagamy. Mogłaż zresztą reprodukcja być doskonałą, kiedy rytownicy poświęcając rzecz dla formatu, stawiali figury w kierunku poziomym a nie spiralnym, jak są na kolumnie? Musieli więc przemieniać całe grupy. Księga Bartolego, jedyna, jaką cytują zwykle uczeni, nie ma żadnej wartości ani dla sumiennych antykwaryuszów, ani dla prawdziwych artystów. Trzeba ją więc zastąpić wydaniem dokładnym, któreby zadowolniło tak jednych jak i drugich.”

Nową publikację wykonali wydawcy podług wynalazku pana Tessier du Motay. Płaskorzeźby odcisnięte na samejże kolumnie Trajana z rozkazu cesarza Napoleona, i wykonane środkiem galwano-plastycznym, sfotografowane zostały w Luwrze. Klisze przeniesione na miedź, pociągnięte tuszem drukarskim, dają się wybornie odbijać. Skala figur na tablicach zmniejszona tylko do piątej

części wielkości oryginału; tym sposobem można rozpoznać najdrobniejsze szczegóły.

Publikacya cała utworzy pięć wielkich tomów in folio; w tych mieścić się będzie do pięćdziesięciu arkuszy tekstu, poświęconego badaniom historycznym.

Świat naukowy paryzki zajęty w téj chwili kongresami. Jak wiadomo, te zebrania uczonych mają się odbywać po różnych stronach Europy i to w rozmaitych gałęziach wiedzy ludzkiej. Sądzimy że kongresa boloński i antwerpski będą miały najwięcej rozgłosu. Boloński ma na celu badanie nad formacją ziemi i najpierwszemi jéj mieszkańcami, gdy tymczasem antwerpski jakkolwiek dotknie i tych przedmiotów, za główne postawił sobie zadanie, rozstrzygnięcie pytań współczesnych, tak w oddziale jeografii i etnografii, jak i w kosmografii, handlu i statystyki.

Mamy właśnie przed sobą ostateczny programat, postawiony przez organizatorów kongresu. Obejmuje on do stu pytań. Oprócz tego jednak, członkowie, którzy zapiszą się na kongres, z przesyłką 10 franków na buletyn, mają prawo zadawać własne pytania, nie stawiając się nawet osobiście, a przyjęcie lub odrzucenie pytań ma rozstrzygać biuro centralne, które się zorganizuje na pierwszym posiedzeniu. W skład tego buira, oprócz osób wybranych w imieniu saméj nauki, wchodzić będą reprezentanci każdéj narodowości. Jestto gwarancya moralna co do przeprowadzenia rzeczy na kongresie.

Oto niektóre pytania ostatniego programatu:

Jakie są najlepsze środki uuczania jeografii w szkolnych zakładach, tak elementarnych jak i wyższych?

Czy obojętność niektórych ludów do handlu z krajami odległymi, pochodzi jedynie z braku wiadomości jeograficznych?

Czyby kongres nie powinien ustalić jednéj pisowni imion własnych tak na mappach, jak i w książkach poświęconych jeografii?

Jakie są prawa naturalne, ekonomiczne i historyczne, przewodniczące tworzeniu się i rozrzuconiu jeograficznemu miast? Co spowodowało ich wzrost i upadek? Wskazać starożytne i nowożytne miasta, wykazujące działalność tychże praw.

Czy nie należałoby porozumieć się co do przyjęcia jednego głównego południka?

Czy można otrzymać dokładny opis ruchu wód w wielkich rzekach?

Jakim sposobem przyjść do utworzenia jednego centrum, któreby łączyło wszystkie wiadomości, dotyczące jeografii, starając się o ich wyjaśnienie krytyczne i o ich publikacyą?

Czyby rządy nie zgodziły się na ustalenie budżetu europejskiego, w celu wspierania podróży eksploracyjnych?

Oznaczyć wpływ pary, telegrafu elektrycznego i ważnych postępów w budowlach marynarskich, na stosunki uarodu z narodem.

Jakim sposobem przyjść do jednego prawodawstwa bandlowego i marynarskiego?

Czy nie możnaby porozumieć się co do przyjęcia wspólnych miar i wag, i jednej monety?

Czy wypada starać się o ustalenie jednego języka w stosunkach międzynarodowych?

Jak dojść do powszechnej statystyki?

Czy księżyc wpływa na stan meteorologiczny globu?

Jak zebrać materiały, któreby służyły do oznaczenia na kartach, średniej długości życia ludzkiego w różnych miejscowościach, jak nie mniej różnicy liczebnej ludności na rozmaitych przestrzeniach kuli ziemskiej, z ocenieniem wydatków potrzebnych na życie?

Jak oznaczyć postęp głównych języków europejskich, w ich dążnościach do zastąpienia innych, używanych przez tubylców, tak w Europie jak w Azji?

Czy można ocenić stopnie wyższości i niższości pomiędzy plemionami ludzkimi?

Jaki jest dziś podział jeograficzny plemion ludzkich, i jakie dążności niektórych ras do zastąpienia innych?

Opuszczamy pozostałe pytania. Chcieliśmy tylko przytoczeniem niektórych pokazać ważność pierwszego kongresu międzynarodowego, który ma na celu jeografię, kosmografię, etnografię i statystykę.

Uprzedzając rozprawy kongresu Bolońskiego, p. Quatrefages wydał dzieło: *Darwin i jego poprzednicy francuzcy. Badania nad transformizmem*. Jest to zbiór artykułów drukowanych w *Prze-głądzie dwóch światów*, dopełniony nowemi, bardzo ważnemi spostrzeżeniami autora. Dzieło to, jak mówiliśmy dawniej, zapowiedziane w Towarzystwie Antropologiczném, niecierpliwie było oczekiwane. Ciekawém jest ostatnie słowo znakomitego profesora antropologii, w przedmiocie tak żywo dziś obchodzącym naukę. P. Quatrefages nie weźmie osobiście udziału w kongresie Bolońskim, jedzie bowiem do Antwerpii; głos jego przecież będzie tam słyszany i roztrząsany.

Podajemy w skróceniu ostatni ustęp charakteryzujący początek sporu i rozmaite jego przejścia.

„Rozbierając teorye transformizmu, mówi autor, musimy powiedzieć, w jaki sposób zastosowywano je do historyi naszego rodu.

„Tym którzy przyjmują nagłe przemiany, łatwo bardzo wytłumaczyć zjawienie się człowieka wśród innych żyjących istot.

Ale sama łatwość rozwiązania podobnego problemu, nakazuje mieć się na baczności. We wszystkich doktrynach, odnoszących się do tej zasady, transformacja może wydawać nagle istoty odmienne od tych, z których się rodzą, a to tak dalece odmienne, że tworzą nawet osobne klasy. W zastosowaniu do człowieka, ta zasada przypuszcza pochodzenie jego bądź od zwierząt ssących, bądź od ptaka, gadu, albo ryby.

„Nie wchodząc w dalsze rozumowania, powiem tylko, że ktokolwiek szuka ścisłości naukowej, musi odrzucić tak wątpliwą hipotezę.

„Teorie wychodzące z powolnej transformacji, przedstawiają niejaka stronę korzystną obok wielu niedostatków. Kto przyjął ich zasadę, wytłumaczy tak samo istnienie człowieka, jak istnienie każdego rodzaju zwierzęcia lub rośliny. Lamarcq opierając się na potędze nawyknienia i na przypadkowych zboczeniach, mógł bardzo loicznie wyprowadzić rodzaj ludzki od małpy antropomorfy. Biorąc szympansa jako najdoskonalszy typ w swoim rodzaju, ukazuje go niższym od człowieka pod względem budowy ciała i stopnia inteligencji; a potem zapytuje coby było, gdyby rasa wyrodzona z tego pnia utraciła nałóg wspinania się na drzewo? Nie ma wątpliwości, odpowiada, że, potomkowie po kilku generacjach musieliby zamienić się w dwuręcznych. Chęć oglądania szerszego widnokągu, nadałaby im postawę stojącą. Zęby ich nie używane już jako kleszcze do czepiania się gałęzi, ani też jako broń odporna zeszyłyby do rozmiaru naszych zębów. Lamarcq nie mówi wprawdzie, o ile nowe nawyknienia wydoskonaliłyby mózg tych przetworzonych szympanсів, a tém samém nadałyby im niezaprzeczone panowanie nad innymi. Przypuszcza tylko tę wyższość, a zarazem wykazuje rozwój stopniowy tych małp pół-ludzi, które doskonaląc się coraz bardziej, miały niby przerodzić się w człowieka.

Lamarcq więc czyni małpę naszym protoplastą. Mniemanie powszechne przyznaje taką opinię i Darwinowi. Tymczasem uczony angielski nie powiedział nigdy nic podobnego. Co więcej, taki sposób pojmowania rzeczy, przeciwnym jest jego doktrynie. Darwin wyprowadza rodzaj ludzki z ogniska życia powszechnego; lecz daje człowiekowi osobne całkiem miejsce, nie mieszając go z małpą.

„Oddawna już Vicq d'Azyr, Lawrence, Desmoulins, Serres a po nich Duvernois, Owen, Huxley, Gratiolet i Alix udowodnili nadzwyczajne podobieństwo materiałów anatomicznych w człowieku i małpie; z ogółu przecież tych badań wykazuje się coraz bardziej różnica celów zrealizowanych temi materyałami. W ciele człowieka i małpy, porównywając kość z kością, muszkuł z muszkułem, nerw z nerwem, rozpoznajemy też same żywioły. Lecz harmonijna całość ich tak urządzona, że usposabia człowieka do chodzenia po ziemi, małpę zaś do wspinania się na drzewa. Goryl i szympan, te antropomorfy, o których tyle mówiono, wyższe są

niewątpliwie od swych braci cynocefalów; jakkolwiek jednak wydoskonalone pod pewnymi względami, nie zmieniły typu zasadniczego, i nie mogą w ewolucyi Darwińskiej być poprzednikami istot chodzących. Przypuściwszy, żeby kiedyś nawet dorównały ludziom w inteligencji, nie mogłyby chodzić tak jak oni.

„Wykazałem oddawna, że doktryna Darwina loicznie zastosowana do typu ludzkiego, prowadzi co najwięcej do uważania człowieka i antropomorfę, za ostateczne krańce dwóch osobnych gałęzi. Do téjże konkluzyi przyszli poważniejsi Darwiniści, którzy w pierwszej chwili gotowi byli przypuścić pochodzenie człowieka od małpy.

„Zdaje się, że Filipi przyjmował zrazu taki początek; w końcu jednak przyszedł do innych wniosków. Karol Vogt w prelekcjach swoich o człowieku, skłaniał się niemniej do hipotezy małpiego początku, lecz i on niemniej powrócił do wyobrażeń wprost przeciwnych. W rozprawie nadzwyczaj ważnej, uwieńczonej przez Towarzystwo antropologiczne, objawia wyraźnie myśl swoją. „Możemy znaleźć, mówi on, formy pośrednie pomiędzy małpami dzisiejszemi, to nam przecież nie da odpowiedzi na pytanie, jakie nam kładzie geneza rodu ludzkiego.. Możemy znaleźć typy kopalne, więcej zbliżone do człowieka, niżeli do naszych małp antropomorfów, takim np. jest dygoptek opisany i odrysowany przez pana Lartet. Nie idzie za tem, abyśmy tu widzieli ogniwo historyczne formacyi człowieka”.

„Vogt znajduje wprawdzie w mózgach małej objętości, dotkniętych *mikrocefalią* powtórzenie się przez *atlawizm* dawnego kierunku, który mógł być normalnym u pewnej części naszych odwiecznych przodków; tym sposobem zastosowyywa do naszego rodzaju jedną z tych licznych hipotez, do których stworzył pole Darwin, a które ja opuściłem, ponieważ nie sięgają do gruntu samejże doktryny. Widoczna jednak, że odnosząc początek człowieka po za czas pojawienia się małpy, uznając iż nie odkryto żadnego ogniwa, któreby łączyło ten punkt wyjścia nieokreślony z dzisiejszym stanem, sławny professor genewski stawia doktrynę swoją na stanowisku domysłów, nie podlegających rozumowaniu.

„Ani Lubbock, ani téż Wallas, owi najzagorzalsi darwiniści, nie śmieli nawet wspomnieć o téj istocie tajemniczej, której prawnuki miały się stać ludźmi. Żaden z nich nie mówi o małpie. Sam Huxley, którego okoliczności i szlachetne pobudki pociągnęły dalej, niż sięgał myślą, oświadcza dwukrotnie, że między człowiekiem a małpą jest przepaść niepodobna do zapełnienia.

„Słowem, ci wszyscy prawdziwi uczeni zrozumieli dobrze, nawet w pośród żarliwej polemiki, jaką niektórzy z nich prowadzili, że pochodzenie człowieka od małpy, niemożliwe pod żadnym względem (inacceptable), przeciwném jest szczególnież teoryi Darwina.

„Zkądże powstała opinia powszechna, podług której Darwin widzi w człowieku wnuka małpy? Jakim sposobem ludzie

oświeceni, a nawet niektórzy z uczonych czynią hipotezę, zupełnie przeciwną Darwinowi, którego przecież uznają mistrzem swoim? Odpowiedź na to łatwa. Bo i tu zapasnicy dogmatyzmu i antidogmatyzmu wzięli za pozór do walki pytanie czysto naukowe, i wystąpili na polu niedokładnie im znanem.

„Kłótnia zaczęła się na posiedzeniu Towarzystwa Brytańskiego w Oxfordzie. Lord biskup tego miasta wystąpił ostro przeciwko ideom Darwina. On pierwszy powiedział, że teoria selekcji naturalnej doprowadza do wniosku, że jesteśmy potomkami jakiejś dzisiejszej małpy. Żart sarkastyczny lorda biskupa, obraził Huxleya. Ten osobisty przyjaciel Darwina, występując w jego obronie, podjął rękawicę nierozważnie rzuconą. „Gdybym miał wybierać, rzekł—wolałbym być synem pokornej małpy, niż człowieka, który nauki wymowy używa na wyszydzenie tych, co zużyli życie w poszukiwaniu prawdy.” Później Vogt poszedł dalej jeszcze, oświadczając, że lepiej być wydoskanaloną małpą, niż upadłym Adamem.

„Nic dziwnego, że wielu źle zrozumiało pytanie postawione od razu w taki sposób, i że czuło się w obowiązku potępić Darwina, lub też przyklasnąć mu napamięć. Jedni bronili na tém polu swych wierzeń religijnych, drudzy bronili filozofii. Rzeczywiście zaś uczony angielski nie dotykał nigdy pytania co do początku człowieka. Zaledwie że w jego pismach znajdujemy dwie lub trzy pobieżne alluzye, rzucone mimochodem, co do możliwości zastosowania teoryj ogólnych, do tego szczegółowego problemu.

„Jeżeli kiedykolwiek Darwin zechce wyjść z ogólników i podejmie z bliska ten przedmiot, możemy liczyć na pracę ciekawą, dowodzącą rozległej nauki i przenikliwego umysłu. Ale możemy niemniej być pewni, że i sam mistrz upadnie, jak upadli uczniowie jego, że tak u Darwina jak u Vogta i z tychże samych powodów, całe rozumowanie czém innem być nie może, jak prostą hipotezą.”

Pod tytułem *Młodość Robespiera*, pan Parys adwokat wydał dzieło, które zwróciło uwagę nie tylko Akademii miejscowej, ale i historyków, jak niemniej ogółu czytelników francuzkich. W małym zakresie poruszył on do żywego najdrażliwsze zagadnienia, tyżące się początku wielkiej rewolucyi. Dzieło jego należy do tych, które mają na celu bronić śmiało imienia narodowego. Z godną poszanowania odwagą powstaje autor przeciwko całej szkole, która usiłuje przeistoczyć pojęcia o moralności, podnosząc do apoteozy najokropniejsze zbrocenia wielkiego przewrotu. Imię Robespiera jest po dziś dzień sztandarem owęj szkoły. Jój zwolennicy przedstawiają go jako męczennika, nakazują czcić go jako bożyszcze. Pan Parys oddał wielką przysługę narodowi swemu, wykazując tak zgubne dążenia, które niestety wkradają się już i do książek, przeznaczonych dla szkolnej młodzieży.

Opuszczamy stronę moralną dzieła, odpowiadającą potrzebom miejscowym, a zatrzymamy się jedynie na niektórych szczegółach, dotyczących młodości sławnego promotora terroryzmu.

Autor rozpatruje życie Robespiera od kolebki, mówi o jego rodzinie, która lubo niezamożna, szczyła się jednak szlacheckim pochodzeniem i używała herbów. Z Artois podąży do Paryża z jedenastoletnim Maksymilianem, który znalazł pomieszczenie bezpłatne w kolegium *Louis le Grand*; następnie ukazuje go w szkołach wyższych, później jeszcze u krtek sądowych w Artois, i tak doprowadza go do czasu pamiętnych wyborów 1789 roku. Na tém autor kończy historią młodości Robespiera.

Posłuchajmy, co mówi o wstąpieniu chłopca do kolegium:

„Dziwneż to przeznaczenie! drogo stare społeczeństwo nasze przypłacić miało swoje dobrodziejstwa. Przed rokiem siostra Robespiera otrzymała bezpłatne miejsce w zakładzie powstałym z dobroczynnych fundusów. Teraz młody Maxymilian zapewnio-
nie ma wychowanie, dzięki opactwu St. Vaast!

„Wiadomo, jak pożytecznie to zamożne opactwo, póki nie było oddane na łup prałatów dworskich, rozporządzało ogromnemi swemi dochodami. Mikołaj Codrelier opat regularny, ufundował w Paryżu roku 1308 bursę, zwaną *kollegium Arras*. Najzdolniejsi uczniowie z tego miasta, pomieszczeni w owój bursie, pobierali nauki w uniwersytecie Sorbońskim, tém ognisku światła we Francyi. W ośmnastym wieku bursa poczęła upadać; wtedy utworzono z jój fundusów ośm stypendyów przyłączonych do kolegium *Louis le Grand*. Czterema z nich rozporządzał opat St. Vaast.

Niezamożna rodzina Robespierów czyniła usilne zabiegi o otrzymanie takiego stypendyum dla Maxymiliana. Jego ciotki korzystając ze znajomości z kanonikiem katedralnym, polecily chłopca opatowi *Dom Briois d'Hulluch*. Zabiegi ich uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem. Z początkiem roku szkolnego 1769—1770, Maxymilian otrzymał stypendyum, i wszedł na ucznia do kolegium *Louis le Grand*.

Młody Robespier uczył się pilnie, postępowanie jego przecieź zasługiwało częstokroć na nagane. Nauka rozwijała w nim wrodzone zdolności, lecz wychowanie nie zdołało rozwinąć w jego sercu zasad moralnych, bez których rozum im wyżej ukształcony, tém niebezpieczniejszém stać się może narzędziem.

Autor przytacza ciekawy a nieznanzy szczegół z czasów szkolnych siedemnastoletniego młodzieńca.

Ludwik XVI koronowany, był w Reims 11 lipca 1775 roku. Po odbytych obrzędzie wraz z królową Maryą Antoniną i księżętami krwi odbywał uroczysty wjazd do stolicy. Uniwersytet paryzki zebrał się w całym składzie w gmachu kolegium *Louis le Grand*, aby oddać cześć młodemu monarsze w przejeździe z kościoła katedralnego do kościoła św. Genowefy. Z pomiędzy kilku tysięcy uczniów paryzkich, jednemu przypadł zaszczyt przemó-

wienia do królewskiej pary. Uniwersytet przeznaczył na to młodego Maxymiliana Robespiera. Kiedy pierwsi dygnitarze ciała naukowego ukończyli swoje mowy, wybrany młodzian podał królowi i królowej w imieniu współuczniów wiersze łacińskie, napisane przez siebie stosownie do okoliczności.

„Byłem obecny temu widowisku—mówi ksiądz Proyard, na którego ręce biskup i kanonicy z Arras przysyłałi corocznie dobroczynny datek Robespierrowi. Kazałem go ubrać aby się przyzwoicie przedstawił. Widzę jeszcze, jak młody król i młodziuchna królowa spoglądali z tkliwém współczuciem na gadzinę pełzającą u ich stóp.”

I któżby wtedy pomyślał, że ten wybrany młodzieniec, który opiewa chwałę królewskiej pary, który im wróży długie a szczęśliwe lata panowania, stanie się kiedyś głównym sprawcą ich zguby!

Skończywszy nauki w kolegium, Robespierre przechodził czteroletni kurs prawa w uniwersytecie, zawsze jako stypendzysta St. Vaast. Otrzymał wreszcie licencyat w roku 1781, poczem został przyjęty jako adwokat przy parlamencie paryzkim. W końcu tegoż roku powrócił do Arras, i tu postanowił pracować w zawodzie prawnika.

Odtąd nie opuścił rodzinnego miasta aż do chwili, kiedy jako reprezentant stanu trzeciego, udał się do Paryża na słynne Zgromadzenie Narodowe 1789 roku.

Autor bada pilnie życie Robespiera na prowincyi. Nie wiele czasu młody adwokat przepędza u krtek sądowych. Píše obszernie rozprawy: jedną z nich szczególniej opracowaną poświęca zbijaniu panujących przesądów. Za tę otrzymuje nagrodę akademii z Metz. Drukuje potem pochwałę Karola Dupaty, generalnego adwokata, który popadł w niełaskę dworu, a następnie mianowany był prezydentem Izby przez Ludwika XVIgo. „Miłość dobra powszechnego, mówi Robespierre, nauczyła króla, jak uczy wszystkich monarchów sprawiedliwych, wielkiej sztuki pomieszczenia każdego na odpowiedniém miejscu.”

Mimo powyższego argumentu, już w téj rozprawie, wyraźniej niż w dawniejszych pismach, daje Robespierre poznać właściwy kierunek umysłu swego. Dotąd podnosił aż do liryzmu tron, religię, moralność, wystawiał wszelkie cnoty. Tu już idea rewolucyjna porywa go i wyłącznie panuje nad nim. Upojony pychą, oburza się na uciążliwy i upokarzający obowiązek wdzięczności.

Robespierre pisywał także wiersze, jako członek Towarzystwa *Rosati*. Było to stowarzyszenie nowych Epikurejczyków. Na zebraniach członkowie śpiewali pieśni własnego utworu. Wiersze Robespiera nie odznaczały się wcale poetycznym talentem.

Akademia w Arras, przez wzgląd na dokonane prace, przyjęła do grona swego, młodego adwokata.

Równie u krtek sądowych, jak na akademickich zebraniach, w dziennikarskiej polemice, jak i w poważniejszych rozprawach,

Robespierre okazuje coraz wydatniej nowy charakter, w jakim ma wkrótce wystąpić na widownię. W codziennęj walce ostrzy niejako oręż i zaprawia siły do przyszłych a groźnych zapasów. Szranki otworzą się niebawem, wnet godzina uderzy! Słowo jego ożywia się, zaprawia jadem; uczucia przychodzą do coraz wyższej egzaltacji. Uniesiony pychą, dopatruje cel, do którego ma dążyć. Nakoniec zdziera maskę, otrząsa się z obłudy, pisze namiętną rozprawę, miota potwarze, rozjątrza umysły, podżega nienawiści. Wykazuje wszędzie spiski knute przeciwko ludowi, mieni się jedynym obrońcą uciśnionych; słowem, zapuszcza niewód w odmet zburzonych sumień ludzkich i w tryumfie zdobywa kandydaturę!

W kwietniu 1789 roku Robespierre wychodzi zwycięzko z walki. Mianowano go jednym z pięciu deputowanych miasta. W kilka dni potem na uczcie wyborczej śmiało podnosi sztandar rewolucyjny; zwraca na siebie oczy wszystkich. Tu już pokazuje się, czém będzie dla Francyi!

Na tém kończy autor historiją młodości Robespierriera. Dzieło to zajmującym jest z wielu względów. Opisując młode lata przyszłego trybuna; biograf dotyka historii politycznej, administracyjnej i sądowej prowincyi Artois, która chlubiła się od wieków swobodami miejscowemi i pilnie przestrzegala swych przywilejów.

W końcu dzieła pan Parys wlepia wzrok w krwawą postać Robespierriera, uosabiającą wielki okres rewolucyi, i w kilku rzutach pióra kreśli przerażający obraz człowieka, którego odmalował dzieckiem i młodzianem.

„Takito ideał, mówi autor, Robespierre ukazywać się będzie w ciągu pięcioletniego zawodu: na zgromadzeniu prawodawczém (constituante), w klubie Jakobinów w Konwencji, w Komitecie Bezpieczeństwa publicznego; wszędzie i zawsze będzie on niwelatorem. Tak w Paryżu, jak dawniej w Arras, surowy w obyczajach, nie przedajny, gorliwy pracownik, niezmordowany mówca, odda na posługę rewolucyi umysł ciasny w poglądach, loikę raczej pozorą niż rzeczywistą, charakter silny, nieugiętą wolę. Służyć niższemu warstwowi społeczeństwa, znaczny podług niego toż samo, co obalić wszelką wyższość. Ponieważ zaprzysiągł bogatemu nieprzebraną nienawiść, wyobraził sobie, że kocha ubogiego. Jeżeli w spełnieniu filantropijnego programu napotka przeciwników, usunie wszystkich z drogi, posyłając ich pod gilotynę. Tym sposobem, nie tylko że uczyni zadosyć własnej pysze i mściwej zawiści, ale jeszcze zaspokoi bojaźń dręczącą go bezustannie. Pełen podejrzliwej nieufności, obwiniać będzie przeciwników trybuny o spisek i zamach stanu. Zadaniem jego życia podejrywać, oskarżać, podpisywać krwawe wyroki. Odmawiając obwinionemu królowi wszelkiej sprawiedliwości, pokonanym Zyrondytom wszelkiego miłosierdzia, Dantonowi i Desmoulinowi przyjaciółom własnym, wszelkiej litości, postawi Terroryzm jako systemat rządu, a upokorzona Francya zmuszoną będzie znosić despotyzm tego krwi

chciwego retora, aż do dnia, kiedy przebierze się miara zbrodni, kiedy wspólnicy Robespiera w obawie, aby nie stać się jego łupem, sami wyłączą go z pod prawa. „Historia 9 thermidora nie długa, mówi de Maistre: „kilku zbrodniarzy pomordowało kilku innych zbrodniarzy.”

Dzieło p. Paris uwieńczone zostało na konkursie akademickim w Donai.

Niech nam przebaczą nasi czytelnicy śmiały przeskok z Paryża do Hiszpanii, a ztamtąd dalej jeszcze, bo na drugą świata półkulę do ludów Ameryki Południowej. Powodem takiego przeskoku jest artykuł pana Léger drukowany w tych dniach w Przeglądzie Kursów *literackich*.

P. Léger tłumacz pieśni czeskich, autor dziełka o Cyryllim i Metodyuszu, wdał się w sprawozdanie o bieżącej literaturze hiszpańskiej. Wnosząc z dwóch artykułów z *Revista di Espana*, których autorowie ubolewają nad stanem uspienia umysłowego w ojczyźnie swojej, sprawozdawca utyskuje ciężko na upadek literatury w kraju Cerwantesa i Kalderona. Utyskiwanie to, według nas, wcale nie słuszne. Hiszpania pomimo przewrotu społecznego, w jakim żyje od lat kilku, nie przyszła bynajmniej do stanu chorobliwej zastołości, a jeżeli wolno samym Hiszpanom wyrzucać sobie w oczy, że czynią nazbyt mało, czyż wolno obcym chwytać się dorywczo słów pierwszego lepszego patrioty-pessimisty, i budować na nich cały systemat, nie zgłębiwszy rzeczy do gruntu?

Oddawna zajmujemy się z upodobaniem literaturą hiszpańską i oceniamy jej wysoką doniosłość nie tylko w przeszłości, ale i w czasie bieżącym. Obawiamy się, aby u nas nie podzielano zdania sprawozdawcy francuzkiego, co do mniemanego upadku tejże literatury. Zresztą podobna niewiadomość u nas, łatwiejszą byłaby do przebaczenia, niż u Francuzów, tak ściśle połączonych z Hiszpanami. Uprzedzając zatem podobny błąd, rzucimy pobieżnie słów kilka w tym przedmiocie.

Literatura hiszpańska, jeżeli dziś nie przyświeca tak słonecznym blaskiem, jak przyświecała w wieku XVI i XVII, daleką jest przecież od upadku. W każdym jej oddziale błyszczą znakomite imiona: w poezyi Espronceda, Zorrilla, Martinez de la Roza, świeżo zmarły książę de Rivas znany pod pseudonimem Saavedry. W powieściopisarstwie Hiszpania bezwątpienia wyżej dziś stoi od Francyi, jeżeli weźmiemy utwory nie pod liczbę, ale raczej pod wagę. Dość tu wspomnieć Antonio Truebę, pisarza pełnego prostoty, rzetelności, wdzięku i rodzinnej fantazyi; dość wspomnieć Hartzensbuscha, krytyka i poetę, dramaturga, którego powieść: Kochankowie z Terrnel dał nam poznać w przekładzie K. Estrejcher. Któż wreszcie nie wie o znakomitej powieściopisarce Fernan Caballero, któ-

raż pod względem talentu sami Francuzi słusznie porównywiają z Georges Sand, kiedy pod względem dążeń społecznych i moralnych, nieskończoną wyższość przyznać musimy Hiszpance.

Pole historii nie leży tu także odłogiem; zmarły dopiero Cavanillas pozostawił ważne prace nad dziejami ojczyzny swojej, a obszerna historia literatury hiszpańskiej nad którą pracuje obecnie uczony Amedor de los Rios, należy do najznakomitszych publikacyj tego wieku. Autor zaczyna badania swoje od rządów Karola V. Całość obejmuje tomów piętnaście. Pominiemy wiele innych prac; te które nam nasunęły się same pod pióro, świadczą dostatecznie, że literatura hiszpańska nie jest w tak opłakanym stanie jak ją przedstawiają francuzcy publicyści.

„Aby znaleźć jaką ciekawą publikację hiszpańską, dodaje pan L... potrzeba nam przepłynąć ocean i udać się do pisarzy zamorskich, *de ultra mar.* I otóż na dowód, że za morzem piszą i wydają książki, p. L. przytacza z przeglądu angielskiego wzmiankę o dramacie wydanym świeżo w Lima, stolicy Peru. Dramat ten pod tytułem *Ollanta* przełożony został z języka *Quichna*, którym mówią od wieków tubylcy peruwiańscy.

Nie będziemy tu rozbierać owego utworu dramatycznego, w którym pan Leger widzi białego kruka, a któremu tak wielkie przyznaje zalety, że jak mówi, mógłby wywołać oklaski i gdzieś indziej, *nie tylko w Lima!*

Z tych słów: „*nie tylko w Lima*” możnaby wnosić, że Ameryka południowa daleko została za Europą w literaturze i cywilizacji. Mylno to sądzić!—mieszkańcy Ameryki południowej, którzy jak wiadomo wydali tak wielu mężów stanu i słynnych wodzów, wydali nie mniejszą liczbę znakomitych matematyków, historyków, mówców i uczonych, w rozmaitych gałęziach wiedzy ludzkiej. Dość tu przypomnieć świadectwo Humboldta, który tak chlubnie wspomina imiona tamtejszych botaników i badaczy przyrody.

Literatura i poezya szczególnie kwitnie na téj bogatej ziemi, której brzegi, jak mówi poeta Lozano, „bogini morza przystroiła w konchy i korale, opasała wstęgą utkaną z pereł i rubinów; na téj ziemi, ojczyźnie snów i marzeń, nad którą mieszkania zawiesiły w górze wróżki, sylfidy i skrzydlate serafy”.

Wiadomo, że od r. 1810, Ameryka południowa odłączyła się od Hiszpanii. Długo jednak potem trwały wewnętrzne walki. We wszystkich osobnych republikach ścierały się z sobą dwa stronnictwa: Unitaryuszów i Federalistów. Podczas tych zapasów, rzecz dziwna, literatura i poezya przychodziły do coraz wyższego rozkwitu.

W Wenezuela już od r. 1823 zasłynął poeta Bello, po nim wystąpił Lozano: znamy jego pełną zapału odę do Napoleona. Tamże Buratt wyspiewał poemat liryczny, niemniej piękny na cześć Krzysztofa Kolumba. W Argentynie dał się poznać poeta

Marmol, cudnemi *pieśniami pielgrzyma*. Czytaliśmy wyborną jego powieść historyczną „*Amalia*”. Tu odmalował żywo i wiernie wstrząśnienia kraju swego, w których brał czynny udział. Mitre mąż stanu i publicysta, dowódzca wojsk, minister wojny, zasłynął w literaturze jako znakomity historyk i poeta. Ten nowy Tyrtusz, w przepysznój pieśni wyrzuca ziomkom upadek ducha; jest to rodzaj marsylianki Argentyńskiej. W nowój Grenadzie występuje Arboledo około roku 1840. Z utworów jego znamy: *Estoy en la Carcel*, prześliczny poemat liryczny o pięciuset wierszach. Obszerny jego poemat: *Gonzalo de Oyon*, należy do najznakomitszych epopoi dzisiejszych. W Hawannie z pośród grona innych poetów występuje Herredya, uroczy śpiewak liryczny. Pieśń jego do *Niagarry* zapewniła mu sławę. Obok niego na wyspie Kubie pojawia się postać kobieca: donna Avellaneda, poetka pełna wdzięku. W nowój Grenadzie zachwyca inna poetka sennora de Rendon. W Boliwii donna Gorriti daje się chlubnie poznać na polu powieściopisarstwie.

Nakoniec w owym Peru, zkąd jako osobliwość przytacza pan Leger ów dramacik, widzimy wielką postać Olmedy, uczonego poety i krytyka. Jego bohaterski poemat na cześć Boliwara: *La Victoria de Junin*, napisany zaraz po zwycięztwie w roku 1826, żyje dotąd w pamięci wszystkich mieszkańców Peru. Znany tu Olmeda jako tłumacz Horacego, Popego i innych klasyków. Liryczne pieśni pełne niezrównanego wdzięku i prawdziwie poetycznego natchnienia. Godziło się niedopatrzyć takiego słońca w literaturze peruwiańskiej temu, kto dopatrzył maleńką planetkę i to przez lunetę angielską!

I nie sam Olmeda świeci na peruwiańskim widnokręgu. W około tego słońca widzimy całą plejadę poetów. Z pośród tych najjaśnieję błyszczą: Espinoza, Ulloa, Palma, Cassillo, Llona, Marquez, Althaus, Sisneros, Corpancho. Ten ostatni wystąpił chlubnie na polu dramatycznym. Jego *Templaryusz* i *Poeta-krzyżowiec* przyjęte były z niesłychanym poklaskiem w owym Lima, gdzie publiczność wypieszczona uroczym dźwiękiem liry poetycznej, nie tak hojnie szafuje oklaskami. Oprócz dramatów, Corpancho napisał poemat bohaterski na cześć Magellana. Utwory poety wydane były w Paryżu w roku 1852; rzecz tém dziwniejsza, że p. Léger nic nie wie o nich.

Poprzestajemy na tém pobieżnym wspomnieniu; miło nam przy tój sposobności oznajmić czytelnikom naszym, że wkrótce obszernie sprawozdanie o literaturze południowój Ameryki dokonane zdolnym i wytrawnym piórem ukaże się w Bibliotece Warszawskiej.

Aby dać choć słabe wyobrażenie o poezyi Hiszpańsko-Amerykańskiej, przytaczamy w przekładzie dwa krótkie liryczne utwory.

WELON (z Mitre).

Zan zboża w złote wieńczy się kłosa,
 Niebo się stroi w lazur bogaty,
 Brzoza w powiewne stroi się kosy,
 Wieńczy się liśćmi dąb rosochaty.

Mocarz koroną głowę pokrywa,
 W bluszcz zdobi czoło zwycięzca młody,
 Żalotna piękność tryumfu chciwa
 Krasi dyamentem blask swój urody.

Koroną lodów wieńczą się góry,
 Białemi piany fale kipiące,
 Słońce się stroi płaszczem z purpury,
 Perłami rosy trawki na łące.

Lecz znam ja piękną, pełną prostoty,
 Z okiem, uroczą rzęsą przyćmioném;
 Ona odtrąca drogie klejnoty,
 Czoło przejrzystym słoni welonem.

Gdybym był w boju, na włócznią moją
 Wziąłbym ten welon, dumny jój darem:
 Byłby on dla mnie tarczą i zbroją,
 Wróżbą tryumfu, świętym sztandarem.

Gdybym żeglarzem pomknął na morza,
 Welon u masztu zatknąłbym w górze,
 Wzrokbym zatopił śmiało w przestworza;
 Czemże mi gromy, wichry i burze!

Gdybym był wieszczem, lirę mą śpiewną
 Pod cień téj lekkiej skryłbym zasłony;
 Wietrzykby trącił w gazę powiewną
 I z liry złote zbiegłyby tony.

Gdybym wędrowiec stopą zemdloną
 Dobiegł oazy!.. niech mnie otoczy
 Zielona palma liści koroną,
 Jak ją ten rąbek słoni uroczy.

ODA DO NAPOLEONA (z Lozano).

Orle pustyni! twe gniazdo na skale
 Nianczyły wichry przed obliczem słońca;
 Jasny kometo, coś błysnął wspaniale
 Na łonie wieków w przestrzeniach bez końca;

Ty, coś purpurę i blask twój korony
W morza bezdenne pograżył otchłaniem!
Z tronu półbogów Tytanie strącony
Któż twe ostatnie przyjął pożeganie?

Nie piramidy zbudzone jak czarem,
Gdy na nich orle spoczęło twe oko,
Nie wody Nilu, co fal swych pogwarem
Twe sławne imie rozniosły szeroko;
Nie one grody, co wieżyc tysiące
W noc czarną tobie paliły na chwałę;
Któż więc? o nieba!.. moje usta drżące
Ledwie że nazwą... ocean i skałę!

Zadrzał przed tobą świat zdjęty przestraczem,
Stopom olbrzyma za ciasno na ziemi,
Twego pałacu lazuruwym dachem
Widnokrąg gwiazdy potrząśnion jasnemi;
Płaszcz twój królewski z barw zorzy utkany,
Słońca promieniami zdobna twa korona,
A trumną twoją, Tytanie Sekwany!
Świętej Heleny opoka spalona.

Tyżeś mu całun rzuciła z pogardą
Królowo morza, Anglio! hańba tobie!
Gdy zwalczon olbrzym pochylał skroń hardą
I o kęs ziemi błagał cię w złyj dobie,
Tyś na daleką popchnęła go skałę
I wieko czarnej rozwarłaś mu trumny;
Duch jego będzie przez wieki tam całe
Rzucał ci w oczy kłątów straszne pioruny.

Ryk lwa nikiemną przejmował cię trwogą,
Więc w ciasną klatkę zawarłaś go szczelnie,
I sztylet zdrady ostrzyłaś złowrogo,
Aż runął olbrzym ugodzon śmiertelnie.
W nędzném twém sercu drgnęło nowe życie
I pierś wezbrała znów tchnieniem swobody;
Och Albionie! na hańby twój zmycie
Czyż starczą wszystkie oceanu wody?

Francyo! tyś stokroć winniejsza niestety!
On nieśmiertelną otoczył cię chwałą,
Stoisz oparta o białe Alp grzbiety,
Bieżeć mu w pomoc wszak tobie przystało
Po krwi, po trupach w biesiadzie szalonej;
Ty tu bezmyślna płaszasz dnie i nocę,
Gdy żywot jego jak wulkan wytlony
Kona tam smętnie na stromój opoce!

— Księgarnia Lewy ogłosiła pamiętniki sławnego francuzkiego kompozytora i krytyka, Hektora Berlioza. Wspaniała to publikacja z portretem artysty rytowanym na stali. Treść samego dzieła mniej przecież zadawalnia, niż wytworne jego wydanie. Jest to smutna historia osobistych wrażeń artysty. Życie jego całe było pasmem zgryzot i boleści, urojonych zapewne dla świata, bo nie opartych na powodach, które się dadzą wyrozumować, lecz aż nazbyt rzeczywistych dla tego, czyje życie zatruty i strawiły.

W krótkiej przedmowie z daty 24 marca 1848 roku, tłumaczy autor cel dzieła swego i wyjaśnia, co go skłoniło do pisania tych pamiętników. Potrzebował wylać z serca palącą gorycz. Rewolucya lipcowa wypędziła go z Paryża do Londynu. Nie mógł patrzeć na przewrót społeczny, mniemał bowiem, że sztuki piękne przepadną w tym odmgiecie.

Pobyt w Anglii nie ukoił wzburzonego umysłu; gdziekolwiek krok postawił, boleść szła za nim w ślady.

Berlioz nie umiał żyć, nie umiał przebaczać ludziom tych wad i słabostek, z którymi spotykamy się codziennie. Zarozumiałość, pedantyzm, próżność, zawiść i nedoręczność ludzka, doprowadzały go do rozpacz. Był to wulkan wiecznie kipiący lawą. Żył w ciągłych uniesieniach, w ciągłym szarpaniu, jakby mu osy brzęczały wciąż nad uchem. W rozmowie zapalał się bez ustanku. Kogo chwalił, wynosił go po nad gwiazdy, kogo zaś ganił, mieszał go z błotem.

Pomimo że przełamał wszelkie trudności nieodłączne od powołania artysty, że sam o własnych siłach wyrobił sobie zaszczytne stanowisko, nie mógł nigdy zapomnieć trudności, z jakimi się ubijał. Czas nie zabliźnił w sercu jego żadnej rany, nie zatart w pamięci żadnego bolesnego wrażenia.

Opowiada on w pamiętnikach twarde zapory, jakie napotyka krok za krokiem, opowiada, jak walczył, aby przybyć do Paryża, jak walczył z głodem i nędzą, aby pozostać w owém ognisku światła, jak walczył, komponując pierwsze utwory, jak walczył o miejsce u stołu w Bibliotece Konserwatorium, jak walczył, nim otrzymał posadę chórzysty w jednym z podrzędnych teatrów za pięćdziesiąt franków na miesiąc, jak walczył o pierwszy swój koncert, o nagrodę rzymską, o miejsce w orkiestrze opery, o krzesło w instytucie. Walka była jego żywiołem. Niezmordowany szermierz spędził życie w zapasach i skonał na wyłomie.

Z tych wszystkich walk Berlioz wyszedł zwycięzko; ale przetrwane próby, których nigdy zapomnieć nie umiał, zatrzymały mu słodycz tryumfu. Jeżeli walki uwieńczono zwycięstwem tak mu gorzko tkwiły w pamięci, o ileż dotkliwiej czuł te, z których nie zdołał się podźwignąć? Łatwo sobie wyobrazić, co cierpiał, gdy opera jego *Benvenuto Cellini* upadła po pierwszym przedstawieniu, gdy tenże sam los spotkał *Trojan* i *Beatryczkę*. O ile jednak nie-szczęśliwym był w dramacie, o tyle okazywał się mistrzem w sym-

fonii. To też dzień otwarcia wystawy paryżkiej 1 sierpnia 1854 roku prawdziwym był jego tryumfem.

Pamiętniki Berlioza pisane w sposób żywy i zajmujący. Są tam niekiedy i połyski wesołego humoru, gdy opisuje wycieczki swoje do Włoch, a szczególnie do Niemiec, gdzie na dworach książąt dyletantów znajdował wspaniałą gościnność i uznanie.

W Paryżu tymczasem czuł się zawsze jak na torturach, stąpał jak po ciernisku. Wygórowana miłość własna narażała go na tysiączne męczarnie. Gdy zmuszony był wykonać jakąś zmianę w partycyi, obciąć jakiś zbyt długi ustęp, cierpiął jakby mu nogę amputowano. Wkoło siebie widział tylko katów i prześladowców. Prawem odwetu w odcinku Debatów ranił do żywego miłość własną drugich, przez co tym większą ścigał na siebie niechęć.

Co było powodem tej wewnętrznej gorączki, która trawiła życie Berlioza, mimo tylu zaszczytów, jakimi go obsypywano? Słuszną uwagę czyni w tym względzie Achard, sumienny krytyk pamiętników.

„Geniusz, mówi on, jak orzeł uwięziony w ciasnej klatce trzepotał skrzydłami w piersi artysty, z której daremnie wybiedz usiłował. Berlioz czuł go w głębi duszy, cierpiął więc, bo nie miał siły wyrzucić z siebie płomieniem iskry, która go pożerała. Myślą, pojęciem, prześcigał on sam siebie. Widział przed sobą promieniste wyżyny, a nie mógł ich osiągnąć. Tęsknił do ideału, i owa tęsknota stała się prawdziwą chorobą. Dlatego to wśród blasku życia paryżkiego, wyglądał jakby widmo grobowe!”

W ostatnich słowach pamiętników wylał artysta wszystkie jady z głębi zbolełego serca. „Skończyłem, mówi, lat sześćdziesiąt, nie mam już ani nadziei, ani złudzeń, ani rozległych na przyszłość poglądów. Wzgarda, z jaką patrzę na głupstwo i nieuczciwość ludzką, nienawiść, jaką czuję do ludzi za bezecne ich okrucieństwo, dobiegły już do kresu. Co godzina wyzywam śmierć, co chwila wołam na nią: „Chodź, jam już gotów, i czemuż się ociągasz?”

Bolesne to słowa, tém boleśniejsze iż niesłuszne. Bo i z kądże ta nienawiść do społeczeństwa, które umiało uznać zasługi i nagrodzić prace artysty? Berlioz wszystko otrzymał, do czego zdobył prawo. Był przecież kawalerem legii honorowej, bibliotekarzem konserwatorium, członkiem instytutu.

Uczczonym za życia, uczczonym był jeszcze i po śmierci. W rocznicę skonu w d. 22 marca r. b. artyści paryżcy wyprawili na cześć jego wielki festival. Tysiąc dwieście osób brało udział w tym olbrzymim koncercie. Wystąpili w nim pierwsi koryfeusze sztuki muzycznej: Faure, Villaret; panie Carvallo i Nilson. Wykonano najcenniejsze dzieła kompozytora, przeplatane arcydziełami Glücka i Bethowena, których on w szczególny oceniał sposób. Dochód z tego koncertu przeznaczony na grobowy pomnik artysty. Rzecz dziwna, że Berlioz, który tak nienawidził ludzi, jak się z tém sam przechwala, zdobył się jednak na uczucie stałej i prawdziwej przyjaźni. Kochał on gorąco poetę Barbiera, o którego przyjęciu

do akademii, mówiliśmy niedawno. Autor Yambów napisał mu libretto do opery *Benvenuto Cellini*, która nie przypadła do smaku Paryżanom. Obaj przyjaciele zarówno skłóceni ze światem, w pesymistycznym poglądzie na społeczeństwo znaleźli ogniwo jednoczące ich serca i umysły.

W sprawozdaniu z paryżkiej wystawy sztuk pięknych, nie powiedziano o akwarellach, rysunkach i budownictwie. Rzucimy słów kilka w tym przedmiocie.

W akwarellach daje się widzieć rzeczywisty postęp. Zdaje się że prześliczne utwory angielskie, jakie podziwialiśmy na wystawie międzynarodowej, pobudziły Francuzów do współzawodnictwa na tém polu.

P. Vibert, który wykonał obraz Guliwera olejno, trzyma dziś pierwszeństwo między akwarellistami. *Wnętrze kawiarni* i *Serenada hiszpańska*, dwa śliczne obrazki wykonane jego pędzlem, są śmiało rzec można, maleńkimi arcydziełami w swoim rodzaju. Artysta przeszedł w nich może tak zachwalonego Guliwera, któremu zawdzięcza swój medal.

Do znakomitych utworów w tym rodzaju należy niemniej *Trybunał rewolucyjny* p. Belcour. Scena to z r. 1793, schwycona wiernie z życia ówczesnego.

Wiele też widać ładnych pejzażyków wykonanych akwarellą. P. Guinon przedstawił piękne równiny Prowancyi, oświetlone ciepłym promieniem południowego słońca:—p. Porcher malownicze kanały weneckie;—p. Herson południowe brzegi Manszy;—p. Hargigne na tle włoskiego nieba ruiny Castel-Gandolfo.

W pastelach nie znać takiego postępu jak w akwarelli. Tu odznaczają się dwie prace kobiet: piękny portret młodej panienki wykonany przez Ewę Gonzales, i inny portret utworu pani Hede, w którym szczególniej draperye oddane po mistrzowsku.

Rysunków zliczyćby nawet niepodobna. Widzimy je wykonane na rozmaity sposób: ołówkiem, piórem, wiszorem, kredą czarną, czerwoną a nawet i knotem od świecy. Pejzaż p. Verreaux odrobiony knotem, jak świadczy napis umieszczony u dołu, zwraca powszechną uwagę.

Odnaczają się także miękkim i delikatnym wykończeniem pejzaże wiszorkowe pp. Apian i Lalanne.

Pomiędzy zwykłymi rysunkami ołówkiem, trzymają pierwszeństwo dwa obrazki p. Bida: *Święty Paweł nauczający w Atenach* i *Wieczera Pańska*. Ostatni z nich prześliczny. Chrystus stoi wpośrodku, łamie chleb; promienie wytryskujące z Boskiego oblicza, oświecają stół i obecnych. Rzuty światła prawdziwie Rembrandtowski!

Z pomiędzy drzeworytników pięciu otrzymało medale: pp. Lepic, Laplante, Dubouchet, Valtner i Rajon. Znać, że dyrekcyja

stara się podnieść tego rodzaju prace, które dziś stały się niezbędnym prawie dopełnieniem literackich publikacyj. Niezmiernie żałujemy, że utalentowani drzeworytnicy warszawscy nie przystali tu swoich wyrobów. Mamy przekonanie, że znakomite ich prace zwróciłyby uwagę sędziów francuzkich; kto wie, czyby nie otrzymali pierwszeństwa. Znawcy, którzy oglądali u nas drzeworyty p. Styfięgo w Kłosach, nie mogli się dosyć wydziwić ich prawdziwie artystycznemu wykonaniu.

Najmniej zwracała na siebie uwagę publiczności wystawa architektury. Bo też i architektura nie może się jakoś dźwignąć z upadku. Brak tu wyraźnie twórczego ducha. Jedni naśladowują gotycyzm, drudzy czasy odrodzenia; nikt nie snuje myśli z własnych pobudek.

Zwraca uwagę projekt monumentu poświęconego pamięci Ży-rondistów, utworu p. Guadet; nagrodzony medalem. Składają pomnik nagrobki ustawione w półkole. W środku wznosi się jakby świeżo opuszczona trybuna, z której brzmiało słowo Rolanda i innych ofiar konwencji. Pomnik ten ma ozdobić główny plac miasta Bordeaux.

Piękny też projekt ratusza wykonany na konkurs wiedeński przez p. Baudry budowniczego francuzkiego. Względy miejscowe skłoniły Austryaków, że przyjęli inny plan wykonany przez Niemca.

P. Maurycy Richard, nowy minister nowego ministerjum *literatury, nauk i sztuk pięknych*, zamknął uroczyście wystawę mową, wyrzeczoną przy rozdaniu nagród. Mowa ta prosta, wolna od pedantyzmu, podobała się ogólnie z lekkięj, prawdziwie artystycznęj formy i z patryotycznęj nastroju.

„Uważam się jedynie—rzekł—jako poseł cesarstwa przy rzeczywospolitéj nauk i sztuk pięknych.”

Słowa te, miłe sprawiły wrażenie.

Odrzuca on stanowczo zarzuty pessimistów, oplakujących upadek sztuki, w wielkim klassyczném znaczeniu tego słowa.

„Popęd, jaki widzimy do utworów rodzajowych, mówił minister, wcale mnie nie ustrasza; można je bowiem podnieść do godności wielkiego artyzmu. Wszak przyjmujemy w poezyi Syrakuzanki odmalowane piórem Teokryta, czemużbyśmy nie mieli przyjąć w malarstwie Paryżanek, z warunkiem, że ich Idyllę opowie nam pędzlem jaki nowy Teokryt?”

„Nie wiem, czy porównując utwory dzisiejsze do arcydzieł wielkięj epoki, można wyrzec słowo *upadek*; ale jestem przekonany i mówię to z dumą narodową że żaden kraj, nie byłby dziś w stanie wystąpić z czemkolwiekładź, coby można porównać z tak zwanym *upadkiem francuzkim!*”

W liczbie siedmnastu artystów nagrodzonych krzyżem legii honorowęj, był jak wiadomo nasz Matejko. Krzyż przeznaczony stawnemu pejzażyście Courbetowi, spowodował wiele hałas. Ten

nieprześlągnięty wróg cesarstwa, odrzucił z ostentacją, ofiarowaną mu nagrodę. Ogłosił przytém po dziennikach list swój pisany do ministra. Ciekawy to dokument, określa bowiem niepodległe stanowisko, jakie według Courbeta sztuka powinna zająć w życiu dziejowem narodów, jeśli ma odpowiedzieć potrzebom dzisiejszym. Warunki, jakie podaje, nie zdają nam się praktyczne. „Pragnę—mówi on—aby po mojej śmierci powiedziano: żem nie należał do żadnej szkoły, nie uznawał żadnego rządu, żadnego kościoła; słowem że byłem wolny!” Pytamy, czy tak bezwarunkowe wyłamanie się z wszelkich praw wiążących społeczeństwo, możliwem jest na świecie?

Nie pierwszy to raz pan Courbet manifestuje swoją niepodległość. Przed trzema laty podczas wielkiej wystawy, nie chcąc się poddać pod prawa administracyi, wybudował sam barak na pomieszczenie swych obrazów; wybudował go przecież w bliskości Pola Marsowego, pod cieniem pałacu wystawy.

Przy nadzwyczajnem rozbudzeniu umysłów francuzkich, każdy wypadek staje się dziś powodem do odczytów i konferencyj. Nic też dziwnego, że wystawa obrazów nie mogła przejść obojętnie. Jakoż w kilka tygodni po jej otwarciu urządziło się towarzystwo zaimprovizowanych professorów, którzy w kilku pogadankach starali się dać poznać i ocenić słuchaczom najcelniejsze utwory pędzla i dłuta, wystawione w pałacu przemysłowym.

Sala przeznaczona na te pogadanki odpowiadała wybornie celowi swemu; ściany bowiem pokryte obrazami, otaczały tak mówców jak i słuchaczy, jakby artystyczną atmosferą, i usposabiały tém lepiej, pierwszych do mówienia, drugich do słuchania o sztuce.

Byliśmy na jednej z tych konferencyj. Przemawiał tego dnia p. Feyrret, mówca pełen werwy i prawdziwie paryzkiego dowcipu. W poprzednich konferencyjach rozebrano wszystkie ważniejsze dzieła, pozostało już tylko scharakteryzować publiczność zwiedzającą wystawę. P. F. wybornie wywiązał się z tego zadania.

„Niegdyś przed laty, mówił, publiczność zajmująca się sztuką, tworzyła maleńką lecz wyborową garstkę. Byli to wielcy panowie, wielkie panie, oprowadzani zwykle po salonie przez protegowanych artystów, którzy roztrząsali wobec nich zalety i wady każdego utworu i stanowcze wydawali wyroki. Obecnie wszystko się zdemokratyzowało, więc i publiczność musiała zmienić się do gruntu. Ową publiczność składa dziś i frak i bluza, i atlas i płócienko, i mundur a czasem i sutanna; słowem, wszystko, co żyje: tłum!... Ta publiczność nie uczy się sądu od artystów, jak to czyniła dawną, ale sama śmiało i samodzielnie wyrokuje o wszystkiém.

Rzecz niepojęta, mówi pan F., a jednak prawdziwa, że artyści lękają się owych dorywczych i niewytrawnych sądów, że wszelką

siłą starają się pozyskać sobie, przekupić niejako tę publiczność tak zuchwale wyrokującą!"

Chcąc zatem poznać do gruntu, o ile obawa artystów uzasadniona, pan Feyrret wziął sobie za osobny przedmiot studyów tę wielmożną, straszną i wszechwładną potęgę, pragnął schwytać ją niejako na gorącym uczynku, podsłuchać jej zdania, słowem przekonąć się co warte owe dorywcze wyroki wydawane bez podstawy, bez prawa. I oto rezultat jego badań:

„Naturaliści, mówi on, dzielą istoty w przyrodzie, na gromady, rodzaje, gatunki, odmiany i t. p. Otóż i publiczność wypada rozgatuukować w taki sposób, chcąc ją wziąć pod rozbiór i ocenienie.

Zwiedzających wystawy należy więc podzielić na trzy gromady, stanowczo odrębne od siebie: na *obojętnych*, na *niewinnych* i na *pseudo-znawców*.

Zobaczmy najprzód gromadę *obojętnych*.

Ci idą na wystawę tak sobie, bo drudzy na nią byli, bo trzeba zabić parę godzin niedzielnych, bo oto niebo się zachmurzyło, będzie deszcz, miejsca w omnibusie nie znajdzie; gdzież się tu schronić powracając z Pól Elizejskich? Weszli więc na wystawę. Tłoczą się tam, gdzie najwięcej ludzi, stawają, gdzie drudzy stanęli. Musi tam być coś ciekawego! ale co? nikt nie wie i nie stara się zbadać. I wychodzą jak przyśli, bez wrażeń, z pomieszczeniem chaotycznym w głowie, unosząc ledwie jakieś zagmatwane wspomnienia. Taką jest wielka większość.

Daléj idzie gromada *niewinnych*. A i ta bardzo liczna. Dla nich artysta nie istnieje! Obraz może być arcydziełem albo lichotą, na jedno to wychodzi: wszystkiém dla nich sam przedmiot. Gdyby przynajmniej ocenili wybór przedmiotu! ale nikt o tém ani myśli... Chcą wiedzieć, co obraz przedstawia: oto cel zwiedzania wystawy.

Dla téj kategorii niezbędnym jest katalog, to téż nie wypuszczają go z ręki. Chodząc od obrazu do obrazu, czytają, sprawdzają każdy szczegół, a jak dojdą, że tak wszystko jest na obrazie, co zapisano w książce, to i dobrze, odchodzą zadowoleni.

Trafia się tu czasem jakieś naiwne zdanie o obrazie. „Mamo! jakie owoce, woła panienka, aż pachną! jakbym je chętnie zjadł!” „Patrz jakie tłuste bydło! mówi mąż do żony, zapewne rzeźnik, zarazbym je kupił, gdybym znalazł takie na targu!”

Z obrazów największą uwagę *niewinnych* zwraca na siebie Ameryka Ywona. „Pyszny obraz! bogaty obraz! wspaniała rama! powtarzają jedni do drugich. I rodzina stawa rzędem przed Ameryką. Daléj do katalogu. „Patrz mężu! to Ameryka, ta kobiéta w czerwonéj czapeczce, a to wolność, a to murzyn wyzwolony, a to złe namiętności spadają w otchłań istnie jak gruszki z drzewa, a tu to, a tu owo, wszystko co do joty tak jak w książce, czytaj mężu, zobaczysz sam; wyborny, doskonały obraz!”

Przy skomplikowanym obrazie Ywona, można jeszcze pojąć potrzebę katalogu; ale są inne, zupełnie proste, jednak i tu katalog niezbędny. Gryzетка gotuje jaja: obraz sam się tłumaczy; nie to nie pomaga, trzeba wyczytać w książce, że to przygotowanie do śniadania. Pani kładzie pończochy: dalej do książki „Ha, to ubierająca się kobieta!” Między innymi widzieć można i takich zwolenników katalogu, co stanawszy przed obrazem, spojrzą tylko na numer, otworzą książkę, odczytają wyjaśnienie i przechodzą dalej, nie rzuciwszy okiem na płótno.

Niektórzy jednak śmielsi puszczają się na przegląd bez katalogu, lecz jedynie w celu zbadania przedmiotów. „Otóż ja wiem, co przedstawia ten obraz, mówi żona do męża, poznałam rzecz odrazu. Scena z Żyda Tułacza! Oto panna Cardowille, a to indyjski książę Dżalma!” Obraz był Kabanela, przedstawiał *Franceskę z Rimini*. Na innym leży człowiek umarły, w około niego zakonnicy. „Patrz kochanko, to pogrzeb Chrystusa!” mówi mąż. „Tak, nie inaczej, potakuje żona; znać to po zakonnikach!”

Jakże sądzi gromada trzecia *pseudo-znawców*? „Ci, mówi pan F., szukają przedewszystkiem materalnej prawdy w naśladowaniu. Jest to obraz przedstawiający Graziellę, nie dosyć może włoski, ale nie bez istotnych zalet. Dziewczyna siedzi na skale, pogląda w przestrzeń morza, „on popłynął! zdaje się mówić, i łza toczy się po jej licu.” W tej postaci odbija cały dramat. Ale nasi znawcy widzą tylko łzę i nic więcej. „Patrz oto na tę łzę!... ach jaka łza! jaka łza! wyborny, doskonały obraz!” Słyszałem na własne uszy te uniesienia nad łzą Grazielli. Szczęściem, że malarz ich nie słyszał; wściekłyby się ze złości i z rozpacz. Dalej znawcy nasi oglądają obraz przedstawiający pracownię malarza. „Jakież tu nieład! mówi matka, zawołana jak widać gospodyni, pokój nie sprzątnięty od kilku dni, sprzęty porozrzucane, aż strach!” I obraz oceniony. Zatrzymują się wreszcie przed Salomé Raignault'a. „Jakaż rozczochrana! kto tak układa włosy? jakby tylko co z łóżka wstała!”

Takie to sądy przytacza mówca, dla uspokojenia bojaźliwych i zbyt chciwych popularności artystów. Powinnyż ich, pyta, zstraszać podobne wyroki? Tu dodaje trafną uwagę psychologiczną: „Wszak uznajemy w ogólności, że nagana nieuka może się stać pochwałą, jak przeciwnie jego pochwała najwyższem jest potępieniem. Każdy tak mówi i myśli, dopóki rzecz nie dotyczy go osobiście. Jest przecież coś w naturze ludzkiej, co nie pozwala stosować do własnej osoby ogólnych teoryj. Wiemy, jaką ma wartość sąd nieuka, a jednak kiedy pochwali coś naszego, mówimy sobie w duchu: „nie tak on bardzo głupi” i pysznimy się tą nawet pochwałą, która krzywdzi nas rzeczywiście.”

Ta część konferencyi, wypowiedziana w żartobliwy sposób, z tym gestem, z tym akcentem, którym Francuzi umieją ożywić każdy wyraz, rozśmieszyła słuchaczy. Nie jednemu z obecnych przyszły na myśl figury spotykane co krok na wystawie, sfotogra-

fowane żywcem z natury. I nam też przypomniała się para należąca do gromady *niewinnych* według podziału p. Feyrret. „Żono co to jest?” zapytał mąż rzuciwszy okiem na obraz Mateyki. Żona otworzyła katalog, odczytała zbyt krótkie słowa określające przedmiot, którego znaczenia wcale nie rozumiała. „Mnie się to nie podoba!” rzekła z miną pogardliwą. „Ani mnie także!” przywtórzyl mąż, i odeszli dalej. I cóż było powodem tak stanowczego potępienia? oto katalog, który nie objaśniał dokładnie rzeczy.

W drugiej części konferencji, mówca zastanawia się poważnie nad przyczyną takiej obojętności dla sztuki pięknych, w narodzie tak oświeconym jak Francya.

„Powiedzmy sobie prawdę w oczy, mówi pan F., mamy tę wielką wadę, że uważamy siebie za naród wyższy nad inne, najrozumniejszy, nieporównany, i dlatego spotyka nas tyle zawodów, tyle rozczarowań, tyle krytyk, od obcych. Miejmy więc odwagę osądzić się sami, bez pychy, z sumienną bezstronnością, i powiedzić sobie wręcz gorzką prawdę, a zamkniemy usta obcym krytkom.

„Naród nasz, mówi dalej, otrzymał od natury mało zmysłu artystycznego, słabe poczucie piękna. Brak ten dzielają z nami nie jedne narody; nie my sami tak jesteśmy upośledzeni. Nie potrzeba szukać daleko, ale też nie wypada nikogo wytykać po imieniu, bo i po cóż martwić sąsiadów? (Mowa tu naturalnie o Anglikach).

„Są i u nas znawcy, którzy oceniają sztukę w całym znaczeniu słowa. Snadno takich rozróżnić wpośród tłumów zwiedzających wystawę. Dość zaprawdę rzucić okiem na twarz ich rozpromienioną w obec znakomitego utworu, aby odgadnąć w nich prawdziwych miłośników sztuki. Ale ta garstka wybrała, tak mały stanowi wyjątek, że ogłowi narodu śmiało zarzucimy zupełny brak zmysłu artystycznego. Dlaczego Włochy, tak uprzywilejowane w poczucie piękna? dlaczego tam, lada prostaczek zkądną ciemny, lepiej oceni arcydzieło, niż u nas oświecona warstwa ludności? Bo tam lud wzrasta i żyje w ciągłym zetknięciu się ze sztuką. Tam gdzie rzucisz okiem po placach i ogrodach publicznych, pełno arcydzieł rzeźby, pędzla i architektury. Ztąd to sam lud bezwiednie, w skutek ciągłego zapatrywania się na idealne wzory, przybiera gesta i ruchy malownicze, postawę posagową.”

Tu mówca opowiada z wzruszeniem, jaki urok owładnął nim, gdy po raz pierwszy z dwoma towarzyszami podróży ujrzał się na placu S. Marka w Wenecyi, jak w mgnieniu oka, niby za tknięciem różeczki czarnoksiężkiej, otworzył się przed nim świat cudów, świat ideału, dotąd mu bynajmniej nieznanym. Z własnego doświadczenia przychodzi więc do wniosku, że poczucie piękna rozwinię się kiedyś w narodzie francuzkim, jak się rozwinęło w jednostkach.

„Pierwszy krok, postawiony już na tej drodze, mówi pan F. i podaje ciekawą statystykę szkół rysunku dla robotników. Nieda-

wno było ich w Paryżu tylko sześć, dziś liczba ich doszła do sześćdziesięciu, na każdą w przecięciu wypada trzysta dwudziestu uczniów.”

W końcu konferencji mówca podnosi pytanie, czy dzisiejszy kierunek demokratyczny we Francji, nie sprzeciwia się rozwojowi sztuk pięknych? Często, mówi, spotykam się z zarzutem, ogólnie dziś upowszechnionym, jakoby idea demokratyczna, nie korzystną była dla sztuki. Że zaś Francja nie może się cofnąć z drogi demokratycznej, ztąd wypada jej pożegnać się ze sztuką. Smutno byłoby zaprawdę, okupić nasz rozwój społeczny, wyrzeczeniem się ideału piękna! Szczęściem, że głoszony sofizmat nie oparty na niczym.

„I czemże jest, mówi, demokracja, w dzisiejszym jej pojęciu? Jużciż nie powrotem do grubijaństwa, do ciemnoty ograniczającej dotąd niższe warstwy narodu naszego! Przeciwnie wprowadzeniem światła i wiedzy z wyżyn, gdzie dotąd przyświecały, na dno najniższych pokładów społecznych. Alboż to oświata i nauka w sprzeczności są z pięknem, z ideałem? przeciwnie, one budzą umysł z uśpienia, podnoszą go coraz wyżej a wyżej! Demokracja zatem nie jest tamą dla sztuki, ale raczej dźwignią wszechstronnego postępu. Jeśli rozprowadzając światło na cały naród, z jednej strony podnosi pojęcia w dziedzinie moralności, to z drugiej strony, musi również usposobić ogół do poczucia piękności artystycznej”.

Przed areopagiem uczonych europejskich wytoczyła się sprawa o plagiat. Obwinionym tu kto? sam Szyller! Szyller plagiator! na ten okrzyk oburzyli się nie tylko Niemcy, lecz i wszyscy uczeni szczepu germańskiego. Sprawa ta nie byłaby jeszcze tak głośną, gdyby się nie wdał do niej znakomity lingwista Max Müller, professor Uniwersytetu Oxfordzkiego. Ono powagą swoją, nie tylko że rozgłosił rzecz samą, ale rozszerzył jej znaczenie podnosząc ciekawe pytania psychiczne.

Doktor Liebrecht uczony erudyta niemiecki, w pisemku swoim *Zu Schillers Braut von Messine*, z roku 1869, powiada, że Szyller wziął żywcem do powyższego dramatu, nie tylko główny pomysł i prowadzenie rzeczy, ale co więcej myśli, wyrażenia, a nawet całe wiersze, z tragedji Légouwego p. t. *Śmierć Abła*. Mowa tu o starym Legouwem, poccie z końca zeszłego wieku, ojcu dzisiejszego akademika.

Krytyk niemiecki podaje treść obu utworów.

Plan Legouwego bardzo prosty. Kain nicnawidzi Abła za to, że obrabiał łatwy zawód pasterski, gdy tymczasem on Kain, musi uprawiać ziemię w pocie czoła. Najgłówniejszym zaś powodem jego zawiści jest podejrzliwa myśl, że rodzice więcej sprzyjają Ablowi. Adam łagodzi nieco gniew Kaina. Następuje pojednanie,

ale zgoda nie potrwa długo. Bracia wznoszą ołtarze, składają ofiary. Myśl, że ofiara Abła miłszą jest Bogu, doprowadza Kaina do wściekłości, czyni go bratobójcą. Dręczony wyrzutem opuszcza rodzinę, usuwa się zdala od oczu ludzkich i czeka słuszną kary.

W oblubienicy Messyńskiego Szyllera, dwaj bracia nienawidzą się wzajem, a jakkolwiek powód ich nienawiści nie dosyć jasny, poeta daje zrozumieć, że jeden z nich Don Cezar, mniema jakoby serce matki skłaniało się bardziej ku bratu. Matka uspokaja synów; następuje pojednanie.

Wkrótce przecież nowa namiętność zapala serce Don Cezara. Kocha oblubienicę brata, zabija go w uniesieniu zazdrości. Dręczony wyrzutem sumienia, Don Cezar odbiera sobie życie.

Tyle zbliżenia co do treści; weźmy teraz szczegóły na uwagę. Doktor Liebrecht zestawia razem niektóre wiersze obu autorów. Przytaczamy je za nim.

LÉGOUVÉ.

Le frère est un ami donné par la nature.

SCHILLER.

Wohl dem, dem die Natur den Bruder gab.

. Anerschaffen

Ist ihm der Freund (1).

LÉGOUVÉ.

Serpent, dans les replis tu veux m'envelopper?

C'est pour m'assassiner que ta haine m'embrasse.

SCHILLER.

Giftvolle Schlange! Das ist deine Liebe?

Desswegen logst Du tückisch mir Versöhnung (2).

LÉGOUVE.

Viens pour les en instruire et leur rendre la paix,

Nous montrer embrassés à leurs yeux satisfaits.

Ah! que vois je? Mes yeux, faut-il que je vous croie?

SCHILLER.

Ich habe sie einander Herz an Herz

Umarmen sehn, ein nie erlebter Anblick (3).

(1) Szczęśliwy ten, komu natura dała brata... To przyjaciel, którego mu stworzyła.

(2) Wężu jadowity! także to twoja miłość! Dlatego to zwiodłeś mnie zasadzką pojednania.

(3) Widziałam ich ściskających się, z sercem przy sercu! Taki widok, nigdy mnie dotąd nie uradował.

LÉGOUVÉ.

Enfants chéris,
 Que mes flancs ont porté, que mon sein a nourris,
 Le sang a triomphé, l'amitié vous rassemble,
 Et ces bras maternels vous reçoivent ensemble!
 Et vous vous embrassez sur ce cœur palpitant!
 Tous ses maux ont cessé dans un si doux instant,
 Je sens tomber le poids de ma douleur amère;
 Je suis donc une fois heureuse d'être mère!

SCHILLER.

Nun endlich ist mir der erswünchte Tag,
 Der lang ersehnte, festliche, erschienen.
 Vereint seh' ich die Herzen meiner Kinder,
 Wie ich die Hände leicht zusammenfüge,
 Und im vertrauten Kreis zum erstenmal
 Kann sich das Herz der Mutter freudig öffnen (1).

Max Müller występuje w obronie Szyllera, a występuje tak żarliwie, jak gdyby widział całe plemię germańskie upokorzone przez Francuzów.

„Nie możemy w żaden sposób przypuścić, rzekł z katedry professor oxfordzki, nie powiemy już plagiatu, gdyż doktor Liebrecht nie posuwa rzeczy tak daleko, ale nawet bezwiednego naśladownictwa. Niechaj poeci sami osądzą tę rzecz, skoro nie wystarcza sąd krytyków. Nie ulega wątpliwości, że myśli i wyrażenia, jakie znajdujemy w przytoczonych wierszach, są prostemi komunałami, że mogą uchodzić za własność wspólną wszystkim poetom. Gdyby nawet udowodniono, że Szyller czytał tragedią Legouwego, mogłyż podobne wiersze tak mocno oddziaływać na jego umysł, aby miały bezwiednie odtworzyć się w pamięci genialnego mistrza? Bez silniejszych dowodów, wykazane analogie pomiędzy wierszami Szyllera i Legouwego, nie usprawiedliwiają wniosku doktora Liebrecht. Gdyby nawet stawiono nam przed oczy egzemplarz tragedyi Legouwego, z własnoręcznymi notatkami Szyllera, jeszczebyśmy nie przyznali nic więcej, nad proste potrącenie myśli. Takie zewnętrzne pobudki działają na umysł każdego poety, bądź gdy czyta w swoim gabinecie, czy kiedy się przechadza po ulicy, pokarm to codzienny; wolno mu go przyjąć, lub odrzucić; może śmiało przyswoić go sobie, przetrawiwszy w swym własnym duchu. Takim zasiłkiem podtrzyma żywotność poetycznej wyobraźni; nie potrzebuje rachować się z niego przed nikim.

(1) Wschodzi wreszcie, ten dzień tak upragniony, tak długo oczekiwany, ten dzień tak uroczysty. Widzę zjednoczone serca dzieci moich, trzymam bez trudu ich ręce splecione, i po raz pierwszy, w gronie rodziném, serce moje macierzyńskie może oddać się zupełnej radości.

„Ileżto razy malarz przebiegając galerję, zauważył jakiś wyraz twarzy, jakąś szczególną postawę lub niezwykły rzut światła; słowem utwór nie dokładnie może oddany, w którym przecież znalazł pobudkę do genialnego pomysłu. Śmiałżeby kto powiedzieć, że mierny utwór służył za wzór do arcydzieła? Po cóż więc przypuszczać, że arcydzieło Szyllerowskie, Oblubienica z Messyny, winno cokolwiek bądź tragedji Legouwego? Jest to wielki przywilój bogaczów, że nie znają pokusy do kradzieży. Przypuszczenie, że Szyller gdy pisał oblubienicę z Messyny, zmiatał okruchy ze stołu Legouwego, sprzeciwia się wszelkiemu prawdopodobieństwu!”

Krytycy francuzcy z większym nierównie taktem i z zimniejszą krwią, rozumują w tój sprawie; przypominają oni, że kiedy Szyller tworzył Oblubienicę z Messyny, obowiązany był wówczas z urzędu dostarczać sztuk do teatru Wejmarskiego, który pod dyrekcją Goetego, stał się pierwszym teatrem w całych Niemczech. Napisał już Szyller dla owego teatru trzy części *Walleystejna*, *Maryę Stuart* i *Dziewicę Orleańską*. Werwa jego wyczerpała się nagle. Rozpoczął na raz dwa dramata: *Perkiusa Warbeck* i *Kawalerów Maltańskich*, lecz żadnego z nich nie ukończył. Tymczasem trzeba było bądź co bądź czynić zadosyć wymaganiom rozpieszczonej publiczności. Drugorzędni dramaturgowie i rozwijający skrzydła romantycy, przynosili własne utwory, lecz te nie miały powodzenia. Goete bardziej jeszcze z sił wyczerpany, nie mogąc już tworzyć oryginalnie, dawał przekłady Wolterowskich tragedji: Tankreda i Machometa.

Sam Szyller zaprotestowawszy w imie genjuszu narodowego zmuszony był zarówno uciec się do przekładów. Po Mackbecie Szekspira i Fedrze Rasyna, przelożył *Turandota* Gozego, i dwie komedye Pikarda. Łatwy ztąd wniosek, że postanowił przetłumaczyć także i tragedję francuzką, która miała w owym czasie znakomite powodzenie. Zapewne genialny poeta, szukając od dawna nowego przedmiotu, potracony ideą nienawiści bratniej, zrzekł się zamiaru tłumaczenia, a obmyślił dzieło oryginalne. Podjął więc napotkany przedmiot, i postawił go w innych warunkach, na tle innego społeczeństwa i innej miejscowości.

Najniesprawiedliwszym okazał się Max Müller, poniżając talent Légouwego. Znakomity krytyk i professor francuzki Saint Marc Girardin, wysoko postawił tego pisarza w historii literatury dramatycznej. Z owęj to tragedji: *Śmierć Abła*, przytacza on piękne ustępy, w dowód słuszności swego sądu.

Imie Légouwego znane i w naszej literaturze. Któż nie pamięta jego sławnego poematu: *Zalety kobiet*, przekładu Józefa Lipińskiego?

Silną protestacją przeciwko niebacznym sądom o zmateryalizowaniu się Francuzów są te gorące hołdy, oddawane pamięci zmarłych, którzy się dobrze zasłużyli krajowi. Nie ma zapewne

dnia w kalendarzu, w którymby jakiś zakątek Francji nie obchodził pamiątki jakiegoś dziecka swego. Tak oto 10 maja r. b. stawiano w Agen pomnik na cześć sławnego Jasmina perukarza-poety, w parę dni potem miasto Vienne nad Rodanem czciło w tenże sposób Ponsarda.

Szczególna miłość łączyła od młodu tego poetę z rodzinnym miastem. Wbrew przysłowiu, Ponsard był prorokiem między swemi. Na każdą wieść o jego nowych laurach, serca Wieńczyków uderzały radością i dumą. Każde słowo wyrzeczone przeciwko niemu, było dla nich jakby osobistym pociskiem. Nic tkliwszego nad ten węzeł jedności, którego sama śmierć rozerwać nawet nie miała.

Kiedy Ponsard napisał w Vienne swoją Lukrecję, przyjaciele powieźli ją sami do Paryża, a całe miasto z gorączkową niespokojnością oczekiwało na wieść, jak też świat ucywilizowany oceni utalentowanego syna Rodanu? Ilekroć Paryż przyklaskiwał poecie, za nowy dramat lub komedję, tylekroć Vienne oświecało wszystkie okna, wtedy nawet gdy Ponsard nie przebywał w jego murach. Śmierć ulubieńca okryła żałobą całe miasto.

Taka miłość Wieńczyków dla swego poety nadawała szczególną cechę uroczystości. Odkrycie pomnika wzniesionego staraniem miasta zapowiedzianem było na niedzielę (15 maja). W sobotę wieczorem pociągi drogi żelaznej zwoziły z różnych stron Francji, a szczególnie z Paryża, licznych przyjaciół i zwolenników zmarłego. Redakcye gazet i uczone koła wyprawiły swoich reprezentantów. Akademię francuską przedstawiał Emil Augier złączony z Ponsardem silnym węzłem przyjaźni i koleżeństwa.

O pierwszej z południa niezliczone tłumy napełniały plac miejski. Na jednej estradzie przygrywała muzyka, na drugiej zajęły miejsca osoby biorące czynny udział w uroczystości. Kobiety zapełniały obszerne krużganki i okna starożytnego ratusza. Ku jednemu z tych okien, obracały się ze współczuciem oczy wszystkich. Siedziała tam kobieta w żałobie, do niej tulił się jasnowłosy chłopczyk ubrany także czarno: była to żona poety z synem.

Przy dźwięku trąb, huku bębnow i pieśni chóralnej uchylono zastonę z pomnika. Na widok drogich rysów, z ust wszystkich wybiegł okrzyk uniesienia. Niepodobna wyliczać kantat, symfonij, pieśni, jużto śpiewanych chórem, jużto deklamowanych; mówcy występowali po kolei. Największy tryumf zdobył w tym dniu Emil Augier, i piękną mową i tklwym wierszem na cześć zmarłego przyjaciela.

Nastąpiła uczta w ratuszu, a przy niej toasty i mowy. Jeden z bliskich krewnych Ponsarda wznosił toast na cześć nieobecnego Juliusza Janin, który okazywał zmarłemu stałą i czynną życzliwość. Wymowne to świadectwo znaczenia krytyki w powodzeniu autora. Ale też potrzeba być takim krytykiem jak Janin, aby tak zapanować nad umysłami.

Wieczorem artyści teatru francuzkiego, zebrani w Vienne, odegrali trzy sztuki Ponsarda: *Carolinę Corday*, *Lukrecyę*, *Horacego i Lidyę*. Zakończyła widowisko allegorya wierszem, układu młodego poety w Vienne p. Gouët. Niektóre dzienniki Paryzkie, żartowały z owęj allegoryi, jak zwykły żartować sobie ze wszystkiego; stanowisko w poezyi jakie Gouët nąznacza Ponsardowi, wydawało im się przesadzone. Ale w Vienne pod wpływem ogólnego uniesienia, allegorya ta była na swoim miejscu; gorącemi też obsypano ją oklaskami. Powiemy o niej słów kilka.

Recz odbywa się na wyżynach parnasu. Szkoła klassyczna w tunice, w koturnach greckich, nagle zbudzona ze snu, słyszy daleką wrzawę. Słowa zniewagi dobiegają do niej. W oburzeniu i rozpaczy wzywa poetów i prozaików, aby podtrzymali tron jej, dopóki nie powali się w gruzy.

Tu pojawia się szkoła romantyczna przystrojona fantastycznie. W żywym dyalogu następują wzajemne wyrzuty.

„Czemuż zasnąłaś! mówi szyderczo nowo przybyła, należało czuć! Orzeł, któremu spętałaś skrzydła, rozkuł się z więzów i uleciał w obłoki. Niedościągnąć go tobie!

Zbyt długo cię niesłuszną świat otaczał sławą!

Szkoła klassyczna.

Mnie służy prawo bogów!

Szkoła romantyczna.

Mnie podboju prawol!

Ty wąpisz! powiedź tylko oczyma na strony,
Minęły już te czasy, gdy świat ukorzony
Czekał twego skinienia. Dziś teatr twój pusty,
W moim ludno i gwarno, istnieje jak w zapusty.
Widokiem nowych wieńców ja co dnia wzrok pieścę,
Iluż z tych hołdowników zostało ci jeszcze?
Jakiś zacięty pedant, lub starzec uparty,
Reszta pierzchła spłoszona szyderczymi żarty,
Czczém dziś, tylko wspomnieniem twa wielkość przeżyta,
Twoje słońce już zaszło, dla mnie zorza świta,
Daremne twe przekleństwa, i skargi nie w czasie;
Ty ustąp, mnie przystało miejsce na parnasiel!

Szkoła klassyczna.

Ja ustąpić mam tobie, co bez czci i wiary
Depczesz odwieczne prawa, obalasz ład stary,
Któraś sztukę zalała swawoli odmětem,
Troistą jedność grecką zburzyła ze szcęgętem.
Tobie, co dla igraszki, bez słusznój przyczyny
Łamiesz dawną Cezurę, coś Alexandryny
Posiekała na miazgę, co z piękna zniewagą
Twym czcicielom przed oczy rzucasz prawdę nagą.
Tobie, dla której hasłem cynizm i brzydota,

Co rada bohaterów twych dobywasz z błota,
Tobie, co się w swawoli ważysz wyuzdanąj
U stóp tronu roztrzasać żebracze łachmany,
I gwałcąc Boże prawo płynące nam z góry,
Zszywasz płaszcz arlekina z monarszój purpury.

Szkola romantyczna.

Świat chce prawdy—więc słuszna ku tobie odraza.
W cóżes ty szlachetnego zmienić Pegaza?
Próżno rwie się do lotu rumak ujarzmiony,
Przybrałaś go w koronki, w wstęgi i galony,
Wprzężon w rzędy złociste, z utrefioną grzywą
Spuścił głowę, i piersią tchnie ledwie pół-żywą.
Gdym zuchwale mu z karku zdarła te wędzidła,
Zerwał się błyskawicą i rozpostarł skrzydła;
Zarżał, nozdrza płomiennym buchnęły mu żarem.
Czy widzisz, jak z kopyta mknie jasnym obszarem,
Jak iskry krzesze z ziemi żelazną podkową;
Rozkietznany przezemnie pędzi drogą nową,
On rumak wiatronogi w te światy bez końca,
Gdzie nie brak mu przestrzeni, powietrza i słońca!

Walka wre z wzmagającym się z obu stron zapałem. Nagle pojawia się młodzieniec. To Ponsard! Kto jesteś?—pytają obie.... Imię moje nieznanne, rzecz młodzian... Jam nowy przybysz na wyżyny Parnasu!.. Pragnę być poetą... walczę.. szukam drogi!.. Ufam, że mi sił nie zabraknie!

Obie szkoły ciągną poetę. Jedna i druga wysławia swoje tryumfy. Szkoła klasyczna wylicza geniusze, jakie wydała w paśmie wieków. Romantyczna wskazuje przyszłość. Ponsard waha się chwilę. „Panie! daj mi natchnienie!”—woła z wiarą, i oto natchnienie przychodzi. Jednym uściskiem łączy dłonie obu zaciętych zapaśniczek.

—„Połączcie się we mnie—zawoła. Ty poważna mistrzyni wieków, daj mi podniosłą myśl twoją i nieskażony urok słowa! Ty piękna czarodziejko, daj mi płomień młodzieńczego zapału i tę niepokonaną siłę, którą kruszysz twarde zapory. Złączcie się obie we mnie! Ja położę podwaliny szkoły nowcj, i wieki jój nie zmogą. Nazwę ją szkołą zdrowego rozsądku!

W tój hiperbolicznój pochwalie jest przecież wiele prawdy. Ponsard należy do tych nowoczesnych eklektyków w poezji, którzy powstrzymali rozhukany prąd romantyzmu i ujeli go w karby; stary zaś klasycyzm odarty z pleśni wiekowej, ożywili tchnieniem młodzieńczej piersi. Ten właśnie eklektyzm charakteryzuje terazniejszą pozytywną szkołę francuzką. Lotny pegaz swobodniejszy pod jedwabnym wędzidłem eklektyków dzisiejszych, niż dawniej pod żelaznym jarzmem klasyków, orze zagon, zaprzężony do pługa.



DODATEK DO BIOGRAFII
ADAMA MICKIEWICZA.

Przenikniona wdzięcznością lub zgrozą, brylantowa fantazyja ludu, zwykła od wieków otaczać legendami imiona mężów wsławionych wielkimi czyny zasługi lub zbrodni. Nieby tedy nie było dziwnego, gdyby z nienagła i nazwisko Adama Mickiewicza oplotła ta siedmiobarwna Babięgo Lata przędza; owszem, są nawet tego wcale udatne pierwociny. Lecz kiedy się zastanawiamy nad legendami innego pomiotu, czepiającemi się jak osty powłóczystej szaty autora *Grażyny*, nie wiadomo czemu więcej się dziwić: czy zwichnionemu poczuciu poezyi w naszych czasach, czy zuchwalstwu prawiących co ślina do ust przyniesie, czy też brakowi krytyki w czytających, którzy te niesforne pisaniny za dobrą przyjmują monetę. Łatwo zrozumieć dlaczego wszelkiego rodzaju mierność czepia się imienia ludzi znakomitych: spodziewa się, że trzymając się kraju gwiazdzistego płaszcza proroka Eliasza, razem z nim uleci w krainę nieśmiertelności. Niechby tak było, bo nie godzi się nikomu tamować drogi wiodącej do „uczciwój sławy;” konieczny jednakże w tym względzie warunek, aby wybierano środki dozwolone kodeksem rozsądku i przyzwoitości. Skoro się tego przepisu nie zachowuje, tamowanie takich zachcianek nietylko staje się prawem, ale i powinnością każdego. Jeśli zaś tak jest w istocie, tuszę, iż *Biblioteka Warszawska*, która już tyle szczegółów o Mickiewiczu różnemi czasy na szacownych swych kartach zgromadziła, miejsca następującym uwagom nie odmówi.

Nie mamy dotychczas, i nie wiem jak długo czekać będziemy gruntownego ocenienia zawodu pisarskiego Mickiewicza, chociaż to rzecz dostępna każdemu bystremu umysłowi, należycie obeznanemu z krainą piękna. Natomiast jak kto może snuje legendy z wypadków jego skromnego, mało komu znanego żywota prywatnego, chociażby przyszło błędy na błędy ładować, byle przy tej sposobności pochwalić się znajomością ze znakomitym pisarzem. Jedni tedy każą się rodzić Mickiewiczowi aż w trzech miejscach: w Nowogródku, Osowcu i Zaosiu; a kiedy dokumen-

tami autentycznemi przekonano, że rodzice Adama w chwili jego urodzenia stale mieszkali w Nowogródku, wysyłają matkę do folwarczku Zaosia *na święta Bożego Narodzenia*, by tam odbyła poług *dwudziestego czwartego grudnia 1798 r.* Zapomniano, że kobieta lada chwila spodziewająca się rozwiązania, nie mogła po grudzie lub błocie grudniowem, po najokropniejszej karczystej i kamienistej drodze stwołowiokiej, jechać o mil siedm na szukanie uciechy. Gdyby się zaś dopuściła podobnej płochości, co rzecz zupełnie do prawdy niepodobna, jak to każda matka przyświadczy, pomyślny, coby to była za srogość lub rozrzepanie, wśród okrutnych mrozów styczniowych 1799 r., wracać po owęj piekielnej drodze od krewnych, z nowo-narodzonym nieochrzczonym niemowlęciem, by 12 lutego odbyć chrzest Adama w Nowogródku, gdy o wiorst parę od Zaosia miano kościół parafialny w miasteczku Stwołowiczach (1)! To jednak jeszcze najmniejsza, chociaż ubliżająca pamięci zacnej Mickiewiczowej, nieprzyzwoitość. Drudzy *trzynastoletniego* chłopczyka, na dobitkę *chorowitego*,

(1) Co do zimy z r. 1798 na 1799, mrozy podówczas były tak srogie, że od czasu jak obserwacye z termometrem robić u nas poczęto, ledwo trzy jeszcze tak okrutne zimy zanotowano, a mianowicie: w r. 1779, 1812 i 1855, kiedy w Warszawie mróz doszedł— $26\frac{1}{2}^{\circ}$ Réaumura. Oto jest kilka danych do czasu urodzenia i mniemanego przewiezienia Adama Mickiewicza z Zaosia; są to wyjątki z obserwacyj znanego jezuitę Jowina Bończy Bystrzyckiego, uprzejmie wypisane dla mnie przez p. F. Fryzego z akt Obserwatorium Warszawskiego:

		Rano	W południe	Wieczorem.
Grudzień 1798:	21	$-8\frac{1}{2}$	$-10\frac{1}{2}$	-14
	22	$18\frac{1}{2}$	$13\frac{1}{2}$	$11\frac{1}{3}$
	23	$13\frac{1}{2}$	15	$14\frac{1}{2}$
	24	$20\frac{1}{2}$	$17\frac{1}{2}$	20
	25	23	$18\frac{1}{2}$	17
	26	$15\frac{1}{3}$	15	16
	27	17	13	$10\frac{1}{2}$
Styczeń 1799:	11	14	$13\frac{1}{2}$	15
	12	$17\frac{1}{2}$	15	16
	13	$18\frac{1}{2}$	$14\frac{1}{3}$	$14\frac{1}{2}$
	14	17	12	$12\frac{2}{3}$
	15	$13\frac{2}{3}$	9	$8\frac{1}{2}$
Luty 1799:	1	$13\frac{1}{2}$	$12\frac{1}{2}$	15
	2	$20\frac{2}{3}$	$14\frac{1}{2}$	14
	3	$10\frac{2}{3}$	8	$8\frac{1}{3}$
	4	8	5	6
	5	$11\frac{1}{2}$	10	13
	6	$17\frac{2}{3}$	14	16
	7	20	16	18
	8	$26\frac{1}{2}$	$18\frac{1}{2}$	17
	9	19	$15\frac{1}{2}$	18

jak świadczą księgi szkół nowogrodzkich, wreszcie świeżo osieroconego przez śmierć ukochanego rodzica, wyprawiają do wojska, każą mu dzwigać tornister i karabin, a nawet znajdować się

	Rano	W południe	Wieczorem.
Luty 1799: 10	— 24	— 16	— 14 $\frac{1}{2}$
11	15	11 $\frac{1}{2}$	12 $\frac{1}{2}$
12	14	9	10
13	12	8 $\frac{1}{2}$	11
14	15	10 $\frac{1}{2}$	10 $\frac{1}{2}$
15	13	11	13
16	8 $\frac{1}{2}$	4	4 $\frac{1}{2}$

Cyfry powyższe pochodzą z obserwacji robionych w Warszawie. Należy zwrócić uwagę, że linia izotermiczna (oznaczająca pasy ciepła), idąc przez Warszawę ku wschodowi, zbacza od równoleżnika aż na Kijów, tak, że Nowogródek i jego okolice o trzy stopnie, czyli 45 mil geograficznych, pozostawia na północ. Mrozy więc w okolicach Nowogródka są nierównie silniejsze niż w Warszawie. Pamiętać też należy przy porównywaniu, że daty urodzenia i chrztu Adama Mickiewicza według starego, daty zaś obserwacji podług nowego kalendarza położono.

Nie od rzeczy tu będzie powiedzieć, iż młodszy brat Adama, p. Alexander Mickiewicz, w liście zamieszczonym w *Notatkach* E. Chłopickiego, myli się utrzymując, że w chwili urodzenia Adama, folwark Zaosie „przechodził pod zarząd ojca jego, po stryjach”. Wiem to z własnoręcznego pisma ojca Adama, że stryj jego Bazyli, właściciel Zaosia, umarł dopiero *w cztery miesiące po urodzeniu Adama*, mianowicie d. 5 maja 1799 r., i po nim dopiero Mikołaj objął Zaosie. Zresztą p. Alexander Mickiewicz nie w tém jednym się myli. Tak np. powiada: że ojciec Adama miał dwóch braci stryjecznych, *Juliana i Hipolita*, zamieszkałych w folwarku Horbatowiczach. Tymczasem z wywodu szlachectwa w aktach deputacyi grodzieńskiej 1804 r. widzimy: że *Jan Mickiewicz*, przydomku *Rymwid*, dziad Mikołaja, miał dwóch synów *Jakóba i Adama*, i że synem Jakóba był *Mikołaj*, synami zaś Adama *Felicyan* (nie Julian) i *Hipolit*. Ci dwaj bracia stryjeczni Mikołaja obaj byli o lat kilkadziesiąt młodszy od niego, bo gdy ojciec ich odumarł w r. 1802, ustanowiono nad nimi opiekę jako nad nieletnimi. Myli się też p. A. Mickiewicz, utrzymując: że podczas pisania jego listu w grudniu 1861 r. „krewnych Adama w linii męskiej po mieczu zgoła niema”. Jeszcze podówczas żył w Horbatowiczach wspomniany powyżej stryj Adama Felicyan, urodzony z Wiktoryi z *Sopliców* w maju 1789 r.

Te szczegóły wskazują, że twierdzenia nawet najbliższych krewnych, skoro oparte jedynie na zawodnej pamięci, nie zawsze bywają niezawodną prawdą. Zresztą podczas bytności mojej w Poznańskim, zbaczałem umyślnie do p. Franciszka Mickiewicza, starszego brata Adama, by się czegoś pewniejszego dowiedzieć o miejscu urodzenia poety. P. Franciszek ze szczerością mi odpowiedział, że dotąd był przekonany, iż Adam urodził się w *Nowogródku*, lecz teraz, kiedy wypłynęło *Zaosie*, sam już nie wie co trzymać.

(Przyp. Aut.).

w bitwie. Trzeci chcą mieć z Adama „cudowne dziecko,” każą mu bajkę *Pies i Wilk* pisać na szkolnej ławce u ks. Dominikanów w Nowogródku. Nie zwrócili uwagi, że najcudowniejsze dziecko nie może mieć tak wyrobionego stylu i takiej swobody wierszowania, bo to nabywa się jedynie wielkiem odczytaniem i długą wprawą. Nie zwrócili też uwagi, że gdyby Mickiewicz układał tę bajkę na popis szkolny przed zakonnikami, nie mógłby powiedzieć, że pies jego był „bernardyńskiego karku;” a zresztą nie najlepiejby to zalecało wychowanie domowe i szkolne autora, gdyby w 15-letnim chłopcu już się taka odzywała emancypacya. Inni są *naoczny*mi świadkami poznania się Mickiewicza z Puszkimem w Odessie, kiedy jako żywo jednocześnie w tém mieście nie byli, i znajomość z sobą zabrali dopiero za powtórną bytności Adama w Petersburgu. Inni każą nieznanym osobiście poetom, przy pierwszym przypadkowym spotkaniu się na ulicy, od najpiérwszego słowa rozmawiać z sobą *wierszami*; jak gdyby poeci i zbiegli z czubków, nawet w najpowszedniejszych okolicznościach życia, jedną chodzili ścieżką.

Najlepiej się jednak popisał pan L. P. ze swojemi opowiadaniem o pobycie Adama Mickiewicza w Kownie, włożonemi niby w usta dyrektora gimnazjum tamecznego, nie żyjącego już dzisiaj Dobrowolskiego. Widać że autor nader wiele przywiązuje do nich wagi, bo wydrukowawszy po raz pierwszy w roku 1854 nie pamiętam już w którym z pism warszawskich, ponowił wydanie w r. 1858 w warszawskiej *Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych*, a teraz przedrukował po raz trzeci. Znajdujemy tu przedziwne rzeczy, godne zaprawdę już co najmniej wymalowania węglem na kominie. Mickiewicz, syn wprawdzie bynajmniej nie zamożnego, ale też nie w nędzy zmarłego adwokata i właściciela ładnej posesyji w Nowogródku, krewny bezdzietnego profesora uniwersytetu, który się nim po śmierci ojca opiekował, dobrze na owe czasy uposażony nauczyciel etatowy, z tém mogący mieć kredyt chociażby u żydków kowieńskich, żyje w Kownie jak nędzarz ostatni, nie ma co jeść prócz kartofli, a całą jego pociechą fajka; aż się nareszcie czuły dyrektor nad nim zlitował i do kartofli dodał kawałek sztuki mięsa a żona jego koszule dla autora *Switezianki* na kredyt uszyć kazała. Ej ci poeci! zawsze byli nie dobrego, i zawsze potrzebowali dyrektorów, coby za nich podejmowali troskę o zupę i chustki do nosa. Nieszczęściem p. L. P. zapomniał, że nowo-mianowanym profesorom wychodzącym z seminaryum nauczycielskiego, a takim właśnie był Mickiewicz, uniwersytet wileński dawał pieniądze na opędzenie piérwszych potrzeb nowego stanowiska. Łaskawość tedy Dobrowolskiego w tym razie przynajmniej była zbyt uczynna. Za tę jednak łaskawość Mickiewicz deklamuje Dobrowolskiemu „piérwszą pieśń” *Grażyny*, która jest napisana w *jednej* pieśni i przed wydrukowaniem inue nosiła nazwisko; na prozaiczne zaś pytania dyrektora odpowiada urywkami ze swoich najpatetyczniejszych wierszy: „Serce bije gwałtownie, oddechem nie władnę!... Mło-

dościł ty nad poziomy wylatuj!....” Przypomina mi to nie wiem dlaczego dotąd nie drukowaną komedyjkę niewyczerpanego w dowcipie Juliana Horaina, w której poeta romantyczny ubiegający się o córkę mandaryna chińskiego, jeżdżąc na kijku deklamuje ogniste wierszydła przedrzeźniające *Farysa*. Jak można nie widzieć śmieszności podobnej roli, a zwłaszcza narzucać ją pisarzowi, który w obcowaniu z ludźmi zawsze był żartobliwym, zawsze lekko traktował swą wielkość, „kropił” wiersze *Pana Tadeusza*, i nudził się „udręczeniami sławy, która mu wody w Karlsbadzie emetykiem zaprawiała?” Widzimy to i w listach A. E. Odyńca z podróży odbytej z Mickiewiczem za granicą (1), i w listach samego Mickiewicza, i nawet w jego utworach poetyckich:

„Gdy mię *spokojnym* zowią dzieci świata,
 Burzliwą duszę kryję przed ich okiem,
 I obojętna duma, jak mgły szata,
 Wnętrzne pioruny pozłaca obłokiem;
 I *tylko w nocy*—*cicho*—na twe łono
 Wylewam burzę we łzy roztopioną.“

Cała powieść pana L. P. o pobycie Mickiewicza w Kownie, jest po prostu najniebezpieczniejszą travestycją ustępów z dzieł poety, obok zupełnej nieznanomości szczegółów jego życia prywatnego. Tak np. powiada, że Mickiewicz po wyjeździe z Kowna, a przed wyjazdem do gubernij południowych, zatém w latach 1823—1824, „dom swój niegdyś mieszkalny (?) w Nowogródku, znalazł opustoszałym, zrujnowanym, a zaburzenia wojenne były tego przyczyną.” Ten niby szczegół historyczny jest po prostu skłecony ze sceny przybycia Gustawa do rodzinnego domu, odmalowanej w czwartej części *Dziadów*, (ob. wyd. warszawskiego t. II str. 266):

„Niedawno odwiedzałem dom nieboszczki matki;
 Ledwie go poznać mogłem! już ledwie ostatki!
 Kędy spojrzysz rudera, pustka i zniszczenie:
 Z płotów koły, z posadzek wyjęto kamienie,
 Dziedziniac mech zarasta, piołun, ostu zioła,
 Jak na cmentarzu w północ milczenie dokoła!

(1) Śliczne te listy, pisane w r. 1829 do Juliana Korsaka i Ignacego Chodźki, drukuje od czasu do czasu dwutygodnik tutejszy *Kronika Rodzinna*, której p. Odyniec jest współredaktorem. Mamy już ich kilkadziesiąt; obejmują podróż przez Drezno, Teczen, Cieplice, do Karlsbadu, obszernie opisują pobyt Mickiewicza w Wejmarze u rodziny Goetego, i kończą się tymczasem przejażdżką po Renie i Szwajcaryi. Zostaje więc jeszcze bardzo wiele do wydrukowania, bo podróż po Włoszech, oraz powtórny przydłuższy pobyt w Niemczech.

O, inny dawniej bywał przyjazd mój w te bramy,
 Po krótkim oddaleniu gdym wracał do mamy:
 Już mię dobre życzenia spotkały z daleka,
 Życzliwa domu czeladź aż za miastem czeka,
 Na rynek *siostry*, bracia wybiegają mali,
 Gustaw! Gustaw! wołają, pojazd zatrzymali.
 Lecą nazad, gościńca wziąwszy po pierogu,
 Mama z błogosławieństwem czeka mnie na progu,
 Wrzask spółuczniów, przyjaciół, ledwo nie zagłuszy;
 Teraz pustka, noc, cichość, ani żywéj duszy!
 Słychać tylko psa hałas i coś nakształt stuku;
 Ach! tyś to psie nasz wierny, nasz poczciwy Kruku,
 Stróżu i niegdyś całej kochanku rodziny,
 Z *licznych sług* i przyjaciół tyś został jedyń!
 Choć głodem przemorzony i skurczony laty,
 Pilnujesz wrót bez zamka i bez panów chaty.
 Kruku mój! pójdz tu Kruku!—Bieży, staje, słucha,
 Skacze na piersi, wyje i pada bez ducha!...
 Ujrzałem światło w oknach; wchodzę, cóż się dzieje?
 Z latarnią, z siekierami plondrują złodzieje,
 Burząc do reszty świętój przeszłości ostatki!
 W miejscu, gdzie stało niegdyś łóże mojej matki,
 Złodziej rąbał podłogę i odrywał cegły;
 Schwycilem, zgniotłem: *oczy na łeb mu wybiegły!*
 Siadam na ziemi płacząc w przedporannym mroku.
 Ktoś nasuwa się kijem podpierając kroku.
 Kobięta w reszcie stroju, schorzała, wybladła,
 Bardziej do czyscowego podobna widziadła;
 Gdy obaczy straszliwą marę w pustym gmachu,
 Żegnając się i krzycząc słania się z przestachu.
 —Nie bój się! Pan Bóg z nami! ktoś moja kochana?
 Czego po domu pustym błąkasz się tak z rana?
 „Jestem biedna uboga, ze łzami odpowie:
 W tym domu niegdyś moi mieszkali panowie.
 Dobrzy panowie, niech im wieczny pokój świeci!
 Ale Pan Bóg *nie szczęścił dla nich i dla dzieci,*
Pomarii, dom ich pustką, upada i gnije,
 O paniczu nie słychać, pewnie już nie żyje.”
 Krwią muie serce zabiegło, wsparłem się u proga...
 Ach! więc wszystko minęło?”

Gdyby w tym ustępie szukać rysów biograficznych autora, przyszlibyśmy do dziwnych sprzeczności z wiadomemi szczegółami jego życia: musielibyśmy dać mu *liczne* sługi, których dom nie bogaty trzymać nie mógł, obdarzyć *siostrami*, których nie miał, *osierocić z całej rodziny*, gdy dwaj bracia przeżyli Adama, wreszcie uczynić *mordercą*, chociaż w całym swém życiu myszki szkodnicy może nie zamordował. To jednak nie przeszkodziło

panu L. P. wziąć ów ustęp za opis wypadku rzeczywistego, a przenosząc go w lata 1823—1824, dodać do powyższych niedorzeczności nowe o zaburzeniach wojennych. Mickiewicz na nauki do Wilna wyjechał w roku 1815, do Petersburga zaś w r. 1824; przez ten czas co rok prawie bywał w Nowogródku. Owóż w tym czasie okresie żadnych wojen w okolicach Nowogródka nie było; żadne zaburzenia wojenne w bież. wieku nie zniszczyły ani jednego domu w Nowogródku; starszy brat Adama Franciszek, z razu pospołu z matką, a następnie sam jeden, spokojnie mieszkał w rodzinnym dworku. P. L. P. nawet na to nie zwrócił uwagi, że czwarta część *Dziadów* wyszła po raz pierwszy w roku 1822, była więc napisana w 1820 lub 1821, a zatem nie mogła stać się odbiciem wypadku, który rzekomo miał się przytrafić w 1823—1824. W obec takiej gmatwaniny niech się schowają Kaulubkowie i Stryjkowscy ze swoimi Alexandry Wielkimi i Palemony.

Nie ulega wątpliwości, że w *Dziadach* nie jeden szczegół z życia autora odbił się w pryzmatycznym rozkładzie na kolory; jest też i w przytoczonym powyżej ustępie parę takich rzeczywistych szczegółów, reszty zaś dosnuła wyobraźnia. Pierwszym z owych szczegółów jest zgon ukochanej matki poety, zgasłej dnia 9 października 1820 roku, zatem wtedy właśnie, kiedy według wszelkiego prawdopodobieństwa pracował nad czwartą częścią *Dziadów*. Bolesć tedy rzeczywista podsunęła wyobraźni wieszczka to wzniosłe i okropne zarazem widzenie pustkowi. Drugim faktem wziętym z rzeczywistości, jest zwrot do „poczciwego Kruka”. P. Odyniec w cytowanych powyżej listach z podróży, a mianowicie w liście z Karlsbadu 12 sierpnia 1829, daje o tym ulubieńcu Adama następujące równie piękne jak proste wspomnienie:

„Pytał mię (Mickiewicz), co się stało z tłustym a złym mopsem panien marszałkówn S., który tak nie cierpiał Adama, że go ciągle z pod krzesła chciał kąsać za nogi, ambarasując tém niepomału swe panie, które się zarówno lękały obrazić faworyta jak gościa. Mówiąc stąd o psach innych, że go zwykle lubiły, opowiedział mi wzruszające zdarzenie z Krukiem, wielkim czarnym psem jego rodziców, z którym w dzieciństwie żył w wielkiej przyjaźni. Raz dano mu na podwieczorek porcję chleba z masłem. Oszątkę jej chciał dać Krukowi, ale Kruk porwał ją całkiem. Malec rozplakał się głośno; czém widać poruszony czworonogi przyjaciel, chleb, który już miał w paszczęce, złożył na jego kolanach, i podzielili się nim po połowie. W wiele lat potem w Kownie, gdy raz wedle zwyczaju spacerował w nocy w dolinie, zjawił się nagle nie wiedzieć zkąd pies jakiś, i zaczął się łasić do niego; ale tak był podobny do Kruka, że go to przeraziło nie żartem. Przyszła mu na myśl scena z *Fausta* Götthego, w której dyabeł w postaci czarnego pudła przyplątał się na przechadzce do Fausta, nim się w domu nakoniec w Mefistofelesa przemienił.

A wrażenie to tak było mocne, że ledwo szybkim krokiem doszedłszy do miasta, i nie oglądając się po za siebie, ochłonął powoli z tej myśli, że pies nie pies prosty biegł za nim”.

W tym wypadeczku odmalował się cały Mickiewicz, karmiony w dzieciństwie wiejskimi baśniami piastunek, pozwalający wyobraźni górować nad chłodną rozważą nawet w najzimniejszych robotach umysłu, skłonny do szukania nadprzyrodzoneści nawet w rzeczach najbardziej realnego porządku. Takich scen powszednich z pozorów, lecz malujących nastrój umysłowy wieszczą i tłumaczących niejedną część jego dzieł poetyckich, scen niekiedy zabawnych, jak np. poznanie się z rzeźbiarzem Davidem w Wejmarze, niekiedy sięgających aż do szczytu mistycyzmu, jak we wróżeniu z pierścionków, możnaby mnóstwo przytoczyć z listów Odyńca. Gdy atoli zadaniem mojem nie jest w tej chwili studium nad charakterem Mickiewicza, lecz jedynie rozświecenie wikłaniny snutej około imienia poety, wracam raz jeszcze do p. L. P. i jego wspomnień historycznych.

Wierząc na słowo niektórym poetom, a zwłaszcza wschodnim o „opętaniu” przez ducha twórczości, dziwne sobie ukuto wyobrażenie o tym wykwiecie pracy umysłowej. Pomieszano uroczystą chwilę zstąpienia natchnionej myśli do głowy artysty, z mozolnymi godzinami i dniami jej urzeczywistnienia w dziele sztuki; a to dwie rzeczy całkiem różne. Zapomniano, że im tłum myśli większy, im gra kolorów wyobraźni żywsza, im uczucia głębsze i rzewniejsze, tem większej potrzeba refleksyi, aby je w całość ogarnąć, w ładzie utrzymać i w formie artystycznej odtworzyć. Tęgo zapomnienia dopuścił się także p. L. P., a w dodatku rzucił jeszcze obelgę na ciche i skromne życie poety, który z łagodnym uśmiechem na ustach umiał sprzedać ostatni zegarek na potrzeby pielęgnowania chorób małżonki. Znana jest scena towarzysząca *Improwizacji* Mickiewicza; zobaczmyż, w jaki ją sposób przerobił. Oto co mówi już nie przez usta Dobrowolskiego, lecz sam od siebie o pobycie Mickiewicza w Dreźnie:

„Znałem go przed laty w Dreźnie, widywałem często. Pomnę jak sam pewnego razu byłem z nim u dawniej mojej znajomej; Adam dnia tego był zamyślony, mało mówiący. O szarej godzinie córka gospodyni domu siadła do fortepianu i smutne jakieś akkorda na nim grać zaczęła, zgodne może z tem, co się w duszy wieszczą działo. Wtem Adam wstaje z miejsca, przystępuje do fortepianu, a oparłszy się o krawędź krzesła *impro wizować* zaczyna. Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie słowa jego uczyniły na nas; każdy miał łzy w oczach, i kiedy poeta zamilkł i wyszedł z pokoju, długo jeszcze pomiędzy nami uroczyste panowało milczenie. Adam podówczas dużo pracował, a kiedy czuł się natchnionym, postawiwszy u siebie na stole *parę butelek wina* (czemuż przynajmniej nie jedną?) i kawałek chleba, zamykał się w swoim pokoju choćby przez dobę całą, i nie wychodził, aż to co miał na sercu, rzucił na papier. Wtedy *zastawaliśmy* go

leżącego jak bez ducha na łożku; wysilenie władz umysłowych pokonywało w nim siłę żywotną”.

Szkoda, że p. L. P. nie uzupełnił obrazu: wszak czego nie kupować, tego nie żałować; a mógłby nam np. powiedzieć, jak Mickiewicz drapował się w swojej todze przystępując do improwizacji, i jakich to dwóch gatunków wina używał dla wykrzesania natchnienia. Przykro mi, że na zasadzie najautentyczniejszych danych muszę zwalić te wszystkie twierdzenia. Mickiewicz trzema nawrotami był w Dreźnie: dwa razy jedynie przejazdem, raz zaś bawił przez kilka miesięcy. Podczas pierwszego i drugiego pobytu *nie zgoła ani pisał, ani improwizował*; za trzecim zaś pobylem wprawdzie tłumaczył *Giaura* i pisał rzeczy oryginalne, lecz *nie improwizował ani razu*. Przypadek zemdlenia przy pracy raz się tylko przytrafił, a i wtedy bynajmniej *nie p. L. P.* przywoływał poetę do przytomności. Co zaś do owych *dwóch* butelek wina, widać, że p. L. P. nigdy na prawdę z twórczością artystyczną nie miał do czynienia, jeśli przypuszcza, że szynkowniany układowca suplik i poeta mogą pracować w jednostajnych warunkach. Tyle w tém prawdy, ile w całej gawędzie o zburzonym domu, o improwizacyach i mdłościach; to jest słyszano, że się dzwoni, ale nie wiedziano w którym kościele.

Nie przypuszczam ani na chwilę, żeby te wszystkie ublizające pamięci autora *Pana Tadeusza* nieprzyzwoitości miały pochodzić ze złego zamiaru. Panu L. P. po prostu fatalnie nie szczęści się w uwielbieniach. Wszak i wysławiany przez niego Dobrowolski, w końcu końców Bóg wie na co wychodzi. Mickiewicz przed przybyciem do Kowna był już poetą *drukowanym*, a pan dyrektor i całe gremium gimnazyalne kowieńskie łamią sobie głowy nad pytaniem: czy nowo przybyły nauczyciel jest poetą, czy tylko zakochany po uszy? I to wszystko dzieć się ma o dziesięć mil od Wilna, w gronie przewodników młodzieży, pomiędzy którymi byli nawet współwychowawcy Mickiewicza z seminarjum nauczycielskiego! P. L. P. tedy nie zawinił złą wolą, ale zawinił, że wziął się nie za swoje. Legenda może być tylko poetycznym dosnutciem nieznanym szczegółów rzeczywistego wypadku; kto tego zrobić nie umie, niech co innego wybiera, a pamięć wielkich zmarłych komu innemu do przechowania zostawi.

W. Korotyński.



PISMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Nowy wykład Ekonomii Politycznej wygłoszony na wydziale prawnym w Paryżu 1864—1865. przez A. Batbie profesora ekonomii politycznej; tłumaczył W. Strażyński. Tomów II. W Krakowie. W drukarni Wincentego Kirchlmayera 1870 r.

P. Batbie zaszczytnie znany z prac swoich w przedmiocie prawa administracyjnego, objął w r. 1864 świeżo utworzoną katedrę ekonomii politycznej przy paryzkiej szkole prawa. Wykład rozpoczął w roku pierwszym od ogólnego poglądu na naukę ekonomiczną. Prolekcye swoje ogłosił drukiem, jak pisze w przedmowie, zachęcony przez przyjaciół, i chcąc tym którzy go nie słuchali w roku pierwszym, podać sposobność przygotowania się do kursów lat następnych. Tłumacz z swej strony dodaje, że: „uad obrobieniem dzieła autor żadnej nie zadawał sobie pracy. Jak mówił wykładając, tak stenograf pisał, a pan Batbie nic albo mało co poprawiwszy kazał dzieło wydać.”

Widocznie w takich warunkach nie mogło powstać arcydzieło. Wykład nosi na sobie cechę dorywczności, do której pan Batbie sam się przyznaje. Tak np. prelekcją siódmą zaczyna od oznajmienia słuchaczom, iż odebrał od jednego z nich list, w którym korrespondent dowiedział mu znacznego z jego strony zapomnienia. „Zapomniałem, mówi, przedstawić panom ogólnego planu moich wykładów”; co w części pan Batbie usprawiedliwia tóm: „iż do podziałów klasyfikacyjnych nie przywiązuje takiej jak inni wartości”.

Trudno jest więcéj boz żeny (*sans gêne*) traktować swoich słuchaczy i przedmiot wykładany. Taki rodzaj wykładu czyni przecież dzieło pana Batbie ogólnie przystępnóm, choć może nie zawsze bez ujmy jego naukowej wartości.

Tłumacz dzieła p. Strażyński, w przedmowie oświadcza, iż chciał: „ażeby to dzieło i w polskim języku zachowało niezbyt opracowaną formę”; przyznaje przytém że: „będąc rolnikiem a nie literatem, mógł wiele popełnić błędów i usterek”.

Odczytawszy dzieło w polskim tłumaczeniu, przyszedłszy do przekonania iż nie jest tak złe, jakby to z poufnych zwierzeń autora i tłumacza wnioskować można.

Wykład pana Batbie z przyjemnością i nie bez pożytku czytać się daje. Tłumaczenie polskie nie zalicza się do wzorowych, nie może iść na równi np. z wypracowanym przekładem Say'a przez Dzierożyńskiego, lepszym jest wszakże od wielu innych tłumaczeń dzieł ekonomicznych, których wymieniać tu nie chcemy. Tłumacz osiągnął po części swój cel przysłużenia się literaturze ojczystej i umiejętności przez siebie ulubionej.

Cel ten byłby w wyższej jeszcze mierze dopięty, gdyby tłumacz chciał zastosować się do przyjętego sposobu mówienia, a tam gdzie nie ma jeszcze utartych wyrażeń naukowych, gdyby był uwzględnił terminologią swoich poprzedników, gdyby przytém opatrzył dzieło pana Batbie wydane w r. 1865, dopiskami, jakie upływ czasu zmieniając stan rzeczy, niezbędnymi uczynił.

Usprawiedliwiamy te zarzuty kilkoma przykładami.

Billet à ordre tłumaczy pan Strażyński przez: „skrypt na rozkaz”. W codziennem użyciu jest przeciwż wyraz: *suchy weseł*. *Frais généraux* oddaje p. Strażyński przez *koszta główne*; mówi się powszechnie *koszta ogólne*. *Kwota rozporządzalna* nie właściwie stoi u p. Str. za *część rozrządzalną*.

Terminologia naukowa ekonomiczna mniej jest u nas, niżby życzyć należało, ustaloną. Do ustalenia jej nie dojdziemy nigdy, jeśli każdy piszący w przedmiotach ekonomicznych będzie wynajdywał nowe wyrazy na oznaczenie pojęć już dawno znanych. Lepiej nie uganiając się za nowościami przyłączyć się do którego z dawniejszych jakąkolwiek wziętość mających pisarzy, lub czerpać z skarbnicy mowy potocznej.

Jednym z głównych praw ekonomicznych jest np. prawo oznaczające zależność ceny każdego towaru od ilości tego towaru, jaka jest żądana do kupua, tudzież ilości jaka jest wystawiona na sprzedaż. Przed pięćdziesięciu laty Francuzi nie mieli jeszcze ustalonych na te pojęcia wyrażeń technicznych. Say w swoim *Traktacie* używa rozmaitych omówień; pisze np.: „quantité offerte, quantité en circulation”. Czwarte wydanie jego traktatu ogłoszone w Paryżu w r. 1819, wyszło u nas w przekładzie w r. 1821. Tłumacz niezbyt szczęśliwie silił się na oddanie tych zasadniczych terminów ekonomicznych. Wreszcie jakby uznając bezowocność swoich usiłowań pisze zniechęcony pod koniec dzieła w przypisku (Tom II str. 484).

„Te wyrazy ilość potrzebowana, ilość której żądamy, ilość do której nabycia mamy sposobność, oraz ilość ofiarowana, ilość która może być dostarczoną, są tak we francuzkim jak w polskim języku

omówieniem rozwlekłém i nieznośném aby wyrazić wyobrażenie zawierające się w dwóch słowach angielskiego języka „want et supply.

Nawiasom mówiąc Anglicy zamiast *want*, częściej dziś używają *demand*.

Francuzi ustalili w czasach późniejszych swoją terminologią i teraz mówią powszechnie „*l'offre et la demande*.”

U nas niemal każdy inaczej pisze, a jeszcze inaczej się mówi.

W potocznej mowie powiemy np. że na targu *dowóz* był wielki a *pokup* mały i z tego powodu żyto staniało; albo że: *dowóz* był mały a *pokup* wielki i z tego powodu owies zdrożał; wyrażając w ten sposób stosunki regulujące cenę przedmiotów według zasad ekonomistów.

Dla tych ostatnich mowa potoczna nie wystarczyła. P. Supiński zapatrując się może na niemieckie, Angebot i Nachfrage utworzył wyrażenia podaż i popyt, które przyjęła między innymi w swoich sprawozdaniach Gazeta Handlowa Warszawska. Wątpię jednak czyli te wyrażenia wejdą w powszechne użycie.

Podaż brzmi jakoś dziko. Popyt jest niepotrzebną a nawet błędną subtylizacją. Nie dosć żeby się o towar pytano, trzeba żeby go rzeczywiście kupowano. Pan Strażyński w tłumaczeniu *Batbiego* przyjmując wyraz popyt, uderował nas ze swojej kuźni *przedstawcą* na oznaczenie tego co pan Supiński podaży nazwał.

Nie śmiem wróżyć powodzenia przedstawie. Wolalbym już dostawę, która mowie potocznej nie jest obcą, znaczy to samo co *dowóz*, a zaciera przebijający się w tym ostatnim wyrazie względ uboczny na zamiejscowe pochodzenie towaru. Pokup przeniósłbym stanowczo nad popyt (1).

Nakoniec do niedostatków pracy pana Strażyńskiego zaliczyliśmy i to, że pisząc w r. 1869 nie ostrzegł w dopiskach czytelnika o zmianie stanu rzeczy, tam gdzie takowy nastąpił od r. 1865 to jest od czasu wykładu *Batbiego*.

Za przykład niech nam tu posłuży T. I str. 278, gdzie *Batbio* mówi o bilonowaniu monety zdawkowej 20 i 50 centymowej, i oświadcza się przeciw bilonowaniu sztuk wyższych 1, 2 i 5 frankowych. Nie było zbytecznym dodać w przypisku że bilonowanie sztuk 1 i 2 frankowych na tych zasadach co monety zdawkowej, to jest ze zmniejszeniem stosunku czystego srebra z 900/1000 do 835 zaprowadzonym zostało we Francyi na mocy konwencji zawartej w d. 23 grudnia 1865 między Francją, Belgią, Szwajcaryą i Włochami (p. Wołowski *La Question monétaire* s. 197). Z.

(1) Wyrażenia, dostawa i pokup użyte były już w r. 1850 w Bibliotece Warszawskiej T. I str. 107 artykuł: „Ekonomia polityczna i stan jej w naszym kraju.”

Gramatyka języka polskiego, dla użytku szkół elementarnych, ułożona p. Władysława Lercla. Kraków. 1869. str. 115.

Gdy w roku 1863 Dr. Antoni Małecki ogłosił swoją „Gramatykę języka polskiego,” Biblioteka Warszawska zamieściła kilka o niej recenzyj, w tej liczbie Ign. B. (w grudniu 1863 r.). Nie wchodzimy w rozbiór zarzutów robionych uczonemu professorowi, bo te do rzeczy na ten raz nie należą; nadmienimy tylko, że z powodu recenzji p. Ign. B., wykazującej potrzebę sprostowania niektórych hypotetycznych twierdzeń i *uelementaryzowania*, jak się wyraził, całości dzieła, skoro ono ma być podręczną książką naszą uczącę się młodzieży, Dr A. Małecki w stanowczych słowach (styczeń 1864) odwołał się do moralnych praw własności literackiej i zabronił komubądź obcemu „elementaryzowania” gramatyki swojej. Takie *acerbum dictum* miało pożądaną dla Dra A. M. skutek, nikt tu u nas nie odważył się iść drogą uprawianą dziś tak niefortunnie przez p. Jagielskiego, każdy uszanował własność literacką. Jakkolwiek przeto tu i owdzie wprowadzono gramatykę Małeckiego, sumienni wszakże nauczyciele w prawdziwym nieraz byli kłopotcie: jak się wywiązać z tylolicznych wątpliwości i trudności, tak często napotykanych przy wykładzie języka podług systemu Małeckiego; prostém następstwem czego było zarzucanie tej gramatyki i szukanie innych dróg, więcej odpowiednich względem pedagogicznym, tém bardziej że nie długo potem wystąpił na arenę naukową autorytet kiedza Malinowskiego, z którym się z konieczności rachować potrzeba.

Obecnie zacytowana gramatyka p. Wład. Lercla obiecuje nam więcej, niżliśmy marzyć mogli; bo gdy u nas widziano trudności do wykładu gramatyki Małeckiego w szkołach średnich, autor nowego dziełka napisanego na podstawie Małeckiego, przeznaczają do użytku szkół elementarnych. A co najważniejsza, w przedmowie wyznaje, że wydał pracę swoją „za wiedzą i upoważnieniem W-go. Dra. A. Małeckiego.” Nie zwrócilibyśmy może wcale uwagi publicznej na wspomnianą książeczkę pana W. L., ale ponieważ ostatni wzgląd może nie jednego zaciekawić, jak zaciekawili nas samych, a autorytet Małeckiego może wielu w błąd wprowadzić, co do istotnej wartości tej pracy, uważamy za stosowne podać krótką ocenę tego dzieła.

Mażto być owa „uelementaryzowana” Gramatyka Małeckiego, jakiej autorstwa i własności bronit uczonego professor? Wątpimy bardzo... a lubo nie zdarzyło się nam dotąd nigdzie przeczytać, jaki jest sąd *naukowy* samegoż Małeckiego o dziełku pana W. L., prawie jesteśmy gotowi zaręczyć, że się przyznać do niego nie zechce, a przynajmniej nie powinien... Książeczka ta bowiem nie ma żadnego ani naukowego, ani elementarnego, ani jakiegobądź pedagogicznego znaczenia; jest mozaiką suchych, bezbarwnych ter-

minów; niespojnych i bezcelowych podziałów; dziwacznych określeń, pełnych sprzeczności najmocniej rażących, w którychbyśmy napróżno szukali ducha języka polskiego. Przykro jest, zaprawdę, pomyśleć, że ci oto, którzy stać winni na straży czystości, jasności i nieskazitelności mowy, sami na takie bezdroża wpaść mogą i zamącać młode umysły jałowemi terminami bez sensu, bez celu, bez treści!

A potrzebaż dziś jeszcze po Piramowiczu, dowodzić komu-bądź, że napisać książkę elementarną jest w pewnym względzie trudniej, niż dzieło naukowe ułożyć; wtajemniczeni tylko a prawdziwi kapłani naukowci, posiadający niezaprzeczony talent jasności pedagogicznej, znajomości natury dziecinniej, mogą godnie się wywiązać z tej skromnej napozór, a tak w istocie ważnej pracy, jak książka elementarna. Wykład zaś najważniejszej ze wszystkich nauk elementarnych, nauki języka ojczystego, traktowany być powinien z możliwą bacznością, bo nauka ta rzucić ma w umysł dziecięcy nasiona pierwszorzędnj ważności. Wpłynąć ona może na dodatni lub ujemny kierunek intelektualny, to jest, albo zdoła rozbudzić działalność władz umysłowych, przez szczęśliwe stopniowanie zainteresowania obudzić zamiłowanie do nauki głębszej; albolitéz mdłym, konwencyjonalnym traktowaniem rzeczy odrazu zniechęcić umysł dziecka. Dla uniknięcia tej zgubnej rutyny, przy wykładzie języka ojczystego jedynie właściwą metodą, podług naszego przekonania, jest metoda przyrodzona, genetyczna. Od Wursta począwszy, ileżto dzieł mamy w tym kierunku, nietylko w niemieckiej, ale we wszystkich prawie literaturach europejskich! U nas tylko panowie prawodawcy językowi wołają zawsze *antiquo more* bawić się w subtelności etymologiczne i wpychać w umysł nieprzysposobiony całe swoje scholastyczne rusztowanie, począwszy od owego sakramentalnego: „gramatyka polska jestto nauka, obejmująca prawidła dobrego językiem polskim mówienia i poprawnego pisania” (dlaczegoż i nie czytania?) i stopniowo, albo i wcale bez stopniowania wciskać w głowy dziecinne rozmaite głosownie i pisownie, przybranki i przydawki, deklinacye i konjugacye, z ich źródłosłowami i zakończeniami, z ich spółkami i trybami przypuszczającymi... Ciekawym, czy był gdzie na świecie taki nowy Pestalozzi polski, któryby potrafił dziecku w rozumny sposób udostępnić chociażby jedno tylko z tego wszystkiego, chociażby ów tryb przypuszczający? Bo wszak w szkole elementarnej nie chodzi wcale o zasób surowego materiału naukowego, ale o rozwijanie władzy myślenia za pośrednictwem logiki języka, przy używaniu zaś metody analitycznej, dopięcie celu tego jest prostym niepodobieństwem. Czyż nie jaśniej i stokroć naturalniej zacząć wykład od tego, co istotę gramatyki stanowi, od myśli i ich obłocza, to jest od zdań, ich kształtów i treści wewnętrznej. Metoda genetyczna jest tak wprost do celu trafiająca, tak zespolona z koniecznym przy nauce języka czytaniem wypisów, w tak przyrodzony sposób wprowadza ucznia do przybytku wiedzy, że dziwimy

się bardzo tym wszystkim, którzy upoczywie trzymają się ścieżek staroświeckich. Wynikiem tego jest owo powszechne zniechęcenie młodzieży do téj najżywotniejszej nauki, a za tę apatyą, a może i za dzisiejszy rozstrój na polu językowym, odpowiedzą przed Bogiem i przed potomnością panowie twórcy podręczników elementarnych, jakotóż i ci może, co sterując oświacie ludowej, stygmat swojego „*imprimatur*” kładną na nich. Tém mocniej zarzut ten dotkliwy ciężać powinien na takich dziełkach, jak pana W. L., które naprędce w ciągu kilku dni jako tako się zszywają, bez myśli głębszej, bez prostéj oględności, by wytłumaczyć dziecku, co za myśl przywiązywać mamy do tego lub owego terminu; bez takiéj nawet koniecznej oględności, by mówić o tém tylko, co się przydać może w ciągu opowiadania dalszego, a zamilczć o tém, co nie będzie miało zastosowania.

Żeby nas wszakże nie posądzono, że ogólnikowe wypowiedzi nasze zdanie, na faktach nie oparte, poprzemy ocenę naszą kilku dowodami, z dziełka zaczerpniętymi.

Głosownia, nie tylko jak na elementarne dziełko, napisana za obszernie, ale nadto niema ona najmniejszej spójni z całym układem gramatyki, niema zastosowania ani przy rzeczownikach, ani przy słowach. Rodzi się tedy pytanie: po co dziecko mozolić się ma nad tą głosownią, skoro ona przydatną do niczego nie jest? To niebaczne pominięcie było przyczyną, że deklinacje rzeczowników, ich odmiany, są najzupełniej dowolne. Myślący uczeń nie rozwiąże kwestyi: dlaczego w pierwszej odmianie w spadku 7, jeden rzeczownik kończy się na *e*, drugi na *u*; w trzeciej na *e* i *i*; w pierwszym spadku l. m. na *y* lub *e* i t. d. Jeszcze większej nieudolności i niedbalstwa w układzie przedstawiają słowa: na str. 45 przy wyliczaniu czasów jest czas terazniejszy, a wcale nie spotykamy czasu *obecnego*; znalazł się on na str. 53 (plótlbym) lub na 59 (byłbym bity) i t. d. Przy czém nie widzimy, jakaby to być mogła różnica czasu obecnego od terazniejszego? Toż samo stosuje się do czasu *minionego* (str. 68), o istnieniu którego na str. 45 nie daje pan W. L. żadnej wiadomości; zjawia się on, jak *Deus ex machina* przy odmianie bezspójkowej. O téj spójce mówi coś tam wprawdzie p. W. L., ale nie widzimy wcale, po co ten termin figuruje w dziełku, gdy żadnego zastosowania przy odmianach czasowników foremnych nie wykazuje. Cała przeto podstawa czasowania słów z ich klasami i odmianami bezspójkowymi, jest dowolnością, której nigdzie nie usprawiedliwił autor. Możeby p. W. L. chciał się powołać na autorytet Małeckiego, z którego gramatyki wyjął swój szkielet; ale mu odpowiemy, że w gramatyce Małeckiego, lubo nie elementarnie wyłożone, ale czytamy podstawy naukowe do tego systematu; a p. W. L. wprowadzić tych zasad do pisemka swego nie potrafił. Zabawnie téż wygląda, że tylko na str. 48 t. j. przy słowach mówi autor o źródłosłowie i zakończeniu, jak gdyby tego nie było w rzeczownikach, jak gdyby np. ów szemat na str. 12 był czémś iuném, jak wykazem zakoń-

czeń? Źródłostków zwłaszcza umiłował sobie wielce p. W. L., bo daje aż dwie jego definicje: na str. 48 i 51; obie zaś do siebie tak podobne, jak hyppopotam do muszki mikroskopijnej... Wytłumaczenie znowu *pierwiastka* jest tak mgliste, że żadne dziecko tego nie zrozumie, bo p. W. L. mówi tam o „grupach” i „familiach” wyrazów, nie pofatygowawszy się gdziekolwiekbyż wyjaśnić, co to są te *familie*? W ogólności, w całym dziełku pełno jest terminów nie wyjaśnionych nigdzie w toku opowiadania; jak np. na str. 1 i na 10 *odmianna*; na str. 2 samogłoski „*pochylają się*”; na str. 7 mowa o *formie* wyrazów; na str. 108 imiona *spolszczone* i *niespolszczone* i t. d.

Chcąc sądzić o wartości składni, dość przeczytać określenia zdań względnych i zdań zależnych, które w całkiem identyfikującej przedstawiają się postaci, jak to wykazują przykłady: Bóg, który niebo i ziemię stworzył z niczego, jest wszechmocny. Dom, który od ciebie kupiłem, spalił się przed rokiem (str. 100 i 101); toż samo można powiedzieć o zdaniach wtrąconych i nawiasowych. Nie widzimy tu nigdzie wyjaśnienia stosunku zdań do siebie, nie widzimy ugrupowania zdań w ciągłej treści, i t. d., gdy, dość powiedzieć, że w całym dziełku wspomnienia nie ma o okresie. Za to czytamy coś tam o znakach przestankowych, na str. 113 mówi autor, że myśl skończona oddziela się kropką; a w jakich postaciach myśl ta wyrażać się może i kiedy może być skończoną, wiadomości o tym nie ma. Piramidalny nonsens czytamy na str. 108 o pisowni wyrazów cudzoziemskich. Powiada pan W. L., że „imiona spolszczone piszą się tak jak je po polsku wymawiamy, niespolszczone zaś tak, jak się we własnym języku piszą.” I daje taki przykład, że *Wolter* trzeba pisać po polsku, a *Rousseau* po francuzku?... Dlaczego „Rousseau” ma być gorszy od „Woltera,” niech będzie mądry kto zgadnie? Co do nas, to przyznać musimy, że nadaremno inozoląc sobie głowę nad tą arcysubtelną zasadą, nie potrafiliśmy jej zastosować nawet do nazwiska autora gramatyki: jak je w istocie podług tego pravidła odczytać potrzeba: „Władysława Lercla,” czy też „Lerkla,” gdyż brzmi ono z francuzka; a któż tam wiedzieć zdoła, czy nazwisko to do „spolszczonych,” lub też do „niespolszczonych” należy? Nie od dzisiaj studiując polszczyznę, sądziłem, że czytać przynajmniej porządnie się nauczyłem po polsku, autor nowej gramatyki elementarnej i tę skromną wiarę nielitościwie wytrącił nam z serca...

W ogólności bolejemy mocno nad biedną młodzieżą, która z tak lichych okrawków czerpać ma zasoby do znajomości języka polskiego.

Antoni Bączkiewicz.

Xenofonta wspomnienia o Sokratesie. Przekładał z greckiego Antoni Bronikowski. Ostrów. 1868. str. VIII, 167.

Przekłady, któremi p. *Bronikowski* od lat jedenastu przeszło obdarza naszą literaturę, możnaby podzielić na dwie klasy: jedne są gorsze, drugie lepsze, co zależy od rodzaju stylu, jakiego pisarz przekładowy używa. Tam, gdzie ten styl jest prosty i naturalny, gdzie się nie wznosi do abstrakcyjnych rozumowań, ani do wyższej retorycznej wzniosłości; gdzie w ogóle nie ma zbyt wielkiej subtelności w cieniowaniu myśli, tam przekład p. B. nic nie miał niemile rażącego.

Zupełnie rzecz się ma inaczej tam, gdzie powyżej wymionione własności są autora przekładowego cechą. Wówczas czytelnik gubi się w nierozwikłanej płataninie wyrazów tak dalece, że niokiedy sens staje się wtedy dopiero zrozumiałym, gdy się zajrzy do oryginału. To też najszcześliwiej wyszły w przekładzie p. B. *Dzieje Herodota* (1862) i *Fisma Xenofonta*; za to *Tucydides* i *Platon* nie zbyt są zapewne wdzięczni p. B. za polską szatę, w którą ich przyodział.

Do lepszych przekładów liczymy także i ten, który na początku wypisaliśmy. Już sam wybór tego niewielkiego pisemka Xenofonta zasługuje na pochwałę. Jestto jedyne prawie wiarogodne źródło, z którego zaczerpnąć możemy wiadomości o charakterze, sposobie nauczania i całej filozofii Sokratesa. Xenofont spisywał swoje wspomnienia o tym praktycznym mędrцу starożytnej Hellady, jako wierny, społeczny historyk, nie zaś jako samodzielny filozof; ztąd większą mamy rekojmie w jego opowiadaniu aniżeli w *dyalogach Platona*, który przedstawiał swoją raczej, niż Sokratesa filozofią. Dziełko więc Xenofonta jest w tym względzie nieocenionej wagi. Przekład jego na język polski nie przedstawiał wielkich trudności; mało bowiem jest pisarzy z taką prostotą, nie pozbawioną jednakże pewnego wdzięku, wyrażających się, jak jest Xenofont. Jasność wykładu i brak długich, zawitych okresów, pozwoliły p. B. jako tako zachować swoją teorię niewolniczego tłumaczenia, o tyle przynajmniej, że choć nie wygodnie, z trudem, przybywamy przecież do sensu.

Nieszczęśliwe jednakże nawykniecie do jakichś niezwykłych wyrażeń i wyrazów przez siebie samego utworzonych, niesłychanych form gramatycznych i t. p. równie tu, jak i w innych przekładach nie odstąpiło p. B. Na próbkę przytoczymy kilka przykładów, bo wyliczać wszystkie błędy byłoby niepodobieństwem. *Tym napięciój* (str. 102) zam. *z tym większą gorliwością; zapaskiwanie się* (str. 104) zam. *zapaśnictwo; zdarzał* (str. 105) zam. *sprawił, przynosił; patrzących* (str. 105) zam. *zwróconych; mniej się na bacznosci, abyś i ty krów mniej licznemi nie sprawiał* (str. 15), zam. *abyś nie zmniejszył liczby krów; zatuszyli o sobie* (str. 17) zam. *byli pewni siebie,*

ladaszczy (str. 19) w znaczeniu *zły* (πονηρός); my znamy ten wyraz jako prowincjonalizm w znaczeniu *leniwy, próżniak; sadowij* (str. 20) zam. *każ siedzieć* i t. d. i t. d.

Rzecz szczególna. Podług p. B. zdaje się być już regułą raz na zawsze ustanowioną, ażeby błędy, jakie wskazaliśmy, powtarzać w każdym swoim przekładzie. Od najpierwszego bowiem tłumaczenia, z którym wystąpił p. B. w 1857 r. t. j. od *Ekonomika Xenofonta* nieraz już zarówno w Bibl. Warsz. (mianowicie w 1861, zeszyt styczniowy) jak w innych pismach skarżono się na język i styl niezmordowanego tłumacza. Zarzuty te można głównie zredukować do dwóch: 1) Niewolnicze trzymanie się nie już sensu pewnego zdania lub okresu, ale następstwa zdań w okresie, a nawet następstwa wyrazów w zdaniu; skutkiem tego powstaje twardość stylu, brak harmonii i częstokroć, co najważniejsza, niezrozumiałość (jak np. w *rozmowach Platona* lub *historji Tucydidesa*). 2) Używanie przestarzałych, przez siebie utworzonych lub dosłownie z greckiego przetłumaczonych wyrazów i wyrażeń, co często sprawia komiczność w czytaniu. Do tego przydać jeszcze należy brak poetycznych zdolności, a mianowicie *języka poetycznego*, co oczywiście stosuje się tylko do przekładu *Odysei Homera*.

Wszystkie te jednakże zarzuty i krytyki, które spotykały przekłady p. B., nie osiągnęły zamierzonego skutku; przeciwnie tłumacz bronił sposobu swojego przekładu w różnych odpowiedziach na krytyki i w przedmowach do swoich przekładów. Tak np. w przedmowie do *Dziejów Herodota* (1862) powiada: „Sumienna wierność powodowała mną, jako przy innych, tak i wśród tego tu przekładu, a którą rozciągam aż do najsubtelniejszego *odtworzenia kolorytu* pierwotworu. Świat helleński... wydał nie tylko w ogóle styl klasyczny grecki, bardzo różny już od rzymsko-klasycznego, ale nadto wydał jeszcze mnóstwo stylów osobnikowych, że tak powiem, najmocniejszemi również piętny odznaczonych. Charakter ogólny, plemiennej cechy, porówno z poszczególnym osobników (indywiduów) pisarskich o całe nieha odróżnione od naszego świata i naszych pisarzy stylu, jak najbaczniej uwzględniać obowiązkiem być dobrego tłumaczenia uważałem” (str. XVIII). Ależ pozwoli sobie zauważyć p. B., że właśnie dla tej odrębności naszego języka, naszego stylu od języka i stylu greckiego, wymaganie jego jest niepodobne do spełnienia; gdyż zagraża uchybieniem własnemu językowi. Następnie trzeba sobie raz powiedzieć, że *odtworzyć* stylu obcego, w ścisłym i zupełnym znaczeniu tego słowa, niepodobna. Styl danego pisarza można tylko studyować w oryginale, bo tylko tym sposobem poznamy, jakich autor używa wyrazów ze szczególnym zamiłowaniem, czy się ubiega za archaizmami, czy za neologizmami, jakimi przeważnie posługuje się sposobami łączenia zdań i okresów i t. d., co wszystko przecież wchodzi w pojęcie stylu. Przekład, któryby wszystkie te szczegóły usiłował oddać w innym języku, nie byłby czem innym jak tylko karykaturą.

Że można tłumaczyć *wiernie*, nie trzymając się *niewolniczo* szyku wyrazów, o tém przekonywają nas liczne przekłady w naszej literaturze, z łacińskiego mianowicie języka. Takim jest np. tłumaczenie dzieł *Tacyta* przez Adama Naruszewicza, *Wellejusza Paterkula* przez Smacznińskiego, kilka ustępów z *Sallustyusza* przez *Sierocińskiego* i wiele innych. My chcemy w krótkim ustępie pokazać, jak niewolnicze trzymanie się wyrazów i szyku oryginału, sprzeciwia się duchowi naszego języka i jak wiele ujmuje estetycznemu wrażeniu. Pan *Michał Glisczyński* umieścił w pracy swojej p. n. *Sokrates, jego żywot, śmierć i nauka*, przekład kilku ustępów ze *Wspomnień o Sokratesie Ksenofonta*. Wybieramy z nich jeden z księgi I, rozdz. IV. Przekład p. Glisczyńskiego jest *wierny*, ale nie *dosłowny*. Czytelnik sam łatwo osądzi, które tłumaczenie jest zgodniejsze z wymaganiami naszego języka i naszego smaku. P. Bronikowski powinienby się przekonać, że można być *wiernym tłumaczem* myśli innego człowieka, nie przedrzeźniając jego ruchów i giestów.

Oto ten ustęp. Rozmowa między Arystodemem i Sokratesem. Arystodem na dowodzenia Sokratesa odpowiada, że składałyby ofiary bogom, gdyby wiedział, że sprawy ludzkie cokolwiek ich obchodzą. Sokrates mówi: (tłum. p. Bronikowskiego): „Zatym nie mniemasz, aby się troskali? którzy najprzód *jednego z żyjących człowieka* (ma to znaczyć: ze wszystkich stworzeń jedynie człowieka) w prostej postawie *udziałali*, ta zaś prostota i więcej widzieć przed sobą *sposobnemi* ludzi *sprawia*, i ponad siebie dalej sięgać okiem zdolnemi, a mniej na szwanki ich naraża, gdy im bogowie wzrok i słuch i usta *wszczepili*; następnie innym przygiętym tworom tylko nogi dali, które jedno *chód zdarzają*; człowiekowi natomiast i *ręce przyłączyli*, które najwięcej dopełniają tego, czym szczęśliwszemi jesteśmy od tamtych. Nadto aczkolwiek wszystkie żywotwory mają język, człowieczy tylko tak usposobiły bogi, ażeby już to *tój*, już to tamtej części dotykając się *usćiech*, *członkował głos i odznaczał* drugim ludziom, czego pragniemy? (str. 28, 29).

(Tłum. p. Glisczyńskiego). Czyliż ich nie obchodzą? a na cóż nam tylko wpośród innych stworzeń dozwolili podnieść głowę do nieba? W skutek tego dobrodziejstwa widzimy dalej, spoglądamy łatwiej ponad nasze głowy i tym pewniej unikamy niebezpieczeństwa. I wzrokiem nas obdarzyli i słuchem i usty. Następnie innym zwierzętom dali tylko nogi do przenoszenia się z miejsca na miejsce, człowiekowi zaś przydali i ręce, a ręce te czynią nas bez porównania wyższemi od wszystkich zwierząt. Wszystkie one mają język, ale nasz jedynie w skutek różnie skombinowanych ruchów wydaje wszystkie dźwięki i wypowiada innym wszystkie nasze chęci.

Wytrwałość p. Bronikowskiego w raz powziętym zamiarze zaznajamiania nas w krajowym języku z literaturą narodu, który pod względem artystycznego poczucia trzymał berło w starożytnym świecie, jest bezwątpienia godna szacunku i pochwały, jako rzecz nie zbyt często przytrafiająca się w naszym społeczeństwie. Ale z drugiej strony musimy także wymagać, aby te prace były istotnie pożyte-

czne i nie odpychały czytelników pod względem stylowym, nieogładzonym i duchowi języka naszego przeciwnym. Ogromna szkoda pracy, bezwątpienia szanownej, która nie przynosi spodziewanych owoców. Nie możemy się niestety, spodziewać, by głos nasz miał jakieś znaczenie i wpływ na p. Bronikowskiego; w każdym razie odezwać się z naszym przekonaniem, uważaliśmy za obowiązek.

17 kwietnia.

Chm.

P. Mathias Bersohn z zamiłowaniem pracujący dla archeologii naszej, opisał nowo przez siebie wykrytą w Norymberdze rzeźbę Stwosza i wydał teraz pod tytułem: *O Wicie Stwoszu i o jego rzeźbie „Pozdrowienie Anielskie”*. Przyczynek do historii sztuki średniowiecznej. Warszawa 1870, zeszyt in 4-to maj. Wydanie piękne, papier welinowy. Trzy wzorowe drzeworyty według W. Gersona z fotografii utworzone, wykonane przez J. Mincheimera i Styfiego. Wit Stwosz Polak, rodem z Krakowa, wzniosły artysta sztuki średniowiecznej, połowę życia przepędził na ziemi ojczyźstj. Miał wielką wziętość u ziomków, cieszył się szacunkiem najznakomitszych ludzi, jako mąż cnotliwy i nieskazitelny. Potem na drugą połowę życia przeniósł się na ziemię niemiecką do Norymbergi, i tam przez dwóch szalbierzy wciągnięty w matnię pieniacką, zamiast obrony i sprawiedliwości przeciwko podstępom i zdradzie, doznał najcięższej, jaka na człowieka spaść może, krzywdy. Na skargę bowiem niecných ludzi, gwałtowna i obrażona Rada sądowa miejska, związanego Stwosza, wtrąciła do lochu, brała na tortury i pośpiesznie skazała go na piętnowanie obu policzków, tak, że ledwie utalentowanego artystę od wypalenia oczu wyproszono. Po długich dopiero latach cierpień i starania, cesarz uznał niewinność Stwosza i niesprawiedliwe pokrzywdzenie; publicznym aktem podniósł go z niesławy i przywrócił do prawa i czci. I wówczas jeszcze Rada zabroniła mu aktu tego publicznie ogłaszać, a nawet mówić o swj niewinności, zaś w aktach jej sądowych takie jest poświadczenie: „Że Wit Stwosz niespokojny i bezbożny obywatel, który Szanownej Radzie i gminie miejskiej wiele niepokoju narobił.”

Po trzech wiekach od tego tragicznego wypadku, kiedy wykrywane wniosłe utwory Stwosza odstłoniły światu nadzwyczajny talent, już artysta z takimi zdolnościami, bez względu na dowody i przeszłość, musi być wyłącznie własnością Niemców:—a dziś, jak w germańskiéj Walhalli Kopernik, tak i Stwosz w Ruhmshalli bawarskiej, stoją oba jako Niemcy, ku większej narodu niemieckiego chwale. Szczegóły żywota Stwosza i ocenę pomników jego twórczości, zbrali Ambroży Grabowski, Alexander Lesser, Józef Łepkowski, Edward baron Rastawiecki, którego dowody wykryte z akt sądowych Norymbergii, ogłoszone są w Bibliotece Warszawskiej w r. 1860 w styczniu, zbierali szczegóły o Stwoszu i inni arche-

ologowie niemieccy. Jako przyczynek do takiego zbioru, p. Mathias Bersohn przynosi nam teraz opis płaskorzeźby Stwosza, którą oglądał w Kościele św. Wawrzyńca w Norymberdze; postarał się o zdjęcie fotografii i z niej drzeworyty do opisu dołącza. Płaskorzeźba Stwosza przedstawia Rożaniec z Pozdrowieniem Anielskiem, rzeźbiony z drzewa i podług ówczesnego zwyczaju starannie kolorowany i złocony. Wieniec z róż otacza dwie figury wyobrażające Najświętszą Pannę i Anioła zwiastującego wraz z kilkoma aniołkami, otaczającymi główne osoby i podtrzymującymi draperye. Na wierzchu zamieszczonych jest siedem medalionów, wyobrażających siedem pociech Panny Maryi. 1. Zwiastowanie. 2. Oczyszczenie. 3. Adoracyę. 4. Narodzenie Chrystusa. 5. Zesłanie Ś-go Ducha. 6. Wniebowzięcie. 7. Zmartwychwstanie. U dołu wąż kusiciel trzymający jabłko. Na wierzchołku różańca Bóg Ojciec błogosławiący, z koroną misterną na głowie. Styl i kompozycya przypomina ołtarz maryacki w Krakowie, w którym genialny Stwosz uzmysłowił całe swoje natchnienie religijne.

W końcu zeszytu jest rysunek płyty bronzowej pokrywającej grobowiec Wita Stwosza. W późnym wieku licząc lat 95 umarł w szpitalu w Schwabach, zwłoki jego przewieziono później do Norymbergi i pochowano tam na cmentarzu św. Jana.

A. I. S.

Kalendarze toaletowe, a raczej ścienne, obrazkowe (1).

W roku bieżącym wyszły trzy publikacye tego rodzaju.

M. Fajansa z pięknymi litografiami, zajmującemi 2 stronnice. Na głównym obrazku trzy klassyczne kobiece postacie, jako uosobienie malarstwa, rzeźby i fotografii. W ornamentacyach pomiędzy innemi anioł słońca zjawiający się rzeźbie i malarstwu; dalej artyści zajęci swemi pracami: wszystko utworu W. Gersona.

Alexandra Ginsa z widokiem uroczystości w Wenecyi; udane grupy widzów, ganki i gondole uzupełniają całość.

Błaszковского z ryciną zeszłorocznego kalendarza, przedstawiającą widok gondoli przepływającej wpośród drzew i kwiatów. Winieta, choć powtórzona, ale piękna i jasna, posługuje właściwie swemu przeznaczeniu.

Wydawnictwo to kalendarzy toaletowych ma u nas już swoją przeszłość, i nawet pochlebna. Tak w r. 1857 zakład M. Fajansa wydał kalendarz obrazkowy; chromolitografia na głównym planie wyobraża Reja, Jana Kochanowskiego i Kłonowicza siedzących pod historyczną, zdaje się lipą Czarnolesia, na której zawieszony

(1) Jako uzupełnienie wiadomości o kalendarzach, podanej poprzednio w naszym piśmie.

obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej; na odwrotnej stronie stoi poważny Wojciech z Brudzewa i mistrz jego Mikołaj Kopernik. Kompozycja cała jest dziełem W. Gersona i powiedzieć tu należy, że kalendarz ten jest najlepszym ze wszystkich dotąd wydanych, tak pod względem układu, jak i artystycznego wykonania.

Kalendarz podobny tego samego nakładu na r. 1858, większego formatu obejmuje przeszło dziesięć kompozycji W. Gersona, chromolitografowanych, wszystkie z baśni i klechd ludowych. W kalendarzu z r. 1859 rycina przedstawia grupę osób w przedsienu zamkowej, powtórzenie z obrazu kompozycji Sypniewskiego. Ramki tu piękniejsze od obrazka. Na r. 1860, wydawnictwo Fajansa wzięło za przedmiot do winiety scenę z poematu Maryi Malczeskiego, kompozycji Simmlera, mianowicie rozmowę córki z Cześnikiem pod lipą. Ramki powtórzone z roku poprzedniego.

Artyści robią uwagę, że wszystkie dotychczasowe utwory w malarstwie z poematu Maryi, były tylko szlachetnym pokuszeniem.

Zakład litograficzny Dzwonkowskiego w kalendarzu ściennym na r. 1861, przedstawił widok Warszawy, z uroczystością wianków Ś-to Jańskich na Wiśle. W amblematycznych ozdobach narożnych, pod godłem *Zimy*, widzimy most w Łazienkach królewskich z postacią Sobieskiego, a pod godłem *Wiosny*, i Bielany. Zdaje nam się, że w utworze tym nie można się dopatrzeć ani podobieństwa, ani należytego wykonania.

W r. 1862 znowu zakład Fajansa wydał kalendarzyk z obrazkiem, utworu Gersona, przedstawiającym dziewczynę wiejską z gałązką oliwną, i u dołu dwie syreny, godło Warszawy.

Kalendarz Dzwonkowskiego na r. 1863 wystawił wiejskie pacholę, zwiastujące Nowy rok; stoi na globie, z wiankiem w jednej, a kłosaми w drugiej ręce; utwór p. Tegazzo, chromolitografia Kunickiego. Całość niejasna, a rozkład kolorów nieodpowiedni.

Za to w kalendarzu na r. 1865 obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus i patronami kraju, a na dole miasto Kraków, dzieło tych samych artystów, daleko udatniejsze; ornamentacja lekka, oryginalna i piękna.

Błaszkowski w r. 1868 powtórzył winiętę z poprzedniej edycji i przygotował ją do przyszłego wydania. Nareszcie w roku 1869 kalendarz Watsona przedstawił w postaci dziewczęcej Jutrzenkę przebiegającą nad miastem, i rzucającą na świat kwiaty. Obrazek ładny, ale ornamentacja nie świetna, chociaż złocista!



WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Lipiec 1870 r. — Sędziwy nasz poeta Antoni Edward Odyniec otrzymał od starszego wiekiem towarzysza pióra wierszyk na św. Antoniego, który w niewiadomości, kiedy właśnie obchodzi swe imieniny, przesłał mu z powinszowaniem:

Miły ziomkom, zacny bardzie,
Pół Antoni, pół Edwardzie,
Gdzież twój dzień tak nam radosny:
Wśród jesieni, czy wśród wiosny?
Wbrew przysłowiu bez ochyby
Lepsze w barszczu są dwa grzyby,
Niżli tylko jeden;—przeto
Niosę ci, zacny poeto
Wierszyk biędny, jaki taki,
Godzien *Jaxy*, albo *Baki*,
A jeśli Bóg dopomoże,
W październiku drugi złożę.
Długo, błogo, bez zawiei,
Żyj w twojém kółku rodzinném;
W tak zmiennój losów kolei,
Możnaż myśleć o czém inném?
Pieśnią godną Czarnolasu
Budź nas od czasu do czasu,
A przed lodowém zwątpieniem,
Ochraniaj nas twojém tchnieniem!

— Starożytny, przedchrześcijański zwyczaj palenia ognia, *Sobótek*, który przez długie wieki utrzymywał się w całości z dochowaniem prawie pierwotnych pieśni, od pół wieku coraz więcej niknie. W okolicach *Szozuczyna*, cały obchód kończy się na tém, że chłopcy i dziewczęta kolejno przeskakują rozłożone na wzgórzach ogniska i z tego wróżą sobie przyszłe wejście w związki małżeńskie. W pamięci jednak ludu tych okolic zachowuje się tradycja, że śpiewano przy *Sobótkce* pieśni przy wótrze dudarzy. Związany z nią zwyczaj puszczania wianków na wodę jeszcze się przechował, zarówno jak wiara w kwitnienie cudownego kwiatu *paproci* o północy w wigilię św. Jana, kiedy palą się ognie *Sobótkowe* po wzgórzach i polach, albo w dąbrowach.

— Zapowiedziany przez nas Katalog bibliograficzny Karola Estrejchera już zaczął zeszytami wychodzić p. n. „*Bibliografia Polska*. 120,000 druków. Część I. Stulecie XIX. Katalog 50,000

druków polskich lub Polski dotyczących od roku 1800, ułożony abecedowo według autorów i przedmiotów, z wyrażeniem cen księgarskich." (Wydanie Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, staraniem Komisyi Bibliograficznej). Kraków. W Drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego. 1870. W 8-ce wielkiej (str. LVIII, 2, 120). Po obszernym wstępie, który Gazeta Polska już przedrukowała, następuje: „Spis katalogów książek polskich, lub z literaturą polską, styczność mających, poczynszy od roku 1603, za lat 267.” Zeszyt ten obejmuje całą literę *A*, i *B* do wyrazu Bobrowicz. Cena zeszytu prenumeraty w Krakowie 2 złr. w. a. Odbierający zeszyt pierwszy Bibliografii uiścić winien należytość za zeszyt następny. mający wyjść w końcu roku. Pojedyncze zeszyty nie będą sprzedawane bez prenumeraty, a to z powodu, aby nie psuć kompletów małej liczby wybitych egzemplarzy dzieła.

— W drukarni S. Orgelbranda wyszły w tym roku dwa zeszyty pisma p. Wiktora Dłużniewskiego, z takim obszernym tytułem: *Powtórny pogląd na dzieje ludzkie*, przepołowienie 304½ na 152¼ letnie epoki, czyli promienie równoległe względem siebie 12 epok przedchrześcijańskich. W pierwszym zeszycie zamieszczony jest prospekt. Z niego mamy wiadomość, że w roku 1862 wyszedł piérwszy pogląd na dzieje ludzkie z kartą synchronistyczną, tegoż autora. Teraźniejsze obadwa zeszyty ledwie trzy arkusze druku obejmują. Jestto dziwny zbiór szczegółów historycznych tak excentrycznie ułożony, aby starannie unikać loiki. Autor całe dzieje dzieli na trzy doby: 1 Doba ciała czyli materyalizm (pod symbolem chleba) od Adama do Mojżesza. 2 Doba krwi albo duszy (pod symbolem wina) mająca się skończyć w roku 2162 po nar. Chr. Prawodawstwo Starego i Nowego zakonu. 3 Doba ducha (pod symbolem krzyża). Połączenie wiary z wiedzą. Ma to być nowy system, dla zaokrąglenia którego autor w r. 1846 wydał trzy poemaciki. 1 Prawda, przekład z Wernera; tam występuje samolubna Jaźń uosobiona. 2 Psyche, z Schytta; duch mądrości i miłości. 3 Obraz fantastyczny własny, gdzie autor wyprowadza trzy siły, to jest siłę materyalną strzegącą piekła, gdzie lud oczekuje wyprowadzenia go ztamtąd przez Orfeusza czyli naukę, przez Merkurego czyli przemysł i pracę, a w końcu przez Zbawiciela czyli religią. Pielgrzym zaklina tu naprzód siłę materyalną skrępowaną przez szatana, zrywa jeden pierścień z tego łańcucha i przesyła go swój oblubienicy, której oczekuje w przysionku do piekieł jako objawienia dziewiczej wiary, a która zjednoczywszy się z nim pochwyconém ogniem łańcucha rozrywa więzy szatana i wyprowadza lud z jego niewoli. Autor jest przekonany, że przynosi wielką myśl dla ludzkości i dlatego z boleścią odzywa się: „Zawsze doznawałem zawodu, licząc na strażnice i archiwa naszego piśmiennictwa to jest na redakcyje i księgarnie. Cóż dziwnego, że prawda równie jak światło znajduje zaparcie w ciemności, że duch Biały czyli Dobry ściągga na siebie prześladowanie złego ducha, że słowu wcielającemu się w człowieka, możne i uczone faryzeuszostwo

zamknęło wszędzie wstęp, tak, że się musiało schronić aż do stajni w Betleem. Wielka myśl, jak gołąb ścigana zawsze bywa przez sępa, to też ciągle natrafiamy na takie sprzeczności, jak niesprawiedliwy los obok zasługi, jak Mojżesz i jego ucieczka, Prometeusz i Orfeusz i srogość ich kary, Remus i bratobójstwo, Sokrates i truczina, Grachowie oraz Juliusz Cezar i morderczy sztylet, Chrystus i Jego krzyż, Albingensowie i rzeź, Jan Huss, dziewica orleańska i stos, Hugonoci i rzeź S. Bartłomieja, Henryk IV i sztylet Ravallaca, Ludwik XVI i gilotyna. Obok tych strasznych przykładów trzeba wielkiej odwagi cywilnej, żeby się ośmielić ogłaszać idee tak przeciwne przesądom i rutynie wieków i t. d."

Wyznaje, jak mu przykro, że nasza literatura nie potrafiła dotąd odcyfrować wspomnianych tu prac jego i z takim lekceważeniem pominęła te pomysły do najnowszej filozofii, że nawet wzmianki nie zrobiła ani o nim ani o jego bracie. Z tych myśli autora wykazuje się słabość, której tak łatwo pozbyć się nie można.

— W Krakowie, nakładem czynnego księgarza J. M. Himmelblaua, wyszło dzieło p. n. „Stylistyka, czyli nauka obejmująca prawidła dobrego pisania. Do użytku młodzieży szkolnej ułożona przez profesora Karola Mecherzyńskiego. Kraków 1870” (w 12ce str. 203. Cena na miejscu 80 centów w. a., w Warszawie kop. 60 (złp. 4). Szacowna ta praca zasłużonego profesora, autora wielkiego dzieła „O wymowie w Polsce” i wielu innych, tłumacza dzieł Długosza, w wydaniu Al. hr. Przezdzieckiego, podaje na czele: „Prawidła dobrego pisania czyli stylu”, następuje po nich: „Część pierwsza (Logiczna). O potrzebie porządnego myślenia do dobrego pisania”. „Część druga (Estetyczna)”. „Część trzecia, o rozmaitych rodzajach stylu”. „Przykłady i wzory”. Zamyka całe dzieło: *Dodatek*, obejmujący: „Zadania do ćwiczenia się w rozmaitych rodzajach stylu”.

— W Krakowie wychodzi nowe pismo peryodyczne pod napisem: *Przewodnik Ekonomiczny*, pod redakcją p. Ig. Sołdraczyńskiego, autora wskazówek dla gospodarstwa wiejskiego. Merkury donosząc o tém zjawieniu się nowego pisma peryodycznego i to w przedmiocie, któremu się sam poświęca, nadmienia, iż zadaniu tak ważnemu łatwiej podołają oba te dzienniki, skoro ciężar obowiązków przestanie na jednych tylko spoczywać barkach. Przyszłość wykaże, który z obu tych pism najstosowniej do naszej publiczności przemawiać będzie i zapewni jej trwałą wykład nauki, przynoszącej krajowi dobrobyt i siłę.

— Dla drobniejszych dzieci wyszła książeczka pod tytułem: *Ludwik z ciotką w Busku* opowiadanie Br. L...skięj. Przedstawia przygody chłopczyny w podróży do Buska. Opis tego miejsca, kurację, zabawy dla dzieci, rozmowy moralne i t. p. Książeczka ozdobiona czterema rycinami, pomiędzy temi lazienki Buskie; jest to stosowna dla dzieci pamiątka z pobytu w Busku (Maurycy Orgelbrand).

— *Abecadlnik w wierszykach*, napisał W. B. W tym czasie wyszło trzecie wydanie tego abecadlnika z obrazkami, nakładem księgarni J. K. Żupańskiego w Poznaniu. Jest to piękna i bardzo użyteczna książeczka dla małych dzieci. Składa się z trzech części. W pierwszej abacadło w rozmaitych formach, w drugiej abecadło w wierszykach, w trzeciej opowiadania. Wiersze bardzo zręcznie i dziecinną prawie mową pisane; tam czytamy O aniołach stróżach dziecka, wiersz który się kończy:

Czcij więc i kochaj matkę jedyną,
Bo to twój anioł, droga dziecko!

— P. Józef Karpiński obrońca przy senacie, wydał książkę pod tytułem: *Pytania prawne* przez Dziewiąty Departament Rządzącego Senatu w latach 1842 — 1868 włącznie rozstrzygnięte w jurysprudencji Senatu, zamieszczone alfabetycznym porządkiem, z dołączeniem wykazu różnych praw i postanowień w téjże jurysprudencji powołanych, in 12, str. 551. Jest to skorowidz jurysprudencji senackiej, abecadłowo ułożony ze szczególną pracą i starannością. Podręcznik w praktyce bardzo użyteczny, bo ułatwia wyszukanie jak najłatwiejsze wszystkich zagadnień wyrokami Senatu rozwiązanych (cena rsr. 1).

— Wkrótce wyjdzie z pod prassy: *Kalendarz dla Izraelitów* na rok 5631 od stworzenia świata, (rozpoczynający się d. ¹⁴/₂₆ września 1870, a kończący się d. ³/₁₅ września 1871 roku), przez Izaaka Kramstück". Warszawa w drukarni J. Goldmana, 1870. Na czele mieści się właściwy kalendarz żydowski po polsku i po hebrajsku, a obok rzymsko-katolicki i wschodnio-katolicki.

— *Opiekun domowy*, pod nowym redaktorem Oskarem Stanisławskim, rozszerzył znakomicie swoje ramy, powiększył ilustracye, a przy numerze 26, dał premium półroczne swoim prenumeratom. Jestto kopja z obrazu Karavaggii: *Ecce Homo* (oto człowiek) w drzeworycie starannie odbitym, w arkuszowym formacie.

W N-rze 28 b. m. zamieścił wiersz M. Bałuckiego, który dla pięknej jego formy i zalet języka, podajemy w powtórzeniu naszym czytelnikom:

DZIWNY SEN.

Śniło mi się, zem umarł; lecz dusza przez ciało
Jak przez kryształ widziała wszystko, co się działo:
Słyszałem w chwili zgonu krzyk matki, a potem
Coś jak ciało na ziemię runęło z łoskotem,
I przez długi czas była cisza na około,
Tylko ciepłe łzy czyjeś ciekły mi na czoło,—
Jakiś przyjaciel płakał nademną, zem nie żył.
Potem czułem, jak stolarz ciało sznurkiem mierzył,
A po nim starych, brudnych kobiet weszła kupa,
I poczęły myć, czesać i ubierać trupa.

Ustroili mnie baby we frak i lakiery,
 I jasne rękawiczki wcisnęły na palce,
 Jak gdybym nie do grobu szedł, lecz tańczyć walce.
 I zapalono przy mnie świec dwadzieścia cztery,
 Którym obcinał knoty dziad mrużąc pacierze,
 A ludzie szli przyglądać się jak w trumnie leżę.
 Słyszałem głosy obcych i znajomych osób,
 Jak przez trzy dni sądzili mnie w przeróżny sposób;
 Jedni złym, drudzy dobrym zwali mnie człowiekiem.
 Że rad byłem, gdy trumnę nakryto już wiekiem,
 Że nie będę już ludzkim gadaniem nudzony.

Niedługo potem z wieżyc zajęczały dzwony,—
 Orszak ruszył na cmentarz wśród deszczu i błota;
 Wtedy duszę mą ciężka objęła tęsknota
 Za tą ziemią, com rzucał, i było mi strasznie
 Gdy pomyślał, że światło dnia za chwilę zgaśnie,
 I że świat ten zasłonią mi grobowe ciemnie;
 Że ci, co szli za trumną, powrócą bezemnie,
 Będą śmiać się, weselić, żyć i chodzić wszędzie,
 Zrywać kwiaty jak przedtém—a mnie już nie będzie.
 I gdy trumnę spuszczano do grobu—a potem
 Usłyszałem, jak ziemia padała z łoskotem
 Na wieko i śpiewy księży i płacze nad ciałem
 Coraz mniej dochodziły mych uszów,—struchlałem
 Trwogą zdjęty—i w oczach zrobiło się ciemno,
 I długim czas nie wiedział, co się działo ze mną.—

Aż ujrzałem się znowu gdzieś w jakimś ogrodzie,
 Wśród zapachu, zieleni, w rozkosznych drzew chłodzie;
 Jakieś postacie, szaty odziane białemi,
 Jak łabędzie, skrzydłami nie tykając ziemi,
 Płynęły pośród kwiatów brylantowej rosy,
 I po wodach błękitnych, gładkich jak niebiosy
 Pełnych gwiazd, przechodziły jak po ziemi tłumem,
 Cudne wydając tony białych skrzydeł szumem.
 Siedząc z boku, gapilem się na dziwy one,
 Bawiłem niemi oczy, ale zasepione
 Serce moje nie mogło rozbawić się niemi,
 I tęsknota je rwała do dalekiej ziemi.

Wtém blask oczy uderzył: aleją cieniastą
 Szedł jakiś starzec, kapą odziany złocistą,
 Na którą białej brody spadał strumień długi;
 Za nim szły dwa anioły, jak za panem sługi.
 Kiedy mnie mijał starzec, zatrzymał się chwilę,
 Spojrzał i zwróciwszy się do tych, co szli w tyle:
 Spytał: kto to? A anioł rzekł ze czcią głęboką:
 „Jeden z tych, co dziś z ziemską rozstał się powłoką”.

— „Czemuś smutny? — zapytał starzec zadziwiony —
 Kiedyś dostąpił tego, o co miliony
 Proszą mnie tam na ziemi ciągle. Jesteś w niebie!
 Smutek jak sandał zrzucić powinieneś z siebie,
 Wchodząc w bramy niebiosów, do gwiazd i błękitu.”
 A ja na to: Jehowo — odrzekłem — źle mi tu,
 I nudno w waszém niebie, bo tu u was nie ma
 Mojej matki ukochanej z siostrzyczkami trzema,
 Ni starego mego ojca... ni dworku nad Wisłą —
 Więc mi tęsknotą wielką serce się tu ścisło,
 I jestem tu jak obcy.” — Łzy mi głos zalały.
 A anioły tęsknoty mój nie rozumiały,
 I oczami zdawały wzajem pytać siebie:
 „Czego pragnie ten człowiek, kiedy już jest w niebie?”

Jehowa stał nademną w głębokiej zadumie —
 Czytałem w twarzy jego, że ból mój rozumie,
 Więc się mu jak proch do nóg rzuciłem w pokorze
 I prosiłem: „Pozwól Ty, choć raz jeszcze, Boże,
 Zobaczyć znowu ziemię.” A Pan głową skinął,
 I wtedy anioł skrzydła tęczone rozwinął,
 I wzięwszy mnie w ramiona, przeszedł ziemi kawał,
 I nad błękitem, co mi wodą się wydawał,
 Stanąwszy, zanurzył się w tój błękitnej fali,
 I spadaliśmy razem coraz niżej, dalej,
 Mijając mleczne drogi gwiazd, jasne księżycy,
 Obłoki — aż nas białe klasztorne wieżycy
 Pozdrowiły dzwonami, a ziemia zapachem.
 I zatrzymał się anioł przed klasztornym gmachem,
 Pod namiotem szumiących drzew, gdzie las bielański
 I rzekł: ziemia!

Dzień budził się — na Anioł Pański
 Dzwoniły dzwony z wieży na tle nieba, które
 Wstające słońce w jasną odziało purpurę.
 Wśród białej mgły porannej i mogiłnych znaków,
 Ujrzałem miasto stare i krzyknąłem: Kraków!
 I wyciągnąłem ręce do miłych pamiątek,
 I z dziecinną radością każdy znany kątek
 Odwiedzałem oczami; ścieżką, co się wije
 Wśród olszyn i topoli i w zbożu się kryje,
 Potém sznuarczkiem białym ciągnie się nad rzeką
 Pośród zielonej trawy daleko — daleko,
 I wśród sadów, rybackich chat znowu się chowa, —
 Tą ścieżką myśl ma biegła prędko do Krakowa,
 I aniołowi ręką wskazując w tym grodzie
 Każdą wieżę, co nieba błękit krzyżem bodzie,
 Każdy muru kawałek słońcem pozłożony,
 Pytałem: prawda, jakie cudne nasze strony?

Anioł słucał nie słyszając—wzrok zwracał do nieba,
 I zamiast odpowiedzi, rzekł: wracać już trzeba,
 I zwiawszy mnie za rękę chciał unieść ku niebu.
 Rozpacz mnie ogarnęła, jak w chwili pogrzebu;
 Teżknota bunt podniosła przeciw woli Bożej,
 I począłem szamotać się z nim wśród rozdroży,
 I wołać co sił stało głosy ochrypłemi:

„Ja nie chcę nieba—puść mnie! chcę żyć tu na ziemi”.

Szamotanie zbudziło mnie—i wraz z tą chwilką
 Odetchnąłem, gdym poznał, że to był sen tylko.—
 Spojrzałem ucieszony, wesół koło siebie,
 I dziękowałem Bogu, że nie jestem w niebie.

— C. K. Towarzystwo Gospodarczo-Rolnicze Krakowskie ogłosiło pod d. 1 lipca r. b. konkurs tój osnowy:

„Znajomość szkodliwych zwierząt, a mianowicie owadów, jest rolnikowi niezbędnie potrzebną. Zmuszony ciągle prawie walczyć z nimi, bronić się od ich napaści, potrzebuje on w świeżej zawsze mić pamięci to wszystko, co nauka i doświadczenie pod względem rozpoznania ich natury i środków zaradczych wskazują. Wiadomości te w dziełach obszernych lub w obcych językach ściśle naukowo traktowane, lub po pismach peryodycznych, broszurkach szczegółowych rozrzucone, nie łatwo są dla ogółu gospodarzy przystępne. Zawarte w nich opisy, bez podania środków zaradczych, często bez wyobrażeń przedstawiających naocznie i dokładnie kształty i przemiany szkodników, mniejszą przynoszą korzyść; wśród mnogić albowiem ich liczby, rozpoznanie właściwe z ogólnego teoretycznego tylko określenia, dla mniej z naukami przyrodniczymi obeznanych, po największej części bywa niemożliwe. Zebranie przeto w jedną całość opisu wszystkich szkodników nawiedzających nasze pola, łąki, sady i ogrody, we wszystkich peryodach życia roślin, od ich zasiewu aż do sprzętu spostrzeganych; opisanie ich krótkie, treściwe, charakterystyczne, w sposób do każdego pojęcia przystępny, a objaśniony jak największą ilością rycin jak najwierniej naturę przedstawiających, uszykowane tak, aby z zupełną łatwością w każdej chwili w właściwem miejscu znaleźć je można, słowem utworzenie dziełka o szkodnikach i sposobach przeciw nim zaradczych, któreby było podręcznym i do użytku ogółu gospodarzy zastosowanym, jest potrzebą, która każdemu gospodarzowi uczuwać się daje.

Pragnąc niedostatkwowi w tój mierze zaradzić i uzyskawszy na ten cel stosowny od Wysokiego c. k. Ministerstwa rolnictwa zasiłek pieniężny, komitet c. k. Towarzystwa gospodarczo-rolniczego krakowskiego, zgodnie z wnioskami komisji w celu zbadania szkodników i środków zaradczych zawiązanój, ogłasza niniejszém konkurs na napisanie dziełka w języku polskim o *krajowych zwierzętach a mianowicie, owadach szkodliwych, i zaradczych przeciw nim środkach*, przeznaczając nagrodę •zlr. 600 w. a. za pracę, która

przez komisją z ludzi fachowych złożoną, za najlepszą uznana zostanie.

Ubiegający się o tę nagrodę winni dopełnić następujących warunków:

Nie trzymając się systematycznych, naukowych układów, czy to pod względem roślin czy zwierząt, ale biorąc raczej za podstawę działy i grupy gospodarskie roślin uprawianych na polach, łąkach, w ogrodach i sadach, i przechodząc je szczegółowo, opisać przy każdej szkodliwej jej właściwej, z dołączeniem rycin, dających wierne i żywe ich wyobrażenie, a gdzie objaśnienie dokładne przedmiotu wymaga, z dołączeniem również przedstawienia obrazowego w jaki sposób uszkodzenie rośliny zrządzone zostaje. Przy każdym winny być podane wszelkie środki zaradcze próbowane, wyróżniając przedewszystkiem skuteczne.

Opisy charakterystyczne powinny być ile możności treściwe, a zarazem przystępnie skreślone, aby ile można całe dziełko nie przeszło 8 do 10 arkuszy druku; wraz z krótkim zagajeniem, które w ogólnych uwagach o szkodliwości zwierząt i owadów, przyczynach ich rozmnażania się i środkach tępienia, obejmować winno i wzmiankę o tych zwierzętach, ptakach i owadach, które za pożyteczne uznane zostały i raczej na ochronę ze strony gospodarza zasługują; muij z nich znane w rycinie przedstawić należy.

Gdyby ze względu na obszerność dziełka, lub krótkość czasu opracowanie owadów lasom szkodliwych, przynajmniej najszkodliwszych gatunków nie dało się wykonać, dział ten pominięty być może; co wszakże na ocenienie pracy konkursowej przeważnego wpływu nie wywrze.

Terminologia ma być ile możności utarta i łatwa, a oprócz nazw naukowych, obejmować także nazwy ludowe, z dodaniem również nazw łacińskich i niemieckich.

Prace opatrzone godłem, wraz z kopertą opieczętowaną, mieszczącą wewnątrz nazwisko i zamieszkanie autora, a zewnątrz to samo godło co na rozprawie, mają być nadesłane pod adresem Komitetu c. k. Towarzystwa gospodarczo-rolniczego krakowskiego *najpóźniej do dnia 1 stycznia 1871 roku*. Uznana za najlepszą przez sędziów, których komitet ze znawców powoła, otrzyma nagrodę zfr. 600 w. a. i zostanie własnością Towarzystwa rolniczego krakowskiego, które jej wydanie zarządzi.

— W Radomiu w drukarni Trzebińskiego wyszła świeżo książka przez p. A. J. Walickiego napisana pod tyt. *Nouveau genre d'analyse dans les mathématiques élémentaires, ou discussion de la formule: $F(\alpha \varphi \Phi) = \times + \eta \sqrt{-1 + Z \times 1} \Lambda$ par A. Jean Walicki.*

Autor zaraz na wstępie prosi, ażeby czytelnicy spostrzeżenia swe i rozbiory pracy teraz wydanej przysłać mu raczyli wprost do Radomia pod jego adresem, i oświadcza, że w każdym razie wdzięcznym będzie za wszelkie sprawozdania, doniesienia i artykuły

w pismach peryodycznych zamieszczane. Spodziewamy się, że specjaliści nasi pracy tak poważnej nie pominą milczeniem.

— W r. b. we Lwowie z drukarni Pillera, zjawił się w ozdobnym wydaniu poemacik pod tyt. *Józef Trzywdara, z pogańskich swiatów. Pieśni miłości*. Główną myśl wskazuje na wstępie ta zwrotka:

W sercu poety, jak w dziejach ludzkości,
Sa różne światy. Raz miłość wytryska
Jak lilia czysta, męczennikom bliska,
Znowu jak róża, kochanka radości.

W utworze Trzywdara wytrysła nie lilia, lecz róża, kochanka radości. Siedzieli oboje w lesie wśród konwalij i macierzanek. On patrzył na nią jak na obraz cudowny perłami wysadzony i drżał z trwogi:

By mrówka czarna nie tknęła jój nogi,
Bał się dotknąć, by jój szat nie skazić;
Lecz ona pierwsza ku mnie się wygięła
Tak, że mi ramie jój suknia musnęła.

Potém na odpust szli przez łąki balsamiczne, pola pokryte kłosami złotemi, a jaskółki lotne okrążały ich wiankiem. Weszli na dziedziniec kościelny, lecz tam prócz drzew i ptaków nikt nie był trzeci, tylko *Bóg się uśmiechał do nich błękitami*. Ztamtąd jak przez ocean, przez lany szli jeszcze dalej a dalej: ona mu rękę swoją pod ramię przesunęła. W południe przebyli ścieszkę wzdłuż kwiecistój błoni, i tam usta mknęły do ust, aż w pocałunku zetknęły się, a zmrok nakrywał ich swém skrzydłem. I znowu słońce lipcowe, kwiaty, żniwo, stodoły. Wieczorem wszystko się rozchodzi, a słońce prowadzi *na sen*. Para miłosna zbłądziła w lesie wonnym wśród nocy lipcowej, ciemnej, bez miesiąca, i tu przybyła aż z rankiem.

Wzbudził się we mnie duch żalości
I bardzo wielkiej ku tobie miłości.

Wychodzą z lasu, wśród stada rozbudzonych ptaków. Spogląda na parę lubą jelen wielorogi i lis, który

Spojrzał, przystanął, a potém niedbale
W las poszedł, kitą chwiejąc okazałe.

Mięgli łąkę, strumień, wieże kościoła i przybyli do domu lubej. Koniec téj pielgrzymki tak poeta opisuje:

Na głos brytana, na ganek wybiegła
Strwożona matka, i ciebie spostrzegła,

Więc niespokojne otwarła ramiona,
 Ażeby prędkiej mieć ciebie u łona.
 Lecz ty się wahasz, jakby zawstydzona
 I naprzód lekko mnie popychasz ręką,
 Jakby pierś matki była tobie męką?
 Lecz jam cię pojął, o miła, wybornie,
 I szedłem naprzód, ty za mną pokornie,
 I przed matczyne nogi w jednej chwili
 Myśmy upadli, i z cicha prosili
 O przebaczenie i błogosławieństwo:
 Bo już się stało *sere* naszych małżeństwol (sic).

Przytoczone ustępy, same o sobie mówią.

— P. *Edmund Callier* ogłosił pierwszy zeszyt ogromnego dzieła: *Encyklopedia imion własnych z dziedziny dziejów powszechnych i kościelnych, biografii, mitologii, literatury i geografii starożytnej, średniowiecznej i nowożytnej*. (Zeszyt I, *A. Abbibalus*. Druk i nakład L. Merzbacha. Poznań 1870, w 8ce. W dwie kolumny str. 64. Cena złp. 2). Praca olbrzymia. W ostatnich czasach dwa dykcyonarze E. M. Oettingera zdumiewały dokładnością. Oparty na tych źródłach z dodatkiem miejscowych naszych, francuzkich i angielskich, p. Callier daje nam próbę dzieła, na którym zbywało naszemu językowi. Dokładność jest wielka, i sumienność w opracowaniu każdego szczegółu. Artykuły pojedyncze dają to właśnie, co podobna skazówka powinna dostarczać: treść, daty, imiona, naostatek kiedy nickiedy literaturę przedmiotu. Cena téj publikacji przystępna, rozpowszechnienie jój dla oświaty powszechnój jak najpożądalsze.

— W Saksonii, obecnie dla archeologii słowiańskiej odkryto bogatą skarbnicę z czasów przedchrześcijańskich, w pobliżu włości *Stauchnitz*. Przy skopywaniu wzgórza zwanego *Schaenksberg*, natrafiono na mnóstwo urn, rozmaitych broni z brązu, drobnych przedmiotów do ozdoby i t. p. Wykopywanie tych starożytności trwa nieustannie i ciągle natrafiają na świeże zabytki, lubo mało co całych urn ocalono. Udało się jednak wydobyć je i w dobrym stanie; niektóre z nich są nadzwyczajnej wielkości i bardzo misternej roboty, prawdziwie osobliwości. Właściciel téj miejscowości *szambelan v. Zehman* zbiera z tego wykopaliska zabytki i posiada już ich zbiór znaczny.

— W Krakowie zaczynają się drukować prace niedawno zmarłego J. K. Turckiego, który bawił kilka lat w Warszawie i był redaktorem *Bazaru*, wydawnictwa Kaufmana. Pomieszczone tu będą poetyczne utwory zgasłego pisarza i celniejsze prozą drukowane w różnych pismach warszawskich. *Szujski*, *Bałucki* i *Bełcikowski* zajmują się przejrzaniem rękopismów i wyborem.

— W Pradze Czeskiej, wyszło dzieło p. n. „*Starożytności i pamiątki ziemi czeskiej*.” Jest to drugie wydanie nakładem *Kobrowa* księgarza, z dwiema rycinami téj zajmującej pracy.

— Wyszło: *Sprawozdanie z działań Stowarzyszenia Spożywczego „Merkury” w Warszawie za pierwsze półrocze 1870 r.* Z tego wykazuje się, że kapitał obrotowy Towarzystwa wynosi rs. 11256. Wpływ w ciągu półrocza wynosił rs. 57,980 kop. 7½. Fundusz osiągnięty na dywidendę doszedł do summy rs. 2,332. Darma praca w Zarządzie Merkurego jest zawadą w rozwijaniu i szkodę tylko zrządza. Towarzystwo takie nie powinno być instytucją dobroczynności lecz handlową, niwelującą ceny produktów według naturalnego biegu, a do tego celu pracy w zarządzie, a więcéj jeszcze zdolności potrzeba. Ażeby to zapewnić sobie, Sprawozdanie przedstawia projekt do etatu, z którego cały zarząd płatnym będzie.

Redaktor Ekonomisty i Merkurego p. Wiktor Somer przedstawia Towarzystwu projekt swój w podaniu następującém:

„Mam zamiar w krótkim czasie rozszerzyć ramy pisma mego „Merkury” z którego inicjatywy powstało Stowarzyszenie i od którego nazwę swą otrzymało. Myślą moją jest wydawać „Merkurego” trzy razy na tydzień z dodatkiem pod nazwą „Pośrednik” pismo dla wszelkiego rodzaju ogłoszeń w różnych językach wydawane przy Stowarzyszeniu Spożywcóm „Merkury.” Obok dotychczasowej treści pismo stałoby się ogniskiem wszelkich wiadomości odnośnych do ruchu *Spólek i Stowarzyszenia*, mieściłoby informacje dla świata handlowego, przemysłowego, a nadewszystko rzemieślniczego, jak niemniej *ogłoszenia po znacznie niższej cenie*, przez co uprzyściplniby je dla uboższej klasy, oraz dla samychże Członków Stowarzyszenia, stając się tym sposobem *prawdziwym pośrednikiem*, a niekosztownym między wytwórcą a spożywcą, między Stowarzyszeniem a Stowarzyszonymi i publicznością. Mniemam, że przyjęciem pisma z takim programem za swój organ, Stowarzyszenie nietylko odniosłoby materialne korzyści, ale oddałoby zarazem usługę swym Członkom z publiczności tutejszej w duchu właśnie swego zadania społecznego. Z tych względów przeto proponuję, aby Zarząd na zasadzie artykułu 34 Ustawy, wyjednał od Zebrania Ogólnego decyzję: 1) na wydawanie „Pośrednika” jako organu Stowarzyszenia, w którym wszelkie ogłoszenia Stowarzyszenia byłyby bezpłatnie pomieszczane; 2) na udzielenie rocznej zapomogi wydawnictwa w ilości rs. 150; oraz 3) aby Zebranie Ogólne upoważniło Zarząd do poczynienia stosownych kroków u właściwej Władzy wespół ze mną, celem uzyskania pozwolenia na rozszerzenie programu „Merkurego” czyli wydawanie „Pośrednika.”

✝ Z serdecznym żalem podajemy wiadomość o stracie, jaką w ubiegłym miesiącu poniósł współpracownik pisma naszego Teofil Lenartowicz. Żona jego Zofia z Szymanowskich, po kilku tygodniowym pobycie w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, dokąd tego lata z Florencyi zjechała, nagłą zaskoczona chorobą, w dniu 8 lipca r. b. oddała ducha Bogu w Miłosławiu, w domu hr. S. Mielżyńskich, gdzie z najtkliwszą pieczołowitością o jej zdrowie, jak najgościńniej podejmowaną była.

Ś. p. Zofia Lenartowicz (urodzona w 1825 roku) od najmłodszych lat podobająca sobie w malarstwie, i niepospolitemi od natury uposażona zdolnościami, sztukę tę nadewszystko zamiłowała.

Po paroletniej pracy w Dreźnie pod kierunkiem profesora Erhardta (1842), szczególniejszą biegłością w uchwyceniu podobizn wizerunków odznaczająca się; zanim powtórnie wyjechała za granicę, przeszło dwadzieścia familijnych portretów wyrobiła w Warszawie.

Pozostałe zaś po niej tak familijne, jako też przyjaciół portrety są tak liczne, że już same złożyćby mogły znaczną galeryę; wymienimy z tych celniejsze:

W latach między 1850 a 1855, uprawiając ulubioną swą sztukę pod słynnym mistrzem Hnry Schaefferem w Paryżu, (gdzie lat kilka poświęcała się pielęgnowaniu ciężką złożoną chorobą siostry swój Adamowej Mickiewiczowej i wychowaniu jej obu córek), zdjęty przez artystkę z natury *wizerunek Adama* i w kilka lat później w zwiększonym formacie przemalowany, postany był przez autorkę w darze dla Muzeum Wileńskiego.

Inny obraz naszego wieszczka (pędzła artystki) w postaci naturalnej wielkości, pod konarami rozłożystego dębu, z krajobrazem w dali, posiada hr. Dzieduszycka we Florencyi.

Obraz żony Adama *Celiny*, z obu córkami *Maryą* i *Helena*, na jednym płótnie ugrupowane, zyskał pochlebna na wystawie Paryzkiej wzmiankę.

Portret naturalnej wielkości własnej osoby artystki i drugi Maryi z Mickiewiczów Góreckiej, były na wystawie krajowej obrazów w roku 1858 w Warszawie i Krakowie.

Z celniejszych prac we Włoszech, znamy prześliczną *Głowę Chrystusa à la Guido Reni*; obraz ten artystka reprodukowała razy kilka z pierwowzoru znajdującego się u rodziny w Warszawie, a jeden egzemplarz ofiarowała do grobu Zbawiciela do Jerozolimy.

Widzenie Ezechiela, kopia z najszlachetniejszego obrazu Rafaela Sancio, znajdującego się w galeryi Pitti we Florencyi.

Znawcy przyznają jęj wielkie zalety i porównywjają z drogo-cennemi kopiami Julia Romana, których tylko dwie egzystują w świecie artystycznym. Obraz ten pędzła naszęj artystki posiada mecenas Kleczkowski w Warszawie.

Portret *Dante*go zdjęty z fresków w pałacu *Bergello* we Florencyi, robionych przed 400 laty przez spólczesnego poecie a razem jego przyjaciela słynnego malarza *Giotto*. Rzadki ten wizerunek, bo z czasów lat młodszych boskiego poety, posiada rodzina artystki.

Grupa dziatwy pod winnicą włoską, (z natury), posiada p. Wiktor Maringe w Warszawie.

Z obrazów *treści religijnej*—jest w zachowaniu rodziny artystki wielkie i piękne płótno z epoki grassującej ponownie cholery w kraju: „Kłęczące po utracie rodziców wiejskiego ludu *sieroty*, dwaj Aniołowie-Stróże uczą składać rączki i modlić się, wskazując na unoszącą się w błękitcie Madonnę nad krajobrazem.”

Obraz *S. Mikołaja* (oryginalny) zamieszczony w kościele parafialnym w Jankowicach w gubernii Radomskiej.

Szkice: *Ś. Jana Nepomucena*, *Ś. Zofii* z trzema córkami i t. p.

Z obrazów charakterystycznych i typowych znane: „*Dziadek kościelny*” (funkcyonował niegdys u Fary w Warszawie), ofiarowany Towarzystwu Dobroczyńności, już raz przez loteryą rozegrany, przyniósł przeszło paręset rubli dochodu ubogim i nadal jeszcze pozostał się własnością Towarzystwa.

Góral, *Bandyta włoski*, *Młody Egipcyanin*, *Towarzysz pancerny*, były wystawiane przed laty kilku w Warszawie. Wtedy też bawiąca tu czasowo przy rodzinie artystka (1858) obecna w ówczesnych zebraniach u rodziców Deotymy, ofiarowała jęj szkic odnośny do jęj improwizacyi „*Zamek na Wawelu*.”

Z ostatnich najswieższych prac artystki zajmującą jest kopia obrazu *Króla Stefana*, z oryginału w prywatnym zbiorze we Florencyi zachowanego. *Jan Kochanowski* podejmujący gościa pod lipą w *Czarsolesiu*.

Portrety męża (Tecfila Lenartowicza) i *własny; Głowa starca*, *Studia* i t. p. są na tegorocznej wystawie w *Poznaniu*, gdzie życzliwi zwolennicy talentu ś. p. Zofii Lenartowiczowej zapragnęli pamiątek jęj pędzla. W tym to celu po dziesięciu latach najczulszego z ukochanym mężem pożycia, w czerwcu dopięro r. b. po raz piérwszy z nim się rozdziela i zjeżdża do księztwa.

Zaledwo zbliżyła się do kraju, Bóg w niedocieczonych wyrokach swoich powołał ją do siebie. On też tylko jedy-

nie rozpacz osieroczonego męża (któremu jak się sam wyraża „była światem całym”) i żal głęboki rodziny, ukoić jest w stanie. Urodzona w Otwocku 21 grudnia 1825 r., z Józefa i Elżbiety z Młodzianowskich, pochowana na cmentarzu w Miłosławiu dnia 14 lipca 1870 roku, żyła lat 45.

W nieustających zajęciach naszej artystki dla rozwoju ulubionej sztuki, przebija jęj gorące zamiłowanie *piękna*, a w najtkliwszych zabiegach o zdrowie i swobodę męża, jęj *podniosłość duchowa!* To tęż pamięć jęj pozostanie na zawsze drogą dla osamotnionego wdowca i rodziny, a zasługi kraj oceni.



Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca Józef Berger.

W drukarni Gazety Polskiej (J. Bergera), ulica Daniłowiczowska, Nr. 619.

Дозволено Цензурою, 15 Іюля 1870 г.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE

PODAWANE PRZEZ

KSIEGARNIĘ I SKŁAD NUT MUZYCZNYCH


GEBETHNERA i WOLFFA

w Warszawie.

Krakowskie Przedmieście Nr. 415. (Pałac Hr. Połockiego).

Nr. 3.

Rok 1870 od Kwietnia do końca Czerwca.

 **Uwaga.** Ceny książek za granicą drukowanych mogą ulegać zmianie, stosownie do kursu pieniędzy.

Wypisujący jednorazowie dzieł za Rs. 5, kosztów przesyłki nie ponoszą. Wylączają się z tego książki w cenie niższe, szkolne, na prenumeratę wychodzące i kalendarze.

Wszelkie dzieła tak polskie jakoteż zagraniczne oraz nuty muzyczne przez gazety lub czyjekolwiek katalogi ogłaszane, księgarnia nasza również dostarcza.

Akt heroiczny miłości ku duszom czyscowym, przedstawiony szlachetności wiernych, 12 str. w 16-ce, Warszawa, 8 kop.

ANCZYC, WI. L. Krótka nauka o ziemi i świecie z objaśnieniem najważniejszych zjawisk napowietrznych. Wiadomości popularne z nauk przyrodniczych. Wydanie trzecie, przejrane i znacznie powiększone, 253 str. w 16-ce, Kraków, 45 kop.

BARĄCZ, ks. Sadok. Rys dziejów Ormiańskich, 317 str. w 8-ce, Tarnopol Rs. 1 kop. 20.

BELZA, Władysław. Emancypantka. Obrazek sceniczny w jednym akcie, 32 str. w 8-ce, Poznań, 20 kop.

BERSOHN, Mathias. O Wioie Stwoszu i o jego rzeźbie, „Pozdrowienie anielskie”. Przyczynek do historii sztuki średniowiecznej, 16 str. w 4-ce, Warszawa, Rs. 1.

Beżeństwo duchownych, ustanowienie, pobudki i skutki onego. Kwestya podjęta ze względu na odbywający się Sobór powszechny, przez pewnego katolickiego kapłana. Przekład z niemieckiego, 26 str. w 8-ce, Warszawa, 15 kop.

Biblioteczka nauk przyrodniczych i ich zastosowań, wydana staraniem Stanisława Kramsztyka. II. Praca i ciepło, 39 str. w 8-ce, Warszawa, 15 k.

BILIŃSKI, Leon. Dr. Studya nad podatkiem dochodowym. Szkic historyczny z dziedziny umiejętności skarbowej. Tom I. IV i 205 str. w 8-ce, przedpłata na dwa tomy Rs. 2 kop. 25.

Biografia bliźniąt Syamskich Szanga i Enga, 7 str. w 8-ce, St. Petersburg, 15 kop.

BOURDON, Matylda Agata czyli pierwsza Komunia. Tłumaczone przez M. A. 205 str. w 8-ce, Drezno.

BRUGSCH, Henryk. O powstaniu i rozwoju pisma patrz „Wiedza” zeszyt X.

Buchhalterya pojedyncza i podwójna 63 str. w 16-ce, Warszawa, 30 kop.

CHECIŃSKI, Jan. Jałmużna i przypowiesci o pszenicy, 58 str. w 8-ce, Kraków, 20 kop.

Cześć boskiemu Sercu Pana Jezusa, 56 str. w 16-ce, Warszawa, 10 kop.

DANTE, Alighieri. Boska komedyja, przekład Ant. Stanisławskiego, 840 str. w 8-ce, Poznań, Rs. 4.

DEUŻNIĘWSKI, Wiktor. Powtórny pogląd na dzieje ludzkie. Przepołowienie 304¹/₂ na 152¹/₄ letnie epoki, czyli promienie równoległe względem siebie 12 epok przedchrześcijańskich, z których 6 wykazane były w części 1-jej a 6 pośrednich obecnie w części 2-jej, 48 str. w 8-ce, Warszawa, 35 kop.

DOBRSKI, Maksym. Opis własnych doświadczeń nad własnością absorbcyjną ziemi ornój, patrz Godlewski Em.

DONDERS, F. C. Anomalie, refrakcyi i akomodacyi oka, patrz Jodko-Narkiewicz Dr. i H. Gepner Dr. Oftalmologia.

DROPSY, Józef. Zasady ogólnego zastosowania elektryczności w celu fizyologicznym, patologicznym i terapeutycznym na nieznanach odkryciach oparte, 103 str. w 8-ce, Warszawa, 90 kop.

DROZ, Gustaw. Monsieur, madame et bébé. Przełożyli z 38 wydania francuzkiego M. D. i J. R. 2 tomy. Tom I, 159, str. Tom II, 164 str. w 16-ce, Warszawa, 75 kop.

Ekonomista, Pismo miesięczne poświęcone ekonomice, statystyce i administracyi. Rok V 1870. Zeszyt I, II, III. Styczeń, Luty i Marzec, zawiera: Kleczyńskiego, Spis ludności—Olęj skalny w Galicyi, napisał Dr O.—Oczapowski Dr. Skutki taryfy amerykańskiej—Ekonomika przemysłowa; Korporacye i wolność pracy (wyłożył Levassour) (dokończenie). Budżet Cesarstwa ruskiego na rok 1870. Bilans handlu włoskiego za rok 1868. Handel zewnętrzny Indyj Wschodnich—Przegląd bibliograficzny. Kronika ekonomiczna zagraniczna i krajowa, 172 str. w 8-ce, Warszawa, Rsr. 1.

- GABORIAU, Emil. Gdzie winowajca? z francuzkiego, według pierwszego wydania. Dwa tomy razem, 334 str. w 8-ce, Lwów, Rs. 1 kop. 80.
- GASZCZYŃSKI, Stanisław. Rady dla młodzieży rzemieślniczej, z dwiema rycinami, 39 str. w 16-ce, Warszawa, 5 kop.
- GAUME, X. J. Zasady i całość wiary katolickiej czyli wykład jój historyczny, dogmatyczny, moralny, liturgiczny, apologetyczny, filozoficzny i socyalny od stworzenia świata aż do naszych czasów. Przekład z francuzkiego podług szóstego wydania paryzkiego, ostatecznie poprawnego i znacznie pomnożonego. Wydanie trzecie. Tom I, CXXVIII, 225 i IV str. Tom II, 310 i VII str. Tom III, 418 i VI str. w 8-ce. Przedpłata na 8 tomów 6 Rsr. 75 kop. z przesyłką na prowincję Rs. 7 50 kop.
- GODLEWSKI, Emil i Maksymilian DOBRSKI. Opis własnych doświadczeń nad własnością absorbejną ziemi ornój i przegląd prac dotychczas w tym przedmiocie dokonanych, 69 str. w 8-ce, Warszawa, Rs. 1.
- GOMULICKI, Wiktor. Z otchłani (Nowella) (Biblioteczka kieszonkowa romansów i powieści) 63 str. w 32-ce, Warszawa, 15 kop.
- GORDON, J. Grzechy Krystyny królowej hiszpańskiej. Powieść historyczna (podług oryginału francuzkiego) VI i 216 str. w 8-ce, Lwów, Rs. 1 k. 5.
- GORZELAŃSKI, X. M. Miesiąc Maryi dla młodzieży, 208 str. w 64-ce, Warszawa, (Osobne wydanie dla dziewcząt i chłopców). 20 kop.
- GRABOWSKI, Ks. G. Rady kapłana dla ludu, 228 str. w 16-ce, Warszawa, 25 kop.
- GRATRY, A. Źródła. Przetłóżył na język polski Jan Hempel, VII i 173 str. w 8-ce, Warszawa, Rs. 1.
- Grzesznik* nawrócony mową Jezusa Chrystusa do pobożnego życia, czyli sposób pojednania się z Bogiem przez 10-cio dniowe uwagi, 94 str. w 32-ce. Warszawa, 15 kop.
- GUMOWSKI, Franciszek. Przekleństwo (poemat), 48 str. w 12-ce, Warszawa, 30 kop.
- Gwiazdka*, czyli kolęda na rok 1869/70. Książka zbiorowa ilustrowana. Rok siódmy i ósmy, 216 str. w 8-ce, Warszawa, 30 kop.
- JACKOWSKI, Maksymilian. Rzut oka na nasze zasady, sprawy i potrzeby, 64 str. w 8-ce, Poznań, 40 kop.
- JEZIORAŃSKI, Felix. O prawie stron do pojednania się w przestępstwach prywatno-publicznych, 24 str. w 8-ce, Warszawa.
- JODKO, NARKIEWICZ Dr. H. GEPNER Dr. Oftalmologia Tom III, część I. Professora F. C. *Dondersa* w Utrechcie. Anomalie, refrakcyi i akomodacyi oka, przetłóżył. Dr med. Bol. Gepner. (Drzeworytów 71), 288 str. w 8-ce, Warszawa, Rs. 2 kop. 70.
- KAMIŃSKA, A. Próżność ukarana. Komedia w dwóch aktach, 30 str. w 16-ce, Lwów, 15 kop.
- KAMOCKA, Józefa. Praktyczny wykład nauki języka polskiego, obejmujący źródłosłów, składnię i pisownię, II i 181 str. w 8-ce, Warszawa, 60 kop, oprawne 75 kop.

duchownych, potrzebna i pożyteczna dla dorosłych, 64 str. w 8-ce, Warszawa, 7 $\frac{1}{2}$ kop.

Nowenna na cześć Niepokalanego poczęcia N. M. P. z powodu cudownego modału, 71 str. w 32-ce, Warszawa, 15 kop.

NOWODWORSKI, Ks. M. Ksiądz Karol Surowiecki, 131 str. w 8-ce, Warszawa, 30 kop.

Odwiedziny, które chwalebnie się czynią Zbawicielowi w tajemnicach męki i ołtarza, oraz Jego Matce Najświętszej z dodatkiem oktaw nabożnych, 62 str. w 16-ce, Warszawa, 7 $\frac{1}{2}$ kop.

OLECHNOWICZ, Fr. Wyjątek z pisma pod tytułem Filozofia słowiano-celtycka część II-ga, 124 str. w 8-ce, Kraków, 80 kop.

OCHOROWICZ, Julian. Psychologiczne pytania XIX wieku: 2. Miłość, zbrodnia, wiara i moralność. Kilka studyów z psychologii kryminalnej, 160 str. w 8-ce, Warszawa, 90 kop.

OLLENDORFF, G. H. Teoretyczno-praktyczna metoda nauczania się czytać, pisać i mówić po włosku w sześciu miesiącach. Dzieło zupełnie nowe. Podług oryginalnej odcygi Józ. Reale, prof. jęz. włoskiego we Florencyi, przerobiona i dla użytku Polaków zastosowana przez B. I. Poszyt 1, 176 str. w 8-ce, Warszawa, z przedpłatą na całość w 4 zeszyt. 3 Rs.

Pamiętka z Częstochowy. Opis klasztoru i cudownego obrazu Matki Boskiej na Jasnogórze Część I. Część historyczna. Część II. Przewodnik na Jasnogórę. III. Pielgrzymki, Odpusty i Nabożeństwo, 236 str. w 16-ce, Warszawa, 30 kop.

Pamiętnik Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych z roku szkolnego 1869/70. Rok I-szy, 183 str. w 8-ce, Warszawa, 50 kop.

POL, Wincenty. Historyczny obszar Polski: Rzecz o dyalektach mowy polskiej, 74 str. w 8-ce, Kraków, 90 kop.

PROKOP, Ks. Kapucyn. Miesiąc Serca Jezusowego, 432 str. w 16-ce, Warszawa, 60 kop., na welinie 75 kop.

PRAŻMOWSKA, T. Rozsądna panna. Powieść, 230 str. w 8-ce, Warszawa, 75 kop.

Przewodnik dla rodziców i nauczycieli do uczenia głuchoniemych, wymawiania, czytania, pisania, poznawania mowy z ust oraz do poprawiania błędnego wymawiania, ułożony przez radę pedagogiczną Warszawskiego Instytutu głuchoniemych i ociemniałych i zatwierdzony przez JW Kuratora okręgu nauk. warsz, 141 str. i 1 tabl. lit. w 8-ce Warszawa, 1870, 1 Rs.

Przewodnik ekonomiczny. Pismo poświęcone sprawom rolnictwa, przemysłu, handlu i ubezpieczeń. (Wychodzi co niedzielę. Nr. 8 str. 4^o. Kraków. Prenumerata (od 1 kwietnia 1870).

Regulamin instrukcyjny cesarsko-królewskiej piechoty austriackiej z ostatniego wydania niemieckiego z r. 1868 i z nową instrukcyi do strzelania z r. 1869. Z pięcioma tablicami rycin i stu przeszło drzeworytami. III, 283 i 47 str. w 8-ce, Kraków, 1 Rs.

Roczniki sejmików gospodarskich w Toruniu. Zeszyt I i II zawierający przebieg narad i rozprawy odczytane na sejmikach z r. 1867 i 1868. Wy-

danie dokonane przez komisję dla ułożenia roczników na drugim sejmiku wybraną, 164 str. w 8-ce, Toruń, Rs. 1 kop. 20.

ROSENBERG-LIPIŃSKI, P. O uprawie roli. Streszczenie dzieła (der praktische Ackerbau) i do użytku praktycznych rolników zwłaszcza dla rząd-ców i ekonomów zastosowane; 85 str. w 12-ce, Warszawa, 30 kop.

SARNECKI, Winc. Gwiazdka noworoczna. Powiastki, opowiadania, anegdotyczne, przysłowia i podróże, przeplatane wyjątkami ze znakomitszych poetów naszych. Dla młodszego wieku zebrał, ułożył i własnymi pracami powiększył, 204 str. w 8-ce, Kraków, Rs. 1.

SARNECKI Zygm. Zemsta pani hrabiny, komedia w 3 aktach, napisana prozą, 79 str. w 12-ce, Warszawa, 15 kop.

SCHWEINICHENA, Hansa, Pamiętnik do dziejów Szlązka i Polski 1552—1602 r. Przekład skrócony Hier. Feldmanowskiego (Biblioteka pamiętników i podróży po dawniej Polsce, wydane przez J. I. Kraszewskiego. Tom II). VII i 240 str. w 12-ce, Drezno, 90 kop.

SEGEL, Dr E. Winogrona jako środek leczniczy w różnych słabościach, z niemieckiego, 30 str. w 12-ce, Rzeszów, 40 kop.

SKAŁKOWSKI, Tąd. Warsztaty i fabryki a postęp przemysłowy, 48 str. w 8-ce, Lwów, 20 kop.

SKIBA, Wołody. Kwiat z Sumatry. Powieść, 264 str. w 16-ce, Lwów, 45 k. *Słowo* o kobiecie, jeszcze. (Napisał Bierzyński), 32 str. w 12-ce, Warszawa, 20 kop.

ŚNIEGOCKI, A. O pielęgnowaniu i paszeniu koni i bydła, 49 str. w 16-ce, Bydgoszcz, 16 kop.

SOLARSKI, Ka. Mat. Pamiętka z odpustu na Ś. Bonifacy w Czerniakowie (pod Warszawą) 71 str. w 16-ce, Warszawa, 15 kop.

SOULIÉ, Fryderyk Pamiętniki Szatana. Dzieło tłumaczone z francuzkiego. Tom I (zesz. 1 do 7-go), 315 str. w 12-ce, Warszawa, zeszyt po 10 k.

Sprawa Traupmana wraz z obroną pana Lachaud i opisem wykonania wyroku na mordercy, spolszczył A. M. 105 str. w 16-ce, Warszawa, 25 kop.

STANISŁAWSKI, Oskar. Anna sekretarzem, komedia w dwóch aktach, 48 str. w 8-ce, Warszawa, 10 kop.

STARYKOŃ, Józef. Opiekun, komedia w 5 aktach, 164 str. w 8-ce, Drezno, 95 kop.

— Przekora, krotchwila w jednym akcie, 47 str. w 12-ce, Drezno; 32¹/₂ kop.

Statystyka, krótka gubernij Królestwa Polskiego, obejmująca rozległość i ludność tychże gubernij oraz wykaz miast, osad i gmin. (Przedruk uzupełniony ze Skorowidza do Dziennika praw, wydane w połowie 1870 r.), 63 str. w 12-ce, Warszawa, 20 kop.

ŚWIERZBIŃSKI, Rom. Rozwój społecznienia rzymskiego, 526 str. w 8-ce, Warszawa, Rs. 3.

System więzień poprawczych irlandzkich (nap. hr. Andr. Zamoyski), XXX i 635 str. w 8-ce, Lwów, Rs. 1 kop. 50.

SZEKSPIR, W. Hamlet, król Lewic duński. Dramat w pięciu aktach. Tłumaczenie Krystyna Ostrowskiego. (Całkowity nakład 750 egz. oddany na rzecz szkoły dramatycznej we Lwowie), 171 str. w 8-ce, Lwów, Rs. 1 35 kop.

Szkola, czasopismo poświęcone sprawom szkół niższych, tudzież seminaryów nauczycielskich. Tom III (1869 I półrocze) VIII i 400 str. Tom IV (1869 II półrocze) VIII i 416 str. w 8-ce, Lwów, Rs. 2 kop. 70.

— Dodatek do „Szkoly” poświęcony sprawom szkół średnich. Tom I, VI i 296 str. w 8-ce, Lwów, 75 kop.

SZWARTZ, Zofia, Marya. Być albo nie być. Powieść szwedzka, 351 str. w 8-ce, Lwów, Rs. 1 kop. 50.

— Praca uszlachetnia, powieść z życia rzeczywistego, przełożona ze szwedzkiego przez Sulickiego. Wydana i opatrzona przypiskami przez redakcyę „Zorzy”, 632 str. w 16-ce, Warszawa, Rs. 1.

TRZYWDAR, Józef. Z pogańskich światów. Pieśń miłości, 39 str. w 12-ce, Lwów, 45 kop.

THUCYDIDES. Historia wojny peloponezkiej, przekładał z greckiego Antoni Bronikowski. Zeszyt II, III, IV w jednym, zawierający księgi III, IV, V, VI, VII i VIII od 114 — 447 str. w 8-ce, Ostrów, Rs. 2.

Ustawa banku handlowego w Warszawie, 39 str. w 8-ce, Warszawa.

Walka o posażną pannę. Plotka miejska z niedalekiej przeszłości, podejrział, podsłuchał i rozgłosił Fotofero. Ilustrowana przez Fr. Kostrzewskiego (Biblioteczka kieszonkowa romansów i powieści), 85 str. w 32-ce, Warszawa, 15 kop.

Wiedza, zbiór popularnych odczytów z literatury i nauk. Zeszyt X zawiera Brugsch, Henryk. O powstawaniu i rozwoju pisma, przełożył P. Ch. 22 str. i 1 tabl. litogr. w 8-ce, Warszawa, 20 kop.

Wieniec z dwunastu miesięcy dla dzieci Maryi. Naśladowanie z francuzkiego przez M. B. C. 62 str. w 16-ce, Drezno, 20 kop.

Wołyń i jego mieszkańcy w r. 1863, przez F. N. VIII i 138 str. w 8-ce, Drezno, 95 kop.

W drukarni Gazety Polskiej przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 619.

Дозволено Цензурою 13 (25) Іюля 1870 г.

NIE W PORE.

POWIEŚĆ.

PRZEZ

Teresę Prazmowską.

(Ciąg dalszy).

List XXIX.

ZYGMUNT DO ANIELI.

Dnia 6 września.

Miałas słusność, Anielo; czas idzie i zacierą zwolna wszystko, co w duszy wiecznym być miało. Łagodnieje boleść, czy wyczerpuje się zdolność cierpienia? ja nie wiem.... czy téż duch ludzki przywyka do cierpienia, jak organizm fizyczny do choroby, z którą żyje dopóty, póki go ona nie zabije? i tego nie wiem; czuję tylko że nie takie piekło rozpaczy wre mi w sercu, a boleść moja, równie jak przedtém głęboka, zżyła się z myślą moją i przestała być tém widmem okropnym, przed którym cofała się pamięć strwożona... A jednak gorzki mam smutek w sercu, pogrzebałem nadzieje moje, a niedogasłe szczątki uczucia jeszcze mi tleją w sercu i trwożę się i obawiam, czy lada powiew złudzenia nie rozdmuchnie ich znowu w jasny, gorący płomień?! Bo ty Anielo, której życie takim spokojnym a wdzięcznym płynięciem, ty nie wiesz jeszcze, jakie burze szaleć mogą w rozo-

gnionój namiętnością piersi ludzkiej, i w nieświadomości swojej błogosławiona, nie domyślasz się nawet, jak trudno pokonać je wola, tą iskrą boskości na pomoc i podporę życia nam daną. Ty nie wiesz, ile razy omdlewa w walce ta niestrudzona rodzicielka cudów, ty nie wiesz Anielo, jak pustym i jałowym stepem rozkłada się przyszłość przed oczyma tych, co sami siebie pokonawszy, stoją na grobowisku własnej przeszłości swojej. Myśl moja i wola pogodziły się już z tą bezbarwną przyszłością, wyrzekły się wszelkich manień szczęścia... ale smutno mi bardzo, a rzeczywistość życia, choćby najpiękniejszymi wdzięczyła się do mnie uśmiechami, nie potrafi mi już czoła dawną pogodą rozjaśnić.

Wszystkie te myśli snuły mi się pewnego dnia po głowie, gdy z cygarem w ustach zabrał swoje miejsce wśród rodzinnego kółka, które w poobiednich godzinach zgromadza się pod werendą do salonu przytykającą. Rozmowa, do której nie mięszałem się wcale, ucichła przed chwilą, a milczenie ożywiał śmiech i szczebiot bawiących się obok nas dzieci, wśród których najgłośniej słychać było małą Wisienkę, śliczne dziecko różowe, białe, jasnowłose, na które patrząc w domowym szczęściu, mimowoli zatęsknisz. Pani Morska od czasu do czasu strofowała z uśmiechem rozfiglowane maleństwo. Tola jakby zamyślona milczała, a oczy jej na robotę spuszczone, podnosiły się niekiedy i przeprowadzały spojrzeniem p. Julię, która opuściwszy swoje miejsce, chodziła wzdłuż werendy. Przez gałęzie winogrodu gęsto liściem obrosłe przedzierał się tu i owdzie promień słoneczny, i spotykając przechodzącą, łamał się snopem iskier w złotych jej włosach, smugami blasku w fałdach białej sukni rozwijał, aż wreszcie na ziemię się osuwając, stał się pod jej stopy pokornie. W tém pół-oświetleniu przezroczytém, powiewna, wysmukła, z czołem uwieńczoném w drzące cienie liści, panna Julia była tak precudownie piękną, że mimowoli prawie uderzony zostałem niezwykłą pięknością istoty, na którą od dwóch miesięcy codzień prawie patrzę, a którą dziś dopiero zobaczyłem po raz pierwszy w takim blasku idealnej piękności stojącą. Tola jakby odgadując myśl moję, zwróciła się nagle do mnie.

— Prawda, jaka ona śliczna — szepnęła, wskazując na Julię która w téj chwili właśnie uśmiechając się łagodnie do chwytającej ją za suknię Wisienki, promieniowała niewymownym urokiem serdecznej słodczy letniej. Ten uśmiech obiecywał całą przyszłość cichych radości domowych, obiecywał poważny majestat macierzyństwa w téj, co się z taką miłością do dziecka uśmiechnąć umiała. Uwagę Toli potwierdziłem skinieniem głowy, nie uznając nawet za potrzebne stwierdzać słowa prawdy, tak mocno w oczy bijącej. Tola mówiła dalej:

— Czyś ty kiedy pomyślał Zygmuncie, jak niepojęcie szczęśliwym może być człowiek, który w istocie, co mu jest życia towarzyszką, znajdzie tyle piękności moralnej, że wobec niej gaśnie piękność fizyczna, choćby najbardziej olśniewająca?

— Rzeczywiście — odparłem — szczęście to wielkie, choć rzadkie.

— Wierzysz jednak w jego możebność?

— Wszystko jest na świecie możebnem... ale dlaczego mi to mówisz?

Tola umilkła na chwilę, jakby się namyślała, jaką ma dać mi odpowiedź.

— Zygmuncie — rzekła wreszcie powoli z nieśmiałością delikatnej kobiety, która się lęka mimowolną popełnić niedyskrecję — Zygmuncie, ze wszystkich kobiet, jakie ja znam, jedna tylko Julia takim szczęściem obdarzyć może...

— Wierzę — przerwałem bratowej — takimi zasobami moralnego bogactwa, mało która poszczycić się ma prawo. Nieraz, rozmawiając z p. Julią, sam byłem zadziwiony czystością i siłą jej pojęć.

— To téż czysta i silna przejdzie przez życie — mówiła znowu Tola — a kochająca i słodka, co także niemałą jest zasługą. Są istoty czyste jak kryształ lodu i tak jak on zimne, jak stal silne i jak stal nieugięte. Ta twardość stalowa i lodowata obojętność, odejmuje im w moich oczach wszelką zasługę.

Nic nie odpowiedziałem na to zdanie ze wszechmiar sprawiedliwe i słuszne. Ale Toli koniecznie widać chodziło o moje odpowiedź, bo widząc że milczę, spytała:

— Wszak prawda, Zygmuncie?

— Prawda niezaprzeczona—odparłem—wartość ludzkiej treści zdwaja się często formą, w jakiej się treść ta objawia. Jednać sobie ludzi wdziękiem obejścia, piérwój jeszcze zanim zdołają ocenić twoją wartość moralną, a tą wartością nietylko wyrównać wdziękowi zewnętrznemu, ale go nawet przewyżsyć, to rzecz niemała i nielada jest przymiot. Panna Julia w wysokim stopniu posiada tę umiejętność...

— Zygmuncie—przerwała mi nagle Tola, zdobywając się nagle na wypowiedzenie myśli, koło której krążyła dotąd słowami, dlaczego ty się o nią nie starasz?

Zaskoczony tém pytaniem, na które wcale nie byłem przygotowany, zawahałem się trochę z odpowiedzią.

— Ciotka dałaby ci ją chętnie—mówiła dalej Tola.

— A wołę panny Julii za nicze liczysz?—spytałem.

— Broń Boże! Julka ma zanadto serca i rozumu, żeby nie umiała chcieć dobrze i niezłomnie, ale... i znowu zawahała się trochę Tola—ja ci właśnie dlatego to mówię, że może odgadłam wołę Julki.

— Czyżby ta wola miała być przychylną twoim projektom?

— Cóż w tém niepodobnego?—odparła Tola, uśmiechając się z mego zdziwienia—czy sądzisz żeś jój nie wart?

I nie dając mi czasu ust otworzyć, dodała:

— Nieraz mi to już przychodziło na myśl, nie chciałam ci jednak nic mówić, czekając właściwszój pory. Dziś, wiem z pewnością, że prosząc o rękę Julki, nie doznałbyś odmowy *od nikogo*, wiem także, że obojgu wam byłoby dobrze razem.... Pomyśl nad tém Zygmuncie. Julka nie należy do tych istot, egzaltowanych i namiętnych, które namiętnój i egzaltowanój potrzebują miłości; na spokojném uczuciu, jakie dać jój możesz, oprze się z ufnością i szczęściem. Powtarzam ci, pomyśl nad tém....

I odeszła Tola, zostawując mi w samój rzeczy nowy żywot dla myśli. Przeszło dni kilka, byliśmy nieraz sami, nie korzystając bynajmniej ze sposobności powrócenia do tego przedmiotu rozmowy. Ja milczałem, ważąc się z myślami, Tola czekała na rezultat moich rozmyślań... Długimi godzinami sam ze swoim sumieniem stawałem wobec przyszłości i badałem sam siebie, mierząc siły własne z brzemieniem czekających mnie obowiązków... I przekonałem

się Aniello, że nie uczynię nieszczęśliwą kobiety, która słowu mojemu zawierzy. Nie potrafię ukochać Julii taką bezgraniczną miłością, jaką kochałem Michalinę, ale ona mi będzie najdroższym celem życia, a jój spokój i szczęście jedynem mojem zadaniem i pracować nad niem będę sumiennie. Za to, że mi słodyczą i wdziękiem królować będzie w domu, że mi będzie towarzyszką życia, myśli i pracy, że przez nią i dzięki jój, ukochane moje o szczęściu domowém marzenie, stanie mi się błogą rzeczywistością, za to wszystko będę czuł dla niej wdzięczność nieopisaną, tém wszystkiem przywiąże mnie do siebie, a myśl moję i serce tak zniewoli ku sobie, że w przeszłość już wracać nie zechcą. Znam się, o ile człowiek może znać sam siebie i tego wszystkiego jestem pewny i rad imyśli, że ja samotny dotąd, a samotnością już znużony, méć mogę na własność ten najświętszy skarb życia, jakim jest kochające i zacne serce kobiety...

Wczoraj więc udałem się do Toli z prośbą, aby mnie oświadczyła pani baronowej o rękę Julii i przyjęty przez matkę, uściskiem i błogosławieństwem przybrany za syna, poszedłem do Julii, chcąc jako uczciwemu człowiekowi należy, zdać jój sprawę z mojej przeszłości, zanim przyrzeczenie, którego zawczasu byłem pewny, przyszłość naszą nierozwiązalnie połączy. Zastałem ją samą w salonie.

— Panno Julio—rzekłem—ośmielony przez Tolę, upoważniony przez matkę pani, przychodzę do niej z wyznaniem i prośbą, czy mówić mi wolno?

Spojrzała na mnie uważnie i kładąc książkę, którą przed chwilą czytała:

— Siadajże pan obok mnie—rzekła—i mów, co masz do powiedzenia. Słucham chętnie i z uwagą.

Usiadłem więc i pod łagodnym premieniem tych czarnych, myślących oczu, które uważnie i życzliwie patrzyły we mnie, wypowiedziałem pannie Julii te wszystkie dzieje serca, z których obowiązany byłem wyspowiadać się kobiecie, co na moją prośbę, rękę wraz z sercem mi odda. Powiedziałem jój, że kochałem Michalinę wielką i niezapomnianą miłością, że cierpiał męki potępieńca, że do dziś dnia jeszcze spokoju we mnie nie ma, a serce me żalem chore i ciężkim smutkiem. Słuchała, słowem żadném nie przerywając mojej mowy, tylko w oczach jój dwie łzy duże stanęły i na bla-

dawą twarz jęj różowy wybiegł rumieniec. Anielo, nie mogę ci wypowiedziéć, ile i jak cierpiałem, otwierając słowami zaledwie zabliźnioną ranę serca, cierpiałem bardzo.... ale dziwnie miło mi było widziéć to nietajone współczucie serdecznej i dobrej istoty i powoli wstępowała mi w serce nadzieja, że każdy smutek życia ona tak samo osłodzić mi potrafi. I po małej chwili milczenia, której potrzebowałem na to, by odpocząć znużonej myśli, spytałem panny Julii, czy zechce podzielić życie człowieka, który wprawdzie miłości przyrzec jęj nie może, ale da cześć wielką i uznanie głębokie i przywiązanie spokojne, ale tak silne, tak niezłomne, tak mocno w sercu zakorzenione, że liczyć na nie może i oprzeć się na niém w każdej chwili.

— Wiesz pani już wszystko, co jęj miałem powiedziéć — rzekłem kończąc — jakiej odpowiedzi spodziewać się mogę?

Panna Julia z przesliczną powagą swoją podała mi rękę którą do ust poniosłem z wdzięcznością.

— Pan smutny jesteś i zbolały — rzekła drżącym trochę głosem, i chcesz, żeby ktoś życzliwy, kochający wziął smutku tego połowę? czy tak miałam pana zrozumieć?

— Pani sercem zawsze wszystko dobrze zrozumiesz — odparłem.

— I całym sercem przyrzekam dać panu wszelką pociechę, jaką tylko serdecznie kochająca kobiéta dać w stanie.

Ucałowałem w milczeniu obie jęj ręce, ona mówiła dalej:

— Dziękuję panu, żeś mi pan zawierzył i wezwał mnie z całą ufnością do tego podziału smutku.... nie cofnę się przed swoją połową, a myśl o szczęściu pana będzie mi takim pragnieniem, taką nadzieją ukochaną, że za nią.... może pan i mnie pokochasz nareszcie....

I chciała ukryć w dłoni zarumienioną twarzyczkę i łzy co jęj na rzesach świeciły, a taką anielską arcypięknością kobiety śliczna była w téj chwili, żem z uczuciem czci i podziwu pełném ugiął kolano przed istotą, co sercem pojęła przeczysty ideał kobiecości.

— Dziękując jęj za te słowa pocziwe, przysiągłem sam sobie, że myśl moja i życie do nięj tylko należéć będą. Z poważną radością i z dumą człowieka, który wie o tém, że zy-

skął sbarb drogi, powiodłem ją do matki, by na wspólne życie oboje nas razem przeżegnała....

Dziś myśląc o kroku, jaki uczyniłem, wierzę, że go żałować nie będę. Ta wiara wraz z wiarą w uczucie Julii dają mi pewien rodzaj *względnego* szczęścia, które zapewne jest jedynem jakiego spodziewać się można bez obawy doznania zawodu. Dzięki Julii, mam dla przyszłości nadzieję, mam wytknięty cel życia i pracy, mam punkt oparcia dla marzeń moich i pragnień... za to wszystko odpłacam jęj mocnem postanowieniem ukochania ją tak rozumnie, tak poważnie i zacie, żeby nigdy młode jęj serce nie poczuło braku tęg serdecznej gorącej miłości, którą dać jęj... nie w mój już mocy.

Zygmunt.

List XXX.

ANIELA DO ZYGMUNTA.

Dnia 11 września.

Mój bracie najukochańszy, przywykła do smutnego wrażenia jakie mi przynosiły listy twoje, z radosnem zdziwieniem przeczytałam ostatni. Bogu niech będą dzięki Zyg-muncie, że nadzieja twojej przyszłości opiera się na czémś tak poważnem i wiary godnem, jak słowo i serce Julki.... nie mam potrzeby obawiać się już o ciebie, ani tęg trwożną myślą zapytywać, jakim będzie dla ciebie dzień jutrzejszy.... Są wybrane, przeczyste istoty, co najpiękniejsze zadanie życia widzą w zapomnieniu siebie i o szczęściu drugich myśląc jedynie, myślą tak usilnie, modlą się tak miłośnie, że Bóg je wysłuchiwa nad prośby i własne szczęście w naddatku im zsyła. Umić kochać, Zyg-muncie.... kochać, nie myśląc o sobie, serdecznie, wyłącznie, wytrwale, być ukochanemu wiarą, co nigdy nie zawodzi i siłą, która nie upada nigdy; być mu życia spokojem, uśmiecchem i wdziękem, kochać go dla niego, nie dla siebie, i miłość do potęgi ideału podniósłszy, z radością podać mu do pocałunku czoło tym blaskiem ideału opromienione, tak umić kochać, to szczęście największe i największa zasługa, Zyg-muncie, i tak kochającej kobiecie życie swoje z ufnością zawierzyć można.... Krótko tylko

i pobieżnie piszę dzisiaj do ciebie, jednocześnie z tém pi-smem chcę bowiem wyprawić list do Julki, żeby jój powie-dzić, że sercem siostry wdzięczna jój jestem za szczęście mego brata, że wierzę w nie głęboko i wiem, że ta wiara moja z jój winy zawodu nie dozna nigdy.

Aniela.

List XXXI.

ANIELA DO JULII.

Dnia 12 września.

Z listu brata mego wiem już, że chociaż mało pani zna-joma, mam jednak prawo powitać dzisiaj panią serdeczném, radości pełném powitaniem, bo najukochańszemu z mojej ro-dziny, przyrzekłaś pani swoją miłość, a taka obietnica jest szczęściem. Więc za przyszłe szczęście Zygmunta niechaj ci Bóg zapłaci spełnieniem tych wszystkich nadziei, o które serce kochającej kobiety modli się do Boga pocichu. Pod-jęłaś się Julio być Zygmontowi zbawczym aniołem pociechy, bądź więc spokojna o przyszłość: to anielskie twoje posel-stwo dobrą odpowiedź weźmie od życia. Jeżeli myślą roz-ważając przyszłość i wnioskując, o niej z chwili terazniej-szej, lękasz się czy nie wzięłaś ciężaru nad siły, proszę cię, bądź zupełnie spokojną. Wierz mi Julio, jam starsza od ciebie, i lepiej przeto znam życie: nie ma w niém większej potęgi jak siła prawdziwego uczucia, co wszechmocą cudu, wszechmocą zawartęj w sobie prawdy, pociąga i niewoli tych nawet, co uczuciu oporni są lub obojętni. A Zygmunt nie jest jednym ani drugim. On tylko cierpiał tak bardzo i tak gorzko, tak się zawiódł boleśnie, że zawodem i cierpieniem wyczerpał się w nim zasób sił moralnych, trzymany w za-pasie na pierwszą walkę serca. Ale tak bogate i szlachetne organizacye, skoro tylko poczują się obezsilonemi, już zaraz na nową siłę pracować zaczynają i zdobytą zużytkowują na-tychmiast w sposób taki, jaki serce, sumienie i rozum najpo-trzebniejszym być osądzą. A pani przecie wątpić nie mo-żesz o wyroku, jaki wydadzą serce, sumienie i rozum Zy-gmunta, któremu w chwili smutku przyrzekłaś z wzniosłą pro-stotą niesamolubnej kobiety, że się z nim jego smutkiem po-

dzielisz i będziesz mu ulgą i pociechą, zanim mu się staniem miłością i szczęściem najdroższém. Kto tak jak ty Julio, umie patrzeć na życie, ten bardzo szczęśliwym i bardzo dumnym być powinien, bo patrzy z wysoka, z niedostępnych sfer ideału, i skrzydeł jego myśli ani kwiatu marzeń nie połamia burze, co huczą nad głowami ludzimi, samolubnie małostkami zaprzątniętym i w samolubne ich cele piorunami nieszczęścia biją. Ty, której cele są inne, obawiać się tego nie możesz. Tém słowem jak życzeniem i obietnicą, żegnam cię Julio serdecznie.

Aniela.

List XXXII.

JULIA DO ANIELI.

Dnia 16 września.

Dziękuję, całym sercem dziękuję pani za słowa jég listu; dziękuję, bo pani jedna odgadłaś tajone obawy, z któremi wchodzę w życie. Ja kocham pana Zygmunta całą siłą serca i myśli, kocham go taką miłością, co już na całe życie skarbem dla duszy się staje, a chociaż nieśmiałe przeczucie mi szepcze, że może i on mnie ukocha w przyszłości, to jednak... są chwile, w których mi bardzo smutno i straszno prawie. Ja nie wiem, czy miłość moja mu wystarczy, czy potrafi mu stworzyć taki świat, o jakim marzył i opisać go takimi granicami szczęścia, poza które myśl nie sięga już w przeszłość i pamięci o nie nie pyta. Powiedz mi pani, powiedz raz jeszcze, że ja to wszystko potrafię, że pan Zygmunt szczęśliwszym będzie ze mną niżby nim być zdołał bezemnie, bo mi tu chodzi o niego przede wszystkim, o niego jedynie, a myśli mojej niewolno zapadać w te różowe marzenia, któremi rówieśniczki moje stroją przyszłość swoją serdeczną. Jeżeli na czole jego widzieć będę pogodę i oczy spokojem rozjaśnione, jeżeli mi serce moje powie, że przy mnie nie cierpi już i nie tęskni ani żałuje, to wtedy dopiero pomodłę się o swoją część raj u nieba na ziemi, o swoje dziedzictwo serdeczne i może... miłością u Zygmunta, a modlitwą u Boga szczęście swoje zdobędę. Ale... choćby to nawet nigdy nastąpić nie miało,

niemniej przeto będę mu wytrwałą i kochającą towarzyszką, i żalu ani urazy nie będę mieć do niego, bo postanowienie moje powzięte z całą świadomością rzeczy i jasno widzę jaką sobie przyszłość zgotowałam. Tamta druga, marzona, jest w Bożej dłoni i Bożej ją polecam opiece, a pani serdecznie, głęboko jestem wdzięczną za wyrazy, co mi przyrzekają spełnienie najdroższych marzeń moich.

Julia.

List XXXIII.

NATALIA DO MICHALINY.

Dnia 10 października.

Sama nie wiem, co mam odpowiedzieć na ostatni list twój Michalino. Nie lubisz, żeby zgadywano niewypowiedziane przez ciebie myśli, a ja nie widzę i nie rozumiem jasno powodów, dla których zerwałaś z Muniem. Przyrzekając mu, wiedziałaś już dobrze, że masz do czynienia z naturą samolubną, kapryśną a pozbawioną wszelkiego hartu i tego poczucia własnej godności, jakie dać tylko może przeświadczenie o sile własnej; powtarzam, wiedziałaś to wszystko doskonale... Dlaczego więc po kilku miesiącach zerwałaś? Jeżeli wiesz przyczynę, a powiedzieć jej nie chcesz, szanuję w tobie chęć milczenia i w takim razie nie nalegam już pytaniami; jeżeli nie wiesz prawdziwego powodu, który cię do działania pobudził, to zastanów się nad sobą uważnie i *chciéj* wiedzieć koniecznie, a prawdopodobnie odkryjesz w sobie uczucia i myśli, lub przynajmniej wrażenia i marzenia, o których nie wiesz dotąd. Nie zdaje mi się jednak żeby w tobie bezustannie badawczo w siebie patrząc, znalazł się jakiś bezwiedny objaw wewnętrznego życia; to być nie może, to niepodobne u ciebie... Ty musisz wiedzieć przyczynę i co chwila przytomną myślą zdawać sobie z niej sprawę, więc dlaczego milczysz Michalino? Czy boisz się, żeby w słowach nie rozrosło się zbyt znacznie to, co byś może stłumić pragnęła, czy też żal ci dzielić się ze mną marzeniem wypieszczonem w serdecznej tajemnicy? Zanim ja ci odpowiem na prawdopodobną przyczynę bladej panny Julii, która ci tyle dała do myślenia, ty mi wprzód na to pytanie odpowiedzieć musisz.

Natalia.

List XXXIV.

MICHALINA DO NATALII.

Dnia 14 października.

Natalio moja droga, ja nie chcę i nie mogę grać przed tobą komedyi, ani nawet milczeniem ci kłamać nie mogę. Inszém dziś okiem patrzę na świat i życie, i tego, co jest we mnie prawdą dla duszy; taką świętością dla myśli jest zawsze miłość prawdziwa Natalio, a ja kocham pana Zygmunta bez fałszywego wstydu, bez żadnych omówień i ogródek, poważnie i z przekonaniem wyznaję ci to uczucie, co mi jest niepokojem i męką, ale jest przytem radością i dumą także. Kocham go dziś, kiedy on mnie już kochać przestał, kocham go tém silniej, im uporniej odpychałam od siebie to uczucie, im zawzięciej zamykałam drzwi serca przed tym Bożym gościem... wszystko na próżno. Chciałam oszukać sama siebie, zaręczywszy się z Muniem, wmawiałam w siebie, że Munia kocham, że mogę z nim być szczęśliwą; całym wysiłkiem woli próbowałam zamienić to w prawdę, aż w końcu znużyła mnie ta praca, zbrzydło to zadanie kłamstwa, ciągle się powtarzające a nieskończone nigdy, i chcąc ratować, nie mówię już, szczęście swoje, ale przynajmniej to uczucie godności własnej, do jakiego ma prawo kobieta, prawdy swego serca świadoma, zerwałam z Muniem, choć mi go bardzo żal było, choć mi serce ścisnęła obawa, żeby za boleść nierozważnie biednemu dziecku zadana, nie kazał mi Bóg pokutować własną a ciężką bardzo boleścią. I dziś już ja cierpię Natalio, bo wiem, że miłość moja jest szaleństwem, że mnie już pan Zygmunt nie kocha, że choćby mnie nawet kochał, toby już w miłość moją nie uwierzył, nie spostrzegłby jęj nawet, nie domyślił się, bo choć miłość moja jest wielką, to i duma wielką także i wyrzekłabym się nieba, gdyby mi je przyszło kupować kosztem téj mojej dumy kobiecój. Widzisz więc Natalio, że jasno i bez żadnych złudzeń patrząc w przyszłość, nie mogę w nią dojrzieć nic, coby mi było obietnicą szczęścia, nie widzę w niej żadnej nadziei... nawet téj, żeby uczucie moje, słowem kochania wybiegło mi kiedy na usta i w pamięci Zygmunta

zostało... Smutna więc jestem, bardzo smutna, Natalio, bo tę przyszłość bez nadziei ja sama zgutowałam sobie, sama się postawiłam w położeniu bez wyjścia i nie mam prawa do nikogo mieć żalu Natalio; taki smutek okropnie boli i tak serce kaleczy jak rana śmiertelna... A jednak, mimo to wszystko, dziwnie mi słodko i dobrze na myśl, że i w mojej piersi rozkwitł najpiękniejszy kwiat uczuć ludzkich, że i do mnie Bóg zesłał białego anioła, co mnie uczy modlić się słowami miękkiej, gorącej prośby, modlić się ze łzami w oczach a imieniem Zygmunta na ustach...

Po ostatniej jego bytności u mnie wraz z Tolą i Julką, nie byłam jeszcze w Podzamczu. Nieśmiem tam pojechać... nieśmiem spojrzeć na Zygmunta, żeby mimowoli oczy moje nie powiedziały mu więcej niż ustom powiedzieć wolno, a tak pojechać pragnę, takbym chciała go widzieć i zamienić z nim tylko choć parę słów obojętnych, kiedy już innej rozmowy nie może być między nami... Straszna jest rzecz Natalio, kiedy własne sumienie zapyta cię o to, coś ze szczęściem życia swego zrobiła, odpowiedzieć własnemu sumieniu, żeś zmarnowała to szczęście dziecinną nierozwagą i kaprysem chwilowym; straszna rzecz zabić najpiękniejszą nadzieję i potem ręce łamać nad umarłą!...

Parę dni temu spotkałam w sąsiedztwie panią Morską i dowiedziałam się od niej, że najdalej za tydzień powraca pan Jerzy z zagranicy... zapewne Zygmunt niedługo po brata powrocie wyjedzie... I znowu życie wlec się będzie puste, szare, bez celu, bez nadziei, a rozżalone i gorzką tęsknotą zatrute. To rzecz okropna mieć takie życie przed sobą; pomyśl tylko Natalio, całe długie życie takie, bo cierpienie i boleść i męka serdeczna nie zabiły jeszcze nikogo, nie ujęły ani jednego dnia z przeznaczonych wyrokiem Bożym—dnie życia więc i mnie nie zabijają także.

Co robić z sobą, powiedz, czém się dźwignąć? czy zapomnieć, czy z własnej słabości roześmiać się drwiąco, czy schylić czoło i za krzyż smutku, za koronę uczucia dziękować Bogu pokornie?... powiedz mi Natalio moja. Jak zawsze tak i teraz, bądź mi tém źródłem niewyczerpaném, do którego w niepewności myśli, w zamęcie uczuć po prawdę przychodzę z ufnością.

Michalina.

List XXXV.

NATALIA DO MICHALINY.

Dnia 18 października.

Drogie i biedne dziecko moje, żal mi cię serdecznie, tém serdeczniej im jaśniej widzę, że miłość twoja jest prawdą, że jest takim uczuciem poważnym a silnym, co moralną istotę kobiety przetwarza i wstrząsa do głębi... żal mi cię Michalino, bo widzę, że cierpisz, a cierpienie twoje jest takie, że nawet przyjaźń moja nie może ci w niczem ulżyć, ani go od ciebie usunąć. Kto inny, chcąc ci przynieść chwilową pociechę, powiedziałby ci może, że pan Zygmunt zawsze jednakowo cię kocha; ja nieśmiem mówić ci słów, których prawda jest dla mnie wątpliwą. Nie wiem, co boleść zawodu robi z sercem człowieka wielkiej woli a uczuć gorących, czy je odwróci od téj, co zawodem zraniła, czy rozpęta w niem burze rozpaczy, czy wystudziwszy je obojętnością, nowym nadziejom zwolna rozkwitać pozwoli?.. Nie wiem i boję się wnioskować, żeby wniosek na mylnych oparty danych, nie dał ci nadziei przedwczesnych, lub daremnie jednego więcej nie dodał ci smutku. To ci tylko powiem Michalino, że kobieta kochająca dziwnie w dumie swój łagodnieje, że łza w oku stojąca jest cichem a wymownem wyznaniem, wyznaniem poważnym i ślicznem, którego najdumniejsza wstydzic się nie potrzebuje; łza taka jest chryzmatem, co na walkę życia namaszcza kobietę, jest świadectwem o prawdzie uczucia, jest rękojmią siły jego i trwałości... Takiej łzy nie kryj przed Zygmuntem Michalino, bo choćby cię nawet nie kochał, choćby mu na jój widok nie zadrgnęło serce wzruszeniem radośnym, to ją będzie wspominał ze czcią i poszanowaniem serdecznem i zostaniesz mu w pamięci, strojna w najwyższą dostojność kobiety. Wierzę, jak cię męczyć musi ta niepewność—pojedź do Podzamcza... pojedź koniecznie; tyle razy używałaś twego sprytu na przeprowadzenie małoważnych a złośliwie obmyślanych celów, czyżby ci go teraz miało zabraknąć, tam, gdzie o całe życie twoje chodzi?—czy nie znajdziesz takiego słowa, co niby nic nie mówi, a przecież pyta i domyślać się pozwala

i odpowiedzi koniecznie wymaga? Ty tak biegła w sztuce lekkiej słów szermierki, czybyś jej miała zupełnie zapomnieć od chwili, w której sercem owładnięta, więcej czuć niż rozumować zaczęłaś? czy ci odwagi brakuje? Jeżeli tak jest, to się cieszę tym objawem, który świadczy o rozbudzonem życiu twego serca, ale niemniej przeto znajduję, że odwagę mieć musisz koniecznie. Chcąc ci jej dodać, powiem tyle tylko, że czasem ci, którzy chcąc mieć wszystko, upatrują niedostatki, tam gdzie ich zupełnie nie ma. Może i ty zrobisz tak samo. Gdyby tu rzecz szła o kogoś z lekkim i pospolitem usposobieniem, ten twój żal gorzki byłby w samej rzeczy żalem bez nadziei; ale pan Zygmunt to charakter niepowszedni, opoka, na której budować można. Dla niego wyrozumowane przekonanie powinno być i jest zapewne podstawą całego postępowania.

Jeżeli boleśnie dotknięty zawodem jaki mu zrobiłaś, zmęczony drwinkami twojemi i tą komedią obojścia, poza którą kryjesz wszystko, co jest szczerem złotem myśli, uwierzył w zero twego serca, to prawdopodobnie rozsądkiem i wolą tak serce swoje obwarował, że będzie wolał zabić w niem uczucie niż je sponiewierać, rzucając je pod nogi kobiecie, która się na jego cenie poznać nie umie. Trzeba więc doskonale rozgatkować, co w nim jest, a to zrobić tylko ty jedna potrafisz; przecież go kochasz, przecież na rezultacie tego badania zależy całe szczęście twoje. Jeżeli on się tylko rozumem i dumą broni uczuciu, to bez ubliżenia swojej godności możesz go przekonać, że nawet jego rozumne myślące oczy nie zawsze dobrze widzą. Ale jeżeli zerwała się nitka uczucia w jego sercu... *naprawdę* zerwała, to ją nie nawiązuj, nie kuś się o to, bo niedługo zerwałaby się znowu raz drugi i prócz żalu za szczęściem, zostałyby ci gorzki żal zdeptanej dumy kobiecój... Cóż ci więcej powiedzieć mogę? chyba cię uściskać tém serdeczniej, że ci tak smutno, że takim się męczysz niepokojem.

Natalia.

List XXXVI.

RAJ MUND DO ZYGMUNTA.

Dnia 10 października.

Szlachetność uczuć, której niezbite dałeś mi pan wody w ostatniej rozmowie naszej, upoważnia mnie dzisiaj odezwać się znowu do pana i całkiem mimo mojej woli płaćć go znowu w ten dramat życia, osnuty ręką kobiety.

Musisz pan już wiedzieć zapewne, że pani Michalina zerwała ze mną... Zerwała bez racyi, bez powodu, w skutek błahéj z początku sprzeczki, która z mojej strony uniesieniem chwili, z jej strony dobrowolnym rozmysłem przybrała rozmiary niespodziewanie wielkie i doprowadziła nas do ostatecznego zerwania. Oddała mi, rzuciła raczej pierścionek; wyjechałem z Kniażyna nie pożegnawszy się z nią nawet—jestem jej dzisiaj zupełnie obcy; niemam do niej żadnego prawa; ręką swoją i sercem dowoli rozporządzać może, ale niemniej przeto ja przypominam panu własne słowa pańskie: „*na kaprysie chwili, tylko szaleniec gruntuje szczęście swoje.*” Dodam jeszcze: że w mojem przekonaniu, co kaprys zburzył, kaprys odbudować może, i nie tracę nadziei, że obrażoną, obojętną mi dzisiaj Michalinę znowu zdołam przebłagać i zerwany stosunek nanowo pomiędzy nami zawiązać. Zbyt ją kocham szalenie, żebym spokojnie zrzec się potrafił nadziei posiadania jej ręki; zbyt długo żyłem tą nadzieją, budując na niej cały gmach przyszłości, żebym dziś mógł się z nią rozstać bez sporu.... Michalina musi być moją. Będę czekał cierpliwie, długo, będę czekał dopóty, aż przyjdzie chwila, w której obejrzawszy się wkoło siebie i widząc wszędzie chłód, pustki, zawody i pragnień swoich niespełnienie, znowu się zwróci do mnie. Chwila ta przyjsć musi, bo taka a nie inna jest loika serc kobiecych. Kobieta musi mieć w życiu cel jakiś, jakąś miłość czy choćby nienawiść, coby spotrzebowywała żywotne siły jej ducha; jeżeli pan słowa swego dotrzymasz, Michalina celu żadnego nie znajdzie; mnie tylko o to chodzi. Powiedz pan, żem samolub, żem namiętnością obłąkany, że kochać nie umiem prawdziwie—na te wszystkie sądy zawczasu przy-

staję, ale mi pan dotrzymaj słowa, boś silniejszy i szlachetniejszy odemnie, który z bólu i żalu szaleję i na wszelką ostateczność się ważę, bo nic już nie mam do stracenia i dla zdobycia sobie upragnionój przyszłości, nie cofnę się przed niczém.

Rajmund.

Líst XXXVII.

ZYGMUNT DO RAJMUNDA.

Dnia 15 października.

Z niewymowném zdziwieniem czytałem słowa pańskie, zdawało mi się bowiem, że rzecz raz powiedziana nie potrzebuje być powtarzaną, aby obowiązującą była. Stanać panu na przeszkodzie w pogodzeniu się z panią Michaliną, tém bardziej jest dla mnie niemożebném, że od miesiąca jestem narzeczonym panny Julii, której wysokie moralne zalety natchnąć muszą prawdziwém i głębokiém przywiązaniem każdego, kto w uczuciu kobiety szuka szczęścia całego życia, nie szalu jednéj chwili. Pozostaję mi więc tylko życzyć panu, żeby zamiary jego, mniej więcéj szlachetne i zacne, doszły pomyślnie do skutku.

Zygmunt.

Líst XXXVIII.

RAJMUND DO MICHALINY.

Dnia 18 października.

Nie spodziewasz się pani zapewne, żebym po ostatniéj z panią rozmowie czuł jeszcze potrzebę odzywiania się słowami namiętnéj próśby, na które pani przywykłaś odpowiadać chłodnemi ucinkami. Ten tylko prosi, kto niepewny jest odpowiedzi; ja zaś jestem głęboko przekonany, że spełnienie moich nadziei jest pewnością niezawodną. Nie myśl bowiem pani, żebym się wyrzekł myśli posiadania cię; mam upór namiętności, upór szaleństwa, którym potrafię złamać najtwardszój woli opór. A jeżeli jeszcze przyjdą mi w pomoc zewnętrzne okoliczności, to przyznaj pani sama, że

nie potrzebuję się obawiać ani też prosić o to, co mieć będę prawem konieczności. Pani kochasz Zygmunta i liczysz na to, że w jego sercu rozbudzi się znowu dawna miłość ku tobie; ale tego pani nie wiesz, że Zygmunt zobowiązał się słowem nie stawać mi na przeszkodzie w moich zamiarach, a tacy jak on ludzie zawsze dotrzymują słowa, choćby tylko przez dumne samych siebie poszanowanie. Czasem nawet w tém dotrzymaniu słowa zajdą tak daleko, że choćby się chcieli przeniemierzyć własnej obietnicy, nie mogą tego uczynić bez popełnienia *podwójnej* nieuczciwości. Ten ostatni wypadek ma właśnie tutaj miejsce; w dowód czego przyłączam pani własnoręczny list Zygmunta. Każdy jego wyraz powagą i godnością policzkuje szalone uniesienia moje, a nie obraża mnie jednak, bo mnie tém spieszniej prowadzi do dopięcia mego zamiaru, którym jest: włożyć na palce pani nie już zwrócony mi narzeczonej pierścionek, ale ślubną obrączkę, której uczciwa i o własną godność dbająca kobieta nie zwraca nigdy, chyba w trumnę się kładąc. W nadziei że to nastąpić musi, spokojnie i grzecznie żegnam panią słowem: do widzenia i pytaniem: kiedy mi pani w Książynie być rozkaże?

Rajmund.

List XXXIX.

MICHALINA DO RAJMUNDA.

Dnia 22 października.

Omyliłeś się pan mocno przypuszczając, że w kwestyi takiej, jaka się obecnie między nami rozstrzyga, jest coś, co prawem konieczności nazwać się może i jako konieczność nieprzepartą ma siłę... omyliłeś się pan zupełnie. Wszystkie argumenta pana zarówno loiki jak i grzeczności pozbawione, a poparte listem pana Zygmunta (w samej rzeczy pełnym powagi i godności, którą kontrast ze słowami pana jeszcze bardziej uwydatnia), wszystkie te argumenta powiadam, nie przekonały mnie bynajmniej, żeby ciężył nademną jakiś staro-pogański fatalizm, co mnie zmusi zostać żoną pana wbrew mojej woli i przekonaniu. A przekonanie moje i wola

nigdy się na to nie zgodzą. Nie tylko że nie mam dla pana miłości, ale nawet mieć niestety, nie mogę tego poważnego uznania, téj ufności życzliwej, jaką budzi w kobiecie zacny, silny i wyrobiony charakter mężczyzny; brak mi przeświadczenia o moralnej dojrzałości pana i coraz więcej, gruntowniej pana poznając, coraz się mocniej w mojem mniemaniu utwierdzam. Zdaje mi się przeto, że najwłaściwszą będzie rzeczą, żebyśmy nadal pozostali w stosunkach dalekich i obojętnych sobie znajomych, a nigdy już nie wznowiali téj drażliwej kwestyi, która, stanowczo zapowiadam to panu, będzie pomiędzy nami kwestyą zawsze sporną, a nigdy zgodnie z życzeniem pana nie rozstrzygniętą.

Michalina.

List XL.

MICHALINA DO NATALII.

Dnia 22 października.

Natalio, wiem już wszystko... wiem dlaczego Julia tak zbladła... dołączone tu dwa listy jeden pana Zygmunta, Rajmunda drugi i ciebie o wszystkiém objaśnia. Wiesz dobrze, ja nie liczyłam już na miłość Zygmunta, nawet marzyć o niej nie śmiałam, a jednak strasznym, rozpaczynym bólem rozdarło mi się serce... takim bólem, że nie miałam nawet siły oburzyć się na list Rajmunda, tryumfującego ze złośliwością niepoczciwą....

Cztery dni już upływa od chwili, w której ostatnią beznadzieją złamało mi się życie, cztery dni takie długie, tak przedumane smutnie, że gdy myślą poza obręb ich sięgnę, to nie wiem na czém myśl oprzeć... Przeszłość? co z niej dla przyszłości zbudować? a bez przyszłości jak żyć można? Radź mi, Natalio, radź mi, bo mętno mi w myśli i w oczach od łez ciemno, i czując się winną, modlić się nawet nie śmiem, a tak mi smutno! tak smutno!

Po raz pierwszy od zerwania z Rajmundem pojechałam wczoraj do Podzamcza. I przyznaję ci się Michalino, że pojechałam z tą myślą, by śledzić, czy obecność moja zrobi jakie wrażenie na Zyguncie, czy głosu mego wibracje zbudzą w jego pamięci jakie wspomnienia; czy wiadomość, że

jestem już wolną i panią tak serca jak i ręki mojej, nie zmieni jego obojętności ze mną i nie nasunie mi znowu myśli, które wiem że z żalem porzucił... Pojechałam, chciałam być swobodną, śmiałą, dowcipną, chciałam go tak ku sobie pociągnąć, żeby pociągnięty o wszystkich innych zobowiązaniach zapomniał, i przy mnie już moim pozostał; ale widać Natalio, że do tych maluczkich manewrów salonowych, póty tylko zdolną jest kobieta, póki prawdziwem nie pokocha uczuciem. W obec niego zaniemiałam jak pensyonarka nieśmiała, i zapomniawszy słów z góry obmyślanych, nie miałam co mu powiedzieć, a słowo, które mi drgało na ustach, przemilczeć musiałam. Powiedz Natalio, czy najbardziej kochająca kobieta może się zdobyć na odwagę wyznania swojej miłości, gdy ją nikt o to wyznanie nie prosi, nikt na nie nie czeka? Ja mówić nie mogłam, jakąś trwogą niespokojną serce mi drżało w piersi i łyzy czułam w oczach gorące, a nawet podnieść oczu nie śmiałam, nie śmiałam mu tych łez pokazać. Byliśmy długo sami, Tola z Julią wyjechały na chwilę odwiedzić chorą sąsiadkę, pani Morska zajęta dziećmi jak zwykle, nie miała czasu mnie bawić; siedzieliśmy we dwoje tylko, w tym samym pokoju, gdzie mówiliśmy z sobą poraz pierwszy. Ale wtedy jasno, wesoło płonął ogień na kominku, dziś leżał w nim tylko popiół wygasły... Czy tak samo ma być z życiem Natalio? czy z miłości i nadziei wszystkich nic w sercu nie zostanie, nic prócz garstki popiołu zimnego?

Zygmunt w milczeniu palił cygaro, ja nie mogąc ukryć zmieszania, przerzucałam machinalnie kartki albumu. Od czasu do czasu, jedno z nas obojętnem słowem przerywało ciszę, ale z tych słów oderwanych rozmowa zawiązać się nie mogła i znowu wracało milczenie.

— Kiedy przyjeżdża pan Jerzy?— spytałam w końcu.

— Zapewne przy końcu tego tygodnia.

— I swoim przybyciem uwolni pana... Czy pan prędko wraca do siebie.

— Mam zamiar wyjechać jutro i nie wiem nawet, kiedy znowu będę w Podzamcu; tyle mam w domu do czynienia, a to tak daleko odemnie...

Zapomniałam ci powiedzieć, że pani baronowa z Julią także za parę dni wyjeżdżają.

— A! jutro pan wyjeżdża!—powtórzyłam machinalnie, prawie nie wiedząc co mówię, bo te słowa Zygmunta odbiły mi się w sercu dziwnie bolesném wrażeniem.... jutro pan wyjeżdża... Kiedysz pan wracasz?—spytałam, nie mogąc się oswoić z myślą, że nic zupełnie nie będzie go już ciągnąć w te strony. I powtórzyłam znowu z niecierpliwością smutną: Kiedyż pan powracasz?

— Nie wiem pani; dzięki Bogu Jerzy powraca zupełnie zdrow i nie będzie potrzebował mojej pomocy, a w domu, *jak już pani mówiłem, tyle mam pracy, tyle zajęcia, że częste wydalanie się z niego jest mi prawie zupełnie niemożliwem. Dla wyręczenia brata z chęcią poświęciłem parę miesięcy, ale dziś odzyskuję moją niezależność z prawdziwą radością.

On to mówił spokojnie, harmonijnym a wolnym głosem swoim, ja połykałam łyzy gorzkie. Czułam, że wszystka krew uderzyła mi do serca, gdy pytałam półgłosem:

— Czy panu nie będzie żal tych stron?

— Prócz domu braterstwa nie mam tu żadnych ściślejszych stosunków—odparł mi na to—a Jerzy przyrzeka, że z żoną i dziećmi przepędzi u mnie parę zimowych miesięcy. Zresztą, pani, dodał po chwili poważnie, choćbym miał nawet powód żałować tu kogo, lub czegoś, to mam pracę na dzisiaj, obowiązki na przyszłość... to mnie od żalu obronić powinno.

— I obroni?—szepnęłam, czując, że mi sił już braknie.

— Musi obronić; konieczność to mistrzyni najlepsza, choć surowa, a życie się tak składa dziwacznie, że nikt nie może się obejść bez jój *mistrzowania*.

— A jeżeli ktoś nie chce uznać nad sobą tego *mistrzowania* i nie wierzy w konieczność; jeżeli walczy przeciwko temu, co nazywa *koniecznością*, a co w gruncie jest tylko urojoną zaporą, jeżeli zamiast się bronić od żalu za utraceném, nie dopuszcza utraty, czy tak zrobić nie można?

I zamilkłam, bo twarz mi płonęła wstydem i upokorzeniem, a w oczach miałam łez tyle, że zakończyć mogły wszystko, czego nieśmiałam wymówić słowami. Brakło mi odwagi spojżenia mu w oczy, nie wiem, jaki wyraz miała twarz jego, ale po małej chwili milczenia odpowiedział mi głosem, jakby bardzo znużonego człowieka:

— Pani, człowiek który dba o swoje własne szczęście, nie cofa się nigdy przed urojoną zaporą... a jakże można nie dopuścić utraty, jeżeli ta nie od naszej woli zawisła?

— To pan nie wierzy w tę atrakcyjną przewagę, jaką wywierają na wolę drugich ludzie, którzy umieją chcieć całym sercem i całą potęgą swojej woli?

— Wierzyłem dawniej...

— A dziś?—przerwałam głosem, w którym więcej było prośby niż pytania.

— Dziś... doświadczeniem nauczony, wierzyć w to nie śmiem. Zresztą, kto mi może zaręczyć, że moja wola wywołała w drugiej osobie wolę zgodną a rozważną, świadomą siebie, jednim słowem *wolę*, nie przejściową zachciankę chwili?

Spuściłam głowę pokonana. Chcąc sama siebie sądzić sprawiedliwie, musiałam przyznać że nie mogłam nawet wymagać od niego wiary w prawdę łez moich, jeżeli je dostrzegł, miał prawo myśleć że one są skutkiem chwilowego rozdrażnienia nerwów; kto wie? zręczną komedią może?... Upokorzenia boleść równała się we mnie boleści serdecznej, ten człowiek mnie sądził obojętnie, surowo i sądu swego wyrok rzucał mi potępieniem na głowę, nie wiedząc o tém, że w tejże samej chwili serce mi się rwało ku niemu miłością, że miałam ochotę zarzucić mu ręce na szyję i przytulić głowę do jego piersi ze łzami, z pieszczotą i z cichą prośbą, żeby mnie zabrał jak swoje...

Nie wiem ile czasu przesiedziałam, nie widząc nic przed sobą, nawet na niego nie patrząc. Wiem tylko, że Zygmunt pierwszy przerwał milczenie:

— Pani musisz być cierpiącą, zauważył; dawno pani nie widziałem i znajduję panią zmienioną.

Co było w tych słowach Natalio? czy ironia, czy po prostu w dobrój wierze wymówionemi zostały? Na myśl że one być mogą powiedziane z jakąś myślą naprzód powziętą, zarozumiałą a złośliwą, gorąco mi się zrobiło z gniewu, wstydu i żalu, a miłość własna obrażona dała mi tyle siły, że natychmiast odparłam chłodno:

— Zawsze tak bywa, że pewien przeciąg czasu, mniej więcej długi zmienia ludzi do głębi. Czy pan o tém nie wiedział?

I odważnie spojrziałam na niego. Pan Zygmunt przygryzł wąsy i odparł mi zwięźle:

— Doskonale i z dawna wiem o tém.

— Więc dlaczegoż się pan dziwisz znajdując mnie zmienioną? Nie widzę powodu, dla którego bym i ja nie miała ulegać powszechnemu prawu i mogę być zmienioną ile mi się podoba, nie potrzebując się nikomu z tego tłumaczyć.

— Masz pani zupełną słuszność, ale pytanie pochodzące z przyjaznej troskliwości nie powinno panią obrażać.

— Wszelkie pytanie jest natrętném.

— Nawet wtedy, gdy odpowiedź na nie dać łatwo?—zapytał Zygmunt.

— Co pan nazywasz odpowiedzią łatwą?—ja znowu odparłam pytaniem.

— Mogłabyś pani powiedzieć, że cierpisz ból głowy i wytłumaczyć mi tym sposobem zmianę, jaką w pani dostrzegam.

— A tak! w samą rzecz, cierpię mocny ból głowy—rzekłam na to, siląc się na zimną krew spokojną—czy to wyznanie już panu wystarcza i może zakończyć rozmowę o tym przedmiocie? Zdaje mi się, że mało jest zajmujący, a zbyt wiele nam czasu zabiera... Z próżnych słów rachunek się przecie zdaje...

— Mój Boże!—zamyślony jakby do siebie półgłosem odezwał się Zygmunt—tożby w ten rachunek całe chyba życie wejść musiało!..

I poraz pierwszy spokojną twarz jego oblekł wyraz goryczy.

— Po sobie pan sądzisz?—spytałam.

Powiedziałam to naumymślnie z intencją przygryzienia mu do żywego, bo niezachwiany jego spokój drażnił mnie jak urąganie i jak obelga niecierpliwiał, a widząc że niezaraz odpowiada, dorzuciłam: „kto milczy, ten potwierdza”—czy prawdę mówi przysłowie?

Alo on poważnie i smutnie spojrział na mnie, jakby na dziecko miotające się w gorące i rzekł mi tylko:

— Pani dowcipem wojujesz...

— I naturalnie pan się obawiasz, żebym przez dowcip nie zginęła?—nie lękaj się pan... ja sobie zawsze dam radę...

Za tę szlachetną obawę jestem panu niesłychanie obowiązana, dowodzi ona wszakże...

— Czego dowodzi?... Pani masz czasem dziwny sposób wnioskowania.

— Ale często prawdziwy... Dowodzi w panu większej o mnie troskliwości niż znajomości kobiecych serc w ogóle, a mojego w szczególności.

— Nie rozumiem pani.... Są chwile, w których mi się zdaje, że pani mówisz zagadkami.

— A pan sobie bynajmniej nie silisz głowy nad ich rozwiązaniem?

— Nie to chciałem powiedzieć.

— Ja tak zrozumiałam. Jeżeli zrozumiałam źle, wolno panu mój błędny sąd sprostować. Więc tedy pan znajdujesz, że ja zagadkami mówię—cóż dalej?

Czułam że mówiąc to, jestem w mocy owego złośliwego demona, który mi zawsze zamyka usta w chwili, gdy mówićby potrzeba, albo każe mówić słowa, co tak tną i kaleczą jak nożyczki trzymane w dłoni dziecka nierozważnego. Czułam to doskonale, miłość z dumą walczyły we mnie, a instykt jakiś mi mówił, że moje słowa i Zygmunta ranią także boleśnie. Ale ja tak cierpiałam okropnie, że cierpieniem własnym objętniałam nawet na boleść ukochanego, z jakimś gorzkiem, niepoczciwem zadowoleniem jątrzyłam zobopólną ranę i komentując słowa chłodnym uśmiechem, spytałam znowu:

— Cóż dalej? przecież te moje zagadki muszą panu jakąś myśl nasuwać?

— I w samej rzeczy nasuwają.

— Jaką?—podchwyciłam gorączkowo i z żalem, miłością i trwogą uderzyło mi serce w piersi.

— Czy pani ta wiadomość jest na co potrzebną?

— Konieczną, szepnęłam prosząco, i łyż mi znowu w oczach stanęły.

— Na co?—zapytał Zygmunt z gniewną jakąś goryczą—czy na jedną zabawkę więcej, czy na chwilę rozrywki wesołej, za którą pani tęsknisz zapewne?

Mój Boże! co jabym była dała w téj chwili, żeby śmieć odpowiedzieć: na jeden skarb więcej, na skarb jedyny, najdroższy, na szczęście moje. Ale ja tego nie mogłam po-

wiedzieć, usta mi się zamknęły uporem smutnym i odparłam tylko:

— W takim razie nie powiedziała byś mi pan tej myśli?

— W żadnym razie nie powiem jej pani—rzekł Zygmunt z taką surową, stanowczą powagą, że patrząc na niego, uczułam jak mi krew wszystka zbiegła do serca napowrót. I zamilkłam przerażona i smutna, a on raz jeszcze powtórzył łagodniej już teraz, ale z tą samą stanowczością:

— Nie powiem, i pani sama już mnie pytać o to nie będziesz.

— Dlaczego ja pytać nie mam? co i kto może mi zabronić pytania?—odparłam rozżalona, czując, że w tej chwili po raz ostatni waży się cała przyszłość moja. I mimo łez oczy na niego podniosłam i w twarz mu patrzyłam rozplakany wrokiem; ale on w dal patrzył, przed siebie nie na mnie, niczego nie szukał w oczach moich, nie chciał ich o nic już pytać, tylko z większym jeszcze jak pierwój wyrazem znużenia powiedział mi znowu:

— Nie będziesz pani pytać, boś zanadto rozsądna, żeby się kusić o niepodobieństwo, zanadto szlachetna, żeby się pastwić...

— Nad rozbrojonym?—spytałam, rumieniąc się radością i... wstydem prawie, bo czułam, że każde słowo tego człowieka zdobywam nie inaczej jak czyniąc ustępstwo z mojej dumy kobiecój.

— Nad rozbrojonym? czy tak panie Zyguncie?—powtórzyłam.

— Nie będziesz pani pytać—odparł jakby z wysiłkiem smutnym i umilkliśmy oboje i tym razem milczeli już tak długo, aż turkot powozu oznajmił nam przybycie Toli i Julii.

Weszły obie do salonu i ta Julia, ta jego szczęśliwa narieczona, słiczna jak zaklętych bogiń królowa, zastawszy nas razem oboje, nie rzekła ani słowa jednego, tylko mnie powitawszy ze zwykłą sobie uprzejmością serdeczną, takim łagodnie rozmiłowaném spojrzeniem zajrzała w zamysłone oczy Zygmunta, taką słodką pieszczotą wroku obrzuciła twarz jego, jakby wiedziała z pewnością, że mimo wszystko ona jedna potrafi mu być całym światem pociechy, całą obietnicą przyszłości. W tym jednym błysku przelotnym intuicyą zakochanej kobiety odgadłam świętą, spokojną praw-

dę jój uczucia, i zapytałam sama siebie, która z nas dwóch większą pewność szczęścia dać może: czy ja, kochająca *więcej*, kochająca całą siłą uczuć, spotęgowanych siłą myśli i doświadczeniem z życia wyniesioném, czy ona... może *lepiej* kochać umiejąca. To pytanie jest palącą zagadką, której męczarnia o szaleństwo myśli i rozpacz serdeczną przypowieć mnie może... czy ty żadnej rady, żadnej pomocy dać mi nie możesz, Natalio?

Michalina.

Ltst XLI.

NATALIA DO MICHALINY.

Dnia 25 października.

Owszem, jedną radę dać ci mogę, Michalino: albo przewycięż w sobie uczucie dumy i bądź co bądź, dowiedz się prawdy, albo... usuń się z drogi tej, która, jak sama przyznajesz, *lepiej* kochać umie Zygmunta. Innego środka nie widzę. Tak postępując jak dotąd, skazujesz sama siebie na męczeństwo tém straszniejsze, że bezowocne i dręcząc siebie, nie tylko że może dręczysz Zygmunta, ale jeszcze drażniąc go kameleonową zmiennością tonu, jakim do niego przemawiasz, zostaniesz mu w panięci przykrém wrażeniem, jakby gorączkowej zmory pamiętką, i z człowieka, który cię kochał, zrobisz człowieka, którego trwożyć będzie samo o tobie wspomnienie. Powtarzam: jedyna to rada jaką ci dać mogę i daję ją sercem całém, pełném współczucia dla ciebie. Pisz do mnie, donieś o wszystkiém, czy wyjechał już pan Zygmunt i jakie było pożegnanie wasze?... Jaką ty dziwną masz naturę Michalino, że zawsze mówisz nie to, co czujesz i nie to co powiedzić potrzeba, a milczysz, kiedy jedném słowem poważnie wymówioném, wszystkie wątpliwości możesz rozwiązać. Czyż miłość, która jest arcy-mądrością kobiety, ostateczuém jój dokszałceniem moralném, nie stanie się i dla ciebie mistrzynią najlepszą; czy cię nie nauczy takiego wyrazu, co będzie umiejętném pogodzeniem godziwej dumy kobiecój i serdecznej prawdy twojój? czy ty wiecznie będziesz się wstydzila być sobą?—kobietą, której

cała przewaga i siła w uczuciu tylko spoczywa? Michalino, pamiętaj, że zawsze i wszędzie, prawdą tylko i prawdą jedynie zwyciężyć można, ale w sobie zwyciężyć prawdę dla marnych urojeń, dla błahéj drażliwości—to zbrodnia prawie, i Bóg rachunek zdać ci każe ze zmarnowanéj na to siły, z dobrowolnie zadanego sobie cierpienia... Słowa moje surowe są może, ale płyną z serca i dyktuje mi je takie zrozumienie życia, które wśród zmiennych tego życia kolei, jedynie tylko szczęście i spokój wewnętrzny zapewnić może.

Natalia.

List XLII.

MICHALINA DO NATALII.

Dnia 30 października.

Wyjechał już pan Zygmunt, wyjechał prawie o tydzień później jak miał pierwotnie wyjeżdżać, ale już go dzisiaj nie ma w Podzamczu... Chcesz wiedzieć, jakie było nasze pożegnanie?... Pamiętam, lat temu parę, czytałam obrazek dramatyczny pod tytułem: *Kto winien?* napisany przez p. Ilnicką. Otóż w tym obrazku, który ze wszechmiar jest ślicznym klejnocikiem poezyi, jest scena gdzie ukochana ukochanemu, (w skutek nieporozumień i okoliczności, o których by ci za długo opowiadać) robi następujące wyrzuty:

„Czemużeś w serce kobiety nie wierzył?

„Czemuś w nie iskrą ducha twego nie uderzył?

„Czemuś ją zakląć nie chciał na przeszłości bóle

„I przyszłości nadzieje?“... i tam dalej i dalej, aż w końcu ten ustęp, w saméj rzeczy pełen siły i prawdy serdecznój kończy się wykrzyknikiem:

„O! biadaż nam! biada!

„I temu co nie podniósł i téj co upada!“

i wreszcie idzie prośba namiętna i rzewna razem:

„Ratuj ukochany!“

Cała ta poezya snuła mi się po myśli, gdym poraz ostatni żegnała pana Zygmunta. Osoba trochę więcej odemnie w patetyczności zamiłowana mogła była wyrecytować cały ten ustęp głosem drżącym od łez, przepleść go błyskawicami wzroku, a potem mdlejąc, w malowniczej pozie upaść na

fotel. Trudno bowiem przypuścić, żeby w takim wypadku *ukochany* ratować nie chciał... Można więc było to zrobić i liczyć na porywający efekt tak dramatycznej sceny. Ale ja tego nie zrobiłam. Pan Zygmunt przyjechał z pożegnaniem do Książyna; szczegółowo, nie pomijając nikogo, pytałam go o zdrowie wszystkich gości i mieszkańców Podzamcza; zdaje mi się, że nawet i o ich humor pytałam troskliwie, potem mówiliśmy o tém i owém, o rzeczach wziętych z potocznego życia, potem gdy podano herbatę, robiłam mu przy niéj honory stołu, opowiadałam, jak rozumny i przywiązany do mnie jest *sokół*, jak lubię Książyn i rozmowa szła nam bardzo łatwo.... Potém gdy wyjeżdżał, podałam mu na pożegnanie końce moich paluszków i z bardzo spokojnym uśmiechem, grzecznie, jak przystało na dobrze wychowaną kobietę, życzyłam mu szczęśliwej podróży, za co on mi równie grzecznie podziękował. A potém... jak już wyszedł z pokoju i siwe jego konie ruszyły z przed ganku i niedługo potém znikły mi z oczu zupełnie, to mi się tak dziwnie zrobiło, jakby te śliczne stworzenia, które tyle razy admirowałam, uwoziły z sobą życie moje.... i rozplakałam się głośnym nieutulonym płaczem i szlochałam jak dziecko, i byłabym bez wahania całe życie oddała za to, by Zygmunt powrócił jeszcze, choćby na jedną chwilkę, na chwilkę tak krótką jak mgnienie oka... A jednak znając siebie przekonana jestem, że gdyby powrócił i wszedłszy, zastał mnie płaczącą i zapytał czego płaczę, jak wtedy, kiedy pytał czemu zmienioną jestem, tobym mu tylko krótko i zwięźle odpowiedziała, że mnie znowu głowa boli i dowodziłabym mu, że taka a nie inna jest moich łez przyczyna. A gdyby, wiedząc że na migrenę nic poradzić nie może, powtórnie odjechał, płakałabym znowu tak samo, więcej jeszcze, bo wiedziałabym z pewnością, że już tym razem nie powróci.... Cóż robić Natalio? taka już widać moja natura, czy może złe nawyknięcie, które się stało drugą naturą i nie może już być zmienioném. Łza wtedy tylko nie jest śmieszną, kiedy ją pocałunek osuszy w oku, zanim jeszcze na rzęsach zaświeci, wtedy nawet jest rzeczą śliczną i Bożą rosą, co kwiat uczucia zasila, dodaje mu blasku i woni. Ale tak, łez rzewnych strumienie ocierać prozaicznie chustką do nosa, choćby ona była nawet najcieńszą batystową tkaniną, to manifestacya, która nietylko

że do niczego nie doprowadza, ale co gorzej, niewłaściwa jest i śmieszna. Jeżeliby mnie pan Zygmunt kochał, toby mnie sercem odgadł, zanim jeszcze sama zdołałabym zdać sobie sprawę z mojej miłości; jeżeli mnie nie kocha, to nie w porę roztkliwiona i zapłakana wydam mu się tylko bardzo szpetną, jak nią jest niewątpliwie każda kobieta mająca oczy od płaczu zapuchnięte. A słuchaj Natalio... wołałabym cierpieć dwa razy tyle co cierpię, niż widzieć to, żeby wybuch mojej miłości wywołał tylko chłodne zdziwienie, lub co najwięcej litosne współczucie w człowieku, któremu bym miłość moję wyznała—upokorzenie takie jest rzeczą, której spojrzeć oko w oko nie mam odwagi... nie mogę Natalio moja. Więc też jedyną drogą, zgodną z loiką mego charakteru, była to droga sławnych podjazdów, które nie wiem kogo więcej męczą: mnie, czy jego. Jest jeszcze środek jeden: zerwanie wszelkich stosunków z Podzamczem, ale to środek zbyt bohaterski, zbyt daleko wychodzący poza wymagania towarzyskich konwenansów i jako taki, zakrawający na ostentacyę, czyli śmieszność znowu. Widzisz więc, stoję w takiem błędnem kole, że wszelkie usiłowanie wyjścia zeń rozszerza tylko obwód tego koła i utrudnia mi przez to możność wyrwania się z niego.

Między śmiesznością łez wylewanych przez *kochankę niemającą wzajemności* (jak mówią przestarzałe romanse) a śmiesznością zrywania bez żadnej do tego przyczyny, stosunków z przyjemnym i przyjaznym mi domem, nie ma innej drogi pośredniej jak *statu quo* dzisiejsze, a przynajmniej ja drogi innej znaleźć nie umiem...

Trzeba ci jeszcze wiedzieć, że wyjazd p. Zygmunta opóźnił się z powodu wypadku, jakiemu uległa baronowa. Złamała nogę, co dla osoby w tym wieku jest rzeczą bardzo niebezpieczną; upadły więc wszelkie projekta wyjazdu i matka z córką na całą zimę zostają w Podzamczu. Odwiedzając dzisiaj chorą baronową, dowiedziałam się o tém między innymi, że za dwa tygodnie powraca pan Zygmunt do Podzamcza. Nie wiem, czyto rozłączenie, które musi jęj się wydawać długiém dlatego, że jest piérwszém rozłączeniem, czy może jaki niepokój myśli, jaka niepewność serdeczna wywołały na czoło Julii chmurę smutnego zamyślenia; ale witając mnie pobrała znowu jak wtedy w Książynie... choć nie by-

ło czego, bo Zygmunta nie ma już przecie. I przypatrywała mi się długo śliczna dziewczyna jasnowłosa z dziwnym wyrazem trwogi i zapytania w oczach, jakby chciała myślı moję wybadać, wyczytać uczucia najskrytsze i stosować do nich plany przyszłości swojej. Przyjechałam złamana i smutna, ale mnie to uparte pytanie drażnić w końcu zaczęło, drażnić tém mocniej, że choć uparte, tak dziwnie pociągająco było łagodne, tak pocziwie o odpowiedź prosiło. Potrzebowałam całej mocy nad sobą, żeby się oprzeć miękkiej pokusie co mi szeptała: nie udawaj uśmiechu wesela, bądź smutną tak, jak i w sercu ci smutno;”—alem się ję w końcu oparła i byłam wesołą, i jak dziecko rozfiglowane pustą i chwilami złośliwie szyderczą, byłam tém wszystkiem, choć taka komedia nużyła mnie niewypowiedzianie, a oczy Julii patrzyły na mnie z wyrazem bolesnego zadziwienia. A jeżeli zapytasz Natalio, dlaczego byłam taką, to ci odpowiem: że kiedy na moje pytania życie nie daje mi odpowiedzi, kiedy ja się męczę niepewnością, i czując że stoję nad przepaścią rozpaczy, co chwila się lękam, bym w tę otchłań bezdenną nie wpadła; to dlaczegożbym miała odpowiadać na cudze pytania niespokojne i cudzych serc niepewności rozwiązywać? poco? dlaczego? Ja sama tyle cierpię że Bóg ani ludzie nie mają prawa odemnie wymagać nic więcej tylko bym mężnie i rozumnie potrafiła przenieść cierpienie... Ja nie mam siły być podporą drugim, szczególniej téj, co wzięła sobie na własność jedyną podporę, na której z miłością i dumą oparłabym się w każdej chwili życia.... ja nie mam na to siły Natalio, i znużona, bezsilna umiem tylko ci mówić, że kocham Zygmunta, a słowo to jest skargą tak ciężką, tak bolesną, że powinno mi wyprosić zlitowanie u Boga.

Michalina.

Líst XLIII.

ZYGMUNT DO ANIELI.

Dnia 30 października.

Z drogi już piszę do ciebie, sestro kochana, a piszę, bo choć wyjechałem z Podzamcza, nie będę miał czasu być teraz u ciebie. Za dwa tygodnie znowu powracam do do-

mu braterstwa; baronowa złamawszy nogę, na długi czas do łóżka przykuta, a tytuł narzeczonego upoważnia mnie i obowiązuje być jak najwięcej przy pannie Julii. Anielska atmosfera spokoju, jaka otacza moją narzeczoną zbawiennie oddziaływa na mnie, choć burza mojej myśli, łagodnym balsamem dotyka ran mego serca i odkrywając mi przyszłość pełną uroku odrywa pamięć od przeszłości, którą tak trudno zapomnieć. Trudno... bo powszednie okoliczności życia co chwila nieprzewidzianym zbiegiem stają wpoprzek woli ludzkiej, i o tę poziomą a szeroką zaporę rozbija się wola, lub też przebywszy ją wielkim wysiłkiem, czuje się niewymowne zmęczenie moralne. Taki właśnie jest powód, dla którego nie pisałem do ciebie aż wtedy jeszcze, kiedy ci donosiłem o moich zaręczynach z Julią. Nic przeto nie wiesz, że skutkiem jakiejś sprzeczki pani Michalina zwróciła słowo Rajmundowi i właśnie w parę chwil potem przyjechałem z Tolą do Kniażyna. Wzruszenie jej, wzburzenie raczej, nie uszło mojej uwagi, nie wiedziałem jednak czemu przypisać ten niezwykły stan osoby tak umiejącej panować nad sobą. Dopiero Tola, zwróciwszy uwagę na leżący na oknie zaręczynowy Rajmunda pierścionek, otrzymała odpowiedź, która wszystkiego domyślać się pozwalała i była niby powiedzianą pół-głosem, ale tak jednak że te słowa usłyszeliśmy wszyscy wyraźnie. Anielo, skłamałbym, gdybym ci powiedział, że wiadomość ta, tak zupełnie, niespodziewana, nie uczyniła na mnie żadnego wrażenia, a przed tobą nietylko kłamać, ale nawet prawdy milczeniem zatajać nie chcę. Była chwila straszna... chwila w której wszystkie dawne nadzieje moje, zbudziły się ze snu, co miał być dla nich snem śmierci i zawołały wielkim głosem, że chcą żyć i stać się rzeczywistością... bo teraz rzeczywistością być mogą. A jam słuchał tych głosów tak chciwie, jak się słucha poważnej, uczciwej obietnicy szczęścia i zapomniałem przez chwilę, że taką obietnicą niezawodną nie może być dla mnie miłość Michaliny... Zapomniałem, jam ją kochał tak długo, tak bardzo, że myśl moja skuta więzami nałogu zawsze do niej mimowoli powraca... Ale to wszystko krótką chwilę trwało tylko, bo moja słodka narieczona pobladła jakby trwożnym smutkiem przejęta, a jam sobie przysiągł, że z mojej przyczyny smutku ani twogi nie pozna Julia w życiu... więc

dotrzymałem przysięgi, i to zwycięstwo nad szalem jednej chwili odniesione opłaciło mi się sownie spokojną ufnością, z jaką Julia uśmiechnęła się do mnie... ale kosztowało mnie wiele i było mi bolesnym a dotkliwym wszystkich moich smutków przypomnieniem. Nie na tém koniec, w parę tygodni później, Rajmund, ten Rajmund, którego ona kochała, może dotąd jeszcze kocha, a którego nawet cierpienie, spowodowane jój utratą, nie zdołało podnieść i uszlachetnić, napisał do mnie przypominając, że mu przyrzekłem zrzec się wszelkich zabiegów o rękę Michaliny. Ton tego listu dziwnym był, miejscami aż do impertynencji wymagający, miejscami aż do podłości pochlebny, a nigdzie słowa, któreby dowodziło, że ten człowiek zane w piersiach ma serce, list, którego słowa groźbą i zemstą syczały jak węże i jak węże pełzały niktzemnie... Odpisałem, donosząc mu tylko, że jestem po słowie z panną Julią i zacząłem być spokojny jak człowiek, który wreszcie pokonał ścigającą go zmorę. Ale znów przed tygodniem, jak zła gwiazda mego życia spadła tu pani Michalina i przez długich godzin kilka, naprzemian głaszcząc mnie i kalecząc słowami, męczyła mnie tak niemiłosiernie, że na gorsze tortury ludzkiego serca brać już nie można. A! czegóż to tam nie było? i smutnie szep-tane pół-słówkami ucinki drwiące, i cierpkie uśmiechy ironiczne, i takie pytania, na które wtedy tylko odpowiedzieć można, jeżeli po za tą odpowiedzią stoi cały raj wspólnej przyszłości... Była chwila, w której oczy jój tak się szklily łzami, że z poza rzęs czarnych łzy te jak brylanty migaly i świeciły mi jak gwiazdy zapłakane... Anielo, jam mało nie oszalał, domyślając się, że od tych łez tłumionych gorzkiem łkaniem żalu wzbierać musi pierś kobiety, bo ona płakała, ja to czułem Anielo... Powiedz mi, co te łzy zna-czyły i dlaczego za chwilę potem takim gniewem i ogniem posepnym znowu błysnęły jój oczy? dlaczego znowu targa-ła słowem za struny mego serca, jakby umyślnie te wybiera-jąc, co nieuważnie dotknięte, rozpaczonym jęką akkordem?

Jam milczał, broniąc się jój tylko słowem łagodnym, ona pastwiła się nademną, przedłużając bez miary tę rozmowę, co dla niej była... zapewne niczém więcej jak igraszką, dla mnie średniowiecznej tortury próbą. Aż wreszcie powrót Toli i Julii, przerwał to długie sam na sam, i spojrzenie

mojej narzeczonej znowu zażegnało tę burzę, co szalała we mnie sprzecznych a gwałtownych uczuć zamętem. Jeszcze jedna czekała mnie próba: być w Książynie z pożegnaniem. Pojechałem tam w przeddzień wyjazdu, ale tym razem pani Michalina była jeżeli nie łagodną, to przynajmniej obojętną i zamykającą się jedynie w przepisach chłodnej, salonowej grzeczności. Nawet rozmowa nasza nie była czém inném, jak zdawkową monetą salonu, nie potrącała ani o jedną kwestyę, któraby mogła wywołać jakąś myśl poważniejszą. Tylko gdym odjeżdżał i rękę jej podawał na pożegnanie, znowu w jej oczach jakieś blade światło mignęło i przesłoniło jej ciemne źrenice jakby przejrzystą kryształową taflą. Tém ostatniém wrażeniem rozstrojony, przybywszy do Podzamcza, nie miałem już tyle mocy nad sobą, żeby ukryć zmęczenie swoje i dziwny niepokój, co myślami memi owładnął. Cały wieczór przesiedziałem obok Julii w milczeniu, całą noc przepędziłem bezsennie... Ale jasność dzienna rozproszyła widma nocy i w słonecznym świetle poranku, gdym żegnał moją narzeczoną, rozpromienioną jakimś wdziękiem łagodnym, otrząsnętem się z myśli dręczących i uwierzyłem, że nie ma prawa wątpić o szczęściu ten, który taki skarb słodczy, miłości i wdzięku na własność posiadać będzie.

Zygmunt.

List XLIV.

MICHALINA DO NATALII.

Dnia 18 listopada.

Mój Boże! jak smutno na świecie!... we mnie, wkoło mnie, wszędzie smutek grobowy. Lubiłam dotąd tę dżdżystą i ponurą porę roku; z książką w rękę, przy ciepłym ogniu kominka lubiłam patrzeć, jak deszcz szarą płachtą widnokrag mi przesłania, monotonnym a płaczliwym odgłosem bije o szyby; lubiłam słuchoać głuchego szelestu liści, którymi pomiatał wiatr jesienny i wobec téj mrocznej, rozżalonej za jasnym słońcem natury, cieszyłam się, że w domu moim jasno i ciepło, że mi się kwiaty zielenią i kwitną, a myśli mojej otwarty jest cały świat ideałów, których piękność nie przemija jak wiosna i nie więdnie jak wonne bzu kwiaty, ale

niespożyta jest, nieśmiertelna i wieczną młodością promienna... Czuję się spokojną, a choć mi serce nie biło rozradowaniem, choć żal mnie brał czasem, że młodość moja ucieka, nie dając mi nawet czasu zamienić niewyraźnych marzeń na określić się dające nadzieje, choć nieraz czuję się znużona samotną jednostajnością życia, nierozbudzonym uspieniem serca, to jednak nie byłam nieszczęśliwą i znajdowałam życie znośnym. Dziś tak samo jak przed rokiem, tak samo jak dawniej, gęstymi kroplami deszczu rozpląkały się ciemne chmury, tak samo wiatr zawodzi i szepcze; na kominie mam znowu ogień, co mi jaskrawym blaskiem cały pokój oblewa a w oknie tyle kwiatów, że przez ich liście blada jasność dzienna zaledwo zielonym pół-światłem przedrzeć się może. Więc nie zewnętrzne warunki, ale moralny ustrój człowieka jest miarą jego szczęścia i niedoli, bo mimo to wszystko źle mi i smutno, a myśli smutkiem znękaną nie mogę ześlubić z myślą żadnego z tych wielkich mistrzów słowa, których utwory o tyle tylko dzisiaj wydają mi się pięknymi, o tyle są dla mnie zrozumiałe, o ile zgodne z wewnętrznym usposobieniem moim i trącające o tę strunę serdeczną, co tak we mnie długo milczała, a teraz smutną pieśnią ciągle mi dzwoni w piersi... Natalio, takie życie to męka nad siły moje... a myśl moja i pamięć woli nieposłuszne, wiecznie w jednym kręcają się kole, i o urokach wspólnego kochania, o wielkim arcy-szczęściu kobiety szepcze mi serce takie słowa, tak z niemi płacze imię Zygmunta, takich ślicznych marzeń roje oplata wkoło tego imienia, że gdy rozwąga myśli uznaję szaloną bezzasadność tych marzeń, co rzeczywistością stać się nigdy nie mogą... to żal mój jest tak ciężki, tak głęboki, jakbym szła za trumną, w której cała przyszłość moja złożona, snem bez zmartwychwstania usnęła. I chcę się trzeźwić nauką, pracą, zajęciem; ale nauka tak mało mi przyniosła korzyści, praca tak mało owocu, że nawet nie mogłam kupić sobie za nie tego szczęścia, które mieć zapragnęłam i nie posiadałam... może właśnie dlatego że dzięki nauce i pracy, uniosłam się hardą dumą i uwierzyłam, że szczęście takie jest rzeczą podrzędną i lekceważonym być może. Więc powiedz Natalio, co ja teraz robić będę? bo przecie nic mogę tak przepróżnować ży-


cia we łzach i rozmyślaniu... a nie mam celu, nie mam obowiązku, którego twarda ręka pisałaby na pustych kartkach mego życia czyny wcielające myśl Bożą. Bo odtąd kocham Natalio, dziwna we mnie zaszła zmiana, złagodniałam i zmiękłam, jakies ciepło niezwykle pali mi się w sercu rozbolełam i chciałabym, żeby lepiej i jaśniej było koło mnie ludziom, dla tego, że ja kocham Zygmunta... chciałabym każdą łzą otartą niedoli, każdym czynem użytecznym, każdą chwilą pracy pocziwiej kupować dla niego po małej szczęścia cząsteczce i kupić ich tyle, aż się z nich wielka promienna ułoży całość i blaskami całe mu życie rozświetli... I choć mi ta miłość przyniosła same tylko smutki i niepokoje, a nie dała ani jednej chwili radosnej nadziei, to jednak wdzięczna za nią jestem Bogu i w godzinę śmierci ostatnią myślą podziękuję Zygmunтови za to, że go tak kochała serdecznie, za to, że w nim mogła uczcić zacność jego i siłę, że dzięki jemu, poznałam przeczuciem i marzeniem to ziemskie niebo, jakim być musi życie przy boku ukochanego pędzone, ciche, spokojne życie, w którym dzień każdy zaczyna się nadzieją szczęścia, kończy pacierzem dziękczynnym za dotrzymaną jego obietnicę, a wypełnia tą miłosną pracą pszczoły, co najśłodsze zdobycze do ula swego znosi; życie takie, które ściany domu zamienia w świątynię, zanim błogosławieństwo Boże zamieni je w kolebkę, z której srebrny śmiech dziecka zadzwoni... Takie życie i szczęście takie mieć będzie Julia... Nie myśl Natalio, żebym wspominając to imię miała w sercu uczucie do zazdrości podobne, nie... tylko mi jeszcze smutniej na myśl, że pierwój nim ona to miejsce zajęła, ja mogłam stanąć na niém, i sama sobie się dziwię, że mając w ręku klejnot drogi, upuściłam go, by sięgnąć po grudę pozłacanego błota. Jam sama winna i tylko ja jedna winną jestem, ale téż i wyrok Boży nademną zamiast być po ojcowsku miłosiernym, jest tylko ściśle sprawiedliwym i na żal beznadziejny, na smutek niezapomniany skazuje całe życie moje...

W tych dniach powraca albo już może powrócił Zygmunt. Nie wiem, na jak długo przyjedzie tym razem, ale prawdopodobnie widzieć się będziemy, a nadzieja widzenia go trwoży mnie i cieszy zarazem. Ta miłość moja tajona i ta nadzieja niepewna jest mi jak gwiazda, zawieszona

w niedostępnych sferach marzenia i promieniem swoim nie na mnie patrząca, ale mimo to droga mi i święta, bo jedyna, co przyświeca w szarłej pomroce mego życia. Dlaczego Bóg tak stworzył serce kobiety, że póty niewyraźną choruje tęsknotą, póty szuka niespokojnie, aż znaleźć musi to, co już ma być całego życia ukochaniem... ach! i życia smutkiem także? Dlaczego to serce tęsknotą swoją zwiedzione, tak często wchodzi na mylne drogi i fałsz w drugich lub pozór w sobie znaleziony, w dobrej wierze za prawdę przyjmuje? Ja przecie nie kochałam Rajmunda... Wierzyłam tylko, że on mnie kocha prawdziwie, wierzyłam że ja się do niego przywiążę i fakt uprzedziłam słowem... to cała wina moja... Wmawiałam w siebie uczucie, bo mi się zdawało, że wmówić je potrafię i złudzenie dobrowolnie za prawdę przyjęte, z upływem czasu zamienię w prawdę rzeczywistą. Rajmund stanął mi na drodze w chwili, kiedy pierwsze słowa Zygmunta rozbudziły we mnie najmiększe struny kobiecego serca, a niewprawne ucho moje nie mogło poznać, że to nie ręka mistrza próbuje z nich śpiew wydobyć... Gdy błąd mój poznałam, już wtedy było zapóźno. Nie w porę! w tym słowie malutkiem nieraz chyba musi się mieścić cała historia życia, cała tajemnica zmarnowanego szczęścia, cały krwawy dramat serdeczny... Nie w porę! to słowo jest mi ciągłym przypomnieniem winy i karą ciągłą i wyrzutem bolesnym, jest prawdą jak słońce jasną, a straszną jak noc zaduszna, i brzmi mi w uchu jak żałobne podzwonne, jak skarga tak płacze rzewnie, jak nieszczęście w pamięci mi stoi. Natalio, powiedz mi, co mam robić, żeby tego słowa zapomnieć i pogodzić się z życiem, w którym jak daleko okiem zasięgnę, nie widzę nic, coby mogło być punktem oparcia dla myśli, celem dla serca, sprężyną działania i pracy.... Powiedz mi, jak się ratować, gdy ziemia się z pod nóg usuwa i człowiek leci w przepaść, nie mogąc pochwycić żadnej deski zbawienia?

Michalina.

(Dokończenie nastąpi).



SAMOBÓJSTWO

W STOSUNKU DO CYWILIZACYI.

(Wyjątek ze studyów *E. Caro*).

(Dokończenie).

II.

Werteryzm.

Choroba Werthera, tak często nazywana chorobą wieku, była chorobą skomplikowaną. Było w niej potrosze wszystkich pierwiastków ludzkich, i każda z władz duszy złożyła tu swój podatek. Była i wyobraźnia bezpłodnie czynna, szarpiąca się, była i wola ze swemi nędzami, omdleniami i zamętami, była i wrażliwość w walce z niewykonalnemi pragnieniami. Zawsze to i przede wszystkim była melancholia zakochana w samej sobie. Smutek ten wyjątkowy w swym rodzaju wyrodził się z chrystyanizmu, ale z chrystyanizmu popsutego przez uczucia zupełnie nowoczesne.

W gruncie charakteru Werthera i licznego zastępu tych, których natchnął, znajdziesz wpływ pewnego rodzaju poezyi marzycielskiej, odwracającej od działalności, i chełpliwego zwątpienia, lubiącego wchodzić w samo siebie w prawdziwem bałwochwaltwem.

Jestto nowe uczucie tęsknoty namiętnej, rozkoszującej się samą boleścią, smakującej we własnych ranach, która miłuje i pieści swe tajne cierpienie. Nic podobnego prawie nie znała starożytność ani literatura XVII wieku.

Duch starożytny miał swoje smętność, ale była to, że tak powiem, smętność epikurejska, zrodzona z przesytu i żałująca, że rozkosz zawsze nowa nie trwała przez całą wieczność.

Tęsknota filozofa *Heraklita* i tajemnicze dźwięki wyrrywające się z duszy niektórych poetów, takich jak *Eschyles*, *Pindar*, *Lukrecyusz* i *Wirgili*, były wyjątkowe; Rzymianie i Grecy upojeni szczęściem ziemi, skarżyli się tylko na krótkość życia i nie-trwałość szczęśliwości. „Chwytajmy chwilę obecną, bo nie wiemy, jaki nam zamęt i znudzenie przyniesie nadchodząca; używajmy, bo przyjsć może śmierć, przed którą zwiędną wieniec kwie-oiste na naszych skroniach.” Tak śpiewał *Anakreon*, tak śpiewał *Horacy!*

Godniejszej, wznioslejszej i obfitszej w wielkie myśli tęsknoty, nauczył nas chrystyanizm; téj, która się rodzi w głębokiem poczuciu nicestwa życia wobec wieczności, nicości człowieka wobec Boga.

Pojęcie nieskończoności raz obudzone w duszy człowieka nie da mu już wytolnienia ani pokoju.

Dziwna niespokojność pójdzie za człowiekiem aż do jego rozkoszy, i wszystko szczęście téj ziemi nie zdoła zapełnić przestworności jego pragnień, skoro raz tylko zakosztował tego świętego upojenia.

Tkwi więc w chrystyanizmie ziarno nieśmiertelnej smętności, której wpływ odczuła cała literatura i filozofia chrześcijańska. Smutkiem tym religijnym tchnęły już psalmy hebrajskie, *Księgi Mądrości*, a przedewszystkiem *Księgi Jobowe*; piętno jego spotykamy na każdej karcie *Ojców kościoła*. Ożywia on piśmien-nictwo XVII wieku, najwyższą wymowę, jak i najwyższą poezję. Onto podyktował *Kornelowi* owe ustępy, gdzie *Polyeukt* z progu wieczności rzuca na rozkosze świata przekleństwo męczennika; onto natchnął *Paskalowi* jego nieporównane *Myśli*, które w jed-néj frazie obejmują nieskończoność; onto wreszcie zrodził w *Bos-suecie* wielkie słowo prawie lirycznej poezyi.

Ale na dnie tęsknoty chrześcijańskiej leżą myśli podstawowe i poważne, które duszę utrzymują i nią kierują; tęsknota ta ma i przedmiot określony i granice stałe.

Dusza, którą to uczucie owładnie, wie czego się trzymać w życiu; nie oddaje się marzycielstwu jałowemu, przybiera prawidła ściśle, które są dla niej i karnością i podstawą razem, oszczędza czas swój próby doczesnej na korzyść własnej wieczności, zatapia się nie w Bogu, ale w modlitwie, ma się na wodzy z całą siłą, nie rzuca się na drogi awanturnicze i niebezpieczne; a jeżeli czuła i niespokojna dusza *Fenelona* poddaje się chwilowo wdziękowi marzeń mistycznych, zaraz ją głos kościoła przywołuje do prawdy i prawidłowości. Uczucie więc religijne jest charakteru poważnego, reguluje się podług dogmatu; nie marzy, ale działa.

Nowożytna tęsknota ma również w swym pierwiastku uczucie boleści tego, czego przeznaczeniu człowieka niedostaje; ale kiedy duch chrześcijański opiera się na tém uczuciu, aby przerzucić się w sferę wiary, ona poczucie nieskończoności zaprawia

uczuciem niespokojnego zwątpienia, lubuje się w rozmyślaniu nad tym bolesnym kontrastem, jaki widzi między zachcieniem człowieka a rzeczywistością, między jego pragnieniami bez granic a przeznaczeniem, które się mierzy własną jego niedoskonałością. Jest w tém jakaś próżnia straszna, coś nieokreślonego, co stanowi wdzięk dziwny i niebezpieczny. Wyobraźnia gubi się tu z rozkoszą, unicestwia się wola. Istnienie jest tylko snem niespokojnym. Dusza cierpi i rozkoszuje się zarazem pod wpływem tej smętności marzycielskiej. Cierpi od owiej niezmierzonej próżni, którą czułość spotyka w życiu, od owych złudzeń rozumu i serca, które marzyły o wiedzy lub miłości niemożliwej, od owiej niewypowiedzianej troski, którą w nas rodzi myśl o nieskończoności, gdy tej myśli nie powściągamy w ścisłych korbach wiary, nadziei lub modlitwy. Cierpi, ale zarazem rozkoszuje się swemi marzeniami, mrzonkami, siłą, którym tak wiele niedostaje, nawet swem cierpieniem, którego używa za pozór do zajęcia się sobą i zamknięcia się w wiecznym rozmyślaniu, tak podobnym do uwielbienia. Jest jakaś słodycz w takim cierpieniu; lecz nie zapominajmy, że ta bałwochwalcza uprzejmość duszy dla siebie samej obezczuła ją niopostrzeżenie, czyni niezdolną do działania, wyteża sprężynę woli, a jeżeli w tém jest jakieś usposobienie romantyczne, wyznajmy, że nie jest to stanem normalnym ani zdrowym. Niezdolność działania, sprowadza wkrótce niemoc życia.

Wiecznie skierowana ku własnej analizie, dusza staje się drażliwą do zbytku, niecierpliwą na zawady, męczy się życiem, to jest wysileniem, i zwolna daje się opanować zaciekawieniu śmierci. Poza wiarą, dla duszy po śmierci jest tylko coś nieznanego, niezmierzonego; ta tajemnicza przyszłość jak ciemna zagadka pobudza duszę na progu owych nieokreślonych smutków, które nie mają lekarstwa, jak nie mają przyczyny, zjawia się myśl samobójstwa, jako jedyny sposób wyrwania się z męki życia i poznania ostatniego słowa przeznaczenia.

Z takiego to uczucia tęsknoty powstała przy końcu XVIII wieku szkła literacka samobójstwa.

Znaną jest wszystkim: Werther, Jacopo, Ortis, Manfred, René, Oberman, Adolf, Rafael, Jakób, jest to smutna rodzina owych bohaterów, których pra-ojcem był Hamlet. I rzeczywistość ojcówstwo prawdziwe tej chorobliwej rasy należy się Szekspirowi. Myśl jednak jego zaczęła wydawać owoce dopiero przy końcu zeszłego stulecia. Obłąkanie Hamleta zrozumiano dopiero przez cierpienia Werthera!

Goethe odpowie przed historią za ten romantyczny typ namiętności i melancholii. Ono dał nazwę tej chorobie umysłu nowoczesnej.

Nadzwyczajne powodzenie Werthera, które było więcej jak sukcesem literackim, pokazuje że Goethe przedstawił coś innego od uniesień fantazyi, lub uczuć indywidualnych.

Była to boleść prawdziwa, która przemawiała w owój książce, pokolenie zaś, do którego się zwrócono, przyjęło ją z entuzjazmem, poznając w niej cząstkę swjej duszy, wiele ze swych namiętności, marzeń i smutków.

Kiedy na 15 lat przed Rewolucyą Francuzką ukazał się Werther, wszędzie panowało pewne chorobliwe znużenie i namiętne oczekiwanie. Przeczuwano, że coś umierało, a coś się rodziło; umysł był zarazem i obudzony i bezczynny. Było się w zawieszeniu przed przyszłością, która się gotowała, ale nie działało, bo nie widziano nigdzie celu, gdzieby użytecznie zmierziała akcja. Ta gnusność gorączkowa łatwo się przeradzała w marzenia obłądne, w miłości urojone, w owe żywioły gorącej i rozstrojonej wyobraźni. Nie wiedząc gdzie się zwrócić, zwracano się do namiętności sztucznych, które lubiano kuć dla samych siebie, by przez to wytknąć jakiś cel życia. Lecz marzenie nie długo podtrzymuje czynność; trzeba dlań oparcia dzielniejszego, bo ta pobawiwszy się chwilę z urojeniami, upadała prędko, zostawiając w duszy gorzkie tylko uczucie próżni. Nicestwo ducha kołysane marzeniami, czyż nie jest widoczną cechą tego pokolenia entuzjastów i sceptyków, metafizyków i sentymentalistów, pokolenia o słabej woli, o gwałtownych namiętnościach, pełnego sprzeczności i zachceń, pogardzającego czynem i ginącego w gnusności, które tak porywająco Werther uosobił.

Najlepiej ten stan moralny opisał sam Goethe w swoich *Pamiętnikach*. Nigdzie nie znajdziesz głębszej analizy tej choroby życia. Goethe, to Werther, do jego cierpień i pokusy samobójstwa posunięty!

Werther, to więcej niż człowiek, to pokolenie całe!

„Wśród suchych studyów (mówi on) pozabawion wszystkiego, co porusza i wzrusza, ciągnąłem to życie obumierające.

Zdawało mi się, że cel mego życia chybiony, dusza moja buntowała się przeciwko losowi nie odpowiadającemu moim pragnieniom, przeciwko egzystencji bez celu i honoru. Znajomość głęboka i smak w literaturze angielskiej, której nie przestawałem uprawiać, zwiększały jeszcze obszar mych smutnych rozmyślań.

Zdarza się często, że w najszcześniejszym położeniu brak działalności połączony z pragnieniem czynu, pcha nas ku potrzebie śmierci i wzbudza w nas pragnienie nicestwa. Żądamy wtedy od bytu więcej, niż nam dać może, a ten podatek nadzwyczajny, który nań nakładamy, nie mogąc być ani stałym, ani wystarczającym nienasyconej chciwości żądz naszych, sprawia, iż zachowujemy bezmyślni, pozbyć się życia, które nie odpowiada wysokości i kapryśnym wymogom naszych wyobrażeń. Ja wiem, ile mię kosztowały cierpień wszystkie te dociekania, wiem także, ile wysiłen umiałem zrobić, aby się uwolnić od ich ustawicznego natręctwa. Wzięcie, jakiego używał Werther, przekonywało mię, że te same idee, jakkolwiek chorobliwe, nie były tylko mnie właściwomi. Nie ukrywałem więc ani tych boleści, jakie dzieliłem

z ludźmi mej epoki, ani mych rozmyślań o samobójstwie, które pochłonęły większą część mej młodości. Wyznaję, że wszystko w życiu zdało mi się monotonnem. Wydany na łup niesmaku, nie czuły na miłość, nie słyszałem już owego słodkiego głosu natury, który w przerwach peryodycznych wzywa nas do rozkoszowania się jej cudownymi przemianami. Stau mój był podobny do głuchoty nieszczęśliwego, którego słuch nie odbiera już żadnego dźwięku.

Lessing gniewał się na wieczną zieloność wiosny; chciał, aby liście zamiast zieloności, zawsze tej samej, miały barwę purpury lub lazuru.

Znałem Anglika, który się powiesił z nudów dlatego, że się co dzień ubierać musiał, oraz poczciwego ogrodnika, który oparłszy się na rydlu, zawołał z naiwną rozpaczą: „Wieczniź patrzeć muszę, jak te przekłete obłoki przelatują po niebie z jednego końca na drugi?”

Siła tej choroby moralnej stosunkuje się często do przymiotów i sił nieszczęsnego, który się staje jej ofiarą. Bogactwa możnych, niestałość przyjaźni i miłości, wszystkie przypadłości losu ludzkiego ranią duszę drażliwą i gorączkową; bezsilni w zapasach z własnymi ułomnościami, zużywamy się tą walką nieskończoną.

Wpadamy ciągle w te same błędy; często poczytujemy je za cnoty nawet, a nie mogąc oddzielić jednych od drugich, zrozpaczeni naszą niemocą, postanawiamy zwyciężyć je przez cios sztyletu.

Takie to myśli ogarnęły swym zgubnym wpływem moją wyobraźnię. Rozmyślałem długo nad różnemi sposobami, jakimi człowiek mógłby się uwolnić od życia.

Posiadałem dosyć znaczny zbiór broni starożytnej, między innymi miałem wytwornie wyrobiony sztylet, którego ostrze w dzielnej ręce mogłoby w mgnieniu oka spełnić to, co Szekspir nazywa *wielką akryą rzymską*.

Często go przykładałem do mego łona, lecz mię siła opuszczała. Przekonałem się wtedy, że to pragnienie śmierci było we mnie tylko fantazyą smutnego rozstrojenia. Zacząłem się śmiać z siebie, i wyleczyłem się. Jednakże zdudzenie nie opuszczało mię i męczyło. Trzeba mi było dzieła poetycznego, w którémby mógł złożyć te smutne myśli; tylko przez ich wypowiedzenie i nadanie im wylotu, mogłem się od nich uwolnić. Plan Werthera był już więc gotowy; dzieło tak naraz poczęte, naraz było napisane. Widziadła oblegające mą młodość, przybrawszy rzeczywistość, dokończyły mego wyleczenia.”

Wiadomo, jak cierpienia młodego Werthera zapalały Niemcy a później Francję; wiadomo również, jak Goethe rzuciwszy w świat ten jęk wielki, sam się przestraszył, kiedy zewsząd usłyszał jego echa głębokie i przeciągłe.

Tak to wielu poeci są tłumaczami ducha ogólnego w pewnym momencie dziejowym, ze wszystkimi jego cierpieniami

i natchnieniami; o tyle tylko są wielkimi, o ile umią wyśpiewać wstrząśnienia ogółu. Ulegają wpływowi własnej epoki i kraju, bo oni dali wyraz tym ideom, które się nie mogły określić, i tym uczuciom które się jeszcze nie pojmowały, bo oni umieli poruszyć serce ludzkości, która przed nimi nie miała słowa ani głosu i poświęciła ich na swych wieszczów wybranych. Lecz wpływ ten swój epoki rosnący do nieskończoności, przekazują oni następnemu wiekowi, oddziałują w swjej kolei z niewypowiedzianą potęgą na pokolenie, które na nich działało.

Myśl Werthera, Goethe zaczerpnął w głębokim uczuciu cierpień swego czasu; współpracownikiem jego w tym utworze jedynym był duch marzycielski jego kraju i jego epoki. Swoją drogą natchnął on całe pokolenie i wlał w nie ów smak tęsknoty, ową ciekawość grobu, ową zdolność cierpienia, ową namiętność dociekań, z których ulepił charakter swego bohatera. Rozlał daleko zarazę rozpaczki poetyckiej. Dzieło więc jego było naraz i skutkiem i przyczyną. Z boleści prawdziwej i wzruszenia ogólnego zrodził się romans jego, upowszechnił on smak, a nawet rzecz można, część téj boleści, wprowadził modę owego wzruszenia, które było cierpieniem, i więcej niż przez lat 40 samobójca nosił strój Werthera!

Goethe miał tylko fałszywą pokusę samobójstwa; kazał więc na swe miejsce umrzeć Wertherowi.

W ówierć wieku później Chateaubriand dotknięty tym samym niesmakiem życia posunął rzecz dalej od Goethego; tylko go prosty wypadek uratował, jeżeli można wierzyć *Pamiętnikom Pogrobowym*.

„Otóż, mówi on, doszedłem do chwili, gdzie potrzebowałem pewnej siły do wyznania swjej słabości; człowiek, który się targa na własne życie, mniej pokazuje dzielności duszy, a więcej odsłania słabości swjej natury. Miałem flintę myśliwską z cynglem zużytym. Nabiłem ją trzema kulami i udałem się w miejsce samotne, odwiódłem kurek, włożyłem lufę w usta, uderzyłem kolbą o ziemię.... strzał nie wylatał. Zjawienie się strażnika wstrzymało me postanowienie.

Fatalista bez woli i wiedzy, uważałem, że godzina ostatnia dla mnie jeszcze nie wybiła; wykonanie więc mego zamiaru na inny raz odłożyłem. Gdybym się był zabił, wszystko czém byłem, byłoby ze mną poszło do grobu, nie wiedzianoby nic o tajemnicy tego wypadku, byłbym powiększył zastęp nieszczęśliwych bez imienia; nie mógłby nikt pójść za śladem mych cierpień, jak ranny za śladami krwi swjej.”

Nie wyleczył się jednak Chateaubriand, jak się to udało Goethemu, nawet napisawszy swego René, i całe jego życie, jak się sam malowniczo wyraża, było długim ziewaniem nudów. Na dnie tych wyniosłych niesmaków, czyż nie widać próżności obrażonej? Ileż małości w tych rozpaczach, które rzucają po-

gardę życiu i światu! Ilużby to podobnych bohaterów nie zbawiono, oddając im teki ministeryalne w swym czasie!

Nie można jednak zaprzeczyć, że trwała ta choroba wieku. Niepokój, znudzenie się światem, zmęczenie życiem, polot ku rzeczom niewidzialnym często łamany, a nie ugięty, namiętność romantyczności niezdolna poddać się obowiązkom, jakie sprowadza każdy dzień, każda godzina, pragnienie duszy, która wedle wyrażen Goethego, chce *pić życie z pieniaącego się kielicha nieskończoności*, oto są cechy liryzmu, który nie miałby ani tej wielkości, ani tego blasku, gdyby nie czerpał natchnienia w uczuciach pełnych szczerości.

Podstawmy w miejsce uniesień panteistycznych Werthera, jakąś religijność, a mieć będziemy: *Rozmyślenia i Harmonie* (Lamartine).

Jest to ten sam rodzaj wzniosłości upajającej, melodyjnej a smętnej. Znajdziem tam zawsze na dnie smak śmierci. Gdyby Rafael nie był zmysleniem, i miał byt rzeczywisty, byłby doświadczał jak Goethe i Chateaubriand pokus samobójstwa.

„O! umierajmy, mówiła Julia, umierajmy; składając tę przyszłość wątpliwą i złowrogą w ostatniem westchnieniu, które przynajmniej na wargach naszych zostawi nam smak czystej, zupełnej szczęśliwości.

To, co usta mówiły uchu, co twarz mówiła oczom, to, co natura uroczysta, niema, grobowa w blasku swój wspaniałej godziny mówiła moim zmysłom, to samo, z tą samą siłą, mówiła mi dusza moja.

I dwa oddzielne głosy, które słyszałem i z zewnątrz i wewnątrz powtarzały te same słowa, jakby jeden był echem drugiego. Zapomniałem o wszechświecie i odpowiedziałem „umierajmy”. Koło naszych ciał, które były złączone jakby całunem, owiązałem ośm razy, sznur sieci rybackiej, jaki miałem w łódce pod ręką.

Podniosłem ją rękami, które jeszcze miałem wolne, aby się rzucić w fale wodne. Lecz w chwili, kiedy rzut mój miał nas zanurzyć na zawsze, uczułem, że jej twarz zbladła; upadła mi na piersi jakimś ciężarem martwym, a ciało zgięło się w kolanach. Nadmiar wzruszeń, szczęście skonania razem, wyprzedziły śmierć samą: omdlała mi w objęciach.”

Idąc z biegiem wieku spotkamy w marzącej młodości George Sanda to same oczarowanie śmierci, pod wpływem książek romantycznych, które opowiedziała w „*Historji mojego życia*”.

Zdawało nam się ciekawem to zbliżenie zdań znakomitych poetów. Znudzeni życiem: Goethe, Chateaubriand, Lamartine, George Sand przeszli pokusy samobójstwa. Oni są przedstawicielami w żywej rzeczywistości owiej choroby wieku, którą jeden z nich tak dobrze określił, że jest to bez wątpienia choroba, lecz choroba, której uczucie samo jest wdziękiem zamiast bólu, w któ-

rój śmierć podobna do śmierci mistyków Indyi, jest rozkosznym omdleniem w nieskończoności.

Żyli oni i cierpieli jak bohaterowie ich poematów. Stworzyli pewną tradycję samobójstwa.

Czyż się można dziwić, iż w wyobraźni tych ludzi powstała literatura romantyczna, rozumująca, entuzjastyczna, pełna pogardy ku działalności człowieka, a ciekawości ku temu, co jest niewidzialnym, drażniąca wolę ku akcji, a pchająca ją ku namiętności, lubiąca przerzucać wiecznie wyobraźnię od zmęczenia życiowego do zagadkowości śmierci; literatura, co w miejsce poważnej smętności chrystyanizmu, (który nie wyklucza akcji, ale ją pomnaża przez miłość chrześcijańską), przedstawia rodzaj tęsknoty niespokojnej, lubiącej się zamykać w samotnym wzburzeniu marzyciela?

Taką jest ta literatura, prawdziwa literatura samobójstwa, której wpływ tak wszechstronnie działał na przeszłe pokolenie.

Już jest daleką od nas ta epoka, nie tyle przez liczbę lat, ile przez różnicę naszych obyczajów, a choć się spotka tu i owdzie oplakanych następców Werthera, jest to zawsze już rzadkością, tak, że ostatni spadkobiercy tej rasy należą do anachronizmów.

Nie można jednak powiedzieć, aby samobójstwo zmniejszyło się pośród nas; owszem statystyka uczy, że się powiększa. Ale zmieniło już swój charakter, ma ono inne teraz źródło, które nic w sobie nie ma literackiego.

Poszukajmy tego źródła. Nie trzeba kłaść swojej epoki; jest się obywatelem chwili tak samo jak obywatelem kraju; pewien więc rodzaj patriotyzmu nie pozwala zdradzać jednego jak drugiego. Nikt jednak nie zaprzeczy, że postęp nie jest nam dany zadarmo, i że w wysiłkach społeczeństw nowoczesnych do zorganizowania się na nowych podstawach, tkwią nieuchronne przyczyny cierpienia.

Jedną z cech naszego wieku jest powstanie demokracji. Ileż ztąd wstrząśnień w życiu społecznym! Porządek stary runął przez swą nieruchomość, porządek nowy wystawiony jest na niebezpieczeństwo zbytnej swój ruchliwości. Otwarto podwoje i wezwano do działalności rozumnej najgodniejszych i najlepszych. Ale ten wybór stał się masą. Ileż tu gorących próżności, ile mierności napuszonych! Trudno tu znaleźć siłę moralną w równowadze z pragnieniami i inteligencją.

Wola nie była równą walce, upadała pod boleścią i wysileniem. Pałająca czynność jednostek, któreby pragnęły zdobyć miejsce choćby na słońcu, gorączka ambicji, niemoc skazana na powrót do swego nicstwa, intelligencja zdradzona przez wolę, zdolność nieuznana przez los... oto przyczyny złowrogich rozpaczy.

Postęp!... wielkie to słowo, co więcéj, to idea święta! Ale czuwajmy, aby postęp nie był tylko materialnym i nie sprowadzał nieszczęść strasznych, którychby uleczyć nie potrafił. Pięknym jest zaiste widok nauki i przemysłu, pokrywających całą

rój śmierć podobna do śmierci mistyków Indyi, jest rozkosznym omdleniem w nieskończoności.

Zyli oni i cierpieli jak bohaterowie ich poematów. Stworzyli pewną tradycję samobójstwa.

Czyż się można dziwić, iż w wyobraźni tych ludzi powstała literatura romantyczna, rozumująca, entuzjastyczna, pełna pogardy ku działalności człowieka, a ciekawości ku temu, co jest niewidzialnym, drażniącą wolę ku akcji, a pchającą ją ku namiętności, lubiąca przerzucać wiecznie wyobraźnię od zmęczenia życiowego do zagadkowości śmierci; literatura, co w miejsce poważnej smętności chrystyanizmu, (który nie wyklucza akcji, ale ją pomnaża przez miłość chrześcijańską), przedstawia rodzaj tęsknoty niespokojnej, lubiącej się zamykać w samotnym wzburzeniu marzyciela?

Taką jest ta literatura, prawdziwa literatura samobójstwa, której wpływ tak wszechstronnie działał na przeszłe pokolenie.

Już jest daleką od nas ta epoka, nie tyle przez liczbę lat, ile przez różnicę naszych obyczajów, a choć się spotka tu i owdzie oplakanych następców Werthera, jest to zawsze już rzadkością, tak, że ostatni spadkobiercy tej rasy należą do anachronizmów.

Nie można jednak powiedzieć, aby samobójstwo zmniejszało się pośród nas; owszem statystyka uczy, że się powiększa. Ale zmieniło już swój charakter, ma ono inne teraz źródło, które nie w sobie nie ma literackiego.

Poszukajmy tego źródła. Nie trzeba kalnąć swojej epoki; jest się obywatelom chwili tak samo jak obywatelom kraju; pewien więc rodzaj patriotyzmu nie pozwala zdradzać jednego jak drugiego. Nikt jednak nie zaprzeczy, że postęp nie jest nam dany zadarmo, i że w wysiłkach społeczeństw nowoczesnych do zorganizowania się na nowych podstawach, tkwią nieuchronne przyczyny cierpienia.

Jedną z cech naszego wieku jest powstanie demokracji. Ileż ztąd wstrząśnień w życiu społecznym! Porządek stary runął przez swą nieruchomość, porządek nowy wystawiony jest na niebezpieczeństwo zbytnej swój ruchliwości. Otwarto podwoje i wezwano do działalności rozumnej najgodniejszych i najlepszych. Ale ten wybór stał się masą. Ileż tu gorących próżności, ile mierności napuszonych! Trudno tu znaleźć siłę moralną w równowadze z pragnieniami i inteligencją.

Wola nie była równą walce, upadała pod boleścią i wysileniem. Pałaca czynność jednostek, któreby pragnęły zdobyć miejsce choćby na słońcu, gorączka ambicyi, niemoc skazana na powrót do swego nicstwa, inteligencja zdradzona przez wolę, zdolność nieuznana przez los... oto przyczyny złowrogich rozpaczy.

Postęp!... wielkie to słowo, co więcej, to idea święta! Ale czuwajmy, aby postęp nie był tylko materyalnym i nie sprowadzał nieszczęść strasznych, którychby uleczyć nie potrafił. Pięknym jest zaiste widok nauki i przemysłu, pokrywających całą

rój śmierć podobna do śmierci mistyków Indyi, jest rozkosznym omdleniem w nieskończoności.

Zyli oni i cierpieli jak bohaterowie ich poematów. Stworzyli pewną tradycję samobójstwa.

Czyż się można dziwić, iż w wyobraźni tych ludzi powstała literatura romantyczna, rozumująca, entuzjastyczna, pełna pogardy ku działalności człowieka, a ciekawości ku temu, co jest niewidzialnym, drażniącą wolę ku akcji, a pchającą ją ku namiętności, lubiąca przerzucać wiecznie wyobraźnię od zmęczenia życiowego do zagadkowości śmierci; literatura, co w miejsce poważnej smętności chrystyanizmu, (który nie wyklucza akcji, ale ją pomnaża przez miłość chrześcijańską), przedstawia rodzaj tęsknoty niespokojnej, lubiącej się zamykać w samotnym wzburzeniu marzyciela?

Taką jest ta literatura, prawdziwa literatura samobójstwa, której wpływ tak wszechstronnie działał na przeszłe pokolenie.

Już jest daleką od nas ta epoka, nie tyle przez liczbę lat, ile przez różnicę naszych obyczajów, a choć się spotka tu i owdzie oplakanych następców Werthera, jest to zawsze już rzadkością, tak, że ostatni spadkobiercy tej rasy należą do anachronizmów.

Nie można jednak powiedzieć, aby samobójstwo zmniejszało się pośród nas; owszem statystyka uczy, że się powiększa. Ale zmieniło już swój charakter, ma ono inne teraz źródło, które nie w sobie nie ma literackiego.

Poszukajmy tego źródła. Nie trzeba kalnąć swojej epoki; jest się obywatelom chwili tak samo jak obywatelom kraju; pewien więc rodzaj patriotyzmu nie pozwala zdradzać jednego jak drugiego. Nikt jednak nie zaprzeczy, że postęp nie jest nam dany zadarmo, i że w wysiłkach społeczeństw nowoczesnych do zorganizowania się na nowych podstawach, tkwią nieuchronne przyczyny cierpienia.

Jedną z cech naszego wieku jest powstanie demokracji. Ileż ztąd wstrząśnień w życiu społecznym! Porządek stary runął przez swą nieruchomość, porządek nowy wystawiony jest na niebezpieczeństwo zbytnej swój ruchliwości. Otwarto podwoje i wezwano do działalności rozumnej najgodniejszych i najlepszych. Ale ten wybór stał się masą. Ileż tu gorących próżności, ile mierności napuszonych! Trudno tu znaleźć siłę moralną w równowadze z pragnieniami i inteligencją.

Wola nie była równą walce, upadała pod boleścią i wysileniem. Pałaca czynność jednostek, któreby pragnęły zdobyć miejsce choćby na słońcu, gorączka ambicyi, niemoc skazana na powrót do swego nicstwa, intelligencja zdradzona przez wolę, zdolność nieuznana przez los... oto przyczyny złowrogich rozpaczy.

Postęp!... wielkie to słowo, co więcej, to idea święta! Ale czuwajmy, aby postęp nie był tylko materyalnym i nie sprowadzał nieszczęść strasznych, którychby uleczyć nie potrafił. Pięknym jest zaiste widok nauki i przemysłu, pokrywających całą

kulę ziemską dziełami godnemi podziwu, pięknym również widok człowieka panującego nad naturą, przestrzenią i czasem.

Lecz czyż przeto cywilizacya dzisiejsza jest w stanie normalnym i zdrowym? Widzimy, z jaką zastraszającą bezproporcją wzrasta z dniem każdym kontrast zbytku i nędzy. Nędza nowoczesna jest daleko trudniejszą do zniesienia od nędzy dawnych czasów. Ma ona swe sumienie, rumieni się sama przed sobą. Cierpkość jej i drażliwość zwiększa owa pół-oświata ogólna, która się rozlewa w atmosferze, którą się oddycha mimowolnie, i ol męczarni najwyższa, jeszcze się bardziej, niż kiedykolwiek w skutek ruchu samego nowożytnego życia, miesza z ową wykwintnością wyszukaną, z owemi blaskami drażniącemi, które są udziałem szczęśliwców wieku. Widzi ona bliżej ten zbytek, przed którym bledną czary *Tysiąca i Jednej Nocy*.

Wszystkie więc pokusy wyobrażeń i zmysłów rzucają kolejno tym biednym człowiekiem, który pod łachmanami szczęka od zimna i głodu, lub co gorsza, w czarném wytartém ubraniu drży pod ścianami modnych kawiarni, teatrów lub balów. Nieszczęśliwy ten, może w tysiącznych kolejach życia społecznego marzył także przez chwilę, o owém szczęściu błyszczącym, które się przesuwa przed jego oczyma! Czyż ten obraz jednej nocy zimowej nie wystarczy, aby nazajutrz cela więzienna zamknęła jednego więcej z przybyszów?

Potrzeby zbytku rosnące obudziły w pewnych warstwach społecznych straszny, nienasycony głód i pragnienie bogactwa, którego nie nakarmić nie zdoła. Są, i to w wielkiej liczbie, ludzie rzadkich zdolności, zdumiewającej czynności, którzy z całym wytężeniem rozumu i sił gonią za chimerami losu. Wszystko, co zostaje po za ich bajecznemi żądzami, jest dla nich niczem.

Czyżbyśmy byli zdolni odmalować owe hańbiące gorączki gry papierami, owe nadzieje graniczące z szaleństwem i owe trwogi wiodące do rozpaczki; albo wykazać owe wyobraźnie chorobliwe, ofiary szału rzucające się w *fata morgana* milionów.

Któż nie zna téj choroby i jej skutków? Cóż to za życie, wydane na pastwę tym straszny hazardom powodzenia lub upadku, rzucone od szczytów do przepaści! Życie takie jest tylko grą olbrzymią. Jeżeli się wygrywa, dubluje się i jeszcze się dubluje stawkę, aż do oznaczonej cyfry.

Ale dla tego kto wygra, ileż jeszcze brakuje i brakuje ciągle! Gra on mniej, ale z większą zapamiętałością, a jeżeli go los zdradza, daje na ostatnią stawkę swe życie; jeden tur jeszcze, a przegrał i... umiera!

Czyż więc jest to obmowa naszej epoki, czy słabym tylko obrazem niektórych jej popędów?

Nie wszyscy zapewne spekulują, nie wszyscy gonią za owemi bajecznemi fortunami, które stanowią prawdziwą pokusę dla niektórych umysłów chorych. Lecz każdy mniej więcej pragnie

gorąco dobrobytu. Gdzież są dziś owi mędracy dawni, do których tradycya wiąże życie skromne, i którzy się stawali bogaczami przez poskramianie swych pragnień!

Żyje się wiele, i żyje się prędko; coś nagli do tego. Cywilizacya ma gorączkę i tę nam udziela. Wyczerpuje się rozum, aby wyprodukował wszystko co może, i w jak najkrótszym czasie. Nie pozwalają mu ani się podnieść przez naukę, ani odnowić przez wytchnienie. Gwałcą jego działalność, wołają nań o cuda, aby je natychmiast obrócił w zbytek. Używanie i praca przesadzają się, każdy puszcza z całą parą własną lokomotywę, póki nie pęknie!

Nie było epoki, w którejby z większém zuchwalstwem nadużywano życia; nie było ludzi, którzyby jak dziś, padali w biegu swój karyery, jak piorunem rażeni.

Powiedział Goethe: „Każda działalność bez wytchnienia, kończy się bankructwem.” Słowa te mogłyby posłużyć za godło obecnej epoki.

Bankructwo, o którym mówi Goethe, jest bankructwem rozumu lub życia, szalem lub samobójstwem. Oto straszna alternatywa, do jakiej doprowadza działalność rozstrojona w społeczeństwie, zapominającem o obowiązku, dla którego Bóg sam staje się coraz bardziej zagadką.

Tak więc ambicya złamana, niemoc chełpliwa, wola bez hartu, zniechęcona przez konieczność walki, nędza wiecznie drażniona przez sąsiedztwo wyuzdanego zbytku, szal spekulacyi, pośpiech gorączkowy życia, niepokój właściwy społeczeństwu nowym, które szukają równowagi i dotąd jój nie znalazły... oto wpływy nowój cywilizacyi, pod któremi powstaje samobójstwo.

Od lat 20stu zaszła jednak wielka zmiana obyczajów. Werther dni naszych zanadto jest czynny, aby mógł marzyć. Zabija się jeszcze... ale bez frazy... i dlatego... że się zgrał na giełdzie!!



O ŻYCIU I PISMACH KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO.

(Dokończenie).

II.

Wprzódby nim przystąpimy do przeglądu pism Brodzińskiego, poznajmy jakim sposobem i na jakich wzorach kształcił się, w jakim to przeciągu czasu został nietylko jednym z najznakomitszych poetów, ale najgruntowniej uczonym literatem w narodzie naszym.

Tłumacz pożytecznej książki *Self-Help* czyli *Pomoc Własna*, słusznie wymienił Kazimierza Brodzińskiego w liczbie tych mężów, którzy wykształcenie swoje samym sobie są winni. Fakt ten jedyny może między pisarzami naszymi, obszerniej rozwinie my. Każdy z naszych poetów i prozaików, kształcił się w krajowych zakładach, czy to świeckich czy duchownych. Wrażenia szkolne, czytane wzory, założyły fundament, na którym własne prace budował. W Skardze, Birkowskim, Woroniczu, przeważa wpływ Pisma Świętego, w Kochanowskim i jego następcach, aż do epoki Poniatowskiego, widać naśladownictwo klasyków łacińskich, w Krasickim, w Naruszewiczu, w Trembeckim, w Dmochowskim tłumaczu Iliady i w innych, z przewagą pisarzy łacińskich, łączy się wpływ autorów francuzkich i błędnego ich klasycyzmu. W okresie rządów pruskich i Księztwa Warszawskiego, Osieński, Feliński, Wyszkowski i inni, prócz Kajetana Koźmiana, który był wyłącznym naśladowcą Wirgiliusza, przejęli się wpływem klasycyzności francuzkiej. Ich pojęcia o poezji, o stylu, o sztuce dramatycznej, opierały się na prawidłach Boala. Ale trzeba im oddać tę sprawiedliwość, że uczucie chwały wojennej,

wspomnienia przeszłości, żal i nadzieja, ożywiały ich zapał i wtenczas niezaprzeczenie byli poetami. Utrzymanie języka zagrożonego napływem germanizmu i francuzczyzny, było ich główną i zbawienną pracą.

Wszystkie te zewnętrzne wpływy, ze szkół i stosunków towarzyskich wynikające, nie działały na Brodzińskiego. Wyczytujemy w Wspomnieniach jego młodości, skreślonych przez niego samego, jak w tęsknocie, niedostatku, a nawet w nędzy przeżył młodociane lata. Wtenczasto zrodziło się w jego sercu zamknięcie do wieśniaków, bo tylko w ich towarzystwie jakiegokolwiek ulgi doznawał.

W szkołach galicyjskich siedmioklasowych, nie starano się wpływać na rozwinięcie rozumu: wszystko polegało na uczeniu się napamięć. Młodzież nasza, a więc i Brodziński, nie umiejąc jeszcze po niemiecku, nie mogła korzystać. Po łacinie uczono z Alwara przy pomocy tłumaczenia niemieckiego. Polskich książek surowo zabraniali Niemcy i tylko przypadkiem wpadły mu do ręki, gdy po śmierci ojca nie mając z czego żyć w szkołach, musiał wrócić do macochy, ulotne wiersze i mowy z czasów Poniatowskiego: to były dla niego pierwsze wzory języka ojczystego. Potem dostał sielanki Gesnera w miernym tłumaczeniu ks. Chodaniego. Nareszcie wynalazł się fundusz na wysłanie go do gimnazjum i pojechał do Tarnowa. Fundusz ten zaledwie na rok wystarczył a następne dwa lata musiał Brodziński utrzymywać się z korepetycyi. Wówczas, przeczytał za radą jednego z nauczycieli, poezye kilku autorów niemieckich jako to: Klejsta, Goethego i Wielanda, ale książek polskich żadnych dostać nie mógł, bo ich surowo zakazywano. I tak doszedł do ośmnastego roku życia. Później udało mu się dostać Iliadę Homera tłumaczenia Dmochowskiego i parę tomów pisarzy polskich, wydania Mostowskiego. W 1809 r. przedarł się do Księstwa Warszawskiego, wspólnie z swoim kolegą szkolnym, Niemierzycem, i wszedł do wojska. Widzimy więc, że aż do lat młodzieńczych nie wywarła wpływu na Brodzińskiego, ani romantyczna ani klasyczna szkoła poezyi. Nie przejął się uprzedzeniem przeciw jednej, ani uwielbieniem dla drugiej, nie uległ tym pierwszym wrażeniom, które młodzież oddającą się literaturze, skłoniły dawniej do naśladownictwa łacinników i Francuzów, a następne pokolenie uczyniły bezwzględni wielbicielami i naśladowcami Anglików i Niemców. Poszedł więc tą drogą, jaką mu własne uczucie i rozważa wskazały, a do której usposobiły go wrażenia w dzieciennym jeszcze wieku, przy częstym przestawianiu z ludem wiejskim powzięte.

Znalazły się między pismami Brodzińskiego dwa zeszyty, każdy po kilkadziesiąt stronnic, jeden z roku 1805, drugi z 1814. Pierwszy pisany był w Tarnowie, kiedy autor liczył dopiero lat 15 i był uczniem szkół tamtejszych. Zapisywał w nim co czytał i co widział; zamieszczał myśli, które szczególnie zwróciły

jego uwagę, oraz pierwsze próby poezji swoich, objęte w listach do przyjaciela. W tych zapisach, szczególnie uderzyło mnie usposobienie do myślenia i smętności, które już się w tak młodocianym wieku przebijało. Jak dalece wpływ niemieczyny i brak dobrych wzorów, wpływał na styl naszego poczynającego autora, widać to z pierwszych wyrazów jego dziennika.

„Dzień 18 czerwca *jest dzisiaj, w którym zacząłem pisać dziennik, a przy zaczęciu go, myśleć na upłyniony już wiek* zacząłem, w którym nie *używałem porządku w rzeczach*, a przeto mało co dobrego zrobiłem, wiele opuściłem i że tak powiem czas który dosyć sam prędko płynie do zatraty, popychałem, który był posłuszny, wiedząc iż mi to kiedykolwiek smutkiem nadgrodzi. Chciałem płakać, ale mi nie samego wstyd było, przedsięwziąłem przeto mądrzejszy być po szkodzie, lichwę za dawniejszy czas stracony wytrącić i pamiątki z niego jeżeli jakie będą urywać. I tak dzień dzisiejszy na samém rozmyślaniu kończę.”

Potém następują różne urywkowe myśli: nie wiadomo czy są tworem 15-toletniego ucznia, czy też wyjęte z ksiązek przez niego czytanych.

1) „Im się więcej gałęzie uginają, tém się bardziej wiatr sroży.”

„Nie bądźmy gałęzmi, los nie będzie wiatrem.”

2) List do S ze wsi.

„Prosisz mnie W Pan o nowości, jakby też tu w tém wielkiem miejscu urodzaju plotek, które tu się bujniej jak pszenica z białych rąk Jejmości zasiane rodzą, było co godnego powiedzenia W Panu. Nikt tu u mnie nie był, prócz opastego Landstragona; ten mi przywiózł 30 opisów złodziei, co wcale dla sławy i bezpieczeństwa kraju naszego nie pocieszna nowina, a tém bardziej niegodna czytania i W Pan wolałbyś się przez ten czas z Naruszewiczem wzbijać pod obłoki, niżli ich ślakować.

3) Być tklwym dosyć jest do zjednania sobie miłości u ludzi, ale być tylko uczonym bardzo mało.

4) Nie mądry sam sobie nieszczęście, mądry sam szczęście znajduje.

Następuje dalej obszerny wyjątek tłumaczony z Szlegla rozprawy o tańcu starożytnych.

Zanotował sobie Brodziński, że czytał: *Uwagi nad uwagami o życiu Jana Zamojskiego, Życie Stefana Czarnieckiego, Zabawy przyjemne i pożyteczne* przez Albertrandego, *Ogrody*, poemat Ielila tłumaczenia Karpińskiego.

Jako próbkę najpierwszych poezji Brodzińskiego, przytaczam ułomek z wiersza na zgon przyjaciela, który utonął kąpiąc się w rzece, i początek przekładu poematu biblijnego Ruth, z Karoliny Pichler autorki niemieckiej, oba są z roku 1806.

ŻAL NA ŚMIERĆ UTONIONEGO PRZYJACIELA w 1806 r.

Na łono nocy głowę pochylił dzień smutny,
 A za mną z czarnym krzyżem chodzi żal okrutny,
 I do nowych łez znowu na ten brzeg mię żenie,
 Gdzieś ostatnie, młodzieńcze, dał ci uściśnienie.
 Szedłeś na brzeg okrutny w południowej chwili,
 Wszyscyśmy tu młodzianie nad brzegiem gwarzyli;
 Jam wyszedł z wody na brzeg, tyś przybiegł z równiny,
 Usiedliśmy wesoło w zacienu wikliny:
 Szeleszczy chłodna woda, słońce z góry parzy,
 Na twą się zdradę niebo i woda kojarzy.
 I kiedyś się rozbierał, cicha woda zdradnie
 Wabiąc cię, ukrywała śmierć dla ciebie na dnie.
 Mnie cię też odejść przyszło, tak losów koleją,
 Byś ty zegnał świat co się cieszył twą nadzieją,
 Ja bym cię zegnał wiecznie, by cyprem wieńczony
 Flet mój wesołe zmienił na żalose tony.
 Wszedłeś w wodę, ta zradna wartkim pędem płynie,
 Stopy ku wirowatęj popycha dolinie;
 Bronić się nie umiałeś, ta cię w wir zawróci,
 To pod drzewo, to na dół, to cię na bok rzuci.....

W tej młodocianej próbie, zwracam uwagę na wyrażenie:
Na łono nocy, głowę pochylił dzień smutny, prawdziwie poetyczne,
 a które potem przypomniał sobie Brodziński i użył go w wierszu na pogrzeb przyjaciela:

„Na łono nocy, dzień smutny,
 Obumarłą zwiesił głowę” i t. d.

Z poematu Ruth, przytaczam pozdrowienie ziemi rodzinniej:

„Witajcie ucienione palmami doliny,
 Wzgórki co wasze plecy szerzycie w równiny:
 Witaj ziemio ojczysta! Tam za górą leży.
 Wkrótce, ach wkrótce mój krok w jęj niwy pobieży.
 Po dawnych latach widząc o ojczyzno miła,
 O jak ja cię inaczej wcale opuściła!
 Wysłałam z mężem wspaniałym, miła młoda żona
 Od dwóch synów kochanych czule prowadzona,
 Którzy byli jak cedry Libanu zielone
 Wielom szczęście dające, od wielu sławione.
 W tych nocno-ciemnych grobach śpi mój mąż jedyny,
 I kwitnąca nadzieja, dwa kochane syny;
 Owdowiała, bez dzieci, odarta, skwapliwie
 Powracam znowu, umrzeć na ojczystej niwie.

Jest jeszcze w tym dzienniku kilka ulotnych wierszy, lecz nie zawierają w sobie nic takiego, coby na uwagę zasługiwało.

W kilku poezjach pisanych w r. 1809—1810 i 1813 widać znaczny postęp, ale jakie są jeszcze dalekie od utworów, któremi od roku 1814, Brodziński pozyskał współczucie i sławę!

Prócz opisu bitwy pod Lipskiem i kilku wspomnień o ciężkiej kampanii z 1812 i 1813 roku, są to wiersze uczuciowo sieliskie, lecz jeszcze mają ślad przesady, którą Brodziński z wzorów niemieckich zaczerpnął, a której się potem tak szczęśliwie pozbył; o to jest ich wyliczenie:

Do...— Do Czesławy.— Stanisław.— Kwiatosława.— Bohdan i Miłko.— Duma nad drzewami zasadzonymi w rynku Krakowskim w r. 1810.— Wyprawa mędrców.— Z Kantyków Ezechiela.— Amorek.— Brzozy.— Wszystko nam się uśmiecha.— Drzewka.— Do Elwiry.— Fijołki.— Kilka z tych poezji Brodziński przerobił, poprawił i albo cańkowiec albo pojedyncze strofki zamieścił w zbiorze swoim.

W tych wszystkich utworach już przebija się ten wdzięk, który tyle popularności zjednał poematowi Wiesław i pieśniom rolników. Przytaczam jeden z nich, najbliższy jak się zdaje, zupełnego rozwoju ducha naszego poety.

DO PRZYSZŁEJ CHATKI.

Nadziejo, bóstwo moje! nuć mi lube pienie,
Gdzie w polu dla mnie chatkę stawia przeznaczenie,
Dusza co tobą żyje, tak twém pieniom rada,
Jak wędrowiec ptaszynie, co świt zapowiada.

Zkąd zoczę w bławat strojne kłosami zagrody?
Zkąd usłyszę skowronki i tęskniące trzody?
Która róża w poranek rozleje mi woni?
W której, jagód chłodzących nazbieram ustroni?

Gdzie ja będę z okienka ranną witał zorzę?
Gdzie odpocznę w południe, gdy zagon poorzę?
Gdzie mi Kloe co wieczór o sąsiadach powie?
Gdzie mi sumienie do snu uściele wezłowie?

Z której wierzby na wiosnę będę kręcił fletnią?
Który mi źródło pragnienie zgasi w chwilę letnią?
Kędy w jesieni owoc spuści mi drzewina?
Zkąd po śniegu przywiozą drewek do komina?

Gdzie ja w młodości dzionki pogonię swobody?
Gdzie czekając starości, wspomnę na wiek młody?
Gdzie ja w siwiznie własny szczep podpierać będę?
Kędy sąsiedzi na grób obiorą mi grzędę?

Rychłoli w dzień świąteczny, przy dzwonka odgłosie,
 Będzie ma pieśń ku Bogu ulatać po rosie?
 Gdzie będę mógł nie widzieć nędzy mego kraju,
 I widzieć tylko szkody po piorunach w gaju!

Tu z miasta, razem z wiosną, przybędziesz Filonie,
 Wypocząc na przyjaźni i natury łonie;
 Czeladka cię polubi i usłuży tobie,
 Konika ci napoi, uwiąże przy żłobie.

Tak mi nuć o nadziejo! Jam twe dziecię własne,
 Lecz może twoją pieśnią utulony zgasnę,
 Zwodnico! Ja omamion może słucham ciebie,
 Mnie przed chatką grób pierwój przeznaczenie grzebie.

Ułomki z Dzienniczka podróży, czyli raczej pochodu woj-
 skowego, z Krakowa pod Lipsk, których część znajduje się w wy-
 daniu wileńskim dzieł Brodzińskiego, a blisko połowa pominięta
 została, są także przeplatane wierszami i godne żeby je w zu-
 pełnym wydaniu dzieł Brodzińskiego zamieszczono.

Rękopism zaczęty dnia 16 stycznia 1814, obejmuje mnóstwo
 uwag i prawideł z życia społecznego. Religia, moralność, rozum,
 rozsądek, są ich przedmiotem; pod każdym znajduje się podpis
 autora, z którego były wyjęte. Tych autorów jest kilkadziesiąt:
 francuzkich, niemieckich, angielskich; z autorów polskich jest
 Krasicki, Wybicki, St. Potocki, Jaroński. Pod kilkunastoma
 wyjątkami nie wyrażono z kąd są wzięte. Czyliż byłyby to wła-
 sne myśli Brodzińskiego? Takimi są, nie wątpię o tém, uwagi
 o śmiałości, rozsądku i miłości bliźniego, kilka stronnie obej-
 mujące. Czyliż Brodziński myślał wydać zbiór tych myśli mor-
 ralnych, czyliż to są notaty jego studyów, jakich próbki znaj-
 dujemy w dzienniku z 1805 roku i jakich wiele jest w pojedyn-
 czych oderwanych kartkach po nim pozostałych? Zawsze one
 okazują, że już w 23 roku życia wyrobił się w nim ten duch my-
 ślenia, dostrzegania i rozwagi, który jest cechą wszystkich jego
 pism wierszem i prozą.

Samodzielne kształcenie swoje rozpoczął Brodziński jeszcze
 w szkołach, co się pokazuje z jego dziennika w roku 1805 pi-
 sanego.

Gdy w r. 1809 wszedł do wojska polskiego i zaczął służyć
 w artylerji, Wincenty Reklewski młody kapitan i zwierzchnik
 naszego poety, odróżnił go od innych podoficerów, związał się
 z nim ścisłą przyjaźnią, a sam będąc miłośnikiem poezji i wier-
 szopisów, dopomagał mu do coraz lepszego oznajmiania się z lite-
 raturą ojczystą i obcą. Niemiecką znał już Brodziński po więk-
 szej części, a pisarzy naszych z wieku Zygmunatów i późniejszych,
 aż do współczesnej epoki, mógł być przeczytać w 1810 i 1811,
 i pierwszej połowie roku 1812, kiedy stał załogą w Modlinie, przed

rozpoczęciem wielkiej kampanii 1812 roku. Z słodkiem i rzewnym uczuciem wspomina Brodziński o Reklewskim i o jego pismach poetycznych; umieścił jego życiorys w Pamiętniku Warszawskim z 1811 r., a w papierach znalazłem ułomek poetyczny prozą pisany, a który zapewne był częścią zamierzonego poematu. Brodziński bowiem często rzucał na pamięć myśli swoje tak, jak mu je podawało natchnienie, a potem przybierał je w formę rymową. Takim jest pierwszy rzut jego wiersza pisanego na Alpach, w powrocie do kraju i inne ułamki.

Przytaczam to wspomnienie o Reklewskim, zalecające się poetyczną imaginacją i tkliwem uczuciem:

„Było to w nocy poprzedzającej przeprawę przez Berezynę. Jako mgła krążyły koło nas duchy; bliższych tylko mogłem rozpoznać postaci. Z nich jeden, piękny jak Apollo, do mnie poskoczył, rzucił się na moje piersi i silnie uściskał. Jam nie czuł ciężaru, ale duszę moją taka błogość objęła, jak gdy nas wiosenny wiatr południowy obejmie i rzeźkość naszą i pamięć odmładza. „Zimno ci, zimno! — zawołał tuląc mię mocno. Ach! jak niebo i ziemia się iskrzą! Setne dusze opuszczają w tej chwili ciała; otul się, otul! Mrozy wnet się przesilą, ja wcale zimna już nie czuję. Skromna młodość nasza wszystko to przetrwa. Dług ojczyźnie spłaciwszy, sobie wzajem resztę życia poświęcim. Tej wiosny wracam do domu; domuruję dworek zaczęty nad strumieniem, przerynający błonia sandomierskiej pszenicy; tam ulubione ci ule, tam sad według twej myśli założym. Wrócim do naszych papierów i książek, a pienia nasze wiejskie zacznem składać na nowo, które może imię nam dadzą, bo najmilszą chwałą jest żyć w pieśniach.

„Zapomnimy o bojach, o tej wojnie i mrozach, a przy kominku będziemy o nich siostrom jak o śnie wspominać. Ale otul się tym moim płaszczem, ja wcale żadnego zimna nie czuję.” To ty Reklewski! — zawołałem, gdy się w tej mglistej postaci, anielskich jego oczu dopatrzyłem. Wtém zniknął. Ciężkie uczuleniem serca ściśnienie, któremu wkrótce lzy kropliste ulżyły. Mój przewodnik dał mi się wyplakać, a po niejakiem czasie położył ręce na mojem ramieniu, a ja wolno odetchnąwszy rzekłem: „To jest przyjaciel mojej młodości. Jego ujrzałem z pomiędzy pierwszych, którzy z orłami ojczystemi na ziemię krakowską wkroczyli; on mi oręż mało jeszcze silnemu ku dalszym zapasom przywiązał; on lękliwego do grzmotu dział przyzwyczaił; on moje ubóstwo okrywał; on ze mną, na skałach Ojcowa przesiadywał, gdzieśmy pieśni zapomniane składali. To, co mówił jest powtórzeniem marzeń jego, kiedy śmiercią już zdjęty leżał na śniegach. Już on do ojca nie wrócił; dziedzictwo i dworek zaczęty obcym się dostały; śmierć jego dla ojczyzny wśród tylu innych ofiar nie pamiętana; zapomniane już i wiejskie pienia jego, które nucił niewinnie bez namiętności. Krótkie jego życie zgorzało czystą miłością ojczyzny, jak jedna iskra w rozplamionym wtedy na-

rodzie. Ach czemuż przyjaciel mój nie miał nateraz chwili szczęśliwej i zachował pamięć tej zgubnej ziemi?

„Dni jego na ziemi, odpowiedział, były dniami wonnej wiosny, jak kwiaty wiosny w błogiem marzeniu i cnotliwych nadzieją tylko kwitnące; nad nie nic tu nie zostawił sobie droższego, a za granicą życia, sen, nadzieje, ułudy i rzeczywistość, żadnej nie mają różnicy. Jedno krótkie błogie marzenie, chwilowa nadzieja, równe są szczęściu długo doznawanemu, oboje równym darem są Boga. I twój przyjaciel najmilej swoje marzenia senne powiła”

Ciężka kampania 1812 roku, odwrót z Moskwy, pobyt w Krakowie z resztami wojska, następnie pochód pod Lipsk, przerwały Brodzińskiemu dalsze kształcenie się. Wrócił do nauk z nowym zapałem, kiedy otrzymał wraz z wszystkimi jeńcami polskimi pozwolenie powrotu do kraju. Od tego czasu, już stale zamieszkał w Warszawie i w 1814 roku ogłosił drukiem elegię na sprowadzenie do kraju zwłok księcia Józefa Poniatowskiego. Ciekawe jest porównanie utworów trzech pisarzy, Molskiego, Niemcewicza i Brodzińskiego, którzy jednocześnie opiewali ten pogrzebowy obchód. Wiersz Molskiego, jest jak prawie wszystkie jego pisma, prostą i zimną prozą, posiekaną na rymy. Śpiew Niemcewicza ma piękne obrazy i tchnie spółczuciem; lecz najznamienszą jest elegia Brodzińskiego, tak pod względem myśli jako też i wyśłowienia. Z zajęciem przeczytała zdziwiona publiczność ten utwór odróżniający się rzewnością i tklivością, od wszystkich dotychczasowych poezyj, obfitujący w nowe poetyczne wyrażenia. a wolny od zwyczajnej potocznej i brzmiącej deklamacji. Pisze Brodziński w ułamku wspomnień swoich, że w krótkim przeciągu czasu, trzy wydania uskutečnił drukarz Dąbrowski i przyniósł mu honorarium, którego się Brodziński wcale nie spodziewał. Jestto wybitny dowód, jak w owym czasie, czytelnicy nasi, chociaż nawykli do tonu poezji klasycznych, umieli oceniać co jest głębsze, rzewniejsze i nowe.

Z roku 1815 jest wiersz filozoficzny Brodzińskiego, który napisał będąc Wolnym Mularzem na dzień imieniu Ludwika Osńskiego, Wielkiego Mistrza Łoży Izys. Mówi w tym utworze poetycznym, o wpływie jaki Wolne Mularstwo wywarło na ludzkosć, na usunięcie przesądnych różnic między stanami społeczeństwa; rzecz szczególna, o mistrzu (Ludwiku Osńskim) którego święto obchodzono, powiedział tylko te kilka wierszy:

Chwała twoja w tym zakonie
 Niech z ust do ust wiecznie idzie;
 Chwała tobie, co na tronie,
 Sterujesz berłem w Izydzie.
 Bracia uczcijmy jego zasługi i cnoty
 Niech dziewięćkroć w trzech stronach odezwą się młoty.

W rękopismach Brodzińskiego znalazł się ten sam wiersz i kilka innych, z których autor usunął wszystkie formuły i wyrażenia masonskie i uczynił z nich czyste filozoficzne poezye.

Odtąd, coraz częściej napotykamy prace Brodzińskiego oryginalne i tłumaczone, wierszem i prozą, w Pamiętniku Warszawskim Bentkowskiego, w roku 1816 i 1817.

W tym czasie uzyskawszy skromną posadę w Komissyi Likwidacyjnej, kształcił się w literaturze, nauczył się po francuzku, a zabrawszy przyjaciół z artystą dramatycznym Kudliczem, oraz z dyrektorami orkiestry i kompozytorami, Karolem Kurpińskim i Józefem Elsnerem, przetłumaczył kilka sztuk a mianowicie oper dla teatru warszawskiego. Jego poezye z owych lat odznaczają się, oprócz prostoty i czucia, pewnym erotycznym nastrojem, właściwym 20-toczteroletniemu młodzieńcowi. Taką cechę nosi *list do Dafny o poezyi* czyli raczej poemat. Nie dokończył go Brodziński i tylko kilka wyjątków umieścił w ówczesnych dziennikach literackich. Nie wiemy kto był ową Dafną, do której w tym utworze się odzywa.

Chcesz Dafne bym cię uczył Appolina sztuki?
 Co twém tohnieniem ożywiasz o tém chcesz nauki,
 Wszakże to wdzięków twoich cudotworna siła
 Tehnęła ją w moje serce i umysł wabiła?
 „Miły płochy Amorku, bądź ty mi przy boku,
 Igraj z Dafny włosami i wdzięcz się w jój oku.
 Gdziez byłeś swawolniku, gdy Appolo młody
 Ścigał Dafnę, do mojej podobną z urody,
 A zimne tylko laury skroń mu opasały?
 Nie zazdrośczone mu boskiej wieczności i chwały.
 Szczęśliwym, ja śmiertelnik, niech będę przez ciebie;
 Niech laury nieśmiertelne zostaną przy Febie,
 Ohwilę za wieczność, rozkosz niech za chwałę zyszcze,
 Wezmę różę z rąk Dafny i całunkiem zniszczę.

W ogólności w całym tym poemacie przeważa erotyczne, nie zaś duchowe uczucie.

Jest własnoręczna książeczka Brodzińskiego, w której zamieszczał swoje wrażenia i plany do przyszłych utworów, w miarę jak mu na myśl przychodziły. Są tam i rachunki z wydatków w podróży za granicą i kilka fraszek, piosnek i oderwanych uwag. Zapiski te ciągną się od r. 1824 do 1828. Znaczna ich część zawiera notaty wrażeń z pobytu w Szwajcaryi. Zapisywał w kilku słowach, dla własnej pamięci, to, co zamyslał rozwinać w obszerniejszym obrazie, lecz nie uskutečnił tego zamiaru. Napisał tylko kilka listów z tój podróży.

Otóż, w tój książeczce jest początek poematu *o dworze w Lipinach*. Zdaje się więc że zamyslał o nim około r. 1824 lub 1825.

Z pozostałych ułomków dowiadujemy się, że sędziwy dziadec Lipin ma jedynaczkę córkę, o którą stara się Wacław, młody obywatel i otrzymuje przyrzeczenie jej ręki. Odbyły się zaręczyny, ale wyprawa Napoleona w 1812 r. Wacława powołała do wojska.

W myślach, które dla pamięci zapisywał Brodziński, mamy ślad, że chciał w tym utworze objąć opis kampanii 1812 roku, szturm do Smoleńska, bitwy pod Mozajskiem, pożaru Moskwy, odwrotu i przeprawy pod Berezynę, których to wypadków był naoczny świadkiem. Zanotował sobie obraz plebana i ważne jego działania, wspomnienia Hanny o matce. Jaka miała być całość tego poematu, o tem wiedzieć nie można. Z wyszukanych ułomków okazuje się, iż kilkakrotnie zaczynał go, porzucał i znowu do niego wracał. Umyślił skreślić wierszem nierymowym opowiadanie wyprawy do Rosyi i odwrotu. Zdaje się że znacznie posunął ten utwór, dowodem tego stronica porządnie pisana z nadpisem księga trzecia. Oto jest dochowany początek tego poematu.

Z białego dworu Lipin wychodzi dziewica,
Z mostu, ku jasnym zorzom odwróciła lica,
Jakby tém licem zorzy przeciwieć się chciała.
I idzie pod rząd olszyn, kędy droga biała,
Do boru jodłowego rozwita jak wstęga.
Staje najwyżej, okiem jak najdalej sięga;
Ale nie widać wozu z jodłowego boru.
Idą z siejby rolnicy do białego dworu,
Tętnią od paszy na most zapędzone stada,
Z chwałbą Chrystusa mija z pańskiego gromada;
Aż się zdala od drogi, długi cień rozwija,
Jedzie wóz z nieznajomym, nadjeżdża i mija.,
Trudno się dłużej bawić, lub puszczać ku boru.
Wraca nadobna Hanna do białego dworu.
W podwórzu jest siedzenie w kasztanowym cieniu,
Tam siedzi pan na Lipnie, Kazmierz po imieniu.
Możny niegdyś starosta, sławny niegdyś z dziadów,
Dziś imie poczciwego nosi u sąsiadów.
Krótki zielony kontusz, pas okala lity,
Wierzech tylko głowy włosem sędziwym okryty;
Brew nad okiem, wąs bujny na licach rumianych,
Świadczą tylko o czasach dawno pamiętanych;
Na lewém ręku pierścień w kamienie oprawny,
Świadczy herbem ród jeszcze od Chrobrego sławny.
Z odkrytą głową czeladź otoczyła pana,
Słucha rozkazów do prac jutrzejszego rana.
Słyszając ojca poważną z czeladką rozmowę,
Nie chcąc przeszkodzić idzie przez drzwi ogrodowe.
On tak rzekł: „Jan zaprzęże jutro konie gniade,
Do zielonej kolasy, bo rano wyjadę

Wraz z panną do kościoła, ztamtąd do Sumania:
Wezmiesz to, co ci panna wyda do zabrania.

Hanna słyszy z radością te ojcowskie słowa,
I niecierpliwa rychło skończy się rozmowa.
Z orzechowej komody wyjmuje pas lity,
W sennych ojca godzinach pokryjomu szyty;
Wyjmuje dużą trzcinę troskliwie tajoną,
Bo jeszcze od miesiący czterech przywiezioną.
I sakiewki w osobnym papierze zwinięte,
Zielone, pierścionkami kunsztownie ściągnięte,
Które przywiózł ekonom do Brześcia wystany.

Pan na Lipnie sam został, siedząc zadumany;
Ale był dobrej myśli: bo tę pewność miała,
Gdy czapka wierzchem swoim naprzód się skłaniała.
Wtył bowiem narzucona, gniewny humor znaczy,
Bo ruchem ręki tajne uczucia tłumaczy.
Z tyłu zaszała i cicho za kasztanem stoi
Bo modlitwy zaczętej przerywać się boi;
O pień laskę opiera i w niewinnej zdradzie,
Przyskoczy i na łono ojca dary kładzie.
Sama nagłemi łzami rześisto zalana,
Całując rękę, głowę kryje na kolana;
Ojciec rzekł: „Dzięki Hanno, za twoje życzenia,
Z tobą jedną obchodzę dzień mego imienia.
Lecz jak ty się ubrałaś? sukienka różowa,
Pod wieczór jak do ślubu utrefiona głowa?
Nie bywało tak dawniej: ej czy ty niebogo,
Przy moich imieninach nie wyglądasz kogo?

Wstydząc się wstaje Hanna i do pnia poskoczy,
A gdy ojciec podarki na kolanach zoczy,
Przybliżyła się z laską—„Ojciec z rozrzwaniem,
Podniósł brwi śnieżne, potem zdziwionem wejrzeniem,
Gdy długą laskę zmierzył: Jako Bóg na niebie,
Tak sutego wiązania nie miałem od ciebie.
Bóg z tobą; ty zbytujesz na te ciężkie czasy.
Nie jedwabne sakiewki, ani lite pasy
Dziś ziemianom przystoją. Torbę wziąć na ramię.
Za pas zgrzebłe powróło, ciężkiej biedy znamię.

Na tak bolesne słowa, szlachetna dziewica,
Śmiejące się przed chwilą urosiła lica.
Bo uprzedzała wszystko, aby nie ocucić
Żadnej myśli, co starca mogłaby zasmucić.
Postrzegł się też Sędzimir i czoło wygładził,
Wziął za dłoń miłą córkę, przy sobie posadził.
I rzekł łagodnym głosem: „Złote dziecię moje,
Gdybyś znała ojcowskie myśli niepokoje,
Bo nie wiele mam z tobą imienin ponowić;
A chciałbym, tak o twoim losie postanowić,

Bym cię szczęsną odumarł. Lecz trudne nadzieje.
 Tobie w kwitnącym wieku, przyszłość się nie śmieje.
 Przy ojcu podupadłym, daleko od świata,
 Nieznana, w wsi samotnej pędzisz młode lata.
 Nie odwiedzą jak dawniej sąsiadów sąsiedzi,
 Każdy ze swoją troską w swym domu się biedzi.
 Dzisiaj o wiano trudno i trudno o męża,
 Nie do ślubów młódz spieszy, tylko do ořeza.

Owe widzenie senne przyjaciela, powyżej przytoczone, miało zapewne składać jeden z obrazów tego poematu. Zdaje się że Brodziński umyślił to poema przerobić na wiersz jedenasto zgłoskowy, dowodzi tego następujący ułomek:

Widzisz rzęd olszy na krętym strumieniem,
 Po białych tarniach, co rzucają cieniem?
 Tędy po łąkach z jodłowego boru,
 Droga prowadzi do białego dworu.
 Od wrót nadobna dziewica wychodzi:
 Czy się z słowikiem pod olszami chłodzi?
 Czy idzie dojrzyć kosarzów na łące,
 Czy widzieć krówki z pola wracające?
 Pastuch za trzodą duma na fujarze,
 Z kosami z łąki wracają kosarze,
 Wszyscy dziewicę po drodze mijają,
 Z chwałbą Chrystusa pokłon jej oddają;
 Ni ją zatrzyma woniejąca trawa,
 Ni z białowęlnym barankiem zabawa;
 Ni ją skowronek nad pszenicą dziwi.
 Rumianem licem zorzy się przeciwi,
 Patrząc ze wzgórka na jodłowe gaje,
 Schodzi i czeka, powraca i staje.
 Długi cień wozu zdala się odbija,
 Wóz z nieznanym, odjeżdża i mija.
 Trudno się bawić i puszczać do boru.
 Wraca dziewica do białego dworu.
 Wraca i jeszcze ugląda z daleka...
 Widać już pewno, że kochanka czeka.
 Ale nie wiecie, jakie jej są wdzięki,
 Tego nie wyda pędzel mojej ręki,
 Którą kto zdala wielbił w lata młode,
 Do tej niech Hanny przyrówna urodę,
 A który doznał wzajemności cnoty,
 Z tą niech porówna jej duszy przymioty.

Opowiadanie o wyprawie w roku 1812, umyślił napisać wierszem miarowym bez rymu; oto jest kilka wierszy odnalezionych:

Wiele wymagasz odemnie, bo wiesz jak trudno określić
 Tyle zniesionych trudów, za ledwie do wiary podobnych;
 Młodzi słuchacze wieściom dawniejszym napół nie wierzą,
 Znają i pomną, jak żołnierz zwykł to co widział powiększać.
 Ludzki to wzgląd wybaczy, bo kiedy wodzów czynami,
 Pieśni poetów brzmia, dziękczynnie, dla nich jedyna
 W tém jest nagroda, że w zakątku chat zapomnieni,
 Głoszą, jak na ich wieniec liście wawrzynów zbierali.
 Ja com widział i czuł nieszcześnie, opowiem po prostu:
 Lubo już snem przespanym, nazwał co się widziało.

Jednocześnie obok przekładania lekkich sztuk dramatycznych i nucenia erotycznych poezyj, Brodziński pracował nad literaturą obcą i krajową, a owocem tych badań jest Rozprawa o klasycyzmie i romantyzmie, z uwagami nad duchem poezji polskiej, zamieszczona w Pamiętniku Warszawskim z roku 1818, a która stanowi epokę, tak w literaturze naszej, jak w dalszym zawodzie Brodzińskiego.

Nigdy jeszcze literatura nasza nie była tak nieplodną jak w latach od 1795—1815 r.

Tłumaczenie Iliady Homera i Eneidy Wirgiliusza, jedna tragedia, cztery ody na ówczesne wojenne wypadki, pięć lub sześć tragedij z francuzkiego przełożonych, wyjątki tłumaczone z Delila i innych podrzędnych francuzkich pisarzy, kilkanaście bajek i śpiewów J. U. Niemcewicza: oto wszystko co napisano w przeciągu lat dwudziestu. Nad tém góruje Woronicza poemat *Sybilla* w rękopismie krążący, jego śpiewy, Assarmot i hymn do Boga. Na dole pełzają okolicznościowe prozaiczne wiersze Mołskiego. Z prozy wyliczyć można kilka mów pochwalnych i kilka historycznych rozpraw. Taki brak twórczego ducha, przypisać trzeba kilkoletniemu odretwieniu po 1795 do 1801 roku i dziewięcioletnim wojnom napoleońskim, które zagarnęły wszystkie siły umysłowe i materialne. A jednakże i te nieliczne twory utrzymały piśmiennictwo i doprowadziły je do świetniejszych czasów.

W roku 1815 zjawiają się naraz nowi poeci, Franciszek Morawski, Antoni Górecki, Kazimierz Brodziński, Kantorbery Tymowski, a wkrótce potem Józef Dyonizy Minasowicz i Bruno Kiciński. Ustało uprzedzenie przeciw językowi niemieckiemu i wszelkim plodom literackim tego ludu; zjawiają się tłumaczenia poezyj i dramatów Szyllera; tragedye Szekspira *Machbet*, *Hamlet* i król *Lir* występują na scenę, obok klasycznych tragedij francuzkich. Znajdujemy w gazetach ówczesnych zdanie sprawy o reprezentacji tychże utworów zupełnie w duchu Szlegla napisane. Wyraz *romantyczność* pierwszy raz obija się o ucho czytelników. Tragedye romantyczne, uczuciowe dramata niemieckie, więcej obudzają zajęcia, nizeli piękne ale zimne deklamacye tragików francuzkich. Ludgarda, Barbara, Gliński, Bolesław Śmiały, forma francuzkie a duchem nasze, obudzają powszechny okłask, nie

dlatego że są w formie klassyczo-francuzkiej i gładkim wierszem napisane, lecz że odpowiadają uczuciom widzów.

Już więc pojęcia o nowej szkole w poezyi nie były zupełną nowością dla ówczesnego pokolenia i nietylko nie oburzano się na nie, lecz przeciwnie z życzliwością i zajęciem przyjmowano każdy nowy utwór, oryginalny albo tłumaczony, który dawniejszą monotoność przerywał.

Nie znalazł zatem Brodziński ani uprzedzonych, ani niechętnych. Ci którym literatura romantyczna była zupełnie nową rzeczą, z podziwieniem i zajęciem spostrzegli, że odsłoniło się przed nimi nieznanne pole. Nikt nie powstał przeciw głosicielowi nowych pojęć, a jakże łatwo było jakiemu obrońcy klassyczności francuzkiej, zamieścić, czyto w tymże samym Pamiętniku, czy w gazetach, protestacyą i upomnieć czytelników aby nie chwyтали się szkodliwych nowości. Z jednej rzeczy, o której miał kiedyś mówić Brodziński, wyprowadzono wniosek że był nieuznanym i prześladowanym. Pracował wówczas w biurze Komissyi Likwidacyjnej i powiadają że został wezwany do świetnych salonów zwierzchnika swego, który pierwszy w kraju piastował urząd, a wydawane przezeń dzieła, przez wszystkich tamiecznych literatów, pod nieba wynoszone były. Tak mówi autor życiorysu Brodzińskiego pan Dominik Chodźko. Z tych wyrazów okazuje się, że tu jest mowa o Stanisławie Potockim; a że nie był prezesem Komissyi Likwidacyjnej, nie rozumiem więc dlaczego minister oświecenia Stanisław Potocki, miał wzywać podrzednego biuralistę z Komissyi Likwidacyjnej, jakim był wówczas Brodziński. Czy po to żeby mu pokazać, że nie przeczytał jego rozprawy w Pamiętniku zamieszczonej, i że ją ma za nic? Pan minister nie zadawałby sobie tej fatygi. A zresztą, literaci ówczesni umieli ocenić wartość mów i rozpraw Stanisława Potockiego, które były kompilacyą Bossueta i Flechiera, Domerona i Batteux, dawnych klassyków francuzkich. Jeszcze Dmochowski tłumacz Iliady, wytknął chociaż w bardzo delikatnych słowach, rozwlekłość i niestosowność długich ustępów w mowie Potockiego mianej w Towarzystwie Przyjaciół Nauk na pochwałę Piramowicza i rzekł: że gdyby mówca więcej pamiętał o tém, iż chwali pobożnego i wzorowego kapłana, skromnego i gorliwego pracownika w ówczesnej Komissyi Edukacyjnej i Towarzystwie Elementarnem, to jego mowa mniej świetna, o połowę krótsza, w oczach prawdziwych znawców miałaby więcej wartości. Potocki tak obraził się o tę uwagę, że namawiał pisarzy czepiających się koło niego, aby rzucali się na pisma i na osobistość zuohwałego krytyka. Odpowiedział mu na to tłumacz Iliady następującym docinkiem:

Ten dla lepszego pochwał przesadnych wywodu
Wyprowadza nauki aż z pod Carogrodu,

I długo się błakając przez kręte manowce,
Czczy gadacz, chce by wszyscy mieli go za mówcę.

Potocki aż do kresu życia nie zapomniał tych wierszy i gdzie tylko mógł szkodził Dmochowskiemu za życia, a potem jego pamięci. Ale że stał na czele Komissyi oświecenia i od niego zależał los professorów, a ci głównie składali się z literatów, nie jeden z nich przeto chciał pochwałą dzieł pana ministra, zjednać sobie jego życzliwość. Lecz zdanie Potockiego nie było powagą jak teraz tak i wówczas.

Więc podług zdania tegoczesnych pisarzy, Brodziński był prześladowanym, a jego rozprawy i poezye wywołały powszechne oburzenie. Tak też pisze p. Dominik Chodźko, który kierował wydaniem wileńskich dzieł Brodzińskiego. Dalibóg, gdybym nie żył w owój epoce, a miałem wtedy lat 18, gdybym nie czytał i nie pamiętał co mówiono o téj rozprawie Brodzińskiego i jabym uwierzył téj powszechnej gadaninie i powtarzałbym za drugimi, jak gęsi za gąsiorem: „Brodziński był nie uznany! Brodziński był prześladowany przez zapamiętałych klasyków.”

Panowie tegocześni poeci i współpracownicy do naszych pism peryodycznych, życzę wam z całego serca, żebyście tak byli nieuznani i tak prześladowani, jak był Brodziński. Nie gołe słowa i proste zaprzeczenie, lecz fakta usprawiedliwią to co mówię.

W miesiąc po ogłoszeniu rozprawy o klassycznosci i romantycznosci, Brodziński odebrał list od księdza Kamińskiego, rektora konwiktu utrzymywanego w Warszawie przez zgromadzenie księży Pijarów (1). Z ust Brodzińskiego słyszałem treść tego listu. Pisał ksiądz Kamiński, że mając do niego interes, winienby sam go pierwszy odwiedzić, ale prosi iżby przez wzgląd na jego wiek sędziwy i na liczne zatrudnienia literackie i gospodarskie, sam raczył przybyć na Żolibórz, chce mu bowiem uczynić propozycją ważną dla dobra młodzieży szkolnej.

„Poszedłem, mówił dalej Brodziński, a ksiądz Kamiński ofiarował mi posadę profesora języka i literatury polskiej, w wyższych klassach w konwikcie żoliborskim i na studyach, gdzie kształcili się młodzi seminarzyści pijarscy, a za tę pracę 3000 zł. rocznej pensyi.”

Chętnie przyjął Brodziński tę propozycją. Summa zł. 3000 zapewniała w owym czasie przyzwoite utrzymanie bezżennemu; uwolnił się od nudnej i suchej pracy biórowej i mógł wyłącznie zająć się nauczycielstwem, literaturą i poezyą. Jednocześnie został stałym współredaktorem Pamiętnika Warszawskiego

(1) Konwikt, byłato pensya mężka na wielką skalę prowadzona, w której wykładano nauki podług tego samego planu co w szkołach publicznych. Miała sześć klas, a przytém kształciła się w niej młodzież w języku niemieckim i francuzkim.

jedynego wówczas pisma literacko-naukowego. Oprócz zażyłości jaką miał dotąd z artystami i młodemi literatami, wszedł w ścisłejsze stosunki z professorami uniwersytetu i z członkami Komisji Oświecenia. Od tego czasu prace jego wzięły poważniejszy kierunek. Wypełniając to, co doradzał w swojej rozprawie, każdy swój nowy utwór kreślił na tle krajowém, a głównie na tle wiejskiém. To piętno mają jego pieśni rolników polskich, sielanki, a głównie poemat *Wiesław*, który wszyscy z najżyczliwszém sercem przyjęli. Język i poezya były głównym przedmiotem jego rozpraw, listów literackich i utworów wierszem pisanych. W pojedynczych artykułach, rozwijał i uzupełniał myśli, wyrażone w rozprawie o klasyczności i romantyczności.

Prześladowali go też za to niepoprawni, zakamieniali klasycy, *prześladowali* tak dalece, że oprócz nauczycielstwa w konwiktie pijarskim, w pół roku po napisaniu owiej rozprawy, wezwany był na współ-redaktora Pamiętnika Warszawskiego, a w rok potem na członka Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk: był to zaszczyt najwyższy, do którego wówczas mógł dojść literat. Nie dosyć na tém, w roku 1822 powierzono mu katedrę literatury polskiej w Uniwersytecie Warszawskim.

A więc, czy nie słusznie odezwałem się do was młodzi literaci, a razem sędziowie dawnych pisarzy, iż wam życzę takiego *prześladowania*, jakiego doświadczył Brodziński. Życzę wam, żebyście w trzy lata po wydrukowaniu pierwszych próbek waszych, byli professorami w gimnazyum, wkrótce potem członkami poważnych towarzystw naukowych, a w pięć lat, jak to było z Brodzińskim, zajęli katedry uniwersyteckie. A za te życzenia proszę was o to jedynie, żebyście sami badali literacką przeszłość naszą i nie byli ślepém echem zdań, chociażby przez najsympatyczniejsze usta wyrażonych.

Gdy mówić będę o głównych pismach Brodzińskiego, wrócę jeszcze do tej rozprawy, a teraz powiem jeszcze o jego charakterze i sercu.

III.

Brodziński unikał wszelkich sporów literackich, wszelkich osobistych zaczepiek. Wynurzał zdanie swoje otwarcia, po prostu, ale nie obrażał nikogo; szanował sądy i upodobania przeciw którym walczył, lecz pamiętał o tém, że to co dwa lub trzy pokolenia zajmowało, unosiło, nauczało, musi mieć jakąś dobrą stronę, którą wykazać i uszanować należy. Czuł, że chcąc całą epokę i całą klasę pisarzy, jako śmieszna i niedorzeczna wystawić, nie osiągnąłby celu i bezpotrzebnie narobiłby sobie nieprzyjaciół. Rozsądek zatem i wrodzona dobroć, kierowały piórem Brodzińskiego, i zrzędziły że miał mnóstwo życzliwych, kilku doświadczonych

przyjaciół, lecz ani jednego nieprzyjaciela i przeciwnika. Jak dalece wszystkie spory i docinki były mu przykre, miałem tego osobisty dowód. W roku 1820, w maju, my młodzi literaci umyśliwszy sobie wspólnym kosztem wyprawić obiad literacki, posłaliśmy Brodzińskiemu zaproszenie wierszem częstochowskim napisane, w którym każdy wiersz był płodem jednego z nas, a wszystko, nawet podpisy, złożyły się do rymu. I adres na kopercie był także rymowany.

Do Wielmożnego Brodzińskiego
Pamiętnika Warszawskiego
Zaonego Współ-Redaktora,
I Poezyi Professora.

Mieszka ten Poeta
Przy ulicy Freta.
Wszedłszy w kamienicy wnętrze
W podwórzu na pierwszym pięttrze.

Brodziński przeczytawszy ten dziwaczny i śmieszny adres, obawiał się, czy w samym liście nie wyczyta jakiej nieprzyjemności. Nie chciał go otworzyć, aż dopiero kiedy posłaniec powiedział że przychodzi od hr. Kicińskiego, przeczytał, rozśmiał się i przybył.

„Przy obiedzie opowiadał nam, jak na niego obraził się pseudo-pisarz ówczesny, pan major Kasperowski, za to, iż mu bardzo delikatnie odradzał, aby swoich żalów Elwiry nie drukował; jak zmierzywszy go dumnym wzrokiem, rzekł:

Pan Osiniński ocenił i pochwalił pracę moją, dosyć mi na tém”, i wyszedł. Nie był zdolnym Brodziński do walk i utarozek piśmiennych. W 1830 r. gwałtowna i niesprawiedliwa krytyka jego rozprawy o Exaltacyi i Entuzyazmie, tak go zmartwiła i zraziła, że zniszczył wydrukowany już w połowie drugi tom swoich pism prozą i zaprzestał dalszego wydawania. Był przytém chętny, usłużny i życzliwy każdemu literackiemu przedsięwzięciu. Żadnemu nie odmówił swego udziału; we wszystkich owoczesnych dziennikach literackich, umieszczał swoje prace, chociaż za to żadnego nie odbierał wynagrodzenia. Uczniowie uniwersytetu i poczynający pisarze, doznawali jego opieki, między innymi wymienię Konstantego Gaszyńskiego. Pani Hoffman podała myśl do powieści o Janie Kochanowskim. W licznym zbiorze jego ulotnych poezyi, nie znalazłem epigramatów ani satyr; prócz jednego wiersza o generale Fr. Morawskim, wywołanego oburzeniem na niesprawiedliwość, której dopuścił się ten poeta, gdy sztydząc sobie z mnóstwa miernych wierszopisów, powstał przeciw znakomitemu poecie Antoniemu Góreckiemu.

W towarzystwie, Brodziński był pożądanym gościem, nie słynął żartobliwym i złośliwym dowcipem jak Ludwik Osiniński,

lecz umiał obudzić zajęcie i współczucie. Niekiedy przytoczył jaką powiastkę, której przedmiotem był, tak mu ulubiony lud wiejski. Malował jego dobroduszną i prostotę. Pewnego razu, mówił, włościanie zobaczyli dziwne jakieś zwierzę, wychodzące z lasu, w jego rodzinnych nad-Karpackich siołach, które zapewne z gór wypłoszone zostało. Nikt nie wiedział coby to było za stworzenie. Zawołali więc jednego, który zawsze za mądrą uchodził. „Patrzcie-no Bartłomieju, rzekli, co to takiego chodzi nad brzegiem lasu, a teraz usiadło, i znowu się rusza? patrzajcie! patrzajcie!”

Mądry Bartłomiej spojrzął raz i drugi, rozśmiał się i rzekł: „Oj głupi, głupi i wy się dziwujecie?—A juzci, bo cóż to jest?—I cóż ma być? Oto coś zkądś gdzieś po coś przyszło i gdzieś tam dokądś idzie i oni się głupi dziwują”. Po takiej odpowiedzi nacisnął czapkę na głowę i poszedł sobie. „Czyliż do takiego Bartłomieja nie są podobni ci, którzy niezrozumiałe i szumne frazesa objaśniają, tak samo czczemi i niezrozumiałemi wyrazami,” mówił Brodziński. Oto jeszcze jedna powiastka: Ojciec wraz z synem dorostkiem zawołani zostali na sprawę do dworu. Syn wrócił pierwój, a matka zapytała się: „A cóż, czy tatusio wygrali sprawę?—O wygrali, matusiu, z kretesem wygrali, odpowiedział chłopiec.—A czemuż z wami nie powrócili?—Bo jeszcze mają w skórę dostać, a jak dostaną to zaraz wrócą.”

Takie to wyobrażenie miał lud wiejski o sędzie i sprawiedliwości dworskiej, że każda sprawa, zła czy dobra, musiała kończyć się na batach.

Parę godzin taniego wista, zwanego przez nas professorskim, bo już nikt taniej nie grywał, a wolnego od tych wszystkich przydatków, jakimi go teraz w grę kosztowną i półhazardową zamieniono, przepłatanych pogadanką, były zwyczajną Brodzińskiego rozrywką; potem, wróciwszy do domu, zajmował się pracą naukową, do późnej nocy.

Jak tylko został członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zaraz, chociaż jeden z najmłodszych, chciał wlać nowy ruch i życie w tę instytucję, która chociaż szanowana i nieskazitelna, za mało była czynną i nie wywierała wpływu na piśmiennictwo. Po większej części przyczyniły się do tego wpływy nie od niej zależne i nieufność, którą w wyższej sferze przeciw niej obudzano. Brodziński przedstawił Towarzystwu Przyjaciół Nauk uwagi nad mowami pochwalnemi, wygłaszanemi na publicznych posiedzeniach; wyłożył potrzebę wydania krótkiego rysu literatury polskiej dla szkół, dykcyonarza pisarzy naszych, dzieła obejmującego zwyczaj, obrzędy, pieśni ludowe, którą to myśl podjął Łukasz Gołębiowski i wydał, korzystając bardzo wiele z zapisów księdza Kitowicza, cztery tomy: Lud Polski, Ubiory, Domy i Dwory, Gry i Zabawy. Brodziński zajmował się także tym przedmiotem w ostatnich dwóch latach życia swego, a mate-

ryały przez niego zebrane, należec będą do zupełnego zbioru pism jego.

Ze wszystkich pisarzy naszych, Brodziński odznacza się największą pracowitością. Co innego jest posiadając łatwość pisania i żywą imaginacyą, kreślić liczne tomy powieści, zarysów albo chwilowych wrażeń, a co innego pisać rozprawy i wykłady, które są plodem długich i gruntownych badań, tak iż do napisania kilku, lub kilkunastu kart, potrzeba kilkanaście, a może i więcej dni czytania, porównywania i namysłu. Dzieła Brodzińskiego, jeżeli kiedy wydane będą, zajmą przynajmniej dziesięć tomów, każdy po trzydzieści arkuszy ścisłej i wielkiej osemki. W tej liczbie poezye i lekkie dramatyczne sztuki, zabiorą najwięcej tomów dwa, reszta składać się będzie z wykładu literatury i estetyki, z życiorysów, z pojedynczych rozpraw, z synonimów, z wykładu o wymowie, z kursów o stylu, o języku naszym, o pisowni i nareszcie z uwag filozoficzno-literackich. Wszystko napisał Brodziński w ciągu lat dwunastu od 1818 do 1830 r.

W ostatnich latach życia nie wiele do nich przydał, z powodu coraz bardziej wzmagającej się choroby, która go przedwczesnie w sile wieku wtrąciła do grobu.

W wspomnieniach swoich pisze Brodziński, że od samego urodzenia miał wątłe zdrowie, które wzmocniło się nieco, przebywaniem na świeżem wiejskiem powietrzu i zabawami z dziećmi wieśniaków. Trudy kampanii 1812 roku, a głównie jak to sam powiadał, przeziębienie w czasie odwrotu i przeprawy przez Berezynę, bardzo mu zaszkodziły; potem z nieposkromionym zapalem wziął się do pracy i cały czas aż do późnej nocy na czytanie i pisanie poświęcał: czego dowodem jest rozprawa o klasyczności i romantyczności, będąca owocem tych studyów. Wykład literatury w uniwersytecie Warszawskim rozpoczął 10 października 1822 r. a ukończył go z końcem roku uniwersyteckiego w lipcu 1823. Lecz nie dosyć na tém, w tymże czasie 1821 i 1822 roku, zamieścił w Pamiętniku Warszawskim, jak to widzimy w spisie jego pism umieszczonym powyżej, dwadzieścia cztery artykułów oryginalnych i tłumaczonych, między któremi jest kilka większej objętości. Było to olbrzymie wysilenie, które wywarło zgubny wpływ na jego zdrowie; zaczął doznawać pierwszych symptomatów słabości piersiowej. Na wiosnę roku 1824 pojechał do Szwajcaryi i do Włoch; następnie zwiedził Paryż, a na Frankfurt, Drezno i Wrocław, wrócił do kraju. Podróż ta przyniosła pożądaný skutek, przez kilka lat był zdrowym. W roku 1826 został mianowany sekretarzem uniwersytetu Warszawskiego i razem pełnił poprzednie obowiązki profesora literatury i estetyki. W tymże roku 1826 zaślubił pannę Wiktoryą Holly córkę obywatela ziemskiego.

Pod względem stosunków rodzinnych i majątkowych, wiódł Brodziński życie spokojne i szczęśliwe. Przywiązanie żony i przyjaźń kolegów, miłość uczniów, poważanie powszechne, za-

pewniało mu taki udział w szczęściu ziemskim, do jakiego wszyscy wdychamy. W r. 1831 po zamknięciu uniwersytetu otrzymał emeryturę i miał zapewniony sobie byt materyalny, jednakże nie przestawał zajmować się pracami literackimi, a głównie Redakcją Magazynu Powszechnego i przekładem Historii Starożytności i Nowego Testamentu. Był coraz smutniejszym, coraz słabszym. Wywiązała się mu na łopatce jakaś narośl, jak słyshałem początkowo z upadnięcia pochodząca, a potem zamieniła się na wrzód twardy bolejący, który wzrastał coraz bardziej i pochłoniął wszystkie siły żywotne. W r. 1835 wyjechał do wód dla poratowania zdrowia; lecz bezskutecznie, i dokonał życia w Dreźnie, dnia 10 października tegoż roku.

Pocieszycielem Brodzińskiego w ostatnich chwilach życia, był znakomity nasz poeta i tłumacz Antoni Edward Odyniec. W ówczesnych dziennikach i w krótkiej wzmiance o życiu i pismach Brodzińskiego znajdującą się w wydaniu wileńskim, w tomie 10, roku 1844, skreślony jest obraz ostatnich chwil nieodżałowanego poety, zawarty w liście do pani Katarzyny Lewockiej, jednej z najzażyłszych przyjaciółek obojga Brodzińskich. Przytaczam go, jako niezbędne dopełnienie tego zyciorysu.

z Dreznia.

„Dopełniając przypadłego na mnie obowiązku, przebacz Pani, iż ją jako bliską znajomą i przyjaciółkę rodziny Kazimierza z Królówki, za pierwszą powierniczkę smutnej wiadomości obieram. Podobało się Bogu wezwać do siebie po nagrodę w lepszym świecie, sprawiedliwego i cnotliwego człowieka. Zaczny Kazimierz skończył ziemskie cierpienia i smutki dnia 10 października, w sobotę o godzinie 10 wieczorem (w rocznicę urodzin swęj córki), a skończył tak spokojną, tak łagodną śmiercią, iż ja, świadek jego skounania, ze czią patrząc na niego w tęg uroczystęj godzinie, żałować go nawet nie śmiałem, i tylko sobie samemu podobnej kiedyś śmierci życzyłem. Kto tak jak on żył i umierał, ten, nie godzi się wątpić, jest już tam od nas szczęśliwszy! Ale czuję aż nadto, że chyba sam Bóg pocieszyć zdoła zacząną jego żonę i dziecię. Wiadomość o tęg, zawsze dla nich równie bolesna, mogłaby stać się jeszcze bolesniejszą, gdyby się jég niespodzianie lub z obojętnych ust dowiedziéć miały. Możesz ich Pani jak najsumiennięj zaręczyć, że co tylko sztuka i troskliwość lekarzy i przyjaciół uczynić mogły, wszystko to było użyte, aby go przy życiu utrzymać i stan jego cierpien osłodzić! Ale któż się woli Boskiej sprzeciwi?! Choroba jego wolną była od wszelkich gwałtownych boleści, powolne tylko ubywanie sił życia, postępn jég oznaczało.”

„Spokoyność i łagodność duszy i charakteru, nie odstąpiły go ani na chwilę; z pokorą i zaufaniem oddawał się woli Bożęj.

O żonie i córce wspominał często i zawsze, z największą czułością; ale gdy mu niektórzy radzili, aby je przyzwał do Drezna, nigdy na to zgodzić się nie chciał. Owszem, w wigilię śmierci odebrawszy list od żony która go sama o to prosiła, polecił mi być odpisać w jego imieniu, prosząc jak najusilniej, aby tego zamiaru nie przyprowadzała do skutku. Uspokój ją więc panie w tym względzie ażeby się tą myślą nie dręczyła daremnie. Bytność jej tutaj nieby nie pomogła, a byłaby przeciw woli jego. Ostatnia moja z nim rozmowa była o paniach Teressie i Natalii Kickich, które jak mi powiadał, żona jego w listach swoich Aniołami swymi nazywała. Z czułością przypominał ich dla siebie zyczliwość i przyjaźń, i chociaż tak blizkiej śmierci nie przeczuwał, mówił jednakże: „Gdyby mi tu nawet skończyć przyszło, umierałbym z tém przekonaniem, że byłyby zawsze pociechą i opieką mojej biędnej żony i dziecka.” Te są prawie jego własne słowa, ile przypomnieć mogę: przesyłam je jako spuściznę po prawdziwym ich przyjacielu. W wigilię śmierci uczuł się weselszym i swobodniejszym, niż kiedy. Drzemiąc napół w nocy, miał bardzo piękne widzenie, o którym sam z wielkiem wzruszeniem powiadał i które mu wielką radość i spokojność przyniosło. Widział przed sobą Zbawiciela w białej szacie, który uśmiechając się łagodnie, ręce ku niemu wyciągnął. Widzenie to, list żony, którym mu o troskliwości przyjaciół doniosła, były osłodą ostatnich chwil jego. Z wdzięcznością dziękował Bogu i umarł z zaufaniem, że Bóg i przyjaciele nie opuszczą osieroconej rodziny i pocieszać ją będą. Pokój duszy sprawiedliwego! Oby tylko pokój i pociechę Bóg wlać raczył w duszę bolejących po nim. Pogrzeb odbył się dnia 12 października. Wszyscy znajomi oddali mu ostatnią posługę.”

A. E. O.

Wkrótce po odbytych pogrzebie, wznosił się staraniem przyjaciół wśród cmentarza katolickiego, na przedmieściu drezdeńskim Fridrichstadt, nad mogiłą zesłego, skromny pomnik, w kształcie czworogrannej kolumny wkoło u spodu granitowemi obłożonej kamieniami, z tym prostym przez A. E. Odyńca skreślonym napisem:

Kazimierzowi
Brodzińskiemu ur. 1791
† 1835 paźd. 10.

Została po Kazimierzu Brodzińskim wdowa, która tylko lat kilka zgon męża przeżyła, i jedyna córka, siedmioletnie dziecię. Opiekunem jej był znany i powszechnie poważany z szlachetności i ludzkości, doktor Wilhelm Malcz; osierocona córka Brodzińskiego chowała się razem z jego rodziną aż do 19 roku życia. Zachowała w pamięci wrażenia lat dziecińczych i z jej wspomnień zamieszczam kilka szczegółów.

„Przenieśliśmy się na ulicę Graniczną. Ojciec nie mógł mną się nacieszyć, i pieścił niesłychanie. Czasem wyprowadzał mnie na przechadzkę około klombu i chlubił się córeczką, którą się wszyscy zajmowali.

„Przychodzi mi na myśl ta uwaga, że osoby dużo umysłowo pracujące, prawdziwie cenią chwilę zabawy i całym sercem jej się oddają. W Mniszewie majątności Dra Malecza, professor Janicki i mój ojciec przyjechawszy na chwilę wypoczynku ścigali się, huścili i bawiło mnie że oni starsi tak swawolą jak małe dzieci.

„Nadeszły 23 grudnia 1834 roku mojej matki imieniny. Ojciec z miasta przez Antosię przysłał mi powinszowanie, którego Kazia mię nauczyła. Wszyscy unosili się nad niem, lecz ja go nie pamiętam.

„Dnia tego byłam świadkiem zdarzenia, które silne wrażenie na mnie zrobiło. Matka stała w sypialnym pokoju przy swoim stolyczku, gdy wszedł ojciec i prosił by wzięła od niego 800 złp. na kupienie futra. Była to płaca za redakcyę Magazy-nu Powszechnego. Matka na to rzęwnie się rozplakała, pieniądze przyjęła, ale jak zwykle mało myśląca o sobie, nie kupiła futra, używaja je na codzienne potrzeby w krytycznych chwilach.

„Stan ojca się pogorszał, narość rosła, odwiedzali go znajomi i przyjaciele tém zatrwozeni. Nakoniec było konsylium; kto był nie pamiętam, ale mówiono długo o potrzebie operacyi. Na tę nie chciał się ojciec zgodzić, jako słaby i delikatny. Lebrun był téż wezwany. Stanęło więc na tém, że pojedzie za granicę do Saltzbrun a potem do Karlsbadu. Matka widąc dostrzegłszy moje wrażliwe usposobienie na to wszystko, wyprawiła mnie z domu i to co wiem, przypadkowo słyszałam. Zresztą i ona tak słaba potrzebowała spokoju. A ja dotąd używałam życia bez troski o jutro! Przez myśl mi nie przeszło, żebym mogła ojca stracić, bo moje wyobrazenie o śmierci było stosowne do wieku. Zresztą łatwo każdy pojmie, przerzucając kiedyś te kartki, że one są wierném odbiciem wrażeń dziecka. O! jakże krótko to szczęście trwało. Stań się wola Twoja Boże!

„W jeden piątek o 11ej rano zajechał powóz opakowany. Ojciec ucałował serdecznie zanoszącą się od płaczu kochaną żonę, przytulił do serca ukochane jedyne dziecko... było to po raz ostatni... szybko zbiegłszy po wschodach, skoczył do powozu i odjechał... aby nie powrócić do ukochanych istot.

„W codzienném zyciu nic nowego nie zaszło, prócz powiększającego się smutku i oczekiwania listów ojca, które były rzadkie i szły długo przy dawnych pocztowych urządzeniach. Gdy takowy przyszedł, matka udzielała wszystkim szczegóły, i mówiono o nim, póki drugi nie nadszedł.

„Jeden tylko pisany z Karlsbadu, chwilowo pocieszył i wiał w serca nasze mylną nadzieję i to na krótko! Guz czyli owa straszna narość rozeszła się po ciele, poczem ojciec czuł się jakiś czas dobrze; wówczas napisał wesoły list, ciesząc się że odzyskał

apetyt i załuje że mnie tam nie ma, abym pomogła zjadać dobre ciasta. Wszystko co dobre to trwa krótko, albowiem potem przez dłuższy czas listu nie było. Matka w ciągłych była oczekiwaniach; czyniła przypuszczenia, które przoczuwało jej kochające serce. Nadszedł 10 października i poraz pierwszy dowiedziałam się że to moje urodziny. Miałam dziwny sen o ojcu, muszę go szczegółowo opisać. Na podwórzu pałacu Kazimierowskiego wjechał szybko powóz, stanął przed naszymi drzwiami, ojciec z pośpiechem z niego wyskoczył, rzuciwszy wzrokiem w nasze okna wbiegł do sieni.... Tu niestety obudziłam się i wszystko się przewrało... był to dzień śmierci ojca... Czyliżby duch opuszczający ziemię chciał nas pożegnać? Sen ten wielkie sprawił wrażenie na matce, której go opowiedziałam, a do tego ponury dzień jeszcze bardziej pobudzał do smutku."

Najstosowniej zakończę ten zarys życia Kazimierza Brodzkiego powtórzeniem elegii pana A. E. Odyńca, napisanej na uczczenie jego pamięci. Wiersz ten godzien jest, i nieodżałowanego śpiewaka Wiesława, i autora Barbary i Felicyty.

Błogosławiony człowiek mędrzec chrześcijański,
I wieszcz, ofiarnik prawdy! gdy go w niej duch Pański
Oświeca przez natchnienie, a przez miłość budzi
Głosić ją, nie dla sławy, lecz dla dobra ludzi!

W tém ci błogosławieństwie pokój Kazimierzul
Myśl twoja zawsze z sercem, duch z niebem w przymierzu,
Wiodły kolej dni twoich cichym, czystym zdrojem,
Ślad ich znacząc zasługą, a darząc pokojem,
Ażes stanął śród ziomków i w ich wieszczów gronie,
Wzorem w czynie i w pieśni, w życiu i przy zgonie.

Tak! w tobie spłynął w jedno duch pieśni ojczyściej,
Duch rycerski, rolniczy, bogobojny, czysty;
Ten sam zawsze w swęj prawdzie, śród różnych barw czasu,
W Niemcewiczu, w Karpińskim, w Janie z Czarnolasu.
A tyś tych patryarchów nieodrodnym synem:
Co śpiewał, to czuł szczerze; co rzekł, stwierdził czynem.

Znałem tych, coć widzieli śród gradów kartaczy;
Widziałem cię, jak mistrza tysięcy słuchaczy.
Słuchałem cię, jak brata dojrzałego wiekiem,
Gdys śmiało i swobodnie był tylko człowiekiem.
Widziałem, gdys piastując twe dziecię jedyne,
Tulił je, nućąc do snu, piosenki matczyne.
A zawsze tenże pokój siły tajemniczój,
Zawsze też skromność oka, ten uśmiech słodczy,
Ta niepamięć o sobie, ta ufna prostota!
Bo zawsze też myśl, serce, też prawda i cnota.
Lecz to wszystko zaświadczy tysiące ust bratnich,
Bóg i jam tylko świadek chwil jego ostatnich!
I z dawna już ślub święty wiąże moje chęci,

Przekazał je do skarbcu ojczyźstėj pamięci,
 By obok pieśni jego, potomność daleka
 I z śmierci w nim, jak z życia, poznała człowieka.
 Nie raz w życiu, powiernik przyjacioł mych bliźszych,
 I w sercach ich najtkliwszych i w myślach najwyższych,
 Widziałem, jak z cierpieniem łamali się duchem;
 Jak kamienném wytrwaniem, lub siły wybuchem,
 Tępili lub kruszyli bijące w nich groty:
 Lecz tak cichėj, tak słodkiej, pokornej tęsknoty,
 Tak świętej uległości woli Ojca w niebie,
 I tak chrześcijańskiego zapomnienia siebie,
 Zjakiemi on trwał mężnie w smutku i boleści,
 Ni z przykładu nie znałem dotąd, ni z powieści.

A przecież ciężkie były boleść i żałoba!
 Z wieszczego znać przecucia, był on pieśń Hijoba
 Wytłumaczył przed laty, jakby w niej dla siebie
 Źródło męztwa i siły zgotować w potrzebie.
 To też cierpiał i znosił jak ów nędzarsz Pański,
 Jak ów Baranek, symbol siły chrześcijańskię;
 Aż dobry Pasterz ujrzał ozdobę swęj trzody,
 I snać przyszedł, by sam ją zanieść do zagrody,
 Jak stokroć brał przed wieki i bierze na ręce,
 Bohatersko-męczeńskie dusze i dziecięce.

Zbliżała się godzina, a jako gdy słońce
 Schyla się do zachodu, wiatry w dzień wiejące
 Ucichają, a ono swe blaski promienne
 Wciąga zda się w głąb siebie, na spocznienie senne;
 Lecz nim zgaśnie, raz jeszcze w pełni majestatu,
 Nieśmiertelne swe jutro zapowiada światu:
 Tak dusza chrześcijańska, przed ostatnią próbą,
 Ucisza się w pokoju, i jakby chcąc z sobą
 Zabrać i unieść wszystkie swe cnoty na ziemi,
 Wsiąka je, i nie wiedząc promienieje niemi.
 Tak był on. Obmytemu u pokuty zdroju,
 Bóg snać wlał taką słodycz wewnętrznego pokoju,
 I tak podniósł go w duchu, że z tej wysokości
 Stanął przed nim zarazem i obraz przeszłości,
 I nadzieja błękitną przyszłość odsłoniła.
 Czuł jej blask, lecz nie myślał, że to wieczność była.
 I ufny, z pełni serca, przed okiem przyjaźni,
 Rzucił w nią, jakby resztę gwiazd swęj wyobraźni:
 A wszystkie były tylko iskry lub odbicia
 Jednej, stałej, słonecznej przewodniczki życia,
 Miłości: Boga, kraju, ziomków, towarzyszy,
 I domowej rodziny i wiejskiej zaciszy;
 Gdzie wrócić, którym jeszcze błogosławić, służyć,
 Chciał w życiu, które mniemał, że Pan chce przedłużyć.

Lecz Pan inak rozrządził, i sam mu swą wolę
 Obwieścił: nie przez trwogę śmierci, nie przez bole,
 Nie przez strach nawet sądów swych i majestatu:
 Lecz jak wstępował w niebo, błogosławiąc światu,
 Jak stokroć schodził z nieba na męczeńskie dusze,
 By je wzmódz duchem swoim nad śmierć i katusze,
 Tak zszedł snąć i ku niemu. Z jasnym włosem młodzian,
 Z promieniejącem czołem, śnieżną szatą odzian,
 Stanął przed nim w widzeniu, i skinieniem ręki,
 Wskazał drogę ku niebu, palmę życia męki (1).

I on uznał znak Pański! i jakby Anieli
 Na straży mu u serca i myśli stanęli,
 Taki pokój tchnął w liou, taka w oku radość,
 Że nawet w onej chwili, gdy już śmierci bladeść
 Zwiastowała jej przyjście; gdy na łup jej ciało
 Skazane, snąć w jej rękę, konwulsyjnie drgało,
 A skroń jego stygnącą, jako marmur biały,
 Usta już tylko moje i łyzy ogrzewały:
 Że nawet w onej chwili, którą widząc człowiek,
 Drży tylko albo płacze: z pod gasnących powiek
 Lśnił jakiś taki promień, taki blask weselny,
 Tak się dawał czuć tryumf duszy nieśmiertelnej,
 Taka pewność, że żyje i idzie do Boga,
 Że grzechemby się zdały litość albo twroga;
 I tom jedno czuł tylko w głębi serca mego,
 Jak dobry Pan! jak słodka śmierć sprawiedliwego!

IV.

Pisma wierszem Brodzińskiego obejmują oryginalne poezye i tłumaczenia. Jużesmy dali poznać czytelnikom pierwsze próby z młodocianego wieku Brodzińskiego. W ostatnich miesiącach 1814 roku, okazuje się talent jego w zupełnym rozwoju. Po wierszu na cześć pamięci księcia Józefa Poniatowskiego, napisał *Pieśni rolników polskich*, zalecające się prostotą i rzewnym uczuciem; *elegią* obejmującą gorzkie lecz sprawiedliwe wyrzuty tym ziomkom z wyższej klasy społeczeństwa, którzy kształcą dzieci swoje wyłącznie w obcych językach; *kilka poezyi* czytanych na obrzędach wolno-mularskich, jakoto: *Pogrzeb przyjaciela* i *Hymn do radości* drukowane w zbiorze jego poezyi z roku 1821, z pominięciem znaków i formuł używanych w loży. W zbiorze nie wydanych jego poezyi jest także kilka w tym rodzaju utworów, które przygotował do druku, jakoto: *Zakon prawdy*, *Potęgą oświaty* i t. d.

(1) Widzenie to miał Brodziński w nocy poprzedzającej dzień śmierci, i sam nie był dość pewny czy to było na jawie czy we śnie.

Wszystkie odznaczają się duchem filozoficznym, którego podobno żaden ówczesny poeta nie posiadał, prócz Woronicza, wzniostym duchem filozofii religijnej natchnionego.

Na dowód przytaczam kilka myśli:

ŚWIATŁO I CNOTA.

Próżno na piasku ktoś ziarno rozsiej,
 Zła ziemia nic nie urodzi:
 Na żyznym gruncie każde źdźbło zmarnieje
 Tam, gdzie słońce nie dochodzi.
 Tak próżne światło tam gdzie nie ma cnoty,
 Próżna cnota wśród ciemnoty.
 Szczęsny! kto światło łącząc przy rozumie,
 Jedno z drugim złączyć umie.

TRZY DZIEDZICTWA.

Śmiertelny! póki siły, póki życia stawa,
 Strzeż się stracić trzech dziedzictw: światła, wiary, prawa,
 W nich wszystka twoja wielkość zasługi i cnoty;
 Bez nich zgubi cię przemoc, przesąd i zgryzoty,
 Opiekuj je więc w sobie, wzmacniaj siłą męzką,
 A kiedyś zatknie ludzkość chorągiew zwyciężką.

Po ukończeniu druku Słownika Polskiego, złożono składkę i ofiarowano jego autorowi, Samuelowi Bogumiłowi Linde, medal złoty, jako zawdzięczenie za jego olbrzymią pracę. Brodziński napisał wiersz z tego powodu i czytał go na tej uroczystości.

Podobnymże medalem uczczono ks. Onufrego Kopczyńskiego, ośmdziesięcioletniego starca, autora pierwszej rozumowanej grammatyki polskiej. Na tym literackim obrzędzie znajdował się także Brodziński i ozdobił go swoją poezją. W tych obudwóch utworach, znajdują się poetyczne obrazy, a tém miłsze, że znalazły odpowiednie echo w sercach słuchaczy.

Są z tej epoki lat młodych, różne poezye Brodzińskiego, do różnych osób i z rozmaitych powodów napisane. Myśl zdrowa i szlachetna, prostota i piękność wystowienia, są ich zaletą i to jest główne znamię wszystkich poezyj Brodzińskiego.

Jednocześnie zapoznawał ziomków swoich za pośrednictwem Pamiętnika Warszawskiego z poezjami Szyllera i przełożył kilka jego ballad i poezyi filozoficznych. Herder zwrócił był uwagę Niemców na poezye Słowian południowych, i wskazał, że one są dla nowożytnej poezyi bogatym źródłem; a Wacław Hanka literat czeski, wynalazł stary rękopism pergaminowy przysypany gruzami na strychu wieży w zamku Królo-dworskim: były to najdawniejsze zabytki poezyi czeskiej Brodzińskiego; niezwłocznie przetłumaczył wierszem kilka śpiewów serbskich i morlackich a poe-

zye czeskie z rękopismu Królo-dworskiego przełożył prozą i umieścił je w Pamiętniku Warszawskim. Aż do ostatnich dni życia, zajmował się tłumaczeniem pieśni słowiańskich i znaczną ich część drukował w pismach czasowych; kilkanaście zostało nie wydanych. Na wzór takich piosnek tworzył własne.

Przytaczam jedną nigdzie jeszcze nie drukowaną:

DO GRABARZA.

Bośkiej roli gospodarzu,
Kopcie doły mój grabarzu;
Lecz nie blisko tój mogiły
Gdzie się chyli krzyż drewniany,
Bo tu mój spoczywa miły
Kwiatczkami osypany.
I mnie tutaj w wieku kwiecie,
Obok niego pogrzebiecie,
Bo mnie jemu dać nie chciano,
Ześmy nie byli równemi;
Teraz równe nasze wiano:
Z nim podzielę łokieć ziemi,
I będziemy bogatemi.

Najznakomitszym utworem Brodzińskiego jest Wiesław poemat sielski. Stanowi on epokę w poezyi, tak jak rozprawa o klasycyzności i romantyczności, w naszych pojęciach o literaturze. Wiesław i inne sielskie utwory Brodzińskiego były wzorem dla Syrokomli, Lenartowicza, Pola. To, co w teorii wykladał o duchu właściwym naszej poezyi, wynikającym z naszego charakteru i obyczajów, oddał w żywym obrazie w Poezyjach swoich. Zestawmy razem Wiesława, Pobyt w górach Karpackich, Dumanie pisane na Alpach w powrocie do kraju, wiersze na uczczenie pamięci zasłużonych krajowi, pieśni sielskie rolników, i inne jeszcze, tu i owdzie porozrzucane, a przyznamy Brodzińskiemu miejsce w rzędzie najznakomitszych poetów naszych; miejsce, którego mu chcą zaprzeczyć niektórzy terażniejsi krytycy, może zbyt wybrydni i tylko jednostronnie zapatrujący się na poezją.

Obrazem drugiej strony społeczeństwa naszego, byłby wspomniony powyżej dwór w Lipinach, gdyby nawał prac naukowych i coraz to słabsze zdrowie autora, nie były mu stanęły na przeszkodzie.

Brodziński, z przyrodzenia swego łagodny, serdeczny, rzewny, nie był zdolny do gwałtownych uniesień, kochał tylko, ubolewał, upominał. Był więc śpiewakiem czystej miłości rodzinnej, cnót domowych i prawd moralnych, z żadnym porywem namiętności nie pomieszanych. Styl jego poetyczny, nie ma tój mocy i śmiałości, jaką w kilku późniejszych poetach znajdujemy, lecz pełen jest malowniczych i do serca przenikających obrazów i myśli;

nie ma w niem owego wygładzenia i deklamacyi, owych brzmiających ale już zużytych epitetów, któremi odznaczały się poezye oryginalne albo tłumaczone Osińskiego, Morawskiego i młodszych naśladowców dawniej szkoły; lecz za to przypomina styl Jana Kochanowskiego, podniesiony bogactwem myśli i wydoskonaleniem języka.

Brodziński zamieścił Wiesława swego, najprzód w Pamiętniku Warszawskim w r. 1820 pod skromnym tytułem: „Sielanki Krakowskié”, a potem w roku 1821 w zbiorze poezyi swoich wydanych nakładem N. Glücksberga.

Pamiętnik Warszawski jedyne w owym czasie pismo literackie nie mogło zamieścić rozbioru ani sprawiedliwej pochwały poematu swego współredaktora. Dwie ówczesne gazety nie umieszczały żadnych sprawozdań literackich, prócz recenzyi sztuk teatralnych. W roku 1822 w gazecie literackiej, jest bezimienna recenzya zbioru poezyj Brodzińskiego wydanych przed rokiem. Recenzent głównie zwracał uwagę na pojedyncze wyrażenia, które mu się nie podobały, a zamilczał o duchu poezyi autora; przytaczał obszerny wyjątek z przekładu pieśni Ossyana, a o Wiesławie powiedział zaledwie kilka wyrazów. W 1821 w Tygodniku dla pteci pięknej przeznaczonym, a mającym tytuł *Wanda*, umieściłem następujące uwagi nad poezyami Brodzińskiego:

„Już od lat kilku, Kazimierz Brodziński zwrócił na siebie uwagę czytającej publiczności, przez różne ulotne poezye, przez tłumaczenie kilku sztuk teatralnych, przez obszerną i gruntowną rozprawę o klassycznosci i romantycznosci. Poezye jego z upodobaniem czytano; tchną bowiem prostotą i czułością, wolne są od upowszechnionego naśladownictwa szkoły francuzkiej i noszą na sobie odrębną cechę poezyi narodowej, którą autor nadał im przez przejście się duchem i sposobem wyrażania się naszych starożytnych pisarzy, oraz przez znajomość literatury słowiańskiej. Zdołał Brodziński szczęśliwie złączyć smętność i filozoficzność pisarzy niemieckich, z prostotą i szlachetnością języka naszego. Prace swoje rozrzucone po wielu pismach peryodycznych, w jednym zbiorze wydać umyślił. Ich tom pierwszy już wyszedł na widok publiczny. Obejmuje on po większej części już znane i niektóre dotąd drukiem nie ogłoszone poezye. Czytając je, tém łatwiej postrzedz możemy te zalety, o których wyżej wspomniałem. Czytelnik bowiem przejmując się duchem autora i tém więcéj smakuje w jego stylu, tak różniącym się od stylu w modzie będącego, a którego głównym znamieniem jest gładkość, może aż do zbytku posunięta. Przyjaciele wykształconego i poprawnego rymowania, mogą Brodzińskiego obwinić, że w jego pismach zaniedbanie czasem widzieć się daje; lecz za to, iluż pięknościami nie wynagradza tego uchybienia! Śmiały jest Brodziński w tworzeniu nowych wyrażen, w bardzo wielu szczęśliwy i największa ich część pomnoży skarby naszego języka. Z poezyi umieszczonych w pierwszym

tomie, na szczególniejszą uwagę zasługują Legionista, Oldyna, sielanki galicyjskie, Dumania nad grobem, Żal matki, Barraton poemat Ossyana, a mianowicie Wiesław sielanka Krakowska w pięciu pieśniach, w której z niewypowiedzianym wdziękiem maluje nam autor zwyczaj naszego wieśniaków.

W roku 1824 nie było żadnego literackiego dziennika. Dopiero w roku 1825, ja zacząwszy wydawać Bibliotekę Polską zamieściłem w pierwszych jej numerach, zdanie o tym utworze, objęte w ogólnym zarysie ówczesnych plodów nowej szkoły poetyckiej.

„Tymowski, Morawski i Brodziński, pisałem w Bibliotece Pol. w Tomie pierwszym z roku 1825, przekładem rozmaitych poezji Szyllera, wskazali ogółowi czytelników, że obok delikatności i wytworności francuzkiej, jest inny rodzaj poezji, który mocniej przemawia do serca, że prócz mitologii greckiej, jest inna cudowność, na religii naszej oparta. Z pomiędzy nich, Kazimierz Brodziński, nie tylko jako tłumacz i naśladowca poetów niemieckich, zasłużył się literaturze naszej. On pierwszy z tegoczesnych, powziął myśl wystawienia w poezji, obyczajów i zwyczajów ludu wiejskiego i wykonał to w Wiesławie sielance Krakowskiej. Lud Krakowski wesoły, gościnny, pracowity, ze wszystkich prowincyj Wielkiej i Małej Polski, najwięcej jest poetycznym i najwięcej dostarcza żywiołów dla narodowego poety. Któż w Wiesławie nie znajdzie wiernego obrazu ludu? Komuż się nie podoba prostota, którą cała ta sielanka oddycha? Któż nie będzie wdzięczny autorowi za to, że sposób wyrażenia się polski i wieśniaczy, że tak powiem, a jednak miły i szlachetny, który coraz rzadszym się staje, zatrzymał i ustalił w pieniach swoich? Temu tylko nie podoba się Wiesław i inne poezje Brodzińskiego, który w szkole dworności, dowcipu i uszczypliwości francuzkiej, postradał uczucie prostej piękności i dla którego to wszystko co się do natury zbliża, jest celem żartów i szyderstwa (1). Przyjaźń z Kudliczem, Kurpińskim i Elsnerem wprowadziła go w stosunki z teatrem; na prośbę tych artystów przetłumaczył z francuzkiego i dał na scenę tragedję Templaryusze przez Raynouarda i Abufara Ducisa. Bohatorem pierwszej sztuki jest wielki mistrz Templaryuszów Molay, którego jako męczennika prawdy i cnoty autor wystawił. Abufar maluje nam obyczaje Arabów w wiekach pasterskich i tchnie głębokim i smętnym uczuciem, tak zgodnym z duchem naszego poety. Wiersz w tych dwóch sztukach jest gładki i szlachetny. Zaczął także tłumaczyć Estere, tragedję Rassyna i Koryolana niewiadomego auto-

(1) Dodam nawiasem, że to jedyne, serdeczne zdanie o Brodzińskim, wyraził młody pisarz, którego p. Bartoszewicz, w swojej literaturze, nie wiedział dla czego, chyba na bezzasadnej gadaninie opierając się, klasykiem pierwszej wody nazywa. Takie to sądy wydają terazniejsi historycy literatury naszej, nie tylko o jednym, ale o wszystkich pisarzach z pierwszych lat wieku XIX.

ra, lecz ich nie dokończył. Dodam w tém miejscu, że przed pięćdziesięciu laty, każdy znakomitszy artysta lub artystka dramatyczna, mieli co rok jedną reprezentacyą na swój własny dochód, zwaną benefisem i sami wystarać się musieli o sztukę, jeżeli chcieli grać nową. Prosili więc każdego, kto się odznaczył jakimkolwiek talentem do wierszowania, żeby ich obdarzył komedyą albo tragedya. Łatwiej było tłumaczyć, niżeli coś własnego utworzyć i ztąd to wynikało mnóstwo przekładów sztuk dramatycznych, które powstawały i gasły.

Na żądanie Kurpińskiego i Elsnera, Brodziński przetłumaczył kilka oper, i wspólnie z Osińskim i Kruszyńskim, wskazał jak trzeba podkładać wiersze pod muzykę do śpiewn, a zachować czystość i harmonię języka. Tą sztuką zaleca się szczególnie tłumaczenie dwóch oper Rossyniego: Tankred i Włoszka w Algierze. W pierwszej są piękne liryczne śpiewy, w drugiej wesołość, lekkość i dowcip, którójby nawet nie można było spodziewać się po tak poważnym pisarzu. Ostatnie jego tłumaczenia są: Elegie Kochanowskiego, książki Joba i Trenów Jeremiasza. Z nich okazuje się, że mimo cierpień fizycznych, wzmacniał się jeszcze w Brodzińskim język poetyczny i tém boleśniej żałujemy że zgon jego w samém dobie dojrzałego wieku nastąpił.

Z rękopismów Brodzińskiego przekonałem się, że nie miał on tój łatwości, która jednym rzutem wylewa kilkadziesiąt wierszy, nie potrzebujących prawie żadnej poprawy. Takim darem odznaczają się głównie poezye Mickiewicza, jak to widzieć można w Wallenrodzie. Tam każde wyrażenie jest piękne i poetyczne, a zarazem tak naturalne i proste, iż zdawałoby się że inaczej w pospolitej prozie wypowiedziéć go nie można. W Brodzińskim nie ma także przymusu i usterków w rymowaniu, ale to jest skutkiem wypracowania. Znalazłem kilka wersyi jego elegii *Pobyt na Alpach* i innych; w każdej następnj wersji są ważne ulepszenia. Brodziński przedewszystkiem rzucał na papier myśl powstałą w sobie; potém przyoblekał ją w szatę wierszo-pisarską. Na przykład przytaczam wiersz do *Obłoku w górach*. Oto jest pierwsza wersya.

„I dokąd obłoku, jedyny z dolin posłańcze, przez tę się skałę przedzierasza? Czemże tu jesteś, ty, który z dolin widziany, toś się wydawał orłem piorunnego Jowisza, to wozem Fingala! Czemże tu jesteś ty! coś się korzył przed wschodzącym Królem dnia, od niego w złotą barwę przybrany, a wnet, niewdzięczny, chciałeś ciemnością, oddzielić ojca od dzieci, albo piorunami zbrojny niszczyłeś w przechodzie twoim łany i sady. Parą jesteś, którą ręką rozgarniam, a słońce jak od wieków świeci tam, gdzieś chwilową noc albo trwogę przynosił.

I teraz ciągniesz, łzami tylko obwilżając ślad przechodu twego po twardych głazach. Wnet je osuszają te same wiatry, co ciebie pędzą. Mijaj, mijaj obrazie naszej uludy i wielkości. Z ziemi powstałeś, a po obłądnych podrózach, we łzach znowu rozpułniesz się po niej. Płyn urosić zagrodę, kędy ojciec przy nucałym

skowronku złotą sieje pszenicę, a córka pod okienkiem gałązkę myrtu na ślubny wieniec zasadza, marząc o miłości i o pokoju, które chociaż ślubione, nigdy być wiecznie nie mogą. Pociesz je, pociesz twą rosą, boś po to jedynie w górę wyniesion.
Toż samo wierszem:

DO OBŁOKU W GÓRACH.

Czém ty jesteś obłoku! który na przestrzenie
Piorunny rzucasz postrach, albo sępne cienie?
Albo zatopy nosisz, lub widziany z dala,
Toś jest ptakiem Jowisza, to wozem Fingala;
Albo w poranku błyszczysz ogniem gorejącym
Przed królem dnia się ścieląc, w purpurze wschodzącym.
Próżny wewnątrz i zimny, zewnątrz okazały,
Bo jego cię promienie złotem przyodziały.
Nie pomny, żeś syn ziemi, z ziemi wyniesiony,
Nie puszczasz jego światła na łaknące plony;
Przed ziemią kochającą, twarz ojca zasłaniasz,
Miłą mięszasz pogodę i światła jej wzbraniasz?
Parą jesteś nikczemną, a król dnia widomy
Świecić będzie, gdzieś rzucił tve cienie i gromy,
Z wiatrem, co ciebie wyniósł, przeleci twa chwała,
We łzach wsiąkniesz w tę ziemię, co ciebie wydała.
O, spiesz raczój nad niwy, gdzie omdlałe kłosa,
Nadziei pełne, twojej wyglądają rosy.
Nad ogródek, gdzie skrzętna córka gospodarzy,
Mirt sadząc, o kochanku i o godach marzy.
Boś ku słońcu wyniesion, nie po to, byś dziwił,
Lecz abyś z niem w przymierzu, ochładzał i żywił.

Brodzińskiego pisma prozą składają się głównie: 1) z kursu literatury polskiej, wykładanego w byłym Uniwersytecie Warszawskim, 2) z kursu estetyki, 3) z wykładu o stylu, z rozpraw i listów o języku polskim, 4) z rozpraw o Idylli, wymowie, krytyce, egzaltacyi i entuzjazmie, o życiu i pismach Karpińskiego i o Fabianie Birkowskim, kaznodziei z czasów Zygmunta III, 5) ze zbioru synonimów polskich, 6) z przygotowanego po części ale nie ukończonego obrazu zwyczajów i obyczajów narodu naszego, 7) nareszcie z mnóstwa pojedynczych uwag, zarysów i pomysłów, mających na celu oświatę i moralność.

W tych wszystkich pismach przewodniczy autorowi myśl o dobru ludzkości i kraju własnego; wszyskie tak samo jak poezye, ożywia szlachetne czyste uczucie, wolne od stronniczego ducha, który zwykle z drogi prawdy i umiarkowania sprowadza.

Brodziński nie zagłębiał się w metafizyczne oderwanie rozumowania; w wielu miejscach oświadcza, że nie wdaje się w spekulacyjne filozofie Niemców. Był on naszym praktycznym filozo-

fem; prawda religijna i moralna, miłość ludzi jako wspólnych braci w Chrystusie, kraju i rodziny, oto był cel, do którego wszystkie jego prace zmierzały.

Na szczególną uwagę zasługuje rozprawa Brodzińskiego O klasycyzmie i romantyzmie, zamieszczona w Pamiętniku Warszawskim r. 1818. Ona jest zarodem wszystkich jego dalszych prac literackich. Badania jakie dla jej napisania czynić musiał, zastanawianie się nad złą i dobrą stroną, obudwu tych szkół a raczej stronnictw w literaturze, wprowadziły go na drogę bezstronności i prawdy, od której nigdy nie zбочył. Brodziński trafił do przekonania prawie wszystkich, a jeżeli było dwóch lub trzech zaciętych zwolenników dawniej szkoły, jako to: Koźmian klasycyzmu łacińskiego, Osinski zaś francuzkiej, to ich nie obraził i nie odstęczył szyderstwem i gwałtownymi pociskami. Przyjęli go więc z szczerem sercem, jako śmiałego i gorliwego pracownika na niwie nauk.

Wykładając historię literatury naszej, skreślił najprzód ogólny obraz całej Słowiańszczyzny, jako wspólny wszystkim ludom tego wielkiego plemienia. Wykazał co je głównie odróżnia od plemion germańskich, a potem przystąpił do własnego kraju. Jego historia literatury jest zarazem historią cywilizacji i oświaty, nie w daje się w szczegółowe opisy wypadków politycznych, lecz tylko wykazuje najważniejsze, które na wzrost lub upadek nauk wpływały. Podzieliwszy historię literatury na pięć okresów, zamieszcza na czele każdego ogólny lecz nader zajmujący obraz stanu społeczeństwa Europy owoczesnej. wyjaśnia w czym i o ile tenże wpływał na literaturę naszą. Tak skreślił rys wieków feudalnych i poezji rycerskiej z nich wynikłej, z której potem wywiązała się terażniejsza romantyczność. Przy drugim okresie dał obraz odrodzenia nauk klasycznych i zamięłowania w literaturze greckiej i łacińskiej, oraz błędnego naśladownictwa tych wzorów, które na długo przytłumiło rozwój narodowej literatury, we wszystkich krajach Zachodniej Europy, a za ich przykładem i w naszym. Obszernie mówi o pisarzach epoki Zygmunta aż do Samuela Twardowskiego i Kochowskiego, a krócej przechodzi epokę upadku, obejmującą wiek cały.

Nad pisarzami z epoki Stanisława Augusta i czasów pruskich gruntownie zastanawia się i ta część jego kursów, tém jest ważniejsza, że właśnie ta epoka najmniej jest znana: bo wszyscy tegocześni literaci polegając na ogólnym sądzie, wyrzeczonym w przedmowie Mickiewicza, mniemają, że nie potrzebują tracić czasu na własne studia i tylko jego zdania parafrazują. Brodziński miał tę zasadę, że celem wszystkich prac człowieka powinien być moralny i materyalny postęp. Przeto sztuki piękne nie służyły tylko dla samych siebie, lecz do ulepszenia ludzkości. Ta myśl przewodniczyła mu, kiedy obok historii literatury wykladał kurs estetyki w Uniwersytecie Warszawskim. Zaraz na wstępie okazał, jak ważny jest wpływ piękności, w początkach materyalnej,

a potem moralnej, na ludzkość całą i na pojedynczych ludzi. Z tego przyczyny nie ma w jego estetyce owych metafizycznych rozumowań, które czytamy w estetyce naszego Libelta opartej na teorii Hegla, które przeniósł Cegielski do swojej teorii poezyi. Bez wątpienia, Brodziński nie odrzucał i lekce nie wazył głębokich myślicieli niemieckich, lecz mniemał, że ogólne rozumowania o piękności, mogą tylko służyć tym, którzy już czytali i zgłębili dzieła najznakomitszych poetów wszystkich wieków i narodów, którzy widzieli i porównywali twory malarstwa, rzeźby i architektury, chcą zatem złąć w jedną całość wszystkie swoje wrażenia; lecz one jeszcze nie będą stosowne i przystępne dla młodzieży, która w kursach szkolnych tylko co ukończonych, otrzymała krótką wiadomość o celniejszych płodach poezyi prozy, i czytała małą liczbę wzorów i to jeszcze nie całych tylko w wyjątkach.

Zrozumiemy zatem, dlaczego wykład Brodzińskiego jest głównie zastosowany do praktycznego użytku i obejmuje wyobrażenie o tem co jest piękne w ogólności, a w szczególności w poezyi. Wskazuje co jest piękność, a co wzniosłość; zastanawia się nad działaniem imaginacyi; rozbiera w czem sztuka zbliża się do natury, a w czem się różni i pod względem piękności wyższa jest od niej; wystawia co jest ideałem w sztuce; jaki jest wpływ rozumu i czucia na utwory sztuki, ocenia uczucie religijne, uczucie miłości, natchnienie i entuzjazm. Przechodzi potem do poezyi i najobszerniej zastanawia się nad nią, jako najcelniejszą ze wszystkich sztuk pięknych; wykazuje różnicę między starożytną, a średnich wieków poezją, z której terazniejsza romantyczność powstała, i powody tej różnicy i mówi o zaletach i wadach naśladowczej i klasycznej literatury, która wytworzywszy się we Francyi, wywierała przez długi czas wpływ na literaturę wszystkich narodów Europy. Nareszcie zwraca się do nowożytniej poezyi Anglików i Niemców, a od niej do naszej. Rozbiera następnie rozmaite rodzaje poezyi, a głównie dramatyczne.

Krótsze i ogólniejsze wyobrażenie daje o innych rodzajach sztuk pięknych, jakoto: o malarstwie, rzeźbie i architekturze; zakończy uwagami nad ogrodnictwem, uważanem jako ozdobę i piękność.

Kilkanaście prelekcyi poświęcił nauce stylu i spostrzegł bowiem zaraz w pierwszym roku, że uczniowie przybywający ze szkół, nie znają dobrze tego przedmiotu. Wskazał w tej części wykładu swojego główne rodzaje stylu, jego przymioty i wady, oraz najpowszechniej używane postacie czyli ozdoby retoryczne. Oddzielnie zastanawiał się nad stylem urzędowym, uważał bowiem, że liczne sprawozdania, postanowienia i odpowiedzi wydawane z urzędu, bardzo często grzeszą przeciw głównym prawidłom czystego, gładkiego i jasnego pisania.

Kilkakrotnie pisał o języku ojczystym pod względem jego rozwoju i upadania, harmonii i pisowni; wszystkie te artykuły zebrał w jedną całość i nowemi uwagami powiększył.

Tak więc, czy to w poezji czy w prozie, Brodziński był praktycznym myślicielem moralnym i poetą, jakiego ówczesny duch narodu, szlachetny, poważny, nieroznamiętniony, wydał. Twory późniejszych poetów, świetniejszą wyobraźnią i gorętszém odznaczają się tchnieniem; lecz jak podróżny po zwiedzeniu gór i przepaści alpejskich, wodospadu Niagary, zwalisk miast i świątyń starożytnych, z pociechą odetchnie w cichój zagrodzie ojczystej, tak i czytelnicy, po genialnych utworach późniejszych wieszczów naszych, z rzewném i słodkiém uczuciem przeczytają poezye Brodzińskiego a z literackich pism jego nauczą się, jak należy cenić piśmiennictwo i charakter ojców naszych.

* * *

Pół wieku dobiega jak na wstępie do zawodu literackiego, najpierwszy i sam tylko, przyznałem publicznie wysoką wartość poezji Brodzińskiego i jego naukowej rozprawie. Dziś może jedną z ostatnich moich prac, będzie uporządkowanie odnalezionych rękopismów tego autora; zebranie w jedną całość mnóstwa brulionów, dopisków, poprawek, na co już od pół roku cały mój czas poświęcam. Nie powoduję się żadnym widokiem spekulacyjnym. Wydanie zupełne o ile można, zbioru pism Brodzińskiego, nie byłoby teraz zyskiem, ale ofiarą. Ale jak na każdą rzecz przyjść musi czas właściwy, tak i na wydanie dzieł, tak zasłużonego i sympatycznego poety i prozaika.

Niech więc uporządkowane jego rękopisma będą dowodem czci i poważania, jaki zawsze miałem dla pisarza, którego zażyłością cieszyłem się i zaszczycałem w młodych latach moich.

w czerwcu r. 1870.

F. S. Dmochowski.



KOMEDIA POLSKA W XVIII WIEKU.

PRZEZ

A. Tyszyńskiego.

Jest to zapewne szczególnym faktem, a jednak jest faktem, że ów wiek XVIII którego dziejów po świecie nie miały wcale odznaczyć wypadki komiczne, w dziejach jednak poezyi obficie i świetnie niż którykolwiek przedtém rozwinąć miał i odznaczyć gałąź komedyi. Tak było w ojczyźnie Moliera, gdzie po świeżym przykładzie mistrza ledwo nie każdy dzień wieku od początku do końca, odznaczonym był ukazywaniem się nowój komicznój sztuki lub sztuczki zwykle udatnėj; tak w literaturach: niemieckiej i angielskiej, które przy końcu owego stulecia swych najszczerzych dotąd komików wydały, tak było i w naszej. Literatura polska, a zwłaszcza poezya, przez cały bieg wieku zeszłego w ogóle nie miała barwy ponurėj;—poezyi jėj nie odznaczały wcale ani elegie, ani tragedye, ani nawet poważne bohaterskie lub historyczne poemata, jak to było w XVII stuleciu. Natchnieniem jėj (w największej części wieku XVIII), był Dwór wesoły, dwór miłośnik wprawdzie nauk i myśli, lecz nadewszystko zabaw i uciech. Dowcip lekki, wesołość i galanterya, były téżto więc cechy które odznaczały najwięcej u nas ówczesne utwory piśmienne. Utworami temi w gałęzi poezyi były najwięcej satyry, bajki, sielanki, epopeje komiczne i wreszcie (a najobficiej) wesołej treści sztuczki dramatyczne czyli Komedye. Sława i pamięć głównych nawet utworów z epoki owėj, a zwłaszcza tych wesołych sztuk dramatycznych, zatarła się była prędko śród kraju, i historye literatury krajowėj, których otrzymujemy dziś tyle, lekko tylko i zaledwo nie o samych nazwiskach sztuk owych wzmiankują.—Kiedy zatem to zajmowanie się dziejami literatury jest u nas dziś tak powszechném, a obrazy kreślone jeśli żywotnemi być mają, przedstawiać się powinny w możliwój pełności swych rysów, nie bez użytku będzie, sądzimy, jeżeli przypomnimy tą razą bliżej na tę ostatnią gałąź.

Nie mamy tu wcale na celu rozprawy krytyczno-bibliograficznej, ani nawet dramatyczno-teoretycznej, a chcemy tu tylko wspomnieć chronologicznie, praktycznie, o głównych twórcach i utworach w gałęzi komedyi naszój z wieku zeszłego, z dołączeniem zarazem i bliższėj charakterystyki jednych i drugich.

Początek XVIII wieku nie był to jak wiadomo, okres kwitnienia poezyi w naszėj literaturze. Smak estetyczny zwichnięty w połowie XVIIgo straciwszy uczucie piękna, pogrzebał był w pamięci bogato i licznie rozrosłe utwory krajowej poezyi z poprzedniego stulecia, tłumił istnące i nie zachęcał wcale talentów nowych.—Czynność umysłowa zwróciła się była w tym czasie raczėj do badań dziejowych, do spisywania pamiętników domowych, do bibliografii, a wyobraźnia i dowcip do kształcenia, wznoszenia różnych gałęzi wymowy, i szczególnych jėj ozdób ówczesnych. W kraju poezyi właściwój była cisza zupełna, przerywana tylko kiedy niekiedy jakimś pochwalnym wierszem z okoliczności. Tak było prawie do połowy wieku XVIII. Wszakże z upływem tėj połowy ukazała się zmiana. Kilku mężów teorią i czynem wpłynęło już było w samych początkach wieku na zmianę wyobrażeń, na zmianę smaku, a wszechsilny ówczesnie przykład owych talentów, które odznaczyły wiek Ludwika XIV we Francyi, jak w innych krajach Europy tak i u nas wzbudził ich naśladowców. W tėj liczbie najwięcej i przedewszystkiem pozyskała ich była stworzona przez Moliera gałąź nowėj komedyi. Gdzie tylko upodobania moralne i umysłowa czynność zaczynały się u nas wznosić śród kraju, czy to (w braku jeszcze w tym czasie monarszego dworu, który był w Dreźnie) na dworach pańów, czy śród sfery obozu, czy nawet w ciszy klasztornej; przedmiotem natchnień to jest formą natchnień stawała się najczęściej właśnie owa sztuka komedyi.—Jakoż, jeszcze przed otwarciem Teatru publicznego w Warszawie, przed ogłoszeniem *Zbioru rytmów* przez Żaluskiego, mieliśmy już i autorów komedyi i ogłaszane komedye.—Do najpierwszych z tych należały Księżnój Urszuli *Radziwiłłowėj* z Nieświeża, Wacława *Rzewuskiego* (hetmana), i księdza Bohomolca. O tych tóż powiemy tu najprzód.

Księżna Urszula z Wiśniowieckich Radziwiłłowa, matka tak poetycznój następnie figury krajowej jaką był książę *Panie Kochanku*, przyjaciółka nauk i zabaw, zabawy te na swym bogatym dworze Nieświeżskim w inny sposób odznaczać zaczęła niż był ówczesny zwyczaj; wielkie uroczystości domowe, jako dnie imienia i urodzin gospodarza, przybycie znakomitych gości i t. p. obchodziła ona daniem przedstawień teatralnych, a utwory na te przedstawienia pisała sama. Zbiór tych utworów (przedstawianych najwięcej między r. 1746—1750) wydał następnie w rok po śmierci autorki (to jest w r. 1754) w grubym tomie in folio, jeden z dworzan Nieświeżskich kapitan Fryczyński; wydanie to które nosi napis: *Komedye i trajedye przednidowcipnym wynalazkiem, wybornym wiersza kształtem, i t. d. przez JO. Księżnę wojewodzinę i he-*

tmanową Urszulę z Korybutów Wiszniowieckich Radziwiłłową złozone, obejmuje sztuk dwanaście a z tych największą część składają komedye.

Kapitan Fryczyński w przedmowie do wydania wyraża: iż pierwsze role w tych sztukach przedstawiał sam („pierwszej zawsze, mówi, w trajedyach tych i komedyach osoby kształt wyrażałem”). Wydaniem tém zadowolnić więc zapewne przedewszystkiem przyjemne wspomnienia swoje, ale powiedzmy szczerze, nie uczynił wcale przysługi pamięci księżnej. Wydanie to jest wprawdzie zajmującą pamiątką tego jak się między r. 1746 i 1750 bawiono w Nieświeżu; jest dobitnym dowodem, że świetne krajowe zgromadzenie które się tam zbierało, w takim nie innym rodzaju zabaw (t. j. nauki i sztuki) znajdować musiało upodobanie, — sztuki nawet księżnej Radziwiłłowej nie są bez pewnych zalet, — treść ich odznacza niejaka erudycya w rzeczy starożytności, zdobi śród owego wieku makaronizmów, język czysty i piękny tak w dyalogach wierszem jak prozą, jest w pomyśle sztuk bogactwo fantazyi, jest różnaitość charakterów, różnaitość obrazów, w dyalogach niejednokrotnie dowcip, ale ten dowcip ginie wszędzie w odmęcie powszednich frazesów i wierszy trywialnych, — ale te charakterzy nie mają wcale rozwicia, nie mają odznaczenia ani przez dyalogi, ani przez sytuacye, — w owych obrazach, pomysłach nie ma nadto najczęściej jakiegoś jasnego związku; treść utworów tych księżnej Radziwiłłowej jest to słowem jakby treść igrań sennyh, zabaw imaginacyi dziecięcej, w których jest wiele fantazyi, natłok postaci, zdarzeń, ale zarazem brak wszelki nici loicznej. P. Chomętowski autor świeżo wydanego zajmującego pisma *Dzieje teatru polskiego*, zaznajomiwszy w niem bliżej z temi utworami księżnej i podawszy z nich liczne wyjątki, na obronę autorki mówi: „iż mają te sztuki wartość historyczno-obyczajową” to jest iż przedstawiają niekiedy „obyczaje i charakterzy krajowe,” dodać wszakże należy iż zaleta ta w nader skromnym jest stopniu, i właściwie, ścięśnia się nieledwie tylko do kilku imion krajowo brzmiących, sama bowiem treść akcyi z zadania swego nigdzie nawet nie jest miejscową; akcyja ta odbywa się w tych sztukach już w Grecyi, już w Turcyi, już w Egipcie, już na wyspie Cyprze, już wreszcie (w tłumaczonych) we Francyi, lecz nigdy w kraju.

Dla poznania bliżej tych sztuk, nie przytaczamy tu wyjątków z dyalogu, gdyż zdaniem naszym nie odznacza go nigdzie ani talent ani żadna właściwość, dla bliższego zaś wyobrażenia o rodzaju tych kompozycyi, dosyć będzie przytoczyć pierwszą lepszą treść jedną z nich, wszystkie bowiem mimo największą różność przedmiotów mają układ podobny.

Bierzemy, jeśli nas pamięć nie myli, najpierwszą z kolei, to jest tę która ma dany napis *Miłość dowcipna*.

Licydor syn króla Latium (czy było to w Grecyi czy w Italii?) jest ojcem 13-tu córek *Pasterek*. Doktor jego zapowiedział mu blizki zgon, zwołuje więc córki, oznajmia o wyroku doktora i rozkazuje im iżby prowadziły życie odludne i skromne. Córki

po odejściu ojca podnoszą bunt i wbrew rozkazom przyjmują 13-tu pasterzy na zabawę. Ojciec nadchodzi, popłoch, lecz—*miłość* jest *dowcipna*, chłopcy wskakują na postumenta, stoją nie pbruszając się, a córki objaśniają ojcu iż są to figury które u snyderca kupiły. Ojciec pochwała córki i odchodzi, ale zaledwo odszedł, słyszy hałas; więc wraca, postrzega zdradę, omdlewa i wzywa boginię Izys, by się zemściła. Ukazuje się na scenie bogini Izys, a z nią Satyrowie. Bogini zamiast usłuchania skargi wymawia staremu ojcu iż jest zbyt surowy dla młodych dziewcząt, a dziewczęta w czasie tego sporu bogini z ojcem wymieniają z amantami miłosne śpiewy, i postrzegają przytém (Greczynki te czy Latynki) *Cygankę* która im wróży. Doktor ratując ojca któremu co chwila śmierć zagłada w oczy, woła do niego po polsku, po francuzku i po niemiecku. Bogini zwraca wreszcie uwagę ojca że dzisiaj jest dzień imienin Marsa (to jest księcia Kazimierza Radziwiłła męża autorki), Licydor udobruchany zamiast dalszego ścigania błogosławi córkom, i wszyscy: ojciec, córki, amanci, chóry wieśniaków, a przytém uosobione: Wiosna, Zima, Lato i Jesień zbliżają się do solenizanta i kupleta winszujące śpiewają.

Treści takiej nie należy zapewne sądzić na skalę powszechniejszej. dziś loiki; w wieku *Syloreta*, *Elefantyny* i t. p. bujania podobne fantazyi miane były tylko za rodzaj poezyi, to jest za poezję erudycyjną; (może nawzajem kiedyś nie jedna ze znakomitych dzisiejszych oper mianą będzie za podobne galimatias),—ale największą ujemnością utworów tych księżnej powtórzymy, było to, iż w wykonaniu ich dziwacznej treści i cienia artystycznego talentu nie było widać. Wydawca uwielbia w przedmowie głęboką naukę zmarłej autorki i nadmienia iż posiadając w bibliotece swój 200 książek „wszystkie odczytała i w każdej umiejętności prym trzymała;” być to mogło, i to też zapewne było powodem że znakomitych swych gości chciała i umiała zabawiać w sposób wznioślejszy oraz że nie ogłaszała utworów swych drukiem, uważając je oczywiście za chwilowe tylko zabawki myśli wesołej (1).

Jednocześnie z temi sztukami pisanemi przez osobę światową dla świata, pisane też były pośród murów klasztornych przez zakonnika a zakonnika jezuitę także sztuczki wesołe czyli komedye, przeznaczone do odegrywania ich przez młodzież szkolną i utwory te godnemi się już okazały swego nazwiska (to jest dzieł *sztuki*). Były to mianowicie komedye księdza *Franciszka Bohomolca*, których zbiór pierwszy wyszedł był na lat kilka przed zbiorem księżnej, albowiem w roku 1750.

Zakon księży jezuitów, ten zakon szczególny, któremu mimo wszelkie czynione zarzuty nie mogą być nigdy zaprzeczone dwa mniej powszednie przymioty: *czynność* i *wpływ*; zakon ten i u nas wzięwszy niegdyś od razu udział w literaturze krajowej odznaczał

(1) Autorka ta w r. 1748 wydała tylko pismo poważnej treści p. n. *O obowiązkach żołnierza chrześcijańskiego*.

dobitnie od początku do końca różne jej zwroty. W wieku XVI jezuita Wujek i Skarga byli u nas twórcami głównych wzorów w prozie krajowej. W XVII wieku kiedy za przykładem poczętym we Włoszech, rozpowszechnionym we Francji i w Niemczech, za główną retoryczną piękność, uznawanymi były: *makaronizmy*, *dowcipkowanie z dźwięków*, *nadętość* it. p. mówcy tego zakonu *Ólszewski*, *Kiersznicki* i w tym rodzaju mody prześcigli innych; a kiedy wreszcie w połowie XVIII wieku nadszedł był czas odrodzenia smaku, członkowie tegoż zakonu (jeszcze przed jego zniesieniem) pierwsi także stali się twórcami wzorów nowych w pisaniu, a mianowicie w wierszu *Naruszewicz*, w prozie zaś właśnie *Bohomolec*. Ks. Bohomolec Franciszek nie był to geniusz, lecz był to zawsze mąż istotnej zasługi i talent. Jak jego *Zywoty* mężów odznaczonych w kraju ręką i radą lubo kompilacye pod względem źródeł, były jednak pod względem sposobu kreślenia obrazów i społecznego języka wzorami w gałęzi, tak też i jego sztuki teatralne, lubo były naśladowaniem (Moliera) i przerabianiem. Bohomolec umiał pochwyć duch wieku i kiedy współczesny mu założyciel i kierownik *Collegium Nobilium* (Konarski) dla kształcenia młodzieży dawał *tragedye*, ks. Bohomolec dla przedstawień w *Konwikcie* pisał *komedye* i wywołał następnie epokę w tej gałęzi.

Wiadomo iż jednym z celów komedyi jest poprawianie *obyczajów* przez środek ironii i satyry, i wiadomo iż rzeczywisty skutek bywa niekiedy odmiennym od tego celu; ks. *Bohomolec* pisząc dla młodzieży szkolnej aby zapobiedz temu zboczeniu, usunął z treści swych sztuk rolę kobiece; sztuczki te nadto były wszystkie niedługie i były pisane prozą nie wierszem, mniej więc miały istotnej sztuki i nie dawały zupełnych towarzyskich obrazów; każda jednak prawie z tych sztuczek miała cel jakiś moralny, obfitowała w przestrogi, a broń komiczna, (satyra i ironia) pod piórem ks. Bohomolca wcale nie była tępą, jego humoryzm rzetelnie był humoryzmem, dyalog komiczny rzetelnie komicznym, akcja i sytuacye lubo w rozmiarach mniejszych należnle były rozwinięte, i charaktery nawet nietylko z brzmienia przerobionych nazwisk ale i z samej istoty szczerze nieraz były krajowe. Komedye słowem, ks. Bohomolca, jakkolwiek naśladowane i dające nie tyle obrazy jak półobrazy, uważać się mogą za pierwsze u nas porządnie napisane sztuczki w gałęzi komedyi nowiej. Komedye ks. Bohomolca wydawane były w jednym, trzech i wreszcie w pięciu tomach, od r. 1750—1775. Ostatnie jego sztuki jako pisane dla publicznego teatru, miały i rolę kobiet.

Odmiennej znowu cechy i innych zalet były spółcześnie pisane i najprzód pojedynczo a następnie w r. 1760 łącznie (pod imieniem syna *Józefa*) wydane komedye *Wacława Rzewuskiego*. Komedyi tych było dwie: *Dziwak* i *Natret*. Komedye Rzewuskiego także zajmują miejsce w gałęzi komedyi, jak tragedye tego autora (*Władysław Warneńczyk* i *Stanisław Żółkiewski*) w gałęzi tragedyi. Talent hetmana Rzewuskiego było, że tak powiemy, talent pański.

W utworach jego jest wyższy rzut poetyczny, uczucie, smak ukształcony, ale zarazem zaniedbanie się pewne. W jego tragediach jest rycerskość, jest tkliwość, piękny poważny rytm; w jego komediach jest satyryczność, wesołość i gładki dowcipny wiersz; ale zarazem w jego sztukach tak tragicznych jak i komicznych jest pewna nagłość w akcji, nierozwinięcie położeń i charakterów, co sprawia nawet iż kompozycje te jego, jako całości, za chybione uważane być muszą. Sztuczki te jednak były to u nas pierwsze oryginalne komedyjki *wierszem*, formy Molierowskiej; mają zalety dykcji a są dziś prawie nieznanne; o sztukach tych przeto tak ze względu na tę ich wartość jak dawność, wspomnimy tu szczegółowiej.

Treść komedyi *Dziwak* jest następną: Niejaki *Roland* jest pretendentem do ręki Amaty, którego jednak Amata nie życzy bo *dziwak*,—wszakże miłość leczy z wszystkiego nawet z dziwactwa, i komedia kończy się ślubem swych bohaterów,—tak też kończą i sładzy ich (*Fiutyniec* i *Kręcicka*) wyleczeni z wzajemnej kłótni przykładem swych panów.—Treść tej sztuki już przez to samo mniej była sztuką, iż kreślone w niej dziwactwa jój bohatera, były raczej odcieniami zwykłego charakteru niż istotnym dziwactwem. W akcie I-ym np. ów dziwak Roland (gdy go czytelnik najprzód poznaje) przybywszy na wieś ze stolicy, nudzi się i tak wyrzeka:

Jakże tu u was nudno! cóż to tu za kraje!
Tu do was gdy z Warszawy na wieś się przyjedzie,
Zdaje się że się dostał człek między niedźwiedzie.
Ktoby tu z wami kilka przemieszkał miesięcy,
Zdziczałby i obyczaj przyjąłby zwierzęcy.

Fiutyniec (poufały sługa Rolanda) odpowiada mu na to:

Wszakże ja od dzieciństwa z waspanem tu wzrosłem,
A podobnom nie zwierzem ani waspan osłem...

i za odpowiedź dostaje kulaka; lecz to scena powszednia a nie dziwaków. Tém mniej widzimy następnie dziwactwa w rozmowie Rolanda z Amatą, gdy np. w lekkim sporze o zalety kraju, na uwagę Amaty iż zdobią go przecie sejmy i senat, Roland (było to naturalnie za Augusta IIIgo) tak odpowiada:

Ale gdzie są te sejmy, i jak tych już mało,
Którymby *doszłe sejmy* widzieć się dostało;
Wszak to już po dwudziestym rok piąty nastaje,
Jak się każdy sejm zrywa, żaden nie udaje.

Niejakim tylko rzeczywistym rysem dziwactwa bohatera było iż w pierwszém zaadresowaniu się do Amaty zamiast komplementu, starał się o wyrzeczenie jakiegoś słowa nagany i rzekł:

W twych brwiach masz jeden dłuższy niżli inne włos, śliczny, acz niezbyt dobrze skończony masz nosek;

ale taka nagana była naturalnie raczej wyrazem niemożności jej znalezienia i rozwiązanie pomyślnie prędko, nawet zbyt prędko nadeszło. To prędkie rozwiązanie które zaledwo nie poprzedziło zawiązania jest główną tu wadą w akcji.

Za przykład zaś umiejętności autora, (bez wzorów poprzednich) władania językiem i wierszem w dialogach, przytoczymy tu dla charakterystyki sztuki wyjątek z kłótni sług (którzy stosownie do ówczesnej mody u komików, chociaż i bez powodów powinni się byli kłócić na wzór swych panów).

II-go AKTU II SCENY.

Fiutyniec. O czém piękna Kręcicka duma?

Kręcicka.

Pomaleńku

Ze mną Fiutyńcze, dawno mam z tobą na *pienku*.
A gdy za to szalbierstwo mam na ciebie *chrapkę*,
Dumam jak sobie począć.

Fiutyniec.

Tyranko! twardsza na mnie niż skały i głązy.
Okrutnico! do jędzy podobna złém okiem,
Co mnie jak bazyliuszka chcesz zabić twym wzrokiem;
Pókiż mię łajać będziesz?

Kręcicka.

Szaleńcze! nie gawędź,
Bo się o twój ząb otrze mojej ręki krawędź!
Jakże cię nie mam łajać za twe łgarstwa? sobieś
Sam winien żeś wierutny szalbierz, hultaj, *obies*.

Fiutyniec.

Jako śmiesz mnie znieważać, com tak zacny młokos
(młodzian).

Kręcicka.

Słuszny z ciebie kawaler do cepa i do kos.

Fiutyniec.

Jako ja do kos? pański dworzanin i sługa?

Kręcicka.

Prawda, ale do dworu przyszedłeś od pług.

Fiutyniec.

W głowę zachodzisz z gniewu, rozum ci się mięsza.

Kręcicka.

Mam i rozum i pamięć żeś chłop od lemiesz.

Też zalety i wady jak *Dziwak* ma i *Natret*, t. j. zalety w dykcji a wady w akcji. Treść téj sztuki następna: Modesta, piękna, posażna panna, życzy sobie poślubić *Stateckiego*; życzy sobie tego i ojciec jej, ale wciska się gwałtem do dworu *Natret*, niejaki p. *Umizgalski*; odprawiony przez pannę, zyskuje względy ojca pokazując list o spadłym nań milionowym spadku; zręczność sług (*Reginki* i *Pustaka*) odkrywa podstęp t. j. fałsz produkowanego listu; *Natret* znika a *Statecki* poślubia Modestę. Szybkość akcji bez rozwinięcia scen jest ujemnością w téj sztuce równie jak i w poprzedniej, ale dialog osób wszędzie prawie nie jest bez sztuki; dla przykładu przytoczymy tu scenę między *Umizgalskim* i *Modestą*. Kawaler ten jest kontrastem z amantem poprzedniej

sztuki, nie wyszukiwaniem wad ale z przesadą czci wdzięków (czyli komplementów w oczy) zwraca się zalecając do panny, a ta go miesza prostotą odpowiedzi.

AKT II SCENA II.

Umizgalski do Modesty (stylem górnym):

Tak właśnie jak zebrany w kryształ słońca promień,
Ogniem zapala siarkę i wybucha w płomień;
Widokiem przyjemnego blasku twojej twarzy,
Serce me twą miłością pali się i żarzy:
Tak jak pachnąca róża silnie ozerwienieje,
Gdy na nią miły zefir parą swą zawieje;
Zapłoną się rumianym wstydem twoje lice,
Gdy na nią rzucę pełne miłości źrenice.

Modesta. Słońce na niebie, róża w polach, my w Warszawie,
Zdaleka szukasz wsparcia...

Umizgalski. Odmienię dyskurs, powiem: że tu król w koronie
Dyamentami strojnój, pańskie nosi skronie;
Tyś mi najszacowniejszy i klejnot i perła
Droższa mi niżli wszystkie korony i berła.

Modesta. Pierwszy twój dyskurs w szkole nie szpeciłby żaka,
Lecz drugiego osnowa cale ladajaka.
Bo tu ani na sejmie ni z senatem w radzie,
August polski na głowę korony nie kładzie.

Umizgalski (niezrażony).

Gdy i w drugim mym smaku nie masz komplementcie,
Trzeci zaraz i w jednym powiem ci momencie:
Tak śliczną masz urodę, tak wyglądasz pięknie,
Że gdy cię widzę...
Mdleję z kochania, *ciemnym umarłych manowcem*
Pójdę, aż stanę smętny pod czarnym grobowcem!

Modesta. Tam leżą a nie stoją...

Dramata Wacława Rzewuskiego, równie tragedye jak kome-
dye byłyby godne przedruku, choćby w wyjątkach.

Dwaj gorliwi mężowie jednego imienia *Stanisław* (*Leszczyń-
ski* i *Konarski*) rozpoczęli byli skutecznie pismem i czynem reformę
wychowania krajowego, trzeci ich współmiennik (*Stanisław
August*), miał dokonywać co ci rozpoczęli. Król ten zaraz po
swem wstąpieniu na tron, zwrócił był czynność gorliwą do wszel-
kich szczegółów bytu krajowego a pośród innych i do gałęzi sztuki;
jednym ze skutków czynności tej było założenie teatru. Wi-
dowiska publiczne znane już były wprawdzie u nas od czasów
Przemysława, bywały przedstawienia na dworach królów, na dworach
panów, po zakładach naukowych, przy kościołach i t. p.;
lecz teatr założony przez *Stanisława Augusta*, pierwszy był stały
publiczny i w dzisiejszych warunkach i formie. Na miejsce jego
przeznaczone było zabudowanie (dziś nazywane *Rajtszulą*) przy
ogrodzie *Saskim*, gdzie za *Augusta III* dawane były opery włoskie

bezpłatne (prawie nie uczęszczane), i pierwsze otwarcie miało miejsce w dniu 19 listopada 1765 roku. Chciał król iżby to otwarcie krajowego teatru rozpoczęte było, oryginalną sztuką krajową, a mianowicie *komedią* i do napisania jej sam nawet autora oznaczył. Wynalezienie autora do napisania sztuczki teatralnej, chociażby lekkiej komedyi, nie było wtedy zbyt łatwem; żaden z tych talentów i dowcipów w które tak obfitował następnie wiek Stanisława Augusta nie dał się jeszcze być poznać, o żadnej w tym rodzaju wyższej zdolności nie było słyhać śród kraju; sama księżna Urszula już nie żyła, Rzewuski (od nowój elekcyi) nie bywał u dworu, ks. Bohomolec nie mógł pisać o damach; wybór króla padł więc był na młodego człowieka, który był adjutantem przy jednym z hetmanów i który oczywiście dał się już być poznać z niejakich rymowych próbek. Wybor ten nie był jednak fortunny. *Bielawski* (to było nazwisko obranego) nie był wprawdzie bez zupełnej zdolności, miał nawet dowcip; lecz dowcip ten nie wsparty dobrym smakiem i ścisłą loiką, prezentował się najczęściej nie jako dowcip, lecz jako dowcipek czyli tak nazywany dowcip płaski, (było to jak wiadomo następnie obfitem żniwem dla rzetelnie dowcipnych dworaków króla) i sztuka którą napisał wcale arcydziełem nie była. Sztuka ta miała jednak warunki sceniczne i przedstawioną być mogła. Przedstawioną była poraz pierwszy w dzień pomieniony w obec króla i publiczności licznej i pozyskała oklaski. O sztuce tej jako z tylu tytułów słynnej a zwłaszcza jako o pierwszej dla publicznego teatru napisanej, wspomnijmy tu obszerniej.

Jedną ze sztuk Moliera ówczasnie w Europie słynnych, była komedia jego *les Facheux!* tytuł ten był więc i u nas w modzie. Ks. Bohomolec pisał *Natretników*, Rzewuski *Natretą*, i Bielawski dał sztuce swojej również tytuł *Natreci*. Zdaje się nawet że sam król podał mu był i ten przedmiot, w dedykacyi bowiem swęj sztuki królowi tak się między innymi wyraził:

„Który *Natretów* gdy okazać chciałem,
W pisanju za cel twe rozkazy miałem”.

Natreci była to sztuka w 3 aktach, dialog pisany był prozą, proza ta jednak wpadała niekiedy w rymowanie dla efektu. Treść jej jest następną: Niejaki hrabia zakochany w *Lucyndzie*, w rozpaczy że jakiś *natret* porwawszy go wczoraj z ulicy przerwał mu schadzkę na którą się udawał, pisze list do kochanki w którym wyjaśnia powód nie dojścia wczorajszej i uprasza o naznaczenie nowój godziny schadzki; ale zaledwo list zaczął, kiedy jeden po drugim zjawiają się doń *Natreci* (pp. *Wietrznikowski*, *Trzpiotowski*, *Drwigłowski* i i.) i nie pozwalają mu kończyć listu; kończy jednak a wierny mu *Poufalski* obiecuje list odnieść na miejsce przeznaczenia.

Akt II. *Poufalski* szuka *Lucyndy* i zarazem jej guwernantki. *Lucynda* zamieszkiwała przy guwernantce z woli swęj ciotki, która

przrzekła już była jój rękę niejakiemu Faworskiemu. Poufalski miał od hrabiego dla Lucyndy listek a dla guwernantki złoty zegarek; poselstwo idzie wybornie, poseł wraca i zawiadamia hrabiego o wyznaczony godzinie schadзки, hrabia wychodzi ale przed wyjściem nachodzą go dwaj natręci: obywatel świata *Serdecki* i Paryżanin *Sapienczykowiec*.

Akt III. Hrabia przybywa do ogrodu na miejsce schadзки. Lucynda i guwernantka już go oczekują. Guwernantka uprzedza iż ma nawet zezwolenie stryja Lucyndy na ich małżeństwo. Hrabia uszczęśliwiony, ale wtém wchodzą *Natręci*.

Poufalski woła Uciekajmy!

Bo tego natręta głodna mina (pokazuje na jednego)

Mierzy do naszego (?) komina,

Guwernantka (pokazując na drugiego).

Ten co *gęstém* do nas rzuca okiem

Widzę że do mnie wzdycha *bokiem* (1)

Hrabia. Uciekajmy, wychodźmy....

i kończąc sztukę mówi do publiczności:

Nie może być większa kara dla natrętników jak zostawić ich samych.

Niechaj świat pozna, że gdzie natręt idzie,

Wszędzie nie miły i zawsze w ohydzie.

Nazwisko sztuki *Natręci* jak widzimy mniej było trafne, bo nie było wcale wyrazem jój głównej treści. Zjawianie się natrętów nie wpływa tu właściwie ani na zawiązanie, ani na bieg, ani na rozwiązanie głównej intrygi; wprowadzenie jednak szeregu tych figur dało autorowi szczęśliwe ramy do wprowadzenia rozmaitości charakterów, i przy umiejętniejszém zlaniu ich z biegiem akcji, mogło dać pole do przedstawienia obrazowi morału iż klasa beczynnych próżniaków jest plagą towarzyską. W malowidle tych różnych figur które wprowadził, autor nie był naśladowcą, ale malował charaktery sobie spółczesne miejscowe (1), i rysy te przez to samo są dla nas dziś zajmujące. Tacy np. *Wietrznikowski* i *Trzpiotowski* przypominają nam, to jest wskazują na wady albo szczegóły ówczesnego życia towarzyskiego. *Skarbnikowiec*

(1) Mylnie wyrażano u nas niekiedy że *Natręci* Bielawskiego były przekładem z Moliera. Autor myśli o pismach polskich (ks. Adam Cz.), wyraźnie to w piśmie tém twierdził snać przez osłabienie pamięci, i dodaje tu nawet, że źle tłumacz przełożył tytuł, co innego jest bowiem *les Facheux*, a co innego *les Importuns*, z tém większém jeszcze zdziwieniem czytaliśmy iż tłumacz Moliera z professeyi: *Kowalski*, w przypisie do przekładu *les Facheux* wyraził: „sztukę tę przekładali już dawniej na język polski *Bohomolec* i *Bielawski*”. Wszystkie te zdania są błędne, *Natrętnicy* Bohomolca (gdzie nawet nie ma kobiet), *natręci* Bielawskiego i *les Facheux* Moliera (gdzie nie ma ani hrabiów, ani zegarka, ani *Sapienkowiczów* i t. p.) prócz podobieństwa w tytule, nic z sobą spółnego nie mają.

pseudo-retoryk, *Drwiągowski* pseudo-poeta na ówczesne wyobrażenia w rzeczy literatury i na szczegóły jój (np. kiedy pierwszy mówi: „odemnie tych (retorycznych) kawalków uczyć się potrzeba, których ani w *Magielonie*, ani w *Kleomirze*, ani w *Baneluce*, ani w żadnym autorze nie znajdziesz”), wprowadzenie karykatury *Sapienkowicza* (Paryżanina) dało powód autorowi do zwracania morałów do publiczności, i dodać ztąd można uwagę, że snąc i sam król (którego tak blisko znał Bielawski i o którego względy tyle mu szło) lubo był stronnikiem postępu *na wzór* Paryża nie był jednak bezwzględnej francuzomanii. Ale dobre te role, szczęśliwe ramy, powtórzmy, stracone zostały przez brak talentu w wykonawcy. Bielawski wiedział oczywiście co jest komedia i że dyalog jój powinien być komicznym, ale ta jego komiczność tam najczęściej się znajdowała, gdzie chciał być poważnym. Jego dowcipy były to lub wyrazy mniej przyzwoicie brzmiące, lub zabawki eufoniczne w rodzaju takim jak np. „języki chimerykańskie i zajadyckie” (amerykańskie i azyatyckie) albo: jeden interlokutor „kosmologicznie” drugi: „Co? co? kosmato i logicznie?” i t. p. Szczytem zużytkowania dodatniego treści w sztuce, był tu ów morał który hrabia po odejściu zfrancuziałych natrętów (*Sapienkowicza* i *Serdeckiego*) zwrócił do publiczności, a morał ten tak brzmiał:

Hrabia. Zmysły im przewróciła nie tak Paryzka nauka, jako zaślepienie rodziców którzy na łonie *próżnej chwały*, wykołysali *ten dziki humor* (?) w synach swoich, a przydusili wrodzone skłonności i chęć do pokory, nauk, pobożności i cnoty, które dobroć kraju zawiązuje w każdym z nich. Nie Paryż, nie przestawanie *jak mianowicie* z ludźmi podejrzaniem, nie ksiąg czytanie, bo te są (dodaje tu rzeczywiście pięknie hrabia) jak kwiat z którego pszczoła miód a pająk truciznę zbiera, ale wy ojcowie, jeszcze w kolebce wybudowaliście dom niesławy i pośmiewiska krwi waszój, płakałbym z wami gdybym miał więcej czasu do pokazania nieszczęśliwych *zabytków* (skutków?) które spływają na kraj, zostawiam to każdego uwadze, *bo sam spieszę* (szczególne usprawiedliwienie w ustach moralisty) na miejsce, gdzie serce pełne miłości *bez dwactwa* (?), wierne bez interesu, czeka na mnie.”

Być może wszakże iż nie jedno z tych wyrażen i tych dowcipków, które nam się dziś widzą nieusprawiedliwione, nie były takimi współcześnie, zwłaszcza przed masą tój publiczności która poraz pierwszy żarty i morały głośno wyrażane słyszała, nie jedno zapewne miejsce szczerze było poklaskiwane; jakoż autor następnie *Panny na wydaniu* mówiąc w przedmowie do tój sztuki o dramacie w Polsce, o Bielawskim z okoliczności *Natrętów* tak się wyraził: „chwycił szczęśliwie niektóre charaktery, pełen jest ognia”.

Prócz *Natrętów* napisał Bielawski i drugą komedię *Dziwołał*; sztuka ta była i drukowana i przedstawiana, nie znamy jój (bośmy już nieznaleźli dziś jój w żadnym księgozbiorniku); wnieść jednak można iż nie musiała mieć w niczem wyższości nad swą poprzedniczkę,

gdziekolwiek bowiem następnie trafiła się u społecznych wzmianka o Bielawskim, mówiono zawsze tylko o Natrętach.

Nie mając dotąd dokładnej historii *Teatru Warszawskiego* (próbkę tylko pięknej monografii *Opery* dał nam p. *Karasowski*) nie wiemy czyli? i ile razy przedstawiano Natrętów, jakie następnie przedstawiano sztuki? i co najwięcej cieszyło się powodzeniem w tym czasie przed publicznością? z drukowanych ówczesnych za- bytków wnieść jednak możemy, że najwięcej w gałęzi komedyi da- wać musiano przekłady, epokę zaś śród oryginalnych utworów sprawiły dopiero w lat kilka komedye młodego ówczesnego mił- ónika sceny i kraju, księcia Adama Kazimierza (Czart.).

Księżę Adam Kazimierz nie był zapewne ani poetą, ani genialnym komikiem; owo upodobanie w teatrze i zajęcie się ów- czesnie sceną, było tylko krótkim ustępem śród jego długiego życia; zajęty głównie zmianą i wychowaniem pokolenia nowego, postrzegł on to znaczenie jakie dla publiczności ma teatr, a stoso- wnie do ducha czasu i mody miejsca znajdując, iż najpowszech- niejsze działanie i najskuteczniejszy środek leży w orężu żartu, w obrazach wesołych, środkowi temu poświęcił téż był na czas swą przyrodzoną zdolność i ukształcenie. Najpierwszą i najgłówniej- szą jego sztuką była komedya *Panna na wydaniu* (przedstawiona przed r. 1774). Myśl do téj sztuki wziął był z autora angielskiego *Garrücka*, ale układ, charaktery i dyalog były własne. Celem au- tora w napisaniu jój i daniu na scenę było (jak sam wyraża) rato- wanie młodzieży rosnącej od zniewieściałości, która się powsze- chną stawała; układ i powodzenie téj sztuki loiczne, kreślenie charakterów trafne, dyalog zawsze wyborny, nieraz dowcipny, stały się powodem iż sprawiła była epokę na scenie krajowej. Szczególnie tu mianowicie było trafnym schwycenie i skreślenie chara- kteru modnego pustaka; a dane mu to nazwisko (Jegomość Pan Fircyk) stało się odtąd nazwaniem typowem trzpiotów, wietrzni- ków i jednym z najkonieczniejszych następnie warunków we wszy- stkich prawie wesołych obrazach towarzyskich z całej téj epoki.

Treść i kilka wyjątków ze sztuki téj przypominamy:

Panna Julia *Pieknickz*, piękna, bogata, jest *panną na wydaniu*. Pierwszym przedmiotem jój żywego zajęcia się był niejaki pan *Zalotnicki*, lecz gdy ten odszedł z pułkiem na Ukrainę oskoczyli ją konkurenci, a między innemi niejacy p. *Stawiński* i Jmé p. *Fir- cyk*. Ciotka przytem przyrzekła jój rękę pułkownikowi *Starusz- kiewiczowi*. Julia aby się pozbyć dwóch pierwszych, kłóci ich tak, iż nic im nie pozostawało jak wyzwąć się na pojedynek, oświadczają jednak iż przez respekt dla domu pojedynekować się nie będą, a wyzwani następnie przez przybyłego Zalotnickiego milczkiem wynoszą się; przyjął wezwanie tylko Staruszkiewicz, lecz okazało się iż Zalotnicki to jego siostrzan, i wuj chętnie odstępuje mu rękę téj która go niezyczyła. Sztukę kończą następne słowa Julianny zwrócone do widzów: „Znajdą się może w tém mieście ludzie dość ob- mówni którzy mnie kokietką nazwą, ale ponieważ trwałam w statku

dla Jmć pana Zalotnickiego, mam nadzieję iż mi wybaczą żem żartowała z tamtych dwóch ichmościów, ile żem w nich znalazła obfitą do żartów przyczynę, nierozsądek, presumpcyę, tchórzostwo. Niech tego pewne będą białogłowy, że kto sławy nie kocha, ich kochać nie umie”.

Dla przykładu dykcyi przytaczamy tu teraz kilka z tych miejsc, w których kreślony jest jeden z głównych bohaterów sztuki p. Fircyk.

W akcie II *Julianna* opisuje Helenie nowych swych konkurentów i między innemi tak mówi.

„Jeden z nich jest to Jmć pan Fircyk, a teraz że się po francuzku przebrał i był za granicą, zowie się *Monsieur le comte Fircyk*, kawaler srodze ruchawy, niedawno z cudzych krajów powrócił, wypięznowany, wypudrowany, wyfryzowany, wyprostowany, po polsku wstydzi się mówić, a po francuzku nie nauczył się, jednak mu gęba nie ustaje. Poznaniem krajów, obyczajów, rządu, nie zaprzętał się nigdzie, ale perukarzów, traktyerów, kupców, rzemieślników, w każdym mieście zna doskonale i od nich jeszcze lepiej jest znanym, bo wszędzie zostawił długów kupę; nauczył się jaki kwiatek, jaka wstążka najlepiej do twarzy damom, czy ręce nam bardziej od otrębów jak od migdałów pierzchną i innych wiele rzeczy równej ważności. Ustawicznie o swojej odwadze gada, o doskonałości w fechtowaniu i pojedynkach które odprawił w Paryżu. Zawsze mi w kompanii wyrwa wachlarz i nim się bawi, a kiedy go chcę odebrać to się broni i mówi: *fi donc mademoiselle, fi donc*, widzę że jeszcze Wpanna Dobrodzika nie znasz tego chłopczyka co jest *mon maître* a zowie się *L'amour*”.

Ze sceny między *Julianną* i *Fircykiem* (Akt II scena II).

Julianna. Chciejże mi Wpan powieździć, jaki to Wpanu miałeś przypadek? i co to Wpanu w rękę?

Fircyk. *Vous êtes très bon Mademoiselle*. Mościa dobrodziko, tak się rzecz stała. Trzeba żebyś Wpanna dobrodzika wiedziała, że mam niezwycięzoną awersyę do owych wąsów, teraz rozumiem że przez *pressentiment* tego co się stało. Szedłem tedy z obiadu, deszczyk zaczął kropić, byłem *szapo bas; alias* z kapeluszem pod pachą, miałem wniść na Trębacką ulicę i zatrzymałem się nad rynsztokiem, medytując czyli go mam przeskoczyć czyli téż obejść? a to żebym nie zbryzgał *moje pończochy* jedwabne; wtém nadbiegł na koniu jakiś wąsacz który wyjeżdżał z ulicy i żem mu stał na drodze, rzekł: „Umknij się moja lalko!” Wpadłem w passyę, nie ruszyłem się z miejsca, tak on znou: „No, dalejże, *hop lalko!* Jużem nie mógł wytrzymać i powiedziałem mu: „Monsieur, nie bądźże Wpan głupim”. *Sur quoi* Mościa Dobrodziko, dobywszy z pod pachy *le kańczug* tak mi wyciął po rękę, że mi zaraz nabiegła i uskakując obie pończochy stratowałem w uiwecz. Byłbym go zabił na miejscu, ale miałem przy boku tylko porcelanową szpadkę, i prócz tego sporym kłusem tę mi impolitesse zrobiwszy umknął.

Ze wszystkich współczesnych wzmianek widzimy że sztuka ta miała powodzenie; najwłaściwszy spółczesny sędzia przedmiotu, sam autor sztuk, Bohomolec, taki między innymi napisał epigramat dopominając się o ogłoszenie jej drukiem (umieszczony jeżeli się nie mylimy w *Zabawach przyjemnych* Naruszewicza).

Niechże na światło publiczne wychodzi,
Uczyn w tém łaskę wszystkich nas żądaniu!
Niech się podobne jej potomstwo rodzi,
Wydać co prędzej Pannę na wydaniu.

Inne (podobnych zalet) sztuki księcia Adama Kazimierza wydane i przedstawiane następnie były: *Mniejszy koncept niż przy-sługa* czyli *Pysznoskapski* (sztuka wydana pod imieniem kamerdynera królewskiego *Belgrama*) i *Kawa* (sztuczka mała) Tenże tłumaczył główne sztuki *Regnarda*.

Wysoki przykład, droga popularności, a nadewszystko duch wieku i popęd umysłowości miejscowej, sprawiły, że i głównego odznaczenia w tym czasie pisarz a autor w którego zadaniu było błysnąć ze szczególną zdatnością i trwałą wartością w formach satyry, bajki, epepei komicznej i t. p. *Krasicki* porzuciwszy upodobane sobie rymotorstwo rzucił się do układania utworów na wzór autora *Panny na wydaniu*; napisał kilka komedyj prozą i wydrukował je, lubo także pod nazwiskiem przybranem (Mowińskiego). Było to w roku który obfitym był w ukazywanie się sztuk nowych a mianowicie w r. 1780; wydanie objęło mianowicie trzy sztuki: *Egarz*, *Solenizant* i *Statysta*. *Krasicki* był jednak autorem nie tylko tych trzech sztuk ale i kilku innych; w roku 1830 oprócz ponowionego wydania trzech powyższych, wydane téż zostały z rękopismów i cztery dotąd nieznanne (*Mędrzec*, *Krosienka*, *Pieniacz* i *Frant*); zdaje się bowiem iż prędkie spostrzeżenie się autora iż te całości nieodpowiadały własnemu ideałowi jego sztuk dobrych, lub téż zrażenie się chłodnym ich przyjęciem były powodem że zaniedbał ten rodzaj utworów a przynajmniej nie ogłaszał ich więcej. Nie mamy śladu iżby sztuki powyższe były na scenie przedstawiane, i nie umieszczano ich następnie w wydaniach dzieł *Krasickiego*.

Sztuki te wszystkie takiego malarza i znawcy charakterów krajowych, umysłu takiego dowcipu, jakim był autor *Satyr* i *Dostawczyńskiego*, nie mogły być próżne ani charakterystyk trafnych ani dobrego i dowcipnego dyalogu, — wszystkie owszem mają za treść kreślenie charakterów oryginalnych, we wszystkich są sceny wyborne, dyalog prowadzony z ruchem komicznym, — ale ich stroną ujemną był mechanizm, czyli budowa całości. Jakkolwiek bowiem ruch dyalogu w scenach był rozwinięty, i nieraz nawet do zbytku, ale nie rozwinięte były wypadki, intrzygi i charaktery i w ogóle tamowała efekt szybkość akcji. Komedia *Krasickiego* była to można powiedzieć komedia *Rzewuskiego* tylko iż nie wierzę.

Co do szczegółów treści, przedmiotem jej w sztukach były typy dość zwykłe w komediach: jako różnego rodzaju franci, kłamcy, mężowie zawojowani, konkurenci dla posagu i t. p.; lecz dodać wypada uwagę: że jednym z najczęstszych celów ścigania i wysmiewania było *mędrkowanie*; taki cel mają komedye *Mędrzec*, *Statysta*, i mimożadtem zaledwo nie w każdej sztuce ciskane są ironiczne pociski na zwolenników i zwolenniczki mądrości. W komedyi *Mędrzec* mąż zrozpaczony iż głowę żony jego zawrócił niejaki p. *Górnogłębski*, i że ta chce go koniecznie na zięcia, woła między innemi: „Zdało się dotąd, że przynajmniej płeć niewieścia wolną będzie od téj zarazy, ale nastąpiła *moda mądrości*, od blondynów skoczyły do metafizyki i przeszły mistrzów.”

W komedyi *Statysta Myślicki* przyjaciel mądrości ma zawróconą głowę od tych rad i pomysłów jakie mu dają pp. *Uwaziewicz*, *Handlowicz* i *Rolnicki*, ale wszystkich tych mędrców wojuje jednym figlem sługa wybranego amanta panny Myślickiej przebrany za doktora, i przyjaciele postępów w nauce i przemyśle zostają okryci śmiesznością. Typy podobne lub karykatury umysłowe mogły zapewne istnieć, skoro kreślone i ścigane były od czasu Bielańskiego, w ogóle jednak ściganie umysłowości, w czasie kiedy zaledwo zaczynano wychodzić z upadku umysłowości nie było sądzimy na dobie i cieszyć się tylko można że przynajmniej napady pisarzy tego dowcipu jak Krasicki nie wywarły publicznie skutków.

Dla poznania manieri i zdolności Krasickiego w jego komediach przytoczymy tu treść jedną z najwięcej wykończonych sztuk jego, i próbkę z niej dyalogu. Wybieramy *Krosienka*.

PP. *Spokojscy* są rodzicami dwóch córek; młodsza lubiła pracować w *krosienkach*, starsza (Julianna) czytać *Argenidę* którą jej pożyczył p. *Wiatrakowski* i unosić się razem z matką i nad *Argenidą* i nad p. *Wiatrakowskim*. Konkurował o nią p. *Przystojnicki*, ale zrażony chłodnym przyjęciem zwrócił się do młodszej i zyskał protekcję ojca. Na protektorę i swatkę p. *Wiatrakowskiego* przybywa z Warszawy światowa dama p. *Lubska*, ubiera Julię, różuje i wyprowadza do zaręczyn; ale wtém wpada w ręce pp. *Spokojskim* list który przypadkiem wypadł z kieszeni pani *Lubskiej* a w którym p. *Wiatrakowski* prosił ją o to swatostwo, i w którym między innemi były takie portrety osób do rodziny której wejść żądał. „P. *Spokojski* zdałby się na odźwiernego do króla *Leszka*. P. *Spokojska* godna fraucymeru królowej *Wandy*. Panna, *Perła Uryńska* parafii swojej, łączy niezgrabność wiejską z małpiem naśladowaniem grzeczności miejskiej, ale mają dobra i kapitały a więc”..... i t. d. Na wieść o takim odkryciu *Wiatrakowski* i p. *Lubska* nie pokazując się już znikają. *Julisia* i matka słodkie oczy zwracają do p. *Przystojnickiego* który był właśnie, ale ojciec zaręcza go z córką młodszą mówiąc do starszej: „a waszeć mościa panno pójdź teraz do *krosianek*, dosyć się już *Marysia* nahaftowała.” Dla wzoru dyalogu do jakiego był zdolny *Krasicki*

w dramacie i jakim odznacza się nie jedna scena w każdej jego sztuce (1) przytaczamy tu z *Krosienek* rozmowę pani Lubskiej z panem Spokojskim, gdy ta przystąpiła do należytego przebrania wieśniaczki Julisi.

Z AKTU II, SCENY II.

Lubska do Julianny. Pójdź teraz do mnie mój aniołeczku, przyniosłam ci takiego różu, jakiego lepszego w całej Warszawie nie masz.

(*bierze pudełko i wyjmuje pędzelek*)

Spokojski. Daj wacpani temu pokój, mościa dobrodziejko: proszę się nie fatygować.

Lubs. Jakto nie fatygować? zobaczysz Wpan, jak będzie miała róż, to jój Wpan nie poznasz.

Spok. Tém gorzej, ja chcę znać moje dzieci.

Lubs. To Wpan nie chcesz żeby była piękniejszą jeszcze niż jest?

Spok. Przydanych wdzięków nie chcę, niech się temi obchodzi które ma z natury.

Lubs. Ale naturę można poprawić!

Spok. Kiedy zbłądzi; ale się jój to nie trafia a przynajmniej bardzo rzadko.

Lubs. Jeżeli nie poprawić to przynajmniej przywdzięczyć.

Spok. Dajmy jój pokój.

Lubs. A pfe Mci Panie a coby na to w Warszawie powiedzieli?

Spok. Niech tam mówią co chcą, nam tu na wsi tego nie potrzeba, a podobno i w Paryżu *panny* na twarze farb nie kładą.

Lubs. Alboż to nie można Paryża poprawić? Wpaństwo na wsi pełni jesteście prewencyi, rozumiecie np. że to się róż dlatego kładzie aby twarz piękniejszą uczynić?

Spok. A dlaczegoż?

Lubs. Jakto zaraz znać żeś Wpan w Paryżu nie był; w Paryżu Mci Panie najpierwsze damy noszą róż *dla dystynkcyi*. Podstolanecko, pójdź do mnie!

W tejsze komedyi w scenie między Spokojskim a Wiatrakovskim czytamy między innymi taki ustęp:

Spokojski. Alboż to nie może być komedia dobra po polsku?

Wiatrakovski. Kasza nie komedia, Mci Panie, nasz język do tego się nie urodził.

Spokojski. Mnie się zdaje że te rzeczy zawisły nie od języka ale od pisarza.

Ta ostatnia uwaga była bardzo słuszna, jakoż w tymże samym roku w którym były drukowane komedye Krasickiego (1780) daną była na scenie warszawskiej sztuka która dowiodła że nietylko

(1) Obszerniejszą wiadomość o tych utworach Ignacego Krasickiego tak niesłusznie przepominanych, umieścimy wkrótce w artykule oddzielnym.

prozą ale i wierszem, cała komedia może być po polsku wyborna. Sztuką tą był przekład polski słynnej spółcześnie komedyi Woltera *Syn marnotrawny*. Przekład ten, jak wyrażało ogłoszone jego wydanie, wykonany był przez *Azaryeza Dworzanina Rady Nieustającej*, lecz właściwie, jak to zaraz powszechnie wiadomem się stało, przez jednego z galantów szambelanów króla Stanisława Augusta: Stanisława *Trembeckiego*.

Treść komedyi *Syn marnotrawny* była także z rodzaju tych, które miały na celu ściagać mędrkowanie albo raczej w ogóle umysłowość. Sens jej moralny był tym niebezpieczniejszy, iż zdało się że był powtórzeniem nauki Ewangelicznej, lecz podobieństwo to było tylko w nazwisku; powieść paraboliczna w Ewangelii o *Synie marnotrawnym* była tylko sposobem wskazania miłości Bożej, celem zaś sztuki było postawienie wyżej pustoty, galanteryi, rozpusty (*Walery*) nad życie poważne i czynne (*Sensat Sieciech*). Sądzićby można że w owym czasie jakiś szczególny popęd do umysłowości wyłącznej, do erudycyi, zapanował był w kraju i groził krajowi jednostronnością w uprawie sił, tak nasi komicy zgodnie wierszem i prozą w śmieszność obracali zwroty do myśli i pracy; wszakże najprędzej wybór tej treści pod piórem *Trembeckiego* był tylko potakiwaniem modzie a mianowicie umizgiem dla dworu i dworskich. Komedia *Trembeckiego* uważana jako dzieło sztuki była przerobieniem wybornem. Charaktery, intryga, dyalog rozwijają się w niej jakoby oryginalne, miejscowe. Była to powtarzamy pierwsza komedia po polsku wierszem wybornie napisana. Zwroty wiersza przekładu są tu nieraz dowcipniejsze i lżejsze niż w krótszym co do rozmiaru wierszu tekstu. Kto zna tekst przyzna to zapewne czytając np. już sam początek:

Bizarski. Hej! co za pociecha
 Gdy daję moję córkę za twego *Sieciecha*. ...
 Ale pana *Sieciecha* nienawidzę za to,
 Że zawsze chce rozprawić jak brodaty *Kato*.
 . . . Jak tylko dopadł pan młodzik urzędu,
 Zhardział zbyt i dla starszych nie ma dosyć względu,
 Pełen dziwnej próżności i marnego szumu,
 Już sądzi że ma więcej odemnie rozumu,
 Chociaż to wiedzą wszyscy, że ja mam oleju
 Od ciebie nawet więcej.

Klimunt. A! mój dobrodzieju!
 Jakże ci się nie sprzykrzy?

Te ostatnie np. wiersze w tekście są:

Rondon.
 Il dit qu'il a bien plus d'esprit que moi
 Qui comme on sait en ai bien plus que toi
 Il est.

Euphémont. Ehl mais, quel humeur vous emporte!
 Faut-il toujours?

Prócz sztuk księcia Adama, Krasickiego i Trembeckiego ukazało się tegoż roku i lat zaraz następnych mnóstwo komedyj innych już oryginalnych, już tłumaczonych. Z oryginalnych wydane były w tym czasie między innymi: Marcina Kowacza: *Szczerointeresowanicz* akt. 3. Oraczewskiego: *Życie bez celu* akt. 3. Karpińskiego *Czynsz*. Wybickiego Józefa *Kulig* akt. 5 i inne.—Z tłumaczeń ukazały się przekłady ledwo nie wszystkich głównych komedyj *Moliera*, *Regnarda*, *Diderota*, *Beaumarchais*, *Detouché'a*, *Mercier*, *Marivaux*, *Gellerta*, *Goldoniego*, *Seldana* i t. p.

W czasie owym panował pokój, Dwór bawił się, a za przykładem dworu i miasto.—Wszystko lubiono widzieć w kolorze laurów, kolorze róż,—i jak przechowali nam tradycją ówcześni anegdotaści, z liter nazwiska głównego sprawcy tego ruchu myśli i ruchu zabaw ułożono i powtarzano szczególny anagram: *On okpi świat*. Uczęszczano na teatr pochopnie a wśród widowisk teatralnych najwięcej na sztuki wesołe treści komicznej. Mamy tego świadectwo i w *Sztuce rymotwórczej* (z owego czasu) Dmochowskiego, gdy w niej wyraża:

Dziś dramatyka rośnie, spieszym na nią radzi,
Ale ta co do śmiechu a nie łez prowadzi.

Jeżeli więc jaka gałąź, tedy mianowicie gałąź poezji dramatycznej wesołej czyli komedyi mogła i powinna była w tym czasie wydać i kwiat; jakoż istotnie ukazał się też wkrótce i pisarz który błysnął talentem godnym na tém polu nazwiska kwiatu i blizkim kwiatu, a pisarzem tym był Franciszek Zabłocki.

Franciszek Zabłocki był przewodnikiem domowym starszych dzieci księcia Adama. Ożeniony następnie, na wdanie się księżnej Izabelli otrzymał posadę Sekretarza Izby edukacyjnej i urząd ten sprawował lat 18. Okazany talent zalecił go też wkrótce królowi. To zbliżenie się i poznanie ze światem na różnych szczeblach towarzystwa, rozwinęło wrodzony talent i ukształciło smak młodemu pocie, którego charakterem głównym jak innych poetów głównych okresu była przedewszystkiem wesołość i satyryczność. Zabłocki poczuwszy w sobie poetyczny popęd i zdolność, pisał najprzód za wzorem Naruszewicza *Sielanki*, pisał i *Satyry*; lecz w rodzajach tych lubo okazał i płynność i wdzięk i dowcip, był jednak za rozwlekły,—uczynił jednak następnie na wzór swego protektora (autora Panny na wydaniu) próbkę napisania sztuczki dramatycznej i okazało się iż była to forma najwłaściwsza rodzajowi jego talentu. Najpierwszą tą sztuczką była komedya ze śpiewkami (czyli jak się dziś zowie *wodewilek*) p. n. *Balik gospodarski* napisana i przedstawiona po raz pierwszy w owoymże 1780 r.

Zabłocki pisał sztuki prozą i wierszem, treści dłuższej i krótszej, oryginalne i tłumaczone, dramata czarodziejskie i wodewilki i miał napisać w ogóle do sztuk 80, lecz mówimy tu głównie o jego komedjach oryginalnych i drukowanych; tych nie mamy wpra-

wdzie więcej nad 10 (pięć wierszem a pięć prozą), ale charakter ich i zaleta dostateczne są do przyznania ich autorowi miejsca o jakimś rzekliśmy. Nazwiska komedyj tych są: wierszem: *Zabobonnik*, *Fircyk w zalotach*, *Mężowie poprawieni*, *Złota szlafmyca* i *Sarmatyzm*. Prozą: *Balik gospodarski* (ze śpiewkami), *Wielkie rzeczy i cóż mi to szkodzi*, *Doktor Lubelski*, *Dziewczyzna sędzią* i *Taradajka latająca* czyli *Arlekin Mahomet*.—Komedye Zabłockiego nie były zapewne arcydziełkami pod względem swój treści. Z wyjątkiem komedyi *Sarmatyzm* (w której autor chętkę do sporów granicznych i przechwałki z rodu nazwawszy *Sarmatyzmem* i okrywwszy je śmiesznością mógł wpłynąć na zmniejszenie tych wad) treść wszystkich innych sztuk Zabłockiego jest zwykle bez dodatniego znaczenia lub raczej ma cele jawnie ujemne, to jest zapewnianie zwycięstwa figlom, filuterstwu, pustocie, częściej galanteryi i t. p., wadą też spólną treści wszystkich są role przeważne służących i ich wpływ na wszelkie zawiązki i główne akcye w sztuce (od téj wady niewolnym jest i *Sarmatyzm*); ale stroną silną i wyrazem talentu w tych sztukach jest wykonanie szczegółów, a mianowicie wyborna *charakterystyka* osób, sceny i sytuacye wszędzie rzetelnie komiczne, a nadewszystko zarówno w sztukach wierszem jak prozą *dIALOG*. DIALOG Zabłockiego jest to jego właściwość, w której jak nie miał poprzednika tak i dotąd niedorównany. Komedye spółczesnego nam Alex. *Fredry* bogatsze są bez zaprzeczenia różnaitością kreślonych charakterów, wyższością sytuacji, rodzajem komiki, ale nie dorównują lekkości i krajowości wiersza Zabłockiego.

DIALOG w komedjach Zabłockiego równie prozą jak wierszem jest lekki i zręczny, ale mianowicie w toku wierszowym jest dziełem właściwiej mu sztuki. Tok wiersza Zabłockiego w komedyi nie ma ani cienia latynizmów, germanizmów lub gallicyzmów, tak jest wszędzie ściśle krajowy; odznacza go mianowicie bogactwo przysłów, zbliżonych blisko-znaczników, śmiałość władania dźwiękami, formami i t. p.; jest zaś przy tém tak jasnym i płynnym, w rymach i zwrotach tak nie naciągnionych, iż rzeczy można że nie był nawet sztuką, gdybyśmy nie wiedzieli zkądnąd, że te pozorne łatwości, są w istocie najmniej łatwemi do osiągnięcia. Jakoż pod tą szatą lekkości, tyle tu było właściwie istotnej sztuki; pod barwą pobieżnych myśli tyle charakterystyki, znajomości świata, rzutów nawet przetrwałej i nieraz głębszej myśli, że z téj strony talent Zabłockiego talentowi wzoru jego (którym był francuzki Molier) nie ustępował.

Za dowód owego bogactwa słowa, lekkości toku, może służyć każdy pierwszy lepszy wiersz albo ustęp ze sceny Zabłockiego; dla jakiegokolwiek objaśnienia praktycznego weźmy pierwszych kilka, jak nam się trafiają:

W zaczęciu np. komedyi: *Fircyk w zalotach*, *Pustak* (służący Arysta) postrzegając *Świstaka* (służącego Fircyka) woła:

Witaj pożądaný

Świstaku, urwipolciu, stary lisie szczwany!

Cóż tu robisz? jak się masz?

W zaczęciu sceny II aktu Igo komedyi: *Mężowie poprawieni*, Gamrat (niezadowolony iż go spłoszyła w wycieczkach wierna służebnica żony Dorotka) wchodząc woła:

Jakżeś się długo wlekła!

a na to *Dorotka* (szczerze):

...Kiedy kto tak zmyka
 Jak wpan posuwistym krokiem dromedora,
 Sążnistego miéchy krok potrzeba drażnika.
 Biegłam i przystawałam. W tych latach tak prędki!
 Tu jest, już ci go niema, i ginie z nienacka.
 Gdzie u Boga Nowy-świat, a gdzie Sakramentki,
 Nie po drodze nam była ulica Trębacka,
 Po cóż pan tam wyboczył? błotna ta ulica
 Nie najlepšíj podobno w Warszawie dziś słynie...

Charaktery które Zabłocki kreślił w swych sztukach, nie były to charaktery ani historyczne ani arystokratyczne, były to charaktery najwięcej klass średnich, zawodów albo ułomności i cech najpowszechniejszych, jako np. lekarzy, prawników, zakochanych, graczy, tchórzów, opilców, filutów i t. p. wszystkie je kreślił satyrycznie, tak dyalogiem jak i sytuacją,—charakter jednak który najczęściej kreślił, w kreśleniu którego celował, i który kreśląc przedstawiał zarazem i główny charakter epoki sobie współczesnej, był to charakter pustaków modnych czyli *fircyków*.—Zkąd się wziął u nas w epoce Stanisława Augusta ten wyraz *fircyk*? który do téj epoki i od téj epoki nie był i nie jest u nas używany, nie wiemy z pewnością; nie pochodzi on z żadnej obcej mowy, choć za taki najczęściej w słownikach ogółowie jest podawany. Co do nas po raz pierwszy spotkaliśmy się z nim w *Pannie na wydaniu* (nie znał go jeszcze i *Bielawski* w *Natętach*); zdaje się że autor *Panny* który równie jak Krasicki, Bohomolec i inni, tworzył nazwiska osób w swych sztukach od różnych przymiotów i ułomności, stworzył nazwisko *Fircyk* od wyrazu dawnego *firka* (lichotka) a powodzenie charakteru na scenie upowszechniło nazwisko i w mowie potocznej. Za Stanisława Augusta nie było prawie wesołego wierszyka a zwłaszcza satyry i komedyi w którychby nie występował *Fircyk*; jest też on ledwo nie w każdej sztuce Zabłockiego, a w jednej z nich jest nawet jój bohaterem wyłącznym i daje jój napis. Sztuka ta jedna z najlepszych Zabłockiego ma nazwisko *Fircyk w zalotach*. Przez ten przydomek *Fircyk* rozumianym był galant, ale galant *wietrznik* i *pustak*, który za sobą nic nie miał oprócz galanteryi (1).

(1) To téż zapewne było powodem, iż kiedy *Zabłocki* na jednym z obiadów czwartkowych u króla, czytał po raz pierwszy swego *Fircyka* w *Zalotach*, słuchacze mając podejrzenie iż to typ *Węgierskiego*, wołali co chwila: „to ou!” „to nie ou” (ob. opis tego obiadu w dziełach *Hoffmanowej*). *Węgierski* nie był wyłącznie pustakiem a więc *fircykiem*.

Był to zwykle potomek jakiejś możniejszej rodziny, przywykły do wygod, lecz nie do pracy, którego zajęciem przeto stawała się wkrótce gra, przymiotem długi, a środkiem do wyjścia z nich też gra, polowanie na posag i względy u kobiet; takim też właśnie jest bohater i takiem źródło akcji w komedyi Zabłockiego *Fircyk w zalotach*. Treść sztuki tej jest następująca: *Fircyk* zgrawszy się w mieście, przyjeżdża na wieś do dawnego towarzysza zawodu *Arysta*, mając zarazem na oku znaną mu siostrę jego, młodą bogatą wdowę *Podstolinę*. *Podstolina* mimo swą słabość nie zgadza się oddać ręki po świeżej stracie męża, ale intrygi służących, plotki o mniemanych miłostkach i powodzeniach *Fircyka* w Warszawie, obudzają jej zazdrość, i kończy się sztuka małżeństwem.

Takie są ramy tej sztuki. Dla objaśnienia zaś tego co rzekliśmy, i przypomnienia tak dziś zapomnianego talentu Zabłockiego, przytaczamy tu z niej parę scen t. j. te właśnie które kreślą ów główny charakter sztuk tego autora: t. j. samego *Fircyka*.

AKTU Igo SCENA V.

(*Fircyk przybywa na wieś*).

Aryst (w szlafroku).

Gość; gość luby! mojego witam dobrodzieja.

Fircyk (ściskając go silnie).

A! jak się masz poczciwy wieśniaku!

Aryst (wyrывая się).

E!.. je! ja!

Stój dla boga! co robisz starościcu? bokil!

(*Wydarłszy mu się*).

A, mój panie, jak widzę mógłbyś dusić smoki.

Fircyk. U nas w Warszawie takie jest przyjaźni hasło,

Aryst. A niech cię licho weźmie, aż mi w karku trzaśło.

Fircyk. Tylkobys się nie pieścił.— Cóż tu u was na wsi?

Zdrowsi, bogatsi od nas?.. lecz my za to żwawsi.

Aryst. A w Warszawie co słycać?

Fircyk. Żle bardzo, pomorek...

Aryst. (*uląkłszy się odskakuje*).

Na ludzi?

Fircyk. Jeszcze gorzej...

Aryst. Przebóg!

Fircyk (*śmiejąc się*) Na mój worek.

Zgrałem się jak ostatni... szeląga przy duszy,

Ci nasi kartownicy gorszy od Kartuszy;

Złapawszy mię onegdaj nie puścili póty,

Aż z ostatniego grosza zostałem wyzuty.

Tak dalece... że w jednej godzinie, gotowem,

Holenderskiem, ważacem, złotem obrączkowem,

Przegrałem tysiąc dusiów; a co mi w szkatule

Brakło, musiałem wydać wexel na Trzy Króle,

Na kontrakty do Lwowa... (ale będę w Dubuic:
Zje kata kto mię złapie)...
Lecz wreszcie, martwi mię to, straciłem tak wiele.

Aryst. (*filozofując*).

Oj! trzebaby, trzebaby waści w kuratele...
Czy można! przy tak zacném młodzieniec imieniu,
Piękných przymiotach, sercu dobrém, znaczném mieniu,
Czy można się zapuszczać w nałóg tak fatalny?

Małoz człowiek *wrodzonych* ma w sobie zdrożności?
Zmysły z duchem walczące, z cnotą namiętności;
Ból, tęsknotę, zgryzoty, niepokój, choroby,
By jeszcze nowych szukał, przez obce osoby.

Fircyk.

Móże ty filozofie! mój ostry cyniku!
Dobry syllogizm w szkole, lecz nie przy stoliku.
Schowaj się z moralami, nie prosiłem o nie,
Ratuj mię, podaj rękę, bo ostatkiem gonię.
Nie mam nic, prócz stałego do gry przedsięwzięcia;
Czy nie wiesz czasem jakiej wdówki do najęcia?
Mniejsza o to czy stara, czy młoda, garbata,
Prosta, chroma, czy ślepa, byleby bogata,

Ciężkież to teraz czasy, serce człeka boli;
Kiedy ludzie żyć dobrze umieliby: goli.
Źle u nas, zewsząd bięda. Minery Olkuskie
Zalane, żupy wpadły w kordony Rakuskie,
Zboże tanie, cło drogie, ojciec mój znów sknéra
Stary jak kruk, nie daje nic i nie umiera.

Ożeniłbym się z jaką ciepłą babą
Notandum z babą starą, z babą dobrze słabą,
Ale cóż? bab do dyabła! ładuj niemi bryki,
Są i bogate, cóż ztąd? zdrowe gdyby byki.

Ale co téż ja darmo trudzę sobie głowę, —
Przypomniałem, znam jedną, cud piękności wdowę.
Nieźleby się koło niej zawinąć nareszcie:
Pożycz mi przyjacielu dukatów ze dwieście.

Aryst od pożyczzenia wzbrania się, ale siada do gry, i przegrywa dukatów 900; tu z kolei filozofuje już *Fircyk* i czy to dla pocieszenia *Arysta*, czy téż dla uniewinnienia siebie tak mówi:

Powiedz mi co są ludzie? co ten świat nasz znaczy?
Jeżeli nie szulernią mieszkana od graczy,
Całym światem przypadek i los rządzi ślepy,
Temu dał lokiec, temu szablę, temu cepy,
Ci się poca w usługach, ci w przemocy tyją,
Oddajże wszystko to co własnością jest czyją.

Niech swą słuszość w dział ludzi wda pomiarkowanie,
 Wieleby się w przeciwnym znaleźć mogło stanie;
 Co gdy tak jest formuję sobie *entimema*:
Gra świat cały, więc żadnej w grze zdrożności nie ma.

(*Po niejakić jeszcze rozmowie żegna gospodarza i odchodzi przywitać się z gospodynią*);
Aryst. zostawszy sam mówi:

Straszniejszy dla mnie humor tego paliwody!
 Wychodząc oświadczył się pójść do mojej żonki,
 On trzpiot, ona trzpiot: mówić nie będą koronki.

AKT II SCENA V.

FIRCYK, PODSTOLINA (*w żalobie ale już z pewną kokieterią przybrana*).

Fircyk. A! moja podstolina! cóż to za odmiana?
 Co widzę! takeś mi dziś gustownie ubrana,
 Te kwiatki, te kosztowne fraszki, te trzęsidła,
 Niech mi się godzi spytać: na kogo to sidła?

Podstolina. Pewno nie na wacpana.

Fircyk. Pozwól że nie wierzę.
 Cóż ma znaczyć to śmierci ze światem przymierze.
 Ta żaloba z jasnemi zgodzona kolory?
 Ten włos gwoli zwyczajcom utrefion w kędziory?
 Te oczy....
 Które mi mimo przymus, przez skryte tajniki,
 Serce miękkie, nie umysł znać się daje dziki?
 Wszystko to tysiąc wdzięków jedna twój osobie,
 Stokroć ci jednak będzie lepiej *nie w żalobie*.

Podstol. (*udając gniewną*).

Pókiż to tych wacpana żartów i swywoli,
 Nie widzę w nich ni pigtna dowcipu ni soli;
 Nie ten mój panie z naszą płcią zabaw gatunok,
 Jedna wam przywiązanie, względy i szacunek.
 Zamiast co byś pokorny, powolny i cichy,
 Miał *szukać* wzajemności idziesz drogą pychy.
 Służ, nadskakuj i bój się i wahaj w nadziei:
 Te są drogi do serca, tém się miłość klei,
 Na to mało lat dziesięć, nie żeby w momencie,

Fircyk. (*z uśmiechem*).

Prawda, sam to czytałem w Starym Testamencie.
 Co więc powiem, dziesięć lat nie będzie wiele,
 Kiedy Jakób czternaście służył za Rachelę.
 Ale to Podstolino, stara czasów data,
 Inne były zwyczaje, inna postać świata;
 Ludzie wtenczas po 300 lat żyli z okładem.

Ale, ale, *à propos*, pani mi mówiła
 Że ją nudzę, że moja bytność tu nie miła,
 Jakże się to z zamiarem zgodzi lat dziesięci?
 Jednak chcę się stosować do twój pani chęci.
 Ale radzę... żeby to mogło być wygodniej,
 Zredukujmy lat 10 na kilka tygodni;
 Albo też żeby jeszcze rachować dokładniej,
 Po co czekać lat 10, zróbmy to za dwa dni.
 Wszak gdy komu tak miłość jak mnie się nie darzy,
 Inny bieg czasu, inny pomiar kalendarzy,
 Z chwil miesięcy, dnie z godzin, lata idą ze dni,
 Tak na czas utyskują, kochankowie biedni.
 Cóż znaczy ten wzrok pani do śmiechu skłoniony?

Podstolina (*śmiejąc się*).

Czy podobna się nie śmiać na takie androny!

Po scenie zostawszy sama.

Jakże mnie ta zmyślona rozpacz jego wstydzi,
 Wię o tém że go kocham, wię i z tego szydzi;
 Tryumfuje nademną, swe zwycięztwa lubi:
 Gdybyż się niemi cieszył.. lecz się tylko chlubi.

Widzieliśmy na scenie w dyalogu: *Fircyka gracza*, *Fircyka kochanka*, przytoczymy tu jeszcze dla pełności scenę mającą nie wielki odcień, ale zawsze mającą pewny odcień, *Fircyka-przyjaciela*. Scenę tę bierzemy ze sztuczki Zabłockiego z roku 1783 p. n. *Żółta szlafmyca*. Sztuka ta jest to komedia wierszem ze śpiewkami (muzykę do aryjek pisał Kajetani),—jest to sztuczka w pół fantastyczna, lecz jedna z tych w których szczególna rzutność komiczna służyła autorowi od początku do końca. Treść jęj następna:

Bożek Merkury daje bohaterowi sztuczki *Czesławowi* (ojcu rodziny) na prezent w dzień Nowego Roku *Żółtą szlafmycę*, to jest mającą własność, iż ile razy wkładał ją na głowę, mówiący do niego bez wiedzy swojej mówił to co istotnie myśli; były to wyborne ramy do satyry, i skutek ten wypadł mianowicie komicznie w dzień właśnie Nowego Roku, gdy przychodzący z kolei winszować *śługa, restaurator, żona* i t. p. wcale co innego w treści powinszowania mówią niż mówić mniemali. Ze sztuki tęj przytaczamy scenę *Czesława z Fircykiem* (przyjacielem).

AKTU III-go SCENA I.

CZESŁAW (*naturalnie bez szlafmycy przy gościu*) i FIRCYK.

Czesław (*podając kieliszek*).

Jeżeli ceremonje mogą przystać komu,
 To nie tobie któryś jest przyjacielem domu.
 Racz ich tedy zaniechać: chcę tego i proszę.

Fircyk. Jest to ciężar najskodszy który chętnie znoszę.
 Dla ciebie gotów jestem na ciosy, na szwanki,
 Za cóż się przyniewolić nie miałbym do szklanki.

(na stronie)

Naczczo żołądek oblać nie jeszcze nie jadłem,
Pierwszy raz obiadowej godziny nie zgadłem.

(głośno)

Czyżęś będziem pić zdrowie na tak dobrém winie?
Godziłoby się najprzód kochanej ojczyzny,
Ale ona ma swoje w Piotrkowie, w Lublinie.
Głoszą je posiedzenia, sejmiki, kiermasze,
Ot najlepiej zrobimy... wypijmy za nasze!

(wypiuwszy)

Dobrodzieju! a toć to wino specjalne.

Czesł. Nie lura, panie bracie, wino kapitalne!

Fircyk. Cóż u ciebie nie smaczne! a toć to jest prawie
Takie, jakiego jeszcze nie piłem w Warszawie...

Czesł. Przypadkiem dostałem go, miałem nieboszczyka
Brata, świętej pamięci księdza kanonika.
Dalej! jeszcze, po jednej...

Fircyk. Ze też gniazdo twoje
Tak płodne w wielkie ludzic, w szlachetne heroje.
Przynajmniej z Okolskiego jak wiem, jak się uczę.
Były w domu Czesława i laski i klucze!

Czesł. Już je dawna odległość w niepamięć uniosła,
Już od stu lat mospanie, mijają nas krzesła,
I ja prywatnie żyję...

Fircyk. Ale, co też robie!

Spiełem się jak szewc; jeszcze nie wieszowałem tobie.

Czesł. Mniejsza o to, mój bracie.

Fircyk. Lecz nie wiem co powiem,
Wieszowałem tego co masz nic zaś do życzenia.

Czesł. Wdzięczyen jestem, mam jednak moje umartwienia.

Fircyk. Tybyś miał umartwienia? mów, niech je podzielę!

Czesł. (na stronie).

Dobre serce! jak rzadcy tacy przyjaciele.

(zaczyna kichać).

Fircyk. Sto lat zdrowia! i jeszcze, drugie sto do pary,
I jeszcze stol... dopókiż tego znowu będzie?
A toć to przyjacielu łeb ci się rozsiędzie.
Czas wilgotny, powszechnie panują katary;
...Czy nie lepiej byłoby w szlafmocy,
Proszę cię, dozwól tego, niech ci ją sam włożę.

(bierze ze stolka i kładzie mu na głowę).

Czesł. Na to trzeba się we łzy rozplynać z radości,
Tyle przyjaźni, tyle serca uprzejmości.

(patrząc na Fircyka iż ten rzuca oczyma po stronach).

Cóż to ci? mina twoja tak nagle zmieniona?
Szukasz czegoś, jak gdybyś znalazł się w potrzebie,
Albo jakim kłopotcie?

Fircyk. Gdzież waścina żona?

Czesł. Pewnie chcesz jój wieszować? musi być u siebie.

Fircyk.

Pewno że warta tego, komuż jeśli nie jój
Winiem ożywienie gasnących nadziei?
Kawaler *de fortuna*, prócz talentów świata,
Niemający własnego w kieszeni dukata,
Widzisz przecie jak głośną w stolicy gram rolę.

Jaką mam garderobę, koniki, kolaski,
Raz mówiłeś: muszą ci dawać franmazony,
Nie zgadłeś przyjacielu, są to kobiet łaski,
Znajduje się w tém trzeci grosz i twojej żony.

Czesł. Al! lucyfer wcielony! otóż się odkrywa
Pocziwość żony mojej...

(*Fircyk śpiewa*).

Nadto szczęśliwy na gacha,
Jak się ja nieraz naśmiałem;
I teraz śmieję... cha, cha, cha!
Jakim téż waść jest cymbałem i t. d.

Czesł. Otóż to są przyjaciele
Nadtom się dowiedział wiele:
Szubienice, stryczki, haki,
Na przyjaciół rodzaj taki i t. d.

Czas kwitnienia talentu dramatycznego Zabłockiego był głównie od r. 1780—1785; od straty żony (1787 w boleści po której pocieszał go jego przyjaciel od lat młodych Książnin poczują: *Zale Orfeusza*) nie widzimy już jego oryginalnych komedyj. Z latami i biegiem wypadków życia i miejsca, humor i upodobania tego autora zmieniły się z gruntu; gorliwy pracownik dla świata, żartowniś i sam galant, w roku 1794 rzuciwszy rodzinne miejsce udał się do Rzymu i tam przywdział sukienkę duchowną; wróciwszy do kraju w roku 1797 objął najprzód probostwo w Górze, następnie w roku 1800— po przeniesieniu się ztąd ks. Piramowicza do Międzyrzecza— w *Końskowoli*, i stawszy się (jak o tém wzmiankuje przygodnie autor *Myśli o piśmie polskich*) równie gorliwym sługą duchownym jak pierwój był sługą świata (1), do pióra humorystycznego i satyrycznego wicęj nie wrócił, lubo żył jeszcze do roku 1821. Nie wiemy z pewnością jakie mianowicie były a nawet ile było utworów dramatycznych Zabłockiego. Chociaż bowiem wydawca pierwszego i jedyne go zbioru dzieł jego ogłoszonego dopiero w roku 1830 (F. S. Dmochowski) w przedmowie objaśnia iż według twier-

(1) Prócz ogłaszanych dramatów i poezyj treści wesołej, *Zabłocki* wzbogacił téż literaturę krajową, nie jednym przekładem dzieł różnej treści i między innymi wydał w roku 1775 *Rozmowy Sokratyczne* 1788—1789 *Dzieła St. Reala* Tom V 1793, *Tom Dżoń* romans Fieldinga T. 3 i i.

dzenia ks. Góreckiego, (który był zrazu wikarym a potem następcą Zabłockiego w Końskowoli) miał on napisać sztuk 80, nie wiemy jednak czyli twierdzenie to które ks. Górecki słyszał zapewne z ust samego autora było oznaczeniem istotnej liczby, czy może tylko sposobem wyrażenia. Zabłocki w ostatnim roku życia poprawił i złożył w Puławach sztuk tylko swych głównych 5, które téż właściwie były użyte do wydania.—Od Zabłockiego, do epoki nowej a mianowicie do Alexandra *Fredry*, nie ukazał się u nas w ogóle żaden talent teatralny któryby o pierwszeństwo na polu komedii z autorem *Fircyka* mógł walczyć; za najlepszego z naśladowców może się uważać *Drozdowski*. Sztuka tego poczytywana za najlepszą (*Bigos hultajski*) należy już do XIX wieku, pierwsze zaś które mu od razu głośność dały i były poklaskiwane i przez króla, należą właśnie do czasów, o których mówimy; były to mianowicie komedia z roku 1780 *Literat z biedy* aktów 4, i komedia z roku 1788 *Umizgi dla przysługi*. Zaletą i charakterystyką odznaczającą komedye Drozdowskiego jest wiersz nader gładki i płynny, wiersz ten jednak nie ma bynajmniej siły i oryginalności toku wiersza Zabłockiego, a treść sztuk ani tych charakterystyk, ani tych sytuacji komicznych któremi ten celował.

Niejedność akcji i pogmatwanie pomysłów są cechą i jego ostatniej sztuki, i pod tym względem dobrze ją charakteryzuje jej napis: *Bigos hultajski*; podobne jednak Bigosowi były i inne, lubo bez tego nazwiska. Oto jest np. treść sztuki *Literat z biedy*: *Amorata* bogata wdowa jest zmuszoną co najprędzej kogoś poślubić, czyni więc tę propozycję *Biedaszowi* ubogiemu literatowi. Biędny literat w zachwyceniu, i choć właśnie wydrukował był traktat przeciw bogactwu i przeciw małżeństwu dla posagu, przyjmuje propozycją; rzeczywście pozycza to komiczna ale wnet następuje komiczność druga, t. j. iż Biedasz otrzymuje wiadomość o przypadłym na niego bogatym spadku i ztąd radość powszechna. Ta druga komiczność (*sukcesya*, jakby drugi grzyb w barszczu) znosi jednak właściwie komiczność; jestże to bowiem nagroda Biedosza za zaparcie się zasad? czy Amaty za jej ułomności? Ozdobą sztuczki jest głównie wiersz gładki a w scenie wahania się Biedosza jest nawet rzetelnie dowcipny; np. kiedy Biedosza sługa *Frontyn* perswadując mu mówi:

Mamyż żyć zieleninką samą? wszak uczeni
Niesłychać, by tracili mądrość od pieczenia?

lub Biedosz sam po namyśle:

A chociaż sprzeczne temu popisałem tomy,
Choć ciasny kął nad świetne ulubilem domy,
Chociaż wykląłem miłość, znikczemnił rozkosze;
Kobietki nazwał marą, omamieniem grosze,
Tom podobno w tém zawarł co widzę i słyszę:
„Że nie sobie lecz komuś człek prawidła pisze.”

Uwaga ta nie była zapewne wygwizdywana; śmiać się z moralów i moralistów było to właśnie modą wieku.

Ale jeżeli przez cały ten przeciąg nie ukazał się komik z powołania téj skali, (jak był Zabłocki), ukazała się jednak w tym czasie, i właśnie przy końcu jeszcze XVIIIgo wieku, kompozyca która może pod względem głównej zalety sztuk Zabłockiego (t. j. świeżości i lekkości ich dykcji) nie dorównywała mu także, która jednak i tę stronę w budowie swojej miała wyborną, a obejmując zarazem dodatnią treść: charakterystyki i układ mistrzowski—stała się już nie tylko „godną kwiatu” ale rzetelnym kwiatem rośliny komedyi naszej z wieku XVIIIgo i nawet jedną z tych sztuk, które mogą być zaliczone do arcydziełek w Historji ogólnej komedyi. Kompozycą tą była komedya J. U. *Niemcewicza* mająca napis (niedający zapewne wcale przewidzieć komiczności zawarcia): *Powrót Pośła*.

Poznajmy tu bliżej treść i kilka przynajmniej charakterystyczniejszych szczegółów téj sztuki.

Przedmiot towarzyskiego obrazku w téj sztuce jest z r. 1790, to jest z czasu kiedy w Warszawie odbywał się sejm tak zwanych *Stanów skonfederowanych* i nastąpiła była limita tego sejmu czyli przerwa, w której posłowie wracali do domów i następowały nowe wybory. Rzecz się dzieje na wsi w domu Podkomorstwa. Teressa młoda i bogata córka Starosty a wychowanka domu Podkomorstwa (powinowatych nie żyjącej jój matki) jest przedmiotem ubiegania się młodzieży. O rękę jój ubiegają się mianowicie *Walery* syn podkomorstwa, jeden z młodych a czynnych posłów na sejm, wracający właśnie do domu, i również przybyły świeżo z Warszawy modny kawaler *Szarmancki*. Dla Teressy podzielającej zasady domu, przyjaciółki postępu i pracy, przedmiotem i miłości i admiracyi jest *Walery*, ale (przybyli właśnie dla odwiedzenia podkomorstwa) rodzice jój, to jest *starosta* ojciec, stronnik czasów saskich, i macocha dama modnego świata wcale nie podziela ją jój upodobań; starosta iż wyznaje zupełnie przeciwne zdania o administracyi kraju, niż dom podkomorstwa, *staroscina* iż przedmiotem jój zachwycenia a więc protekcyi jest *Szarmancki*. Przy téj protekcyi związek Teressy z *Szarmanckim* stanowczo postanowionym zostaje, ale na szczęście jój modny kawaler przedewszystkiem zażądał posagu, otrzymawszy na to odmowę wynosi się i Teressa zaręczoną zostaje z tym, którego przeniosła.

Sztuka ta jak to widzimy już z tego zarysu, jest to komedya nie tylko towarzyska, lecz w części i historyczna. W akcyi jój nie mają wcale, jak we wszystkich ówczesnych sztukach naszych, głównej roli śludzy i ich intrygi, ale się ta rozwija poważnie, naturalnie, a z osób do sztuki wprowadzonych każda oddzielnym jest typem. Starosta stronnik dni saskich, wyznawca zagorzały przywilejów *elekcji* i *liberum veto*. Podkomorzy stronnik wyobrażeń nowych, uważanych coraz powszechniej za postępnę (to jest swobody nie bez granic i przywilejów nie jednej klasy wyłącznie).

Walery syn jego wyznawca tychże nie tylko teoretycznie, ale działający w ich duchu praktycznie, staroscina typ damy ówczesnej modnej, — Szarmancki młodzieży modnej, — i wreszcie Teressa, córka już raczej początku wieku XIX niż końca XVIII.

Cel sztuki jak to widzimy także, jest dodatnim i jest kontrastem z celem innych sztuk ówczesnych; tu już nie próżność, nicosć, przebiegłość (słudzy, Fircyki) ale zasługa i praca jest wygrywająca; tu nie Sieciech ale Walery sztuki Trembeckiego przedstawiony ujemnie. Autor jakby dla tém dobitniejszego kontrastu w celu, przyjacielowi pracy dał tu właśnie imię Walery. Tém więcj tkwiła dodatność w zwrocie do celów społecznych; autor sztuki który wtedy i sam był czynnym posłem, umiał skorzystać z usposobienia miasta i jego słabości teatralnych, i owe spory o zasady, które się rozwijały polemicznie przez traktaty poważne umiał przenieść na pole sceny i może skuteczniej podziałał na zmianę i ukształcenie się opinii nowych, niż owe najpoważniejsze wywody.

Treść taka rozwiniętą téż jest w akcji foremnej, szczegółój jej nie są tu ani za rozwlekłe ani przelotne; charaktery i sytuacje symetrycznie odkreślane i prowadzone. Celowość nie odejmuje tu wcale żywości; rozumowania nie zamieniają się nigdzie w suchą dydaktykę, szatą ich wszędzie przeciwnie jest sama dramatyczność i komika. Wiersz dyalogu jest tu wszędzie nietylko gładki i płynny lecz i dowcipny. Młodemu autorowi téj sztuki natchnionemu okolicznościami i wiekiem swoim, od początku do końca służyła tu ciągła werwa, jakiej potém nigdy już nie odzyskał. Nie jedno wyrażenie z tych dyalogów zamieniło się było jak jeszcze zapamiętać możemy, w powszechnie powtarzane przysłowie. Jak dowcipnie np. zironizowane tu były i rozumowania i zasady ówczesnej zacofanej mniejszości w owéj tyradzie Starosty która się zaczynała od słów:

Bóg wie co porobiły sejmujące stany!

a kończyła się tém westchnieniem do czasów dawnych:

Człek jadł, pil, nic nie robił i suto w kieszeni.

lub znowu rozumowania o polityce polityków zaściankowych, w dyalogu tegoż zwróconym do którójś damy a którego początek:

Wacpani nie pamiętasz wojny siedmioletniéj i t. d.

Jak znowu lubo krótkie ale jasne i trafne wszędzie wyrażenia Podkomorzego, Walerego i t. p. w owych lekkich polemikach.

Wszakże jak w sztuce każdój z owego czasu tak i téj pierwiastek który śród akcji najwięcej przemagał, talentem przedstawienia górował, i tém samém charakter czasu najdobitniej odznaczał, była to galanterya, a ztąd i typy z téj sfery, a mianowicie: przyjaciółka świata i mdłości młoda żona podżyłego starosty *Staroscina* i *Fircyk* z komedyi Zabłockiego tu nazwany *Szarmancki*, to typy najwykończone.

Typy *Fireyków* poznaliśmy już ze scen Zabłockiego dla poznania dykcji i talentu autora w sztuce o której mówimy, przytoczymy tu z niej typ *modnej damy*, a przeto scenę między Szarmanckim i Starościną w której główną rolę ma ta ostatnia. — W akcie II Walery dopiero przybyły z Warszawy, ujrzawszy się z Teresą i otrzymawszy od niej dowód stałego zajmowania się nim w wyszytej jakiejs pamiątce, rozmyśla pełen uszczęśliwienia kiedy postrzegłszy go, wpada i ściska go niegdyś towarzysz szkolny a dziś rywal Szarmancki. Ta scena między Walerym i Szarmanckim, w której główną rolę ma ten ostatni jest także jedną z najcharakterystyczniejszych i żałujemy że dla jej obszerności a naznaczonych sobie granic nie możemy jej całkiem przytoczyć. Szarmancki opowiada tu mianowicie o swém szczęściu kiedy śmierć ojca uczyniła go panem majątku, jak postanowił zaraz poznać obce kraje, i kreśli wrażenia z nich; dla Walerego który będąc zajęтым urzędzeniem własnego, tak się interesował wieściami o tych zmianach społecznych które następowały spólcześnie w Paryżu, tą organizacją którą się cieszyła W. Brytania, wiadomości te były bardzo pożądanane, ale zapytania i odpowiedzi interlokutorów dają tu prawdziwie komiczny kontrast.

Szarmancki dając żądane objaśnienia, mówi tu np. o Francyi.

Nie uwierzysz, w Paryżu jakie teraz nudy!

o Anglii:

Byłem i w parlamencie, tak jak u nas, *krzyki!*

o powrocie do kraju i swém tu następnie zajęciu się znouwu tak:

Lata przeszłego, gdyście na sessjach siedzieli,
Gdyście się przez dzień cały męczyli, krzyczeli,
Ja z pudrem i z pomadą włos zczesawszy wonną,
Wsiadłszy w mą karyolkę, albolitéż konno,
Obleciałem Mokotów, Wołę, Królikarnię,
Łazienki i Powązki; czasem Bażantarnię,
Wieczorem przebrawszy się, przy powiewnym chłodzie
Łajałem wraz z drugimi sejm w Saskim ogrodzie i t. d.

Po tych wzmiankach, przechwałkach i daniu uczuć rywalowi swojej (jak sądził) wyższości, schodzi wreszcie do głównego rzeczywistego celu swego przybycia i widzenia się z Walerym i zapytuje go czyli to prawda że ma zamiar żenić się? zarazem zaś kreśli swe ciężkie położenie, iż go zmuszają do tego także, ale mu niepodobna wybrać wśród kroci konkurentek naglących; dla rozrywki rozkłada otrzymywane pamiątki i mimo prośby Walerego iżby nie wydawał przynajmniej nazwisk, wymienia osoby w głos:

To portret cześnikowój, włosy podczaszanki,
Obrączka chorążyny, pierścień kasztelanki etc.

i wśród innych ukazuje wreszcie z tryumfem i portret Teresy od niej otrzymany. Krok ten wydaje jednak skutek przeciwny. Wa-

lery zamiast zwątpienia o sercu i charakterze Teressy, uznaje że i wszystkie inne upominki równie być mogą zmyślane, wpada jednak zarazem w gniew i zaprzeczając, żąda zadość uczynienia za oszczerstwo wychowanki rodziców, a na to Szarmancki spokojnie:

Ale po co te gniewy? dlaczego ta żywość?
Gniewasz się że kochanka ciebie oszukuje!
Śmiać się należy.

(*Tu właśnie posłyszawszy tę zwadę wchodzi Starościna w dezabilu i z miną omdlewającą.*)

Starościna. Jakiż ja hałas znajduję?

do Walerego:

Cóżto? Wacpan wyrabiasz tak okropne krzyki?
Parlez plus bas wszak to nie wasze sejmiki,
La tête me fait mal wszystkie nerwy mi wstrząsnąłeś,
Z odmianą stroju widzę i tony przejąłeś!
Wolę wyjść! bo to taka *turniura* już wasza,
Gotoweś się i na mnie porwać do pałasza.

(*Walery przez wzgląd dla matki Teressy oświadcza, iż jeżeli jego obecność jest ciężarem więc ustępuje.*)

SCENA VII.

Szarmancki. Starościna.

Starościna. *Quel ton!* po cóż tak krzyczał sposobem niecznośnym?

Szarmancki. Nie wiem zkąd mu się wzięło być ze mną zazdrośnym.

Starościna. *C'est assez drole* prawdziwie; to on kochać umie?

Szarm. A zkąd znowu? on tego wcale nie rozumie.

Jego rzecz mowy pisać, prawo zacytować,
Lecz téj tkliwej miłości nie umie pojmywać,
Tych rzutów serc do siebie, tego rozrzewnienia.

Starościna. Tych łez słodkich, tych nocy bezsennie trawienia!

Szarm. Bezsennie? on całą noc chrapie jak zabity.

Starościna. Ach! bo mu serca ogień nie pali ukryty,

Ni okrutne *suwniry!* (płacze).

Szarm. Te łzy, te rozpacz,

Porzuć proszę, bo ja się prawdziwie rozpłaczę.

Starościna. *Comme vous êtes bon, honnête*, jak masz duszę tkliwą;

Ty jeden cieszyć możesz serca nieszczęśliwe.

Szarm. Wszystkiego mi się zwierzyć możesz poufale.

Zdawna widzę że smutek, ciężkie jakieś zale

Struły ci życie, pani, ustawnieś stroskana.

Starościna. Twarz wacpana otwarta, dyskrecya tak znana,

Ufność we mnie wzbudzają, wszystko mu odkrywję.

Widzisz w jakich supirach i tęsknocie żyję?

Une perte cruelle! o Boże, w kwiecie méj młodości

Kochałam szambelana, cud doskonałości.

Quel figure, et quels talents! jak cudnie walcował,
Jakie fraki, halsztuki, ach! jak się fryzował!
Ja co zawsze nad względy mą mitość przekładam,
Mimo rodziców chciałam z nim uciec od madam,
Złączyć się z mym *idolem!*... kiedy... parki srogie
Przecięły nożyczkami dni jego tak drogie!...

(*placze*).

Szarm. O żale! o rozpacz! o dniu nader smutny!

Starościna. Nie wiesz może przez jaki przypadek okrutny?

(*wyjmuje z kieszeni pugilares atlasowy, i z niego papiery*).

Oto wierszopis jeden znany z swój czułości,

Podał go rymy swemi do nieśmiertelności.

Ja nie mam siły sama mówić o tej zgubie.

Szarm. Przeczytam... bo ja bardzo smutne wiersze lubię.

(*czyta*).

Elegia na śmierć szambelana.

Plączcie małe amorkil! plączcie Alcjony!

Szambelan już nie żyje! Szambelan zgubiony!

A z nim zginęły wdzięki, młodość i rozkosze!

Uciszcie się zefiry, zgon jego ja głoszę.

Starościna. Jakto czule pisano! o gorzkie wspomnienie!

Szarmancki czyta dalej:

Gdy szambelan do butów srebrne przypiął kolce

I przed ganek zajechać kazał karyolce,

Wskoczył na powóz świetny i wprędce podane

Chwycił jak od niechcienia lejce srebrem tkane.

Leciał, bystre bieguny nieścignione okiem

Okrywały go gęstym kurzawy obłokiem.

Zbiegały się do okna panny i mężatki,

Widzieć ten cel swych życzeń, widzieć ten cud rzadki.

Kiedy o ostry kamień koło rozpedzone

Uderza, pęka, powóz schylony na stronę

Wyrzuca szambelana, pada i umiera!

Równie świeży jak róża, żył tyle co ona,

O strato równie ciężka jak nienagrodzona!

Nigdy więcj na świecie drugi nie powstanie

Równie pigkny młodzieniec jak ty szambelanie;

W cóż się teraz obróca piękne twoje sprzączki,

Konie, fraki, łańcuszki i złote obrączki?

Ach! w cóż się twoja czuła kochanka obróci?

Plączcie małe amorki, plączcie Alcjony!

Szambelan już nie żyje, szambelan zgubiony.

Szarm. Ach! co za czule wiersze, żal mi serce ściska,
I chociaż ten przypadek nie tyka mię z blizka,
Smutny będę przez tydzień!

Starościna. Ja zaś całe życie
W *plaintach* i gorzkich żalach trawić będę skrycie.
O vous ombre chère!... (placze)

Szarm. Czemuż nieba zagniewane
Złączyć nie dozwoliły serca tak dobrane?

Starościna. Tą śmiercią omylona w najtkliwszym wyborze
Les restes de mes jours chciałam przepędzić w klasztorze,
I zostać bernardynką. Rodziców rozkazy
Nowe sercu mojemu przyczyniły razy,
Łącząc mnie *malgrè moi* z dziwacznym człowiekiem
Co się nie zgadza ze mną ni gustem ni wiekiem,
Który nawet wyrazów moich nie rozumie.
I kiedy ja w najtkliwszém jestem roztkliwieniu
On przychodzi mi gadać o życie, jęczmieniu,
O friorze do Gdańska....

Szarm.A to rzecz niezuośna.

I cierpi na to dusza prawdziwie miłośna,
Delikatnej czułości, jesteś pani wzorem.
Ach!... czemuż starościanka nie idzie jój torem?

Starościna. Jakże panna Teressa wacpana przyjmuje?

Szarm. Kocha mię... ale tego nie dość pokazuje.
Podkomorzyc ją także pono bałamuci.

Starościna. Bądź wacpan pewien że się konkurencya skróci
En vain podkomorzyna krząta się i swata,
Córki naszej nie damy nigdy za sensata.

Szarm. Zamiast romansów w których czułość i zabawa
Onby jój kazał czytać *volumina* prawa.

Starościna. Zanudziłby ją na śmierć! tego nie ścierpimy
I ja, i mąż mój nawet wacpana życzymy.

Szarm. *klekając:*

Wszechmocne nieba! coście dały *jedną duszę*,
Bym nieszczęsnej miłości ponosił katusze,
Dajcie *drugą* bym znieść mógł rozkosz niepojętą!

Starościna. Ach! wszak to słowa z *Nowej Heloizy* wzięte!
Jak szczęśliwieś przytoczył!.. takiego kochanka
En verité, nie warta zimna starościanka.

Szarm. W ręce twe składam losy i ogień ukryty.

(*odchodzi*).

Starościna. O nieba! co to będzie za mąż wysmienity!

Je suis fière de mon choix i wielbię niebiosy,
Zaraz mu starościanka musi dać swe włosy.

Powrot Posła był powtarzamy kwiatem komedii polskiej XVIII wieku; mieliśmy jeszcze po nię nie jedną komiczną sztukę, ale żaden z utworów tych ani się mógł porównać ze sztuką Niem-

cewicza; autor wielkiego scenicznego talentu, to jest znajomości sceny i dykcji teatralnej *Bogusławski* odznaczył się głównie tłumaczeniami, napisał on wprawdzie sztukę na dopełnienie *Powrotu Posła* p. n. *Dowód wdzięczności narodu* (komedia w 2ch aktach) oraz wyborną komedię prozą *Spazmy modne*, ale żadna z tych nie ma ani zalety treści ani dykcji *Powrotu posła*. *Bogusławski* obdarzył wprawdzie scenę krajową także arcydziełkiem w tym czasie, ale odznaczoném innym charakterem jak komika, satyryczność; stroną silną owego utworu jego (*Krakowiaczy i Górale*) jest raczej jego śpiewność, prostota, krajowość ludowa, i należy do działu oper.

Z ostatnich lat wieku mieliśmy jeszcze między innymi oryginalne sztuczki (dziś już nam nieznane) *Józefa Kossakowskiego* (biskupa inflanckiego) *Warszawianin w domu*, *Paniec gospodarz*, *Mądry Polak po szkodzie*, o których wspominając *Bentkowski* dodaje iż malują obyczaje krajowe; także kilka, oryginalnych również, *Marewicza* (rotmistrza województwa trockiego) a mianowicie: *Wszystko się skończyło na projekcie*, *Miłość wszystkich porównywa akt 5*, *Zona opuszczona na bezludnej wyspie*, *Szczęście w nieszczęściu* (w r. 1795--1797) wiele w nich chęci, żywości i oryginalności, ale wszystkie więcej niż mierne.

Kiedy tak śmiano się u nas i przychodziły na świat coraz częściej i liczniej talenta i natchnienia komiczne, ukazywały się również, rodziły i nad poprzednie wznosiły, podobne natchnienia, talenta i w innych krajach spólcześnie. Z kończącym się wiekiem wyraził się właśnie najdobitniej ów fakt, owa sprzeczność, o których na czele wspomnieliśmy. U nas wszyscy ci ukazali się komicy, których tu poznaliśmy. W Niemczech między innymi *Kotzebue*, w Anglii *Sheridan*, najszczęśliwszych tych krajów komicy dotąd. I w tymże czasie gilotyna francuzka i kokarda francuzka obfitsze niż kiedykolwiek żyły i krwi strumienie rozlały. Człowiek-ludzkość do lat dochodził, i wszystko na więcej olbrzymią skalę wyrażał, odbijał, nie tylko *myśli*, *pojęcia*, ale też wszelkie *uczucia*, *uczucia* barwy różowej, i barwy krwawej.



KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Cesarz Herakliusz i cesarstwo Bizantyńskie w VI wieku, dzieło p. Drapeyron. — Wycieczka archeologiczna pana Schlieman, na miejsce starożytnego Illionu. — Odkrycie szczątków świątyni Minerwy i pałacu Pryama. — Poemat chiński *Li-sao*: przekład hr. Hervé de Saint Denis. — Tydzień w Guersey Hauteville. — House, dom Wiktora Hugo. — Katalog skarbów kardynała Mazariniego, wydany przez księcia d'Aumale. — Buletyń Towarzystwa Jeograficznego. — Toast na cześć uczonych i Lessepsa. — Rozprawa o muzyce u różnych plemion, pana Chorley, odczytana w Towarzystwie antropologicznem w Londynie. — Prevost-Paradol: śmierć jego w Washingtonie. — W *Krainie Duchów*: scena dramatyczna, na cześć Kornela. — *Bunt* dramat p. Villers de l'Isle Adam. — *Cień* opera Flatowa. — Zapowiedziane publikacye poetyczne. — Parnas współczesny. — Wiersz Wiktora Hugo. — Odczyty popularne poezyj nowoczesnych, przez pannę Agar. — Edmund i Juliusz Gancour. — Nagrody akademickie. — Panna Elżbieta Garret, doktor medycyny. — Historia tajemnej kancelaryi Weneckiej.

W chwili kiedy zabieramy się do naszej kroniki, olbrzymia walka trwa w całej sile i zwraca wszystkie umysły na bojowe pola. My zostawiając gazetom codziennym i telegrafom zbieranie wiadomości z tych krwawych zapasów, wracamy na pole ducha, aby na tej mniej gwałnej niwie, zebrać sнопek nowych plonów i kwiatów Bożych.

Wspomnieliśmy w jednej z naszych kronik, o wyjściu dzieła pana Drapeyron: p. n. *Cesarz Herakliusz i cesarstwo Bizantyńskie w VII wieku*. Powiedzieliśmy wówczas, że dzieło to tak ważne dla historii Słowian, zasługuje na przekład polski. Takie wrażenie sprawił na nas pierwszy rzut oka na tę znakomitą publikacyę. Przekonanie to wzrosło jeszcze po bliższem rozpatrzeniu dzieła.

Autor stawia nam przed oczy w krótkich ale dobitnych rysach stan państwa Bizantyńskiego w VI a szczególnie w VII

wieku, to jest w epoce kiedy Słowianie pod tém imieniem występują na widownię dziejów ludzkości, kiedy Byzancyum poznaje ich z bliska i wchodzi z nimi w polityczne układy.

Historya Byzancyum i historya ojców naszych owéj epoki, tak ściśle połączone, że badanie jednej z nich, wyświeca zarazem i drugą. Rzecz nie mniej pewna, że tylko ugruntowani na wypadkach dokładnie znanych z wieku VI i VII, możemy śmiało rzucić wzrokiem na czasy najodleglejszej starożytności Słowian, i połączyć je z wypadkami nowszemi aż do dni naszych.

W VIIgo wieku Byzantyni znają najlepiej z pomiędzy Słowian tych, którzy przebyli Dunaj. Od nichto zasięgają wieści o Słowianach, zamieszkałych przy tak zwanym wówczas *Oceanie Północnym* to jest przy Bałtyku. Gałąź Słowian Naddunajskich, oddawna już opuściła brzegi Wisły; długie wieki przetrwała w sąsiedztwie i pod wpływem koczowniczych plemion uralskich; nie mogła więc przedstawiać czystego typu swego rodu, we wszystkich objawach życia. Błądzą zatem historycy nasi, którzy charakterystykę podawaną przez pisarzy byzantyńskich, uważają za modłę całego plemienia. Ci bowiem mówią wyraźnie, że mają na widoku jedynie Słowian żyjących w sąsiedztwie Byzancyum, świeżo tu przybyłych wraz z Awarami, Bulgarami i innymi Uralezykami. Wiadomo że Słowianie Naddunajscy którzy zajęli Mezęą w VI wieku, przybyli tu nie z dobrej woli, ale parci od Dniepru przez owe ludy.

Jeśli jednak błędem jest uważanie tych przybyszów słowiańskich za typ całego rodu, można i należy korzystać z tego co powiedzieli o nich pisarze byzantyńscy. Świadcstwa ich porównane z dziejami rodu naszego między Karpatami a Bałtykiem, wyświecają życie dziejowe całego plemienia.

Jest jeszcze jedna trudność, którą potrzeba mieć na uwadze, przy ocenianiu źródeł byzantyjskich co do Słowian. Kronikarze byzantyjscy, tak samo jak arabscy i germańscy, patrzeli na Słowian i oceniali ich według swego narodowego geniuszu, a co więcej, pod wpływem potrzeb czasowych i miejscowych. Byzantyjczycy wieku VI i VII, mieli cywilizacją materyalną wysoko rozwiniętą. Zwali się jeszcze Rzymianami, używali języka łacińskiego, lecz miejscowe wpływy wycisnęły na tych uowych Rzymianach właściwe sobie cechy okrucieństwa i zniewieściałości. Wyżsi myśliciele byzantyjscy szukali sposobu umoralnienia ziomków. Samo zetknięcie się z barbarzyńcami, nastreczało im środki po temu. Wysławiali też nad miarę cnoty owych ludów barbarzyńskich, aby kłóc w oczy ziomków przechwalających się wykwiutną cywilizacją. Ztąd to powstały owe błędne gadania pisarzy byzantyjskich: *o gołębiój prostocie Słowian*, które ze ujęte w piękną formę retoryczną, a do tego schlebiające naszej miłości własnej, stały się niejako dogmatem narodowym.

Kto nie pamięta opowiadania Teofilakta o tych Słowianach nadbałtyckich, którzy jakoby nieświadomi użytku żelaza, pieśnią

tylko czarowali nieprzyjaciół. Bajki to wierutne, podobne do tych, jakie Fenelon w swoim Telemaku wymyślał dla nauki Delfina, malując mu nieokrzesane ludy w ich tak zwaną patryarchalną niewinność i prostotę. Czas byśmy odrzucili te mrzonki, które zbyt już długo krzywiły pojęcia nasze o cechach rodowości słowiańskiej, jakie ją odznaczały w czasach dawnych; co szkodliwie wpłynęło i na sąd o dzisiejszych potrzebach.

Wszak to do owych czasów, to jest do VI i VII wieku, kiedy pisarze byzantyjscy malowali Słowian w postaci słodkich gołąbków, odnoszą się owe straszne zapasy Słowian przybaltyckich, przewanych dla srogości *Lutykami, Wilkami!* Takimi oni w rzeczy samej pokazują się stale do końca XI wieku ery naszej, w walkach przeciw Germanom, a niestety i w bratnich zapasach! Z wielką też ostrożnością, powtarzamy, trzeba używać świadectw byzantyjskich, kiedy mówią o formie rządu u Słowian, lub gdy malują ich geniusz narodowy. Ale są to zarazem ważne źródła dla charakterystyki samychże wypadków. Pod tym względem świadectwa pisarzy z nad Bosforu od VI do XI wieku, powinny być uważane za główną podstawę dziejów naszych, tak samo jak w czasach odległej starożytności, stanowią takąż podstawę świadectwa ojca historyków Herodota, kiedy maluje ziemie, rzeki i sposób życia mieszkańców Scytyi.

Pisarze to byzantyńscy opisem wielkich zdarzeń, zapełniają dziejowe życie ojców naszych pomiędzy Karpatami a Bałtykiem zacząwszy od VI wieku do czasów Gallusa i Nestora. Główne wypadki, których następstwa dają się czuć dotąd w dziejach wszystkich pokoleń słowiańskich, miały miejsce za czasów Herakliusza. Mówimy tu o migracyi z poza Karpat Chorwatów, Serbów i Słowenów.

Wspominając o zakarpackiem pochodzeniu tych ludów, nie mamy wcale pretensyi do nowych odkryć dziejowych, wypadki te znane dobrze naszym starożytnikom, ale przypomnieć je potrzeba, gdyż są dotąd niejako archeologiczną abstrakcją; gdy tymczasem są to niezaprzeczone pewniki, które powinny wejść do właściwego okresu dziejów naszych, jako część ich żywotna.

I jakż powód, że owe wielkie migracye z ziemi naszej, zaszły już w czasach historycznych, opisane tak szczegółowo przez byzantyńskich kronikarzy, były i są dotąd dla nas abstrakcją? Oto brak systematycznego połączenia owych wypadków z ogólnymi wypadkami dziejów europejskich, a szczególnie państwa byzantyńskiego. Właśnie dzieło p. Drapeyron, wypełnia w części przynajmniej tę wielką próżnię, w naszej i europejskiej literaturze. Dla p. Drapeyron, migracye Słowian z za Karpat nad Dunaj; umowy ich z cesarzem Herakliuszem, są rzeczą mniejszej wagi. Najwięcej go zajmuje sama osobistość Herakliusza, i pierwszych jego dygnitarzy; powiemy nawet, że tytuł więcej obiecuje nizeli zawiera w sobie dzieło; brakuje tam bowiem bardzo wiele

aby usprawiedliwić tytuł: *Obrazu cesarstwa byzantyńskiego w VII wieku*. Bądźmy jednak wdzięczni autorowi i za to co nam dał, gdyż przypomniał nam osoby, z którymi wychodzący nasi wchodzili w układy, o ziemie jakie zajęli. Przypomina również instytucye cesarstwa byzantyńskiego, i stosunki tegoż gabinetu z Rzymem. To wszystko wpływało na rozwój dziejowy nowych przybyszów, a przez nich i na ludy słowiańskie, powstałe na ziemi ojczyścjej. Nie zapominajmy bowiem, że jeszcze w IX wieku, jedność rodowa Słowian naddunajskich z zakarpackimi, objawiała się politycznie. Widzimy to naprzykład w samym zdarzeniu, że *Wiszewit* książę nadwiślański przenosi się za Dunaj i zostaje księciem w Zachlumiu (przy Czarnogórze).

Silnie musiały działać na wyobraźnię ojców naszych opowieści ich posłów o dworze Carogrodzkim, o nadziejach jakie z tamąd mogli czerpać w zaciętych walkach z Awarami, którzy znieważali ich niewiasty, wrzęgając je do pługów jak bydła! Silnie uderzała ich wyobraźnię sama osobistość Herakliusza, jego życie pełne najdziwaczniejszych przygód!

Monarcha byzantyński który nadał siedziby Słowianom nad Dunajem, zasługuje na szczególną uwagę naszą. Był on synem namiestnika Afryki, także Herakliusza. Gdy tron Byzantyński stał się łupem odważniejszych, silniejszych, możniejszych, łatwo mu było stanąć między zapaśnikami, walczącymi o władzę cesarską. Ci wszyscy w których nie wytłafa jeszcze iskra moralności, wołali na starego Herakliusza, aby wybawił kraj od klęsk w jakich był pogrążony przez Maurycyego Fokasa. Znane są te nieszczęśliwe czasy. Namiestnik Afryki posłał syna swego do Byzancyum. Trzydziestoletni wojownik, syty już rycerskiej sławy, został po wielu przygodach cesarzem w r. 610.

Współczesnym Herakliusza był Dagobert król Franków, który niemniej silnie wpłynął na losy Słowian. Obaj ci monarchowie i tём zbliżeni do siebie, że życie ich dzieli się na dwie odrębne epoki: wielkiego powodzenia i wielkiego upadku. Układy Herakliusza z naddziadami naszymi, nastąpiły w tój ostatniej epoce. Blask przecież jakim zaświecił w pierwszej połowie zawodu swego, opromieniał jeszcze jego postać; naddziadowie tём nasi, zostawali nie tylko pod wpływem uroku cesarstwa, ale co więcej pod wpływem osobistej wielkości monarchy Carogrodu. Sama postawa Herakliusza nadzwyczaj sympatyczna zniewalała mu serca i umysły.

Zarzucają niektórzy p. Drapeyron, że podniósł zbyt wysoko fizyczne przymioty swego bohatera. Ale takie przymioty jak wiadomo, silnie wpływają na losy ludów, w okolicznościach, w jakich znajdowało się wówczas wschodnie państwo Rzymskie. Cóż dopiero jeśli obok nadzwyczajnej piękności i siły, widzimy wielkie przymioty ducha. Cedrenus mówi o Herakliuszcu, że był obdarzony niesłychaną siłą fizyczną. Szeroki w barkach, piękne miał oko siwe, cerę białą, włos płowy, brodę długą i okazałą.

Grecy byzantyńscy wysoko cenili te zewnętrzne zalety; ich urok władał nimi. *Jerzy Pisides* nie przepominał o nich w swoim panegiryku. Z uniesieniem mówi o cudnym obliczu Herakliusza, i prosi Boga aby synowie odziedziczyli ojcowską piękność. I jakże tu przemilczć o tych darach fizycznych, ukazując cesarza Herakliusza w VII wieku, kiedy tradycja o nich przechowała się w długie czasy. Około XV wieku, jeden z poetów byzantyńskich, zowie go Herkulesem; drugi mieni go mężem o silnych barkach; kronikarz łaciński z Burgundyi zapewnia że brał na oszczep lwy w arenie.

Taki to monarcha wszedł pierwszy w ścisłe stosunki z praocjami naszymi. Same okoliczności towarzyszące jego wstąpieniu na tron, jak niemiłej pierwsze lata jego panowania, są otoczone jakąś mgłą tajemniczą, która rzuca nowy urok na jego postać. Wstąpił na tron jako spiskowiec. Już to samo piętnuje dramatyczną cechą początkowe jego rządy. Co więcej, przeciwnicy uwięzili jego narzeczoną w Konstantynopolu. Myśl o jej niewoli i niebezpieczeństwie, silnie zadziałała na rycerską jego wyobraźnię. To też, kiedy w skutek szczęśliwego zbiegu wypadków, został cesarzem i ujrzał obok siebie na tronie ukochaną, zapomniał o wszystkim i żył wyłącznie dla niej. Losy cesarstwa były mu jak mówią obojętne. Cierpienia fizyczne żony, nabyte w więzieniu, powiększały jeszcze miłość małżonka.

Dwa lata od czasu koronacyi, cesarz byzantyński przebył zamknięty w swym pałacu. „Nie chciał dać się widzieć ludowi który nań czekał”, mówi Kornel w tragedyi *Herakliusz*. Ukochana żona odumarała go w r. 612, zostawiwszy mu dwóch synów. Dwór cały podzielał boleść monarchy. W czasie obrzędu pogrzebowego, zaszedł wypadek świadczący wymownie, o ile w tych czasach dwór byzantyński był pod wpływem wyobrażeń azyatyckich. Zamordowano na grobie cesarzowej jedną z panien służebnych, za to, że przez nieuwagę splamiła szaty okrywające zmarłą.

Druga żona Herakliusza wpłynęła też smutnie na losy Byzancyum. Kościół nie potwierdził jej związków z cesarzem, jako z bliskim jej krewnym. Nadto cesarzowa była prawdziwym typem złej macochy. Tém więcej nienawidziła pasierbów, że dzieci jej własne rodziły się kalekami. Wszystko to złe oddziaływało na umysł monarchy. Lud był w rozpacz; widział się bowiem zawiedzionym w rachubach. Przyszło do spisków. Zapowiedziany wybuch zbudził ze snu uśpionego lwa. Herakliusz należał do tych ludzi, którym potrzeba jakiegoś zewnętrznego bodźca, aby wystąpili w całej potęgze geniuszu. Więcej niż sam spisek wstrząsnęła nim do gruntu wieść o niebezpieczeństwie grożącym i państwu i chrześcianizmowi ze strony perskich Gwębrow.

Przy pomocy żydów rozrzuconych po Azji od czasu przesiedlenia dziesięciu pokoleń przez Salmanazara, a zawsze niena-

wistnych chrześcianom, Persowie dosięgnęli aż do Jeruzalem; porwali złął krzyż, na którym skonał niegdys Zbawiciel.

Krótko ale dobitnie autor wykazał wielki geniusz wojenny Herakliusza, w czasie tój pierwszój wojny krzyżowój. Z równym talentem ocenił zasługi Sergiusza i innych mężów, którzy pomagali cesarzowi. W całóm dziele, młody historyk daje dowód zdolności pisarskiej i krytycznej. Nie naszém zadaniem rozbiierać drobiazgowo tę pracę; chcieliśmy tylko uwydatnić jój ważność dla dziejów naszych.

Znakomity miłośnik starożytności greckich, mianowicie czasów Homera, p. Schlieman, o którego wyjeździe do Grecyi pisaliśmy przed kilku miesiącami, powrócił świeżo z wycieczki naukowój do Paryża. Trudno w gronie uczonych znaleźć człowieka równie szczęśliwego jak p. Schlieman. Kiedy przebywał jeszcze w Petersburgu jako negocyant, obliczył on że wskazówki uczonych co do miejscowości, w których odbywały się sławne zapasy bohaterów Homera, nie oparte bynajmniej na prawdzie. Te błędy uczonych, tak niepokoiły naszego starożytnika, że jak wiemy, porzucił zawód obiecujący mu skarby Rothschildów i Pereirów, a pobiegł na puste dziś obszary, i tam z motyką w rękę dokopywał się prawdy. Nie tyle mu szło o obalenie dawnych systemów, jak raczej o wykazanie, że abstrakcyjne jego rachuby dają klucz do otworzenia najgłębszych tajników przeszłości.

Pierwsze odkrycia, jak mówiliśmy, udały się wybornie. W terażniejszych niemniej był szczęśliwym. Domysły jego co do miejscowości Troi, sprawdziły się całkiem. Kopiąc ziemię z niez mordowaną wytrwałością, w obliczoném przez siebie miejscu, w końcu kwietnia r. b. odkrył szczątki świątyni Minerwy Illionskiej. Zachęcony tą próbą, powiększoną liczbą robotników dokopał się nowych murów, w których poznał zwaliska pałacu Pryama! W tych gruzach odkrył liczne medale starożytne, kły dzików i szczątki ceramiki greckiej.

Zapalony badacz zmuszony był z niemałym zalem przerwąć dalsze poszukiwania, z powodu trudności stawianych przez właścicieli wzgórze, którego część obiecująca największe plony, jest własnością dwóch Turków. P. Schlieman rozpoczął swoje prace bez ich upoważnienia. Zrazu Turcy niechętném patrzyli na to okiem, a gdy spostrzegli ukryte pod ziemią mury, postanowili użyć ich sami na gospodarcze budowle. Aby zapobiedz zniszczeniu drogocennych pamiątek, p. Schlieman udał się do Porty. Wiadomo że od niejakiiego czasu akademii nauk i tureckie ministerium oświecenia, biorą pod szczególną opiekę wszystkie starożytności znajdujące się w obrębie tego państwa. Ta ostatnia okoliczność wzbudza w gorliwym archeologu tém większą na-

dzieję co do dalszych poszukiwań, spodziewa się bowiem czynnej pomocy ze strony tych naukowych władz tureckich. Właśnie przybył do Paryża w celu wyjednania sobie poparcia u francuzkiego rządu.

Do ważnych publikacyj naukowych, należy świeżo dokonany przekład poematu chińskiego p. n. *Li-sao*, przez uczonego sinologa, hr. Hervé de Saint Denys, profesora w kollegium francuzkióm. Poemat ten wyśpiewany na trzy wieki przed erą naszą, przez poetę *Kiu-yonen*, wyszedł obecnie z druku wraz z tekstem chińskim, dopełniony życiorysem poety, uzołą rozprawą przedwstępnią i obszernemi komentarzami, bez których, utwór tak starożytny, nacechowany piętném odrębnej cywilizacyi byłby dla nas całkiem niezrozumiały.

Aby tém lepiej zrozumieć poemat *Li-sao*, trzeba pamiętać że za czasów poety, państwo chińskie szarpane było zatargami feudalnych władzców. Przy pojęciach jakie mamy o charakterze cywilizacyi chińskiej, wyrażenie *feudalizm* dziwnie brzmi dla ucha naszego. Nie był téż to feudalizm ludów aryjskich, oparty na prawie ziemskim; zasadą feudalizmu Chińczyków i ogólnie ludów turańskich, są tylko stosunki osobiste. Inaczej być nie może w społeczeństwie, gdzie komunizm jest podstawą państwa i rekojmią moralności.

Autor poematu *Kiu-Youen* był krewnym i ministrem króla *Hoai-Wany*, władającego krajem *Tsou*. Król ten wplątał się w zacięte walki z sąsiedniemi władzcami, przez co ściągnął na kraj swój wielkie klęski. *Kiu-Youen* próżno usiłował przywieść go do upamiętania. *Hoai-Wany* nie słuchał zdrowej rady, a przekładał zdania pochlebców. Ujęty w niewolę, zakończył dni w więzieniu. Syn jego i następca oddalił ministra-poetę, przeciw któremu wraz z dworem sprzysięgli się bracia królewscy.

Kiu-Yonen opuścił dwór z zbolatém sercem. Przybywszy na brzegi *Mi lo*, błąkał się długo; słyszano nieraz jak rozmawiał sam z sobą. Na znak żałoby rozpuścił bujny włos, który pokrył mu wychudłe oblicze. Dnia jednego rybak spotkał go na wybrzeżu,

— Tyś to, zapytał, którego liczone do najdostojniejszych mężów w państwie? Jakim sposobem upadłeś dziś tak nisko?

Kiu-Yonen odrzekł na to: „Świat cały pogrążony w bezładzie, ja tylko zachowałem dawną czystość. Inni zasnęli w upojeniu, ja sam czuwałem za wszystkich. I dlatego wygnany!

Rybak zagadnął znowu: „Prawdziwy mędrzec nie daje się zbić z tropu w żadnej przygodzie; umie żyć zgodnie z wiekiem. Jeżeli świat cały pogrążon w bezładzie, czemu się do niego nie stosujesz? jeśli wszyscy trawią dni na pijaństwie, czemuż i ty nie zanurzysz się w kadzi wina? Pocóż ci było trzymać się tak silnie twoich niezłomnych zasad, iż dla nich zostałeś oto wygnańcem?

Kiu-Yonen rzekł spokojnie: słyszałem mówiących że ten kto się kąpał w wodzie otrząsa czapkę z pyłu i przemienia odzież, któryżby człowiek będąc czystym ochoił się brudzić dotknięciem rzeczy nieczystych? Wolę ją znaleźć śmierć w głębinach téj rzeki, i stać się pastwą dla ryb. Nigdy nieskazona moja czystość nie znieśie plam wieku zepsutego!"

Wonczasto napisał swój poemat, podjął oburącz wielki kamień, i rzucił się w wody Mi-lo.

Przepowiednie poety sprawdziły się niebawem. Klęski popyły się jedna po drugiej. Kraj Tsou po kilku latach nieprzerwanych walk, utracił niepodległość. Prerażony lud widząc spełnione słowa wieszozą, otoczył urokiem świętości jego pamięć. Rybacy z nad rzeki Mi-lo złożyli mu pierwsi ofiarę: przykład ich znaleźli naśladowców. Hołd pośmiertny składany ceniom poety powtarzając się z roku na rok, przeszedł nakoniec w tradycyą; a żywotność tradycyi tak wielką jest w Chinach, że dziś jeszcze, po upływie z górą 20-tu wieków, w rocznicę smutnego wypadku, łodzie rybackie strojne w chorągwie wypływają na rzekę, a lud rzuca ryż w ofiarę dla poety którego uważa za półboga.

Kiu-Yonen jak mówią kronikarze, wysokiego był wzrostu, szczupły lecz bardzo kształtny; miał piękną długą brodę. Trzy razy na dzień zanurzał w wodzie wierzch czapki, w dowód jak umiłował czystość. Siostra *Niu-Siu*, którą wspomina w poemacie Li-sao, na wieść o wygnaniu brata, pospieszyła natychmiast ku niemu. Miejsce gdzie się spotkali, nazwano *Mei-Konei* powrót siostry młodszej. Ta nazwa pozostała mu dotąd. W pobliżu istnieją jeszcze zwaliska przechowywane z czcią religijną: są to szczątki domu zamieszkałego przez wygnańca. Wśród gruzów widać małą świątynię na cześć *Niu-siu*, a w niej ołtarz z czworobocznej płyty granitowej. Na tym kamieniu *Niu-siu* według tradycyi prała zwykle chusty kijanką.

Kiedy z jednej strony prosty lud składał hołdy zasłużonemu mężowi, który padł ofiarą gorliwości w sprawie powszechnej, z drugiej strony uczeni i poeci jeli wysławiać pod obłoki jego utwory poetyczne, mieniać go nieporównanym mistrzem. Poemat Li-sao, zebrany i wydany po raz pierwszy przez jednego z historyków cesarstwa na wiek przed Chrystusem, pojawiał się w passmie wieków w niezliczonych publikacyach, dopełnianych coraz nowemi komentarzami. Cesarz *Wou-ti*, nakazał wydać go najozdobniej. Sławny krytyk *Tchou-hi* wzniósł pomnik poecie i zaliczył dzieło do ksiąg kanonicznych. Drukarnia cesarska odbijała je wielokrotnie w pysznych wydaniach pod rządami Tsinów obecnie panujących. Jeden z komentatorów wylicza ośmdziesiąciu znakomitych pisarzy, którzy wysławiali poemat, rozbierając drobiazgowo jego piękności. Słowem, nie ma dziś w Chinach ani jednej klassycznej biblioteki, w którejby nie znaleźć słynnego arcydzieła.

Pod względem formy poemat Li-sao stanowi prawie sam przez się odrębny rodzaj w poezyi. Chińczycy nazwali go *Tsou-Tse*, to jest *Elegia, Tren*. Cztery rodzaje poezyi istnieją w literaturze chińskiej: każdy przedstawia odmienną prozodyą. Pierwszy zwany *Chi*, ma wiersz regularny, skrupowany ściśle formą, od której nie wolno odstąpić; drugi *Tscu-Tse*, o tym powiemy niżej; trzeci *Ko*, obejmuje pieśni, forma w nich zupełnie dowolna; czwarty *Fou*, najnowszy ze wszystkich pośredni między wierszem a prozą. Ostatni tworzy prawdziwą łamigłóvkę: wszystkie zgłoski pierwszego wiersza będącego również tytułem, mają się powtarzać na początku następnych wierszy. Jest to po prostu nasz dawny akrostichon.

Rodzaj *Tsou-Tse*, stworzony przez Kiu-Yonesa przedstawia odrębny charakter prozodyi. Dzieli się na czterowierszowe strofy, z tych każda wyraża całe zdanie, Drugi wiersz zgadza się z czwartym na prawie nie rymu, lecz assonansu. W końcu pierwszego i trzeciego wiersza, dodany żałosny wykrzyknik *hi!* powtarza się bez przerwy; całą różnicę stanowi tu intonacja głośna lub cicha, krótsza lub przeciąglejsza zwana *chang-ping* i *hia-ping*, określona właściwym znaczeniem. Wiersze pięcio i siedmio stopowe mięszają się dowolnie, w śpiewie przecież ta różnica znika całkiem dla ucha.

Wszystkie w ogólności poezye Chińczyków, tak starożytne jak i nowe, tworzone są do śpiewu, lecz rodzaj *Tsou-Tse*, do którego należy Li-sao ściślej niż inne połączony z muzyczną melodią. Autor wyraża myśli w stylu treściwym, niekiedy ciemnym; zdąża przeto do celu bez obrazów a nawet bez liryzmu. W poecie przebija uczony. Powtarza się często, gotów nieraz poświęcić prawdopodobieństwo a nawet loikę; dosyć mu na tém gdy każda z osobna strofa odpowiada jego natchnieniu, gdy układ słów tworzy muzyczną harmonię, zgodną z uczuciami jakie rozbudzić pragnie. Żalodne skargi na smutną dolę, uniesienia nad własną zasługą, gorzkie wyrzuty rzucane wbrew królowi, że go ocenić nie umiał; oto cała treść poematu Kiu-Yonena.

Poemat Li-sao przedstawia rys charakterystyczny, właściwy geniuszowi chińskiemu: otacza go jakaś mgła tajemnicza i zagadkowa.

Wyobraźnia czytelnika powinna dopełniać sama to, co poeta zaledwie szkicuje w ogólnych zarysach. Chińczycy nie wymagają bynajmniej tej jasności, którą my uważamy za konieczny warunek poezyi. U nich, jeśli poeta potrafi drogę narodowi historyczne wspomnienia, jeśli stawia mu przed oczy wielkie przykłady, powtórzy znane podania ujmując je w rytm harmonijny i dźwięczny, chiński czytelnik który śpiewa a nie czyta, oczarowany urokiem słowa, poprzestaje na nim i nie żąda nic więcej. Zdaje się jakby owa mgła tajemnicza, pod której osłoną czytelnik snuje wątek własnych marzeń, przypadała mu szczególnie do smaku.

Mówiąc o tajemniczej mglistości poezyj chińskich, nasuwa nam się zlanie jednego z dzisiejszych naszych poetów. „Życie jest ciemne, utrzymuje on, a więc i poezya nie powinna być jasną, jeśli ma być wiernym życia zwierciadłem.“ Uczony krytyk nasz p. Tyszyński, protestował już w Bibliotece Warszawskiej, przeciwko tej zasadzie. Odkryte więc źródło w którym mistyczny poeta z nad Sekwany, zaczerpnął swoją teorią. Może ona być prawdziwą dla Chińczyków, ale w stosunku do naszych pojęć, jest prostym paradoksem.

Utworki poetyczne chińskie mają zwykle szczupłe rozmiary. Zdaje się jakby siła twórcza nie wystarczała tu poetom na wysnuć długiego wątku. Poemat Li-sao, złożony z 93 strof a 373 wierszy, z powodu niesłychanej długości jest przedmiotem podziwu chińskich komentatorów; oprócz innych swych zalet obszernym rozmiarom zawdzięcza on tyłowiekową sławę.

Poznajmy bliżej to klasyczne arcydzieło literatury chińskiej.

Poeta puszcza się w idealną podróż w celu wynalezienia cnotliwego monarchy. Dąży nasamprzód ku południowi Chin. Zaczyna podróż wodą. Przybywa do pasma gór oddzielających *Kuang toun* od *Konang-ti*. Ztąd dostrzega morze Południowe, i ostateczne krańcyny świata.

Wóz fantastyczny przenosi go jednym rzutem w strony Zachodu. Stawa na wyżynach *Kouen-lun*. W pojęciu Chińczyków ta góra święta, stanowi środek ziemi. Z jej szczytów dosięgających nieba, staczają się wielkie rzeki a między nimi *Hoang-ho*, rzeka *Złota*. Poeta poi swoje czarodziejskie bieguny w wodach jeziora *Hien*, wiąże je do gałęzi *Fou-sang*, łamie gałązkę z drzewa *Jo*; drzewo to w sferach gdzie słońce nie dosięga, oświeca ziemię czerwonym kwiatem swoim.

Tu poeta kończy podróż po ziemi. Ptak *Fong* unosi go na skrzydłach i składa u wrót nieba. Wróciwszy z nalpowietrznej wycieczki, na *Kouen-lun*, poeta woła:

Przejrzałem, zbadałem cztery świata krańcyny!
Zwiedziłem niebiosa, i dotykam znów ziemi.

Ale nieszczęśliwy *Kiu-Yoneu* ani w niebie, ani na ziemi nie znalazł ideału za którym gonił, słuchajmy jak się żali:

„Śpiewając według prawideł harmonii, rozrywam się w bo-
(leściach moich!
I rozpocynam znów daleką drogę za śladami oblubienicy!
(Oblubienica wyraża tu ideał)

Dopóki czuję w sobie krzepką siłę
Nie chcę zostawić ani zakątka ziemi, nie zdeptanej stopą,
(nie ogarnionej wzrokiem moim.
Ling-fen, którego wyrocznia była mi przyjazną
Obrał dzień szczęśliwy na podróż moją.

Ułamał gałązkę Kiong (drzewa nieśmiertelnego) i zapalił ją,
I rozsiał drogocenne jej szczątki, zamiast ofiarniczego ryżu.
Przywiódł mi na uprząż smoki o lotnych skrzydłach,
Uzdobił mój wóz w klejnoty i konchę perłową.

I puściłem się znów ku wyżynom Kouen-lun;
Przestrzeń to wielka, wzrokiem nieogarniona.
Różnobarwne obłoki jak sztandary kołyszą się nad głową
moją,

Dzwonki mój uprząży brzęczą, tsiou! tsiou!
Porankiem opuściłem *łódź* niebieską, (konstellacyą),
Wieczorem przybiegłem na krańczone zachodu,
Foug-Koang spłynął ku mnie jak przepyszny porporzec;
Unosząc się na wyżynach i osłaniając mnie majestatycznym
lotem!

Minąłem chyżo piaski ruchome,
Przebiegłem wybrzeża Tche-choui,
Skinąłem na smoka Kiao, po grzbiecie jego przebyłem rzekę
jak po moście.

I błagałem moarza zachodu, aby mnie otoczył opieką.
Zatrzymuje się jednak, przychodzę do rozwagi;
Podczas gdy duch mój wznosi się w górę i owątuje jak biegun
rozhukany.

Dobiegłem już promienistych wyżyn wszechpotężnego nieba,
Nagle rzuciłem wzrokiem na bok, i ujrzałem starą ojczyznę
moją.

Woznica żałośnie jęczał, bieguny stąpały przygnębione
wielkim smutkiem.

I serce drgnęło we mnie. Patrzałem długo. Nie pojedę już
dalej.

EPILOG.

Stało się nie ma w królestwie jednego człowieka,
Nie ma nikogo, ktoby mnie znał!
I czemuż myśl o starzej ojczyźnie przepełnia me serce do
głębi?

Skoro nie istnieje nikt, z kim mógłbym rządzić według
sprawiedliwości,
Pojdę za śladem Poug-hieu; jego siedziba niechże się stanie
moją!

Poug-hieu którego poeta wspomina, był jak on doradcą
królewskim w czasach głębokiej starożytności. Oddalony od bo-
ku monarchy, rzucił się w nurty rzeki uniesiony rozpaczą.

Poemat Li-sao dał pobudkę tłumaczowi do ciekawych ba-
dań jeograficznych. Przypuszcza on, że Chinczycy na trzy wieki
przed erą naszą, znali już Amerykę; powodem do tego wniosku

jest ustęp w poemacie, w którym King-Yaonu ogarnawszy wzrokiem Ocean Wschodni mówi, że daleko po za falami wód, widzi szerokie wybrzeża ozłoczone pierwszym blaskiem jutrzeńki. Uczony krytyk francuzki potwierdza swoją hipotezę wyciągami z rozmaitych pisarzy chińskich.

Równie ważnym jest spostrzeżenie, że Chińczycy z czasów Kin-Youena lepiej znali jeografią krajów sąsiednich, niż terazniejsi ich następcy. Około połowy XVII wieku, jeden z jezuitów Pekinśkich, ojciec Martini wydał szczegółowy atlas Chin, obejmujący także kraje ościenne, mianowicie granice Tybetu. Miał on pod ręką źródła chińskie, najwyżej cenione w tej opecie. Kto porówna te prace, z idealną podróżą King-Youena, z trzeciego wieku przed erą naszą, musi przyznać pierwszeństwo poecie. Wskazuje on też samą prawie drogę, którą ojciec Huc miał opisać we dwa tysiące lat później; słowem lepiej on zna położenie Tybetu, niż jeografowie nowożytni, którym zaufał ojciec Martini.

Za przyczynę takiego upadku nauk w Chinach, można uważać spalenie ksiąg na 213 lat przed erą naszą, z rozkazu Tsiu-chi-hoang-ti.

Dodajmy jeszcze słówko o samym tłumaczu, którego znamy osobiście. P. Herve de Saint Denis, prezes Towarzystwa etnograficznego, wziął Chiny za szczególny przedmiot swych badań. Ogromny majątek dostarcza mu środków po temu. On to na wystawie powszechnej r. 1867, urządził własnym kosztem oddział chiński. Wiadomo że Chińczycy obrażeni na Anglików, za znieważenie ich zasad moralnych spaleniem pałacu cesarskiego w Pekinie, odmówili uczestnictwa w wystawie międzynarodowej. W pojęciach ludu chińskiego, wojna nadawała Anglikom prawo do niszczenia siły zbrojnej, do żądania wielkich kontrybucyj, przebaczała więc gwałty popełnione w imię praw wojennych, lecz nie mogli przebaczyć im zniewagi wyrządzonej świętej osobie cesarza. Gdy wzywano ich o przysłanie płodów krajowych na wystawę, odpowiedzieli dumnie: „Jeżeli Europa żąda takiej kontrybucyi, gotowimy jęj służyć jako słabsi; lecz godność nasza nie pozwala nam łączyć się dobrowolnie z Europą, po tak świeżych zniewagach. Jakoż wytrwali w oporze, mimo przykładu danego przez Japończyków.

Wielką też zasługę oddał nauce i handlowi hr. Hervé de Saint Denis, urządzeniem wystawy chińskiej. Skorzystali z niej i sami Chińczycy, wystawa bowiem dała pobudkę do bliższego zbadania ich cywilizacji w różnostronnym kierunku. Badania te pokazują że umysł Chińczyków nie jest tak skryształizowanym, jak utrzymuje opinia publiczna w Europie.

Hr. Hervé daje nam piękny przykład poświęcenia się dla nauki. Ten kilko milionowy pan, ma sobie za zaszczyt być adjunktem profesora Stanisława Julien'a, w Kollegium francuzkiem. Oddawna już prace jego o Chinach zwróciły uwagę uczonych. Oto ważniejsze z nich:

Poezye z epoki Thang (VII, VIII i IX wieku naszej ery), przełożone z chińskiego po raz pierwszy, dopełnione uwagami nad sztuką poetyczną w Chinach.

Rolnictwo i ogrodnictwo w Chinach, z dołączeniem analizy wielkiej *Encyklopedyi Cheou-chi-thong khao*.

Chiny w obec Europy.

Zbiór tekstów w nowożytnym języku chińskim dla użytku szkoły specjalnej języków wschodnich.

Z pomiędzy tysiąca broszur jakie co chwila wyrzuca z siebie Paryż, zwróciła uwagę naszą jedna p. t. *Tydzień w Guernsay* pióra p. Toulzainne. Imię Wiktora Hugo otoczone tak zasłużoną niegdyś aureolą sławy, zanadto znane i u nas, aby szczegóły z dzisiejszego życia poety, miały być obojętne dla wielbicieli jego twórczego geniuszu. Wprawdzie *Śmiejący się człowiek*, zobojętnił nieco dawny zapal tak polskich jak i francuzkich czytelników, ku twórcy romantycznej szkoły we Francyi. Większą jeszcze krzywdę przeszłości własnej, zadaje Hugo, miesząc się z namiętą zaciętością w spory wstrząsające dzisiejszemu społeczeństwem francuzkiem. Stary orzeł za długo znać patrzył w oblicze słońca, cóż dziwnego że promień wypalił mu źrenice?

Pan Toulzaine, jak widać bardzo młody z gorącym zapalem przedsięwziął pielgrzymkę do Guernsey aby złożyć hołd nie tylko wielkiemu poecie, lecz co więcej jednemu z głównych koryfeuszów dzisiejszej opozycyi. „Dwie daty, wyraża się w krótkiej przemowie, stanowią epokę w mojem życiu. Jedną z nich 20 czerwca 1867 roku, dzień przedstawienia Hernaniego, dzień zachwytu i gorączkowych wzruszeń; drugą 5 marca 1869 r., w którym miałem szczęście przestąpić progi wieszczą.”

Ową to podróż do Guernsey opisuje młodzieniec. Mimochodem wstępuje do St. Malo, zwiedza grób Chateaubrianda, na samotnej skale sterczącej w pośród fal oceanu, spieszy co żywo do głównego celu swęj wycieczki, nakoniec przybywa na wyspę.

Jakże mu serce biło, kiedy skreśliwszy naprędce list, poniosł go sam do mieszkania poety, kiedy wyczytał nad drzwiami domu *Hauteville House*.

Posłuchajmy jak sam opisuje tę chwilę tak ważną w jego życiu.

„Pociągam za dzwonek, stara sługa otwiera mi drzwi.

— Wiktor Hugo jest w domu?—pytam.

— Pan schodzi zwykle o pierwszój—rzecze kobieta.

„Zegar uderzył w tej chwili dwunastę. Oddałem list. W godzinę potem otrzymuję odpowiedź: Wiktor Hugo wzywa mnie na jutro.

Resztę dnia przebyłem w gorączce, niezdolny do niczego. Myśl sama że wkrótce ścisnę rękę wielkiego męża, przejmowała mnie dreszczem. Pragnąłem zwiedzić wyspę, lecz głowa moja

pałała jak węgiel; tuman jakiś przysłaniał mi oczy. Biegałem tu i owdzie sam nie wiedząc gdzie jestem.

Nazajutrz o pierwszej pobiegłem do Hauteville House. Przez okazałą sień wprowadzono mnie do salonu z wyjściem na ogród, zwanego: *Salons des Tapisseries*.

Przepyszne makaty pokrywają ściany i sufit. Komin ozdobiony rzezbą z dębowego drzewa zwraca tu szczególną uwagę. Bogate sploty liści wyrobionych dłutem mistrza, otaczają zwierciadło, po bokach zaś komina spadają w fantastyczne wieńce i festyny. Wśród tych wieńców wyrte imiona uświęcone czcią powszechną, z jednej strony: Hioba, Izajasza, Homera, Eschylesa, Lukrecjusza, Dantego, Szekspira i Moliera; z drugiej: Mojżesza, Sokratesa, Kolumba, Lutra, Washingtona. Wśród tych ostatnich, Wiktor Hugo który sam dawał rysunek rzeźbiarzowi, raczył pomieścić także imię Chrystusa pomiędzy Sokratesem a Lutrem. Dwa posągi występują z pomiędzy tych rzeźb: po prawej ręce posąg Ś. Pawła z napisem *Liber*, po lewej mnicha z godłem *Coelum*.

Młody autor z naiwnem uniesieniem opisuje pierwsze spotkanie z Wiktorem Hugo.

„Ledwie że obejrzałem komin słyszę kroki... oglądam się... to on!..

Uczułem głębokie wzruszenie, prawie przestrah; jakże nieuzasadniony! Wiktor Hugo wyciągnął do mnie rękę z uprzejmością, co skrzepiło moją odwagę. Zrazu olśniony wspaniałym majestatem geniuszu przed którym gasną wszelkie wielkości ziemi, widziałem przed sobą człowieka, z obliczem jaśniejącem dobrocią i prostotą prawdziwie patryarchalną.

Rozmawialiśmy długo, poeta dziękował mi żem odbył podróż aby poznać biednego wygnańca, drobny kamyk wyrzucony burzą na cudze brzegi. Mówiliśmy potem o Francyi którą on tak kocha; powierzał mi swe troski i nadzieje. Rozmowa przeszła na pole Waterloo. Opowiadał mi o swych badaniach nad tą pamiętną bitwą, której pamięć odżywił w *Nędznikach*. Godzina ubiegła w oka mgnieniu. Wiktor Hugo odszedł zaproszwszy mnie na śniadanie w dniu następnym. Zostałem z panią Chenay, siostrą zmarłej pani Hugo. Poszliśmy razem do ogrodu.”

P. Toulzaione z uniesieniem opisuje ten nowy Eden. Klimat na wyspie Guernsey nadzwyczaj łagodny; śnieg i lód nieznany tu prawie. Aloesy i kamelie rosną w ziemi, te ostatnie okryte właśnie różnobarwnym kwiatem, sprawiały urok prawdziwie czarodziejski.

W sieni uderzają w oczy piękne płaskorzeźby złożone, pościągnięte farbą w guście średniowiecznym, przedstawiające poetyczne ustępy z pięknego romansu *Notre-Dame*. Przyémione światło, przeciskając się przez różnobarwne a wypukłe szybki, rozsiewa na nie tajemniczy pomrok.

Na ścianach wryte napisy: *Wierz i kochaj. Jeds, chodź i módl się*; nakoniec wyraz łaciński *Ave*, którym poeta pozdrawia zwykle gości.

Nazajutrz pan T. przybył na godzinę naznaczoną. Ohwilę czekał w owym salonie wybitym makatami. Przyjmował go tam opasły chart z obrozą na szyi. Na téj obrozy wryty był napis złożony z dwóch wierszy: (1)

Kto mnie znajdzie, raczy odprowadzić mnie do domu.
Twój pan? Hugo. Twój stan? pieś. Twe imię? Senat.

Wkrótce ukazał się i pan domu. Służący oznajmił śniadanie. Powtarzamy znów słowa gościa, oczarowanego przyjęciem jakie znalazł.

„Wiktor Hugo ma sposób obejścia prawdziwie patryarchalny. U stołu jest on gospodarzem domu w najpiękniejszym znaczeniu tego słowa. Nie spuszcza z oka swoich gości, uprzedza ich życzenia, słowem stara się uprzyjemnić im każdą éhwilę. Kto nie zasiadał u stołu Wiktora Hugo, ten nie ma pojęcia jego uroczej gościnności. Słowa palą nacechowane niesłychaną prostotą i wdziękiem. Widziałem go zaledwie po raz drugi, a przecież ósmielony jego dobrocią, mniemałem że go znam już od dawna.

Po śniadaniu, p. Chenay oprowadziła gościa po wspaniałych apartamentach domu, który zowią w Guernsėj pałacem Tysiąca i Jednej nocy.

„Hautenville-House, rzeczywistym jest cudem! mówi z zachwytem młody podróżnik. Warto przepłynąć morze, aby widzieć ten zbiór najciekawszych przedmiotów, ułożony ze smakiem wysoko estetycznym. Dom ten policzyć można słusznie do arcydzieł poety, sam bowiem Wiktor Hugo kreślił rysunek, według którego urządzono pokoje. Cokolwiek wyjdzie z pod mistrzowskiej jego ręki, nacechowane piętnem geniuszu. Widziałem jego szkice, kreślone naprędce ołówkiem. Istne to cuda! Rembrandt mógłby ich pozazdrościć!

Sala jadalna zasługuje na szczegółowy opis. Soiany jéj wyłożone taflami z białego fajansu w błękitne kwiaty, wyrobu holenderskiego. Stalle dębowe nadają téj sali pozór klasztornego refektarza. Nad kominem wyrzeźbione dwie litery H, ozdobione w górze fajansową statuetką Bogarodzicy z Dzieciątkiem.”

(W pojęciu poety jak świadczy położony u spodu cztero-wiersz, Bogarodzica jest mytem wolności nianczącej lud w objęciach).

„Pomiędzy oknami stoi wspaniałe krzesło rzeźbione, zamknięte żelaznym łańcuchem. To stalla przeznaczona dla nad-

(1) „Je voudrais que quelqu'un chez moi me ramenât,
Ton maitre? Hugo. Ton état? Chien. Ton nom? Senat.

działów. Śmiertelnym nie wolno tu siadać. Umarli tylko zajmują w miłoczeniu przeznaczone im miejsce i tajemnie biorą udział w rozmowach. *Absentes adsunt*; taką jest poetyczna wiara Wiktora Hugo.

Na ścianach pomieszczone rozmaite sentencje. Nad drzwiami, *Exilium vita est*. Po stronie przeciwnej: *Patri, Homo, Deus*. Sufit zarówno jak w salonie wybity przepyszną makatą. Wkoło na półkach i sprzętach, porozstawiane kosztowne wazon, arcydzieła ceramiki z XVI i XVII wieku.

Z jadalnej sali przez schodki przybrane w drogocenne draperye, weszliśmy do salonu czerwonego. Gdy się otworzyły drzwi, zaledwie żem wstrzymał okrzyk podziwienia; stanąłem jak wryty, na widok tyłu nagromadzonych bogactw.

Karmazynowy adamaszek wschodni, służy za ramy do najcudniejszych makat jakie widziałem w życiu. Pochodzą one, jak mówią, z sypialni królowej Krystyny szwedzkiej w Fontainebleau. Żadne muzeum starożytności nie posiada podobnych; jedyne są w swoim rodzaju. Złote ptaki ulatują nad konarami drzew z liściem karmazynowym. Sam materyał tych makat aksamit, atlas i złoto już przedstawia bajeczne summy, cóż dopiero gdy policzymy pracę i mistrzowski rysunek. Dwa takie arcydzieła pokrywają ściany, dwa zaś pomieszczone na suficie.

„Komin też dziwnie piękny. Najcenniejszą ozdobą jego, są czterej murzyni naturalnej wielkości wykonani mistrzowskim dłutem z drzewa; złocista draperya pokrywa ich do połowy, tors czarny równie jak nogi i ramiona. W ręku trzymają świeczniki. Murzyny te pochodzą z pałacu Dożów weneckich. Nad nimi rozpostarty baldachim ze złotogłowa, przerabiany w kwiaty i ptaki. Odbija grupę ogromne zwierciadło sięgające pod sufit. Inną ozdobą tego komina, jest wkuty w marmur złoty pas madjarski, cały wysadzany drogiemi kamieniami. Ofiarował go pocie jeden z węgierskich generałów.

Sprzęty zapełniające salon, należą do najrzadszych osobliwości. Te stoły wysadzane konchą perłową, te wazon i statuetki chińskie, owe ekrany, biórka i kosztowne drobiazgi z różnych epok zamieniają go w prawdziwe muzeum.

Delżej idzie salon błękitny mniej wspaniały od poprzedniego. Ukazano mi tu ciekawą pamiątkę jedyną w swoim rodzaju.

Pani Hugo była aniołem opiekuńczym Guernsey, matką biednych sierot. Założyła ona w mieście bazar, to jest zbiór wszelkiego rodzaju przedmiotów, które sprzedawano na korzyść ubogich. Śmierć przerwała dzieło w samym zawiązku. Wiktor Hugo, który z najwyższą czcią przechowuje wszelkie po żonie pamiątki, odkupił sprzęt ofiarowany przez nią do bazaru, a przeszły już w obce ręce. Ten sprzęt pomieścił w błękitnym salonie swoim.

Jest to stolik czworograniasty; w każdym rogu wprawiony kałamarz; pod nim małe szufladki: tu zachowany autograf sławnego autora do którego kałamarz należał. Otworzyłem po kolei szufladki, znalazłem w nich podpisy: Wiktora Hugo, Lammartin'a, Georges Sand i Alexandra Dumasa.

Obok błękitnego salonu wychodzi na ogród pokój cały oszklony: jest to letnia jadalna sala. Widok z niej ogarnia szeroką przestrzeń morza, miasto, port najeżony masztami. Zdaleka na tle widnokregu bieleje wąski pas, lekki i tajemniczy jak mgła poranna: to wybrzeże Francji.

Na drugim piętrze podziwiałem nowy cud. Mówię tu o sali zwaną *Galeryą dębową*. Zwykle ona zamknięta. Uprzejmy gospodarz rozkazał ją dla mnie otworzyć.

Jest to przepyszna sypialnia przeznaczona dla znakomitych gości. Oświeca ją sześć okien. Sufit wspiera się na dwóch kolumnach, dzielących podłużną komnatę na dwie równe połowy. Do tych kolumn przyparte dwie stalle dębowe, prawdziwe arcydzieło wykonane niegdyś dla katedry w Chartres; zasiadały w nich córki królewskie podczas uroczystego nabożeństwa.

Komin w owej komnacie nadzwyczaj piękny, równie jak i we wszystkich pokojach. Wiktor Hugo zdobiąc kominy ze szczególnem staraniem, chciał przez to okazać całą wagę, jaką przywiązuje do domowego ogniska. Aby dać wyobrażenie tego komina, należałoby zdjąć z niego fotografią. Niepodobna opisać tych cudnych karytyd uwiecznionych w kwiaty i owoce, tych fantastycznych arabesków, tych przezroczystych koronek oddających wiernie dźwięk.

W drugiej części galeryi, stoi łoże przyparte głowami do ściany. Olbrzymie to łoże, drogocenny zabytek średnich wieków. Cztery kolumny podtrzymują okazały baldachim. Po nad wezgłowiem zamieszczona trupa głowa. Pod nią wyryty napis: *Nox, Mors, Lux*.

Między dwiema kolumnami, któremi komnata przedzielona, stoi ogromny świecznik dębowy na czterdzieści świec, własnoręczne dzieło poety. Nie dosyć że Wiktor Hugo wykonał na niego rysunek, lecz nadto sam wyrzeźbił prześliczny wieniec z kwiatów z których wytryska światło.

Sufit pokryty makatą, szczególnego rodzaju, zasianą mnóstwem małych zwierciadełek.

Koroną tej galeryi dębowej są podwoje niezrównanej piękności. Wyobraźmy sobie wystający fronton dębowy, istny baldachim wsparty na dwóch kręconych kolumnach. Obie połowy drzwi przedstawiają na tle złotem, wielkie figury świętych, przybrane w jaskrawe barwy w stylu byzantyjskim.

Nad drzwiami wyryta maxyma: *Surge Perge*.

Pokoje mieszkalne odznaczają się wielką prostotą. Pozwólono mi zwiedzić małe salonik, w którym przebywała zwykle pani Hugo. Wszystko tu pozostało tak jak było. Mieszkanie to

umarłej, a jednak ciepło życia powiewa z tych ścian pustych i milczących od lat kilku.”

Oto pustelnia biednego wygnańca, pokutnika za winy narodu; za takiego bowiem uważa się i ogłasza Wiktor Hugo; za takiego uznają go liczni wielbiciiele a między nimi i ów młodziwiec, który z tak naiwną czcią maluje nie samo tylko bożyszcze, lecz i jego przybytek. Dla nas Wiktor Hugo w swoim wygnaniu, jest równą zagadką jak i jego młody a zagorzały czciciel. Ciekawe to zaprawdę zjawisko ów młody demokrata, nienawistny wszelkiej arystokracji rodowej, dynastycznej, a z takim zapalem unoszący się nad prawdziwie sybarytowskim otoczeniem jednego z arcykapłanów demokracji. Jakże i mistrz i uczeń dalecy są od idealnej prostoty Cyncynatów!

Nie taimy, że z większą sympatją wchodzimy w złożone podwoje pałacu Mazaryniego, do których wprowadza nas żwieżo ogłoszone dzieło księcia d'Aumale, zamykające katalog skarbów sławnego kardynała-ministra. Tu nie razi nas sprzeczność zasad z praktyką życia; jesteśmy bowiem w mieszkaniu najpierwszego magnata Francji XVII wieku. Wiemy że Mazaryni nie pisał romansów socyalnych, ale rządził potężnym państwem przygotowując je do wyższej jeszcze potęgi i chwały. Zresztą czasy to dawne; przeszły już bezpowrotnie ze złem i z dobrem jakie wydały. Patrzymy też na świadectwa tych czasów, jako na ciekawą i uczącą ich charakterystykę. Z tego stanowiska, publikaoya księcia d'Aumale zasługuje na szczególną uwagę.

Ozytając ów katalog spisany w r. 1653, zdaje nam się że widzimy jakiś obraz fantastyczny z Tysiąca i Jednej Nocy; ani dobra ziemskie, ani pałace, ani dyamenty, nie wchodzą w ten spis, obejmuje on tylko część skarbów kardynała.

Sama kaplica była cudem w swoim rodzaju. Zwano ją: *la gloire de M^{le} Cardinal*. Były tu krucyfiksy i relikwiarze ze szczerzego złota; naczynia agatowe, słońca z kryształu skalnego, ampułki złote wysadzone koralami, zegar dyamentowy, dar królowej matki; ogromna misa srebrna, arcydzieło sztuki złotniczej, z rzeźbą przedstawiającą wjazd Ludwika XIII do Roszelli.

Srebro stołowe kardynała, łączyło przepych z nieporównanym gustem; każdy przedmiot miał wysoką wartość artystyczną, katalog obejmuje dwieście waz i mis rzeźbionych wysadzanych w medale albo w muszle; dwadzieścia czasz, dwadzieścia rądl, tyleż cukiernic, dwanaście ogromnych świeczników, stół cały ukuty ze srebra, zastawiony trzydziestoma faszami.

Gdzie rzucić okiem wszędzie srebro i srebro. Klamki u drzwi i zawiasy srebrne, galerye u kominków srebrne, lutnia owinięta w płótno utkane z srebrnych nici.

Kosztowne makaty, szpalery do objiania ścian, oszacowane były drożej niż owo srebro. Sam ich opis zajmuje 50 stronic

w katalogu. Wchodziły tu słynne gobeliny bruxelskie i flamandzkie, wykonane według wzorów Alberta Dürera, Tycyana, i innych sławnych mistrzów. Wszystkie te makaty, przystrojone złotem i forbotami, haftowane były w herby i cyfry kardynała.

Zbiór kobierców stanowił też prawdziwą osobliwość. Widzimy tu kobierce perskie na tle błękitnym, różowym, purpurowym, a nawet na tle srebrnym i złotogłowiu, kobierce chińskie, aksamitne całe zasiane w kwiaty, kobierce tureckie i brukselskie. Spis obejmuje nadto całe sztuki adamaszków i materij jedwabnych, wyrabianych we Florencyi, w Genui, w Medyolanie, w Luce a nawet w Chinach. Każda sztuka zawierała dwieście lub trzysta łokci.

Łożek kardynała naliczono dwanaście; każde było arcydziełem wymysłu. Drzewo w nich obite płótnem srebrnym, materace i kołdry z najkosztowniejszej materij; kotary i kapy na zimę z aksamitu i złotogłowiu, na lato z gazy chińskiej i kosztownych koronek.

Na kilkudziesięciu stronnicach spisano bieliznę i szaty kardynała; szlafroki z litych materij w rozmaitych kolorach, suknie aksamitne i atlasowe, drogocenne szuby podbite sobolem i wydrą, kryzy z koronki angielskiej, weneckiej i francuskiej.

Niepodobna wyliczyć tu ani części zwierciadeł weneckich, stołów alabastrowych, lapisowych, kornalinowych, szkatulek i kuferków wykładanych bursztynem, szyldekretem, tych pysznych naczyń porcelanowych ze wszystkich krajów świata. Owe kosztowności nie leżały - bynajmniej w skarbcu lecz rozrzucone po wszystkich pokojach służyły do codziennego użycia. Sama nawet kuchnia i spiżarnia urządzone były z niezrównanym przepychem.

Jako Włoch, kardynał miał uczucie sztuk pięknych, jako minister wszechwładny, mógł nabywać arcydzieła tanią ceną. Zgromadził też galerję obejmującą arcydzieła najpierwszych mistrzów: Rafaela, Corregia, Wandyka, Weroneza, Rubensa. Wszystkie szkoły były w niej przedstawione. Rzeźby nie ustępowały obrazom. Ta galerja rozpięzchła się po świecie. Wiele przedmiotów ocalonych z niej dla Francji, stanowi dziś ozdobę galerji Luwru, jak Zaślubiny S. Katarzyny Corregia, i Archanioł Michał Rafaela.

Od dwudziestego roku życia Mazaryni począł gromadzić swoje zbiory. Nim był jeszcze ministrem, zwiedzał w każdej podróży pracowicie znakomitych artystów, i w ścisłe wchodził z nimi stosunki. Kiedy w r. 1651, podczas wojny domowej, przeciwnie mu stronnictwo nałożyło cenę na jego głowę, nie troszczył się wcale o siebie, lękał się tylko o swoje księgi i obrazy. Skoro odzyskał władzę, podkupywał wszystkie rozprzedane arcydzieła, i wzbogacił jeszcze swoje zbiory mnóstwem nowych nabytków. Wiele rzeczy kupował, więcej umiał zręcznie wyłudzić. Ta ochciwość nagromadzania pięknych rzeczy nie opuściła go do saméj

śmierci. Na kilka dni oto przed skonem (1661 roku) włócząc zaledwie nogi, przechadzał się po pysznej galerii, zatrzymywał przed każdym cenniejszym arcydziełem.

„Trzebaż mi to wszystko porzucić!” mówił patrząc na swoich Tyoanów i Corregiów, i oczy jego zalewały się łzami.

Drżał szczególnie umierający kardynał o los obrazów swoich. Jakoż wielka ich część rozeszła się po wszystkich galeriach europejskich. Księgi za to ocalały dla Francji. Biblioteka Mazaryńskiego darowana przezeń Akademii Francuskiej, świadczy dziś jeszcze o głębokiej erudycji i smaku bibliograficznym słynnego fundatora.

Ostatni buletyn Towarzystwa Geograficznego, między innymi przedmiotami zamieszcza sprawozdanie szczegółowe z uczytanego przez to naukowe grono, przy wręczeniu nagrody Lessepsovi, o której mówiliśmy w swoim czasie. Oczekaliśmy właśnie na wyjście buletynu, aby dać poznać czytelnikom naszym stronę poetyczną tego zapалу, jakim twórca Kanału Suezkiego natchnął swoich współziomków. Nigdy o tym człowieku zbyt wiele powiedzieć nie można, bo jak słusznie wyraził Laboulay na konferencji: najpierwsza to znakomitość dzisiejszych czasów. Lessepso drogą nauki zbliża narody, wzbogaca wszystkich, nie odbierając nikomu.

Z tej właśnie strony ocenił zasługi tego męża p. Bellecomte, jeden z bardzo zasłużonych uczonych francuzkich. Zdziwiliśmy się nie pomalą widząc pana Bellecomte, autora dwudziestu tomów Historji Powszechniej, wysławiającego poetyczną odą ważność zasług Lessepso, i wielkie zdobycze nauki. Przy wzniesionym przez siebie toaście, tak się odezwał do uczonych podróżników:

Ohwała wam podróżnicy! wam co wśród niewczasów
 Depczecie śmiałą stopą zjeżone gór stoki,
 Wam orły szybujące bystro pod obłoki,
 Sternicy puszczy dziewiczych, trzebiciele lasów,
 Polem walk dla was ziemia, powietrze i morza;
 Dla was niezmordowani nauki szermierze,
 Co wielkie oceanów zbiegliście przestworza,
 Wzrok utkwili w płomiennym wulkanów kraterze
 Lodowe Grenlandu pokruszyli ściany:
 Cześć wam olbrzymy woli, wam wiedzą Tytany.

Historyk poeta przebiega dalej szereg znakomitych mężów, tak żywych jeszcze jak i umarłych w ostatnich czasach, którzy położyli zasługi w rozwoju nauk geograficznych. Nakoniec tak przemawia do Lessepso:

Rozraduj się ty wielki nasz tryumfatorze!
 Twe zwycięstwa nie zginą, sam czas ich nie zmoże.
 W obec nich muszą zmilknąć stronnice poswary,
 Przed tobą, wnet kolana zegnien Egipt stary;
 Francya z Europą twe imię czcić będzie,
 Od lodowisk północy po Deltę krawędzie.
 Kolumnę ciębie godną ludy wzniosą razem,
 Ten słup z wyżyn Attaki będzie drogoskazem;
 Karawanom północy wskaże drogę nową,
 Od brzegu wód czerwonych w przystań Izmajłową.
 I pomkną tam szeregiem zdobne w wieńce kwiatów,
 Na wieki rozbrojone okręta dwóch światów;
 A nad Nilu wybrzeżem wnet Fellach sierota,
 Wydźwignie zgięte barki z wiekowego błota.
 I stary Sfinx Ramzesa z snu wieków zbudzony,
 Błogosławiące ludów gdy posłyszysz tony,
 Stary Sfinx co nad światem odwieczną straż trzyma,
 W tobie uczci Lessepsie tych czasów olbrzyma,
 I wiekom nieśmiertelnym twe imię przekaże.
 Jeszcze dmą uragany po świata obszarze!
 Lecz rychło zmilkną gromy w słonecznej przestrzeni,
 Chwała tobie Lessepsie! chwała wam uczeni!
 Wam przystało potężnej myśli majestatem,
 W pokoju nad posłusznym zapanować światem!

Na jedném z ostatnich posiedzeń Londyńskiego Towarzystwa antropologicznego, p. Chortey odczytał bardzo ciekawą rozprawę o muzyce u rozmaitych plemion. Wykazuje w niej o ile charakter plemion uwydatnia się w muzyce, mówi czém jest i czém być powinna muzyka narodowa; dowodzi że melodia całkiem nowa i oryginalna rzadszém jest zjawiskiem, niż się to napozór wydaje. Prosta zmiana w takcie i akcentowaniu przeistacza zupełnie melodią i wyciska na nią osobne piętno. Muzyka więc prawdziwie oryginalna, nie często się pojawia, a charakter jój tém odrębniejszy, im dalsze stosunki ludu z ludem.

Żywiół plemienny w muzyce wywołuje różnostronniejsze jeszcze uwagi. Głęboka zachodzi różnica między rozwojem azyatyckiej a europejskiej sztuki. U ludów azyatyckich, muzyka ogranicza się na rytmie; nie wiele dba o piękność dźwięków i o harmonią formy. Pojęcia muzyczne ludów w schodnich, przedstawiają zupełną sprzeczność z pojęciami ludów Europy północnej: Norwegów, Szwedów i Rusinów. Te ludy w wyobrażeniu angielskiego badacza, stoją wysoko pod względem melodyi. Tętony minorowe, jakie dają się słyszeć w wielu pieśniach ludów północnych, brzmią niemniej w pieśniach ludów zamieszkających pomiędzy zwrotnikami. Różnica rytmu muzycznego u róż-

znych plemion, zdaje się być tak wybitnie odrębną, jak i sama różnica typów.

Nasuwa się tu jeszcze uwaga czyniona oddawna, a której nie podjął autor rozprawy, o stanowisku jakie zajmuje kobieta w rozwoju sztuki muzycznej. Brak twórczego geniuszu u kobiet pod względem muzyki, jest zjawiskiem ciekawym i dotąd niewytłumaczonym. Fizyologowie przyznają, że kobieta występowała nieraz świetnie na polu malarstwa, rzeźby, nawet architektury; w poezji, w literaturze i ścisłych naukach, zbierała zasłużone wawrzyny; w sztuce dramatycznej jako aktorka podniosła się wielokrotnie do szczytu; umiała być nawet nieporównanym mistrzem w oddaniu cudnej myśli w muzyce; a jednak żadna dotąd nie zasłynęła w świecie kompozycją muzyczną, nacechowaną prawdziwie twórczym geniuszem. Pod tym względem pierwszeństwo należy się wyłącznie płci męskiej.

Akademia francuzka coraz to nowe ponosi straty. Po nestorze swoim Villemain'e, utraciła w zeszłym miesiącu najmłodszego ze swych członków. Wszystkie dzienniki doniosły już o śmierci tak przedwczesnej pośła francuzkiego Prevosta Paradola, który odebrał sobie życie w Washingtonie 19 lipca. Śmierć tak gwałtowna, i to w pośród tak ważnych okoliczności daje powód do tysiącznych domysłów. Jedni ją przypisują chwilowemu pomieszaniu, w skutek dalekiej podróży i nadzwyczajnych skwarów letnich; inni znów utrzymują że gwałtowny przewrót zaszły świeżo w europejskich sprawach, spowodował samobójstwo nowego pośła.

Wiadomo o ile przyjaciele Paradola, Thiers i Fabre nienawistni są cesarstwu. Na parę dni przed śmiercią, zmarły żalił się w Washingtonie, że przyjaciele gotowi obwinić go o zdradę, w mniemaniu jakoby przed opuszczeniem Europy, znał wojenne zamiary cesarza Napoleona. Zarzut ten byłby najniesłuszniejszym, gdyż jak widzimy z biegu wypadków, sam Napoleon nie mógł wówczas, przewidzieć chwili wybuchu wojny.

Od kilkunastu lat Prevost Paradol był stałym współpracownikiem w redakcyi *Debatów*. Jego wstępne artykuły, równie jak tygodniowe sprawozdania (*Courier du Dimanche*), zaprawne dowcipną ironią, kłóły jak śpilki tych, przeciw którym były wymierzone.

Gorliwy zwolennik parlamentaryzmu, w ostatnich czasach, w skutek zmian zaszłych w zewnętrznym ustroju polityki francuzkiej, pojednał się z cesarstwem, przyjął ofiarowane mu dostojęństwo pośła przy Stanach Zjednoczonych Ameryki. Tęm przyjęciem oburzył na siebie opozycją.

Opinie Orleanistowskie których był jawnym obrońcą zjednały mu krzesło w akademii, w r. 1867. Jako najmłodszy, należał do najczynnijszych jej członków.

W dniu 6 czerwca, jako w rocznicę śmierci *Kornela*, artyści teatru francuzkiego, odegrali scenę dramatyczną, utworu pana Ludwika Ratisbonne, na cześć wielkiego poety, którym tak słusznie chlubi się Francya.

Dajemy w przekładzie ten mały utwór p. t. *W krainie duchów* (*Au pays des ames*).

Rzecz odbywa się w świecie poza ziemskim. Mrok. Anioł śmierci przyprowadza tłum duchów. Z pod całuna umarłych widać suknie jakie nosili za życia.

Aniol.

O tłumie! ręką śmierci w dniu jednym skoszony,
Jak w polu ręką żeńca pokoszone zboże;
Przybywasz z ziemi żywych w te nieznane strony,
Odpocznij tu. Czy widzisz to wielkie rozdroże?
Ztąd dla was w nieskończoność rozchodzą się drogi,
W tej chwili wam przekroczyć tajemnicze wrota,
Oto próg szczęśliwości, lub doli złowrogiej.
Tu, puczyna się wieczność, skończon kres żywota.

Pierwszy duch.

Co on mówi? o nieba! dzień jeden, dzień jeszcze!
Pozwól mi te całuny z bark zrzucić złowieszcze,
Gończe śmierci skrzydlaty z obliczem anioła,
Ach litości!

Aniol.

Napróżno! słyszysz, śmierć mnie woła!
(znika).

Pierwszy duch.

Ratunku przyjaciele! bracia! nim na wieki
Głaz grobowy mi senne przyciśnie powieki.

Drugi duch.

Ty słonko co po modrém przetaczasz się niebie,
Nigdyż na własne oczy nie ujrzeć mi ciebie!

Pierwszy duch.

Ratunku! ja oddychać pragnę piersią całą,
W przezroczystym lazurze skąpać jeszcze ciało,
Jak dawniej pełne siły i młodzieńczej krasy.

Drugi duch.

Ja pragnę widzieć kwiaty, i pola i lasy,
Posłyszć pieśń skowronka gdy w niebo ulata.

Pierwszy duch.

Niech mnie jesoze głos ludzki dobieży ze świata.

Drugi duch.

Umrzeć!.. gdy wiosna cudne sypała mi dary,
Życie było mi słodkiem!..

Trzeci duch.

Synu!

Pierwszy duch.

Ojczye stary!

Drugi duch.

Młodzian, miałem nadzieję!

Trzeci duch.

Mnie zgiął wiek ku ziemi,
Lecz życie mnie ogniwy opłotło mnogiem.

Czwarty duch.

Czas stargał me ogniwa: niesyta grabieży,
Śmierć kopie pod mem okiem codziennie grób świeży;
Wszystko com ja ukochał na pokosy ścieleł
Poszli bracia i krewni, żona, przyjaciele;
Płakałem, lecz zaradzić nie było sposobu;
Oo? i mnie do ciemnego dziś zestąpić grobu!
Mnie? Oh! ja umrzeć nie chcę... nieba! jam zgubiony!

Duch króla.

Strażel! wy mnie wiernemi osłońcie ramiony;
Za życie dam koronę wraz z królewską chwałą.
(*podnosi rękę do czoła*)
Gdzież ona? wszystkoż dla mnie we mgłę się rozwiało?

Duch bogacza.

Za życie oddam złoto, cóż dziś skarb mój znaczy?

Duch ubogiego.

Byle żyć! mnie tak drogi mój łachman zebraczy!

Duch młodej dziewczycy.

Przed chwilą jam płaśała przystrojona w wieńce,
Mym wdziękiem upojeni szaleli młodzieńce,
Mówili mi żeś piękna; świadczyło zwierciadło!
Dziś zwiędły moje kwiaty, i lice pobladło.

Duch starca.

(zbliżając się do młodzieńca który na proscie sceny stoi osobno, w szlachetnej postawie).

Czemuż duchu z ust twoich nie wybieży skarga?
 Gdy węzły życia twego śmierć przedwcześnie targa!
 Stoisz jak lew, niezłomny przy wieczności bramie,
 Kto wyrył na twém ozole to spokoju znamie?
 A jednak, z pod całuna co słoni twe lica,
 Czar młodości tak pełnym urokiem zachwycal
 (*duch młodziana otwiera całun*).

Pierś twa kulą przeszyta, z boku oręż dzwoni;
 Któż ty jesteś?

Duch młodziana.

Jam żołnierz, poległy w pogoni.

Duch starca.

Straszny skon! choćby wielkiej nie brakło podniety!

Duch młodziana.

Czemuż raz tylko umrzeć wolno mi niestety!

Duch starca.

W tej chwili twego żalu toż przyczyną całą?

Duch młodziana.

Dla tak wielkiej miłości, jam spełnił zbyt mało.
 Nie walczyć mi już więcej!...

Duch starca.

Iluzto podzieliło twą ofiarę krwawą?

Duch młodziana.

Jam biegł naprzód... a przy mnie było święte prawo.
 Nie wiem kto szedł mym torem, bom nie zwracał głowy,
 Lud strącił z bark ohydne ciemięzców okowy,
 Wśród gwałtów barbarzyńskich bytże swój ocali?
 Miałem trochę krwi w żyłach... kładę ją na szali.

Duch starca.

Ktoś ty jest?

Duch młodziana.

Próżno pytasz: nieznane me imie.

Duch starca.

Kto cię wiódł?

Duch młodziana.

Serce własne!

Duch starca.

O siły olbrzymie

Wydobyło z twój duszy?

Duch młodziana (wydobywając księgę z zanadru).

Patrz!... ta książka złota!

Kornel, mistrz cudotwórczy śmierci i żywota,
 Wieszcz, co przed wzrokiem moim roztworzył świat szerszy!
 Jam ostrzył myśl stępioną o granit tych wierszy.
 Pod ich wpływem czarownym duch mój rosł w potęgę,
 Obok wiernej szablicy złożyłem tę księgę,
 Nosiłem ją na sercu, patrz... ona tu jeszcze!...

Duch starca.

Mów!... czém cię one słowa pociągały wieszcz?

Duch młodziana.

Oudniezto jego lutni brzmiała struna złota!
 Podniecą mu jedyną, bohaterską cnotą!
 Na innych wieszczów pieśni skłaniałem ja ucho,
 I tamci mnie szlachetną karmili otuchą;
 Kornel opiewał młodość i miłość jak oni,
 Lecz na ton podnioslejszy jego lutnia dzwoni.
 On wskazuje nam młodość w karb prawa ujętą,
 Jak wiernie powinności zdąża drogą świętą,
 Jak czerpie moc niezłomną w tym czystym zapale,
 Co rozszerza olbrzymio ludzkich uczuć skalę;
 Nigdy w rzeczywistości nie zgrzązał on bagnisku,
 Jak orzeł przy słonecznych promieni połysku
 Wysoko usiał gniazdo owiany w lazury,
 Ztamtąd woła na ludzkość, i serca do góry
 Dźwiga wielką potęgą zakletą w swém słowie,
 Biada! gdy na to hasło człowiek nie odpowie!

Duch starca.

On cię popchnął w ciemności grobu tajemniczel

Duch młodziana.

On, ukazał mi śmierci wspaniałe oblicze,
 Piękniejsza ona stokroć nad żywot bez wiary!

Duch starca.

On tobie myśl błędnymi otumaniał czary,
 Powiedz mi, bo świat pieśni nieznany mi wcale,

Kiedy żył ten czarodziej, co w rycerskim szale
 Kąpał serca i ostre ściągał na nie groty?

Duch młodziana.

On współczesnym jest wszelkiej bohaterkiej cnoty,
 Dwa wieki bliższy światu przesławne to imie,
 Starzy jego Rzymianie zacniejsi niż w Rzymie,
Poljeukt w słoneczne przezeń uniesiony blaski,
Cynna wygłasza wolność, *Cezar* słowa łaski!
 Od dwóch wieków promienie *Rodrygowej* chwały,
 Iskrę nam bohaterką w piersi zapalały,
 Od dwóch wieków potężnie odbrzmiewa nam w duszy,
 Miecz *Gomesa* i *Cyda*, miecz *Horacyuszy*.
 Ilekroć w piersi ludzkiej zrodzi się myśl święta,
 Ilekroć człowiek zwikłan w własnych zmysłów pęta,
 Ohydne samolubstwa rozkruszy okowy,
 Znać *Kornel* uroczeni zażegnał go słowy;
 Gdy pierś na krzywdę bratnią zgrozą w nas uderzy,
 Póki skorych do ofiar nie braknie szermierzy,
 Dopóki nie wypadnie miecz z ręki mściciela,
 Nieśmy hołd *Kornelowi*!... to tryumf *Kornela*!

Duch starca.

Piękna rada! za śmiercią biedz z bojów na boje!
 Szlachetne urojenia! wytaczać krwi zdroje!
 Lecz powiedz, gdy cię ziemia na wieki pogrzebie,
 Kto zapłaci ofiarę?

Duch młodziana.

Zapłaci Bóg w niebie!

Duch starca.

Więc i tu jeszcze złudą kołyszysz się nową?

Duch młodziana.

Wiem że światło rozproszy tę ciemność grobową,
 Wiem że we krwi potoku ma dusza skąpana,
 Sprawiedliwość i pokój znajdzie u stóp Pana!
 W tym świecie promienistym wolności i chwały,
 W gronie braci, tak mówił anioł śmierci biały,
 Wśród szermierzy zwieńczonych męczeństwa koroną,
 Wiem, że mnie wielki *Kornel* przygarnie na łono.

Duch starca.

A jeśli rzeczywistość w marny dym rozwieje
 Twe promienne wolności i sławy nadzieje,
 Jeśli się nie rozemkują zwarte grobu wrota?

Duch młodziana.

To powiem że prześniłem słodko dni żywota.
 Starcze! twe słowa mego spokoju nie zmacą,
 Dopóki czuję w sobie tę duszę myślącą,
 Duszę, na której Kornel ognistemi zgłoski
 W uroczej snu godzinie wyrył obraz Boski!

Duch starca.

Przemawiasz jak bohater, twe serce ze skały,
 Gdy czarne skrzydła śmierci nad tobą powiały.
 Żadnaż łza z twój gasnącej nie spadła źrenicy?

Duch młodziana.

Przestań!

Duch starca.

Żadnejże nie masz w sercu tajemnicy?
 Patrz! niewiasta w żałobie tam szuka zwłok syna!
 Czy widzisz jak z rozpaczy pęka pierś matczyzna!
 I głos inny twe imię wymawia nieśmiało;
 Słyszysz ten głos? czyż serce twoje skamieniało?

Duch młodziana.

Przestań!

Duch starca.

Tyżes spokojny gdy śmierć łupu ochciwa,
 Nieznaną czarę szczęścia od ust twych odrywa?

Duch młodziana.

Miloz stary kusicielu! chciałżebyś nikczemnie
 Skruszyć hart mego ducha? precz starcze odemnie!
 Tyś jeden z tego tłumu co zgrzązł w ziemskim błocie,
 I rad orły w powietrznym wstrzymywał polocie,
 Z waszój to piersi bucha zgnilizna obrzydła,
 Przy was cnota się ohwieje, geniusz zwija skrzydła,
 Wasz poszept żali trwogę tohnie nam w pierś wychłodziła,
 I naznacza ją cechą samolubstwa podłą!
 Precz ztąd! jam pod całunem dochował skarb wiary,
 Nasze drogi odrębne!... chcę być sam!... precz stary!

(Duchy rozsuwają się na wszystkie strony, pozostaje tylko Duch żołnierza. Poza nim na miejscu znikłego starca, ukazuje się duch nowy, w promieniu światłości, uwieńczony wawrzynem. Kładzie rękę na ramieniu młodziana).

Duch Kornela.

Za mną, synu!

Duch młodziana.

Kto jesteś?

Duch Kornela.

Za mną, twoja droga,

Jam Kornell bohaterów wiodę przed tron Bogal

(Młodzian klęka u stóp promienistej postaci wieszczka, obaj razem unoszą się w obłoki. Zastona spada).

Kilka miesięcy temu zapowiedzieliśmy nowy dramacik p. Viliers de l'Isle Adam, pod tyt. *Bunt*. Według przytoczonego przez nas listu Dumasa syna, do autora, sztuka ta, gdyby znalazła powodzenie, miała otworzyć dla teatru nowe i całkiem nieznanne drogi. *Bunt* przecież nie znalazł powodzenia; nowatorstwo nie udało się wcale; sztuka upadła, schłostana biczem krytyki. Nie ocalił jęj Dumas.

Oto osnowa rzeczy. Młoda Elżbieta, wyegzaltowana miłośniczka ideału, w 18tym roku życia idąc za wolą rodziców, oddała rękę bogatemu bankierowi. Upłynęło lat pięć. Bankier Felix zagorzały czciciel złotego cielca, utopił duszę w worku pieniędzy, tak że w tój duszy zaśniedziałój jak stary talar, niktby nie przypuścił najdrobniejszój iskierki uczucia. Elżbieta zrazu przyjmuje z rezygnacyą rolę żony bankiera. Cały dzień trawi za kantorem, sumuje cyfry, mimo to sama nie zamienia się w cyfrę. Gorycz wzbiera w sercu kobiety, każdy dzień wyrabia nową jęj kroplę, aż nakoniec przebiera się miara. Następuje bunt. Mniemałby kto, że żona zimnego bankiera, znalazła inne serce które ją lepiej zrozumiało. Bynajmniej! Elżbieta nie zboczyła z drogi powinności, serce jęj, nie zbłąkało się wcale; zbrzydło jęj tylko życie za kantorem, zapragnęła odetchnąć czystem powietrzem łąk i lasów, skąpać się w słonecznym promieniu, rzucić okiem na ukłoszone pola, przysłuchać się pieśni słowiczej. To ideał za którym goni.

Rzecz rozpoczyna się żywym dyalogiem między mężem a żoną. Bankier w wygodném krześle odpoczywa po pracy, żona tymczasem ubrana czarno, siedzi za kantorem, pochyłona nad wielką księgą, podkreśla i sumuje liczby, rachuje wypłacane weksle, zdaje mężowi ściśłą sprawę z całodziennych czynności. Bankier uszczęśliwiony, bo dzień przeszedł marno, dziękuje żonie i pochwala jęj gorliwość. Elżbieta obojętnie przyjmuje te pochwały, nie wypuszcza z rąk pióra; dodaje, odejmuje, słowem liczy a liczy.

Zegar uderza północ. Zaturkotało na ulicy; powóz zatrzymał się przed domem. Młoda kobieta bieży do okna, a potém siada przy stole; prosi męża o ohwilkę czasu. Z wielkiem zd-

mieniem bankiera oddaje mu księgę i notaty; odstępuje mu część własnego posagu, wylicza procent należący jej jako sekretarce i kassyerce. Po ścisłym obrachunku, przypada mężowi dwa miliony z górą, dla siebie zaś odtrąca 32,361 franków, centimów 20.

Tu kobieta podnosi głowę. „Dość już męki!—zawoła—czas mi już zerwać ten ciężki łańcuch, co od pięciu lat przykuwa mnie do tego nienawistnego kantoru! czas mi opuścić ten dom, którego zimna atmosfera zmroziła kwiat młodości mojej, wysuszyła we mnie zdrój zycia!”

I zbuntowana kobieta opuszcza dach małżeński, opuszcza nie tylko męża, lecz co więcej trzyletnie dziecko, uśpione w kołysce snem niewinnym. Znow powóz zaturkotał po bruku. Zimny bankier spogląda na puste ściany domu... i oto iskra uczucia długo przysypana popiołem, wybucha nagle z jego piersi. Ktoby odgadł, za ten automat miał serce? Przemieniony jakby czarem, załamuje ręce z rozpaczą; przywołuje żonę, lecz ona już daleko! Okrzyk jego rozlega się o głuche kąty sali, łązy dawno zapomniane, tryskają mu z pod powiek, boleść odbiera mu zmysły, omdlały osuwa się na poręcz krzesła.

Długo trwa to omdlenie. Orkiestra tymczasem przygrywa smętnie, niby hymnu pogrzebowy. Zegar uderza godzinę po godzinie. Uderza czwartą. Bankier nie przyszedł jeszcze do zmysłów. I oto drzwi otwierają się z oicha. Elżbieta powraca, zasiada jak dawniej za kantorem. Świeży powiew nocy ochłodził płonąca jej głowę, wytrzeźwił ją z chorobliwego szału. Zastanowiła się, przyszła do upamiętania; wspomniła dziecko, w sercu uczuła wyrzut, i... po chwilowym *buncie* poddała znow głowę pod jarzmo, które odtąd nie będzie zapewne tak twarde.

Mąż przychodzi w końcu do siebie. Uszczęśliwiony widokiem Elżbiety, wyciąga ku niej ręce. Słoneczny promyk miłości rozpędza chmury nagromadzone od dawna na małżeńskim widnokręgu. Bunt żony wykrzesał iskrę z piersi męża, wystudzonej lecz nie zamartwjej.

Dalecy jesteśmy od uniesienia Dumasa, lecz z drugiej strony sąd krytyków francuzkich o sztuce wydaje nam się zanadto surowym. Tęsknota za nieokreślonym ideałem, wydała się w ich oczach mrzonką nie podobną do prawdy. Przebaczyliby raczej Elżbiecie grzeszną miłość, niż te eteryczne marzenia.

Teatr *Opery komicznej* w dniu 7 lipca przedstawił operę Flatowa p. t.: *Cień*. Libretto ułożył do niej pan Saint-Georges.

Rzecz dzieje się za czasów Ludwika XIV. Kapitan dragoonów Rolcour, rozstrzelany był za nieposłuszeństwo, podczas wojny, z rozkazu naczelnego wodza generała Villars; ale w lat dwa po skonie Rolcoura pojawia się jego cień: tym cieniem jest Fabrycy, robotnik-tokarz u podnóża Cewennów.

Joanna uboga dziewczeczka, pierwsza spostrzegła to nadzwyczajne podobieństwo. Serce jęj zadrżało niegdyś pierwszém uczuciem na widok świetnego kapitana dragonów, i dziś z nie mniejszą uderza siłą dla biednego tokarza.

Serce dziewczyny odgadło prawdę: Fabrycy i Rolcour to jedno. Porucznik który dowodził oddziałem przy rozstrzelaniu kapitana, kazał żołnierzom powykrecać kule ze strzelb. Rolcour schronił się w góry, gdzie żył całkiem nieznanym. Prawda jednak zaczęła wychodzić na wierzch jak oliwa. Niebezpieczeństwo zagroziło porucznikowi za szlachetny jego uczynek. Fabrycy słyzy o tém, postanawia oddać się sam w ręce marszałka Villars, aby ocalić przyjaciela. Joanna rozpacza, wkrótce jednak jęj boleść zamienia się w wesele. Rolcour otrzymuje przebaczenie; zaślubia dziewczynę której przenikliwa miłość, odgadła go w biednym tokarzu.

Mimo lipcowego skwaru, i gorętszego jeszcze skwaru politycznego, opera ściągala licznych widzów i z żywym przyjmowaną była poklaskiem. Flottow okazał w niej ten sam rodzaj talentu jaki zjednał mu w *Marcie* ogólną sympatyę. Nie szukać tu wielkich efektów, muzyka lekka, elegancka. Melodye pełne wdzięku stanowią główną jęj zaletę.

Rok ten na polu poezyi dosyć bujne zapowiada plony. Księgarnia *Międzynarodowa* drukuje nowy dwutomowy zbiór utworów poetycznych Wiktora Hugo. U Lewy, zapowiedziane poemata popularne Manuela, autora sławnego dramaciku: *Robotnicy*. Lemaire uprzywilejowany wydawca tak zwanych *Farnasistów*, których głową jest Lecomte de Lille, przygotowuje poemata *Barbarzyńskie* tegoż poety, wydanie powtórne, znakomicie powiększone w dwóch tomach. *Farnasistami* zowią w Paryżu młodych poetów piszących do zbiorowego pisma p. t.: *Parnas współczesny*. Wytworna poprawność wiersza, głównym jest celem dążeń tej jęj nowej szkoły. Przeglądamy pilnie wszystkie numera *Parnasu*, niestety! musimy wyznać że w wypieszczonych cackach poetycznych jakie się tam znajdują, forma zabija całkiem ducha. Są to powiększej części naśladownictwa Anakreona i innych erotyków greckich, nieskażone w formie, w pomysłach swobodne aż do swawoli.

Spotykamy niekiedy imiona zdolnych poetów jak: Franciszka Coppeé, Katulla Mendes, panny Siefert na stronicach *Parnasu*; imiona te nikną jednak w powodzi nowoczesnych szkolarzy, którzy jak Teodor Banville usiłują wskrzesić cześć dawno pogrzebanych bogów Olympu. Mówiliśmy już o nim, dając w przekładzie urywek z poematu jego do *Cytary*. Sam tytuł pisma *Parnas współczesny*, nie jestże wyraźnym zwrotem do starych tradycyj klasycznych?

Gdyśmy wspomnieli o poezyi, mimowoli nasuwa nam się pod pióro małej wierszyk: *Oto wiosna*; podany niedawno

przez dzienniki jako utwór Wiktora Hugo. Powtarzamy go tu w przekładzie:

Oto wiosna idzie młoda,
Od słonecznych idzie bram,
Pilną trzyma straż przyroda;
„Kto tam?—pyta—hej! kto tam?”

„Ja przyrodo, niosę kwiaty,
Czyż mi do was nie czas iść?
Rozwiń namiot mój bogaty,
Lasy w miękki uwieńcz liść.

Przez perłową brnę ja rosę,
Mam ja wieńców pełną dłoń;
Snop promieni złoty niosę
Na ubogich bladą skroń.

Dalej żywo do biesiady,
Aksamitny chcę mieć strój;
Przędźcie łąki, tkajcie sady
Płaszcz królewski na grzbiet mój.

Jam swobodna druchna ziemi,
Mnie godową nucić pieśń;
W lot pieszczoty spędzę memi
Z jój oblicza starą pleśń”.

Ziemia słyszy głos miluchny,
Mglisty rąbek strząsa już;
Pocałunek hożej druchny,
Błysł z jój lica krasą róż.

Zamiłowanie poezji zdaje się wzrastać coraz bardziej w Paryżu. Dowodem tego urządzone tej wiosny odczyty popularne poezyj nowoczesnych, przez sławną artystkę teatru francuzkiego, pannę Agar. Tych odczytów tygodniowych odbyło się kilka, a nadzwyczajne powodzenie jakie sobie zjednały, dają rękojmię że się powtórzą znów jesienią.

Publiczność składała się po większej części, z artystów i literatów, a szczególnie z młodzieży uniwersyteckiej. Nie brakło też i kobiet. Zebrania tak bywały liczne, że ogromna sala przy gmachu Sorbony, nie wystarczała na pomieszczenie ciekawych.

Byliśmy na jednym z tych odczytów. Panna Agar wybrała tego wieczoru do deklamacji *Lwy*, z legendy wieków Wiktora Hugo; *Generał*, Teofila Augier; *Córkę Domna*, Catulla Mendes; *Ławkę*, Franciszka, Coppée;—*Miecz Angatyra* i *Skon świętego*,

dwa urywki z poematów *Barbarzyńskich* Lecomte de Lille. Każdy ustęp przyjęty był grzmotem oklasków. Piękna postawa artystki, głos dźwięczny i przejmujący sposób wymawiania wyrazów, przesłiczna deklamacya, wszystko to sprawiało na słuchaczach urok prawdziwie czarodziejski. Z tém większą przyjemnością słuchaliśmy deklamacyi, że wszystkie te poemata były nam znane; niektóre z nich tłumaczyliśmy dla *Biblioteki* i dla *Kłosów*.

Do najsympatyczniejszych pisarzy w literaturze francuzkiej, należeli w ostatnich czasach dwaj bracia: Edmund i Juliusz *Goncour*. Szacunek powszechny otaczał dwóch nierozłącznych braci, których imiona pojawiały się zawsze razem, czy to na okładce książki, czy na teatralnym afiszu, czy wreszcie pod artykułem dziennikarskim. Dwie te osobistości tak ściśle zespoliły się z sobą, że oko najwprawniejsze nawet krytyka, nie potrafiło nigdy odgadnąć w jakim stosunku dwaj bracia przykładali rękę do wspólnego utworu. Jedność taka prawdziwą była zagadką; wytłumaczono ją dopiero domysłem, nie wiemy o ile prawdziwym, że Edward obmyślał plany, Juliusz zaś wykonywał z drobiazgową ścisłością pomysły starszego brata i przewodnika; słowem był jego dopełnieniem, prawą niejako ręką.

Śmierć zerwała ten węzeł bratni i z krwi i z ducha. Juliusz umarł kilka miesięcy temu. Literatura straciła jak się zdaje dwóch zdolnych pracowników. Ci wszyscy którzy znali tych nierozłącznych braci, utrzymują że osierocony Edmund nie podejmie już pióra.

Bracia *Goncour* z równem powodzeniem występowali na polu historycznym, jak niemniej w powieściopisarstwie. Jako historycy napisali: *Dzieje społeczeństwa francuzkiego podczas wielkiej rewolucyi*, *Życiorys Zofii Arnould*, *Historyą Maryi Antoniny*, *Obraz sztuki w XVIII wieku*, *Stanowisko kobiety w XVIII wieku*, naostatek *Faworyty Ludwika XV*. Umieli oni z niepospolitym talentem, wydobyć z dziejów nowe szczegóły, wykazać je w nieznanym dotąd świetle, sprostować nie jeden sąd mylny, słowem, odmalować wiernie epokę która poprzedziła i przygotowała wielką rewolucyą.

Powieści ich z życia społecznego, zalecają się niepospolitą oryginalnością i artystycznym obrazowaniem. *Siostra Filomena*, *Renée Maurepin*, *Manette Salomon*, i inne należą do udatniejszych utworów dzisiejszej szkoły powieściopisarskiej.

Juliusz *Goncour* umarł nie mając lat czterdziestu.

Akademia francuzka rozdzieliła nagrodę *Bordier* pomiędzy dwa dzieła: połowę przyznała p. Martha profesorowi Sorbony, za przekład poematu *Łukrecyusza*; drugą połowę p. Heinrich pro-

essorowi wydziału literatury w Lyonie, za historią literatury niemieckiej.

Akademia napisów, na posiedzeniu 24 czerwca, przeznaczyła pierwszą nagrodę *Gaubert* p. Symeonowi Luce, dyrektorowi archiwów cesarstwa za pierwszy tom wydanej przez niego *kroniki Froissarda*. Pan Luce nie ma jeszcze lat czterdziestu. Wydał już historią *Rzezi* znanych pod nazwą *Jacqueries*, według nowych zupełnie źródeł. Oprócz tego wynalazł w rękopisach Biblioteki cesarskiej, niewydaną *Kronikę z XIVgo wieku*, którą ogłosił p. t. *Kronika czterech pierwszych Walezyszów*. Pomieścił także w zbiorze *Starożytnych poetów francuzkich*, niewydany dotąd poemat Gaidona. Nagroda *Gaubert* wynosi 20,000 fr.

W wydziale naukowym we Francyi zaszło zdarzenie godne szczególnej uwagi: panna Elżbieta Garret otrzymała stopień Dr. medycyny. Za tezę do bronienia, wzięła *migrenę* i broniła jej z tak wielkim talentem, i z tak gruntowną zuajomością rzeczy, iż wręczono jej dyplom bez oporu.

Amerykanka, przyjaciółka panny Garret, uczęszcza także na kursa wydziału lekarskiego. Odbyła już kilka egzaminów z wielkiem powodzeniem.

Zachęcona przykładem dwóch towarzyszek, młoda jedna Francuzka wpisała się także w grono uczniów.

Kiedy przed kilkoma laty panna Patnum żądała upoważnienia na zdanie egzaminu w Paryżu, profesorowie fakultetu lekarskiego oświadczyli jednogłośnie, że podobnego upoważnienia dać nie mogą, wstrzymywały ich ważne względy. Minister oświecenia p. Duruy, korzystając z władzy, jaką mu nadawało prawo, pominął formalności. W skutek tego ustępstwa, panna Patnum, a dziś i panna Garret otrzymały żądane upoważnienia. Wyjątki nie zmieniają przecież zasady.

Znany starożytnik A. Bachét wynalazł w tych czasach dokumenta nadzwyczaj ważne dla historii francuzkiej w Bibliotece archiwów Weneckich, jak wiadomo jednej z najbogatszych w świecie. Nowo wydane jego dzieło: *Historja tajemnej kancelaryi rzeczypospolitej* („Histoire de la Chancellerie secreta de la Republique sérinissime”), chwyta jakby na gorącym uczynku dyplomacyą wenecką, ukazuje nam senat, gabinet ministrów, radę dziesięciu inkwizytorów państwa, w ich stosunkach z Francją.



PISMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Miron. Fantazye. Warszawa, 1870, str. 45.
Fragment powieści przez Leonarda Sowińskiego. Lwów,
1869. str. 36.

Ukazującym się od czasu do czasu utworom wśród naszej krajowej poezyi, nie możemy bynajmniej zarzucić braku poezyi. Nasi młodzi pisarze wszyscy mają smak ukształcony na wzorach dobrych i usiłują odtwarzać to co ich uderzyło we wzorach, jeśli można i przewyższyć swój wzór w czém trochę. Nie na brak więc, częściej owszem na niejakię przesady i zbytki barw poetycznych w utworach naszych narzekać moglibyśmy. W tych np. spotka nas nieraz gładkość nawet do zbytku, w tych jaskrawość i efekt, do zbytku efekt; tu nieraz, że tak powiemy, celowość do zbytku i t. p. Proza i chlód są jak najdalsze od wszystkich, nawet od jawnie chybionych.

Czy pośród tych od czasu do czasu zabłyskań (i dodajmy, nieraz i *rzetelnych zabłyskań*) na widnokręgu naszej poezyi, ukaże się i jaka gwiazda stała? czy wśród tych twórców poezyi ukaże się i poeta ze stałym wieńcem laurowym? mistrz czasu? tego naturalnie nie wiemy, a nie wiemy choćby dlatego, że pośród poetycznych tych publikacyj które nas spotykają, otrzymujemy tylko prawie wyłącznie jakieś zaczęcia bez swych dalszych ciągów, urywki, liryki krótkie i t. p. a nie otrzymaliśmy już oddawna kompozycyi na skalę większą.

Z liczby utworów które nas najświeżej spotkały, wspomnimy tu tą razą szczegółowiej o dwóch stosunkowie obszerniejszych (dramacie i powieści), t. j. o tych których tu napisy właśnie przywdliśmy.

Pierwszym są *Fantazye Mirona*.

Z tém nazwiskiem poety (Miron) spotykamy się już od lat kilku. Z trzech fantazyj które składają obecny zbiór, dwie są krótkie i naśladowane, pierwsza zaś oryginalna i najdłuższa jest dramatem fantastycznym i o tym właśnie powiemy tu bliżej.

Dramat ten ma napis: *Bez Boga*, a szczegółowsza treść jego jest następująca:

Pan zamku hr. *Cezaryusz* był bez Boga.—Będąc młodym trawował on dzieci wiejskie, palił chałupy wiejskie, dla sycenia swych passyi rzucił się w świat i, dziś wraca do zamku z ostatnim przedmiotem swęj passyi (Lola), bo doszła go była wróżba jeszcze przed laty 20, że kiedy utraci wszystko, w zamku swym znajdzie skarb. Tym skarbem było jednak nie złoto (jak się tego spodziewał hrabia), lecz piękna i cnotliwa córka burgrabiego Sylwestra—*Klara*. Hrabia przybija burgrabiego który mu nie dał złota, ale postrzegłszy z okna Klarę woła na nią i woła namiętnie. Zazdrosna Lola ostrzegła ją z balkonu iżby się skryła. Hrabia strąca Lolę z balkonu,— po trupie jęj biegnie ku Klarze,—dościga na cmentarzu,—omdlałą ścisła,—rozkrywa jęj pierś, a na jęj piersi znajduje znak—iż jest jego córką.

W zamku była i druga dusza bez Boga, filozof *Maurycy*; ten straciwszy wiarę we wszystko ukrył się tu by aby badać, lecz z wielbiciela badań zmienił się w wielbiciela Klary, w stróża jęj, i teraz ujrawszy scenę, przywiązuje Hrabiego za poły do cmentarnego krzyża—i z Klarą uchodzą.

Treści tęj dramatu, jak widzimy, nie brak efektów, kreślenie w nim charakterów nie jest bezbarwne, a dyalog i wiersz nie są bez siły.

Iż hr. Cezaryusz był bez Boga widać to z jego uczynków. Autor kreśli dobitnie nędzę takiego stanu. Hrabia nie tylko z bankrutował był materyalnie, ale radby był pozbyć się i ostatka swojej umysłowości, i woła np.:

Ha! gdyby można wyszarpać mózg z głowy
I przestać myśleć!

Iż filozof Maurycy był bez Boga widać to znowu z jego słów, a mianowicie z jego polemik z Klarą. Te polemiki należą do głównych cząstek *Fantazyi*, a charakterystyczną ich cechą jest: iż czytający stawać tu musi więcej po stronie Klary, lubo ta opierała się więcej na samém uczuciu.

W sporze np. o to: w jaki sposób najprędzej ludzkość może dojść do uszczęśliwienia, Maurycy rozwijając swój system mówi:

Dziś świat zatruty tak straszną niewiarą,
Tak pokalany swą pracą nikczemną,
Pracą dla ciała, że wprzód go potrzeba
W ogniu i we krwi obmyć z tego kału.
Wydrzyć mu z piersi chęć walki dla chleba,
Powrócić ufność w *prawdę ideału*,
A potem powieść go w owe wyżyny
Gdzie lśnią obietnic przyrzeczonych zorze.

W rozumowaniu tém nie może zapewne nie razić, iż filozof który nie wierzył w nic, wyrzeka na świat iż jest *zatruty niewiarą*,— iż pracę (pracę dla chleba) zowie *kałem*,— iż wynosząc nad wszystko cześć dla *ideału*, sam powołuje do krwi i ognia,—ale rozumowanie i wołanie takie nie jest bez pewnej prawdy, jest bowiem trafnym odbiciem tego zamętu uczuć, zamętu pojęć, które dziś są udziałem wielu dusz młodych; kiedy więc odpowiadając na to rozumowanie Klara mówi:

Nie, Maurycy, nie, Adama synów
Krew ani ogień oczyścić nie może,
Bo krew i ogień rodzą zatracenie;
Miłość i wiara tylko dać im mogą
Jutro radośne i pragnień spełnienie.

tedy lubo w tych ostatnich dwóch wierszach jest samo *twierdzenie*, gdy jednak twierdzenie każde jest to przynajmniej *coś*, a rozumowanie Maurycego było to chaos a przeto *nic*, wygrana więc (i zkad- inąd zapewne słuszna) pozostaje po stronie Klary. Podobnie wszędzie.

Czyli jednak wypada nam dodać, i autor sam w układzie tej całej fantazyi, zdołał się wyzuć zupełnie z ram tego charakteru (Maurycego) który tu tak dobrze skreślił?—nie zaręczylibyśmy.

Maurycy lubo się wyrażał chaotycznie, wyrażał się jednak nieraz istotnie uczuciowie i silnie, np. kiedy objawiając żal swój do świata za zawód którego doznał, tak nań, między innymi, wyrzeka:

Ha! ty świecie trupi,
Ty widać z swego tańca szalonego
Okolo słońca, tak chory i głupi.
Ja cię nie cierpię... Ja com chciał dla twego
Życia dać życie...

Wszakże siła wyrazu wtenczas tylko jest rzeczywistą siłą gdy ma podstawę logiczną; w wołaniach zaś Maurycego jest nie raz brak tej podstawy (nie w skutek nawet rodzaju charakteru). Tak np. kiedy w zaczęciu sztuki burgrabia Sylwester uprzedza go iż do zamku ma przybyć jego właściciel *Herabia*, Maurycy zapytuje: „cóż to za *zwierzę?*” Kiedy następnie Sylwester opowiada mu zepsutą młodość hrabiego, i że ojciec przez miłość dla syna wybaczał mu jego zbrodnie względem drugich, Maurycy woła:

...Więc zakrzepło
Uczucie w sercu mu tylko dla nędzy?
O! są *szkielety* podobne na ziemi!

Wyrażenia te są tylko siły pozornej; dlaczegoż bowiem każdy hrabia ma być *zwierzęciem*? (cóż u nas np. powiedziałyby na to pola pod *Obertynem*, karty *Irydyona*, i t. p.); o sercu zaś egoisty jeżeli- byśmy się mieli wyrażać *allegorycznie*, możnaby prędjéj rzec iż jest dobrą tuszą okryte, nie zaś że jest *szkieletem*.

Cezaryusz który miał być bez Boga, musiał jednak w istocie uznawać Boga kiedy uznawał czarta; chciał mu bowiem na seryo zapisać swą duszę za złoto i dodaje tylko że „czart nie głupi, po co ma kupować to co jest jego.” Maurycy który wyznawał sam iż w nic nie wierzy, przywiązawszy hrabiego do krzyża woła: „błagaj Boga!”

Los bohaterki powieści która od ojca bez Boga ucieka z kochankiem bez Boga, także ma znaczenie nie jasne, artystycznie.

Całość słowem Fantazyi mimo nie jedną piękność w słowie i myśli daje nam pewien zamęt w obrazach i słowach. Kompozycyi téj brak jest *pokoju, harmonii, jasności*, a cechy te, tak nas uczy historia sztuki, są warunkami utworów stałej wartości.

Poezya tak jak woda,—może ona odbijać równie słońce i niebo jak drzewa i dzikie skały, ale jedne i drugie dopiero wtedy kiedy się uspokoją na jej powierzchni fale.

W każdym razie cel dramatu tego jest dodatni: celem tym jeżeli się nie mylimy, było wskazać: iż nie rajem dla ludzi, byłoby życie ludzi—bez Boga. — *Jeżeli się nie mylimy.*

Odmiennej z wielu względów jest cechy *Fragment powieści* p. Leonarda *Sowińskiego*; tu jest i harmonia, i jasność i pewien spokój, lubo także i ślady burzy duszy młodzieńczej.

Źródłem pierwszém natchnień młodych poetów jest zwykle miłość, a źródłem téj: niepowodzenie, przeszkody i t. p.; tą razą przypadek jest inny,—poezya w duszy poety była pierwój niż miłość a była tak rzeczywistą, że nawet nie zabiła jej miłość lubo szczęśliwa. I owszem, młode i wrzące serce XIXgo wieku które zarówno silnie uczuwa i cześć dla ducha i cześć dla materyi, uległszy przewadze drugiej, unosi się wstydem i gniewem, gniewom na los, na siebie, na wszelkie przyczyny losu; zamiast extazy szczęścia uczuwa urazę, uraza budzi ironię, ironia spowiedź otwartą, a skutek ten w nową nawet barwę tę poetyczną spowiedź przyodziął; opowiadanie poety jest to jakoweś zmięszanie i ognia duszy i zimy dydaktyki, lub raczej zimy duszy i ognia dydaktyki, i żywszej, głębszej fantazyi i otwartości prozy potocznej.

Poeta uwiódł dziewczynę czy też dziewczyna poetę; uścisnęła, uwiodła, i ujrzawszy że wkrótce ochłódł—umarła.

Taka jest treść *Fragmentu*, którą autor czyli to na przestroge poetów czy na przestroge dziewcząt opowiedział.

Zwykle dla dania poznać utworu, po przytoczeniu treści dodaje się kilka uwag jego charakterystyki; tenże będzie sądzimy skutek, jeżeli do téj charakterystyki o której tu z góry powiedzieliśmy, dodamy dla objaśnienia szczegółowszą treść *Fragmentu* wyrażając ją wyjątkami z jego słów własnych.

W formie zewnętrznej poezyi téj, tak jak w jej barwie wewnętrznej, jest pewna nowość; jest nią bowiem jakowyś hexametr rymowy.

Autor zaczyna powieść od określenia maja, niby duszy młodzieńczej.

Oh! ten przeklęty maj! w powietrzu woń upajająca,
 Na ustach śpiew, a pierś—jak wulkan rozhukany wrząca.
 „Luba! nieprawdaż? raj!”—*wykrzyknął student medycyny*
Do panny X.—„Ostrożnie, w raj u bywają gadziny!”

Spojrzenia na siebie wyrzekły o wzajemnym losie chłopca i panny; z uczuciem określa je autor a mianowicie poetycznie i pięknym słowem chrześcijańskim ustąpienie pobożnej, duchowej myśli z serca dziewczyny.

U srebrnych duszy bram *Królowa Anielska* westchnęła,
 Ach! już *nie dla niej* tam, iskrzyło się młode natchnienie;
 Więc z ideału ram obrazek swój boski wyjęła,
 I pyłek stóp otrząsała na pokalane marzenie.

Dziewczyna miała zgubić poetę i zgubić się sama; wszakże nie sama tylko była w tém winną; autor jako winę określa całe jęj wychowanie, jęj otoczenie, które sprzyjało i popychało ich obu do kroków zguby.

Z panną był brat—*złśliwe jak sto szatanów chłopiątko!*
 Bohater nasz go znał—*największe to było osłátko*
 Ze wszystkich małych... co nauk u niego słuchali, (student medycyny miał oczywiście i sam uczniów),
 Odgadł dowcipny łotr, że w sercu magistra się pali.
 A więc do sztuk... pochylił ją doń ostrożnie z początku,
 Aż nagle... Diol gwałt!... włosami dotknięci zostali,
 A malec w śmiech... skarżąc się rzekł... „ach! niewiniątko!”

W podobnym stylu, bez uniesień, otwarcie, nie bez poetycznych jednak kontrastów skreślony w opowiadaniu dalszém i obraz bohaterki.

Kecipe dumy lwiej, i turkawki młodej gruchania,
 Wściekłych *tragicznych* scen i *piaszczot* do nie wytrzymaania,
 Żądzy i zimnej krwi, *okrucieństw*, smutku, *czułości*,
 Wszystko to znać i w ogniu azyatyckiej miłości
 Zkryształ w kobiety kształt, a *wyjdzie niezawodnie Mania*.

Nie będziemy tu wcale przytaczać dalszych szczegółów tej historii, zaproszenia studenta do domu, figur i zabaw domu, przejść i historii z panną; wspomnimy tu tylko, iż to określenia, opisy, jakkolwiek określenia scen miłosnych jak najdalej są od idealności np. Petrarcki, lub IV części Dziadów, a określają się wszędzie szczerze i krótko, np. w guście takim:

Czy jest co miłszego nad majową podróż z kochanką?
 Słuchajcie! *Byszow*—noc—pocalunek pierwszy na ganku;

Chodorków—kilka słów: „Leosiu mój!—Maniu serdeczna!”
Berdyczew—łzy i gniew—pojednanie i miłość wieczna.

Wszakże jak powiedzieliśmy, opowiadanie to odznacza nie tylko lekkość, ale zarazem i ciężar żalu i oburzenia, wśród przypomnień na wyższe, na istotne cele człowieka.

A jednak!... Boże mój!.. jak wielką zagadką jest serce!
 On czuł swój stan, on czuł że tonie w błocie, w poniewierce,
 Oburzał się na dłoń, co wlokła go w nicłość bydlęcą,
 Wiedział że miałby moc odrzucić wdzięki co go nęcą...
 A jednak brnął i brnął...
 Ucałowałby nóż coby rozpruł pierś tę zwierzęcą,
 Bo gardził nią. . i kochał... sam z sobą w dziwnej rozterce...

Mysł młodej, spętanej duszy, wrywała się i unosiła się raczej do innych, większego, powszechniejszego znaczenia uczuć i prawd, których autor nieśmiałyby nawet na podobną nutę wyśpiewywać.

Ol mam ja skarbiec prawd, sarkastycznym śniechem nietkniętych.

I twój tam (poetyo) stoi tron, czerniejący barwą kirową
 Śród potrzaskanych tarcz i sztandarów dzisiaj zwiniętych.

Autor chciałby się raczej zmienić na śpiewaka tych prawd, zamiast tych scen które śpiewa a które mu przecięły tę możliwość.

. . . . ta krew, co trysła z wielkiej Rany,
 Kędy sromotny Krzyż na wyżynach sterczał Golgoty,
 Krew ta chce innych form (t. j. nie *Olympu* a zwłaszcza
Cypru).

Dajcie mi furji bicz, i pochodnię hańby piekielną,
 Wydarłbym z bratnich serc, ten szal, gadzinę tę bezczelną,
 Harpię młodej krwi!..

Ileżto męzkich dusz nadziejami wielkich za młodu,
 Ile ogromnych sił z namaszczeniem i wołą dzielną
 Nagle runęło w proch, trucizną jój tkniętych śmiertelną...

...Jak Jozue rozwalający mury

Pragnąłbym skruszyć gmach zniewieściałej naszej natury,
 By w gruzach jego wzniesić potężniejszy... z *Cyklopich* głazów.

Zakończenie powieści odznaczone jest wyrazami niejakiej czułości, opowiadanie bowiem kończą następujące wiersze:

Jedyny mój! ty już mię nie kochasz? nie prawda może?
 Nie odpowiadasz? mów!.. pocałuj mię... jeszcze raz!.. Boże!..

Objęła go, o skroń rozpaloną główkę oparła...
I jęcząc, drżąc, bez sił, jak gołąbek senny zamarła

Tu kona pieśń... gorsza niż śmierć mi ją dola wydarła.

W kontraście jednak z tórn zakończeniem jest położone na czele Fragmentu godło z *Nieboskiej komedyi* które tak brzmi: „Widma, lećcie ku niemu; ty naprzód, ty na czele, cieniu *nałożnicy* umarłej.”

W takich rysach, w tój nucie, i w takich zwrotach Fragmentu odznaczone jego zawarcie.

Zdarzyło się już nam nieraz śród życia uczynić uwagę, że w kreśleniu tak przeważną w nowój poezyi naszej grającego rolę, pierwiastku erotycznosci, kreślenie to odróżnia się stałą cechą pod piórem śpiewaków południa i bardziej północnych (z nad Dniepru i Wilii). Fragment obecny (z południa) nie zaprzeczył bynajmniej uwadze tój, temu faktowi. Nie idealność, nie słodycz, ale przeciwne wprost cechy odznaczyły tu wyrażenie się tego pierwiastku. Odkładamy tu na bok istotę i odcienia rzetelnój poetyczności, z okoliczności jednak dodajmy: że mimo pozór przewaga dydaktyczna nie koniecznie być może po stronie pierwszój. Takie np. potraktowanie upadłej przyjaciółki, jak jest obecne; lekceważenie i sponiewieranie jój—nie wiemy czy ma cechę piękności, ale może być lepszą moralną lekcją, niż idealizowanie i apoteoza ułomności

X.

O reformie wykładów dziejowych na podstawie indukcji. Kraków 1868.

Nauka dziejów, sięgająca kolebki uspołecznienia człowieka, a więc jak świat stara i jak świat poważna; pomimo jednak tak szanowną starożytność swoją aż do dni naszych nie ustaliła się w dydaktycznym zastosowaniu. I nic dziwnego! gdy taki olbrzymi obraz przeszłości każdemu systematowi, każdój doraźnej polityce, każdój filozoficznej czy pseudo-filozoficznej teorii daje możność, a przynajmniej chęć do skorzystania z zasobów dziejowych i ngrupowania szczegółów w duchu tych zasad, jakim hołdujemy. Tak, że sądzićby można, iż owo sławne wyrzeczenie Niemców: „die Weltgeschichte ist das Weltgericht” jest dotąd niedosiężonym ideałem; bo prawdziwie wszechświatowego, wysoce bezstronnego *wyroku* o przeszłości, na któryby wszyscy się zgodzili, zaledwo czy znaleźć możemy.

Sam nawet cel dziejoznawstwa elementarnego jakże nieskończenie rozmaity! Jedni wymagają od historii jak najwięcej surowego

materyału, faktów; drudzy znajomości głównych momentów życia narodów; inni znajomości idei, kierujących losami ludzkości; inni znawstwa ducha narodowego, o ile się on w utworach myśli i sztuki, i w wykształtach materyalnych objawił; są wreszcie wymagania polityczne, prozelityczne, dynastyczne, ogólnoludzkie i t. d. Słowem, z tej nieprzebranej skarbnicy dziejowej każdy radby skorzystać g'woli tym przekonaniom, tym teoryom politycznym, religijnym czy społecznym, jakich jest zwolennikiem.

Porównajmy reskrypt pruskiego ministra Bethmann-Hollwega z okólnikiem ministra Duruy; jakaż przepaścista różnica w pojmowaniu celu i środków do celu tego wiodących u tych przedstawicieli oświaty, dwóch najucywilizowańszych narodów w Europie! Cóż więc dziwnego, gdy przy tak rozstrzeloném, rozmaitem do nieskończoności pojmowaniu zadania dziejoznawstwa, dydaktyka historyczna ustaloną być nie może; co tém dotkliwiej dla oświaty czuć się daje, że nie masz dziś kraju, w którymby nie pojmowano całej ważności dziejów, w którymby myślący ludzie nie byli przekonani, że nauka dziejów powinna podać młodzieży obraz życia narodów, czyny ich i cele, urzãdzenia społeczne i państwowe; powinna uwydatnić wielkie jednostki narodowe, różnolitą ich czynność na polu walki i w radzie panującego, na trybunie i w auli akademickiej; a co najważniejsza: historia powinna wpływać na wyrobienie i uszlachetnienie *charakteru* młodzieży, przez wykazywanie wzorów mądrości, energii, poświęcenia, przez zachętę do wszystkiego, co święte, wielkie i dobre.

W piśmiennictwie naszym ze wszystkich gałęzi literatury najmniej uprawianą jest właśnie historia powszechna; na tém polu zaledwo przyswajamy sobie znakomitsze prace europejskich uczonych; w dydaktyce zaś historycznej od bardzo dawnego czasu nie czytaliśmy nic nowego. I dlatego polecić musimy uwadze czytelników Biblioteki Warszawskiej „*Reformę wykładów dziejowych na podstawie indukcji*”.

Jest to bardzo znakomita praca; znakomita gównie dlatego: że jest znakomicie sumienną. Jak każde dzieło ludzkie, nie jest ona bez wad, o których w przeglądzie naszym wspomnimy; ale to zaľubowanie przedmiotu, sumienne opracowywanie, połączenie wiadomości teoretycznych t. j. literatury przedmiotu z niemalą znać praktyką stawi „*Reformę*” na najwydatniejszym stanowisku w szeregu pism pedagogicznych i dydaktycznych, jakie ostatnimi czasy licznie u nas pojawiać się zaczęły.

Właściwy układ dzieła poprzedza ustęp p. t. „*Oświata w dawnej Polsce*,” mniej szczęśliwie opracowany i nie mający w istocie żadnego znaczenia naukowego, bo szkic ten jest nazbyt pobeźnym: w Piastowskiej epoce zaľedwo kilka bezbarwnych ogólników o oświacie czytamy; w czasach Zygmuntofskich spotykamy nawet wyrzeczenia, na które zgodzić się z autorem trudno. Tak na str. 13 mówiąc o szkołach protestanckich i katolickich, ryczałtowo feruje taki wyrok; „*ani jedne, ani drugie nie przyniosły krajowi pożytku; przeciwnie, dążność ich fanatyczna okazała się zgubną.*” To nie

jest zapatrywanie się historyka bezstronnego, jakim chce być autor: dążność ta nie mogła być i nie była *fanatyczną*, była co najwięcej prozelityczną; a że wielki przyniosła pożytek w rozpowszechnianiu oświaty, w wyrobieniu giętkości języka, toku krasomówskiego, o tém dowiedzieć się można z pierwszego lepszego podręcznika literatury polskiej. Nieco uważniej opowiedziano rys oświaty Stanisławowskiej i czasów nowszych, bo tam przynajmniej niejaką wzmiankę o wykładach historii czytamy, wówczas gdy cały wstęp poprzedzający nie wiedzieć po co figuruje w książce historii poświęconej; o nauce dziejów słowa tam nie ma.

Dzielko samo składa się z dwóch części: z teoretycznej, t. j. z dydaktyki historycznej i z krytycznych uwag o literaturze historycznej. W pierwszej mówi autor o metodach historycznych, obszernie roztrząsa dedukcją i indukcją, wykazuje niewłaściwość dedukcji, a potrzebę indukcyjnego wykładu w szkołach średnich, a zwłaszcza w szkołkach ludowych, i podaje wzór takiego traktowania przedmiotu na jednej z najtrudniejszych epok historii—na reformacji. W trzech studyach historyzoficznych: w rocznikarstwie, kronikarstwie i historii właściwej, wyjaśnia odpowiednio do wieku młodzieży, stosowny zakres działalności pedagogicznej, t. j. chronologiczną, biograficzną, monograficzną, etnograficzną i synchronistyczną; a wreszcie dokładnie wyjaśnia dydaktyczne znaczenie ilustracji i jej zastosowanie do dziejznawstwa elementarnego. Część ta opracowana zadawalniająco, i lubo myśli w niej zawarte nie mogą rościć pretensyi do oryginalności, są wszakże wielce pożytecznym nabytkiem w literaturze naszej pedagogicznej.

Zato mniej wyczerpująco i gruntownie opracowana literatura historyczna. Pismo takie, jak „Reforma wykładów dziejowych” przeznaczone być musiało oczywiście nie dla uczących się, ale dla nauczycieli: a w tym ostatnim zakresie znajomość literatury przedmiotu jest rzeczą zbytniej wielkiej wagi, żeby ją można było pobieżnie traktować. Zwracamy przeto uwagę na rozdziały II, IV, VI, gdzie przedstawia autor rozmaite sposoby zapatrywania się na dziejznawstwo: jest tam Bossuet i Goethe, Herder i Proudhon, wreszcie Lübker, Bethmann Hollveg, Kirchmann, Biederman, ostatni szczegółowo nawet rozpatrzony. Czyż to już wszyscy? Dlaczego, gdy cały obszar dziejznawstwa w całość ująć pragnie autor „Reformy”, dlaczego nie czytamy wzmianki o autorze „Nauki nowej”, Vico, od którego przecie właściwa godność naukowa historii się poczyna? Dlaczego, gdy z naszych pisarzy wspomina autor o Lelewelu, Trentowskim, Libelcie i t. d., dlaczego choć półsłówkiem nie zaszczycone zostały prace autora prolegomenów do historyzofii i Ojcznasz'a? Cieszkowski zasługuje na rozbiór najpoważniejszy i może uważany być powinien za punkt wyjścia do pedagogiczno-dydaktycznego stosowania dziejów. Wreszcie, na indukcji budując elementarny układ dziejznawstwa, dziwna rzecz, że téż autorowi „Reformy” nie przyszło do głowy, że głównie angielscy pisarze i cała szkoła pozytywistów, ten systemat najczęściej rozwijali. Należałoby

tedy choć ogólnie o takim Macaulay'u, Augustie Comte, a przynajmniej o Bucle'u powiedzieć. W samych wreszcie teoriach niemieckich nie tylko nie widzimy Hegla, ale nawet o pracy Gerwinusa wspomnień nie ma.

Zamiast takiego mniej więcej zupełnego przeglądu kierunku badań historycznych, widzimy, że autor upodobał sobie kilku pisarzy około 1857—1860 roku piszących; to też pominąwszy tylu innych, rozprawia o Lübkerze, Bethmann Hollwegu, Kirchmannie i Biedermanie... A lubo zagadkowym jest dla nas to wyłącznie do nich zamilowanie, to jednak i na krytykę tych pisarzy bezwarunkowobyśmy się nie zgodzili. O Kirchmannie np., od którego się poczyna uwzględnianie owej „kultury” w obrazie dziejów, pan Z. mówi zbyt ogólnikowo. Wiadomo, że pogląd Kirchmanna na obecny stan nauki historycznej jest zanedo posępny: zdaje mu się, że współczesne traktowanie dziejów jest „historią ambicyi i zatargów krwi żerczych, które burzyły lud, fundowały państwa, podbiły i ujarzmiły narody; sądzi, że dojrzewający młodzieniec z boleścią będzie spoglądał na owe czyny wielkich ludzi, którym nigdy dorównać nie może, albo też zapanuje w sercu jego egoizm zgubny i zapagnie sam być wielkim, sam jeden powstać na ruinach ludzkiego szczęścia i dobrobytu narodu”. A ponieważ młodzieź potrzebuje rozwijania bardziej pokojowych usposobień, podług zdania przeto pana Kirchmanna na pierwszym baczaniu przy wykładzie historyi stać powinien „rozwój pokojowy i duchowy ludzkości”.

W ten sposób opowiadane dzieje podniosłyby godność osobistą człowieka, podały mu dźwignią moralną do wytrwałego znoszenia przeciwności losów, i przyczyniłyby się do rzetelnego postępu światodziejowego. W tym celu Kirchman wykład dziejów w szkołach proponuje podzielić na dwie części: 1) na historią narodów i państw i 2) historią pracy i kultury. Taki pogląd, mający za sobą niejaki pozory słuszności, wymagał szczegółowego i starannego rozbioru i żałować należy, że pan Z. tego nie zrobił. Natomiast obszernie i zaobszernie rozprawia o Biedermanie; bo nam się zdaje, że chcąc dowieść niepraktyczności dydaktycznej metody Biedermanna, dość byłoby powiedzieć, że taki ogrom materiału historycznego jaki uważa za potrzebny dla 11, lub 12 letnich dzieci, chce przeprowadzić w ciągu 160 lekcji, to jest po 4 lekcye wciągu 40 tygodni szkolnych, o czem zupełnie przemilczał p. Z.

W końcu dodać musimy, że w tym samym czasie, który upodobał pan Zarański byli inni jeszcze pisarze niemieccy, co wymagali „kultury” w układzie dziejów elementarnych, jak: Fr. Kurtz, który w swoich tablicach historycznych (Lipsk 1860) ogólnie tylko kwestyą przeprowadza, a obszerniej Zeiss, który roztrząsając ten przedmiot dochodzi do wniosków niezawsze zgodnych z twierdzeniami Biedermanna. A przedewszystkiem pragnęlibyśmy zwrócić uwagę czytelników pisma pana Z., że jeszcze Dr. Pahlmann z Magdeburga w swojej Geschichte im Grundrisse 1860, również wskazuje na niedostateczność i błędy dzisiejszego opracowywania dziejów, które pod-

ług jego zdania leżą głównie w przepełnieniu materiału historycznego i w mechaniczném jego zestawieniu. Ztąd też za jedynie możliwy postęp w dydaktyce historycznej uważa on umiarkowanie, a raczej zmniejszenie tej przesadnej obfitości, oraz dokładność w opracowaniu materiału i jasność w rozgraniczeniu wykładu dla rozmaitych stopni. Te stopnie to jest lekcyje, chce połączyć w jedną logicznie spojona całość. Nadto swój „Rys zasadniczy” Dr. Pahlman przedstawia w kształcie tablic, gdzie starannie i obszerniej opowiada dzieje niż w zwykłych tablicach historycznych, takich np. jak profesora Kruga z Dorpatu; w nich zwraca autor uwagę na zwroty dziejowe, mogące wywrzeć wpływ na wyobraźnię i uczucie, ma przytem haczenie i na względy mnemoniczne w nauczaniu się dziejów. Oryginalnością Pahlmanna jest i to jeszcze, że w *jednej* książce łączy materiał historyczny dla *wszystkich* klas szkolnych od najniższej do najwyższej, tak, że lekcyje różnią się jedne od drugich, tylko odpowiednim szryftem; w czém oczywiście główną przewodnią myślą pedagogiczną jest staranie, by uczący się zawsze miał na oku całkowity materiał historyczny, jaki poprzednio nabył. W sposobie wykładu dziejów, mającym na celu przedstawienie głównych tylko momentów dziejowych, usuwając na stronę wypadki drugorzędne, tę nadto spostrzegamy szczególność, że w książce Pahlmanna prawie nie widzimy zdań pełnych, należycie rozwiniętych a cały materiał składa się ze skrótów i z napomknięć charakterystycznych, któreby przypominały uczniowi zupełnie rozwinięty i, że tak powiem, artystycznie przedstawiony wykład nauczyciela.

Jest to środek, który zapewne wielu z nas praktykowało przy słuchaniu kursów uniwersyteckich; ale kiedy pospolicie każdy z nas improwizował, że tak powiem, owe skrócenia i konspekty dla siebie samego tylko; to Pahlmann do godności systematu dydaktyki historycznej chce ten system doprowadzić, a co najważniejsza, chce zastosować nie tylko do wyższych, ale i do niższych klas gimnazjalnych. Próba ta niezdaje się, żeby mieć mogła szczęśliwe rezultaty: dla dzieci nie tylko materiał dziejowy, ale i opracowanie, wykończenie, za rzecz konieczną uważać potrzeba, gdyż dziecko nie jest do tego stopnia panem swojego słowa, żeby dla niego sposób wypowiedzania myśli był zbyt łatwą rzeczą; owszem, podręcznik historyczny nie tylko dokładnie, jasno, ale i obrazowo, pięknie, powinien odtwarzać dzieje, żeby przez sam powab zewnętrzny, przez styl, oraz przez charakterystyczne ugrupowanie faktów zainteresować uczącego się, potrzeba bowiem, żeby podręcznik między innymi nauczał go myśli swoje dokładnie wyrażać. Tego wszystkiego oczywiście skrócenia dać nie mogą.

Zresztą, skoro tu wspominamy o dziele Pahlmanna, oczywiście, że do pewnego stopnia podzielamy dydaktyczne jego pomysły, zdaje nam się, że takie skrócenia, przy sumienném traktowaniu przedmiotu przez nauczyciela i przy talencie jego narracyjnym, mogą uczniom klas wyższych znakomitą przynieść ulgę i zaoszczędzić czas do powtarzania potrzebny. Toż samo powiedziéé potrze-

ba i o układzie materiału dziejowego dla dwóch lub trzech kursów w jednej książce: dla uczniów poczynających taką metodę za stanowczo wadliwą uważać potrzeba, gdyż ciekawości dziecka trudno granicę położyć, będzie ono czytało to, czego dokładnie objąć nie może. Ztąd niesystematyczność w nabywaniu wiedzy historycznej a nawet powierzchowność, tak zgubną dla naszej młodzieży. Natomiast w klassach wyższych streszczenia owe materiału naukowego, jakiego się nabyło w kursio poprzednim, za wielce pożyteczny uważać należy.

Takie oto uzupełnienia pragnęlibyśmy widzieć w części krytycznej pisma pana Z. Uzupełnień takich możeby właściwi specjaliści-historycy znaleźć chcieli daleko więcej; gdy wszakże ci ostatni od lat dwóch nie przemówić nie chcieli o tej pięknej pracy, uważaliśmy za obowiązek sumienia naukowego, zwrócić na nią uwagę czytelników, w tém przekonaniu, że ujemne strony „Reformy” o jakich mówiliśmy wcale nie rzucają niekorzystnego światła na ogół dziełka pana Z., bo i to co autor nam podał, jest nowością bardzo pożądaną w naszej literaturze pedagogicznej. Dla postępu nauki życzyć tylko należy, byśmy się jak najczęściej z pracami podobnemi spotykali.

Antoni Bądzkiewicz.

Biblioteka powieści i romansów. W naszym wieku powieść usunęła prawie wszystkie inne utwory literackie. W tej tylko formie przemawiać winna skutecznie do masy czytelników, rozwijać umysł i podbijać serce; bo publiczność tak u nas jak w całej Europie ubiega się namiętnie za powieścią. Wydawnictwa więc powieści i romansów, na wyższą skalę mnożą się codziennie. We Lwowie staraniem A. J. Rogosza, Pillera, Jumbrozowicza i Schmidta, wychodzi Biblioteka powieści i romansów w takiej ilości, iż rocznie dostarcza piętnaście tomów dziesięcio-arkuszowych. Są to same przekłady z powieści i romansów wyborowych, znakomitych pisarzy angielskich, francuzkich, niemieckich, włoskich, hiszpańskich i innych. Dotąd wyszły następujące powieści: I. Caraniolo, Tajemnice klasztoru neapolitańskiego, II. Feuillet, hr. Camors, III. Caballero, Klemencya, IV. Dickens, Klub Pikwika. V. Być albo nie być: powieść szwedzka przez Zosję Maryę Schwartz. VI. Gdzie winowajca? P. E. Gaboriau.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Wrzesień 1870. Od kilku lat trwająca stagnacya w handlu księgarskim, zaledwo nieco się zmniejszyła, kiedy wybuch niespodziewany a nagły wojny, powiększył ją bez porównania. Cała uwaga czytających zwróconą została wyłącznie na pola krwawych zapasów. Zniwo to dla gazet i pism illustrowanych: pierwsze zyskują prenumeratorów codziennem podawaniem wiadomości, drugie przedstawianiem wizerunków wydatniejszych osób biorących udział w tój walce, oraz kostiumów wojsk i rozmaitych przyborów wojennych. Odbyt jaki mają obecnie księgarnie, ogranicza się na mapach przedstawiających tak Niemcy jak Francya, i całe wybrzeża morza Niemieckiego i Bałtyku. Ogromną tóż ich ilość już rozprzedano, pomimo, że tak gazety niektóre, jak pisma illustrowane w mniejszych rozmiarach, rozstały podobne mapy swoim prenumeratorom. Sądzymy wszelako że gdy walka się przedłuży, i losy wojny zaczną przeważać na jedną lub drugą stronę, okaże się potrzeba broszur mniejszych lub większych rozmiarów, które streszczą dziś odegrywający się dramat i wydatne sceny obejmą.

— Rada główna opiekuńcza zakładów dobroczynnych w Królestwie polskiém, szczęśliwą myśl powzięła utworzenia przy szpitalach biblioteczek odpowiednich do potrzeb duchowych dla tych, którzy w tego rodzaju zakładach szukają pomocy lekarskiej. Redakcyja Biblioteki Warszawskiej otrzymała właśnie pomienionej Rady głównej odezwę. „Umysłowe zajęcie chorych (czytamy w niej) leczonych po szpitalach, ocenianém być winno, nie tylko z pobudek współczucia dla niedoli istot złożonych niemocą, a troską o przerwany byt powszedni swe cierpienia pogarszających, ale nadto ze stanowiska leczniczego i higienicznego. Spokój i pogoda umysłu, zwłaszcza w chwilach rekonwalescencyi lub w chorobach, w których cierpienia fizyczne mniej na umysł chorego oddziałują, są jednym z głównych warunków rychłej i pomyślniej kuracyi, co jest nawet już po części ustawą szpitalną przewidzianém”.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej, oceniając tak ważne powody, już złożyła po kilka egzemplarzy swoich wydań, a nadto gotową jest do przyjmowania ofiar z książek na ten cel darowanych, i przestania do rady głównej opiekuńczej.

— Na zapytanie, kto jest autorem wierszyka do A. E. Odyńca któryśmy umieścili w zeszycie sierpniowym naszego pisma, odpowiadamy: że napisał go F. S. Dmochowski, wybrany w r. b. na członka Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, które słusznie

uczciło w sędziwym pisarzu, długoletnie zasługi dla literatury krajowej.

— Tygodnik *Illustrowany* w N-rze 134, podał w udatnym drzeworycie widok *Krakowskiego Przedmieścia* w Warszawie, podług ryciny Canalletego z roku 1771. Zajmujący to obrazek, bo przedstawia tę część miasta już dziś zupełnie zmienionego. Domy które ją zamykały, są zrzucone a na ich miejscu ogród się zieleni; około posągu Zygmunta III, stanęły gustowne wodotryski: stragany z przekupniami usunięto. Malarz widać zdejmował ten widok od *Bramy Krakowskiej* dziś już nieistniejącej. W tymże numerze Tygodnika znajdujemy ciekawą wiadomość o *Kurpiach*, lubo dokładniejszych żądałobyśmy szczegółów o ich obecnym życiu i zajęciach, kiedy wielkie puszcze wycięto, a myślistwo zupełnie ograniczonem zostało, tak dla braku grubej zwierzyny, jak i broni. Nie możemy także się zgodzić, na przywiedziony domysł ś. p. Połujańskiego, że Kurpie z Karpat tu przyszli i osiedli. Wniosek zupełnie niewłaściwy i błędny, zrobiony z powodu zbliżonych wyrazów *Karpat* a *Kurpi*. Kto zna górala naszego wié dobrze, że nigdzie się nie osiedli na równinie, bo żywiołem jego tylko góry, i woli w nich nędzę, nad dostatek na dolinach. Zna on dobrze swoją ojczyznę, i doskonale określił w swoim przysłowiu że tam: *początek wody a koniec chleba*, dla tego za nie jój nie zmieni. Kurpie są od wieków osiadłym plemieniem mazurskim, które zastosowało tylko sposób życia do miejscowości leśnej, puszczonej, w której wyrobić się musiały myślistwo i bartnictwo.

— Wiadomo że sławnego czarodzieja Twardowskiego, przechowało się zwierciadło metalowe i te zawieszono zostało nad drzwiami zakrystyi kościoła w Węgrowie na Podlasiu. Jakim sposobem tam się dostało i kto je zawiesił, niewiadomo. Napis łaciński na niém powiada że z pomocą tego zwierciadła, wiele sztuk czarodziejskich Twardowski wyprawiał. Pan Marcin Olszyński wspólnik zakładu fotograficznego Brandla, i kierujący częścią artystyczną w *Kłosach*, przedsięwziął umyślną wycieczkę, i zabytek ten ciekawy odfotografował, który niedługo zostanie pomieszczony w pomienioném piśmie, wraz ze stosownym objaśnieniem.

— Od 1 października r. b. w Kielcach zacznie wychodzić dwa razy na tydzień czasopismo p. n.: *Gazeta Kielecka* pod redakcją Leona Gautier. Lublin więc, Kalisz i Kielce mają swoje organa.

— *Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzeczypospolitej polskiej z archiwum tak zwanego Bernardyńskiego we Lwowie, w skutek fundacyi ś. p. Aleksandra hr. Stadnickiego wydane staraniem Galicyjskiego wydziału krajowego.* Tom II. Lwów, z drukarni Zakładu narodowego imienia Ossolińskich, 1870. (W 4-ce str. VII, 285).

Badacz dziejów i prawodawstwa polskiego Alexander hrabia Stadnicki, oceniając wysoką wartość historyczną archiwum tak zwanego Bernardyńskiego, że złożone jest w gmachu do tego klasztoru należącym, w testamencie swoim, o którym we właściwym czasie podaliśmy w piśmie naszym, zapisał odpowiedni fundusz,

na wydawnictwo szacownych zabytków, ażeby je ocalić od zatra-ty. Tom pierwszy został ogłoszony przed kilka laty. Kiedy re-daktor tego tomu umarł, Galicyjski wydział krajowy, sprowadził z Poznańskiego Dr. Ksawerego Liske, który dał się poznać z nauki badań dziejowych, i powierzył mu dalsze wydawnictwo téj publi-kacyi, wyznaczwszy z łona swego komisyją czuwającą nad tą pracą. W przedmowie, z której przytaczamy ważniejszy ustęp, dla zapoznania czytelników z tak cenném dziełem, w imieniu wy-dawnictwa, podpisali Oktaw Pietruski i Dr. Ksawery Liske.

„Ogłaszając materiały z archiwum tak zwanego Bernardyń-skiego, dwie w niem uwzględnić trzeba części od siebie różne: oblaty dokumentów i zapiski sądowe. W pierwszym tomie wy-dawnictwa tego, ogłosiła komisya seryą oblat takich, zanim zaś przystąpi do publikacyi zapisków, postanowiła choć w części jeszcze bogaty, w oblatkach tych złożony materiał, wyczerpać. Przytém atoli zwróciła komisya uwagę swą na jedną okoliczność. Oblaty zawarte w aktach grodzkich i ziemskich, stanowiących archiwum tak zwane Bernardyńskie, zwłaszcza zaś późniejsze, do ksiąg sądowych z taką były niedbałością i nieznajomością rzeczy wpisywane, że aż za często napotykały w nich nie tylko pojedyncze słowa, ale nawet całe ustępy niezrozumiałe; przy ogłaszaniu ich za-tém, następującą się nieraz trudności w restytuowaniu tekstu tak wielkie, że mimo wszelkich starań, usunąć ich niepodobna. Trudno-ści te usunąćby można, gdyby się pod ręką miało oryginały, lub przynajmniej staranniejsze i wcześniejsze kopie tych dokumentów, z których oblaty owe robiono. Co do tomu, który obecnie składamy publiczności, Komisya znajdowała się w tém szczęśliwém położeniu że z takich oryginałów prawie bez wyjątku korzystać mogła. Tu-tejsze bowiem archiwa kapitulne, konsystorskie i arcybiskupie obrządku łacińskiego, jako i OO. Dominikanów, przechowują zna-czną ilość cennych, oryginalnych dyplomów, odnoszących się po największej części do dóbr, które albo dziś jeszcze znajdują się w posiadaniu tych korporacyj, lub kiedyś przynajmniej do nich należały. Że zaś według zwyczajów sądownictwa dawniej rzeczy-pospolitej polskiej każdy przywilój, każdy dokument, zwłaszcza zaś odnoszący się do własności, prawie bez wyjątku oblatowano rychlój lub późnój w aktach sądów grodzkich lub ziemskich, nasuwał się jak najnaturalniejszy i uzasadniony wniosek, że i owe wyż wy-mienione dokumenta, oblatowane będą w tychże aktach, i to wła-śnie tych grodów i ziem, których pozostałe zabytki złożone są w archiwum tak zwaném Bernardyńskim”.

Komisya, powoławszy od stycznia 1869 r. Dr. Liske, poleciła mu przejrzeć archiwów i złożenia sprawozdania, po przesłucha-niu którego, Dr. Liske zajął się przepisywaniem dokumentów, któ-rych 193 z XIV i XV w. wygotowanych przedstawił, i te stanowią właśnie tom II ogłoszony, opatrzone potrzebnymi przypisami. Wszystkie są w języku łacińskim wyjąwszy dwóch pod N. IX z roku 1378 i XXXV z roku 1407 w języku ruskim, kirylicą pisa-

na wydawnictwo szacownych zabytków, ażeby je ocalić od zatra-ty. Tom pierwszy został ogłoszony przed kilka laty. Kiedy re-daktor tego tomu umarł, Galicyjski wydział krajowy, sprowadził z Poznańskiego Dr. Ksawerego Liske, który dał się poznać z nauki badań dziejowych, i powierzył mu dalsze wydawnictwo téj publi-kacyi, wyznaczwszy z łona swego komisyją czuwającą nad tą pracą. W przedmowie, z której przytaczamy ważniejszy ustęp, dla zapoznania czytelników z tak cenném dziełem, w imieniu wy-dawnictwa, podpisali Oktaw Pietruski i Dr. Ksawery Liske.

„Ogłaszając materiały z archiwum tak zwanego Bernardyń-skiego, dwie w niem uwzględnić trzeba części od siebie różne: oblaty dokumentów i zapiski sądowe. W pierwszym tomie wy-dawnictwa tego, ogłosiła komisya seryą oblat takich, zanim zaś przystąpi do publikacyi zapisków, postanowiła choć w części jeszcze bogaty, w oblatkach tych złożony materiał, wyczerpać. Przytém atoli zwróciła komisya uwagę swą na jedną okoliczność. Oblaty zawarte w aktach grodzkich i ziemskich, stanowiących archiwum tak zwane Bernardyńskie, zwłaszcza zaś późniejsze, do ksiąg sądowych z taką były niedbałością i nieznajomością rzeczy wpisywane, że aż za często napotykamy w nich nieetylko pojedyncze słowa, ale nawet całe ustępy niezrozumiałe; przy ogłaszaniu ich za-tém, następującą się nieraz trudności w restytuowaniu tekstu tak wielkie, że mimo wszelkich starań, usunąć ich niepodobna. Trudno-ści te usunąćby można, gdyby się pod ręką miało oryginały, lub przynajmniej staranniejsze i wcześniejsze kopie tych dokumentów, z których oblaty owe robiono. Co do tomu, który obecnie składamy publiczności, Komisya znajdowała się w tém szczególnym położeniu że z takich oryginałów prawie bez wyjątku korzystać mogła. Tu-tejsze bowiem archiwa kapitulne, konsystorskie i arcybiskupie obrządku łacińskiego, jako i OO. Dominikanów, przechowują zna-czną ilość cennych, oryginalnych dyplomów, odnoszących się po największej części do dóbr, które albo dziś jeszcze znajdują się w posiadaniu tych korporacyj, lub kiedyś przynajmniej do nich należały. Że zaś według zwyczajów sądownictwa dawniej rzeczy-pospolitej polskiej każdy przywilój, każdy dokument, zwłaszcza zaś odnoszący się do własności, prawie bez wyjątku oblatowano rychlój lub późnój w aktach sądów grodzkich lub ziemskich, nasuwał się jak najnaturalniejszy i uzasadniony wniosek, że i owe wyż wy-mienione dokumenta, oblatowane będą w tychże aktach, i to wła-śnie tych grodów i ziem, których pozostałe zabytki złożone są w archiwum tak zwaném Bernardyńskim”.

Komisya, powoławszy od stycznia 1869 r. Dr. Liske, poleciła mu przejrzeć archiwów i złożenia sprawozdania, po przesłucha-niu którego, Dr. Liske zajął się przepisywaniem dokumentów, któ-rych 193 z XIV i XV w. wygotowanych przedstawił, i te stanowią właśnie tom II ogłoszony, opatrzone potrzebnymi przypisami. Wszystkie są w języku łacińskim wyjąwszy dwóch pod N. IX z roku 1378 i XXXV z roku 1407 w języku ruskim, kirylicą pisa-

nych. Poczet tych dokumentów rozpoczyna przywilój Kazimierza Wielkiego z roku 1352, ostatni zamykający ten tom króla Alexandra z roku 1502.

— W Berlinie pod redakcją Hermana Mendl'a wychodzi *Lezykon* muzykalny. Obejmować ma życiorysy muzyków wszystkich narodów. Czesi mają we współpracowniku p. Melis czujnego stróża, aby im się krzywda nie stała; co się tyczy naszych kompozytorów starszych i nowszych, o tych ponieważ się nikt nie troszczy, a p. Melis nie wiele o nich wiedzieć może, mogą być pokrzywdzonymi. W roku 1858 wydał po francuzku Albert Sowiński o muzykach polskich dzieło w Paryżu; ale wiele od téj pory artystów przybyło, o których warto wspomnieć. (Redakcyja i wydawnictwo w Berlinie, Wilhelmstrasse, 91). Wartoby, ażeby zawiązano z redaktorem stosunek i podano potrzebne ku temu materiały. Obojętność bawiących za granicą naszych rodaków jest tak wielką, że w świeżo ogłoszonym słowniku bibliograficznym w Paryżu wydanym, z literatów polskich jeden jest tylko F. S. Dmochowski wymieniony.

— Prezesem Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie, obrany książkę Marcelli Czartoryski.

— Mówiliśmy już w piśmie naszym o wspaniałym darze majora wojsk austriackich *Karola Kuhn* urodzonego w Złoczowie w Galicyi jaki ofiarował dla Zakładu imienia Ossolińskich we Lwowie. Dar ten składa się ze 148 obrazów, pomiędzy którymi są oryginały Palmy, Rembrandta, Tycyana, Rubensa i Murilla, tudzież teki z oryginalnemi rysunkami starych mistrzów. Właściciel tak drogocennych zbiorów, podzielił wysyłkę na części, tak dla odnowienia wielu obrazów, jak i sporządzenia odpowiednich katalogów. W roku 1868 Zakład Ossolińskich w pierwszej przesyłce otrzymał: Karton ze szkicami starych mistrzów w liczbie 400, pomiędzy którymi cztery oryginalne szkice Rafaela, z których jeden przesłany w roku 1525, jak świadczy umieszczony na nim dopisek, w upominku Albertowi Dürerowi w Norymberdze. Ośm obrazów jakoto: Znalezienie Mojżesza w Nilu, Murilla; Uczta bogów, Rubensa; Wekrzeszenie Łazarza, prawdopodobnie Rembrandta; Dziewczyna i pasterz, Juliusza Romano; Bitwa przez Burguignona; Zesłanie Ducha Św., Giorgona; Adam i Ewa, Padovanina; Dziewczyna modląca się, Sebastjana Couchy. Dołączył do tego trzydzieści sztychów z oryginalnych rysunków Rafaela, znajdujących się w weneckiej akademii sztuk pięknych; wreszcie trzy kamee, z których jedna rznęta w Karniolu, antyk, przedstawia popiersie młodej kobiety, i odznacza się okrom rzeźby, rzadkiem cieniowaniem kamienia. Róża we włosach jest barwy różowej, biust niebieskawy, a tło ciemno-czerwone. Dwie drugie kamee przedstawiają: jedna wizerunek Rafaela, rznęty także w Karniolu; druga Leonarda da Vinci w onyksie. Tygodnik *Illustrowany* (Nr. 133) podał nam szczegółową wiadomość o zbiorze całym, wraz z wizerunkiem majora Kuhn i krótkim jego życiorysem.

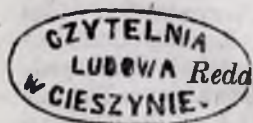
— Druk dzieła p. Alexandra Tyszyńskiego *Zasady krytyki* jest na ukończeniu.

— Jako organ urzędowy C. K. Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarskiego, w zeszytach miesięcznych wychodzi „*Rolnik, czasopismo dla gospodarzy wiejskich*” pod redakcją Antoniego Jabłonowskiego wice-prezesa tegoż Towarzystwa. Treścią swą odpowiada swemu zadaniu, i w r. b. bez przerwy wydawnictwo to się rozwija.

† Dnia 15 czerwca r. b. umarł w Warszawie Julian Liedtke w 35 roku życia, założyciel i redaktor pierwotny *Kuryera Lubelskiego*. Należy mu się wdzięczne wspomnienie, utworzeniem tego organu prowincjonalnego. *Kuryer Lubelski* dał popęd w innych stronach naszego kraju — i powstał *Kaliszanin*, pismo wybornie redagowane.

† Dnia 18 sierpnia zakończył życie w Warszawie Alexander Zabierzowski, pełen talentu budowniczy; autor planu teatru letniego w Ogrodzie Saskim, i redaktor wydawnictwa p. n. „*Budowniczy wiejski*.” Żył lat pięćdziesiąt dwa.

W jednym z najbliższych zeszytów Biblioteki Warszawskiej pomieszczoną zostanie rozprawa pani Dora d'Istria o literaturze ludowej madziarskiej; drukowana w *Revue de Deux Mondes*; pomnożona biografią samą autorki i szczegółami z innych źródeł przez panią Sewerynę D.



Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójoicki.

Wydawca Józef Berger.

W drukarni *Gazety Polskiej* (J. Bergera), ulica Daniłowiczowska, Nr. 619.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

• z R. 1870.

Filozofia.

	Stron.
Historycy pozytywiści: Buckle, Draper, Kolb. Studium krytyczne, napisał <i>Tadeusz Korzon</i>	42

Literatura.

Samobójstwo w stosunku do cywilizacji. (Wyjątek ze studyów <i>E. Caro</i>).	208, 356
Komedia polska w XVIII wieku, przez <i>A. Tyszyńskiego</i>	400

Biografia.

O życiu i pismach Kazimierza Brodzińskiego, przez <i>F. S. Dmochowskiego</i> .	221, 366
Dodatek do biografii Adama Mickiewicza, przez <i>W. Korotyńskiego</i>	285
Zofia z Szymanowskich Lenartowiczowa.....	318

Sztuki piękne.

	Stron.
Wystawa sztuk pięknych w Paryżu 1870 r., przez S. z Z. D.....	73, 232

Poezya.

Mojżesz, przez A. E. Odycha.....	40
Wspólny dół, przez Henryka Cieszkowskiego.....	202

Powieść.

Nie w porę. Powieść, przez Teresę Prażmowską.....	1, 161, 321
---	-------------

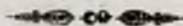
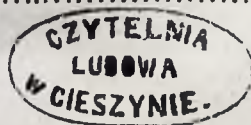
Korrespondencya.

Kronika włoska. Przez T. Lenartowicza.....	88
<i>Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna:</i>	
Historja Francyi opowiadana wnukom przez Guizota. — Zwrot ku Gallom. — Zawód professorski i prace literackie s. p. Villemain'a. — Pierwiastki Celtyckie przez Dr. Michałowskiego. — Słowianizm i Celtyzm. — Przyjęcie do Akademii p. Barbier. — Retoryzm p. Sacy. — Poezye p. Barbier. — Maurycy Saski, dramat p. Amigues. — Areny Paryzkie. — Wspomnienia młodości Mickiewicza, z listu Domejki rektora uniwersytetu w San Jago. — Karol Dickens. — Rozmaitości.	102
Wydanie pomnikowe płaskorzeźb kolumny Trajana, z objaśnieniami p. Wilhelma Fröhner, konserwatora pomników w muzeum Luwru. — Ostuteczne pytania, położone przez organizatorów kongresu jeograficzno-etnograficznego i statystycznego w Antwerpii. — Konkluzya dzieła p. Quatrefages, co do Darwinizmu i Transformizmu. — Młodość Robespiera, dzieło p. Paris, uwieńczone przez akademję w Douai. — Stan literatury hiszpańskiej w Hiszpanii i w Ameryce Południowej. Błędny sąd publicystów francuskich w tym przedmiocie. — Pamfletniki Berlioz'a. — Kilka słów dopełniających zdanie sprawy z Wystawy Sztuk Pięknych w Paryżu. — Konferencya p. Feyrret: Charakterystyka osób zwiedzających wystawę. — Szyller: sprawa o plagiat. Prelekcyja Max Müllera. — Uroczystość odkrycia pomnika dla Ponsarda w Wienne.....	254
Cesarz Herakliusz i cesarstwo Bizantyńskie w VI wieku, dzieło p. Drapeyron. — Wycieczka archeologiczna pana Schlieman, na miejsce starożytnego Illionu. — Odkrycie szczątków świątyni Minerwy i pałacu Pryama. — Poemat chiński <i>Li-sao</i> ; przekład hr. Hervé de Saint Denis. — Tydzień w Guerasey. Hauteville-House, dom Wiktora Hugo. Katalog skarbów kardynała Mazariniego, wydany przez księcia d'Aumale. — Buletyn Towarzystwa Jeograficznego. — Toast na cześć uczonych i Lessepasa. — Rozprawa o muzyce u różnych plemion, pana	

Chortey, odczytana w Towarzystwie antropologiczném w Londynie.
 —Prewost-Paradol: śmierć jego w Washingtonie.—W *Krainie Duchów*: scena dramatyczna, na cześć Kornela.—*Bunt* dramat pana Villers de l'Isle Adam.—*Cień* opera Flatowa.—Zapowiedziane publikacye poetyczne.—Parnas współczesny.—Wiersz Wiktora Hugo.—Odczyty popularne poezyj nowoczesnych, przez pannę Agar—Edmund i Juliusz Gancour.—Nagrody akademickie.—Panna Elżbieta Garret, doktor medycyny.—Historja tajemnej kancelaryi Weneckiej. 434

Pismienictwo krajowe i zagraniczne.

Rozwój społecznienia rzymskiego, napisał Romuald Świerzbienki. 1870. Warszawa. Przez X.....	136
Król Don Juan komedya w 5-ciu aktach, przez Ad. Belcikowskiego. Przez Edwarda Lubowskiego.....	145
Nowy wykład Ekonomii Politycznej wygłoszony na wydziale prawnym w Paryżu 1864—1865, przez A. Batbie profesora ekonomii politycznej; tłumaczył W. Strażyński. Kraków. 1869. Przez Z.....	294
Gramatyka języka polskiego, dla użytku szkół elementarnych ułożona p. Władysława Lercla. Kraków. 1869. Przez Antoniego Bądzkiewicza..	297
Xenofonta wspomnienia o Sokratesie. Przekładał z greckiego Antoni Bronikowski. Ostrów. 1868. Przez Chm.....	301
O Wicie Stwoszu i o jego rzeźbie „Pozdrowienie Anielskie.” Przez Mathiasa Bersohn. Warszawa. 1870. Przez A. J. S.....	304
Kalendarze toaletowe, a raczój ściennie obrazkowe.....	305
Miron. Fantazye. Warszawa. 1370.— Fragment powieści, przez Leona da Sowińskiego. Lwów. 1899. Przez X.....	468
O reformie wykładów dziejowych na podstawie indukcji. Kraków. 1868. Przez Antoulega Bądzkiewicza.....	474
Biblioteka powieści i romansów.....	479
Wiadomości literackie.....	152, 300, 480



CENY ZNIZONE

KATALOG KSIĄŻEK POLSKICH

W CENIE ZNIŻONYCH

znajdujących się do nabycia w Księgarni i Składzie Nut

GEBETHNERA I WOLFFA

w Warszawie.

Krakowskie-Przedmieście, Nr. 17 (415).

Spis rozdziałów.

1. Teologia, Filozofia.
2. Historia, Literatura, Geografia, Podróże, Dzieła zbiorowe.
3. Prawo, Ekonomia polityczna.
4. Medycyna, Nauki przyrodzone.
5. Filologia, Słowniki, Pedagogika, Książki dziecinne, szkolne i ludowe.
6. Budownictwo, Przemysł, Gospodarstwo, Technologia.
7. Literatura piękna, Powieści, Poezye, Teatra.
8. Rozmaitości, Nuty muzyczne.

Uwagi. Ceny w niniejszym Katalogu podane Księgarnią tylko czasowo obowiązują, gdyż czy to z powodu wyczerpięcia jakiego dzieła lub też przywrócenia przez wydawców poprzedniej ceny jego, zmiana nastąpić może.

Zapisujący z prowincyi z niniejszego katalogu książki pocztą, zechcą do każdego rubla 10 kop. na kosztą przesyłki dołączyć. Mniejsze zaś kwoty, mogą być markami pocztowemi nadsyłane.

JAHN. Joannes. Archcologia Biblica, Post. D. Fourer. Ackermani Conamina primum edit Michael Bobrowski, 2 vol. 8. 1829—1836.	3	—	1	—
JAKUBOWICZ, M. Chrześcijańska filozofia życia w porównaniu z filozofią naszego wieku pantoistyczną, 3 tomy, 8ka, Wilno, 1853 .	5	—	3	60
<i>Kapłan w obec ludu</i> , przez Ks. D. w 8ce, 1863 .	1	20	—	60
KARPIŃSKI. Pieśni nabożne 12ka, 1819	—	10	—	5
KLÜPFEL, Eug. Institutiones Theologiae Dogmaticae in Compendium redactae ad usum ecclesiasticorum, 8ka, 1832	1	—	—	50
<i>Koran</i> , Al-Koran. Przekł. zarabskiego Jana Murzy Tarak Buczackiego, 2 tomy, 8ka, 1858 .	6	75	4	—
KREMER, Józef. Wykład systematyczny filozofii, obejmujący wszystkie jej części, w zarysie dla miłośników tej umiejętności, pragnących dokładniej się z nią obeznać. Tom drugi zawiera: Rzecz o naturze i o duchu ludzkim. 8ka, 1853.	3	50	1	50
<i>Książka dla dzieci chrześcijańskich</i> , przez autorkę Rozrywek dla dzieci na dni świąteczne, 8ka, 1854	—	60	—	25
KSIEŻARSKI, Ks. H. Kazania passyjne, tudzież na uroczystości niektórych świętych, oraz przygodne, 8ka, Kraków	1	35	1	—
LACORDAIRE, Ks. Święta Magdalena, przekład Eleonory Ziemięckiej. 12ka, 1861	—	75	—	40
LHOMOND, C. F. Epitome Historiae Sacrae, ad usum Tironum linguae Latinae, 12ka, 1821.	—	25	—	15
LIGUORI, A. Droga do zbawienia, 8ka, 1862	—	75	—	30
LIPNICKI, Ks. Zasady kaznodziejstwa, czyli nauka opowiadania słowa Bożego, oparta na podaniach i wzorach pisma świętego, ojców kościoła, poważnych pisarzy i najcelniejszych kaznodziejów polskich, 2 tomy, 8ka, 1860	3	30	1	50
— <i>Życie, cuda i cześć Św. Kazimierza, Królewicza Polskiego</i> , z wizerunkiem na stali rytym, 12ka, 1858	1	35	—	65
MARTINET. Filozofia katechizmu katolickiego, 8ka, 1861.	1	50	—	75
<i>Marynia mała</i> , czyli przygotowanie dzieci do 1szej komunii. Dziełko matkom poświęcone, 16ka, 1854	—	45	—	30
MASSILLON J. C. Kazania adwentowe, z francuzkiego, przez K. Szelewskiego; wyd. drugie, 8ka, Warszawa, 1847	1	80	—	90
MECHERZYŃSKI, Karol. Historia wymowy kaznodziejskiej w Polsce, obejmująca wiadomości o najcelniejszych mówcach kościoła				

polskiego w czasach Zygmunto- wskich, 1864	8ka,	2 40	1 20
MIECZKOWSKI, Ks. Antoni. Kazania niedzielne, przygodne i mowy pogrzebowe, 8ka, 1852		1 50	— 75
<i>Modlitwy</i> świętych, czyli głos kościół tryumfującego, 8ka, 1860		1 50	— 75
<i>Mowy</i> pogrzebowe, po ś. p. Ignacym Hołowińskim Arcybiskupie Mohylewskim, 12ka, 1856		— 60	— 40
NIEMOJEWSKI, Ludwik. Obrazy z Pisma świętego, 1856		1 60	1 —
NOIRLIEU, M., K. Biblia dla dzieci; alboskrócona Historia starego i nowego testamentu, opowia- dana dzieciom od 8miu do 12stu lat, 16ka, 1855		— 75	— 30
NOWOSIELSKI, A. Pisma krytyczno- filozoficzne, 2 tomy, 8ka, 1857		3 —	1 65
<i>Odpowiedzi</i> dowodne, zebrane z Biblij, Soborów OO. ŚŚ. na zarzuty przeciw kościołowi katolickiemu, pomieszczone w rozprawach An- glikańskiego biskupa Luscomb'a; ułożył A. Zeloni, tłómaczył Ks. Nowicki Jacek, Ż. K. z francuz- kiego, 16ka, 1856		1 20	— 30
<i>Ottarzyk Złoty</i> , mniejszy, zawiera- jący nowy zbiór modlitw od Kościoła rzymsko-katolickiego wiernym zaleconych, papier biały.		— 75	— 25
PALLARD. Urzędy i godności Sto- licy Apostolskiej za Piusa IXgo, 12ka, 1861		— 60	— 40
<i>Pismo święte</i> , czyli wierne opowia- danie słowa bożego, 2 tomy, 8ka, 1851		1 80	— 50
PODLEWSKI, Ks. Piotr Wincenty. Trzy dni poświęcone Bogu, gotując się do spowiedzi i komunii; dla użyt- ku chrześcijańskich katolickich niewiast, 16ka		1 20	— 60
— Dla użytku uczącej się młodzi- eży i ludzi pobożnych, 16ka, 1856		1 20	— 50
POHL, Andre. Institutiones theologiae moralis, 2 tomy, 8ka, 1858/59		3 —	1 20
<i>Przewodnik filozofii</i> , przez Am. Jaques. Jul. Simon i Emila Saisset, profes- sorów filozofii. Dzieło upoważnio- ne przez radę wychowania publicz- nego, przekład Eleonory Ziemie- ckiej, tom I. Wstęp. Psychologia przez Am. Jacques, i logika przez Jul. Simon; tom II. Fizyka, czyli moralność, theodycea i historia filozofii, razem za 2 tomy		3 —	1 50
tom IIgi osobno, 8ka, 1862		— 75	— 60
RADAWIECKI, Ks. Andrzej. Mowy pogrzebowe, 8ka, Kraków, 1861		— 60	— 30
RAKOWSKI F. Ks. Kazania katechiz- mowe na cały rok, 2 tomy, 8ka, 1862		2 —	1 —

<i>Rozmyślania</i> i uwagi pobożne, wybrane z dzieł Tomasza à Kempis, służyć mogące osobom wszelkiego stanu, a zwłaszcza duchownym do codziennego rozpamiętywania prawdy naszej świętej wiary. Przekład Ks. Fr. Orłowskiego, 3 tomy	3 60	1 20
RZEWUSKI, Emilian. Studya filozoficzno-literackie, 8ka, 1847	1 —	— 25
SÉGUR, Ks. Krótkie odpowiedzi na pospolite przeciw religii zarzuty; z 25go wydania przełożył Ks. S. S. D. 16ka, 1855	— 30	— 20
SERWATOWSKI, W. Ks. Wykład Pisma Śgõ nowego zakonu, 4 tomy, 8ka, 1860	6 —	2 70
SIMON, Jul. Logika. Przekład Eleonory Ziemięckiej, 8ka	— 75	— 37½
SKARGA, Ks. Piotr. Kazania na niedziele i święta całego roku, 6 tomów, 1841	6 —	3 —
SZELEWSKI, Ks. Nauki chrześcijańskie dla dojrzewającej młodzieży katolickiej, 8ka, 1865.	1 50	— 75
SZKILLADŹ, S. K. Obrzędy poświęcenia cmentarza, węgielnego kamienia kościoła, ołtarza, dzwonów, z dołączonym ich wykładem dla pożytku duchownego katolików, tłóm. z łacińskiego na język polski, 8ka, 1859.	1 50	— 75
TRYNKOWSKI, L. Mowa pogrzebowa po ś.p. Jędrzeju Śniadeckim, 8ka, 1861	— 50	— 20
VEITH, Ks. E. Narzędzia męki Chrystusowej, tłómaczył z niemieckiego, Ks. S. Chołoniowski, 8ka, 1843	2 —	1 15
VIREJ J. J. Fyzyologia i jej stosunek do psychologii. Przekład W. P. 8ka, 1852	2 —	1 —
WINNICI, Ks. Kazania niedzielne, świąteczne jubileuszowe i inne rozmaite, oraz homilie adwentowe, postne i niektóre niedzielne, 8ka, 1838	1 50	— 45
WISEMAN, Kardynał. Lampa w przybytku Pańskim, przekład Juliana Horaina 12ka, 1859.	— 50	— 30
WORONICZ, J. P. Mowy pogrzebowe i homilie, 12ka, Kraków	— 90	— 40
<i>Zbiór nabożeństwa dla panien.</i> Wydanie ozdobne, 12ka, 1850	1 25	— 75
<i>Żywot Śgo Jana Chrzciciela,</i> ze zbioru starych pisarzy włoskich wyjęty, a ku zbudowaniu braci swojej, na polski tłumacz. przez F. L. 12ka, 1862	— 25	— 10
<i>Żywot Śgo Ojca Franciszka z Assyzu,</i> patryarchy trzech zakonów. Z przedmową Ks. Prokopa tegoż zakonu w prowincyi polskiej, exprowincyała, 12ka, 1863	1 —	— 60

II. **Historya, Literatura, Geografia, Podróże i Dzieła zbiorowe.**

- Album malownicze*, wizerunki z dziedziny natury, sztuki dziejów i życia, wydane przez H. Skimborowicza, w 8ce z 24 ryc. na stali 1849. 6 75 3 37½
- AMPÈRE, J. J. Przejazdki po Ameryce. Stany zjednoczone, Kuba, Meksyk, 2 t., 8ka, 1861. 2 25 1 50
- ANCYPOROWICZ, Opowiadania z historyi polskiej 12ka, 1847. — 75 — 15
- ANNALES domus Orzelsciae per Joannem Orzelski, castellanum Rogoznensem capitaneum Costenensem conscripti 1854. 3 60 2 40
- ARAGO Jakób, Od bieguna do bieguna i dwa oceany. Wspomnienia z podróży, obrazy i szkice żeglarskie. 2 tomy 8ka 1857. . . . 4 — 1 50
— Podróż na około świata. 3 tomy 4ka 1858. 3 — 1 50
- ATHENAEUM. Pismo zbiorowe poświęcone historyi, filozofii, literaturze i sztukom. Wydawca I. J. Kraszewski. Rok 1850, 1851. 12mo każdy rok po 6 tomów. 6 — 3 —
- AUNET(d). Podróż do Szpicberga (ob. Bibl. najn. podróży.
- BAGIEŃSKI, Ks. (dominikan prowincyi Litewskiej) Rękopism historyczny, obejmujący różne ważniejsze wypadki krajowe społeczne od 1747 do 1784 r. wydany przez Eust. hr. Tyszkiewicza. 8ka 1854. — 75 — 40
- BALIŃSKI Michał. Dawna Akademia Wileńska, próba jéj historyi od założenia w r. 1759 do r. 1803; 8ka Petersburg. 1862. 3 — 1 50
— Opisanie statystyczne miasta Wilna. 8. 1834 — 75 — 40
— Pamiętniki o Janie Śniadeckim jego życiu prywatnem i publicznem i dziełach jego. Uzdobione jedną litografią i dwoma drzeworytami. 2 tomy. 8ka 1864. 6 — 4 —
— Pisma historyczne. 4 tomy z rycinami 8ka 1843 r. 4 50 3 —
- BALIŃSKI i LIPIŃSKI, Starożytna Polska, (ob. Polska starożytna.
- BANDTKIE J. S. Historia drukarni w Królestwie Polskiem i W. Ks. Litew. 3 tomy 8ka 1836. 3 — 2 —
- BARTOSZEWICZ Julian, Kościoły Warszawskie rzymsko-katolickie. Opisane pod względem historycznym. Wizerunki kościołów i cenniejsze w nich nagrobki 8ka 1857. 6 — 2 —
— Pogląd na stosunki Polski z Turcją i Tatarami 8ka 1860. 1 20 — 50

<i>Biblioteka Ordynacji Myszkowskiej. Zapis Konst.</i>		
Swidzińskiego, rok 1859, z ryciną i tabl. litograficznymi, 4ka.	1 35	1 —
Rok 1860	6 75	4 —
<i>Biblioteka Podróży i malowniczo historycznych opisów różnych krajów. Wydawana przez Adama Zawadzkiego.</i>		
Ser. I. Nowe Światy, przez Niboyet tłómaczenie Laskarysa, 12ka 1857.	1 20	— 40
Ser. II. Podróż do Szpicberga przez panią D'Aunet, przekład Laskarysa, 12ka 1857.	1 —	— 35
Ser. III. Japonia przez Fraissinet, przekład z francuzkiego. 12ka 1857.	— 90	— 30
Ser. IV. Lato na Bałtyku i Morzu północném. Wspomnienie z podróży po wybrzeżach Danii, Pruss, przez Ks. Marmier, przekład z francuzkiego. 12ka. 1859.	1 —	— 35
Ser. V. Ośm dni pod Równikiem. Podróż po Amazonce w Ameryce południowej, przez E. Carrej, z francuzkiego. 12ka. 1859	1 —	— 35
Ser. VI. Wychodźcy w Luizyannie i Krzysztof Kolumb. Lamartina z franc. 12ka. 1859	1 —	— 35
Ser. VII. Araukania i jej mieszkańcy, przez Ignacego Domejkę, z hiszpańsk. 12ka. 1860.	— 90	— 30
Ser. VIII. Podróże humorystyczne: Amsterdam, Paryż, Wenecya. Przez Arsena Housaye, przeł. z franc. 12ka 1860.	1 35	— 45
Ser IX. Anglicy i Indye przez E. Valbezen, przekład z franc. 2 tomy. 1861.	2 —	— 70
Ser. X. Obyczaje i podróże, czyli opowiadanie o nowym świecie przez Phil. Chasles, przekład z francuzkiego. 12ka. 1864	— 90	— 30
Komplet w 11 tomach.	11 25	3 50
<i>Biblioteka Warszawska. Rok 1841, 1842, 1843, 1844, 1846, 1849, 1850, 1851, 1852, 1857, 1858, 1860, 1861, 1863, 1864. po</i>		
— Rok 1845, 1848, 1853, 1854, 1859, 1862, 1866, 1867, 1868, po	9 —	3 —
— Rok 1845, 1848, 1853, 1854, 1859, 1862, 1866, 1867, 1868, po	9 —	6 —
BOJESEN, G. F. <i>Starożytności greckie</i>, czyli obraz politycznego, społecznego i prywatnego życia starożytnych Greków, tłum. J. Boczyliński, 8ka, 1863.		
— <i>Starożytności rzymskie</i> , czyli obraz publicznego, prywatnego i umysłowego życia starożytnego Rzymu, przeł. Ign. Boczyliński, 8ka, 1862	— 75	— 37½
— <i>Starożytności rzymskie</i> , czyli obraz publicznego, prywatnego i umysłowego życia starożytnego Rzymu, przeł. Ign. Boczyliński, 8ka, 1862	— 75	— 37½
BRAMBEUS (prof. Sękowski) <i>Fantastyczne podróże</i>. 2 tomy		
— <i>Fantastyczne podróże</i> . 2 tomy	1 50	— 75
BREDOW i SZLECER, <i>Historja powszechna dla dzieci</i>. Wypadki historyczne cenniejsze. Przekład z niem. 2 t. 12ka 1835		
— <i>Historja powszechna dla dzieci</i> . Wypadki historyczne cenniejsze. Przekład z niem. 2 t. 12ka 1835	— 75	— 30

	Cena ka- talogowa. Rs. kop.	Cena zni- żona. Rs. kop.
CANTU, Cesar, Historia powszechna, tłómacze- nie L. Rogalskiego, 11 tomów z rycinami 8ka 1857.	33 —	20 —
— Tomy 3 do 11go z rycinami.	— —	10 —
	Z przesyłką	22 —
	Z przesyłką	11 50
CARREY, Ośm dni pod równikiem (ob. Bibl. najn. podróży).		
CHASLES, Obyczaje i podróże (ob. Bibl. podróży).		
CHĄDZYŃSKI Jan, Wspomnienie Sandomierza i opis m. Sandomierza	— 75	— 10
CHŁOPICKI, Notatki z podróży po kraju w 8ce 1863	— 60	— 20
CHOISNIN, J., O Elekcyi Henryka Walezyusza na króla pols. z franc. przeł. Turski 8ka 1818.	1 50	— 80
COYER, B. Historia Jana Sobieskiego, króla pol- skiego, przekład polski bezimiennego tłu- macza, kilku uwagami objaśnił i uzupełnił Wł. Syrokomla 2 tomy 8ka 1852.	3 60	2 25
CZARNOWSKI, Dwaj Zygmunci Jagielloni. 2 t. 8ka 1859	3 60	1 80
— Stanisław Leszczyński i Polska w pierwszej połowie XVIII wieku 2 T. 8ka 1858	3 30	1 50
DITTMAR Hen. Historia powszechna w skróco- nym zarysie, przełożona i uzupełniona przez O. Stanisławskiego. 2 tomy 8ka 1864	3 —	1 50
DŁUGOSZA rękopisma, w Petersburskich biblio- tekach. Pod względem paleograficznym i bi- bliograficznym rozpatrzył Antoni Białecki, 8ka, Petersburg. 1860.	1 35	— 60
DŁUŻNIEWSKI, Pogląd na dzieje ludzkie 12ka 1860.	— 75	— 50
DOMEJKO, Araukanja i jój mieszkańcy. (Obacz Bibl. najn. podróży).		
<i>Dykcjonarz</i> biograficzny powszechny, czyli krót- kie wspomnienia żywotów ludzi wsławio- nych cnotą, mądrością, przemysłem, męż- stwem, wynalazkami i błędami, od początku świata do najnowszych czasów, 8ka 1851.	7 50	3 —
DZIEKOŃSKI T., Geografia na tle historyczném osnowana, czyli geografia, w połączeniu z hi- storją. 4 tomy. 8ka 1862	6 —	3 —
— Historia Francji. 2 tomy. Z wielu drzewo- rytami 8ka 1845.	6 —	3 —
— Historia Hiszpanji. 2 tomy. Z rycinami 8ka 1853	6 —	3 —
EICHHOFF, Obraz literatury średniowiekowych ludów a mianowicie Słowian i Niemców. Przekład S. Z. Pruszek, z dodatkami i po- prawą co do literatury Słowian, R. B. 8ka 1856.	3 —	1 —

<i>Encyklopedia powszechna.</i> Wydanie S. Orgel- branda. Tomy 2—18 włącznie i 23—28, razem 23 tomów.	— —	20 —
	Z przesyłką pocztą.	— — 24 —
— Pojedynczo nabywane tomy od 2 do 18 włącznie lub razem (17 tomów) po	— —	— 75
	Z przesyłką pocztą	— — 1 —
— Tomy 23—28 razem wzięte	— —	10 50
	Z przesyłką pocztą	— — 12 —
— Pojedynczo nabywane tomy 23 do 28 po.	— —	— 2 —
	Z przesyłką pocztą po.	— — 2 25
FRAISSINET, Japonja (ob. Bibl. najn. podr.)		
<i>Gabinet medalów polskich, oraz tych, które się dziejów Polski tyczą; wydanie Edw. hr. Ra- czyńskiego. Tom IV, Wrocław, 1848.</i>	6 75	3 —
<i>Galerja Mnichowska, Zbiór rycin na stali z naj- celniejszych obrazów Europejskich z teks- tem 2 tomy 4^{ka} 1851</i>	15 —	10 —
— Nowoczesnych obrazów 4 ^{ka} z 24 rycinami na stali 1852.	3 30	1 65
GLISZCZYŃSKI, Rozmaitości naukowe i litera- ckie 9 tomów w 12 ^{ka} 1859, 1861	5 —	1 —
GOLDSCHMIT, Historia Rzymska i Grecka, przełożył Ks. Olszewski. 2 części.	1 20	1 —
GOŁĘBIEWSKI Łukasz, Dzieje Polski za pano- wania Kuzimierza, Jana Olbrachta i Ale- ksandra Jagiellończyków. Tom 3ci 8 ^{ka} 1846	1 80	— 20'
— Wiadomości z Historji polskiej dla pensyi i szkół płeć żeńskiej zastosowane z 4 ^{ma} ma- pami 8 ^{ka} 1827	— 75	— 30
GOŁĘBIEWSKI S. Czasy Zygmunta Augusta 2 t. 4	— 45	— 60'
— Pamiętnik o życiu Łukasza Gołębiowskiego.	— 45	— 10
GÓRSKI Włod. Krótki rys zasad biblioteko- znawstwa. 12 ^{ka} 1862.	— 30	— 10
GUIZOT, Dzieje cywilizacji europejskiej 8 ^{ka} 1842.	1 20	— 30
<i>Historja skrócona Krucyat, wydana przez PP. Mi- chaud i Poujoulat z francuzkiego na język polski przełożył Ks. Kazimierz Przyalgow- ski 2 tomy 8^{ka} 1846.</i>	2 —	— 11 11
HOUSSAYE, Podróże humorystyczne (ob. Bibl. najn. podr.)		
HUBERT, Pamiętniki historyczne 2 t. 8 ^{ka} 1861	3 —	— 50
<i>Irlandja, jój początek, historia i obecne położe- nie, z przedmową M. Balińskiego 8^{ka} 1858.</i>	1 80	— 50
IRWING, Życie Mahometa, przekład z angiels- kiego 8 ^{ka} 1858	1 35	— 50'
<i>Jeografia w obrazkach i powieściach moralnych. Z 8 rycinami 8^{ka} 1852</i>	1 —	— 60
JOCHER A., Obraz bibliograficzno-historyczny — literatury i nauk w Polsce, od wprowadze-		

nia do niej druku po rok 1830 włącznie, z pism Janockiego, Bentkowskiego, Ludwika Sobolewskiego, Ossolińskiego, Juszyńskiego, Jana Wincentego i Jerzego Samuela Bandtków 3 tomy 4ka 1839 — 1843	7	20	4	—
KOTŁUBAJ, Edw. Życie Janusza Radziwiła, 8ka, 1858	2	25	1	15
KRASZEWSKI, J. I. Gawędy o literaturze i sztuce, 8ka, 1865	1	35	—	65
— Podróż króla Stanisława do Kaniowa w r. 1787, podług listów Kazimierza Konstantego hr. de Bröl Platera, opisana przez Kraszewskiego, 8ka, 1860	1	—	35	—
— <i>Studya literackie</i> , 8ka, 1842	1	50	—	50
— <i>Sztuka u Słowian</i> , szczególnie w Polsce i Litwie przedchrześcijańskiej, 8ka, 1860	2	—	1	—
— <i>Wilno od początków jego do roku 1750</i> . Historia tego miasta, zawierająca szereg wypadków, jakich ten starożytny gród Litewski wciągu kilku wieków doznał. Z rycinami, 4 tomy. 8ka, 1840—42.	8	—	4	—
KREMER, Józef. Podróż do Włoch. Dzieło ozdobione kilkuset umyślnie do niegoż sporządzonemi drzeworytami, 6 tomów, 8ka. Na papierze welinowym	15	—	10	—
Na papierze zwyczajnym	13	50	8	—
KROMER, Marcin. Polska, czyli o położeniu, obyczajach i urzędach Rzeczypospolitej Królestwa Polskiego, ksiąg dwoje. Przełożył z łacińskiego, notami i życiorysem autora uzupełnił Władysław Syrokomla, 8ka, 1853.	1	—	—	50
KRZYŻANOWSKI, A. Dawna Polska, 2 tomy, w 8ce, 1862	6	—	3	—
<i>Księga świata</i> , 9 lat (18 tomów), 4ka, z rycinami	63	—	25	—
— <i>Pojedyncze lata po</i>	7	50	4	—
KUCZ, K. Pamiętniki Miasta Warszawy, 8ka, 1854.	2	—	1	—
LACHNICKI, J. K. Statystyka Gubernii Litewsko-Grodzieńskiej, 8ka, 1817	—	30	—	20
LA GUERONNIERE. Napoleon III i Włochy, 8ka, 1859	—	35	—	15
LAMARTINE. Podróż na wschód, 4 tomy, w 8ce, 1843	3	—	1	50
— <i>Wychodźcy w Luzyanie i Krysztof Kolumb</i> . (Ob. Bib. najn. podr.)				
LEVES G. H. Dzieje żywota i utworów Goethego, oraz zarysy wicku jego i współczesnych mu mężów znakomitych. Z ang. przeł. A. Nowosielski, 8ka, Petersburg, 1860	2	—	1	—

LEWESTAM, Fr. H. <i>Historya literatury powszechnej</i> , 4 tomy, 8ka, 1862—66	12 —	6 —
Z przesyłką	— —	6 60
— <i>Dwie prelekcye wstępne odbyte w Szkole głównej Warszawskiej, do wykładów historii literatury powszechnej</i> , 8ka, 1865	— 30	— 15
ŁASKI, Stan. <i>Wojewoda Sieradzki. Prace naukowe i dyplomatyczne. Wydane z rękopismów Muzeum Wileńskiego, z przedmową Mikołaja Malinowskiego, oraz z dodatkiem dzieł Jana Tarnowskiego, jedynego egzemplarza Biblioteki Kórnickiej, ozdobionych litografią facsimile, tytułu pisma, jego z roku 1558</i> , 8ka, 1864	2 25	1 20
ŁUKASZEWICZ, LESŁAW. <i>Rys dziejów piśmiennictwa</i> , 8ka, 1861	1 —	— 40
MACIEJOWSKI, Wacław Alexander. <i>Piśmiennictwo polskie od czasów najdawniejszych aż do roku 1830, z rękopismów i druków zebrane w obrazie literatury polskiej historycznie określonym przedstawione</i> , 3 tomy, 8ka, 1853—53.	12 —	3 —
Z przesyłką	— —	3 60
MARYAN, Edward. <i>Pisma</i> , 3 tomy, 18ka, 1848	2 70	1 —
MARCZYŃSKI. <i>Opisanie statystyczne, topograficzne i historyczne gubernii Podolskiej</i> , 3 tomy, 8ka, 1823.	4 50	1 50
— Tymofej Chmielnicki. <i>Fragment historyczny z XVII stulecia, wierszem napisany</i> , 18ka, 1842	— 70	— 25
MARMIER. <i>Lato na Bałtyku i morzu północnem. (Ob. Bibl. najnow. podróży).</i>		
MIECZKOWSKI, D. <i>Obrazy historyczne z czasów Stanisława Leszczyńskiego, z odcieniami obyczaju i charakteru ludzi</i> , 8ka, 1851	— 60	— 30
— <i>Ostatnia wojna Judejczyków z Rzymianami i zburzenie Jerozolimy przez Tytusa, wodza, później cesarza rzymskiego</i> , 8ka, 1861	— 50	— 25
MOMMSEN, Teod. <i>Historya rzymska, tłum. T. Dziekoński</i> , 4 tomy, 8ka	8 —	5 —
NARBUTT, Teodor. <i>Dzieje narodu Litewskiego</i> 9 tomów, 8ka, 1837—41	36 —	12 —
Z przesyłką pocztą	— —	15 —
NIBOYET. <i>Nowe światy. (Ob. Bibl. najnow. podróży).</i>		
<i>Noworocznik ilustrowany, dla Polek z wielu rycinami. Komplet z 6ciu tomów</i> , 12ka	6 —	1 50
Pojedynczo, każdy tom	1 —	— 30
NOWOSIELSKI, A. <i>Lud ukraiński, jego pieśni, bajki, klechdy, zabobony, obrzędy, zwy-</i>		

czaje, przysłowia, zagadki, zamawiania, sekreta lekarskie, ubiory, tańcy, gry i t. d., 2 tomy, 8ka, 1857	4 —	20 —
— Stepy, morza i góry, Szkice i wspomnienia z podróży, 2 tomy, 8ka, 1356	3 30	1 65
<i>Obraz świata</i> , pod względem jeografii, statystyki i historii wszystkich krajów, przez Leśniewskiego, 2 tomy. Zmapami, herbami wszystkich państw i rycinami, 8ka, 1853	7 50	3 75
OLIPHANT W. Poselstwo Lorda Elgin do Chin i Japonii, z 6ciu rycinami. Chiny, 8ka, 1862.	2 40	1 —
— Japonia 8ka, 1862	2 40	1 —
OŁTARZEWSKI, Wł. Z. Loterya chronologiczna, obejmująca lata wstąpienia na tron monarchów państw starożytnych i nowoczesnych od narodzenia Chrystusa do terażniejszych czasów, 1851 w futerale	1 50	— 50
PADALICA, Tad. Listy z podróży, 3t., 12ka, 1859.	3 75	1 50
<i>Pamiętniki Sztuk Pięknych</i> . Zbiór wiadomości potrzebnych i pożytecznych miłośnikom i zwolennikom sztuki, rysunkami objaśniony, ze szczególnym względem na rzeczy krajo-we, wyd. Boleśł. Podczaszyńskiego, t. I, 4ka, 1850—1854	3 —	1 50
<i>Pamiętniki Krzysztofa Zawiszy</i> , Wojewody Mińskiego (1666—1721). Wydanie z oryginalnego rękopismu i opatrzone przypiskami p. J. Bartoszewicza, 8ka, 1862	2 25	1 —
<i>Panorama</i> wszystkich podróży na około świata. Z francuzkiego, 5 tomów, 12ka, 1848,	4 —	1 20
<i>Pismo zbiorowe Wileńskie</i> , na rok 1859, 8ka.	3 —	1 50
„ „ „ „ „ 1861, 8ka.	2 —	1 —
<i>Pismo zbiorowe</i> , wydane przez J. Ohryzkę, 8ka, Petersburg, 1859	3 50	1 50
PLATER, Hr. Zbiór pamiętników do dziejów polskich, 4 tomy, 8ka, 1858	3 —	— 80
PLEBAŃSKI, Józ. Kaz. Jan Kazimierz Waza, Marya Ludwika Gonzaga, Dwa obrazy historyczne; 8ka, 1862	1 50	— 75
— Lekcja wstępna metodologii i encyklopedyi nauk akademicznych, 8ka, 1862	— 22½	— 7½
POLKOWSKI, Ignacy, Ks. Wspomnienie o życiu i pismach Ks. Karola Antoniewicza, 8ka, 1861	— 60	— 30
<i>Polska Starożytna</i> , pod względem historycznym, jeograficznym, i statystycznym przez M. Ba-lińskiego i Tym. Lipińskiego, 3 tomy, w 4ch częściach, 8ka, 1846	12 —	6 —
— Z przesyłką.	— —	7 —

POUJOLAT, M. Historia rewolucyi francuzkiéj (1789). Przełożył i notami objaśnił Władysław Syrokomla, 2 tomy, 12 ^{ka} , 1851.	3	—	1	10
<i>Przechadzki po Wilnie i jego okolicach</i> , przez Jana ze Sliwina. Wydanie drugie poprawne, dopiskami uzupełnione i planem miasta ozdobione, 8 ^{ka} , 1859.	2	50	1	—
<i>Przewodnik</i> . Wilno i koleje żelazne z Wilna do Petersburga i Rygi, oraz do granic na Kowno i Warszawę, z planem, widokami Wilna; wydał A. H. Kirkor.	1	50	—	75
PRZEŹDZIECKI, Aleksander. Szwecya. Wspomnienia jesienne z r. 1833 i pisma rozmaite, 18 ^{ka} , 1846.	1	10	—	50
<i>Rachunki Podskarbstwa Litewskiego, 1648—1652</i> , wydane ze społecznego rękopismu, znajdującego się w bibliotece Eustachego hr. Tysszkiewicza, 12 ^{ka} .	—	30	—	15
RAUTENSTRAUCH z GIEDROJCÓW. W Alpach i za Alpami, 3 tomy. Zryc., 8 ^{ka} , 1850.	5	40	2	70
ROGALSKI. Dzieje Jana IIIgo Sobieskiego, 8 ^{ka} , 1845.	3	—	2	—
— <i>Dzieje Polski, opowiedziane w krótkości podług dzieł najnowszych</i> , 8 ^{ka} , 1864.	1	50	—	50
— <i>Historya starożytna dla zakładów naukowych</i> , 8 ^{ka} .	1	50	—	50
ROMANOWSKI J. N. D. R. Otia Cornicensia. Studya nad dziełami: „Zródłopisma do dziejów unii Korony Polskiej i W. X. Litewskiego. Część II Oddział I.” Tom I, 1861.	4	—	3	—
SELTEN. Geografia. Kurs pierwszy dla szkół początkowych, ułożył A. Popliński, 12 ^{ka} , Poznań, 1858.	—	45	—	20
SEKOWSKI. Collectanea z Dziejopisów tureckich, rzeczy do historyi polskiej służących z dodatkiem objaśnień potrzebnych i krytycznych uwag, 2 t., 8 ^{ka} , 1824.	2	60	1	—
SIARCZYŃSKI, Ks. Fr. Opis powiatu Radomskiego w rękopiśmie pozostały, wydał Tymoteusz Lipiński, 8 ^{ka} , 1844.	—	60	—	30
SIFMIŃSKI, Lucyan. Kilka rysów z literatury i społeczeństwa; 8 ^{ka} , 2 tomy, 1859.	2	40	1	20
SIWINSKI, Edward. Lekcja wstępna literatury polskiej ze względu na słowiańską; miana w kursach przygotowawczych do szkoły głównej; 8 ^{ka} , 1863.	—	20	—	5
<i>Skarbczyk Chronologiczny historyi polskiej</i> przez Ks. U. R., 2 części, 12 ^{ka} , str. 178, 1862 r.	—	30	—	10
SŁOWACKI, Euzebiusz. Dzieła z pozostałych rękopismów ogłoszone; 4 t., 8 ^{ka} , 1826—27.	5	70	2	—

SŁOWACKI, Euzebiusz. Prawidła wymowy i poe- zyi wyjęte z dzieł S. E., 8ka, 1844.	— 40	— 25
<i>Słownik Geografii Powszechnej.</i> Opis geograficz- no-statystyczny państw, krajów, okolic, miast, mórz, rzek, jezior, wysp i t. d. Uło- żony według najlepszych źródeł przez Li- sickiego i Szymanowskiego, 2 tomy, 8ka, Warszawa, 1852—1854 papier zwyczajny.	10 —	4 —
— na papierze welinowym	12 —	4 50
SNIADECKI, Jan. Pisma rozmaite. Tom I. za- wierający: Żywoty uczonych Polaków. Tom II. Zagajenia i rozprawy wnaukach. Tom III. Listy i rozprawy w naukach. Tom IV. Roz- prawy filozoficzne i filozofią ludzkiego umy- słu, 4 tomy, 8ka, 1818—22	3 90	1 50
STĘCZYŃSKI. Tatry z 80 rycinami, 4ka, Kra- ków, 1860	4 —	2 —
— Album Pienin i Tatrów, zbiór widoków ma- lowniczych, 4ka, 1860.	2 —	1 —
<i>Studja</i> historyczne nad rewolucją francuską 1789 roku z franc. 3 tomy, 8ka 1862	4 —	1 50
STRYJKOWSKI, Kronika polska, litewska, żmu- dzka i t. d. 2 tomy 8ka 1846.	7 —	2 25
ŚWIĘCKI, Pamiętniki historyczne znakomi- tych rodzin i osób dawniej Polski. Przypisa- mi uzupełnił i wydał Julian Bartoszewicz. 2 tomy 8ka 1857.	6 —	3 —
SYROKOMLA, Wł. (Ludwik Kondratowicz) Dwie koronacye Sasów: Augusta II i Augusta III, Królów Polskich, ze współczesnego ręko- pismu, z przedmową i kilku objaśnieniami 8ka 1855	— 40	— 20
— Polska patrz Kromer.		
— Niemen od źródła do ujścia w 8ce 1861. . .	1 20	— 50
— Przyczynki do historyi domowej w Polsce (Samuel Korecki, Adam Tarło, Bogusław Radziwiłł) 8ka 1858.	— 75	— 20
— Wycieczki po Litwie w promieniach od Wil- na (Troki, Stokliszki, Jeżno, Punie, Nie- swierz, Miedniki, etc.) Z ryciną litografo- waną i drzeworytami 2 T. 8ka 1858—1860.	2 70	1 —
SZULC Dominik. O Pomorzu zaodrzańskim z mapką 8ka 1850	1 —	— 40
— O źródle wiedzy tegoczesnej w 8ce 1851. .	— 90	— 30
THIERS A. Historia zgromadzeń prawodawczych, konwencji narodowej i dyrektoryatu, czyli Francya od 1789 do 1800 roku, tłómaczył z franc. Leon Rogalski 4 tomy 8ka 1846 . .	9 —	4 —
Z przesyłką	— —	4 50

III. Prawo. Ekonomia Polityczna.

BANDTKIE, J. W. Jus Culmense, cum appendice privilegiorum et jurium selectorum municipalium, et dissertatione historico-juridica, 8ka	1 10	— 30
— Uwagi o potrzebie nauki prawa, w naszym kraju w szczególności, a o użytku onéjże w ogólności 8ka, 1814	— 75	— 25
— Zbiór rozpraw o przedmiotach prawa polskiego, 8ka, 1812	— 75	— 25
BAUDRILLART, H. Przewodnik Ekonomii politycznej. Dzieło uwieńczone przez akademię francuską pierwszą nagrodą (prix Montyon), z franc. według drugiego wydania, przez J. B. 16ka, 1867	2 —	1 —
BLANQUI. Ekonomia polityczna, 3 t., 8ka, 1843.	1 80	— 50
ELLIS, W. Zarysy ekonomii społecznej. Z zalecenia Tow. Roln. w Królestwie Polskiem, przełożył Stan. Budziński, 16ka, 1858	— 75	— 30
GARNIER, J. Zasady ekonomii politycznej, czyli wykład głównych wiadomości téj nauki. przeł. na polski, A. S., 8ka, 1852	2 25	1 —
GĄSIOROWSKI, Stan. Historia handlu wszystkich narodów w ogólnych zarysach, od najdawn. czasów aż do r. 1860; 8ka, 1865	2 —	1 —
<i>Kodex dyplomatyczny polski</i> , wydany przez Leona Ryszczewskiego i Ant. Muczkowskiego, Tom I, Tom II, część I, Tom II, część II, Tom II, część III. 4ka, 1852	18 —	9 —
KRZYŻANOWSKI, Hier. Zasady postępowania sądowego cywilnego, 8k, 1864	2 70	1 35
KURTZ, Adolf. Rzecz o cyrkulacji pieniężnej i walucie w Królestwie Polskiem, 16ka, 1866.	— 20	— 10
LACHNICKI, J. K. Statystyka gubernii litewsko-grodziéńskiej, 18ka, 1817	— 30	— 20
LOUIS, Józef Prawo spadkowe według zasad i przepisów prawa rzymskiego, prawa dawnego polskiego, jak również praw nowożytnych: austryackiego, francuzkiego, Królestwa polskiego, pruskiego i rossyjskiego, historycznie, porównawczo rozwinięte i wykładem o opłatach spadkowych uzupełnione. Dzieło konkursowe, uwieńczone nagrodą, 8ka, 1865.	1 20	— 60
MARCADE, V. O przedawnieniu podług kodexu cywilnego w Królestwie Polskiem obowiązującego, 8ka, 1857	2 —	1 —
MICHAŁOWSKI, Er. Trochę praktyki, trochę teoryi na praktyce opartéj, w zadaniu po-		

lepszenia bytu włościan, podniesienia gospodarstwa i przemysłu, 8ka, 1860 . . .	— 30	— 15
OKECKI, Dr. Wład. Prawo familijne u Rzymian. Część pierwsza. Prawo małżeńskie, według wykazu własnego 8ka, 1866 . . .	1 20	— 60
OWIDZKI. Badania o umoralnieniu ludzi w ogólności, oraz myśli, jakeimi środkami poprawić i polepszyć byt ludu rolniczego w Królestwie Polskiem, 8ka, 1862 . . .	1 20	— 50
<i>Pieniądze</i> , czyli sztuka dorobienia się majątku, 16ka, 1858	1 —	— 25
RAU, Karol, Hen. Zasady umiejętności skarbowej. Z niem. przeł. powiększył Dr. J. Ocza-powski, 8ka, tom I, 1865	3 —	1 50
SKARBK, Hr. Fr. Gospodarstwo narodowe stosowane czyli zasady nauki gospodarstwa narodowego, zastosowane do praktyki, 8ka, 1860.	1 80	— 60
SZYMANOWSKI, M., O spółkach i stowarzyszeniach ekonomicznych 12ka 1869.	— 15	— 10
TEGOBORSKI L. O instytucjach kredytu przemysłowego (crédit mobilier). Przekł. z francuzkiego, przez Wł. G., 12ka, 1857	— 45	— 15
TRZETRZEWIŃSKI Wojc. O podatkach gruntowych stałych w Królestwie Polskiem istniejących. Wyd. drugie 8ka 1861	— 37½	— 10
WYCZECHOWSKI J. O aktach stanu cywilnego, a w szczególności o terminach do ich sporządzenia. 12ka 1860.	— 40	— 15

IV. Medycyna. Nauki przyrodzone.

<i>Anatomia</i> opisowa ciała ludzkiego przez Drów L. A. Neugebaura i Xaw. Ferd. Nowakowskiego 2 t. 8ka 1860—1865.	6 —	3 —
ABICHT, A., Institutiones therapiae generalis, quas scholarum causa conscripsit. 8ka 1840	1 —	— 50
ADAMOWICZ A. F., Najnowsze praktyczne postrzeżenia niektórych lekarzy. 2 tomy 8ka 1846	2 35	— 60
— Tom V. 8ka 1862	1 50	— 50
ANDRZEJOWSKI, Rys botaniczny krain zwiedzonych w podrózach pomiędzy Bohem i Dniestrem, od Zbruczy aż do morza czarnego odbytych. 8ka 1823.	— 80	— 20
BAYER, Astronomja popularna 8ka 1861	1 80	— 50
— Pogadanki astronomiczne 16ka 1869	1 20	— 30
BERNSTEJN, A., Biblioteka nauk przyrodzonych. z niemiec. przeł. S. Löwenhard. Tom I zawiera:		

Niektóre zjawiska przyrody. II O życiu ziemi, o instynkcie zwierząt. III O znaczeniu chemji w życiu praktycznem. IV i V Tajemne siły przyrody. VI O rozwoju zwierzęcego życia. Pożytki i własność tłuszczu w organizmie ludzkim. Postęp ludzkiego ducha. VII Przekształcenie i ruchy w przyrodzie. VIII i IX O życiu roślin, zwierząt i ludzi. X O praktycznem opalaniu. XI Fantazyjna podróż po wszechświecie. XII Człowiek jakim jest i co wynajduje. 12 tomików. 12 ^{ka} 1858.	7	20	3	60
CHAŁUPCZYŃSKI Adam, Pomysły do wiedzy dziejów życia świata. 8 ^{ka} 1860	1	80	1	—
CURTIS, Mężkość. Przyczyny przedwczesnego jej upadku, i wskazówki dotyczące spiesznego powrotu do zdrowia. 16 ^{ka} 1861.	—	30	—	15
CUVIER Jerzy, Historia nauk przyrodzonych podług ustnego wykładu ułoż. i uzupełn. P. St. Agy. Na język polski przeł. i dodatki do pismniectwa polskiego odnoszącemi się wzbogacili: G. Belke i A. Kremer, 5 tomów 8 ^{ka} 1854—1855.	8	50	5	—
DIETL Prof. Dr. O upuście krwi i zapaleniu płuc. Z niemiec. 8 ^{ka} 1853	—	90	—	30
DROPSY J. Dr. Elektryczność i magnes w stanie zdrowia i choroby człowieka. Dzieło pod względem fizyologicznym, patologicznym i terapeutycznym na nowych odkryciach oparte, przyjęte do konkursu z tabl. i drzew. 8 ^{ka} . 1860	2	40	1	20
DYMNICKI Dr. Busko i jego źródło 16 ^{ka} . 1860.	—	90	—	45
DZIARKOWSKI, J. Wybór roślin krajowych dla okazania skutków lekarskich ku użytku domowemu wydany 8 ^{ka} 1821	—	45	—	20
ERLENMEYER Dr. A. Jak leczyć choroby umysłowe z niemiec. 8 ^{ka} 1863.	—	50	—	25
<i>Farmakologja</i> podręczna czyli lekarstwoznawstwo w skróceniu przez Rom. S. Kijów. 1857.	1	50	1	—
FILIPOWICZ J., i TOMASZEWICZ W., O chemicznej polskiej terminologii. 12 ^{ka} 1856.	—	45	—	20
FLEURY L. Wykład higieny w Szkole lekarskiej w Paryżu. Przełożył K. Jurkiewicz. 3 tomy 8 ^{ka} 1856.	3	60	1	50
— Tom 2 ^{gi} i 3 ^{ci} po	1	20	—	50
FLOURENS P., Jerzy Cuvier i jego prace. Dzieło obejmujące treść historii naturalnej zwierząt, czyli zoologii, anatomii porównawczej, nauki o szczątkach kopalnych zwierząt świata pierwotnego czyli paleontologii, osteologii, tudzież historii naturalnej filozoficznej. Przeł. z franc. G. Belke. 8 ^{ka} 1851,	1	20	—	60

FOISSAC, P., Meteorologja, czyli nauka o zjawiskach w powietrzu dostrzeganych, o ich związku i wpływie na królestwo organiczne a głównie na człowieka. Przeł. Jan Baranowski 2 tomy 8ka. Warszawa. 1858 . . .	5	40	3	—
FONBERG J., Chemia z zastosowaniem do sztuk i rzemioł. 3 tomy 8ka 1827—1829 . . .	4	20	1	50
GANOT, A. Wykład początków fizyki doświadczalnej i stosowanej; oraz meteorologii. ozdob. 620 drzewor. 12ka 1865 . . .	4	—	3	—
GERHARDT K. Poradnik do rozbiórów chemicznych, tłum. Winc. Karpiński 16ka 1851 . . .	—	90	—	30
GOEHLING Dr., Lekarz i poradnik włościński czyli jak zapobiegać chorobom i jak je leczyć środkami prostemi pod niebytność lekarza. 8ka 1859 . . .	—	60	—	25
GUYOT Arnold. Ziemia i człowiek, albo fizyczna jeografia w stosunku do historii ludzkości z ang. przełożył W. Sałacki, 8ka 1861 . . .	1	30	—	60
<i>Historja naturalna dla nauki i rozrywki dzieci napisana, z rycinami kolorowanemi 8ka 1850.</i>	1	20	—	50
— naturalna systematycznie ułożona przez Milne Edwardsa, Reichenbacha i Bromma. Wydana przez P. E. Leśniewskiego b. Prof. 3 t. atlas z ryc. kolor. 8ka 1857—1859 . . .	12	—	6	—
HOFFMANN Fr. W., Powszechne ziemioznawstwo, czyli opisanie budowy i składu ziemi. Z rycinami kolorowanemi 8ka 1853 . . .	3	—	1	20
HOYER H. Dr. Histologja ciała ludzkiego, wydana z polecenia medyko-chirurgicznej Akademji Warszawskiej, z drzeworytami w tekście, 8ka 1862.	2	—	1	—
HUFELAND, Makrobiotyka, czyli nauka przedłużenia życia, 8ka 1838	1	20	—	60
HUMBOLDT, A. Kosmos. Rys fizyczn. opisu świata z niem. przeł. J. Baranowski i H. Skrzyński 8ka, 1849 i 1853. Tom 1y i 3ci po.	3	—	1	50
(Tom 2gi wyczerpięty).				
JASINSKI, L. Krótki rys sztuki leczenia chorób zębów, dziąseł i wykonywanie operacyj praktycznie, Warszawa 12ka 1845.	—	30	—	10
JASTRZĘBOWSKI W. Historja naturalna ogólna, zastosowana do potrzeb życia praktycznego 8ka 1854.	2	—	1	—
— Mineralogja 8ka 1852	2	—	1	—
— Stychiologja, czyli nauka o początkach wszech rzeczy 8ka 1856	2	—	1	—
JOURDIER Tomasz. Pijawka, jój chodowanie i pielęgnowanie. Z drzeworytami 16ka 1860.	—	45	—	20

JUNDZILL, X. S., Początki Botaniki. Wydanie drugie 8ka 1818	— 60	— 30
— Opisanie roślin w Litwie na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, dziko rosnących jako i oswojonych, podług wydania szesnastego, układu roślin Linneusza. 8ka 1830.	1 20	— 60
— Zoologia krótko zebrana. tomy. 8ka 1829.	1 —	— 30
<i>Kalotechnika</i> , czyli sztuka zachowania piękności, z dzieł słynnych lekarzy zebrana i ułożona przez autora Wspomnień z podróży po Danji, Norwegji i Anglji 16ka 1856	— 90	— 30
KULESZA Dr., O kuracji zimną wodą, czyli najnowsze sposoby leczenia. prędko i gruntownie wielu niebezpiecznych chorób za pomocą zimnej wody	1 50	— 30
LAMERT, Nauka życia, czyli jak i dlaczego żyć trzeba. Dzieło zawierające praktyczne uwagi o zdrowiu, dyecie i długiem życiu 12ka 1850.	1 20	— 20
LEROY. Medycyna wyleczająca. Podług ostatniego 14go przez autora poprawionego wydania, nowo przełożona przez W. K. Antonowicza, 8ka, 1830	2 25	1 12½
LIEBIG. Nowe listy o chemii zastosowane do przemysłu fizjologii i rolnictwa, przełożył Dr. Natanson, 8ka, 1854	— 90	— 30
LONGET. O płodzeniu i rozwijaniu się zapłodnionego jaja. Tłóm. A. Kozaczyński, z 2 tabl. ryc. kolor. 8ka, Kijów, 1855	1 —	— 40
MARCZYŃSKI. Opisanie statystyczne, topograficzne i historyczne gubernii Podolskiej, 3 tomy, 1820	4 50	1 50
MARLES. Ciekawe zjawiska natury, po polsku i po francuzku, z rycinami, 8ka, 1853 r.	1 —	— 50
MICHELET. Ptak. Przekład z piątego wydania poprawnego i pomnożonego, przez Wacława Przybylskiego, 12ka, 1859	1 —	— 40
MÜLLER. Kr. Dr. Świat roślinny. Dzieło poświęcone miłośnikom przyrody, spolszczył Hipolit Witowski, 2 tomy, 8ka	2 40	1 50
NEUGEBAUER, A. i NOWAKOWSKI. Anatomia (ob. Anatomia).		
OCZAPOWSKI, Jan, Dr. Wykład praktyczny chorób kołtunowych, ze względem na ich przyczyny, naturę, bieg, przesilenia, wady organiczne i nowe zasady leczenia, 8ka, 1839.	3 —	— 60
OMALIUS D'HALLOY. O rasach ludzkich, czyli zasady etnografii. Z franc. W. P., 12ka, 1852	90	— 50
PŁAWSKI, A. Słownik wyrazów botanicznych, 8ka	— 75	— 25
PODWYSOCKI, J. Słówko o homeopatyi oraz		

	Cena katalogowa Rs. kop.	Cena zniżona Rs. kop.
sposób leczenia homeopatyą cholery, 8ka, Kijów 1855	— 45	— 20
POTOCKI, Leon Hr. Przeznaczenie, czyli badacz nauk przyrodzonych. Szkice obyczajowe, 8ka, 1861.	— 50	— 25
ROSE, J. K. Dr. Diagnostyka fizyczna chorób płuc i serca, z szczególnym względem na auskultacyą i perkussyą, 8ka, 1860	— 90	— 45
SIKORSKI, Dr. Medycyna do powszechnego u- żytku, 2 tomy, 8ka, Wilno, 1861	1 50	— 75
ŚNIADECKI, Jędrzej. Dzieła 6 tomów, 12ka, 1840. — O fizyczuem wychowaniu dzieci wyd. nowe 18ka, 1857.	5 40	2 60
SZOKALSKI, Dr. W. Chodowanie pijawek le- karskich pod względem utrzymania, sztu- cznego rozmnażania, połowu, przewozu, przechowania zapasów i najoszczędniejszego ich użytku, zwłaszcza w szpitalach i do- broczynnych zakładach, 8ka, 1860	— 75	— 30
— Listy o patrzeniu i spoglądaniu, czyli o ma- caniu okiem w stanie zdrowia i choroby. Pi- sane do Doktora J. Majera, 8ka, 1856	— 75	— 30
THUGUT, A. O pokarmach mięsnych, zbytecz- cznym ich użyciu, o skutkach jakie ztąd wy- nikają dla zdrowia ludzkiego, 8ka, 1857	— 20	— 10
WAGA, Jakób. Flora polska czyli botaniczne opisy tak dzikich jako i hodowanych pod otwartem niebem jawno-kwiatowych Króle- stwa Polskiego roślin, 8ka, 3 tomy, 1848	3 60	2 —
<i>Wiadomości</i> (krótkie) z nauk przyrodzonych i niektóre wynalazki, 12ka, 1848	— 75	— 30
ZIELENIEWSKI, W. Notatki do historii aku- szeryi w Polsce, 12ka, 1862	— 50	— 15

V. Filologia, Słowniki, Pedagogika, Książki dziecinne, szkolne i ludowe.

<i>Abecadlnik z historyi naturalnej</i> , po polsku i po francuzku z rycinami kolor. 16ka, 1860	1 20	— 60
AMSZEJEWICZ. Dykcyonarz obcych wyrazów polskiemu językowi przyswojonych, 8ka, 1859.	3 —	1 —
ANDERSEN. Powiastki moralno-fantastyczne z 48 drzeworytami, 12ka, 1859.	1 50	— 50
BABRIOSIA. Ezopowe bajki przełożył z grec- kiego Zygmunt Węclewski, 1861	— 40	— 30

BALIŃSKI, Karol. Powieści ludu, spisane z po- dań, wyboru i wyd. K. Wł. Wojcickiego, 8ka, Warszawa, 1842	— 30	— 15
<i>Bazar zabawek dla dzieci, z rycinami, 4ka, 1857.</i>	1 —	— 50
BIELIKOWICZ, Ks. Ant. Słownik polsko-łaciń- ski, 2 tomy, 8ka, 1866	6 —	4 —
CAMPE. Rada ojczowska dla mojej córki, po polsku i niem. przekł. T. Sierocińskiego, 8ka, 1848	1 20	— 60
<i>Czytelnia niedzielna. Rok 1858, 1859, 1860. Każdy</i>	2 —	1 —
DMOCHOWSKI, F. S. Dwie powiastki moralne dla dzieci	— 75	— 45
<i>Duch opiekuńczy, czyli dziennik dziecinny przed- stawiający na każdy dzień w roku czytania religijne, moralne i historyczne, przez Des- cherelle i Morin, 8ka, 1848</i>	1 80	— 75
<i>Dziadek i czterej wnukowie jego, czyli początko- we nauki i wiadomości dla dzieci w rozmo- wach praktycznym sposobem wyłożone, Zryc. 8ka, 1852</i>	1 50	— 90
DZIEKOŃSKI, T. Wiązanie dla moich wnuków, pierwiastka czytania, jako zachęta do nauki z rycin. 16ka, 1850	1 20	— 60
EDGEWORTH. Wychowanie domowe, czyli czy- tania dla dzieci, 12ka, 1862	1 20	— 60
<i>Elementarz dla dzieci polskich. uł. J. Bańkowski, 8ka, jeden arkusz, 1862</i>	— 3	— 2
<i>Gawędy pedagogiczne, przez K. W. 16ka, 1865</i>	— 25	— 40
<i>Głosownia, 8ka, 1855</i>	— 25	— 10
GRECZ, M. Grammatyka rosyjska, 8ka, 1838	— 45	— 20
GREGOROWICZ K. Dr. Rady dla matek, obej- mujące przepisy wychowania dzieci, od nie- mowlęstwa, do wieku w którym rozpoczy- niają nauki, pośw. matkom polskim, 8ka, 1863.	1 —	— 50
HOFFMANN, Fr. W. Złota książeczka, czyli zbiór ciekawych i nauczających powieści, z rycin. 16ka, 1853 !	— 75	— 50
HOFFMANN, Klem. z TAŃSKICH. Drezno i jego okolice, 8ka, 1858	1 50	— 75
— Krystyna. 8ka, 1858	1 50	— 75
— Rozrywki dla dzieci, 5 t. 8ka, 1858—59.	7 50	3 75
— Pismo Św. wybrane z ksiąg starego i nowego zakonu; objaśnione uwagami pobożnych uc- zonych i ofiarowane matkom i dzieciom 2 t., z staloryt. 8ka, 1851. W opra. karton. w płótno angielskie z wyciskiem złotym	4 —	2 —
— Wiązanie Helenki. Książeczka dla małych dzieci z obrazkami po polsku i po niemiec- ku, 12ka, 1853	— 75	— 45
To samo po niemiecku	— 75	— 45

HOFFMANN, Klem. z TAŃSKICH. Powieści mo- ralne dla dzieci, 12ka, 1842	— 90	— 25
Oprawne	— —	— 40
— O moralności dla kobiet, wyd. drugie, 18ka	— 90	— 50
HORACYUSZ. Ody celniejsze do użytku szkół objaśnione przez J. Jeżowskiego, 2 tomy, 8ka, 1821	2 15	— 75
JACHOWICZ, St. Książeczka dla rzemieślnika 8ka, 1855	— 30	— 15
— Pisma wierszem, 8ka, 1853	1 20	— 30
— Nowe śpiewy dla dzieci, 8ka, 1856	— 75	— 30
— Przewodnik dla dzieci, na cały rok	— 75	— 37½
— Rozrywki dla młodzieży rzemieślniczej, 2 t. 8ka, 1856	— 45	— 20
KAMIŃSKI, Stan. Chłop polski i jego gawędy, w dosłownem narzeczu ludu naszego nad Sanem opisany, 12ka, 1862	— 60	— 30
KOWALSKI, Stan. Wybór powinszowań pol- skich z dodaniem franc. Wierszem i prozą ułożony, wyd. 2gie, 8ka, 1861	— 90	— 60
KRASICKI, Ignacy. Bajki i przypowieści, tu- dzież bajki nowe z przydaniem bajek z in- nych autorów i przypowieści prozą: dla uży- tku dzieci, 8ka, 1829	— 20	— 10
— Bajki i przypowieści, 1862	— 5	— 3
<i>Książka do tłum. z niem. na polskie, ze słownik. niem. polsk. J. E. 16ka, 1864</i>	— 30	— 15
KUDASIEWICZ, Ad. Kurs 2gi nauki języka polskiego. Wyd. 2gie, 12ka, 1866.	— 50	— 25
LEŚNIEWSKA. Dobre chęci. Zbiór powiastek moralnych młodemu wiekowi poświęcon. z ryc. kol. 12ka, 1857	1 80	— 90
MAGY. Sekretarz dla młodzieży obojga płci z dołączeniem powinszowań nowego roku, urodzin i imienin po polsku i po franc. 8ka, 1845	— 75	— 37½
<i>Matka. Opowiadania dziecinne, z 12 kol. rycin. 12ka, 1861</i>	— 30	— 15
<i>Metoda nowa nauczania się języków polskiego, franc. i niemiec., część 2 i 3, 8ka, 1858</i>	1 72½	— 95
MOSZYŃSKI, L. A. Kolęda dla dzieci, z rycin. 18ka, 1838.	1 20	— 40
NOWOSIELSKI T. Lalka dobrze wychowana, oraz latarnia magiczna dla grzecznych dzie- ci, z obrazkami, 8ka, 1850	1 50	— 60
— Świat dziecięcy, czyli zbiór nauczek, po- wiastek i wierszyków, 4 t. 12ka, 1842—43.	2 —	— 50
OSIPOWSKA. Podarunek cioci, czyli powieści dla dorastających dzieci, z ryc. 8ka, 1847	1 20	— 40
— Podarunek wuja dla kuzynów, czyli sześć powieści, 8ka, 1848	— 90	— 40

	Cena ka- talogowa. Rs kop.	Cena zni- żona. Rs. kop.
OSSOLIŃSKA, Przygody Zosi, 8ka 1850.	— 45	— 15
<i>Pamiętniki</i> pieszka Milusia. Opowiadanie ku za- bawie i rozrywce dzieci. Z rycin. 16ka 1857.	— 75	— 45
PŁAWSKI, A. Słownik wyrazów botanicznych 8ka 1830.	— 75	— 25
PŁUŻAŃSKA, Rady, przestrogi i nauki dla pa- nien 18ka 1848	— 40	— 20
<i>Podarek</i> ślubny dla Panny młodej 12ka 1858	— 40	— 10
PUZYNINA, Gabr., Dzieci litewskie. Wydanie nowe popr. i pomnoż. 16ka 1856.	— 60	— 30
— <i>W Imię Boże. Daléj w świat.</i> Wyd. nowe, 12ka 1859	— 60	— 20
— <i>Małe a prawdziwe opowiadania</i> 12ka 1857.	1 20	— 30
<i>Robinson des enfans, aventures, les plus curieuses</i> de Robinson Crusoe. — Robinson dla dzieci. Przygody najciekawsze Robinsona Kruzoe, z dodaniem dla ułatwienia przekładu spol- szczonych zwrotów mowy i wyrażeń właści- wych językowi franc. 12ka 1856	— 40	— 20
<i>Robinson</i> na wyspie. Dielko moralne dla dzie- ci, ozdobione rycin. 12ka 1834	— 45	— 20
<i>Rodzina</i> poczciwego Petra, czyli związki przyjaźni pomiedzy dziećmi i zwierzętami. Powieść, dla pożytku dzieci. Z ryc. kol. 16ka 1851	1 35	— 60
RODZISZEWSKI, Bajki i powiastki dla dzieci. Z rycin. kol. 12ka 1847	— 67½	— 30
— czarnemi.	— 52½	— 25
— bez rycin	— 22½	— 15
ROŚCISZEWSKA PAULINA, Kilka słów do mo- jego syna 16ka 1857.	1 —	— 50
<i>Rozrywki</i> dla młodocianego wieku. Dzieło zbio- rowe, obejmujące powieści, podróże, litera- turę i rozmaitości, wyd. przez Sew. zŻ. Pru- szakową. Serya III, 5 tomów, 8ka 1863	5 —	2 —
— na dni świąteczne 16ka 1853.	— 75	— 40
SAINTE FOI, Rady i przestrogi dla młodzieńców 16ka 1862	— 75	— 37½
— <i>Rady i przestrogi dla dziewic</i> 16ka 1862.	1 —	— 50
SIEROCIŃSKI, Teod. Pedagogika, czyli nauka wychowania 8ka 1846	1 80	— 75
SKIBIŃSKI, Powieści moralne dla młodzieży, po polsku i po franc. 12ka 1843.	— 90	— 45
SKOTNICKI, Pogadanki ojcowskie, pierwsze my- śli, pierwsze pojęcia 8ka 1851.	1 —	— 40
SŁOBODZKI Jenerał, Arytmetyka na szcrotach, albo łatwiejszy sposób wykonywania wszyst- kich arytmetycznych działań z liczbami, wyd. przez P. Tychomirowa z ross. tłóm. 8ka 1838.	— 40	— 25
<i>Słownik języka polskiego</i> , obejmujący oprócz zbio- ru właściwie polskich, znaczną liczbę wyra-		

zów z obcych języków polskiemu przyswojonych, nomenklatury tak dawne, jak też nowo w użycie wprowadzone różnych nauk, umiejętności sztuk i rzemiosł, nazwania monet, miar i wag główniejszych krajów i prowincij, mitologję plemion słowiańskich i innych ważniejszych, tudzież oddzielną tablicę słów polskich nieforemnych z ich odmianą; do podręcznego użytku wypracowany przez A. Żdanowicza, M. B. Szyszkę, J. Filipowicza, W. Tomaszewicza, F. Czepielińskiego i W. Korotyńskiego. Tom wielki. 8ka 1861.		12	—	6	—
		Z przesyłką pocztą			
<i>Słownik</i> rusko-polski 2 tomy 16ka 1835	2	—	—	7	—
— Nowy francuzko-polski, pomnożony zbiorem wyrazów naukowych i technicznych, 8ka 1847 oprawny.	2	—	—	1	—
•ŚNIADECKI, Jan. Trygonometrya kulista analitycznie wyłożona do użycia uczących się. Wyd. 2gie z 2ma tabl. 8ka 1820	—	90	—	30	
SOLARSKI, K. Przewodnik do szczęśliwości dla młodzieży z franc. 8ka 1858	—	50	—	20	
SZMIDTA, Powieści przekł. H. Skimborowicza z drzeworyt. 8ka 1854	—	90	—	45	
— Róża z Tannenbergu 2 t. z rycin. 8ka 1847.	—	75	—	37½	
SZYLLER, Listy o wychowaniu estetycznym człowieka 8ka 1843	—	50	—	15	
SZYMANOWSKI, Historia podróży i odkryć, 2 t. Z rycin. 2-e wydanie 8ka 1851	2	70	—	1	35
— Opowiadanie zajmujące i nauczające, o naj-sławniejszych wynalazkach ludzkich. 2 t. Z rycin. 8ka 1864	1	80	—	90	
<i>Teatr</i> dla dzieci. 12ka 1853	1	—	—	30	
— Dla dzieci. 2 t. 32ka 1841	—	75	—	37½	
TRIPPLIN, T., Dwanaścioro cudownych dzieci. Zbiór 12tu życiorysów dla użytku młodzieży. 12ka 1859	1	—	—	25	
ZAKRZEWSKI, Wypisy polskie na kl. III. dla płci żeńskiej 8ka 1835	—	75	—	30	
ZIEMIĘCKA, E. Myśli o wychowaniu kobiet, 12ka 1843	1	50	—	90	
<i>Zwierciadło</i> dzieciennego wieku. Z ryciną 16ka 1856	—	75	—	45	

VI. Budownictwo, Przemysł, Gospodarstwo, Technologia.

BAŃKOWSKI, J. Klucz do chemii dla gospod. wiejskich, 8ka, 1864	—	40	—	20	
--	---	----	---	----	--

	Cena ka- talogowa Rs. kop.	Cena zni- żona Rs kop.
<i>Biblioteka rzemieślnika polskiego. Przewodnik dla garbarzy, ul. A. Rogalewicz</i>	— 25	— 15
— <i>Przewodnik dla giserów, ul. Al. Miecznikowski</i>	— 90	— 45
— <i>Przewodnik dla stolarzy, obejmujący cały zakres stolarstwa, ul. Jan Heurich</i>	1 50	— 75
— <i>Przewodnik dla kowali.</i>	1 —	— 50
BLOK, A. Uwagi gospodarskie tłóm. z niem. 4 tomy, 1836	7 20	2 40
BOEHM. . Najnowsze i najciekawsze doświadczenia w gorzelnictwie, 8ka, 1861	1 —	— 50
BOHM, J. Wykład mojego postępowania przy hodowaniu owczarni, z niemiec. 8ka, 1859	— 50	— 25
BOULENOIS, Fr. Rady dla zaczynających hodowanie jedwabników; tłum. z franc. wyd. drugie, 8ka, 1869	4 20	— 75
BUĆKIEWICZ. Adam. Gawęda rolnicza między Litwinami, 12ka, 1861	— 75	— 40
<i>Budownictwo zastosowane do potrzeb ziemianina polskiego, z rycinami, 2 tomy, 8ka.</i>	3 60	1 50
CZAKI. Wzory budowy wiejskich, z 24ma tablicami, 4ka, 1830	2 50	1 35
DEZEIMERIS, J. E. Rady dla rolników. Przeł. z franc. 8ka, 1848	— 50	— 20
DONALD, J. Zalewnictwo, czyli sztuka irygowania gruntów, z ang. przeł. St. Z., 8ka, 1862.	— 30	— 15
DYRMONT, Józef. Rys (krótki) gospodarstwa prakt. podług zwyczajów i klimatu prowincyj zachodnich, 8ka, 1850	— 75	— 40
<i>Dziennik politechniczny, wydawany przez braci Marczewskich, 1861 i 62, 12 zeszytów</i>	12 —	6 —
ELSNER. Opis gospodarstwa trzypolowego, przeł. z niem. J. Kurowski, 8ka, 1836	1 20	— 30
GASPARIN. Zasady agronomii, z franc. 8ka, 1857	1 35	— 50
GAWARECKI i KOHN. Polskie stawowe gospodarstwo, 8ka, 1861	3 —	1 50
GAWARECKI. Chów królików 12ka, 1861.	— 30	— 15
GERSCHOW, A. Poziomowanie topograficzne. Wykład teoretyczny i praktyczny, obejmujący: Sposoby mierzenia spadków przy pomiarach gruntu, podziemnych i hydrotechnicznych; Sposoby rysowania profilów, obliczania bryłowości wykopów, nasypów ze szczególnem zastosowaniem do budowy dróg i zmiany kształtu danych powierzchni oraz rozmaite zagadnienia; z 20 tabl. figur, 8ka, 130 tablic, 1851	4 50	2 50
GOURCY, hr. K. Przewodnik dla rolników żyjących zwiedzać gospodarstwa angielskie; tłóm. z francuz., 16ka, 1858	— 22½	— 10

	Cena ka- talogowa Rs. kop.	Cena zni- żona Rs. kop.
GUMBINER. Praktyczne gorzelnictwo, 8ka, 1850 .	3 60	1 80
— Najnowszy i najkorzystniejszy sposób otrzy- mania drożdży.	3 —	1 50
HAFFER. Kultura łąk, przeł. A. Kohn, 8ka, z drze- wor. i tabl. 1860	2 —	1 —
HANDKE, B. Przewodnik dla większych i mniej- szych plantatorów buraków, 12ka, 1851	— 50	— 25
HEURICH, Jan. Przewodnik dla stolarzy, (ob. Bibl. rzemieślnika polskiego).		
JEZIERSKI, J. Jedwabnictwo polskie, z 12ma, rycin. 8ka, 1838	— 75	— 30
JOURDIER. Katechizm rolnictwa; przeł. St. Zdzi- towiecki, 8ka, 1858	1 50	— 75
KOHN, A. Drób, czyli hodowanie ptastwa domo- wego, 8ka, 1858	— 90	— 45
— Przechowywanie mierzwy stajennej. Metoda szwajcarska F. A. Fellenberg-Zieglera; obja- śniona przez Dra Meyer-Altenburga, z ryc. 8ka, 1863	— 60	— 30
— Rośliny pastewne, ich uprawa i pielegno- wanie, 8ka, 1858.	1 —	— 50
KOLMAN. O rolnictwie i ekonomii wiejskiej, 8ka, 1857	1 50	— 75
KOWALSKI, Z. A. Pszczolnictwo ogrodowe i do- mowe, 8ka, 1864.	— 60	— 30
KREMER, Józef. O tryptyku z wystawy archeo- logicznej krakowskiej i kilka z tego powodu uwag nad architekturą i rzeźbą gotyckiego stylu, 8ka, 1860	— 50	— 25
<i>Kuchnia i apteczka narodowa, 636 przepisów, obej- mujących: urządzenie wędlin, jarzyn, owo- ców, jagód; robienia i zaprawiania octów i drożdży, smażenia konfitur; robienia, przy- prawiania i przechowywania rozmaitych na- pojów, jako to: likierów, wódek i t. d. Spo- soby pieczenia ciast zwłaszcza wielkanoc- nych, urządzania nabiału, jako to: masła, serów tak krajowych jako i zagranicznych; doświadczone sposoby bielienia i farbowania płótna, prania materji jedwabnych, przy- rządzania kadzideł i atramentów, kosmety- ków toaletowych, i t. d. 8ka, 1860</i>	1 20	— 60
KUROWSKI, J. O warzeniu piwa, podług naj- nowszych odkryć, czyli treść dzieł o piwo- warstwie, z zagran. technologów, z 2 tabl. 8ka, 1837	1 20	— 30
LAUPMAN, H. O kuciu koni i obchodzeniu się z kopytami tak zdrowemi jak i choremi, według zasad Langebachnera, z rycin. 2 t., 8ka, 1827	1 —	— 30

LEŚNIEWSKA. Kucharz polski, jaki być powinien. Książka podręczna dla gospodyń, 8ka, 1861	1 80	— 90
LEŚNIEWSKI, P. E. Nauka chowu pszczół rozmaitemi sposobami, 9 tabl. rycin.	1 80	— 60
— Poradnik dla gospodyń, 3 tomy 8ka, 1838	3 60	1 20
LEWANDOWSKI. O rasach koni	1 50	— 30
ŁYSZKOWSKI. Nauka chowu owiec czystej i poprawnej rasy, z 6 tabl. rycin i wzorów, 8ka, 1839	1 10	— 60
— Poradnik hodowli i weterynaryi dla ziemianina, 2 tomy, z atlasem, 8ka, 1839	5 40	3 —
MACIEJOWSKI, Ign. O plantacji buraków, 8ka, 1858	— 70	— 35
MARON. Nauka leśnictwa dla prywatnych właścicieli lasów, 8ka, 1843	1 50	— 50
MIECZYŃSKI, Ad. Gospodarstwo mleczne, wedle najlepszych źródeł praktycznych skreślone, z wielu drzeworyt. 8ka, 1859	1 20	— 60
MIECZNIKOWSKI, A. Przewodnik dla giserów, (ob. Bibl. rzem. polsk.).		
MITTERER. Budownictwo cywilne, z 20 tabl. 2 t. 12ka, 1846	2 —	— 50
MORIN. Zbiór wiadomości z mechaniki stosowanej, dla użytku inżynierów, mechaników, budowniczych, oraz wszystkich w ogóle techników. Ułożony na zasadzie dzieł i spostrzeżeń najznakomitszych inżynierów, 8ka, 1858. 3 — 1 50	3 —	1 50
<i>Nauka rozumowanej praktyki przemysłu gospodarskiego, obejmująca piwowarstwo, gorzelnictwo, wyrabianie drożdży etc., przez Otto i Karola Siemensa, 3 t. z tablicami i drzeworyt. 8ka, 1852</i>	8 70	5 —
NOBIS, Aug. Zaprowadzenie ulepszonego gospodarstwa w włościańskich posiadłościach, 8ka, 1846	— 40	— 20
OCZAPOWSKI, Michał. Gospodarstwo wiejskie, obejmujące wszystkie gałęzie przemysłu gospodarskiego, 12 tomów, 8ka, 1848	15 —	7 50
<i>Opis prostego i łatwego sposobu czyszczenia spirytusu</i>	— 50	— 25
OSSUCHOWSKI, Bonifacy. Polanin, czyli przypomnienia gospodarskie, 16ka, 1858	1 —	— 50
<i>O szarańczy, przez Głuzińskiego i A. Wagę, z ryc. 8ka, 1861</i>	— 60	— 30
<i>Potrzeby chemiczne rolnictwa przez A. Duflos i A. Hirsch'a. Dla użytku rolników przeł. Zdzitowiecki, 8ka, 1844</i>	1 35	— 60
<i>Przegląd techniczny, pismo miesięczne poświęcone przemysłowi krajowemu, obejmujące: praktyczne zastosowania inżynierii cywilnej,</i>		

budownictwa, górnictwa, mechaniki, metal- lurgii, oraz technologii, chemicznej i me- chanicznej, 1866 i 1867, pierwsze półrocze 18 zeszytów	10	—	4	—
<i>Przepis</i> do przyrządzania w 5 minutach każdego upodobania gatunku wódki	—	50	—	25
RAREY, J. S. Sposób obłaskawiania w krótkim czasie najdzikszych i najzłośliwszych koni, 12ka, 1859	—	50	—	25
<i>Robota</i> rumowego eteru, rumowej essencji i rumu. ROGALEWICZ, A. Przewodnik dla garbarzy, (ob. Bibl. rzemieśl. polsk.).	—	50	—	25
<i>Rolnik polski</i> , przez Z. Gawareckiego i A. Kohna, 2 t. z rycin. 8ka, 1861/62	8	—	5	—
RYBICKI. Zasady technologii chemicznej z atla- sem, 12ka, 1849	1	20	—	60
SCHNEE. Dzierżawca początkujący, 8ka, 1860	1	—	—	30
SKARBEK, Fr. hr. Ogólne zasady nauki gospo- darstwa narodowego, czyli czysta teoria ekonomii politycznej, 2 tomy, 8ka, 1859	3	—	1	20
STOECKHARDT. Prelekcye chemiczno-gospo- darskie, tłóm. z niem. J. B. Rogojski, 2 to- my; 12ka, 1859.	1	50	—	75
STRUMIŁŁO, J. Ogrody północne, wydanie 6te z 10 tabl. 70 figur, 3 t. 8ka. 1862	6	—	4	—
SZYTTLER. Poradnik dla gospodyń, 12ka, 1844	—	60	—	15
<i>Tajemnice objawione</i> i przepisy rozmaitych do- świadczonych użytków w gospodarstwie, 8ka	—	75	—	37½
TENNEKER. Wyjawienie sposobów, jakich han- dlujący końmi używają do ich upiększenia, odmłodnienia, a następnie do oszukiwania kupujących, 8ka, 1834	—	60	—	15
VITARD, A. Wykład podręczny drenownictwa, czyli nauka obsączania gruntów, przeł. St. Zdz. z 9 tablic figur, 8ka, 1863	—	75	—	30
VORLENDER. Sztuczne skrapianie łąk, 12ka 1844.	—	75	—	37½
WAGA. Myśliwstwo ptasze, 8ka, 1842	1	20	—	40
WEJSBACH, Jul. Mechanika teoretyczna i sto- sowana, dla użytku inżynierów i mechani- ków z niem. przeł. St. Bakka, tom I, 632 drzew. w tekście 8ka, 1856	4	50	2	25
WYŻYCKI, GÉRALD J. Nauka hodowli zwierząt domowych, 8ka, 1838	1	80	—	90
— <i>Zielnik ekonom. techniczny</i> , 2 t. 8ka. 1845	6	—	2	50

VII. Literatura piękna. Powieści. Poezye, Teatra.

ANDERSEN, Tylko grajek. Powieść, z duńskiego tłóm. Fr. Lewestam 2 t. 12ka 1858.	1	80	—	60
--	---	----	---	----

<i>Arcydzieła dramatyczne.</i> Przekł. J. Korzeniowskiego i Alf. Walickiego. Tom 1szy zaw. Faust. Trag. Goethego. Tom 2gi Król Jan, Dramat Szekspira, i Sofoklesa Edyp Król, 2 tomy. 1844—45.	2 20	1 80
AZEGLIO (d') Max, Hektor Fieramosca, albo wyzwanie w Barlecie. Powieść hist. 2 t. 12 ^{ka} 1856	1 50	— 75
BERANGER J. P. Piosenki, przekł. W. Syrokomli i W. Korotyńskiego, z portr. i życior. autora, 8 ^{ka} 1859	1 80	— 50
BERNARD K. Pięćdziesiąt lat, pow. z fr. 8 ^{ka} 1855	— 75	— 30
BERNARDIN de St. Pierre, Paweł i Wirginja 4 ^{ka}	— 40	— 20
BERTHET, El., Człowiek ze świata podziemnego, 4 t. 8 ^{ka} 1855.	2 25	1 —
BOGUCKI J. S., Wizerunki społeczeństwa Warszawskiego, 2 t. 8 ^{ka} 1855	2 50	1 —
— Wizerunki społeczeństwa Warszawskiego. Druga edycja tomu IIgo, powiększ. przez A. Niewiarowskiego Galerją panien i kawalerów do wzięcia.	1 20	— 50
BOŻENNA. Uprzedzenie, powieść 2 t. 16 ^{ka} Warszawa 1862.	— 90	— 30
BREMER Fryd., Córki Prezesa. Powieść 16 ^{ka} 1853	— 75	— 37½
— Kłótnia i Zgoda czyli kilka scen w Norwegji, 16 ^{ka} 1857.	— 75	— 37½
— Nina. Powieść, 2 tomy 16 ^{ka} 1855	1 50	— 75
— Ognisko domowe, 2 tomy 16 ^{ka} 1859	1 50	— 75
— Rodzina H. Powieść, 16 ^{ka} 1854	— 75	— 37½
— Sąsiedzi. Powieść. 2 tomy, 16 ^{ka} 1852	1 50	— 75
— W Dalekarlji. Powieść, 16 ^{ka} 1858.	— 75	— 37½
BRODZIŃSKI, K., Dzieła 10t. 16 ^{ka} Wilno 1844	10 —	5 —
BUDZYŃSKI, Włod. Koń biały, poezya 16 ^{ka} 1862.	— 90	— 30
BUJNICKI, Siostra Giertruda: Poemat wierszem 18 ^{ka} 1842	— 75	— 35
— Stara panna. Powieść społeczna 12 ^{ka} 1855	1 50	— 60
BUROW J., Lekarz w małym miasteczku 2 tomy 12 ^{ka} 1859	1 20	— 60
CERVANTES, Don Kiszot z Manszy 4 t. ilustr. 4 ^{ka} 1854	3 —	1 50
CHATEAUBRIAND, Atala. Przekład H. Skimborowicza 4 ^{ka} 1853.	— 25	— 20
— Ostatni z Abenseragów, przekł. W. Zakrzewskiego 4 ^{ka} 1853	— 25	— 12½
— Pamiętniki pogrobowe. 9 tomów 8 ^{ka}	5 —	1 50
— René. Przekł. W. Zakrzewskiego 4 ^{ka} 1853	— 25	— 12½
CHERBULIEZ, Romans uczciwej kobiety. 2 t. 12 ^{ka} 1866	1 35	— 45
CHECIŃSKI J., Poemata i strofy ulotne, 12 ^{ka} 1860	— 75	— 30
— Porządni ludzie, komedja w 5ciu aktach, wierszem, 12 ^{ka} 1861	— 75	— 30

CHEŃCIŃSKI, Jan. Poświęcenie, komedia w 3ch aktach, wierszem, 8ka, 1866	— 60	— 30
CHODŹKO, Jan. Pan Jan ze Swisłoczy. Kramarz wędrujący, 8ka, 1824	— 35	— 20
CHODŹKO, Ign. Dwie konwersacye z przeszłości, 12ka, 1857	1 35	— 75
— Obrazy litewskie: Ser. VI. Nowe pamiętniki kwestarza, 12ka, 1862	1 35	— 60
— Podania litewskie: Serya III. Pustelnik w Proniunach, * powieść w 2ch częściach, 12ka, 1858	1 35	— 75
— Serya IV. Drugi pustelnik w Proniunach czyli wotum chybione, 12ka, 1860	— 75	— 50
— Próby nowego dykcyonarza, wydaje pan Wirszajtos, niegdyś Szubrawiec Rustykanin, 12ka, 1860	— 65	— 30
CHOŁONIEWSKI, Ks. St. Dwa wieczory pani starościny Olbromskiej, 8ka, 1843	1 20	— 40
COOPER, J. F. Krysztof Kolumb, przekł. Ludw. Jenike, 8ka, 1843	1 50	— 75
— Pijonierowie, albo źródła Suske-hanny, romans opisowy, 4 t. 8ka, 1832.	2 —	1 50
— Stepy: romans amerykański, 4 t. 1834	2 —	1 50
CUMMINS. Latarnik z Bostonu, powieść amerykańska, przekł. Pruszkowój, 2t. 12ka, 1859.	2 40	— 75
CZAJKOWSKI, Michał. Anna, powieść, wydanie nowe, 12ka, 1851	1 35	— 90
DEOTYMA. Improwizacye i poezye, wydanie ozdobne z rycin. 8ka	3 —	1 50
— Tomira, misteryum 8ka, 1855	— 90	— 20
DERYNG, E. Szatan ziemi i anioł, powieść 3 t. 12ka, 1851	2 25	— 60
DIKKENS, K. Zarysy Ameryki, przekł. z ang. — Black House (Pustkowie), powieść 5 t. 12ka, 1857	— 50	— 15
— 3 75	1 87 1/2	
DRUŻYNA, M. Wacław, fragment poetyczny, 8ka, 1863	— 90	— 30
DRZEWIECKI, K. Kontrakty, dramat w 5ciu aktach, 12ka, 1842	— 75	— 35
DYCALP, John. Adaś, opowiad. pseudonima, 12ka, 1856.	— 60	— 20
— Chaos, szczypta kadzidła cieniem wierszokletów, od Witalisa Komujedzie, 12ka, 1842.	1 25	— 40
— Doktor Panteusz w przemianach, rękopis ze skrzyni ś. p. Przybysława Dyamentowskiego stolnika urzędowskiego, 18ka, Lipsk, 1845	1 10	— 60
— Kabała z odpowiedzi wirujących stołów i tabliczek, dosłownie spisana przez pewnego dymisyonowanego pomocnika stołu 18ka, 1855	— 30	— 10

DYCALP, John. Kilka wspomnień uniwersyteckich, 8ka, 1854	1	—	60
— Książeczka in 16, bez tytułu i nazwiska autora, 1854	—	50	20
— Opowiadania nowe, 18ka, 1847	1	10	60
— Opowiadania wierszem, zawierają: talizmany, dziadek i babka, opowiadanie Dydaka, opowiadanie Jagusi, Aniolki, 1846	—	20	10
— Opowiadania z dewizą: Tutto è vero verissimo! Lettore mio carissimo! zawierające następne artykuły: 1. Jeszcze dzicy. 2. Trzej bracia dziedzice. 3. Powrót rabina. 4. Suchotnica, 12ka, 1843	—	75	25
— Ostatni upiór w Bielehradzie. Dosłowny wyciąg z kroniki czeskiej, wieku XVIgo, 12ka, 1842	—	50	30
— Pamiętnik Elfa, 2tomiki 18ka, z 2 ryc. 1844	2	50	75
— Posiedzenia wiejskie, w 4ch niedzielach, napisał February Luty, 16ka, 1856	—	50	15
— Sędzia Pieniążek, improwizacya wierszem, 18ka, 1845	—	20	10
DYCALP i J. I. KRASZEWSKI. Powieść składowana, 18ka, na pap. welin. 1844	—	90	40
DZIERŻKOWSKI, J. Król dziadów, powieść 2 t. 8ka, 1856	2	25	1 20
— Skarbiec, szkic fantastyczny, 16ka, 1856	—	55	30
— Znajda, powieść, 8ka, 1854	1	10	55
EÖTVÖS, J. Notaryusz, powieść przeł. z węgierskiego, przez J. Dobrzańskiego, 4 t. 12ka, 1855	3	—	1 50
ESCHYLOS. Agamemnon, tragedia, przekład Z. Węclewskiego. 1856	—	80	40
— Choefery, czyli ofiara grobowa, tragedia, przekł. Z. Węclewskiego, 1857	—	60	40
FELIŃSKA, Ewa. Pamiętniki z życia, 3 t. 12ka 1860	5	—	2 50
— Pamiętniki z życia. Serya II. 2 t. 12ka, 1860	3	—	1 20
— Siostrzenica i ciotka, powieść obyczajowa, 16ka, 1853	—	80	40
— Wspomnienia z podróży do Syberyi i pobytu w Berezowie i Saratowie, 3 t. 8ka, 1853	4	50	3 —
FERRY, Gabr. Wędrowiec leśny, powieść z życia amerykańskiego z franc. 6 t. 12ka, 1856	3	—	1 50
FEUILLET, Oktaw. Siwy włos, komedia, z franc. 8ka, 1861	—	50	25
FEVAL, Paw. Syn szatana, 9 tomów, 12ka, 1847	5	—	1 50
FIRDUSSY. Biszen i Menisze, przekł. L. Siemieńskiego, 8ka, 1855	—	60	20
FULLERTON. Lady Georgina. Helena Middleton, powieść, 2 t. 16ka, 1857	1	50	75
— Zamek Grantley, powieść 2 t. 16ka, 1852	1	50	75

GIRAUDEAU. Historje i przypowieści, przekł. Ks. Rzewuskiego	1 —	— 30
GOETHE. Brat i siostra, obrazek dramatyczny, przeł. John of Dycalp, 16ka, 1846	— 30	— 15
— Torquato Tasso, dramat w 5ciu aktach, prze- łożył L. Jenike, 8ka 1861	— 75	— 30
GOLDONI. Oberżystka, komedia (treść), 16ka, 1856	— 30	— 15
GOLDSCHMIT. Wikary Wakefildski, 4ka	— 60	— 30
GRABOWSKI, M. Pan starosta Kaniowski, po- wieść 12ka, 1856.	— 90	— 45
— Stannica Hulajpolska, powieść narodowa, 5 tomów, 12ka, 1841.	4 —	2 —
— Tajkury, powieść narodowa 4 tomy, 8ka, Wilno, 1845.	4 —	2 —
— Zamieć w stepach, opowiadanie obywatela z polskiej Ukrainy w pierwszych latach XIXgo wieku; 8ka, 1862	— 60	— 30
GREGOROWICZ, J. K. Dwie sceny z pożycia wiejskiego, 16ka, 1853	— 75	— 35
— Różne różności, czyli prawdziwe historje 2 t. 16ka, 1856	1 50	— 60
GROZA, Alex. Mozaika kontraktowa, szkic, 16ka, 1857	— 60	— 20
— Pamiętnik niebardzo stary, 16ka, 1858	1 —	— 50
— Trzypalmy, powieść ze Wschodu, 16ka, 1857.	— 20	— 10
— Rusałka, 1841	1 20	— 30
— Rusałka, 1842	1 20	— 30
— Pisma, powieści ludu i dumy, 16ka, 1855	1 20	— 60
GRYBOJEDOW, A. Biada temu, kto ma rozum, komedia w 4ch aktach, tłum. J. Lewart- Lewiński, 8ka, 1857	— 75	— 30
GUTZKOW. Wzór do świętoszka, komedia w 5ciu aktach, 18ka, 1852	— 75	— 15
HLEBICKI-JÓZEFOWICZ, Zygm. Po naszymu, komedia w 2ch aktach, 16ka, 1860	— 30	— 10
HOFMANN, E. T. A. Powieści fant. z niem. 2 t. 16ka, 1859	1 50	— 75
HORAIN, Jul, Chwile stracone, szkice i powie- ści, 12ka, 1857	— 75	— 25
HUGO. Hernani, dramat, tłum. A. Korzeniow- skiego, 8ka, 1862	— 50	— 30
JABŁOŃSKI. Gwido i dumki, poezye, 16ka, 1857.	— 45	— 15
JANOWICZ. Jedynak, powieść, 12ka, 1856	— 90	— 30
JANOWICZ, And. Szuler, obrazek, 16ka, 1856	1 —	— 50
JEZIERSKI, Mich. Dwie komedye wierszem: Kabała panny chorążanki i kaprys i głu- pota, Kijów, 1857	— 75	— 25

	Cena katalogowa Rs. kop.	Cena zniżona Rs. kop.
JEZIERSKI Mich. Julia i Marya, powieść 2 tomy		
18ka, 1843.	1 50	— 75
— Konkurenci iletarg, dwie powieści 12ka 1855.	— 75	— 30
— Powieści 2 tomy, Kijów, 1857	2 —	— 75
JEŻ, T. Handzia zahornicka, powieść społeczna, 12ka, 1860	1 35	— 75
— Historia o pra-pra-prawnuku i pra-pra-pradziadku, powieść 4 t. 12ka, 1864.	4 —	2 —
— Szandor kowacz, 12ka, 1861.	1 35	— 75
KACZKOWSKI, Zyg. Annuncyata, powieść z czasów konfederacyi barskiej, 3 t. 12ka, 1858.	5 —	2 50
— Bajronista, powieść społeczna, 3 tomy, 12ka, 1857	4 50	2 25
— Grób Nieczui, powieść z ostatnich lat XVIII wieku. 4 t. 12ka, 1858	5 —	2 60
— Rozbitek, 3 tomy, 8ka, 1861.	4 50	2 —
— Sodalis Marianus, powieść historyczna ze starych ksiąg i papierów spisana, 5 tomów, 12ka, 1866	5 —	1 50
KALDERON. Kochankowie nieba, przekł. Kar. Balińskiego, 8ka, 1858	1 50	— 60
KAVANAGH. Magdalena, czyli poświęcenie się młodej wieśniaczki 12ka, 1855	— 50	— 30
KNIAŻNIN, F. D. Poezye, 3 t. 1820	1 —	— 50
KOCHANOWSKI, Jan. Dzieła 8ka, 1864	1 —	— 75
KOERNER, Teod. Zriny, tragedia z dziejów węgierskich, w 5ciu aktach, przeł. L. Jenike, 8ka, 1867	— 60	— 25
KORZENIOWSKI, A. N. Komedia dramat w 3ch aktach, i strofy oderwane, 16ka, 1856.	1 35	— 30
KORZENIOWSKI, J. Cyganie dramat w 5ciu aktach, wierszem 16ka, 1857	— 75	— 37½
— Izabella d'Ayamonte, dramat w 4ch aktach, 12ka, 1848.	— 75	— 50
— Kawaler stary, komedia, 8ka, 1860	— 75	— 30
— Krewni, powieść społeczna, 4 t. 12ka, 1857.	5 —	2 50
— Majątek albo imię, komedia w 5ciu aktach, wierszem, 12ka, 1859	— 75	— 30
— Rokiczana, drama liryczna w 3ch aktach, 12ka, 1859	— 60	— 20
— Młody mąż, komedia w 3ch aktach wierszem. Gentillo Bellini, obraz dramatyczny, 12ka, 1857.	— 75	— 35
— Mąż i konkurent, komedia w 3ch aktach, wierszem, 12ka, 1860	— 45	— 20
— Ofiara i sumienie, dramat opowiadany, 12ka, 1860	1 35	— 60
— Panna męzátka, komedia w 3ch aktach, 12ka, 1851.	— 70	— 40

KORZENIOWSKI J. Plotkarz, komedia w 4ch aktach, wierszem. Pustynia, komedia w 1ym akcie wierszem, 12ka, 1860	1	—	50
— Powieści i opowiadania. Serya II. Scena na balu i pojedynek, 12ka, 1855	1	—	50
— Powieści i opowiadania. Serya III. Jedynaczka i dwa śluby, 12ka, 1855	1	20	60
— Szczęście zagórami, powieść, 2t.; 12ka, 1858	2	25	1 —
— Wąsy i peruka, komedia w 3ch aktach, 18ka, 1855	—	65	30
— Wdowiec, powieść, 2 t., 12ka, 1856	2	50	1 20
— Wędrowki oryginala, powieść, 1851	1	50	75
— Wędrowki (nowe) oryginala, 2 t. 12ka 1851.	3	—	2 —
— Złote kajdany, tragi-komedia w 5ciu aktach wierszem 16ka, 1861	—	75	37½
KOSIŃSKI, Ad. Am. Czarno i biało krew hetmańska, powieść 12ka, 1853	1	20	65
— Dziecię królewskie, powieść 3 t., 16ka 1852.	3	30	1 —
— Dwa obrazki z przeszłości, powieści historyczne, 16ka, 1852	1	20	40
— Miasta, wsie i zamki polskie, powieści i obrazki, 4 t. 12ka, 1851	4	20	2 15
— Przejażdżki po kraju, powiastki i obrazki, 3 t. 12ka, 1847	3	—	1 50
KOSTROWIEC. Żegota (Ks. Hołowiński), Rachel, powieść 18ka, 1847	1	50	75
KOWALSKI, Fr. Legendy herbowe, 8ka, 1862	1	80	1 —
KOŹMIAN, A. Stefan Czarniecki, poemat w 12tu pieśniach, 1858	7	20	3 —
KRAKÓW, Paulina. Obrazy i obrazki Warszawy, 12ka, 1848	1	20	45
— Proza i poezya polska dla młodzieży polskiej, część Isza, 8ka, 1860.	1	—	60
KRASZEWSKI, J. I. Akta babińskie, pismo nieperyodyczne i niezbiorowe, książeczka pierwsza i druga, 18ka, 1844.	—	80	40
— Anafielas, pieśni z podań Litwy: Witold-rauda, pieśń pierwsza, wydanie drugie, z 50 drzewor. Winc. Smokowskiego i z muzyką St. Moniuszki, 8ka, 1846, na welinie	3	—	1 35
— na papierze pół białym, bez muzyki.	2	50	1 —
— Mindows, pieśń druga, 8ka, 1843	3	—	1 35
— Na papierze pół białym	2	50	1 —
— Witoldowe boje, pieśń trzecia i ostatnia, z ryciną na stali, W. X. Witolda. 1845	3	—	1 35
— Na papierze pół białym	2	50	1 —
— Na papierze pół białym, 3 tomy razem	7	50	2 25
— Boża czeladka, powieść 3 t. 12ka, 1858	3	50	2 —

KRASZEWSKI J. I. Całe życie biedna, powieść,			
Wilno 8ka, 1841	1	—	40
— 8ka, Warszawa, 1858	—	45	— 22½
— Caprea i Roma, obrazy z pierwszego wieku, 2 tomy, 12ka, 1860	3	—	1 50
— Choroby wieku, 2 tomy, 12ka, 1857	1	80	— 90
— Cztery wesela, powieść 2 tomy, 8ka, 1841	2	—	1 —
— Dwie komedyjki: Portret, komed. w 3ch aktach. Łatwiej popsuć niż naprawić, przy- powiastka w 3ch aktach, 12ka, 1856	1	—	— 50
— Dziś i lat temu trzysta. Studium obyczajowe. Charakterystyka Reja z Nagłowic, 12ka, 1863.	1	—	— 40
— Dziwadła, powieść współczesna, 4ka, War- szawa, 1857	—	90	— 45
— Historia kołka w płocie, 12ka, 1860	1	—	— 40
— Historia o bladłej dziewczynie z pod Ostrój Bramy, Tomko Prawdzic, wierutna bajka, Warszawa, 4ka, 1859	—	75	— 37½
— Jaryna, powieść, 12ka, 1850	—	60	— 30
— Jermoła, obrazek wiejski, 16ka, 1857	1	20	— 60
— Imprbwizacye dla moich przyjaciół, ksią- żeczka do zapalania fajek, 12ka, 1844	—	50	— 30
— Kopciuszek, powieść 6 t. 12ka, 1863.	5	—	1 50
— Kordecki, powieść historyczna, 4ka, 1857	1	80	— 90
— Ładowa pieczara, obrazek wiejski, 12ka 1852	1	—	— 50
— Maleparta, powieść historyczna z XVIIIgo wieku, 4 t. 18ka, 1844	2	70	2 —
— Metamorfozy, obrazki w 3ch t. 12ka, 1860.	3	—	1 50
— Mogiły Abracadabra. Dwa fragmenta oraz przepisany przez tegoż dyaryusz podróży z Warszawy do Petersburga hr. Kaź. Konst. de Bröhl Platerra 1792 r. odbytej, 12ka, 1859	1	—	— 50
— Ostrożnie z ogniem, powieść 8ka, 1857	—	60	— 30
— Obrazy z życia i podróży, 2 t. 8ka z 3ma ryc.	2	50	1 —
— Ostap Bondarczuk i Jaryna, wyd. nowe 2 tomy, 18ka, 1855	1	40	— 75
— Pamiętniki Jana Dukłana Ochockiego, z po- zostałych po nim rękopismów przepisane i wydane, 4 tomy, 12ka, 1857	6	—	— 14 —
— Pod włoskiem niebem, fantazyja 4ka, 1857	—	60	— 30
— Podróż króla Stanisława Augusta do Ka- niowa w r. 1787 podług listów Kazimierza Konstantego hr. de Bröhl Platerra, opisana, 12ka, 1860	1	—	— 35
— Poeta i świat, powieść 2 t. 8ka, 1841	2	—	1 —
— Resztki życia, 4 t. 8ka, 1860	4	—	1 —
— Stańczykowa kronika, szkic 8ka, 1841	—	75	— 35

KRASZEWSKI, J. I. Staropolska miłość, urywek pamiętnika, 16ka, 1859	— 90	— 45
— Tomko Prawdzic, wierutnabajka 16ka, 1866.	— 45	— 35
— Trapezologion, historyjka, 12ka, 1855	1 —	— 50
— Wioska, sielanka, z 20 drzeworyt. 8ka. 1859	1 —	— 50
KUCZ K. Godzina u dziennikarza, krotoczwila ze śpiewkami, 16ka, 1859	— 30	— 7½
KUNICKI, L. Krajowe obrazki i zarysy, 16ka, 1852	— 75	— 25
— Nad-Bużne obrazy i powiastki, 3 tomy, 16ka, 1857.	2 50	1 —
<i>Kwiaty i poezye</i> , Zbiór poezji ozdobionych pię- knymi chromolitografiami kwiatów; wyda- nie Maksym. Fajansa. Drukowane na bry- stolu angiels. oprawa more antique, ze zło- conemi brzegami, 8ka 1858	7 50	6 —
LELIWA. Komedia w 2 aktach dla amatorskie- go teatru. Kijow, 12ka 1857.	— 60	— 25
LENARTOWICZ Teofil, Poezje, w dwóch czę- ściach. 8ka, 1853	1 50	— 50
LESAGE, Djabeł kulawy. Przekł. Dra Tripplina, 2 t. 4ka, 1853	— 85	— 42½
— Gilblas z Santyllany. Przekł. T. Dziekoń- skiego. 3 t. 4ka 1853	2 10	1 5
LUKASZEWICZ A. Chwile od prac swobodne, zbiór poezyj; 8ka 1857.	1 —	— 30
MACHCZYŃSKI E. S., Han-Akmet i Janczar. Powieści kaukazkie 16ka, 1857	— 75	— 15
MALESZEWSKI Wł. Dziecię Żmudzi; powieść 12ka 1863	1 5	— 50
MARLITT. Złota Elżunia. Powieść spółczesna z niem. 12ka 1868	1 80	— 75
MARRYAT, Jafet szukający swego ojca. Powieść 2 t. 16ka 1853.	1 50	— 75
MIASKOWSKI Kasper. Zbiór rytmów przez au- tora poprawionych i rozszerzonych, do dru- ku po raz trzeci podany, przejrzany, obja- śniony i wiadomością o życiu i pismach Miaskowskiego opatrzony przez Jana Ry- markiewicza 8ka 1855	1 80	1 20
MICKIEWICZ Adam, Pisma, w 8 tomach, z ży- ciorysem, przez W. Wojcickiego, 12ka 1858 1859. Na papierze zwyczajnym z portretem autora	10 —	4 —
Na welinowym, z portretem i 8 stalorytami.	15 —	5 —
MILKOWSKI Julian, Matka i macocha, Obra- zek 16ka 1857.	1 20	— 50
MINISZEWSKI J. A., Ciernie kwitnące. Obra- zek z życia Warszawskiego. 2 t. 8ka 1865	1 20	— 60

MINISZEWSKI J. A., Listy Cześniakiewicza do Marszałka. 8ka 1858	1 50	1 —
MITSCHEL, Donald. Życie marzeń. Powieść amerykańska, przepolszczona przez A. B.; 12ka 1858.	1 —	— 50
MOOR Tomasz, Raj i Peri. Ślepa dziewczyna z Castel Cuille, Jaśmina 32ka, 1860	— 30	— 10
MOSENTHAL, Deborah, dramat (treść) 16ka 1858	— 30	— 15
MOSTOWSKI Adolf, Kwiaty i chwasty w 3 częściach 8ka 1866	1 —	— 50
NATANSON, Wybór przekładów z wzorowych pisarzy zagranicznych zawierający celniejsze powieści: Bremer, Fullerton, Marryat, Tieck, Eötvös, d' Azeglio, Dickens, Hoffman. 31 Tomów 16ka, razem	23 25	9 —
NIEMCEWICZ, Lejbe i Siora, 8ka 1861	1 —	— 50
NIEMOJEWSKI, Komedje 16ka 1856	1 50	— 30
NIEWIAROWSKI, Al. Galeria konkurentów i konkurentek 16ka 1857	— 70	— 15
— Los opiekun (Dziennik Felicyi) 12ka 1855	— 75	— 35
— Paweł i Wirginja. Szkice psychologiczne, w ramach powieści.	— 30	— 10
— Rotmistrz bez rotty. 3 t. 16ka 1855.	2 50	— 75
— Stara osa. Kilka rysów towarzyskich 16ka 1857.	— 30	— 10
— Życie na żart 3 tomy 16ka 1856	2 50	1 25
<i>Noworocznik</i> wolnych żartów, zebr. p. Bocianów polskich 16ka 1859	— 60	— 10
NOWOSIELSKI, A., Pogranicze Naddnieprzańskie. Szkice społeczności Ukraińskiej w wieku XVIII. 2 tomy 8ka 1863.	3 —	1 50
NOWOSIELSKI, T. Humoreski 12ka 1841	1 20	— 30
<i>Obrazy</i> domowego pożycia na Litwie. Książeczka 2ga: Druga żona 1844.	— 25	— 10
OEHLENSCHLAEGER, Corregio. Dramat. 8ka 1856.	— 75	— 15
OSIŃSKI Ludwik, Dzieła. 4 tomy 8ka 1861/62	8 —	3 —
OSIPOWSKA. Wajdelotka, czyli dolina Aleksoty 3 tomy, 18ka 1844	1 80	— 90
OSTRZYKOWSKI Ks. B., Kleft pod rodzinnem niebem. Nowe poezje 12ka 1860	1 —	— 30
— Pisma wierszem, 2 t. 12ka 1854	1 20	— 30
PADALICA, T. Pokojówka. Szkic obyczajowy 16ka 1850	— 50	— 30
PADURA T., Ukrainki z nutami, 8ka 1844.	3 —	1 50
<i>Pamiętniki</i> Wampira, wydał Z. Rappaport 2 t. 8ka 1861.	3 —	60

PIEŃKO WSKI K., Idealni. Dramat w 3 aktach, wierszem, 8 ^{ka} 1861.	— 75	— 50
— Odrodzony. Komedja w 3 aktach 12 ^{ka} , 1862	— 45	— 30
— Scena za sceną, szkic dramatyczny 12 ^{ka}	— 60	— 30
— Wybranka. Poemat dramatyczny w dwóch obrazach. O zmirroku dramat w 3 ^{ch} aktach, wierszem. 12 ^{ka}	— 75	— 50
<i>Pieśni narodowe Serbskie, wybrane i przeł. przez R. Zamarskiego. 2 t. 16^{ka}</i>	2 —	— 75
PŁUG A., Pamiętniki domowe 12 ^{ka} 1858	1 35	— 67 1/2
POL Wincenty, Poezje drobne 8 ^{ka}	3 —	1 —
— Stryjanka. Tradycya szlachecka JP. Benedykta Winnickiego, 8 ^{ka} 1861.	1 80	1 20
PONTMARTIN, On perły szuka. Powieść przekład Badeniego 12 ^{ka} 1856	1 50	— 30
PRONIEWSKÁ, Karolina, Piosneczki 16 ^{ka} 1858.	1 —	— 30
— Kalwarya na Żmudzi 18 ^{ka} 1856.	— 20	— 10
PRUSZAK S. z Ż., Elżbieta Drużbacka. Powieść 12 ^{ka} 1855	— 90	— 45
— Gawędy i powieści 2 t. 12 ^{ka} 1854	2 —	— 75
— Powieści naszych czasów, 4 t. 16 ^{ka} 1853.	3 60	1 20
PRZEZDZIECKI, Al., Jadwiga. Dramat historyczny w pięciu aktach, 18 ^{ka} 1844.	— 60	— 30
PRZYBYLSKI, W., Przekłady i studja 12 ^{ka} 1857.	1 35	— 40
PUZYNINA Gab. z Güntherów, Pisma prozą i wierszem, 2 t. 12 ^{ka} 1856/57	1 50	— 40
— Teatr amatorski, Czy ładna, czy bogata? komedya w dwóch aktach wierszem. Za miastem, obrazek wiosenny w dwóch oddziałach, 8 ^{ka} 1861	1 —	— 50
<i>Ramoty nowe i ramotki, czyli skuteczne lekarstwo przeciw nudom i złemu humorowi.</i>	2 —	1 —
RASYN, Fedra, tragedia (treść) 16 ^{ka} 1858	— 30	— 15
REJA Mikołaja z Nagłowic, pisma wierszem, przedruk z dzieł jego wydanych w Krakowie u M. Wierzbity r. 1568 z popiersiem Reja 8 ^{ka}	1 20	— 70
REJTAN, Tak było u nas. Powieść 12 ^{ka} 1859	1 50	— 45
RZEWUSKI, Leon Hr. Łaska i przeznaczenie 2 tomy 8 ^{ka}	2 70	1 35
RZEWUSKI, H. Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego. 5 t. 8 ^{ka} 1857.	6 —	3 —
— Opowiadania starca. (Pamiętniki Soplicy) 2 tomy 12 ^{ka} 1854	3 —	1 50
— Zaporozec, powieść 4 tomy 12 ^{ka} 1854.	4 50	2 50
SAINT-AUGET, M. Krzyż żelazny. Powieść z fr. 12 ^{ka} 1855	— 75	— 30

	Cena ka- talogowa Rs. kop.	Cena zni- żona Rs. kop.
SCRIBE, Adryanna Lecouvreur, dramat w 5ciu aktach 16ka 1858	— 50	— 25
— Hugonoci. Opera w pięciu aktach 16ka 1858	— 37½	— 30
— Prorok Opera w pięciu aktach 16ka 1867	— 30	— 15
SIEMIŃSKI, L., Wieczornice. Powiastki, charaktery, życiorysy i podróże 3 t. 12ka 1854	3 —	1 20
<i>Snopek</i> Nadsekwańskich plonów, czyli powieści PP. Balzak, J. Janin, Jacob, Sue, Charles i t. d. 2 t. 1863.	1 —	— 30
STAEŁ, Korynna czyli Włochy 4ka 1857	1 50	— 75
STERN, Podróż uczuciowa 4ka 1843	— 45	— 22½
STOWE, Chatka ojca Toma, czyli życie murzynów 2 t. 8ka, 1860	2 50	1 20
STRUTYŃSKI, J., Chmury przeszłości. Poezye. 12ka 1844	— 60	— 20
SUE Eug., Kommandor Maltański 2 t. 12ka 1847.	1 80	— 90
— Tajemnice Paryża 9 t. 12ka 1844	5 40	3 —
— Zemsta Hiszpanki 4 t. 2ka 1847.	2 70	1 35
SWIFT, Podróże Gulliwera ilustr., 4ka 1853	— 90	— 45
SYROKOMŁA Wł., Baka odrodzony. Uwagi o śmierci niechybnej wszystkim popoliciej, wierszem wyrażone. 8k 1855	1 20	— 60
— Chatka w lesie. Część 1a i 2a 12ka 1856.	2 —	1 —
— Dwie gawędy zawierające: Spowiedź pana Korsaka i p. Marek w piekle 32ka 1854	— 50	— 30
— Gawędy i rymy ulotne, 16ka 1856 Serja I.	1 35	— 75
— Serja III.	1 20	— 60
— Serja V. 16ka 1857.	1 20	— 60
— Janko Cmentarnik 16ka 1856	1 —	— 50
— Kobzarz Tarasa Szewczenki z małorossyjskiego spolszczony, 8ka 1863.	— 90	— 45
— Marcin Studziński. Kartka z kroniki Wilna 8ka 1859	1 35	— 67½
— Nocleg hetmański, gawęda na tle historycznym, 12ka 1857	1 45	— 50
— Sen wieszca (czyli Wiliam Szekspir). Opera we trzech aktach 1855.	— 60	— 20
— Stare wrota. Poemat 8ka 1857	1 50	— 75
— Starosta Kopanicki więzień w Sonenburgu, ustęp z pierwszych lat panowania Augusta III. 8ka 1859	1 35	— 50
— Stella Fornarina, (córka piekarza), ustęp z życia Rafaela 8ka 1859	1 —	— 40
— Wielki czwartek 16ka 1856	1 —	— 50
— Wyrok Jana Kazimierza. Dramat historyczny w 4 aktach, 16ka 1860	— 75	— 30

SYROKOMLA, W. Zgon Acerna 16ka 1856	— 60	— 30
— Zofia Księżniczka Słucka. Dramat historyczny z XVII wieku w 4 aktach 8ka 1859.	1 25	— 50
SZEKSPIR, W., Dzieła. Przekład J. Kefalińskiego i Johna of Dycalp, 3 t. 8ka 1840/48	6 75	4 —
— Makbet, tragedia, (treść) 16ka 1858	— 30	— 15
— Północna godzina Przekł. Johna of Dycalp. 12ka 1845	— 90	— 30
— Puste kobiety z Windsoru, przeł. John of Dycalp. 12ka 1842	1 10	— 30
— Król Jan. Przekł. J. Korzeniowskiego 12ka 1845.	1 —	— 50
SZTYRMER, Eleon., Kataleptyk, powieść nieboszczyka Pantofla. 2 t. 18ka 1864	2 —	— 60
SZWYKOWSKA, J., Pani Fieda, powieść z XV wieku, 8ka 1855	— 75	— 30
— Reginka, powieść z XII wieku, 2t. 8ka 1853.	1 50	— 40
SZYLLER, Marya Stuart, tragedia (treść) 16ka 1858.	— 30	— 15
— Pienia liryczne z życiorysem i rycin. Wyd. A. Bielowski 12ka	1 —	— 65
SZYMANOWSKI Wac. Lichwiarze. Szkice Warszawskie. 8ka 1855.	— 75	— 30
— Michał Sędziwój, dramat w 5 aktach 12ka 1859.	— 50	— 15
— Szkice i obrazki z obyczajów i zwyczajów Warszawy z 48 rycinami humorystycznymi Franc. Kostrzewskiego 4ka	4 —	1 50
TASSO, Torquatto, Godfred, albo Jeruzalem wyzwolona; przekł. Kochanowskiego. 2 t. 8ka 1826	1 50	— 50
TEGNER, Izajasz, Aksel. Romans, ze szwedzkiego przeł. J. Wiernikowski, 18ka 1842.	— 30	— 15
TIECK, L. Vittorja Accorombona. Powieść, 2 t. 12ka 1855	1 50	— 75
TREMBECKI, Stanisław, Poezje, 8ka	— 75	— 50
TRIPPLIN, Kobieta z głową. Obraz z życia galicyjskiego. 2 t. 12ka 1856.	1 20	— 60
— Lunatycy, czyli przepowiedziane nieszczęście, 8ka 1857.	1 85	— 90
— Maskarada w obłokach 2 t. 12ka 1856	3 —	1 50
WASILEWSKI, Edm. Poezje, 12ka 1859	1 —	— 50
WERDEROWSKI. Niewola u Szamyla, 2 t. 12ka, Kijów, 1857	2 50	1 —
<i>Wieczory kąpielne</i> czyli powieści o strachach i upiorach z dołączeniem bajek i innych pism humorystycznych, przez Józefa Maksymi-		

liana hrabię z Tęczyna Ossolińskiego, z autentycznych rękopis., wyd. Józ. Czech, 8ka.	1 80	1 —
WIENIARSKI, Ant. Obrazki lubelskie, 8ka 1854.	1 —	— 40
— Pogadanki, szkice z teraźniejszości i przeszłości, 8ka, 1854	1 —	— 40
— Powieści z podań i dziejów polskich, 2 t. 8ka, 1860	1 50	— 75
— Ulicznik Warszawski, komedia, 16ka, 1856.	— 30	— 15
— Warszawa i Warszawianie, 16ka, 1857 . . .	1 80	— 60
WILKOŃSKA, Paul. Helena i wróżka 12ka, 1855	1 50	— 45
— Różni ludzie, powieść 2 tomy, 8ka, 1855. .	1 50	— 60
— Tak się dzieje, powieść 2 t. 12ka, Wilno 1848 .	1 80	— 90
— Wieś i miasto, powieść 2 tomy, 12ka, 1841.	1 80	— 75
WOJCICKI K. Silva rerum, staropolskie powieści, 2 t. 12ka, 1861.	1 50	— 50
<i>Wolnearty i szpargały.</i> Swistki humorystyczno-artystyczne, zebrane przez bocianów polskich, 4 serye razem; 4ka, w oprawie . . .	7 20	2 —
WOLSKI, Włodz. Czarna wstążka, La Kaczuzca, opowiadania i powieści, 16ka, 1852 . . .	1 —	— 40
— Domek przy ulicy Głębokiej, 3 t. 16ka 1859.	2 25	— 45
— Opowiadania i powieści. Ser. II. Korepetytor, ranne odwiedziny, fraszki, 16ka, 1859 . .	— 75	— 25
— Poezye, 2 t. 12ka, 1859	2 —	— 50
— Uśmiech losu, powieść 3 t. 12ka, 1856 . . .	3 —	— 1 —
WORONOWICZ, A. Obrazki współczesne 12ka, 1857	1 —	— 30
<i>Wspomnienia i marzenia,</i> Bogdańskiego, wydał Au. Wilkoński, 2 tomy	1 80	— 60
ZACHARYASIEWICZ, J. Renata, pow. 8ka, 1858.	1 50	— 75
ZAMARSKI, R. Domowe wspomnienia i powiastki, z ryciną, 8ka, 1854.	1 —	— 30
ZEISZNER L. Pieśni ludu Podhalan, 8ka, 1845.	— 50	— 20
ZMORSKI, Roman. Wieża siedmiu wodzów z drzeworytami, 16ka, 1860	— 30	— 15
— Lazarica, ustęp narodowych pieśni serbskich, 12ka, 1860	— 75	— 20

VIII. Rozmaitości, Nuty muzyczne.

Album muzyczne, wydane na dochód Warszawskiego Towarzystwa wsparcia artystów muzycznych ich wdów i sierot, zawierające kompozycye: J. Brzowskiego, J. F. Dobrzyńskiego, O. Kolberga, J. Krzyżanowskiego, St. Moniuszki, J. Sikorskiego, Fr. Chopina, M. Karasowskiego, J. Komorowskiego, K. Lubomirskiego, J. Nowakowskiego i J. Stefaniego. Rok pierwszy, 4ka

3 — 1 50

DOBRZYŃSKI, Ign. Fel. <i>Monbar</i> czyli <i>Flibustierowie</i> . Opera w trzech aktach, słowa S. z.Ż. Pruszkowój i L. Paprockiego. Partytura fortepianowa ze śpiewem, 4 ^{ka}	12	—	3	—
<i>Kartologia</i> . Nowa zabawa towarzyska z 52 figurami i textem, 1852.	—	60	—	20
KRUPSKI. <i>Stenografia polska</i> , 4 ^{ka} , 1858	1	50	—	60
LEŚNIEWSKI, P. E. <i>Wychowaniec XIXgo wieku</i> , czyli przepisy przystojności i dobrego tońu, 8 ^{ka} , 1843	1	—	—	50
MONIUSZKO, Stanisław. <i>Śpiewnik domowy</i> 1, 2, 3, 4, 5, po	4	50	2	50
— <i>Szósty śpiewnik domowy</i> , zawierający ballady i poezye Ad. Mickiewicza z portretem tegoż	5	—	3	—
— <i>Sześć pomienionych śpiewników</i> , razem.	27	50	14	—
SCHUBERT, J. <i>Słownik wszystkich wyrazów cudzoziemskich i wyrażeń używanych w muzyce</i> , z wyjaśnieniem reguł elementarnych będących ich podstawą, 16 ^{ka} , 1857	1	—	—	60
SIKORSKI, J. <i>Doręcznik muzyczny</i> , treściwe przedstawienie muzyki dzisiejszej, 8 ^{ka} , 1852.	2	25	1	—

Nakładem tejże Księgarni znajdują się pod prasą i wydają w ciągu r. b.

- ANCZYC, Wł. L. *Księga najpamiętniejszych odkryć geograficznych zebrane podług najnowszych źródeł*, wydanie drugie.
 — *Przypadki Robinsona Kruzoa*, wydanie drugie.
 — *Odkrycie Ameryki*, podług najlepszych źródeł dla młodzieży polskiej opracowane.
 — *ABC*, pierwsze początki czytania dla dzieci polskich z licznymi obrazkami.
 — *Słynne powieści angielskie z cenniejszych pisarzy* wybrane i spolszczone.
 — *Przygody prawdziwe żeglarzy i podróżników pośród dzikich ludów kuli ziemskiej*, z rycinami.
 CHEĆCIŃSKI, Jan. *Robinson szwajcarski*, podług najlepszych źródeł opracowany dla młodzieży polskiej.
 DROPSY, Józef, Dr. *Zasady ogólnego zastosowania elektryczności w celu fizyologicznym, patologicznym i terapeutycznym*, na nieznanym odkryciach oparte.
 ROSENBERG-LIPIŃSKI. *Uprawa roli*, streszczenie dzieła: *Der praktische Ackerbau*.

Дозволено Цензурою
 Варшава Мая 2 дня 1870 года.

